

*L.*

- *Joe Abercrombie* -  
**Szczypta nienawiści**





- *Joe Abercrombie* -  
Szczypta nienawiści

*Przełożył*  
*Wojciech Szypuła*

*Wydawnictwo MAG*  
*Warszawa 2019*

Tytuł oryginału: *A Little Hatred*

Copyright © 2019 Joe Abercrombie

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-7480-940-5

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 2519

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

## Część I

Błogosławieństwa i przekleństwa

Gdzie walka najbardziej zażarta

Sumienie to luksus

Rachunki

Publiczne wieszanko

Destruktorzy

Odpowiedź na twoje ły

Młodzi bohaterowie

Właściwy moment

Zniszczyć to, co kocha

Było źle

Morze interesów

Potyczka z ojcem

Potyczka z ojcem

Obietnice

Cios zadany szaremu człowiekowi

Poznanie strzały

Czekasz czy tracisz czas?

Im większy przeciwnik...

Pytania

Machina państwowa

Bolesne miejsca

## Część II

Pełen smutnych historii  
Niespodzianki  
Lew i wilk  
Bez zbędnych sentymentów  
Przyjaciele tacy jak ci  
Tonące statki  
Witaj w przyszłości  
Zwykli ludzie  
Coś, co należy do nas  
Człowiek czynu  
Paskudna sprawa  
W lustrze  
Umowa  
Nowy pomnik  
Wszyscy równi  
Głupota młodych  
Koniec balu  
Jedzenie grochu mieczem  
Bitwa pod Rdzawym Wzgórzem  
Załatwmy to jak mężczyźni

### Część III

Żądania  
Chwyć wodze  
Broń głupców  
Nadzieja i nienawiść  
Gdzie wykuwają się imiona  
Biedni płacą cenę  
Nowa kobieta  
Stracone sprawy  
Nowy mężczyzna  
Podobni  
Pusty kufer

Jak deszcz

Z matką, przy kieliszku

Z matką, przy kieliszku

Pytania

Cywilizacja

Talent

Rozrywki

Co nieco na temat odwagi

Namiastki

Nie szcędząc wydatków

Łajdak w moim typie

Niech żyje król

**Podziękowania**

*Dla Lou,  
z mrocznymi, posępnymi uściskami*

# Część I

„Nasza epoka oszalała na punkcie innowacji. Cokolwiek robimy, musi być robione w nowy sposób”.

dr Johnson



# Błogosławieństwa i przekleństwa

– Rikke.

Z wysiłkiem uchyliła jedno oko.

Przyprawiające o mdłości dźgnięcie blasku.

– Wracaj.

Językiem wypchnęła z ust ośliniony kołek i wychrypiała jedyne słowo, jakie przyszło jej do głowy:

– Kurwa...

– Zuch dziewczynka! – Isern przykucnęła obok niej, szczerząc w uśmiechu dziurawe uzębienie. Naszyjnik z runów i kości palców dyndał jej na szyi. W żaden sposób nie próbowała pomóc Rikke. – Co widziałaś?

Rikke ociężale podniosła jedną rękę i złapała się za głowę. Miała wrażenie, że jeśli nie chwyci jej mocno w dłonie, czaszka gotowa jest eksplodować. Pod powiekami wciąż jeszcze skwierczały jasne kształty, jak po spojrzeniu prosto w słońce.

– Widziałam ludzi, dziesiątki ludzi, spadających z wysokiej wieży. – Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak uderzali o ziemię. – Widziałam wisielców, całe rzędy. – Ścisnęło ją w żołądku na wspomnienie kołyszących się ciał, zwisających swobodnie stóp. – Widziałam... może bitwę? Pod wzgórzem koloru rdzy.

Isern pociągnęła nosem.

– Tu jest Północ, tu niepotrzebna magia, żeby zobaczyć bitwę. Co jeszcze?

– Widziałam Uffrith w ogniu.

Rikke niemal czuła w nozdrzach zapach dymu. Przycisnęła dłoń do lewego oka. Gorące. Gorące jak ogień.

– Co jeszcze?

– Widziałam, jak wilk zjadł słońce. Potem lew zjadł wilka. Potem jagnię zjadło lwa. A potem sowa zjadła jagnię.

– To musiał być istny potwór, ta sowa.

– Albo jagnię było maciupieńkie, prawda? Co to oznacza?

Isern przytknęła palec do poblížnionych ust w taki sam sposób, jak przed wygłoszeniem któregoś ze swoich głębokich oświadczeń.

– Za diabła nie wiem. Może obroty koła czasu pozwolą odkryć tajemnicę zawartą w tej wizji.

Rikke splunęła. W ustach ciągle miała posmak rozpaczy.

– Czyli co? Pożyjemy, zobaczymy?

– W jedenastu wypadkach na dwanaście czekanie jest najlepszym wyjściem. – Isern podrapała się po skórze w zagłębieniu nad obojczykiem i mrugnęła porozumiewawczo. – Ale gdybym powiedziała to wprost, nie cieszyłabym się opinią wielkiej myślicielki.

– Ja mogę za jednym zamachem zdradzić ci dwa sekrety. – Rikke dźwignęła się z jękiem i podparła na łokciu. – Łeb mi pęka i się zesrałam.

– To drugie to żaden sekret; wystarczy mieć nos, żeby go odkryć.

– Będą mnie nazywali Rikke Sraka. – Zmarszczyła nos. – Nie pierwszy raz zresztą.

– Twój problem polega na tym, że przejmujesz się tym, jak cię nazywają.

– Mój problem polega na tym, że mam te przeklęte napady.

Isern przyłożyła z uśmiechem palec pod lewym okiem.

– Ty mówisz przeklęte napady, ja mówię błogosławione długie oko.

– Też coś.

Rikke przeturlała się i podniosła na kolana. Jej żołądek fiknął koziółka i połaskotał ją w gardle groźbą wymiotów. Na pamięć poległych, ależ się czuła w tej chwili obolała i wyżęta. Zaryzykowała małe beknięcie, stoczyła heroiczny bój ze swoimi wnętrznościami i wywalczyła remis.

– Nie czuję, żeby to było błogosławieństwo – dodał półgłosem.

– Niewiele jest błogosławieństw, w których wnętrzu nie kryłoby się przekleństwo. – Isern odkroiła kawałeczek chaggi

z zasuszonej bryłki. – Tak jak i przekleństw pozbawionych szczypty błogosławieństwa. Podobnie jak z większością rzeczy, wszystko zależy od punktu widzenia.

– Bardzo to głębokie.

– Jak zawsze.

– Może ktoś z mniej bolącą głową prędzej doceniłby twoją mądrość.

Isern polizała palce, utoczyła z chaggi kuleczkę i podała ją Rikke na wyciągniętej dłoni.

– Jestem bezdenną studnią objawienia, ale nie mogę zmusić człowieka nieświadomego, by się ze mnie napił. A teraz ściągaj spodnie. – Parsknęła swoim dzikim śmiechem. – Wielu facetów chciałoby usłyszeć, jak to mówię.

\* \* \*

Rikke siedziała oparta plecami o jeden z przyprószonych śniegiem menhirów, mrużąc oczy przed słońcem widocznym przez ociekające wodą gałęzie. Otuliła się otrzymanym od ojca futrzanym płaszczem, ale przenikliwy zimny wiatr smyrał ją po odsłoniętym tyłku. Żuła chaggę i czarnymi paznokciami ścigała tańczące po całym ciele świady, próbując ukoić skołatane nerwy i otrząsnąć się ze wspomnień tamtej wieży, wisielców i płonącego Uffrithu.

– Wizje – burknęła. – Przekleństwo, jak nic.

Isern wspięła się do niej po rozmokłym brzegu, niosąc jej mokre spodnie. Błocko mlaskało jej pod stopami.

– Czyste jak świeży śnieg! Od tej pory będziesz śmierdzieć już tylko młodością i rozczarowaniem.

– Na pewno chcesz rozmawiać o śmierdzeniu, Isern-i-Phail?

Isern podniosła zylastą, wytatuowaną rękę, obwąchała sobie pachę i sapnęła z satysfakcją.

– Roztaczam porządny, ziemisty, kobiecy aromat. Księżyc uwielbia takie wonie. Jeżeli smród ci przeszkadza, to źle wybrałaś towarzyszkę podróży.

Rikke próbowała splunąć sokiem z chaggi, ale nie bardzo jej to wyszło i większość spłynęła po podbródku.

– Jeśli myślisz, że mogłam cokolwiek wybierać, to musisz być szalona.

– To samo mówili o moim tatku.

– Był szurnięty jak wór sów. Sama to powtarzasz.

– Wiesz, jak to jest: o jednym powiedzą, że czub, o innym, że ma niezwykłą osobowość. Ale, ale, tobie też daleko do zwyczajności. Tym razem tak wierzyłam, że mało butów nie rzuciłaś. W przyszłości może powinnam cię wiązać, żebyś sobie łba nie rozbiła, bo skończysz jak mój brat Brait, który stale się ślini. Chociaż przynajmniej nie robi pod siebie. To już coś.

– Piękne dzięki.

– Nie ma za co. – Isern złożyła palce w romb i spojrzała przezeń na słońce. – Dawno już powinniśmy być w drodze. Dziś jest dzień wielkich czynów. Albo może małych. – Rzuciła Rikke spodnie. – Lepiej je włóż.

– Mokra? Poobcierają mnie.

– Poobcierają? – prychnęła Isern. – Nie masz większych zmartwień?

– Głowa tak mnie boli, że aż mnie w zębach ciągnie. – Rikke miała ochotę krzyczeć, ale wiedziała, że bólu wywołanego krzykiem mogłaby nie znieść. Musiała więc ograniczyć się do skamlenia. – Nie potrzeba mi dodatkowych niewygód.

– Życie całe składa się z niewygód, dziewczyno! To dzięki nim wiesz, że żyjesz. – Isern wybuchnęła charakterystycznym gardłowym śmiechem i z zadowoleniem grzmotnęła Rikke w bark, aż ta się zatoczyła. – Tak czy inaczej, zaraz wyruszamy. Jeśli koniecznie chcesz, możesz maszerować z tą swoją białą, pulchną dupą na wierzchu.

– Przekleństwo – mruknęła pod nosem Rikke, wbijając się w klejące się do ciała spodnie. – Bez dwóch zdań.

\* \* \*

– Naprawdę... naprawdę myślisz, że mam długie oko?

Idąc przez las, Isern stawiała długie, sprężyste kroki. Rikke – choćby nie wiadomo jak się starała – zawsze zostawała niezręczne pół kroku z tyłu.

– A myślisz, że w przeciwnym razie marnowałabym na ciebie swój czas i siły?

– Pewnie nie – przyznała z westchnieniem Rikke. – Po prostu w balladach długie oko jest darem wiedźm, magów i mędrców, którzy dzięki niemu przenikają wzrokiem mgły przyszłości, a nie czymś, od czego wioskowy głupek pada jak ścięty i sra po nogach.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale bardowie mają zwyczaj koloryzować. Bo widzisz, można nieźle żyć ze śpiewania o arcymądrych wiedźmach, a ze śpiewania o obesranych wiejskich głupkach niekoniecznie.

Rikke musiała ze smutkiem przyznać Isern rację.

– A udowodnienie, że faktycznie masz długie oko, to nie taka prosta sprawa – ciągnęła Isern. – Nie można go zmusić, żeby się otworzyło. Trzeba je do tego nakłonić. – Połaskotała Rikke pod brodą. Dziewczyna odruchowo szarpnęła się wstecz. – Zabrać je do świętych miejsc, gdzie stoją stare kamienie, żeby księżyc mógł je w pełni oświetlić. Ale i wtedy zobaczy to, co zobaczy, tylko wówczas, gdy tego zechce.

– Ale pożar w Uffricie? – W miarę jak po zejściu z Wyżyn zbliżały się do jej rodzinnych stron, Rikke odczuwała coraz większy niepokój. Na pamięć poległych, nie zawsze była w Uffricie szczęśliwa, ale nie chciała, żeby spłonął! – Jak miałyby wybuchnąć?

– Wystarczyłaby chwila nieuwagi przy kuchennym ognisku. – Isern uciekła wzrokiem w bok. – Chociaż tutaj, na Północy, przyczyną pożarów w miastach najczęściej jest jednak wojna.

– Wojna?

– Kiedy bitwa staje się taka wielka, że prawie nikt nie wychodzi z niej zwycięsko.

– Wiem, co to jest wojna, do diabła! – Strach wczepił się w nasadę karku Rikke i stale narastał, a ona w żaden sposób nie

mogła go strząsnąć, bez względu na to, jak gwałtownie poruszała ramionami i próbowała je rozluźnić. – Przez całe moje życia na Północy panował pokój.

– Mój tatko mawiał, że pokój to czas, w którym człek mądry szykuje się do wojny.

– Twój tatko był porypany jak kalosz pełen gnoju.

– A twój co ma na ten temat do powiedzenia? Niewielu jest ludzi tak trzeźwo myślących jak Wilczarz.

Rikke jeszcze raz poruszyła niespokojnie ramionami. Nie pomogło.

– Miej nadzieję na najlepsze i bądź gotowy na najgorsze – odparła. – Tak zawsze mówi.

– Po mojemu to całkiem rozsądna rada.

– Przeżył mroczne chwile. Ciągłe walczył: z Bethodem, z Czarnym Dowem... To były inne czasy.

– Wcale nie. – Isern prychnęła lekceważąco. – Byłam przy tym, jak twój ojciec walczył z Bethodem na Wyżynach, z Krwawą Dziewiątką u boku.

Rikke spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Nie miałaś wtedy nawet dziesięciu lat!

– Byłam wystarczająco duża, żeby zabić człowieka.

– Że co?!

– Zawsze nosiłam młot tatki, bo najmniejsi powinni dźwigać najcięższe brzemie, ale tamtego dnia tatko walczył tym młotem, więc dostałam do noszenia włócznię. Tę samą, którą mam teraz.

– Tępy koniec drzewca wybijał na ścieżce rytm ich marszu. – Mój tatko powalił wroga i zanim gość wstał, dźgnęłam go prosto w dupsko.

– Tą włócznią?

Do tej pory Rikke myślała, że Isern niesie po prostu kostur podróżny, który zrzędzeniem losu ma na jednym końcu pokrowiec z jeleniej skóry. Nie podobała jej się myśl, że pod tym pokrowcem kryje się ostrze – zwłaszcza takie, które w przeszłości tkwiło w tyłku jakiegoś nieszczęśnika.

– Od tamtej pory kilkakrotnie wymieniałam drzewce, ale...

Isern stanęła w miejscu, mrużąc oczy i unosząc wytatuowaną

rękę.

Rikke słyszała tylko szept gałęzi, kap, kap, kap topiącego się śniegu i ćwir, ćwir ptaków na puszczających pączki drzewach. Nachyliła się w stronę Isern.

– Co się...

– Nałóż strzałę na cięciwę i spróbuj ich zagadać – odparła szeptem Isern.

– Kogo?

– Jeśli ci się nie uda, pokaż im zęby. Masz ładne zęby.

Isern zbiegła ze ścieżki i wpadła między drzewa.

– Zęby?! – syknęła jeszcze Rikke, ale ulotny cień Isern zniknął już w gęstwinie.

W tej samej chwili usłyszała męski głos:

– Na pewno dobrze idziemy?

Niosła łuk, bo miała nadzieję zapolować na sarnę albo jelenia. Zrzuciła go teraz z ramienia, niezdarnie wyciągnęła strzałę z kołczana, omal jej nie upuściła i cudem zdołała nałożyć na cięciwę, chociaż jej ramieniem wstrząsnęła cała seria nerwowych tików.

– Kazali nam szukać w lesie. – Inny głos, ostrzejszy, niższy, straszniejszy. – Czy to wygląda jak las?

W panice sprawdziła, czy przez pomyłkę nie wyjęła delikatnej strzały na wiewiórki, ale nie: to była porządna strzała, z szerokim grotem.

– Puszcza, powiedziałbym.

Śmiech.

– A jaka to różnica, psiakrew?

Zza zakrętu wyszedł stary mężczyzna. Trzymał w ręce kij podróżny. Kiedy go opuścił, czubek załśnił metalicznie w cętkowanym leśnym świetle i Rikke zdała sobie sprawę, że to nie żaden kij, tylko włócznia. Niepokój rozlał jej się z nasady karku i sięgnął cebulek włosów.

Było ich trzech. Stary miał taką minę, jakby nic w tej eskapadzie nie było jego pomysłem. Za nim szedł nerwowy chłopak z tarczą i krótkim toporem. Pochód zamykał wysoki brodacz z posepnym wyrazem twarzy.

Brodaty dryblas wyjątkowo się Rikke nie podobał.

Jej ojciec zawsze powtarzał, żeby nie celowała do ludzi z łuku, jeśli nie zamierza ich zastrzelić, więc naciągnęła łuk do połowy i skierowała go w dół.

– Lepiej się zatrzymajcie – powiedziała.

Stary wybałuszył oczy.

– Dziewczyno... Masz kółko w nosie!

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Dotknęła kółka czubkiem wysuniętego języka. – Trzyma mnie na uwięzi.

– Żebyś nie pobłądziła?

– Moje myśli na pewno by mogły.

– To złoto? – zapytał chłopak.

– Miedź – skłamała. Złoto ma skłonność do przemieniania spotkań nieprzyjemnych w śmiertelne.

– A ta farba?

– Znak krzyża to dobry symbol, ukochany przez księżyc. Lewe oko nosi dar długiego oka; krzyż pomaga mu przeniknąć mgły przyszłości. – Odwróciła lekko głowę i splunęła sokiem z chaggi, nie spuszczając wzroku z intruzów. – Być może – dodała, bo nie była pewna, czy krzyż spełnia jakąkolwiek rolę poza tym, że nocą rozmazuje się na poduszce, jeśli zapomni się go zmyć przed snem.

Nie ją jedną gryzły wątpliwości.

– Jesteś obłąkana? – burknął dryblas.

Westchnęła. Nie pierwszy raz mierzyła się z tym pytaniem.

– Wiecie, jak to jest: o jednym powiedzą, że czub, o innym, że ma niezwykłą osobowość.

– Byłoby miło, gdybyś schowała ten łuk – powiedział stary.

– Mnie pasuje tak jak jest – odparła.

Znów skłamała. Łuk kleił się do spoconych dłoni, ramię zaczynało boleć z wysiłku, jakiego wymagało utrzymywanie na wpół napiętej cięciwy, a w dodatku w karku łapał ją skurcz, który groził przypadkowym wypuszczeniem strzały.

Chłopak też jej chyba nie ufał, że nie strzeli, bo zerkał na nią sponad górnej krawędzi tarczy. Dopiero teraz zauważyła, co jest na niej namalowane.



– Masz wilka na tarczy – powiedziała.

– Znak Stoura Zmierzchuna – warknął dryblas.

W jego głosie zabrzmiała nuta dumy. Rikke zwróciła uwagę, że i on nosi na tarczy symbol wilka, tyle że zniszczony i starty niemal do żywego drewna.

– Jesteście ludźmi Zmierzchuna? – Strach spłynął jej do żołądka. – Co tu robicie?

– Polujemy na Wilczarza i jego dupolizów. Zamierzamy odzyskać Uffrith. Należy do Północy.

Zaciśnięte na łączysku knykcie Rikke zbieleły.

– Mowy nie ma, kurwa!

– Nie powstrzymasz tego. – Stary wzruszył ramionami. – Musisz sobie odpowiedzieć tylko na jedno pytanie: czy chcesz dorastać wśród zwycięzców, czy trafić do błota z pokonanymi.

– Zmierzchun to największy wojownik od czasów Krwawej Dziewiątki! – miauknęła młodzik. – Odbije Angland i wypędzi Unię z Północy!

– Unię? – Rikke spojrzała na wilczy łeb fatalnie namalowany na fatalnie wykonanej tarczy. – Wilk zjadł słońce – wyszeptła.

– Ona jest popieprzona. – Dryblas ruszył do przodu. – Rzuć ten...

Sapnął przeciągle, coś wydeło mu koszulę na piersi, błysnęła stal.

– Oj... – stęknął i osunął się na kolana.

Chłopak się odwrócił.

Strzała Rikke trafiła go w plecy, tuż pod łopatką.

Teraz to ona mruknęła „oj”. Wcale nie była pewna, czy zamierzała wypuścić pocisk.

Błysk metalu, coś szarpnęło głową starego i grot włóczni Isern rozpruł mu gardło. Wypuścił z rąk własną włócznię i wyciągnął nieporadne palce w stronę napastniczki.

– Ćśś... – Isern odtrąciła jego dłoń i wyszarpnęła ostrze z rany.

Trysnęła posoka. Stary wił się jeszcze przez chwilę na ziemi i obmacywał wielgachną ranę, jakby mógł powstrzymać krwawienie. Chciał coś powiedzieć, ale nie nadażał z odpluwaniem krwi. W końcu znieruchomiał.

– Zabiłaś ich.

Rikke była rozpalona. Czerwone kropelki zbryzgały wierzch jej dłoni. Dryblas leżał na brzuchu, przesiąknięta koszula na jego plecach pociemniała.

– Tego ty zabiłaś – zauważyła Isern.

Chłopak – na klęczkach – posapywał i skamlał cicho, usiłując dosięgnąć sterczącego mu z pleców drzewca strzały, chociaż Rikke nie miała pojęcia, co zamierzał zrobić, gdyby udało mu się dotknąć go czubkami palców. On pewnie też tego nie wiedział.

Tylko Isern zachowała przytomność umysłu: schyliła się i spokojnie wyjęła mu nóż zza pasa.

– Miałam nadzieję zadać mu parę pytań, ale ze strzałą w płucu dużo nam nie powie.

Jakby na dowód słuszności jej słów zakaszlał, splunął krwią na dłoń i szeroko otwartymi oczami spojrzał na Rikke. Sprawiał wrażenie lekko urażonego, jakby jej słowa go zraniły.

– Trudno – powiedziała Isern – nie można mieć wszystkiego.

Rikke aż podskoczyła, słysząc trzask, z jakim wbiła nóż w ciemną plecy chłopaka. Przewrócił oczami, wierzgnął jedną nogą, wygiął plecy w łuk.

Pewnie wyglądała podobnie podczas swoich napadów. Dostała gęsiej skórki. Chłopak osunął się bezwładnie na ziemię. Pierwszy raz widziała, jak ginie człowiek. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie była pewna, co powinna w tej chwili czuć.

– Nie wyglądali bardzo groźnie – zauważyła.

– Jak na dziewczynę, która usiłuje przebić wzrokiem mgły skrywające przyszłość, jesteś kompletnie ślepa na teraźniejszość – odparła Isern zajęta już przeszukiwaniem kieszeni starego. Język wysunął jej się przez szparę między zębami. – Jeżeli będziesz czekać, aż zaczną groźnie wyglądać, będzie po ptokach.

– Mogłyśmy dać im szansę.

– Na co? Żeby odesłali cię do błota? Albo zawlekli do Stoura Zmierzchuna? Facet ma kurewską reputację; obcierające spodnie na pewno byłyby najmniejszym z twoich zmartwień. – Złapała starego za nogę i zwlekła ze ścieżki w gąszcz, po czym rzuciła za nim jego włócznię. – A może chciałaś ich zaprosić do

wspólnego tańca w lesie? Mogłybyśmy wpleść sobie kwiaty we włosy i przekonać ich do siebie moimi pięknymi słówkami i twoim ślicznym uśmiechem.

Rikke splunęła sokiem z chaggi i otarła podbródek, patrząc, jak krew wsiąka w ziemię wokół roztrzaskanej głowy chłopaka.

– Nie sędzę, żeby mój uśmiech coś zmienił, i jestem pewna, że twoje słówka zdałyby się na nic.

– W takim razie nie miałyśmy innego wyboru, jak ich zabić, prawda? Twój problem polega na tym, że masz zbyt wielkie serce.

Isern kościstym palcem dziabnęła Rikke w pierś.

– Auć! – Rikke cofnęła się o krok, zasłaniając się ramionami. – To bolało!

– Masz zbyt wielkie serce, dlatego czujesz każde ukłucie i uderzenie. Musisz utwardzić serce na kamień. – Isern grzmotnęła się pięścią w pierś, aż paliczki w jej naszyjniku zagrzechotały. – Księżyc kocha okrucieństwo. – Jakby dla podkreślenia swoich słów schyliła się i przeciągnęła martwego chłopca w krzaki. – Wódz musi być twardy, żeby inni nie musieli tacy być.

– Wódz czego? – mruknęła Rikke, rozmasowując obolałą pierś.

W tej samej chwili poczuła woń dymu, dokładnie tak jak we śnie. Jak przyciągana nieodpartą siłą, ruszyła ścieżką przed siebie.

– Ej! – zawołała za nią Isern, żując wyjęty z należącego do dryblasza worka podróznego kawałek suszonego mięsa. – Pomóż mi z tym bydlakiem!

– Nie – wyszeptwała Rikke. Zappach dymu przybierał na sile, a wraz z nim wzmagał się jej niepokój. – Nie, nie, nie.

Wypadła z leśnego półmroku na zimne światło dnia, zrobiła jeszcze dwa chwiejne kroki i zatrzymała się. Łuk zwisał luźno w jej bezwładnej dłoni.

Poranna mgła dawno się ulotniła i ponad szachownicą świeżo obsianych pól wzrok sięgał daleko, aż po przyciśnięty do szarego morza i otoczony szarymi murami Uffrith. Uffrith, w którym stał

stary dom ojca z mizernym ogródkiem na tyłach. Bezpieczny, nudny Uffrith, w którym urodziła się i wychowała.

Tyle że teraz ten Uffrith płonął, tak jak widziała to we śnie. Powoli zwiewany nad niespokojne morze wielki słup czarnego dymu wzbijał się nad miastem i przesłaniał niebo.

– Na pamięć poległych... – wychrypiała.

Isern wyszła spomiędzy drzew z włóczęgią przerzuconą w poprzek ramion i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Wiesz, co to znaczy?

– Wojna? – wyszeptała ze zgrozą Rikke.

– To też. – Isern zbyła jej słowa machnięciem ręki. – Ale najważniejsze, że miałam rację! – Grzmotnęła Rikke w plecy z taką siłą, że omal jej nie przewróciła. – Naprawdę masz długie oko!

## Gdzie walka najbardziej zażarta

– W bitwie – mawiał ojciec Leo – człowiek odkrywa, kim naprawdę jest.

Północni już, już mieli podać tyły, gdy wpadł konno pomiędzy nich. Od wstrząsu zderzenia ciarki przeszły mu po plecach.

Niesiony impetem szarży ciał jednego od tyłu po hełmie i prawie oderwał mu głowę. Z gniewnym warknięciem ciał w drugą stronę. Mignęła mu twarz z rozdziawionymi ustami, którą jego topór rozplątał na dwoje. Bryznęły czarne strugi krwi.

Inni konni też już dopadli Północnych, roztrącając ich jak popsute lalki. Mignął mu koń z łbem przeszytym włócznią. Wysadzony z siodła jeździec wykręcił salto w powietrzu.

Leo wyrwał się ze zwarcia. W tej samej chwili gdzieś nieopodal trzasnęła pękająca pika i odłamek drzewca trafił go w hełm. Stal zadźwięczała głośno. Świat stał się kłębowiskiem wykrzywionych twarzy, błysków metalu i miotających się ciał, ledwie widocznych przez szczelinę w hełmie. Krzyk ludzi, kwik rumaków i szczęk stali zlały się w jeden miazdzący myśli jazgot.

Tuż przed nim koń skręcił gwałtownie; był bez jeźdźca, strzemiona powiewały w powietrzu. Wierzchowiec Rittera – Leo rozpoznał go po żółtej derce. Ktoś pchnął Leo włócznią: przyjął cios na tarczę i aż zachwiał się w siodle. Grot ze zgrzytem osunął się po jego opancerzonym udzie. Koń wierzgnął i parsknął głośno. Leo chwycił wodze ręką, na której nosił tarczę, i z twarzą zastygłą w bolesnym uśmiechu wściekle ciał toporem w jedną i w drugą stronę. Machinalnie uderzył w tarczę z namalowanym wizerunkiem czarnego wilka, kopnął przeciwnika, który zatoczył się w tył... i stracił rękę obciętą lśniącym mieczem Barnivy.

Leo zobaczył Kipielnika Jina wywijającego maczugą, kłęb

rozwianych rudych włosów, zaciśnięte, wyszczerzone zęby. Tuż za nim Antaup coś krzyczał, usiłując wyszarpnąć włócznię z czyjejs zakrwawionej kolczugi. Gławard walczył wręcz z jakimś wolnym: byli bez broni, zaplątani w wodze obu koni. Leo ciął wolnego toporem i wyłamał mu łokieć. Ciął drugi raz i posłał go bezwładnego do błota.

Toporem wskazał powiewającą na wietrze chorągiew Zmierzchuna z czarnym wilkiem. Zawył, zaryczał, ale gardło miał zdarte. Dopóki miał spuszczoną osłonę twarzy, nikt nie był w stanie go usłyszeć. Prawdę mówiąc, nawet gdyby ją podniósł, i tak by go nie usłyszeli. Zresztą sam nie bardzo wiedział, co krzyczy.

Zamiast się drzeć, chlasnął na odlew otaczające go kłębowisko ciał.

Ktoś złapał go za nogę. Kręcone włosy. Piegi. Wyglądał na przerażonego. Jak wszyscy. Był bez broni. Może chciał się poddać.

Rantem tarczy wyrznął piegusa w ciemność. Dźgnięty ostrogami koń stratował chłopaka.

Nie było tu miejsca na dobre chęci, tak jak nie było go na uciążliwe subtelności, nudne spory i matczyne gderanie o cierpliwości i rozwadze. Wszystko cechowała piękna prostota.

„W bitwie człowiek odkrywa, kim naprawdę jest”.

Leo był bohaterem, którym zawsze chciał zostać.

Zamachnął się ponownie, ale topór wydał mu się dziwnie wyważony. Obuch odłamał się i spadł, w ręce zostało mu tylko okrwawione drzewce. Wypuścił je i dobył miecza. Rozedrgane palce w pancерnej rękawicy nie chciały się zacisnąć na rękojeści śliskiej od coraz mocniej padającego deszczu. W końcu dotarło do niego, że człowiek, którego okłada bez litości, nie żyje – osunął się i oparł plecami o płot, przez co wyglądał, jakby stał, ale z rozłupanej czaszki wylewała mu się czarna miazga. To koniec.

Szyk Północnych się kruszył. Uciekali z wrzaskiem chlastani przez plecy i zaganiani w stronę chorągwi. Trzech jeźdźców pędziło przed sobą cały tłum; Barniva – z pobliźnioną twarzą

całą we krwi – jechał środkiem, rąbiąc ciężkim mieczem na prawo i lewo.

Chorąży – olbrzym z obłędem w oczach i zakrwawioną brodą – nadal trzymał w górze sztandar z czarnym wilkiem. Leo ruszył wprost na niego, przyjął uderzenie topora na tarczę i odpowiedział cięciem, po którym miecz zgrzytnął na policzku hełmu chorążego, rozorał mu kość jarzmową i ściał połowę nosa. Olbrzym zatoczył się do tyłu, a wtedy Kipielnik Jin zdruzgotał mu czerep maczugą, aż spod hełmu siknęła krew. Leo obalił go kopniakiem na ziemię, wcześniej wyszarpnąwszy mu chorągiew z bezwładnej dłoni, którą teraz uniósł w triumfalnym geście. Ryknął gardłowym śmiechem, prawie zadławił się śliną, ale nie przestawał się śmiać. Wciąż miał na nadgarstku pętlę, na której zawieszony był topór, i złamane drzewce tłuło mu się o hełm.

Zwyciężyli? Rozejrzał się w poszukiwaniu dalszych wrogów: nieliczne obdarte sylwetki pędziły przez pola w stronę odległych drzew. Porzucili broń, uciekali, żeby ocalić życie. Tyle.

Wszystko go bolało: uda od ściskania konia, ramiona od wymachiwania toporem, dłonie od ściskania wodzy. Nawet podeszwy stóp pulsowały mu boleśnie po wysiłku. Jego pierś wznosiła się i opadała gwałtownie, oddech dudnił pod hełmem – wilgotny, gorący, miał słony posmak; może w którymś momencie przygryzł sobie język. Przez chwilę mocował się ze sprzączką pod brodą, w końcu zdarł to draństwo z głowy. Jeszcze przed chwilą rozpierała go furia, teraz odczuwał uniesienie. Czaszka pękała mu od zgiełku – i był to zgiełek triumfu.

Niemal spadł z siodła, tak szybko zsiadał z konia. Gramoląc się na mur, poczuł pod opancerzoną dłonią coś miękkiego: trup Północnego ze sterczącą z pleców złamaną włócznią. Ale on odczuwał tylko radość, od której kręciło mu się w głowie.

Jakkolwiek by na to patrzeć, bez trupów nie ma chwały. Równie dobrze mógłby się rozczulić nad obierkami z marchewki. Ktoś mu pomógł, wyciągnął rękę, podtrzymał go. Jurand. Zawsze przy nim, kiedy był potrzebny. Leo wyprostował

się dumnie. Rozradowane twarze jego ludzi zwróciły się ku niemu.

– Młody Lew! – zaryczał Gławard.

On też wspiął się na mur i stanął obok, po czym grzmotnął Leo w plecy z takim impetem, że ten zachwiał się na nogach. Jurand wyciągnął ręce, żeby go złapać, ale Leo nie spadł.

– Leo dan Brock! – zawołał Gławard.

Po chwili wszyscy skandowali jego imię, wyśpiewywali je jak modlitwę, powtarzali jak zaklęcie, dźgając orężem plujące deszczem niebo.

– Leo! Leo! Leo!

„W bitwie człowiek odkrywa, kim naprawdę jest”.

Czuł się pijany. Czuł się tak, jakby płonął żywcem. Czuł się jak król. Czuł się jak bóg. Do tego właśnie został stworzony!

– Zwycięstwo! – zagrzmiął, potrząsając zakrwawionym mieczem i równie zakrwawioną chorągwią Północnych.

Na pamięć poległych, czyż mogło być coś lepszego?

\* \* \*

W namiocie pani gubernator toczyła się zupełnie inna wojna – wojna marsowych min i cierpliwych analiz, ostrożnych kalkulacji i ważenia szans, okropnego mnóstwa map i wytyczanych na nich szlaków zaopatrzenia. Była to wojna, do jakiej Leo zupełnie nie miał cierpliwości.

Blask zwycięstwa został stłumiony ulewnym deszczem, który towarzyszył im podczas mozolnego wymarszu z doliny, przygasł jeszcze bardziej wskutek dokuczającego mu dziesiątka zadrapań i siniaków, po czym zgasł niemal całkowicie pod lodowatym spojrzeniem matki, gdy tylko Leo odgarnął połę namiotu i w towarzystwie Juranda i Kipielnika Jina zameldował się w środku.

Rozmawiała akurat z rycerzem heroldem, który – wprost niedorzecznie wysoki – pochylał się nad nią z szacunkiem.

– ...przełącz, proszę, Jego Wysokości, że robimy, co w naszej



mocy, by powstrzymać napierających Północnych, ale Uffrith został stracony i powoli oddajemy im pole. Uderzyli przeważającymi siłami w trzech punktach jednocześnie; po tym natarciu wciąż jeszcze zbieramy ludzi. Poproś go... nie, błagaj w naszym imieniu o posiłki.

– Tak uczynię, pani gubernator. – Wychodząc, rycerz herold skinął Leo głową. – Gratuluję zwycięstwa, lordzie Brock.

– Nie potrzebujemy pomocy króla, niech go szlag trafi! – zachnął się Leo, gdy poła namiotu opadła za rycerzem heroldem. – Sami pokonamy psy Czarnego Caldera!

W namiocie jego głos brzmiał dziwnie słabo tłumiony przez wilgotne płótno. Nie niósł się nawet w połowie tak przyjemnie jak na polu bitwy.

– Cóż... – Matka oparła zaciśnięte pięści na stole i spojrzała ponuro na mapę. – Jeżeli mamy walczyć w królewskich bitwach, to mamy również prawo oczekiwać pomocy króla.

– Żałuj, że nie widziałaś, jak uciekali! – Do diaska, a jeszcze przed chwilą był taki pewny siebie! Bez chwili wahania zaszarżowały na pułk ustawionych w szyku bojowym wolnych, ale ta kobieta o długiej szyi i szarych włosach wysysała z niego całą odwagę. – Pękli, zanim w ogóle ich dopadliśmy. Wzięliśmy kilkudziesięciu jeńców... – Obejrzał się na Juranda, który mierzył go tym charakterystycznym spojrzeniem, pełnym powątpiewania i zdradzającym, że się z nim nie zgadza. Tak samo patrzył na niego przed szarżą. – Odbiliśmy farmę i... i...

Jego matka odczekała, aż przestanie się jąkać i umilknie, po czym podniosła wzrok na jego druhów.

– Dziękuję ci, Jurandzie. Jestem pewna, że zrobiłeś, co w twojej mocy, żeby mu to wyperswadować. Tobie, Kipielniku, również dziękuję. Mój syn nie mógłby znaleźć sobie lepszych przyjaciół i dzielniejszych wojowników.

Jin ciężkim gestem plasnął Leo otwartą dłonią w ramię.

– To Leo poprowadził...

– Możecie odejść.

Jin z głupią miną podrapał się po brodzie. On też okazywał teraz znacznie mniej ducha walki niż wcześniej w dolinie.

Jurand spojrział na Leo i skrzywił się przeprasząco.

– Oczywiście, pani.

I obaj wymknęli się z namiotu. Leo został sam, niepewnie skubiąc rąbek zdobyczej chorągwi.

Matka przeciągnęła lodowate milczenie jeszcze chwilę, zanim wydała wyrok:

– Ty skończony głupcze!

Wiedział, czego się spodziewać, ale i tak zabołało.

– Dlatego że naprawdę walczyłem?

– Chodzi o to, jaki wybrałeś moment i sposób walki!

– Wielcy wodzowie idą tam, gdzie walka najbardziej zażarta!  
– odparował. Wiedział jednak, że mówi jak bohaterowie z kiepskich powieści, które uwielbiał w dzieciństwie.

– Wiesz, kogo jeszcze można znaleźć tam, gdzie walka jest najbardziej zażarta? Trupy. Oboje wiemy, że nie jesteś głupi, Leo. Na czyj użytek zgrywasz więc durnia? – Matka ze znużeniem pokręciła głową. – Nie powinnam była pozwolić ojcu odesłać cię do Wilczarza na wychowanie. W Uffricie nauczyłeś się tylko porywczosci, kiepskich piosenek i dziecinnego podziwu dla morderców. Należało cię wysłać do Aduy. Śpiewałbyś pewnie równie nędznie, ale może przynajmniej wpoiliby ci odrobinę subtelności.

– Jest czas subtelności i jest czas działania!

– Nigdy zaś nie ma czasu na nierozwagę, Leo. Ani na próżność.

– Przecież wygraliśmy, do diabła!

– Co wygraliśmy? Zajęliśmy bezwartościową farmę w bezwartościowej dolinie. To był ledwie oddziałek zwiadowczy, a dzięki tej potyczce nieprzyjaciel będzie miał pojęcie o naszej sile. – Lady Finree prychnęła z goryczą i znów pochyliła się nad mapami. – A właściwie o jej braku.

– Zdobyłem chorągiew.

Z bliska wyglądała żałośnie: nieporadnie pozszywana, zatknięta na kiju, który bardziej przypominał obłamaną gałąź niż drzewce flagi. Jak mógł sobie wyobrażać, że jeździ pod nią sam Stour Zmierzchun?

– Chorągwi ci u nas dostatek – odparła matka. – Brakuje nam za to ludzi, którzy mogliby za nimi podążyć. Może następnym razem sprowadź parę pułków.

– Niech cię diabli, matko, naprawdę nie wiem, jak cię zadowolić...

– Słuchaj, co do ciebie mówię. Ucz się od tych, którzy wiedzą lepiej. Bądź śmiały, tego ci nie zabraniam, ale nie lekkomyślny. A nade wszystko, Leo, nie daj się zabić! Zawsze wiedziałeś, jak mnie zadowolić; problem polega na tym, że wolisz zadowalać siebie.

– Ty nie rozumiesz! Nie jesteś... – machnął zniecierpliwiony ręką, nie znajdując (jak zwykle zresztą) odpowiednich słów – ...mężczyznę.

Lady Finree uniosła brew.

– Nawet gdybym miała w tej kwestii jakieś wątpliwości, wyz byłabym się ich z chwilą, gdy wypchnęłam cię ze swojego łona. Masz pojęcie, jakim ciężkim dzieckiem byłeś? Kiedy przez dwa dni będziesz próbował bez chwili przerwy wysrać kowadło, wróc. Wtedy pogadamy.

– Na wszystkie piekła, matko! Chodzi mi o to, że pewnych mężczyzn ludzie podziwiają, a ty...

– Tak jak ciebie podziwiał twój przyjaciel Ritter?

Nagle Leo przypomniał sobie mijającego go konia bez jeźdźca. Zdał sobie sprawę, że nie widział twarzy Ritтера wśród świętujących zwycięstwo kompanów i że do tego momentu w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

– Wiedział, co ryzykuje! – wychrypiał zdławionym głosem. – Chciał walczyć. Był dumny, że może walczyć!

– Rzeczywiście, był z tego dumny. Masz w sobie żar, który rozpala ludzi i każe im iść za tobą; twój ojciec też go miał. Jednakże z takim darem wiąże się wielka odpowiedzialność. Ludzie składają życie w twoje ręce.

Leo z wysiłkiem przełknął ślinę. Duma roztapiała się w nim, zostawiając po sobie brzydkie poczucie winy, tak jak czysty śnieg topi się i odsłania brudny, nadgniły świat.

– Powinienem go odwiedzić. – Odwrócił się do wyjścia i omal

nie potknął się przy tym o rozpięty pasek nagolenicy. – Jest... ranny, prawda?

Twarz matki złagodniała. Na ten widok Leo zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– On nie żyje, Leo. – Osobliwa cisza przeciągała się, tylko płótno namiotu łopotało i szeptało na wietrze. – Przykro mi.

Bez trupów nie ma chwały. Osunął się na składane krzesło. Zdobyczna chorągiew wypadła mu z ręki i zaklekotała o ziemię.

– Mówił, że powinniśmy na was poczekać – powiedział półgłosem. Przed oczami stanęła mu strokana twarz Ritтера, kiedy patrzył w głąb doliny. – Jurand go poparł. A ja im powiedziałem, że mogą zostać z kobietami, kiedy my... będziemy walczyć.

– Zrobiłeś to, co wydawało ci się słuszne – mruknęła matka. – Działales pod wpływem impulsu.

– Ritter ma żonę...

Leo przypomniał sobie ślub przyjaciela. Jakżeż ona się nazywała, u licha? Miała taki cofnięty podbródek... Pan młody prezentował się lepiej. Kiedy nowożeńcy zatańczyli (kiepsko im to wyszło), Kipielnik Jin zadudnił w języku Północnych i w imieniu panny młodej wyraził nadzieję, że Ritter lepiej rucha, niż tańczy. Leo tak się śmiał, że mało się nie porzygał.

Teraz nie było mu do śmiechu. Był za to bliski wymiotów.

– Na pamięć poległych... Ritter ma dziecko.

– Napiszę do nich.

– A co im da list? – Wzbierające łzy zakłuły go w głębi nosa. – Wiem, oddam im swój dom! W Ostenhormie.

– Jesteś pewien?

– A po co mi dom? Całe życie spędzam w siodle.

– Masz wielkie serce, Leo. – Matka przykucnęła obok niego. – Czasem wydaje mi się, że zbyt wielkie. – Jej blade dłonie wydawały się bardzo małe przy jego pancernych pięściach, ale w tej chwili z pewnością były od nich silniejsze. – Masz zadatki na wielkiego człowieka, ale nie możesz dopuszczać do tego, by co rusz ponosiły cię emocje. Bitwę można czasem wygrać odwagą, ale wojny wygrywa się mądrością. Rozumiesz to?

– Rozumiem – odparł szeptem.

– To dobrze. Każ ludziom opuścić farmę i wycofać się na zachód, zanim przybędą główne siły Stoura Zmierzchuna.

– Ale jeśli się wycofamy, to... śmierć Rittera pójdzie na marne. Jeżeli nakażemy odwrót, jak to będzie wyglądało?

Lady Finree wstała.

– Mam nadzieję, że jak oznaka kobiecej słabości i niezdecydowania. Może wtedy gorące głowy przeważą i Północni ruszą za nami w pogoń z męskimi uśmiechami na męskich obliczach, a wówczas, gdy wreszcie przybędzie królewskie wojsko, posiekamy ich na kawałki na polu bitwy, które sami wybierzemy.

Leo wbił wzrok w podłogę, zamrugał i poczuł łyzy płynące mu po policzkach.

– Teraz rozumiem.

– To było pochopne i lekkomyślne. – Matka znów przemawiała tym łagodnym, cichym głosem. – Nie sposób jednak odmówić ci śmiałości. Może mi się to nie podobać, ale ludzie rzeczywiście podziwiają pewien określony typ wodza. Nie zaprzeczę również, że mały triumf wszystkim nam dobrze zrobił. Rozkwasileś nos Stourowi Zmierzchunowi. Wielcy wojownicy łatwo wpadają w gniew, a w gniewie człowiek popełnia błędy. – Wcisnęła mu coś w bezwładną dłoń: chorągiew z wilkiem Zmierzchuna. – Ojciec byłby dumny z twojej odwagi, Leo. Udowodnij mi teraz, że ja mogę być dumna z twojego rozsądku.

Powlókł się do wyjścia, zgarbiony pod ciężarem zbroi, która teraz ważyła trzy razy więcej, niż kiedy wszedł do namiotu. Ritter odszedł na zawsze – zabity przez swoją lojalność, a także przez próżność, nieostrożność i arogancję Leo. Jego żona z cofniętym podbródkiem będzie go oplakiwać przy kominku.

– Na pamięć poległych...

Próbował otrzeć łyzy wierzchem dłoni, ale nie był w stanie tego zrobić w pancерnej rękawicy. Zamiast tego użył rąbka zdobycznej chorągwi.

W bitwie człowiek odkrywa, kim naprawdę jest.

Wyszedł na światło dnia i zamarł bez ruchu. Chyba cały pułk zebrał się przed namiotem jego matki, tworząc wokół niego półksiężyc.

– Niech żyje Leo dan Brock! – ryknął Glaward. Złapał nadgarstek Leo w wielką jak bochen dłoń i podniósł go wysoko do góry. – Niech żyje Młody Lew!

– Młody Lew! – powtórzył Barniva. Odpowiedziały mu wiwaty. – Leo dan Brock!

– Próbowałem cię ostrzec – mruknął mu do ucha Jurand. – Bardzo cię objechała?

– Nie bardziej, niż na to zasłużyłem.

Leo zmusił się do uśmiechu. Dla dobra morale pułku. Mały triumf wszystkim dobrze zrobił. Wiwaty zabrzmiały głośniejsze, gdy uniósł zdobyczną chorągiew. Antaup wystąpił naprzód, gestami rozłożonych ramion zachęcając wszystkich do jeszcze większego zgiełku. Jeden z żołnierzy, bez wątpienia już pijany, ściągnął spodnie i wypiął goły tyłek na północ, co spotkało się z powszechną aprobatą. A potem przewrócił się, co skwitowano gromkim wybuchem śmiechu. Glaward i Barniva posadzili sobie Leo na ramionach i dźwignęli go w powietrze. Jurand wziął się pod boki i tylko przewrócił oczami.

Deszcz ustał, słońce lśniło na wypolerowanych pancerzach, naostrzonych klingach i uśmiechniętych twarzach.

Trudno było nie poczuć się lepiej.

## Sumienie to luksus

Roztopiony śnieg odsłonił zimny, smutny świat. Udająca lity grunt lodowata breja przesiąkała do butów Rikke i ochlapała jej i tak już przemoczone spodnie. Zimna rosa bez końca skapywała z czarnych gałęzi, wsączała się w jej mokre włosy i ciężki od wody płaszcz, ściekała po otartych plecach. Woda spływająca z góry spotykała wodę podchodzącą od dołu w okolicy pasa, który Rikke zmuszona była mocno zacisnąć, ponieważ prawie nic nie jadła od trzech dni – odkąd zabiła tamtego chłopaka na ścieżce i zobaczyła, jak płonie jej dom.

Przynajmniej nie mogło już być gorzej. Tak sobie w każdym razie wmawiała.

– Miło by było wyjść czasem na drogę – burknęła, usiłując wyplątać stopę z płataniny ciernistych gałęzi. Skończyło się na tym, że tylko bardziej się podrapała.

Isern miała iście nadprzyrodzony talent do stąpania wyłącznie po suchych skrawkach mokradła; Rikke była gotowa przysiąc, że jej towarzyszka mogłaby przetańczyć z jednego krańca stawu na drugi po liściach lilii wodnych i nie zamoczyć przy tym stóp.

– A jak myślimy, kto jeszcze może się w taki czas przekradać po drogach?

– Ludzie Stoura Zmierzchuna – odparła naburmuszona Rikke.

– Otóż to. A także ludzie jego stryja Scale’a Żelaznorękiego, oraz jego ojca Czarnego Caldera. Kolce mogą zadrapać twoją delikatną niczym puch skórę, ale ich miecze zadrapałyby ją o wiele głębiej.

Rikke zakląła, gdy kleiste błocko omal nie ściągnęło jej buta z nogi.

– Mogłybyśmy przynajmniej wejść gdzieś wyżej.

Isern podrapała nasadę nosa z taką miną, jakby nigdy przedtem nie słyszała podobnej głupoty.

– A jak ci się wydaje, kto jeszcze buszuje dzisiaj po wyżej położonych terenach?

Ze skwaszoną miną Rikke przepchnęła grudkę chaggi spod górnej wargi pod dolną.

– Zwiadowcy Stoura Zmierzchuna.

– A także Scale’a Żelaznorękiego i Czarnego Caldera. Skoro zatem oni roją się na wzgórzach i traktach jak wszy na zwalonej kłodzie, to gdzie my powinniśmy być?

Rikke zatłukła owada, który przysiadł jej na oślizłym wierzchu dłoni.

– Tutaj – odparła – na dnie doliny, w błocie i krzaczorach, wśród całego tego przekłętego robactwa.

– Widzisz, najazd nieprzyjacielskich wojsk na twoje ziemie wiąże się z mnóstwem niedogodności. Przyzwyczaiłaś się uważać cały świat za swój plac zabaw, a tymczasem dziś zewsząd grozi ci niebezpieczeństwo. Najwyższa pora zacząć się zachowywać stosownie do okoliczności.

Isern prześliznęła się przez zarośla szybko i bezszelestnie jak wąż.

Za jej plecami Rikke przedzierała się przez gąszcz i klęła bezradnie. Lubiła myśleć o sobie jak o twardej, zaprawionej w bojach traperce, ale w takim towarzystwie była zwykłą miastową niezgłą. Plotka głosiła, że Isern-i-Phail zna wszystkie ścieżki, i to nawet lepiej, niż znał je jej ojciec. Rikke więcej się nauczyła od niej przez ostatnie dwa tygodnie niż wcześniej przez rok od tego głupiego unijnego nauczyciela w Ostenhormie: jak zbudować szalas z paproci; jak zastawiać wnyki na króliki (nawet jeśli nic się w nie nie łąpało); jak wskazać północ po sposobie, w jaki mech porasta pnie drzew; jak na słuch rozróżnić człowieka od zwierzęcia.

Niektórzy nazywali Isern wiedźmą i z całą pewnością miała wiedźmi wygląd i temperament, ale nawet ona nie potrafiła na przednówku wyczarować jedzenia z kamieni i bagiennej wody. Niestety.



Kiedy słońce schowało się za wzgórzami i przenikliwy ziąb zstąpił w doliny, wcisnęły się jak dwa robale w szczelinę między głazami i przytuliły do siebie w poszukiwaniu ciepła. Wiatr się wzmógł, leniwa mżawka przeszła w zacinający deszcz ze śniegiem.

– Myślisz, że w całej dolinie znalazłby się chociaż jeden suchy patyk, który zająłby się ogniem? – wyszeptała Rikke w kłębach pary z oddechu. Zatarła przemarznięte dłonie i wetknęła je pod pachy, gdzie zamiast się ogrzać, zaczęły skutecznie chłodzić całe jej ciało.

Isern skuliła się nad plecakiem zawierającym ich kurczące się zapasy jedzenia jak skąpiec nad swoim złotem.

– Nawet gdyby mi się udało – odparła – dym mógłby przywabić myśliwych.

– W takim razie będziemy marzły – mruknęła Rikke.

– Tak właśnie wygląda początek wiosny po tym, jak wrogowie zajęli dom twojego tatki i nie masz już milusiego, ciepłego kominka, przed którym mogłabyś się zwinąć w kłębek.

Rikke wiedziała, co ludzie o niej mówią, i może faktycznie brakowało jej piątej klepki, ale wzrok zawsze miała bystry, więc i teraz – mimo mroku i zwinnych palców więdźmy – widziała, że Isern sama zjada zaledwie połowę tego, co oddaje jej. Widziała to, była za to wdzięczna i żałowała, że brakuje jej stanowczości, by upomnieć się o równy podział, ale była piekielnie głodna. Pochłonęła swój skrawek suszonego mięsa tak prędko, że nawet nie zauważyła, kiedy razem z nim połknęła grudkę chaggi.

Zlizując z zębów cudowny smak czerstwego chleba, myślała o zastrzelonym chłopaku. O farbowanej chustce, którą obwiązał sobie wokół chudej szyi; matki dają takie szmatki synom, żeby nie marzli. I o jego zranionej, zmieszanej minie. Ona pewnie wyglądała tak samo, kiedy dzieci nabijały się z jej spazmów.

– Zabiłam tego chłopaka.

Wciągnęła nosem zimne smarki, charknęła i splunęła.

– Ano zabiłaś. – Isern odkroiła sobie kawałeczek chaggi i wsunęła go pod wargę. – Zabiłaś na śmierć, obrabowałaś wszystkich jego krewnych i znajomych i na zawsze pozbawiłaś

świat wszelkiego dobra, które mógł w nim uczynić.

– Ej! – Rikke zamrugła z niedowierzaniem. – To ty mu rozłupałaś czaszkę!

– Z litości. I tak umarłby od twojej strzały.

Rikke złapała się na tym, że wygiąwszy rękę, próbuje dosięgnąć kciukiem tego miejsca na plecach, które przeszła strzała. Bez powodzenia. Chłopak też nie miał szans.

– Nie wydaje mi się, żeby na to zasłużył.

– Zasłużył, nie zasłużył... Dla strzały to bez różnicy. Kiedy przychodzi do strzelania z łuku, nie jest ważne, jak kto żył; liczy się to, kto strzela, rozumiesz? – Isern oparła się o Rikke. Śmierdziała potem, ziemią i przeżutą chaggą. – To byli wrogowie twojego ojca. Nasi wrogowie. Nie miałyśmy wielkiego wyboru.

– Ja to chyba w ogóle żadnego wyboru nie dokonałam. – Sięgając w głąb pamięci, Rikke skubała połamane paznokcie. – Cięciwa sama wyskoczyła mi z palców. Głupi błąd.

– Który można również nazwać szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Rikke otuliła się ciaśniej płaszczem i jeszcze bardziej pograżyła w ponurych rozmyślaniach.

– Nie będzie sprawiedliwości, prawda? Ani dla niego, ani dla mnie. Jest tylko świat, który odwraca wzrok i ma nas w dupie.

– Dlaczego miałoby być inaczej?

– Zabiłam tego chłopaka. – Jej stopa drgnęła, dreszcz rozszedł się w górę nogi, a po chwili ogarnął całe ciało. – Jakkolwiek obracam to w głowie... Źle mi z tym.

Z wdzięcznością przyjęła stanowcze dotknięcie dłoni Isern na ramieniu.

– Jeżeli kiedykolwiek zaczniesz się dobrze czuć z zabijaniem ludzi, będziesz miała prawdziwy problem. Sumienie czasem gryzie, ale powinnaś się cieszyć, że je masz.

– Cieszyć się?

– Sumienie to luksus, na który mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy jeszcze dychają i nie cierpią nieznośnego bólu, zimna ani głodu domagających się ich niepodzielnej uwagi. Dopóki to ono jest twoim największym zmartwieniem, dziewczyno... –

W gęstniejącej ciemności błysnęły zęby Isern. – To nie jest źle, uwierz mi.

Poklepała Rikke po udzie i zarechotała jak prawdziwa wiedźma. I może jej śmiech naprawdę miał w sobie coś z magii, bo Rikke uśmiechnęła się po raz pierwszy od dnia albo dwóch i od razu poprawił jej się humor. Ojciec zawsze powtarzał, że uśmiech jest najlepszą tarczą.

– Dlaczego po prostu mnie nie zostawiłaś? – zapytała.

– Dałam słowo twojemu ojcu.

– To wiem, ale wszyscy mówią, że drugiej tak zdradzieckiej suki jak ty nie ma na całej Północy.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć najlepiej, ile warte jest ludzkie gadanie. Prawda jest taka, że dotrzymuję słowa danego tylko tym, których lubię. A ponieważ poza wzgórzami mieszka tylko siedem takich osób, to mogę się wydawać niegodna zaufania. – Isern z całej siły zacisnęła wytatuowaną pięść. – Ale dla tych siedmiorga jestem jak skała.

Rikke przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Mnie też lubisz?

– Ha... – Isern rozluźniła siną dłoń i strząsnęła palce, aż trzasnęły kostki. – Jeszcze nie zdecydowałam. Ale lubię twojego ojca i dałam mu słowo, że postaram się wyleczyć cię ze spazmów i pomogę ci otworzyć długie oko, a potem oddam mu cię żywą i zdrową. Taki drobiażdżek jak najazd wroga mógł go wprowadzić wykurzyć z Uffrithu, ale z mojej strony zobowiązanie pozostaje w mocy, bez względu na to, gdzie się schroni przed łajdakami Stoura Zmierzchuna. – Zerknęła na Rikke chytrze jak lis, który zobaczył kurnik pozostawiony bez opieki. – Chociaż przyznam, że mam też pewien egoistyczny powód, co ci dobrze wróży, bo tylko egoistycznym powodom warto ufać.

– Co to za powód?

Isern wybałuszyła oczy, aż niemal wyszły z orbit w jej brudnej twarzy.

– Wiem, że istnieje lepsza Północ, Północ wolna od Scale'a Żelaznorękiego i tego, który pociąga za jego sznurki, Czarnego

Caldera, a także tego, który z kolei pociąga za jego sznurki; Północ, na której każdy może żyć po swojemu. – Nachyliła się w ciemności ku Rikke. – I twoje długie oko nas do niej poprowadzi.

## Rachunki

Skry tryskały w noc. Żar napierał na uśmiechniętą twarz Savine. Za szeroko otwartymi wrotami harujące ciała i maszyna rysowały się diabelskimi konturami na tle poświaty stopionego metalu. Młoty huczały, łańcuchy szczękały, para syczała, robotnicy przeklinali: muzyka towarzysząca zarabianiu pieniędzy.

Savine się uśmiechała, bo huta przy ulicy Podgórznej była w jednej szóstej jej własnością. Jedna z sześciu wielkich hal należała do niej. Dwa z dwunastu wyniosłych kominów. Co szósta z pracujących w środku nowiutkich maszyn, co szósta bryła węgla w piętrzących się na podwórzu wielkich hałdach, co szósta z widocznych od strony ulicy dźwięczących tafli szkła – nie mówiąc o jednej szóstej stale rosnących zysków, powodzi srebra, przy której królewska mennica mogła się schować.

– Nie powinniśmy tracić czasu, pani – ponagliła ją Zuri z błyskiem w oku, rozglądając się po pogrążonej w mroku ulicy.

Miała rację, jak zwykle. Większość znanych Savine młodych dam zemdlałaby na samą myśl o tym, że miałyby bez zbrojnej eskorty odwiedzić tę dzielnicę. Kto jednak chciał rezydować na szczytach społecznej hierarchii, musiał być gotowy na to, by od czasu do czasu, gdy dostrzeże w błocie błysk okazji, zanurzyć się w rynsztoku.

– Chodźmy – zarządziła Savine.

Przy wtórze głośnego mlaskania butów zagłębiły się z Zuri w labirynt budynków, kierując się światłem niesionej przez przewodnika pochodni. Wąskie domy, w których całe rodziny tłoczyły się w osobnych pokojach, pochylały się ku sobie, połączone pajęczą siecią sznurów z trzepoczącym praniem. Błoto spod kół obładowanych wozów bryzgało niemal pod same

dachy. Wszędzie tam, gdzie całych kwartałów ciasnej zabudowy nie wyburzono pod nowe huty i fabryki, kręte uliczki cuchnęły dymem węglowym i drzewnym i zatkanymi rynsztokami lub brakiem rynsztoków w ogóle. Cała okolica była gęsta od ludzkich mas, wrzała przemysłem i – co najważniejsze – wprost kipiała kolejnymi okazjami do zarobienia pieniędzy.

Savine w żadnym wypadku nie była jedyną, która dostrzegała ten potencjał. Był dzień wypłaty i tłumy drobnych przekupniów kręciły się wokół kuźni i magazynów, licząc na odciążenie kies robotników, którzy schodzili ze zmiany żądni drobnych przyjemności i skromnych artykułów pierwszej potrzeby. Niektórzy handlarze sprzedawali samych siebie, jeśli tylko znalazł się chętny kupiec.

Inni sięgali po prostsze środki w celu opróżnienia sakiewek: małe, brudne rzezimieszki przeciskały się przez tłum, oprychy czały się w mrocznych zaułkach, a windykatorzy wystawali leniwie na skrzyżowaniach, gotowi odzyskiwać długi dla licznych w tym rejonie lichwiarzy.

A zatem ryzyko, może nawet niebezpieczeństwo, ale Savine zawsze uwielbiała towarzyszący hazardowi dreszczyk emocji – zwłaszcza gdy gra była ustawiona na jej korzyść. Dawno się już nauczyła, że co najmniej połowę wszystkiego, co ważne w życiu, stanowią pozory. Wyglądasz jak ofiara – wkrótce się nią staniesz; wyglądasz, jakbyś rządził – ludzie będą się prześcigać, żeby ci służyć.

Stąd jej zuchwałość, strój dobrany zgodnie z najnowszą modą i dumny, nieugięty wzrok. Trzymała się boleśnie prosto, choć trzeba przyznać, że po tym, jak Zuri zasznurowała jej gorset, nie miała wielkiego wyboru. Szła takim krokiem, jakby cała ulica należała do niej. Była zresztą właścicielką pięciu stojących nieco dalej podupadłych domów, aż po spróchniałe krokwie tych nabitych gurkhulskimi uchodźcami, którzy płacili czynsz dwa razy wyższy od stawek rynkowych.

Pewności siebie dodawała jej z jednej strony Zuri, z drugiej zaś pięknie wykonany krótki mieczyk. Wiele młodych dam otwarcie obnosiło się z klingami od czasu, gdy Finree dan Brock

wywołała sensację, pojawiwszy się na dworze z bronią. Savine też doszła do wniosku, że nic tak nie wzmacnia ducha jak kawałek naostrzonej stali na podorędziu.

Chłopiec-przewodnik zatrzymał się przy wyjątkowo żałośnie wyglądającym budynku i podniósłszy pochodnię, oświetlił obłazący z farby szyld nad nadprożem.

– To naprawdę tutaj? – zapytał.

Savine uniosła rąbek spódnicy, przykucnęła obok niego i spojrzała z bliska na umorusaną twarz. Zastanawiała się, czy dzieciak celowo nakłada sobie brud na policzki, by wzbudzać odpowiedni poziom współczucia, i czy robi to z taką samą przebiegłością i wprawą, jak jej służąca, kiedy ją pudruje. Czyste dzieci nie potrzebują przecież wsparcia.

– Tak, to tutaj – przytaknęła. – Serdecznie dziękujemy za doprowadzenie nas na miejsce.

Zuri wsunęła jej monetę w obleczoną w rękawiczkę dłoń. Savine podała ją chłopcu.

Nie miała nic przeciwko sentymentalnej hojności na pokaz. Przykręcała śrubę wspólnikom na osobności, by oni później robili to samo publicznie – a ona mogła się słodko uśmiechać, rzucać urwisom miedziaki i uchodzić za prawą i cnotliwą bez uszczerbku dla swojego wizerunku. A przecież w przypadku cnotliwości pozory są wszystkim.

Chłopiec wpatrywał się w srebrną monetę jak w legendarnego zwierza, o którym wprawdzie słyszał, ale którego nigdy nie spodziewał się zobaczyć na własne oczy.

– To dla mnie?

Wiedziała, że w należącej do niej manufakturze guzików i sprzączek w Holsthormie mniejsze i zapewne brudniejsze dzieci dostają ułamek takiej sumy za cały dzień ciężkiej harówki. Zarządca fabryki uparcie twierdził, że drobne palce lepiej się nadają do drobnych zadań, za które zresztą też płaciło się drobne. Tyle że Holsthorm był daleko, a z daleka wszystko wydaje się mniejsze. Nawet cierpienie dzieci.

– Dla ciebie – potwierdziła.

Oczywiście nie zamierzała się posunąć do tego, by drugą ręką

przyjaźnie zmierzwić mu włosy. Kto mógł wiedzieć, co w nich mieszka?

– Miły chłopiec – powiedziała Zuri, odprowadzając go wzrokiem, gdy popędził w ciemność z monetą w jednej ręce i skwierczącą pochodnią w drugiej.

– Jak oni wszyscy, gdy tylko masz coś, czego chcą.

– Mój nauczyciel religii powiedział kiedyś, że błogosławieni są ci, którzy oświetlają innym drogę.

– Ten, który zrobił dziecko jednej ze swoich uczennic?

– Ten sam. – Zuri uniosła w zadumie brwi. – To by było tyle, jeśli chodzi o duchowe przewodnictwo.

W osmolonej sali barowej zapadła cisza, gdy Savine zamaszystym krokiem weszła do środka, jakby wprost z ulicy do lokalu wparowało jakieś zwierzę z egzotycznej dżungli.

Zuri strzepnęła ściereczkę i przetała pusty kawałek baru, po czym, gdy Savine przy nim usiadła, wysunęła szpilkę z jej włosów i zdjęła jej kapelusz, nie burząc przy tym koafiury. Sam kapelusz przycisnęła do piersi – nadzwyczaj rozsądnie, zważywszy na fakt, prawdopodobnie był wart więcej niż cały ten budynek, włącznie z klientelą. Zwłaszcza że przy pobieżnych oględzinach klientela raczej umniejszała wartość gmachu.

– Proszę, proszę... – Mężczyzna za barem ruszył w ich stronę, wycierając dłonie w poplamiony fartuch. Otaksował Savine wzrokiem od stóp do głów. – Kusi mnie, żeby powiedzieć, że nie jest to miejsce dla takiej damy jak pani.

– Nie znamy się, nie masz pojęcia, jaka ze mnie dama. Być może, przez samo zagadnięcie mnie, ryzykujesz życie.

– Tak sobie myślę... Zaryzykuję, jeśli i ty podejmiesz wyzwanie, pani. – Sądząc po jego krzywym uśmiešku, zdołał sobie wmówić, że jest atrakcyjny dla płci pięknej. – Jak się nazywasz, pani?

Oparła się jednym łokciem o wytarty przez Zuri skrawek blatu, nachyliła się do karczmarza i odparła, przeciągając sylaby:

– Savine.

– Piękne imię.



– Ha! Skoro tak ci się spodobał początek, będziesz zachwycony, gdy poznasz całość.

– Tak? – zamruczał. – A jak brzmi dalszy ciąg?

– Savine... dan... – Pochyliła się jeszcze bardziej, zanim dopowiedziała puentę: – ...Glokta.

Nawet gdyby to nazwisko było nożem, którym właśnie poderżnęła gardło szynkarza, krew nie odpłynęłaby mu z twarzy tak szybko jak w tej chwili. Zakaszał, jakby się krztusił, cofnął się, potknął o jedną ze swoich beczek za barem i omal nie wyrznął jak długi.

– Lady Savine. – To Majir schodziła po schodach z kantorku na piętrze. Stopnie trzeszczały pod jej pokaźnym ciężarem. – Cóż za zaszczyt.

– Czyż nie? Właśnie zawarłam znajomość z twoim człowiekiem.

Majir zerknęła na bladego jak płótno szynkarza.

– Ma przeprosić? – zapytała.

– Za co? Że nie był tak odważny, jak utrzymywał? Gdybyśmy za coś takiego karali mężczyzn śmiercią, to słowo daję, że w całej Unii nie zostałyby ich nawet tuzin. Prawda, Zuri?

Zuri – cały czas z kapeluszem Savine w rękach – zrobiła smutną minę.

– Niestety – przyznała. – Bohaterowie są dziś wielką rzadkością.

Majir odkaszlęła.

– Gdybym wiedziała, że osobiście się tu pofatygujesz...

– Gdybym siedziała cały czas w zamknięciu z matką, pozabijałybyśmy się nawzajem. Poza tym uważam, że o ile tylko jest to możliwe, interesy należy załatwiać osobiście. W przeciwnym wypadku podwładni mogą dojść do wniosku, że pracodawca nie zwraca uwagi na szczegóły. A ja, Majir... Ja zawsze zwracam uwagę na szczegóły.

W podłym towarzystwie Savine potrafiła być równie podła. Tu miała do czynienia z oprychami, więc należało ich postraszyć. Ten język rozumieli najlepiej.

Majir z wyraźnym wysiłkiem przełknęła ślinę, aż drgnęła jej

gruba szyja.

– Któż śmiałby w to wątpić? – powiedziała, kładąc na kontuarze płaską skórzaną sakiewkę.

– Jest tam wszystko?

– To promesa domu bankowego Valint i Balk.

– Naprawdę?

Valint i Balk cieszyli się wyjątkowo ponurą reputacją, nawet jak na bank. Ojciec wielokrotnie ostrzegał Savine, żeby się z nimi nie zadawała, bo kiedy raz zostanie się ich dłużnikiem, dług nie ma końca. Ale promesa to po prostu pieniądze, a pieniądze nie mogły być złe.

Rzuciła sakiewkę Zuri, która zajrzała do środka i ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

– Dziwne czasy nastały – powiedziała Savine – skoro nawet bandyci korzystają z usług banków.

Majir uniosła brew.

– Uczciwe kobiety chroni prawo – odparła. – Bandyci muszą bardziej dbać o swoje zarobki.

– Kochana z ciebie dziewczyna. – Savine sięgnęła ponad kontuarem i z czułością uszczypnęła ją w tłusty policzek. – Dziękuję ci, Zuri. Też jesteś kochana.

Zuri właśnie wkładała szpilkę od kapelusza na swoje miejsce.

– Pozwolicie – odezwała się Majir – że poślę z wami paru chłopaków. Odprowadzą was do granic dzielnicy. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś wam się stało.

– Dajże spokój... Gdyby coś mi się stało, niewybaczenie samej sobie byłoby najmniejszym z twoich problemów.

– To prawda. – Majir oparła zaciśnięte pięści na barze. – Pozdrów ode mnie ojca, proszę.

Odwracając się do wyjścia, Savine parsknęła śmiechem.

– Mojemu ojcu twoje pozdrowienia latają koło dupy. Nie zniżajmy się do udawania, że jest inaczej.

Wychodząc, przesłała całusa przerażonemu szynkarzowi.

Dietam van Kort, słynny architekt, sprawiał pozory człowieka, który wszystko ma pod kontrolą. Jego biurko, zavalone mapami, planami i rysunkami kreślarskimi, z pewnością było cudem inżynierii. Savine, która obracała się wśród najbardziej wpływowych obywateli królestwa, wciąż przypuszczała, że nigdzie nie widziała większego biurka – do tego stopnia wypełniało pracownię, że przy ścianach pozostały tylko wąziuteńkie przejścia umożliwiające Kortowi dotarcie do krzesła. Codziennie rano ktoś musiał mu pomagać się tamtędy precyzyjnie przecisnąć. Savine zastanawiała się, czy nie polecić mu swojej gorseciarki.

– Pani Savine... – zagaił melodyjnym tonem. – To dla mnie zaszczyt.

– Doprawdy?

Zmusiła go do wyciągnięcia się niebezpiecznie daleko ponad blatem, podając mu dłoń do ucałowania. Korzystając z okazji, przyjrzała się jego dłoni: duża, szeroka, z bliznami świadczącymi o ciężkiej pracy. Człowiek, który do wszystkiego doszedł sam. Siwiejące włosy z mozołem kładł na zaczeskę w poprzek ewidentnie łysej czaszki. Człowiek dumny i próżny. Rękawy pięknego niegdyś surduta strzępiły się na końcach. Człowiek w tarapatkach finansowych, któremu zależy na stworzeniu pozorów, że jest inaczej.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – zapytał.

Usadowiła się naprzeciw niego. Zuri pośpiesznie zdjęła jej kapelusz. Szanująca się dama nie powinna sprawiać wrażenia, że podejmuje jakiegokolwiek starania. Stosowne rzeczy same dzieją się wokół niej.

– Propozycji inwestycyjnej, o której wspomniał pan podczas naszego ostatniego spotkania – odparła.

Kort wyraźnie się ożywił.

– Przyszła pani o niej porozmawiać?

– Przyszłam z niej skorzystać.

Zuri położyła na biurku otrzymaną od Majir sakiewkę tak delikatnie, jakby to letni zefirek ją tam zaniósł. Na olbrzymiej polaci zielonej skóry sakiewka wydawała się bardzo mała, ale

na tym właśnie polegała magia banków: to, co było małe, potrafiły uczynić bezcennym, a to, co wielkie – bezwartościowym.

Na czoło Korta wystąpiła cieniuteńka warstewka potu.

– To jest cała suma?

– Promesa wystawiona przez Valinta i Balka. Mam nadzieję, że wystarczy.

– Ależ naturalnie! – Z nieskrywaną chciwością i zapalem wyciągnął rękę nad biurkiem. – O ile pamiętam, umówiliśmy się na dwudziestą część udziałów...

Savine czubkiem palca przycisnęła różek sakiewki do blatu.

– To pan zaproponował jedną dwudziestą. Ja milczałam.

Jego ręka zawisa nieruchomo w powietrzu.

– A zatem...

– Jedna piąta.

W czasie krótkiej pauzy, która nastąpiła, Kort zastanawiał się nad tym, jak wielkie oburzenie może okazać, Savine zaś nad tym, jak wielką obojętnością powinna odpowiedzieć.

– Jedna piąta? – Jego z natury rumiana twarz poczerwieniała niczym rozpalona lawa. – Moi pierwsi inwestorzy wyłożyli dwakroć więcej pieniędzy, a otrzymali zaledwie połowę tego, czego pani żąda! Sam mam zaledwie jedną piątą, a praktycznie własnymi rękami wykopałem to draństwo! Jedna piąta! Postradała pani rozum?!

Zatrzaśnięte przed twarzą drzwi były dla Savine najlepszą przynętą.

– To, co dla kogoś jest szaleństwem, ktoś inny nazwie po prostu innym punktem widzenia – odparła z uśmiechem na ustach. – Pański kanał został bardzo zmyślnie wytyczony, a most to istne arcydzieło sztuki inżynierskiej. Szczerze ich panu gratuluję, za parę lat wszystko będzie się budowało z żelaza. Tymczasem jednak projekt pozostaje niedokończony, a pan potrzebuje pieniędzy.

– Mam zapewnione finansowanie na następne dwa miesiące!

– Na dwa tygodnie, najwyżej.

– To znaczy, że mam dwa tygodnie na znalezienie

rozumniejszego inwestora!

– Ma pan dwie godziny. – Savine uniosła brwi bardzo, bardzo wysoko. – Dziś wieczorem spotykam się z Tilde dan Rucksted.

– Z kim?

– Z Tilde, młodą małżonką lorda marszałka Rucksteda. To cudowna, przemiła dziewczyna, ale jaka plotkara... Ho, ho! – Savine podniosła wzrok w poszukiwaniu potwierdzenia swoich słów.

– Przykro mi wyrażać się niepochlebnie o stworzeniu Bożym – odezwała się Zuri, trzepocząc rzęsami – ale rzeczywiście, straszna z niej papla.

– Kiedy w największym zaufaniu zdradzę jej – podjęła Savine – że brakuje panu funduszy i niezbędnych pozwoleń, a na dodatek zмага się pan z kaprysami niezadowolonych pracowników, jeszcze przed wschodem słońca nowina rozejdzie się po mieście.

– To równie pewne, jak gdyby rozprowadzić ją w drukowanych ulotkach – dodała Zuri.

– A wtedy życzę powodzenia w szukaniu inwestorów, mniej czy bardziej rozumnych.

W jednej chwili twarz Korta z intensywnie czerwonej stała się trupio biała. Savine wybuchnęła śmiechem.

– Żartowałam, nie zrobię tego. – Spoważniała. – Nie zrobię tego, ponieważ przepisze pan na mnie piątą część swojego przedsiębiorstwa. Tu i teraz. Wtedy będę mogła zwierzyć się Tilde, że trafiła mi się życiowa okazja i dokonałam znakomitej inwestycji, a wówczas ona nie oprze się pokusie i także wyłoży pieniądze. Bo trzeba panu wiedzieć, że wprawdzie jest gadułą, ale i skąpiradłem.

– Chciwość napawa kapłanów odrazą. – Zuri westchnęła. – Zwłaszcza tych bogatych.

– A mimo to ogromnie się rozpanoszyła – podjęła smutnym tonem Savine. – Jeżeli lady Rucksted dostrzeże potencjalne korzyści dla siebie w tym przedsięwzięciu, śmiem twierdzić, że zdoła przekonać męża, by zlecił dokonanie wyłomu w murze Casamira, co pozwoli na przedłużenie kanału do Trzech Farm. –

Savine mogłaby wówczas odsprzedać sama sobie (z ogromnym zyskiem) wykupione zawczasu bezwartościowe slumsy na przewidywanej trasie kanału. – Marszałek powszechnie słynie ze swojego uporu, ale wobec żony jest uległy jak kociak. Wie pan, jak to jest, kiedy starszy mężczyzna ma młodą małżonkę...

Kort znalazł się w potrzasku, pochwycony między gniewem i ambicją. Jego nowa pozycja bardzo odpowiadała Savine – jakkolwiek by na to patrzeć, większość zwierząt najlepiej prezentowała się w klatce.

– Mógłbym przedłużyć kanał... do Trzech Farm?

– Byłby pan pierwszy – powiedziała Savine. Przy okazji kanał posłużyłby trzem należącym do niej tkalniom oraz hucie przy Podgórnej i znacząco podniósłby ich wydajność. – Dodam jeszcze, że przez wzgląd na łączącą nas przyjaźń mogłabym chyba zaaranżować przybycie inkwizytorów Jego Królewskiej Mości na spotkanie pańskich pracowników. Przypuszczam, że dokuczliwi robotnicy staliby się znacznie bardziej ulegli, gdyby kilku z nich zostało przykładowo surowo ukaranych.

– Przykładowe i surowe kary – wtrąciła Zuri – zawsze cieszą serca kapłanów.

Kort omal się nie zaślinił. Savine zaczynała podejrzewać, że powinna przestać go kusić, nim będzie musiał zmienić spodnie.

– Jedna dziesiąta – zaproponował cokolwiek ochrypłym głosem.

– Też coś. – Savine wstała. Zuri podpłynęła do niej z kapeluszem w dłoni, z prestidigitatorską zręcznością obracając szpilkę w długich palcach. – Jest pan architektem godnym zrównania z samym Kanediasem, ale całkowicie się pan pogubił w labiryncie adueńskiej socjety. Potrzebny panu przewodnik, a ja najlepiej nadaję się do tej roli. Dlatego niech pan będzie taki miły i zgodzi się na jedną piątą udziałów, nim zabiorę panu jedną czwartą. Dobrze pan wie, że nawet gdybym zażądała jednej trzeciej, nadal ubiłby pan znakomity interes.

Wpatrzony w nią z wyrzutem Kort się przygarbił, podbródek utonął mu w okalających szyję zwałach tłuszczu. Było widać, że nie lubi przegrywać – ale cóż to by była za przyjemność pokonać

człowieka, który to lubi?

– Niech będzie – powiedział. – Jedna piąta.

– Notariusz z kancelarii Temple i Kahdia przygotowuje już stosowne dokumenty. Skontaktuje się z panem.

Savine odwróciła się do drzwi.

– Ostrzegali mnie – mruknął Kort, wyjmując promesę z sakiewki – że interesują panią wyłącznie pieniądze.

– Nadęci durnie. Dawno mam za sobą etap, na którym interesowały mnie pieniądze. – Savine dotknęła róna kapelusza w pożegnalnym geście. – Ale nie da się inaczej prowadzić rachunków.

## Publiczne wieszanko

– Nie cierpię tych przeklętych egzekucji – powiedział Orso.

Jedna z kurewek zachichotała, jakby opowiedział znakomity żart. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś śmiał się tak fałszywie, a na fałszywych uśmiechach znał się jak mało kto. W jego obecności wszyscy udawali, najgorszym zaś aktorem był on sam.

– Mógłbyś ją chyba powstrzymać – zauważyła Hildi. – Gdybyś chciał.

Spojrzał na nią z marsową miną. Siedziała na koronie muru z nogą założoną na nogę i brodą podpartą na dłoni.

– No... czy ja wiem...

Aż dziwne, że nigdy wcześniej nie wpadł na taki pomysł. Wyobraził sobie, jak wskakuje na szafot, żąda ulaskawienia nieszczęśników i – wśród płaczących podziękowań i entuzjastycznych oklasków – odsyła ich spod szubienicy, by dalej wiedli swój żaloszny żywot. Westchnął.

– Nie godzi się ingerować w działanie wymiaru sprawiedliwości – powiedział.

Kłamstwo, jak wszystkie słowa padające z jego ust, zmierzające do tego, by wydał się odrobinę mniej obmierzły. Zastanawiał się, kogo właściwie próbuje oszukać. Hildi z całą pewnością przejrzała go na wylot. Prawda była taka, że jeśli chodziło o powstrzymanie egzekucji (podobnie jak o mnóstwo innych spraw), to miał je serdecznie w dupie. Wziął jeszcze jedną szczyptę perłowego proszku i głośno wciągnął go przez nos, aż poszło echo.

Prowadzący egzekucję inkwizytor wyszedł na przód szafotu. Tłum ucichł i wstrzymał oddech.

– Ci trzej ludzie – inkwizytor zamaszystym gestem wskazał skutych skazańców, podtrzymywanych pod pachy przez



zakapturzonych katów – członkowie wyjętej spod prawa grupy znanej pod nazwą Destruktorów, zostali skazani na śmierć za zdradę stanu!

– Zdrada stanu! – wykrzyknął ktoś piskliwie i się rozkaszał.

W bezwietrzny dzień powietrze tężało od fabrycznych wyziewów. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, zwłaszcza że nowe kominy wyrastały w mieście jak grzyby po deszczu. Zawiesina była tak gęsta, że ludzie w najdalszych rzędach mieli pewnie kłopot z dostrzeżeniem szafotu.

– Zostaliście uznani za winnych podpaleń, niszczenia maszyn, podżegania do zamieszek i udzielania schronienia zbiegom ukrywającym się przed królewską sprawiedliwością! Czy chcecie coś powiedzieć?

Pierwszy z więźniów, krępy brodacz, wyraźnie miał coś do powiedzenia.

– Jesteśmy wiernymi sługami Jego Królewskiej Mości! – zagrzemiał głosem herosa, rozedrganym z emocji męskim basem.

– Domagamy się tylko uczciwej zapłaty za rzetelną pracę!

– Wolałbym nieuczciwą zapłatę za nicnierobienie – mruknął Tunny.

Żółtko parsknął śmiechem, pociągnął z flaszki i zionął alkoholową mgiełką na perukę stojącej przed nim eleganckiej starszej kobiety. Mężczyzna z imponującymi siwymi bokobrodami, będący prawdopodobnie mężem owej damy, uznał najwyraźniej, że gapie za ich plecami nie zachowują stosownej do widowiska powagi.

– Wasze zachowanie jest hańbiące! – zachnął się, odwracając się do nich ze złością.

– Poważnie? – Tunny wypchnął językiem zarośnięty policzek.

– Słyszałeś, Orso? Twoje zachowanie jest hańbiące.

– Orso? – powtórzył mężczyzna. – Chyba nie Orso...

– Owszem. – Tunny posłał mu poźółkły uśmiech.

Orso się skrzywił. Nie lubił, kiedy Tunny wykorzystywał jego osobę do zastraszania ludzi. Nie lubił tego prawie tak bardzo jak publicznych egzekucji – a mimo to jakoś nigdy nie zdobył się na to, by jednemu lub drugiemu położyć kres.

Zapalenię z bokobrodami zbladł jak świeżo wyprane prześcieradło; Orso dawno już czegoś takiego nie widział.

– Wasza Wysokość, nie miałem pojęcia... Proszę przyjąć moje...

– Nie trzeba. – Orso machnął ręką w leniwym geście i sięgnął po kolejną porcję perłowego proszku. Zatrzepotał poplamiony winem koronkowy mankiet. – Słynę z tego, że regularnie się kompromituję.

Dla dodania mężczyźnie otuchy poklepał go po ramieniu, po czym zdał sobie sprawę, że rozsmarował mu proszek na ubraniu, i spróbował go zetrzeć. Bezskutecznie. Jeżeli w czymś był dobry, to właśnie w nieskuteczności.

– Proszę się nie przejmować moimi uczuciami – dodał. – Ja nie mam uczuć.

Tak przynajmniej lubił mawiać, podczas gdy prawda była taka, że chwilami odczuwał ich nadmiar: rozdarty i pociągany w dziesięciu kierunkach naraz nie ruszał się z miejsca.

Na wszelki wypadek wciągnął jeszcze szczyptę i mrużąc zażawione oczy, stwierdził, że w szkatułce widać dno.

– Hildi! – Machnął na nią szkatułką. – Pusta.

Hildi zeskoczyła z muru i wyprostowała się na całą wysokość – czyli sięgała mu mniej więcej do żeber.

– Znowu? Do kogo mam iść?

– Do Majir?

– Jesteś jej winien sto pięćdziesiąt jeden marek. Powiedziała, że więcej ci nie da na kredyt.

– W takim razie... Spizzeria?

– Jemu wisisz aż trzysta sześć marek. Ta sama historia.

– Jak to się mogło stać, do diabła?

Hildi spojrzała znacząco na Tunny'ego, Żółtko i towarzyszące im dziwki.

– Naprawdę chcesz, żebym odpowiedziała na to pytanie?

Orso przez chwilę łamał sobie głowę nad nazwiskiem kolejnego kandydata, ale ostatecznie się poddał. Jeżeli w czymś był dobry, to właśnie w poddawaniu się.

– Miejże litość, Hildi, wszyscy wiedzą, że wiarygodny ze mnie

dłużnik. W najbliższym czasie odziedziczyć naprawdę okazały spadek.

Miał na myśli całą Unię, wszystko, co się w niej znajduje, a także niemożliwy do udźwignięcia ciężar trosk, bezgranicznej odpowiedzialności i wielkich oczekiwań.

Skrzywił się i rzucił Hildi szkatułkę.

– Mnie też już jesteś winien dziewięć marek – mruknęła.

– Sio mi stąd! – Próbował odpędzić ją gestem, ale boleśnie zaplątał sobie mały palec w koronki i musiał go wyszarpnąć z potrzasku. – Po prostu to załatw.

Z przeciągłym, teatralnym westchnieniem Hildi naciągnęła starą żołnierską czapkę na blond loki i zagłębiła się w tłum.

– Śmieszna jest ta twoja dziewczynka na posyłki – zaszcebiotała kurewka uwieszona na ramieniu Orso.

– Jest moją osobistą służącą – odparował z gniewną miną – i prawdziwym skarbem.

Tymczasem na szafocie brodaty mężczyzna z coraz większym zapamiętaniem wykrzykiwał manifest Destruktorów. Wśród tłumu narastał pomruk, ale inkwizytor z niezadowoleniem musiał przyznać, że skazaniec trafił w czułą nutę. Wśród szyderczych pokrzykiwań zaczynały rozbrzmiewać głosy poparcia.

– Precz z maszynami! – zawołał brodac. Żyły nabrzmiały mu na masywnej szyi. – Dość przejmowania wspólnej ziemi!

Wydawał się użyteczny, a z pewnością bardziej użyteczny niż Orso.

– Szkoda – mruknął Orso. – Diabelna szkoda.

– Otwarta Rada nie powinna być tylko dla szlachetnie urodzonych! Każdy człowiek powinien mieć głos...

– Dość tego! – warknął inkwizytor i skinął na jednego z katów.

Więzień cały czas próbował mówić, gdy pętla zacisnęła mu się na szyi, ale jego słowa utonęły w narastającym gniewnym zgiełku.

To ci dopiero zagadka: ten człowiek, pozbawiony wszelkich przywilejów wynikłych z urodzenia, wierzył w coś tak mocno, że był gotowy za to umrzeć. A Orso, który od urodzenia miał

wszystko, z trudem zwlekał się z łóżka codziennie rano. Albo nawet po południu.

– Łóżko jest przynajmniej ciepłe – mruknął pod nosem.

– Bez wątpienia, Wasza Wysokość – zamruczała mu do ucha druga dziwka. Zważywszy na ilość perfum, jaką na siebie wylała, należało się dziwić, że przelatujące w jej pobliżu gołębie nie spadają zemdlone z nieba.

Inkwizytor kiwnął głową.

Zamiast opierać się na pomocy silnych mężczyzn lub koni, którzy podciągali by więźnia na stryczku, pewien zmyślny wynalazca opracował uruchamiany dźwignią mechanizm zapadni, w którą spadał skazaniec. Nastaly takie czasy, że na wszystko wymyślano nowe, lepsze, skuteczniejsze sposoby – dlaczego zabijanie ludzi miało by być wyjątkiem?

Kiedy sznur się naprężył, od strony tłumu gapiów dobiegły rozmaite dźwięki: wiwaty, pogardliwe gwizdy, udręczone jęki, ale nade wszystko słycać było westchnienia ulgi – ulgi, że to nie oni zadyndali na końcu sznura.

– Niech to szlag! – Orso wetknął palec za kołnierzyk, żeby go poluzować.

Całe to widowisko nie miało w sobie niczego satysfakcjonującego. Nawet jeśli ci ludzie naprawdę byli wrogami państwa, nie wyglądali zbyt groźnie.

Następna w kolejce po królewską sprawiedliwość była dziewczyna, która wyglądała na niecałe szesnaście lat. Szeroko otwartymi oczami wyczierającymi z podkrążonych oczodołów spoglądała na przemian to na zapadnię, to na zbliżającego się inkwizytora.

– Czy chcesz coś powiedzieć?

Sprawiała wrażenie, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi. Orso nagle zaczął żałować, że dym nie jest dość gęsty, by przesłonić jej twarz.

– Proszę... – odezwał się stojący obok niej mężczyzna. Łzy kreśliły smugi na jego brudnych policzkach. – Weźcie mnie zamiast niej, proszę...

– Zamknijcie mu usta – warknął inkwizytor, bynajmniej nie

zachwycony swoją rolą w tym ponurym przedstawieniu.

Parę ciśniętych bez przekonania warzyw pofrunęło w powietrzu, trudno jednak byłoby stwierdzić, czy są wymierzone w oskarżonych, czy raczej w wykonawców wyroku. Z przodu sukienki dziewczyny rozlewała się ciemna plama.

– Ohyda – mruknął Żółtko. – Zsikała się.

Orso spojrział na niego z ukosa.

– I to właśnie jest dla ciebie najbardziej odrażające?

– Ja nieraz widziałem, jak szczasz w gacie – zadrwił z Żółtka Tunny.

Kurewki ponownie parsknęły nieszczerym śmiechem. Jegomość z bokobrodami wzdrygnął się i zgrzytnął zębami.

Orso patrzył na szafot i również zgrzytał zębami. Hildi miała rację: mógł to powstrzymać. Jeśli nie on, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Już, już miał wystąpić naprzód. Już miał zagrzemieć „Przestańcie!”.

Jednakże okoliczności jak zwykle sprzysięgły się przeciwko niemu i znów nie było mu dane postąpić właściwie.

– Wasza Wysokość? – rozległ się cichy, wysoki głos przy jego uchu.

Odwrócił się i tuż obok siebie zobaczył szeroką, płaską i z pewnością niemile widzianą twarz Bremera dan Gorsta.

– Gorst, ty męczybuło. – Zniewaga nie wywołała najmniejszej reakcji. Nic nie wywoływało reakcji Gorsta. – Jak mnie znalazłeś?

– Prowadził go odór hańby – odpowiedział Tunny.

– W tej okolicy istotnie jest przemożny. – Orso odruchowo sięgnął po perłowy proszek, a gdy dotarło do niego, że oddał szkatułkę Hildi, wyrwał butelkę z ręki Żółtka i pociągnął z niej solidny łyk.

– Królowa posłała po Waszą Wysokość – zapiszczał Gorst.

Orso odął wargi i wydał przeciągły odgłos pierdnięcia.

– Nie ma nic lepszego do roboty?

Żółtko parsknęło śmiechem.

– Cóż bardziej leży matce na sercu niż dobro jej najstarszego

syna? – zapytał.

Wzrok Gorsta prześliznął się na jego twarz i tam już pozostał. Gorst nie zrobił nic więcej, po prostu spojrzął, ale to wystarczyło, żeby śmiech Żółtka rozpląnął się w nerwowym milczeniu. Gorst mógł mieć głos błazna, ale nikt nie chciał zadzierać z dowódcą straży Jego Wysokości.

– Myślisz, że mogę zabrać ze sobą moje kurewki? – spytał Orso. – Zapłaciłem za cały dzień. – Teraz to jemu przyszło zmierzyć się z rybem wzrokiem Gorsta. Westchnął. – Odprowadzisz panie do ich rezydencji, Tunny?

– Z przyjemnością zadyryguję symfonią razem z nimi, Wasza Wysokość.

I znów te nieszczerze śmieszki.

Orso bez wielkiego żalu odwrócił się plecami do widowiska. Nie przepadał za egzekucjami, ale dziewczyny chciały już sobie iść, a on nie lubił sprawiać ludziom zawodu. Efekt był taki, że sprawiał zawód wszystkim po kolei.

Za jego plecami znów rozległ się ten niezwykły dźwięk, ni to sapnięcie, ni to okrzyk triumfu. Otworzyła się kolejna zapadnia.

\* \* \*

Rzucił kapelusz na łysą głowę popiersia Bayaza i pogratulował sobie w duchu, gdy nakrycie głowy wylądowało na legendarnym czarowniku zawadiacko na bakier.

Stukanie jego obcasów niosło się echem po rozległym salonie, gdy przez morze błyszczących kafelków zmierzał do znajdującej się pośrodku umeblowanej wysepki. Siedziała tam Najwyższa Królowa Unii, przerażająco wyprostowana, ociekająca brylantami, wyrastająca z szeszlona niczym efektowna orchidea ze złoczonej donicy. Orso znał ją od dziecka, a mimo to jej majestat za każdym razem tak samo zbijał go z tropu.

– Matko – powiedział po styryjsku. Używanie języka kraju, którym naprawdę rządzą, drażniło ją, a on z doświadczenia wiedział, że drażnienie królowej Terez nigdy, przenigdy nie było

dobrym pomysłem. – Właśnie do ciebie szedłem, gdy Gorst mnie znalazł.

Zwróciła twarz w jego stronę.

– Musisz mnie mieć za wyjątkowo głupią.

– Ależ skąd. – Pochylił się i musnął wargami grubo upudrowany policzek. – Zwyczajnie, wcale nie wyjątkowo.

– Powiem ci, Orso, że masz fatalny akcent.

– Odkąd niemal cała Styria znalazła się we władaniu naszych wrogów, niewiele mam okazji, by go ćwiczyć.

Strząsnęła mu małeńki paproch z kłapy surduta.

– Jesteś czymś odurzony?

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym być. – Zamaszystym gestem sięgnął po karafkę i nalał sobie kieliszek. – Wciągnąłem stosowną ilość perłowego proszku, żeby zrównoważyć wpływ wypalonych rano plew. – Podrapał się po nosie, wciąż jeszcze przyjemnie odrętwiałym, i podniósł kieliszek jak do toastu. – Teraz buteleczka albo dwie na dobry humor i do obiadu powinno wystarczyć.

Królewska pierś, więziona gorsetem, który jako istny cud konstruktorski mógł iść w zawody z dowolnymi wytworami inżynierskimi nowej ery, nadeła się majestatycznie: królowa westchnęła.

– Ludzie spodziewają się po następcy tronu odrobiny gnuśności. W wieku siedemnastu lat było to ujmujące, ale w wieku dwudziestu dwóch zaczęło nudzić, a dziś, kiedy masz lat dwadzieścia siedem, wygląda rozpaczliwie.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo, matko. – Orso opadł na fotel, który był tak wściekle niewygodny, że następcą tronu poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w tyłek. – Od lat wstydzę się samego siebie.

– Mógłbyś spróbować zrobić coś, co stanowiłoby powód do dumy. Myślałeś o tym?

– Czy myślałem? Całymi dniami o tym myślę! – Zmarszczył w zadumie brwi i podniósł kieliszek pod światło wpadające przez olbrzymie okna. – Kłopot w tym, że przejście od myślenia do działania wymaga tak ogromnego wysiłku...

– Będę z tobą szczerą, Orso: ojcu przydałoby się twoje wsparcie. Jest słabym człowiekiem.

– O czym przypominasz mu przy każdej okazji.

– Nastąpiły trudne czasy, ostatnia wojna... nie zakończyła się najlepiej.

– Dla króla Jappo ze Styrii zakończyła się całkiem nieźle.

– Nie jesteś królem Jappo – zauważyła matka, wypowiadając każde słowo z osobną z lodowatą precyzją.

– Niestety, dla wszystkich zainteresowanych, nie jestem.

– Jesteś śmiertelnym nieprzyjacielem króla Jappo i prawowitym dziedzicem wszystkiego, co ukradł do spółki z Wężem Talinsu, niech będzie przeklęty po trzykroć! Wszędzie mamy wrogów, także wewnątrz naszych granic.

– Zdaję sobie z tego sprawę, dopiero co uczestniczyłem w egzekucji trojga z nich: dwóch wieśniaków i piętnastoletniej dziewczynki. Zsikała się. Nigdy nie czułem się równie dumny.

– Spodziewam się zatem, że tym bardziej będziesz skłonny mnie wysłuchać.

Królowa dwa razy ostro klasnęła w dłonie i do salonu dostojny krokiem wszedł lord szambelan Hoff. W opiętej na pękatym brzuchu kamizelce i obcisłych spodniach oblekających nogi jak patyki przywodził na myśl zadziornego kogucika, zwycięzcę wielu walk, zazdrośnie patrolującego swoje podwórko.

– Wasza Królewska Mość. – Ukłonił się królowej tak nisko, że prawie wyfroterował nosem podłogę. – Wasza Wysokość. – Przed Orso skłonił się równie nisko, a jednak uczynił to w sposób zdradzający bezgraniczną pogardę. A może po prostu Orso dostrzegł w jego służalczym uśmiechu pogardę, jaką sam czuł wobec siebie. – Przeczesałem dosłownie cały Krąg Świata w poszukiwaniu odpowiednich kandydatek. Czy ktoś ośmielił się zgadywać, czy znajdzie się wśród nich przyszła Najwyższa Królowa Unii?

– O rety... – Orso odchylił głowę i zagapił się na pięknie pomalowany sufit, na którym przedstawiono rozmaite ludy świata klęczące przed złotym słońcem. – Kolejna rewia?



– Zapewnienie ciągłości dynastii to nie żart – zauważyła jego matka.

– Z pewnością nie jest zabawny.

– Nie sil się na dowcip, Orso. Obie twoje siostry spełniły swój dynastyczny obowiązek. Myślisz, że Cathil chciała się przeprowadzić do Stariklandu?

– Jest dla mnie prawdziwym wzorem.

– Albo że Carlot chciała wyjść za mąż za kanclerza Sipani?

Akurat Carlot była zachwycona tym pomysłem, ale matka Orso lubiła sobie wyobrazać, że wszyscy poświęcają wszystko na ołtarzu obowiązku, tak jak sama – wedle jej własnych słów – była zmuszona uczynić.

– Oczywiście, że nie, matko.

Przez ten czas dwaj lokaje usiłowali wnieść do komnaty olbrzymie malowidło, walcząc z ramą, która groziła zaklinowaniem się w drzwiach. Z płótna patrzyła dziewczyna o jasnej cerze, nedorzecznie długiej szyi i uroczym uśmiechu.

– Panna Sithrin dan Harnveld – obwieścił lord szambelan.

Orso zapadł się głębiej w fotelu.

– Nie jestem pewien, czy chcę mieć żonę, u której odległość od podbródka do cycków mierzy się w milach – powiedział.

– To swoboda twórcza, Wasza Wysokość – wyjaśnił Hoff.

– Nazwij coś sztuką, a wszystko ujdzie ci płazem.

– Na żywo prezentuje się całkiem nieźle – ujęła się za kandydatką królowa. – A korzenie jej rodu sięgają w przeszłość do czasów Haroda Wielkiego.

– To się nazywa czysta krew – wtrącił lord szambelan.

– Zgadza się, jest głupia jak koń czystej krwi – odparł Orso. – Nie może być tak, że zarówno król, jak i królowa są idiotami.

– Następna – burknęła królowa.

Niewiele brakowało, żeby druga para lokajów, wchodząca do sali, zderzyła się z pierwszą, wychodzącą. Nowo przybyli wieźli na ręcznym wózku portret chytrze uśmiechającej się Styryjki.

– Hrabina Istarine z Affoi to doświadczona polityczka, dzięki której pozyskamy cennych sprzymierzeńców w Styrii.

– Sądząc po wyglądzie, prędzej pozyskam zgniliznę fiuta.

– Myślałam, że na skutek nieustannych kontaktów z chorymi jesteś odporny. – Królowa uroczym, wdzięcznym skinieniem dłoni odprawiła lokajów z portretem.

– Szkoda, że nie widuję cię już tańczącej, matko.

Tańczyła przepięknie. A czasem nawet wyglądała tak, jakby taniec sprawiał jej przyjemność.

– Twój ojciec to wyjątkowy niezgrabiasz.

Orso uśmiechnął się smutno.

– Stara się, jak może.

– Oto Messela Sivrine Sistus – ogłosił lord szambelan – młodsza córka cesarza Dantusa Goltusa...

– Jego zdaniem następcą tronu nie zasłużył na starszą? – zachnęła się królowa, zanim Orso sam zdążył zaprotestować.

– Najwidoczniej nie – odparł Hoff.

I tak to szło. Przemianę poranka w popołudnie Orso odmierzał systematycznie malejącą ilością wina w karafce i jeden po drugim odrzucał kolejne kwiaty kobiecości:

– Nie zniósłbym żony wyższej ode mnie.

– Ona pije więcej niż ja!

– Przynajmniej wiadomo, że jest płodna: urodziła już co najmniej dwóch bękartów.

– To na jej twarzy to nos czy kutas?

Niemal żałował, że nie uczestniczy jednak w publicznym wieszaniu. Tamto widowisko mógł – przynajmniej teoretycznie – wstrzymać, ale nad matką nie miał absolutnie żadnej władzy. Mógł ją tylko przeczekać. Jak by na to patrzeć, Krąg Świata zamieszkiwała skończona liczba kobiet.

Wreszcie wyniesiono ostatni portret i lord szambelan został sam. Stał przed królową i jej synem i wyłamywał nerwowo palce.

– Wasza Królewska Mość, Wasza Wysokość, jest mi ogromnie przykro...

– To koniec? – ożywił się Orso. – Na korytarzu nie czai się przypadkiem portret Savine dan Glokty?

Nawet z tej odległości poczuł mrozący chłód królewskiej dezaprobaty.

– Miejże litość! Jej matka jest nisko urodzoną prostytutką, do tego pijaczką.

– Za to na przyjęciach jest duszą towarzystwa. Zresztą cokolwiek by mówić o lady Ardee, arcylektor Glokta budzi powszechny szacunek. Czy raczej powszechną zgrozę.

– Kaleka ludzka glista! – prychnęła królowa. – Oprawca!

– Ale to nasz oprawca, prawda, matko? Nasz. Poza tym słyszałem, że jego córka ogromnie się wzbogaciła.

– Na handlu, interesach i inwestycjach. – Królowa wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby mówiła o przestępstwach kryminalnych.

O ile Orso wiedział, Savine rzeczywiście mogła się podejmować działań o charakterze przestępczym. Na pewno była do tego zdolna.

– Nie przesadzaj, matko, pieniądze z handlu, a więc zarobione w sposób niegodny, zapelniają tę samą dziurę w skarbcu, co te szlachetnie wyciśnięte z nędzy chłopstwa.

– Ale ona jest za stara! Ty już jesteś za stary, a ona jest przecież starsza od ciebie.

– Ma za to nienaganne maniery i w dalszym ciągu jest powszechnie uważana za wielką piękność. – Orso skinął ręką w stronę drzwi. – Wypadłaby na portrecie lepiej od tych wszystkich prosiąt, a malarz nie musiałby nawet oszukiwać. Poza tym „królowa Savine” dobrze brzmi. – Parsknął śmiechem.

Jej matka była istnym soplem lodowej furii.

– Robisz to tylko po to, żeby mnie złościć?

– Nie tylko.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się zadawał z tą ambitną żmiją.

– Masz na myśli Savine dan Gloktę? – Orso wyprostował się w fotelu, robiąc zamyśloną minę. – Jej matka jest plebejuską, jej ojciec oprawcą, a ona dorobiła się fortuny na handlu. – Wytrząsnął ostatnie krople z karafki do kieliszka. – A poza tym, matko, jest stanowczo za stara.

– O kurwa... – stęknął. – O...o... o kurwa, tak!

Wygiął plecy w łuk, wczepiwszy się desperacko palcami w skraj biurka, nogą strącił na podłogę kubek z piórami i uderzył potylicą o ścianę, aż tynk osypał mu się na ramiona. Rozpaczliwie próbował się wyrwać, ale trzymała go za jaja.

Dosłownie.

Wykrzywił twarz w grymasie, niemal połknął język, zakaszłał, przez zaciśnięte zęby wyrzeźbił jeszcze jedną rozpaczliwą „kurwę”, po czym osunął się bezwładnie, jęknął, wierzgnął i osunął się jeszcze niżej. Nogi mu się trzęsły od bolesnych spazmów wtórnych.

– O kurwa... – wysapał.

Savine rozejrzała się, odymając policzki, wzięła na wpół pełny kieliszek Orso i splunęła do niego. Nie uszło jego uwagi, że nawet w tych okolicznościach trzyma kieliszek elegancko, za nóżkę. Oblizwała przednie zęby, jeszcze raz splunęła, po czym odstawiła kieliszek na biurko obok swojego.

Orso spojrział na swoje nasienie pływające w winie.

– To... trochę obrzydliwe – powiedział.

– Serio? – Savine przepłukała usta zawartością drugiego kieliszka. – Ty musisz tylko na to patrzeć.

– Cóż za niefrasobliwy brak szacunku... Pewnego dnia, pani, będę twoim królem!

– A wtedy twoja królowa z pewnością będzie wypluwała twoją spermę do złotego puzdereczka, z którego podczas świąt publicznych będzie się ją wydzielalo wszystkim chętnym. Dla dobra poddanych, naturalnie. Już dziś gratuluję wam obojgu, Wasza Wysokość.

Zachichotał głupkowato.

– Dlaczego ktoś tak absolutnie doskonały jak ty traci swój czas i siły na takiego błazna jak ja?

W zadumie odęła wargi, jakby na serio rozważała tę tajemnicę... i przez tę jedną niezwykłą, głupią chwilę Orso prawie jej się oświadczył. Miał odpowiednie słowa na końcu języka. Żadna inna kandydatka nie dorastała jej do pięt. Miała wszystkie cechy, których pragnął w kobiecie. Bystra.

Zdyscyplinowana. Zdeterminowana. Poza tym warto byłoby to zrobić choćby po to, żeby zobaczyć minę matki.

Prawie się jej oświadczył.

Jednakże okoliczności jak zwykle sprzysięgły się przeciwko niemu i nie było mu dane postąpić właściwie.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie – odparła.

Podkasała spódnicę i wskoczyła na biurko obok niego.

Prześliznął się spoconym tyłkiem po obitym skórą blacie i stanął na wciąż drżących nogach. Spodnie opadły mu do kostek. Otworzył szkatułkę, wysypał na wierzch dłoni odrobinę perłowego proszku, wciągnął połowę i podsunął resztę Savine.

– Żeby nikt nie mówił, że jestem egoistą – powiedział.

Savine zatkała jedną dziurkę od nosa i drugą wciągnęła proszek. Przez chwilę wpatrywała się w sufit, trzepocząc powiekami, jakby zaraz miała kichnąć, a potem opadła na biurko, podparła się na łokciach i podsunęła mu biodra.

– W takim razie bierz się do roboty.

– Nie jesteśmy dziś w romantycznym nastroju, co?

Wsunęła mu palce we włosy i dość bolesnym dla niego gestem wepchnęła sobie jego głowę między uda.

– Mój czas jest cenny – powiedziała.

– Co za tupet...

Orso z westchnieniem zarzucił sobie jedną jej nogę na ramię i przesunął palcami po odsłoniętej skórze. Savine zaparło dech w piersi. Zadygotała. Pocałował delikatnie jej łydkę, kolano, udo.

– Czy żądania podwładnych nie mają końca? – zapytał.

## Destruktorzy

– A co to w ogóle za imię, Vick?

– Zdrobnienie od Victarine.

– Wytworne w chuj – zadrwiła Grise. Vick знаła ją od niedawna, ale Grise już zaczynała działać jej na nerwy. – Pewnie masz jeszcze jakieś zasrane „dan” w nazwisku, co? Jak wielka dama?

Próbowała żartować, ale potrzeba było naprawdę dobrego żartu, żeby Vick się roześmiała. A ten do takowych nie należał.

Spojrzała Grise w oczy.

– Kiedyś miałam. Mój ojciec był królewskim mincerzem i miał ogromny apartament w Agrioncie. – Skinieniem głowy Vick wskazała domniemany kierunek, w którym miał znajdować się Agriont, chociaż w zalatującej stęchlizną piwnicy trudno było określić strony świata. – Wystarczająco duży, żeby w przedpokoju zmieścił się posąg Haroda Wielkiego. Naturalnej wielkości, kurwa!

Na okrągłej twarzy Grise malował się teraz marsowy grymas. Było ją widać w przebłyskach światła padających z małych okienek pod sufitem, gdy po drugiej stronie przesuwwały się nogi ludzi, końskie kopyta i koła wozów.

– Dorastałaś w Agrioncie?

– Nie słuchałaś. Mój ojciec miał tam apartament, ale kiedy miałam osiem lat, nadepnął na odcisk niewłaściwemu człowiekowi i zabrała go inkwizycja. Podobno sam Kulas go przesłuchiwał.

Nastrój wyraźnie się zmienił. Grise skuliła się lekko, a Łój, mrużąc oczy, spojrzał w mrok, jakby wśród zakurzonych regałów mógł się ukrywać arcylektor z tuzinem praktyków.

– Ojciec był niewinny. W każdym razie niewinny tego, o co go

oskarżyli. Ale kiedy Kulas się za niego wziął... – Vick z impetem grzmotnęła otwartą dłonią w stół. Łój podskoczył prawie pod samo sklepienie. – Siknął zeznaniami jak pęknięta rura wodą. Zdrada stanu. Wysłali go do Anglandu, do obozów na najdalszej północy. A że nikt nie lubi rozdzielać szczęśliwych rodzin, moją mamę wysłali razem z nim. Mamę, brata, siostry i mnie też. Do obozów, Grise. Tam właśnie dorastałam, więc nigdy więcej nie podawaj w wątpliwość mojego zaangażowania w sprawę. Nigdy więcej.

Łój głośno przełknął ślinę, aż mlasnęło.

– Jak jest w obozach?

– Da się żyć.

Ach, ileż brudu, bólu, głodu, śmierci, niesprawiedliwości i zdrad ukryła w tym jednym zdaniu! Czarny ziąb kopalń, palący żar pieców, biała gorączka i czarna rozpacz, zwłoki w śniegu. Siłą woli udało jej się zachować obojętny wyraz twarzy. Przygniotła przeszłość, jak przygniata się pokrywkę pudełka pełnego robactwa.

– Da się żyć – powtórzyła silniejszym głosem. Kiedy kłamiesz, mów tak, jakbyś wierzył w swoje słowa.

Reguła ta jest dwakroć prawdziwsza, gdy próbujesz okłamać samą siebie.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Grise natychmiast odwróciła się w ich stronę, ale to tylko Sibalt wreszcie wrócił. Towarzyszył mu Moor, ogromny i po swojemu skwaszony. Sibalt oparł pięści na stole i głęboko nabrał powietrza w płuca. Na jego szlachetnej twarzy malował się smutek.

– Co się stało? – spytał cicho Łój.

– Powiesili Trzcinę – odparł Sibalt. – Powiesili Cudbera. Powiesili jego córkę.

Grise wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy.

– Miała piętnaście lat!

– Za co? – zapytał Łój.

– Za gadanie, po prostu. – Sibalt uściśnął jego szczupłe ramię.

– Za tworzenie organizacji. Za to, że próbowali przekonać robotników, żeby się zjednoczyli i mówili jednym głosem.

Dzisiaj to jest zdrada stanu.

– W takim razie czas gadania się skończył, do kurwy nędzy! – wypaliła Grise.

Vick też rozpierała furia, ale w obozach nauczyła się, że każde uczucie to słabość. Trzeba odciąć się od tego, co cię zraniło, i myśleć o przyszłości.

– O kim wiedzieli? – zapytała.

– To cię najbardziej teraz martwi? – Grise pogroziła jej tłustą pięścią przed nosem. – Czy ty jesteś bezpieczna?!

Vick przeniosła wzrok z jej pięści na oczy.

– Jeżeli znali jakieś nazwiska, to je podali.

– Nie Cudber. On by tego nie zrobił.

– Nawet gdyby zaczęli mu przypalać córkę rozżarzoną żelazem?

Na to Grise nie znalazła odpowiedzi. Gniew na jej twarzy stopniowo ustąpił miejsca wstrząsowi.

– Jeśli znali jakieś nazwiska, to je podali – powtórzyła Vick. – Inne zresztą też, nawet nieznanne. Bo kiedy kończy ci się prawda, zaczynasz kłamać.

Moor pokręcił wielgachną głową.

– Nie Trzcina.

– Tak, Trzcina też. I Cudber, i jego córka, tak, tak... Ja, ty, każdy z nas by sypał. Inkwizycja upomni się o wszystkich, których znali, upomni się bardzo niedługo. O kim wiedzieli?

– Tylko o mnie. – Sibalt zmierzył Vick spokojnym, niewzruszonym spojrzeniem. – Zadbalem o to.

– W takim razie musisz wyjechać z Adui dla własnego dobra i dla dobra sprawy.

– Za kogo ty się, kurwa, uważasz, żeby nam rozkazywać?! – Grise w oskarżycielskim geście wycelowwała w nią palec wskazujący. – Jesteś tu nowa!

– Może dlatego trzeźwo myślę.

Vick opuściła dłoń na sprzączkę od pasa, pod którą ukrywała kastet. Grise, choć krzepka, nie stanowiłaby dla niej wielkiego zagrożenia, ludzie, którzy dużo pokrzykują, zwykle długo zbierają się do działania, ale gdyby zaczęła sprawiać problemy,



Vick była gotowa ją uciszyć. A kiedy Vick kogoś uciszała, to na długo.

Na szczęście dla Grise Sibalt położył jej dłoń na ramieniu i ją odciągnął.

– Vick ma rację – powiedział. – Wyjadę, gdy tylko zadamy nasz cios.

Moor rozłożył na stole arkusz przybrudzonego papieru: plan miasta. Sibalt postukał palcem w punkt na terenie Trzech Farm, niedaleko od miejsca, w którym zaczęła się budowa nowego kanału.

– Huta przy Podgórnej.

– Sama Podgórna właściwie już nie istnieje – poprawił go Moor z charakterystycznym dla siebie uporem. – Wyburzyli wszystko pod budowę huty.

– Do której właśnie wstawiają nowe maszyny – dodał Sibalt.

– Widziałem je po drodze. – Łój pokiwał głową. – Podobno dwie setki ludzi mają przez nie stracić pracę.

– Co zamierzacie zrobić? – Vick zmarszczyła brwi. – Popsuć je?

– Wysadzimy całe to draństwo w pizdu – odparła Grise. – Gurkhulskim ogniem.

Vick spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Ile go macie?

– Trzy beczki – odparł Sibalt. – Jak myślisz, wystarczy?

– Podłożone w odpowiednich miejscach... Być może. Umiecie tego używać?

– Nie bardzo – przyznał Sibalt, szczerząc zęby w uśmiechu – ale ty umiesz. Na pewno używaliście go w kopalniach w Anglandzie. Mam rację?

– Masz. – Vick zmrużyła oczy. – Skąd go wzięliście?

– A co cię to interesuje? – warknęła Grise.

– Interesuje mnie, bo towar musi pochodzić z dobrego źródła, jeśli chcemy, żeby zadziałał, jak należy, zamiast pierdyknąć przed czasem i rozrzucić kawałki naszych ciał po całych Trzech Farmach.

– Niepotrzebnie się martwisz – powiedziała zadowolona

z siebie Grise. – Bierzemy go z Valbecku, bezpośrednio od samego Tkacza...

– Cicho! – upomniał ją Sibalt. – Lepiej, żeby nikt nie wiedział więcej, niż to konieczne. A ty się nie martw, Vick, nasz proszek jest w porządku.

Grise uderzyła pięścią we wnętrze drugiej dłoni.

– Cios zadany w imieniu szarego człowieka, co, bracia?

– Zgadza się. – Moor pokiwał wolno głową. – Skrzeszemy iskrę.

– Która roznieci płomień – dodał Sibalt.

Vick wyprostowała się na krześle.

– Będą ranni – powiedziała. – I zabici.

– Tylko ci, którzy na to zasłużyli – odparowała Grise.

– Kiedy zabijanie już się zacznie, rzadko ogranicza się do tych, którzy zasłużyli.

– Boisz się?

– Kto się nie boi, jest albo głupi, albo obłąkany; dla jednych i drugich nie ma miejsca w takiej akcji. Musimy zaplanować wszystko do ostatniego szczegółu.

– Ja tam pracuję – przypomniał Moor. – Mogę wyrysować plany.

– Świetnie – powiedziała Vick. – Im więcej planów, tym mniejsze ryzyko.

– O niczym innym nie mówisz, kurwa, tylko ciągle ryzyko i ryzyko! – Grise skrzywiła się pogardliwie.

– Ktoś musi. To ma być przemyślana akcja, a nie coś, w co wpakujemy się, bo jesteśmy obrażeni na cały świat i nie mamy lepszych pomysłów. – Vick rozejrzała się dookoła. W migotliwym świetle piwnicy otaczające ją cztery twarze wydały jej się dziwnie obce. – Na pewno wszyscy tego chcecie?

– Tak, do chuja pana – powiedziała Grise.

– Tak, tego właśnie chcę – potwierdził Sibalt.

– Tak jest – zadudnił basem Moor.

Vick spojrzała na Łoja. Miał najwyżej piętnaście lat i wyglądał, jakby w całym swoim życiu najwyżej ze trzy razy zjadł porządny posiłek. Trochę przypominał jej brata: kościste

nadgarstki sterczące z przykrótkich, wystrzępionych rękawów, dobra mina do złej gry i te wielkie, wilgotne oczy, z których strach i wątpliwości były jak snop światła z latarni morskiej.

– Nadchodzi Wielka Zmiana – przemówił w końcu. – Tego właśnie chcę.

Vick odpowiedziała posępnym uśmiechem.

– W obozach z pewnością nauczyłam się jednej rzeczy: samo gadanie nie wystarczy. – Złapała się na tym, że zaciska pięść. – Chcecie coś osiągnąć? Musicie o to walczyć.

\* \* \*

Jeszcze przez chwilę siedziała na nim okrakiem, przyciskając pierś do jego piersi i dysząc gwałtownie. Całowała jego wargę, kąsała ją, w końcu stęknęła, zsunęła się z niego, położyła na boku na wąskim łóżku i podciągnęła koc na odsłonięte ramię. Teraz, kiedy było już po wszystkim, czuło się chłód. Blask lampy padający na małe okienko wyławiał w kątach szyby pasemka szronu.

Leżeli w milczeniu, on wpatrzony w sufit, ona w niego. Na zewnątrz turkotały wozy, kupcy zachwalali swoje towary, sterczący na rogu pijaczyna wrzaskiem wyrażał swój ból i furję, nieskierowane do nikogo i niczego konkretnego – a zarazem przeciw wszystkim i wszystkiemu.

W końcu on odwrócił się do niej.

– Słuchaj, przepraszam, że zareagowałem, kiedy Grise...

– Umiem sama o siebie zadbać.

Sibalt prychnął.

– Jak nikt inny – przyznał. – Wcale nie uważam, że potrzebowałaś mojej pomocy. Przepraszam za to, że po prostu nie mogę ci jej udzielić. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że jesteśmy... – Przesunął dłoń po jej żebrach, natrafił kciukiem na starą bliznę po oparzeniu. Szukał właściwego słowa. – Razem.

– Tutaj jesteśmy razem. – Ruchem głowy wskazała koślawe drzwi w zwichrowanej framudze. – Ale tam...

Tam każdy był zdany tylko na siebie.

Z marsową miną spojrzał na dzielący ich skrawek grubo tkanego płótna, jakby to była przepaść nie do pokonania.

– Przykro mi, że nie mogę ci powiedzieć, skąd pochodzi gurkhulski ogień.

– Lepiej żeby nikt nie wiedział więcej, niż to konieczne.

– Uda się nam.

– Wierzę ci – powiedziała. – Ufam ci.

Vick nikomu nie ufała. Nauczyła się nieufności w obozach, razem ze sztuką kłamania. Umiała kłamać tak dobrze, że mogła wziąć maciupeńki skrawek prawdy i rozbić go tak, jak jubiler rozklepuje grudkę złota na cieniutki płatek, a potem pokryć nim wielki obszar kłamstw.

Sibalt wierzył w każde jej słowo.

– Żałuję, że nie poznałem cię wcześniej. Wszystko mogłoby wtedy wyglądać inaczej.

– Ale nie poznałeś i nie wygląda, więc skupmy się na tym, co naprawdę możemy mieć. Zgoda?

– Twarda z ciebie sztuka, Vick.

– Nikt z nas nie jest taki twardy, na jakiego wygląda. – Zarzuciła mu rękę na tył głowy, wsunęła palce w czarne, lekko upstrzone siwizną włosy i mocno przytrzymała. Spojrzała mu w oczy. – Jesteś pewien, Collem? – zapytała jeszcze raz. – Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

– To, czego chcemy, nie ma wielkiego znaczenia, prawda? Tu chodzi o sprawy ważniejsze niż nasza przyszłość. Możemy skrzesać iskrę, która roznieci płomień. Pewnego dnia nadejdzie Wielka Zmiana i ludzie tacy jak ty i ja, Vick, będą wreszcie mieli prawo głosu.

– Wielka Zmiana.

Starła się to powtórzyć takim tonem, jakby naprawdę w to wierzyła.

– Po wszystkim będę musiał uciekać z Adui.

Nie odpowiedziała. To najlepsza reakcja, kiedy nie ma się nic do powiedzenia.

– Powinnaś wyjechać ze mną.

Na to również nie powinna była reagować, ale nim zdążyła pomyśleć, rzuciła:

– Dokąd byśmy pojechali?

Rozpromienił się w uśmiechu. Na ten widok i ona się uśmiechnęła, pierwszy raz od dłuższego czasu. Odniosła wrażenie, że jej usta wcale nie chcą się składać do uśmiechu.

Rama łóżka jęknęła głośno, gdy Sibalt podniósł z podłogi leżącą tam książkę: Żywot Daba Słodkiego autorstwa Marin Glanhorn.

– Znowu to?

– Tak, właśnie to.

Książka sama się otworzyła na zajmującym dwie strony sztychu, tak jakby często go oglądano: samotny jeździec spoglądał w dal ponad bezkresem traw i pod bezkresem nieba. Sibalt odsunął książkę na odległość wyciągniętej ręki, żeby mogli podziwiać ilustrację jak rozciągający się przed nimi widok.

– Daleka Kraina, Vick – wyszeptał takim tonem, jakby wypowiadał magiczne zaklęcie.

– Wiem – mruknęła. – Jest podpisany.

– Wieczność traw. – Sibalt na wpół żartował, ale to znaczyło, że mówi także na wpół serio. – Miejsce, w którym możesz zejść tak daleko, jak zaprowadzą cię twoje sny. Miejsce, w którym możesz stworzyć się na nowo. Piękne, prawda?

– Chyba tak. – Złapała się na tym, że wyciąga rękę do obrazka, jakby spodziewała się dotknąć tam czegoś innego niż papier. Pośpiesznie ją cofnęła. – Ale to wymyślona ilustracja w książce pełnej kłamstw, Collem.

– Wiem. – Uśmiechnął się smutno, jakby takie rozmyślenia były przyjemną zabawą, ale jednak tylko zabawą. Zamknął książkę i odrzucił ją na podłogę. – Przychodzi taki czas, że człowiek musi zrezygnować z tego, czego chce, i jak najlepiej wykorzystać to, co ma.

Odwróciła się i przytuliła plecami do jego brzucha. Milczeli otuleni ciepłem koców, a świat na zewnątrz trwał w najlepsze. Przez zaparowane szyby było widać odbłask ognia z pieców po

drugiej stronie ulicy.

– Kiedy już skrzeczemy tę iskrę – mruknął Sibalt; jego głos wydał się Vick bardzo głośny, bo mówił jej prosto do ucha – wszystko się zmieni.

– Z pewnością.

Cisza.

– Zmieni się wszystko między nami.

– Z pewnością. – Splotła palce z jego palcami i przycisnęła sobie jego dłoń do piersi. – Bierzmy więc wszystko, co możemy. Obozy nauczyły mnie jednego: nie należy spoglądać zbyt daleko w przyszłość.

Może się zdarzyć, że nie dojrzysz tam niczego dobrego.

## Odpowiedź na twoje łzy

Czasem, kiedy człowiek budzi się z koszmaru, oblewa go cudowna fala ulgi, bo zdaje sobie sprawę, że widział tylko duchy i zjawy, a w rzeczywistości leży bezpieczny w ciepłym łóżku.

W przypadku Rikke sprawy wyglądały dokładnie na odwrót.

Śniło jej się coś przyjemnego, szczęśliwe miejsce, gdzie roześmiana od ucha do ucha zagrzebywała się w puchu. Nagle poczuła zimno, które przesączało się w głąb jej serca bez względu na to, jak ciasno próbowała się opatulić. Kiedy zaczęła się wiercić na bezlitosnej ziemi, przypomniały o sobie obolałe nogi. A potem przyszedł głód, wgryzł się jej w trzewia i wezbraną falą przelał wprost do szczęśliwego miejsca, w którym się znajdowała.

Obudziła się z jękiem.

Z najwyższą niechęcią otworzyła oczy, zobaczyła zimne, szare niebo ponad skrzypiącymi na wietrze gałęziami... Coś się na nich kołysało...

– W mordę! – wrzasnęła, gramoląc się na nogi z poł wilgotnego płaszcza.

Na drzewie, dokładnie nad miejscem, w którym zasnęła, wisiał człowiek. Gdyby stanęła pod nim wyprostowana, mogłaby dosięgnąć jego dyndających stóp. Kiedy się kładła, w ciemnościach nie widziała nawet własnych dłoni, a co dopiero wisielca nad głową, ale teraz nie sposób było go przeoczyć.

– Tam jest trup! – wychrypiała, wskazując go drżącym palcem.

Isern ledwie na niego zerknęła.

– W gruncie rzeczy wolę być zaskakiwana przez martwych niż przez żywych. Masz. – Wcisnęła coś w zmarzniętą dłoń Rikke: rozmokłą piętękę chleba i garść tych okropnych gorzkich

jagód, od których zęby robiły się fioletowe. – Śniadanie. Delektuj się nim, bo tylko tyle jedzenia w swojej łaskawości raczył nam dać księżyc. – Złożyła dłonie (białą i siną) i dmuchnęła w nie najdelikatniej, jak potrafiła, jakby nawet oddech był bezcennym dobrem, które należy oszczędzać. – Mój tatko mawiał, że w kołysaniu się wisielca na wietrze kryje się całe piękno tego świata.

Rikke odgryzła kawałek namokniętego chleba i zaczęła go żuć w obolałych ustach. Jej oczy same wracały do obracającego się na sznurze ciała.

– Jakoś go nie widzę – przyznała.

– Przyznam, że ja też nie.

– Powinniśmy go odciąć?

– I tak nam nie podziękuje.

– Co to za jeden?

– Prawdę mówiąc, niewiele można o nim powiedzieć. Może to jeden z ludzi twojego ojca, powieszony przez kogoś od Stoura Zmierzchuna. A może odwrotnie: służył pod Zmierzchunem, powiesili go ludzie twojego staruszka. Teraz to i tak bez różnicy, martwi już dla nikogo nie walczą.

Człowiek jej ojca? Czy zatem mogła go znać? Ilu ludzi, których знаła, zginęło w ostatnich dniach? Od wzbierających łez zapiekło ją w nosie. Mocno nim pociągnęła, żeby je powstrzymać.

– Jak długo jeszcze wytrzymamy? – Słyszała, że głos jej się łamie, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Jak długo ja wytrzymam? – spytała ją Isern. – Miałam sześć lat, kiedy tatko pierwszy raz posłał mnie na pole bitwy i kazał wycinać strzały ze zwłok. Dlatego wytrzymam, ile będzie trzeba. A ty? Kiedy za którymś razem się przewrócisz i nie wstaniesz, rozwiąże się zagadka twojej odporności, ale do tego czasu... – Spojrzała pomiędzy drzewami w dal. Poskrobała się paznokciem po fioletowych od jagód zębach. – Nie możemy siedzieć na tyłku. Nie możemy też pójść na wzgórze, do moich. Musimy znaleźć kogoś z Unii albo jakichś ludzi twojego ojca. Wiemy, że czmychają w stronę Białej Strugi prędko jak kozy przed wilkiem.



Musimy ich doścignąć, a ponieważ oddzielają nas od nich oddziały wroga, im dalej się zapuścimy, tym bardziej niebezpiecznie będzie się robiło. Jeszcze pięć dni forsownego marszu, może więcej.

Pięć dni forsownego marszu przez mokradła i kolczasty gąszcz, unikania zawziętych wrogów, jedzenia robaków, spania pod wisielcami... Rikke się zgarbiła.

Przypomniwał jej się dom ojca w Uffricie. Twarze wyrzeźbione na belkach stropowych. Tłuszcz skapujący z mięsiwa w palenisko. Zebrzące psy o smutnych ślepiach opierające pyski o jej kolano. Pieśni o wspaniałych czynach dokonanych w słonecznych dolinach przeszłości. I ojciec, ze łzami w oczach wspominający Trójdrzewca, Burzową Chmurę, nawet Czarnego Dowa, i wznoszący toast na wzmiankę o Krwawej Dziewiątce.

Pomyślała o Ludziach Nazwanych siedzących po obu stronach paleniska, o tym, jak uśmiechali się, gdy opowiedziała jakiś żart, coś zaśpiewała... Ta Rikke to całkiem zabawna jest. Nikt by nie chciał córki, co ma źle w głowie, ale ona jest naprawdę zabawna.

Pomyślała o tym, jak przyjemnie wstawiona wracała do swojego pokoju, ciepłego łóżka nakrytego utkanym przez matkę kocem, poustawianych na półce ozdóbek, ślicznych ubrań, suchych i schludnie złożonych w skrzyni.

Pomyślała o stromych uliczkach Uffrithu, bruku lśniącym po deszczu, statkach w szarym porcie, ludziach trajkoczących na targu i o oślizłych rybach wysypujących się z sieci, gdy przybywali rybacy z połowem.

Wiedziała, że nie była tam szczęśliwa, powtarzała to tak często, że sama miała dość swojego biadolenia, ale kiedy teraz skubała podarty i cuchnący futrzany płaszcz, nie mogła się nadziwić, że przykre słowa i nieprzyjazne spojrzenia aż tak ją raniły. To było głupie, dziecinne, słabe – ale może na tym właśnie polegało dorastanie: człowiek zaczynał rozumieć, jakim jest beznadziejnym dupkiem.

Na pamięć poległych, z wielką chęcią wróciłaby do tamtego ciepła i bezpieczeństwa, zamieniła los ściganej na los

wykpiwanej... Ale przecież widziała, jak Uffrith płonął. Może i dało się długim okiem zajrzeć w przeszłość, ale jedno było pewne: w żaden sposób nie można było do tej przeszłości wrócić. Świat, który znała, zniknął i już nie wróci, tak jak wisielec nie odzyska życia. A świat, który jej został, był wredny i przenikliwie zimny.

Nie mogła się powstrzymać, była głodna, przemarznięta, obolała, przerażona, a w przyszłości czekało ją jeszcze więcej głodu, zimna, bólu i strachu. Na nic lepszego nie mogła liczyć. Stała ze zwieszonymi odrętwiałymi rękami, ramiona jej drżały, a łzy spływały po twarzy, skapywały z nosa i zostawiały leciuteńki słony posmak na drżącej dolnej wardze.

Isern podeszła i delikatnie położyła dłoń na ramieniu Rikke. Potem ujęła ją pod brodę, uniosła jej głowę i zapytała łagodnym głosem, jakiego Rikke nigdy przedtem u niej nie słyszała:

– Wiesz, co mawiał mój tatko, kiedy płakałam?

– Nie – wyszlochała Rikke, cała usmarkana.

Isern znienacka wymierzyła jej siarczysty policzek. Rikke rozdziawiła usta, złapała się za twarz i zamrugła bezradnie.

– Co ty odpier...

– To właśnie mawiał mój tatko. – Isern potrząsnęła nią mocno. – Kiedy tak wygląda każda odpowiedź na twoje łzy, szybko się uczysz nie mazać i zajmować tym, co naprawdę ważne.

– Auć... – mruknęła Rikke. Cała twarz pulsowała jej bólem.

– Wiem, miałaś w życiu ciężko: choroba, napady, opinia wariatki, bla, bla, bla... Z drugiej strony urodziłaś się z kompletem rąk i nóg, masz piękne zęby, ładną buzię, w dodatku jesteś jedynym dzieckiem wielkiego wodza, a że nie miałaś matki, wszyscy starzy woje ojca hołubili cię jak własną córkę.

– To nieuczciwe, psiakrew...

Rikke zaparło dech w piersi, gdy Isern spoliczkowała ją po raz drugi, jeszcze mocniej niż poprzednio, tak że oprócz soli łez poczuła na wargach także sól krwi.

– Umiesz owijać sobie starych mężczyzn wokół palca, ale

jeżeli Czarny Calder dorwie cię w swoje ręce, to on okręci sobie ciebie, nie ty jego. Tak cię okręci, że rozpadniesz się na kawałki i nie będziesz mogła do nikogo mieć pretensji. Jesteś rozpieszczona, Rikke, miękka jak słonina. – Okrutny palec dźgnął Rikke w pierś. Zabolało. – Masz szczęście, że tu jestem. Oberżnę z ciebie cały ten tłuszcz i wyostrzę żelazo, które pod nim dostrzegam. – I znów dziab palcem w to samo miejsce, w ten sam stary siniak. – Masz szczęście, bo tu, gdzie jesteśmy, miękkość zabija, a żelazo może cię ocalić. – Dziab, dziab. – Dzisiaj może to być ledwie igła, ale z czasem przekujemy ją w sztylet...

– Ty pizdo! – wydarła się Rikke i grzmotnęła Isern pięścią prosto w usta.

Cios wyszedł jej całkiem przyzwoity, głowa Isern odskoczyła w tył, drobinki śliny bryznęły na wszystkie strony. Rikke zawsze uważała się za słabą, miała się raczej za płaczkę niż za wojowniczkę, ale teraz zawrzała w niej furia, jakiej nigdy przedtem nie zaznała. Piękne, silne uczucie. Pierwszy okrucieństwa od wielu dni.

Wzięła zamach do kolejnego ciosu, ale Isern złapała ją za przegub dłoni, drugą ręką chwyciła za włosy, odgięła jej głowę do tyłu i przyszpiliła ją do drzewa. Rikke aż jęknęła.

– O tym właśnie żelazie mówiłam! – Isern wyszczerzyła w uśmiechu zęby splamione już nie tylko sokiem z jagód, lecz także krwią. – Może to już jest sztylet? Pewnego dnia przekujemy go w miecz, na którego widok silni mężczyźni będą się kulić ze strachu, a księżyc będzie się uśmiechał. – Puściła włosy Rikke. – No dobrze. Rozgrzałaś się? Gotowa przetańczyć ze mną ku zachodowi? – Podniosła wzrok na wisielca. – A może wolisz zatańczyć tam, na górze, z naszym przyjacielem?

Roztrzęsiona Rikke wzięła długi, głęboki wdech, który po wydmuchnięciu z płuc skłębił się mgiełką w chłodnym powietrzu. Rozłożyła ręce, pokazując puste dłonie, z których w jednej – jakby mało jej było zmartwień – miała teraz obite knykcie.

– Jestem spakowana – powiedziała.

## Młodzi bohaterowie

– Tam są, łotry – szepnął Jurand, obserwując dolinę przez lunetę.

Leo wyjął mu ją z ręki i wycelował w górski grzbiet. W okrągłym okienku, rozchybotanym wskutek jego z trudem powstrzymywanej frustracji, zobaczył Północnych. Ich włócznie rysowały się jako czarne szpilki na tle szarego nieba. Były ich ze trzy dwudziestki. Przez cały ranek nie ruszyli się z miejsca; najwyraźniej rozkoszowali się haniebnym odwrotem wojsk Anglandu.

Leo wepchnął lunetę w dłoń Kipielnika Jina.

– Fakt – przytaknął Jin z silnym północnym akcentem. Odjął lunetę od oka i w zadumie podrapał się po brodzie. – Prawdziwe z nich łotry.

Glaward jęknął i zgarbił się w siodle.

– Kto by pomyślał, że wojna może być tak diabelnie nudna?

– Dziewięć dziesiątych wojny to czekanie – powiedział Jurand.

– Tak twierdzi Stolicus.

Tak jakby powołanie się na słynne źródło cokolwiek ułatwiało.

– Na wojnie masz do wyboru nudę i zgrozę – odezwał się Barniva. – Mam w tej materii pewne doświadczenie i zdecydowanie wolę nudę.

Leo zaczynał mieć dość doświadczenia Barnivy, jego wiecznego gadania o potwornościach, których nikt poza nim nie był w stanie zrozumieć, i jego marsowych min, gdy wpatrywał się w horyzont takim wzrokiem, jakby czały się za nim niedające mu spokoju wspomnienia – a wszystko przez to, że przez osiem miesięcy uczestniczył w kampanii styryjskiej, gdzie prawie nie wychodził z dobrze strzeżonej kwatery dowódczej

lorda marszałka Mittericka.

– Nie każdy może się pochwalić takim modnym znużeniem wojaczką, jak ty. – Leo po raz setny tego poranka poluzował miecz w pochwie i wepchnął go tam z powrotem. – Niektórzy z nas rwą się do działania.

– Ritter też się rwał. – Barniva potarł czubkiem palca swoją bliznę. – Nic więcej nie powiem.

Leo zmarszczył brwi. Żałował, że też nie ma jakiejś blizny.

– Skoro wojna jest taka okropna – zaczął – to dlaczego nie osiadasz gdzieś na roli?

– Próbowałem – odparł Barniva. – To nie dla mnie.

I znów zapatrzył się na horyzont takim wzrokiem, jakby czały się za nim niedające mu spokoju wspomnienia.

Jurand złowił spojrzenie Leo i przewrócił oczami. Leo z trudem powstrzymał się od śmiechu. Znali się jak łyse konie, słowa nie były im potrzebne.

– Nadal tam są? – Antaup zatrzymał konia przy nich i stanął w strzemionach.

Jin podał mu lunetę.

– Są, są – powiedział Leo.

– Łotry.

Antaup odrzucił z czoła opadające na nie uparcie pasemko czarnych włosów, ale ono natychmiast wróciło na swoje miejsce. Nigdy nie mógł się opędzić od dziewcząt – wygadany, bystry, elegancki i zadbany jak dobry koń wyścigowy. Prawdę mówiąc, wszyscy kompani Leo byli na swój sposób atrakcyjni. Jin zajadłością w walce nie ustępował Krwawej Dziewiątce, ale kiedy z jego rudej brody wyłaniał się ten zębaty uśmiech, a w niebieskich oczach pojawiał się błysk, miało się wrażenie, jakby zza chmur wyszło słońce. Barniva świetnie się odnajdował w roli pochmurnego weterana, zwłaszcza z tą blizną na czole i siwym pasmem włosów tuż ponad nią. Gławard też był niczego sobie: zawsze pogodny, wysoki i barczysty, prawdziwy kawał chłopca, do tego wiecznie zarosnięty, bo zarost pojawiał się na jego twarzy już godzinę po goleniu.

Próżno by szukać drugiej takiej drużyny przystojniaków.

Jakże pięknie prezentowałyby się na płótnie! Może należałoby zamówić taki obraz? Leo zerknął ukradkiem na boki. Który z nich znalazłby odpowiedniego malarza?

Damy z Ostenhormu najwyraźniej tego nie doceniały, ale to Jurand prezentował się najlepiej z nich wszystkich. Można by uznać, że ma nazbyt miękkie rysy, zwłaszcza w porównaniu z przedzielnym podbródkiem Gławarda czy wydatnymi kośćmi policzkowymi Antaupa, ale zdaniem Leo były one raczej... delikatne? Subtelne? Może nawet odrobinę bezbronne? Nikt jednak nie dorównywał Jurandowi w zapale do obrony przyjaciół. I jeszcze to wyraziste spojrzenie, ta pionowa zmarszczka na czole, gdy się nad czymś zastanawiał, drgnienie kącików ust, gdy nachylał się, by coś szepnąć. Zawsze, kiedy coś mówił, warto było go posłuchać, bo nikt inny nie miał...

Jurand spojrzał w bok i Leo pośpiesznie odwrócił głowę. Jeszcze raz spojrzał w stronę Północnych siedzących na grzbiecie ponad doliną.

– Łotry – powiedział lekko ochryłym głosem.

– A my możemy tylko tu siedzieć i nic – burknął Antaup. – Jak lwy w klatce.

– Raczej jak szczeniaki na uwieży. – Gławard wyrwał mu lunetę. – Gdzieś ty się w ogóle podziewał?

– Byłem... Sprawdzalem coś w taborach.

Jin prychnął.

– Z kobietą?

– Niekoniecznie. – Uśmiech Antaupa odsłaniał dwa razy więcej zębów od regulaminowego. – Niekoniecznie z jedną. Każdy w inny sposób radzi sobie z desperacją. Kto by pomyślał, że wojna może być tak diabelnie nudna.

– Na wojnie masz do wyboru... – zaczął Barniva.

– Dokończ to zdanie, to cię dźgnę – ostrzegł Leo.

– Wygląda na to, że wszystkim nam przydałoby się coś na wzmocnienie morale. – Gławard skinieniem głowy wskazał wlokącą się dnem doliny kolumnę znacznie mniej wytwornych mężczyzn. Otulali się podartymi płaszczami, obszarpanymi opończami, przetartymi kocami. Niesione na ramionach

włócznie sterczały pod wszelkimi możliwymi kątami, tylko nie pod kątem prostym.

W kontakcie z szeregowymi żołnierzami Leo mógł zwykle liczyć na jakieś wiwaty z ich strony, na zawołania „Młody Lew!”, po których mógł zacisnąć pięść, klepnąć kogoś w plecy, wykrzyknąć jakiś bzdet o królu. Teraz mijali go w milczeniu, wpatrzeni w błoto, a i on sam w obliczu braku wsparcia z Midderlandu niespecjalnie poczuwał się do więzów z królewskim rodem. Dni królów-wojowników w rodzaju Haroda Wielkiego czy Casamira Niezlomnego dawno minęły, a zasoby patriotycznej fanfaronady były na wyczerpaniu.

– Nie zamierzam spierać się z twoją matką o strategię – mruknął Antaup – ale nieustanne oddawanie pola źle wpływa na ducha walki.

– Smak zwycięstwa na pewno poprawiłby im humory – zawtórował mu Kipielnik.

– Nam też. – Gławard pchnął konia, zbliżył się do Leo i mówił dalej, zniżywszy głos: – Można by dać draniom nauczkę. – Zacisnął ogromną, żyłastą pięść i uderzył nią w powietrze. – Tak jak na tamtej farmie.

Leo przesunął palcami po głowicy miecza, znów nieco wysunął ostrze z pochwy. Pamiętał tamtą szarżę ze wszystkimi szczegółami. Powiew powietrza, tętent kopyt, szarpnięcie drzewca topora. Przerażone twarze wrogów. Upojną radość, gdy tamci złamali szyk i rzucili się do ucieczki.

Między brwiami Juranda zarysowała się znajoma zmarszczka.

– Nie wiemy, co jest po drugiej stronie tego grzbietu – zauważył.

Leo przypomniał sobie pogrzeb Rittersa. Słowa nad grobem. Zapłakaną wdowę z cofniętym podbródkiem siedzącą przy kominku. W jego rękach spoczywało życie ludzi, i to takich, którzy byli gotowi pójść za nim w ogień. Przyjaciół. Braci. Nie zniósłby straty kolejnego z nich.

– Jurand ma rację. – Wepchnął miecz do pochwy, wielkim wysiłkiem woli cofnął dłoń znad rękojeści. – Nie wiemy, co jest

po drugiej stronie tego grzbietu. Poza tym matka by mnie zabiła.

– Podjedź tam, na górę. Oszczędzisz mi zachodu.

Leo wzdrygnął się, gdy ogarnęła go znajoma mieszanka otuchy i niezadowolenia, jaką zawsze odczuwał na dźwięk głosu matki. Za każdym razem otuchy było coraz mniej, niezadowolenia zaś coraz więcej.

– Pani gubernator. – Jurand odsunął się na koniu w bok, żeby przepuścić ją do Leo. Towarzyszący jej orszak oficerów kręcił się bez celu po zboczach.

– W zeszłym tygodniu daliśmy radę ludziom Stoura Zmierzchuna – zachnął się Leo.

– Zmierzchun jest w tej chwili tam, na naszej prawej flance. – Lady Finree wskazała buławą na południe, a Leo znów się wzdrygnął. Było coś nienaturalnego w widoku kobiety wymachującej buławą, nawet jeśli faktycznie była dowódcą. – Ci tutaj to ludzie Czarnego Caldera. A Calder nie jest wojownikiem, inaczej niż jego syn. – Uniosła brew, patrząc na Leo. – Albo mój. Calder jest strategiem, jak ja. Widzisz ten las po prawej stronie? Trzyma tam jazdę, która tylko czeka na to, żebyśmy popełnili głupi błąd.

Jurand zabrał lunetę Gławardowi.

– Stal – mruknął. – Wśród drzew.

Leo powinien być zadowolony z tego, że prawidłowo ocenił sytuację. Zamiast tego odczuwał wściekłość, że przeoczył rzecz oczywistą.

– To co? – zapytał. – Będziemy tak tu siedzieć i patrzeć, jak się z nas śmieją?

– Nie chciałabym, żeby przegapili widowisko. – Jego matka ruchem głowy wskazała niechlujną kolumnę wojska. Wśród żołnierzy zapanował jeszcze większy bałagan, gdy natrafili na szeroko rozlewającą się kałużę na trakcie. – Wystawiłam tu naszych największych flejtuchów i kazałam im maszerować jak najbardziej nieporadnie.

– Co takiego?!

– Niech się śmieją, Leo. Od ich śmiechu nie przybędzie płaczących wdów. Nasze najlepsze pułki są dobrze ukryte



w sąsiedniej dolinie. Jeżeli tamci uderzą, będziemy gotowi. – Wychyliła się w siodle i odgarnęła mu włosy. – A to co?

– Nic. – Odepchnął jej dłoń od strupa. – Ćwiczyłem z Antaupem i Barnivą.

– W końcu udało mi się go trafić – oznajmił Antaup, szczerząc zęby w uśmiechu.

Jurand odchrząknął.

Matka Leo zmarszczyła brwi.

– Nie walczył chyba z wami oboma naraz, co?

Zniewalający kobiety urok Antaup'a najwyraźniej na nią nie działał.

– No... znaczy... to nie tak...

– Kiedy ty się wreszcie nauczysz, że nie zdołasz pokonać dwóch silnych przeciwników jednocześnie?

– Widziałem, jak Bremer dan Gorst to robi – odparł Leo.

– On nie jest żadnym wzorem – warknęła matka. – Pomyśl o swoim ojcu: był odważny, śmiały jak nikt inny, ale kiedy dziadek dopuścił się zdrady i ojciec przejął władzę w osłabionym Anglandzie, nauczył się cierpliwości. Wiedział, w czym jest naprawdę dobry. Był realistą.

– Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem?

Jurand znowu zakaszłał.

Tym razem matka Leo się roześmiała.

– Wiesz, że cię kocham, Leo, ale taka jest prawda: nie jesteś realistą. Właściwie nawet trudno ci się dziwić, że jesteś taki w gorącej wodzie kąpany. Zostałeś poczęty na polu bitwy.

Gławard i Barniva uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, a Leo poczuł, że się rumieni.

– Musiałaś, matko?

– Nie, nie musiałam. Każdemu kolejnemu pokoleniu wydaje się, że spółkowanie to jakiś wiekopomny wynalazek, na który nikt przed nimi nie wpadł; szczerze mówiąc, nie pojmuję, jak w tej sytuacji tłumaczą sobie swoje własne istnienie, ale mniejsza z tym. Najwyższy czas, żebyś znalazł sobie żonę. Kogoś, kto by pilnował, żebyś nie pakował się w kłopoty.

– Myślałem, że od tego mam ciebie – burknął Leo.

– Ja walczę na wojnie.  
– Rzecz w tym, że właśnie nie walczysz, psiakrew!  
– Nie czytałeś tego Verturia, którego ci dałam? Niewalczenie jest prawdziwym celem wojny.

Jak zwykle musiała mieć ostatnie słowo.

Zawróciła konia na zachód i odjechała w towarzystwie oficerów.

Jurand odchrząknął po raz trzeci. Leo odwrócił się do niego.

– Może byś zakaszlał raz, a dobrze, hmm? Co cię gryzie?

– Pani gubernator jak zwykle miała rację w kilku kwestiach.

A ty naprawdę powinienesz przeczytać Verturia...

– Będzie panią gubernator tylko do czasu, aż król zatwierdzi mnie jako następcę ojca.

Od pogrzebu minęły trzy lata – trzy lata, do diabła! – a Leo ciągle czekał. Spojrzał spode łba na tych przeklętych Północnych po drugiej stronie doliny.

– Wtedy będę mógł działać po swojemu – dodał.

– Ehm... – Znajoma zmarszczka przecięła czoło Juranda.

– Właściwie to po czyjej jesteś stronie?

– Po stronie Unii. Podobnie jak ty i twoja matka.

Leo uśmiechnął się mimo woli.

– Jesteś jak zwykle rozsądny do bólu.

Jurand odpowiedział uśmiechem.

– Ktoś musi.

– Może ci rozsądni żyją dłużej. – Leo ściągnął rękawice i rzucił je Jurandowi, który rozpaczliwie próbował je złapać. Leo zsiadł z konia. – Ale czy ktoś ich potem pamięta?

Idący na czele następnej kompanii dobosz przestał już bębnić i po prostu włókł się razem ze wszystkimi. Szczekał zębami, powłóczył nogami i objął sobie kolana o bęben. Ze zdumieniem podniósł wzrok, gdy Leo podszedł i pociągnął go za rękę, ale ostatecznie wyciągnął z zimna dłonie spod pach. Tyle że nie zdołał utrzymać w nich pałeczek, które upadły w błoto.

Leo schylił się i zgarnął je z ziemi, zanim dobosz zdążył się choćby schylić, po czym wziął je w zęby, zrzucił z ramion pelerynę i oddał ją chłopcu.

– Zastąpię cię.

– Mój panie...? – Nie wierząc własnemu szczęściu, dobosz wyplątał się z podtrzymującego bęben paska i grubo opatulił najlepszą midderlandzką wełną wartą kilkadziesiąt marek.

Barniva już wcześniej zeskoczył z konia i – wyjątkowo uśmiechnięty – wmieszał się w kolumnę marszową. Teraz Gławard i Jurand do niego dołączyli. Kipielnik Jin pokręcił z niedowierzaniem kudłatą głową, ale z charakterystycznym uśmiechem dołączył do pochodu.

– To może ja odprowadzę konie, co?! – zawołał Antaup, usiłując zebrać wszystkie wodze w dłoń.

– Ja mam klacz! – odkrzyknął Gławard. – A ty zawsze powtarzasz, że damy cię uwielbiają!

Odpowiedziały mu nieśmiałe śmiechy wśród żołnierzy; sądząc po ich minach, śmiali się pierwszy raz od bardzo dawna.

Leo ułożył sobie wygodnie pałeczki w palcach, tak jak to robił w dzieciństwie, gdy wygrywał marsze dla służby, którą przeganiał po rezydencji lorda gubernatora.

„Dowódca powinien dzielić z podwładnymi trudy wojaczki”, mawiał jego ojciec. Na niego wieczorem czekał suchy namiot, ogień w piecyku i smaczna kolacja; oni będą mogli mówić o szczęściu, jeśli trafi im się jakiś koc i miska zupy. Jeśli jednak zdoła ich natchnąć do zwawszego marszu, to już będzie coś – coś dla nich, ale i coś dla niego. A także coś dla tych łotrów na grzbiecie wzgórza.

Poza tym Leo był absolutnie beznadziejny, kiedy przychodziło do nicnierobienia.

– Spróbuję sobie przypomnieć, jak się gra! – zawołał przez ramię. – Pod warunkiem, że wy sobie przypomnicie, jak się maszeruje!

– W przeciwieństwie do Juranda nie jestem geniuszem! – odkrzyknął Gławard, który odwrócił się plecami do kierunku marszu i zaczął iść tyłem. – Ale podobno wystarczy stawiać jedną nogę przed drugą!

– Postaramy się, mój panie! – obiecał krępy sierżant.

Jego ludzie już lekko przyspieszyli.

Leo zaczął wybijać z uśmiechem rytm.  
– O nic więcej nie proszę.

## Właściwy moment

– Śpisz?

– Nie – odparł Koniczyna. Prawie nie kłamał, bo dopiero co się obudził. – Tylko na chwilę zamknąłem oczy.

– Dlaczego?

Uchylił powieki i spojrzał na chłopaka. Oślepiiony przeświecającym przez gałęzie słońcem nie umiał powiedzieć, który to. Zwłaszcza że i tak zapomniał ich imion.

– Żeby nie patrzeć, jak straszliwie kaleczycie szlachetną sztukę fechtunku.

– Ale my się staramy – burknął drugi z chłopców, którymkolwiek był.

– To na pewno pocieszy wasze matki, kiedy zostaniecie zabici za nieskorzystanie z mojej mądrości.

Zawiesił rękę nad koszem z jabłkami i wybrał jedno, które mu się spodobało. Ładne, rumiane. Odgryzł kawałek i zassał sok.

– Kwaskowe – orzekł – ale ujdzie. Jak życie, prawda, chłopaki? Jak życie.

Patrzyli na niego tępo. Westchnął ciężko.

– No, do roboty.

Bez entuzjazmu wyszli na słońce i stanęli naprzeciw siebie.

– Jaaa! – Ciemnowłosa zaatakował, wymachując kijem.

– Ugh! – Blondyn sparował uderzenie i cofnął się o krok.

Trzask, trzask, kije zderzały się raz po raz. Ku-ku, ku-ku, odezwała się kukułka wśród drzew za plecami Koniczyny. Było słyhać głosy spierających się o coś mężczyzn, ale dobiegały z tak daleka, że tworzyły zaledwie przyjemny szmer. Podłożył sobie rękę pod głowę i mocniej przycisnął się plecami do pnia drzewa.

Czasami życie wcale nie było takie najgorsze.

Stęknął z niezadowoleniem. Drgnął. Skrzywił się. Problem polegał na tym, że jego dwaj uczniowie byli chyba najgorszymi szermierzami, jakich w życiu widział. Blondyn szczyrzył zęby i machał kijem jak cepem, raz, drugi, trzeci, a ciemnowłosy krzywił się, sapał, stękał i bardziej uciekał, niż się bronił. Obaj byli zadyszani.

– Stop! – Usiadł i odrzucił niedojedzone jabłko. – Na pamięć poległych, przestańcie!

Chłopcy znieruchomieli, opuścili kije.

– Nie, chłopaki. Nie! – Koniczyna pokręcił głową. – Bardzo, bardzo nie. Rzucacie się na siebie jak pies na sukę. Bez pojęcia. Na pałę. Na rympał. A to jest chwila wymagająca szczególnego namysłu, skupienia wszelkich sił, bo w następnym momencie możecie stracić wszystko, co moglibyście kiedykolwiek mieć. Tu chodzi o wasze życie!

– To tylko kije – zauważył blondyn.

Koniczyna rozmasował sobie skronie.

– Ale udajemy, że to miecze, półgłówku. Nie jestem chyba nauczycielem obijania się kijami, co?

Ciemnowłosy chciał coś powiedzieć, ale Koniczyna uciszył go gestem.

– Nie musisz odpowiadać. Po prostu nie śpieszcie się tak. Obiad wam nie wystygnie, prawda?

– Powiedziałaś, że mamy uderzać szybko.

– Bo o to właśnie chodzi. Kiedy już uderzasz, wal jak piorun. Ale zanim uderzysz, pomyśl, dobrze?

– Może byś nam sam pokazał?

– W takim słońcu? – Koniczyna zaśmiał się pod nosem. – Nie po to zostałem nauczycielem, psiamać, żeby teraz wstawać i samemu machać kijem.

– Ale... – Blondyn osłonił oczy dłonią.

Na miejscu bruneta Koniczyna zaatakowałby właśnie w tej chwili, kiedy blondyn nie patrzył, ale brunet akurat dłuwał w nosie. Co za tępaki, ani krzty inicjatywy.

– Może pokazałbyś nam trochę tej, no... jak to się mówi... techniki? – zapytał blondyn.

– Techniki się zachciewa! – Koniczyna się roześmiał. – Do techniki dojdziemy w swoim czasie. Na razie uczycie się trzymać miecz za właściwy koniec.

– To kij. – Chłopak zmarszczył brwi. – Oba końce ma takie same.

Koniczyna udał, że go nie słyszy.

– Przede wszystkim próbuję wam wpoić odpowiednie nastawienie – mówił dalej. – Właściwy, zwycięski sposób patrzenia na świat.

Ciemnowłosy był tak zagubiony, że wyglądał, jakby fizycznie cierpiał.

– Ale chodzi o to, żebym mu przywalił mieczem, tak?

Koniczyna powoli nabrał powietrza w płuca i równie powoli je wypuścił.

– Nade wszystko chodzi o to, żeby wiedzieć, kiedy przywalić, a kiedy nie. Bo prawda jest taka, że jedyne, co człowiek może zrobić, to wybrać właściwy moment. Wyczekać, aż przeciwnik się odsłoni, rozpoznać nadarżającą się okazję i ją wykorzystać. – Chwycił garść powietrza i zacisnął pięść. – Wybrać właściwy moment. Oto tajemnica sukcesu. Rozumiecie?

Ciemnowłosy patrzył na niego z powątpiewaniem w oczach.

– Mój tatko zawsze mawiał, że najważniejszy jest dobry chwyt.

– No cóż, miał rację. Gdyby nie dobry chwyt, miecz wypadłby ci z ręki.

Obaj chłopcy znów spojrzeli na niego tępym wzrokiem. Koniczyna ponownie westchnął.

– Jeszcze raz, chłopcy. Od początku. Starajcie się wybrać właściwy moment.

Trzask, trzask, kije poszły w ruch. Stuk-puk, zastukał dzieciół w drzewo.

Trzasnęła łamana gałąź.

Koniczyna wyjął nóż z pochwy przy pasku i ukrył go w dłoni.

Kolejny krok. Koniczyna wyciągnął rękę i nie oglądając się za siebie, przechylił kosz z jabłkami w stronę nowo przybyłego.

– Jabłuszko?

Czarny Calder stał nad nim, tarł niewielką bliznę na brodzie i patrzył, jak chłopcy wymachują kijami, kompletnie niezainteresowani wybieraniem właściwego momentu.

– Nie – mruknął.

– Ciężki dzień, wodzu?

– Kiedy zajmujesz taką pozycję jak ja, nie ma lekkich dni.

Koniczyna znów skupił się na pokazie tego, jak nie należy używać mieczy; zdążył już schować nóż i spleść dłonie na brzuchu.

– Pewnie dlatego wolę swoją – powiedział.

– Ha! – Calder skrzywił się (z lekką goryczą zdaniem Koniczyny). – Nie wstawaj – dodał głosem ociekającym sarkazmem.

– Nie zamierzałem.

Calder skrzywił się jeszcze bardziej. W ostatnich dniach często chodził skwaszony, co było o tyle dziwne, że przecież całkiem sporo dostał od życia – czy raczej całkiem sporo zdołał życiu wyszarpać. Kiedyś mógł się nawet pochwalić poczuciem humoru, ale im więcej człowiek ma, tym bardziej gorzknieje, a Czarny Calder miał dziś prawie całą Północ. Wprawdzie to jego brat, Scale, nosił królewski łańcuch, ale wszyscy wiedzieli, że to on, Calder, podejmuje królewskie decyzje.

– To znaczy wstań.

– Aha.

Koniczyna się nie śpieszył. W całym swoim życiu kierował się żelazną zasadą: wszystkiemu, co robił, poświęcać tak dużo czasu, jak tylko ujdzie mu płazem. W końcu jednak wstał, rozruszał obolałe nogi, strząsnął ziemię i suche sosnowe igły z tyłka, na koniec otrzepał ręce.

– Proszę bardzo – powiedział. – Wstałem.

– Bijcie w dzwony! Oto Jonas Koniczyna – obwieścił Calder.

Koniczyna rozejrzał się i ze sporym zaskoczeniem stwierdził, że ktoś zaszedł go przez ten czas od tyłu i stoi tam oparty o drzewo: czarnowłosy chłopak miał jakieś dwanaście, może trzynaście lat, rozciętą górną wargę i czujne spojrzenie. Zmierzył Koniczynę wzrokiem od stóp do głów. Nie odezwał się



słowem.

– Dawniej wołali go Stromiarz – ciągnął Calder. Koniczyna zrobił nieszczęśliwą minę i podrapał się po potylicy. – Może słyszałeś.

– Nie – powiedział chłopak. Przeniósł wzrok na dwójkę walczących na kije chłopców i zmrużył oczy. – A tamci to kto?

Młodociani wojownicy przeszli tymczasem do zapasów i miotali się to w jedną stronę, to w drugą. Kije sterczały w powietrzu.

– To... – Koniczynie przeszło przez myśl, żeby wyprzeć się znajomości z nimi, ale doszedł do wniosku, że to by mu raczej nie uszło na sucho. – Moi uczniowie.

Chłopak jeszcze przez chwilę taksował ich wzrokiem, zanim orzekł z powagą:

– Kiepscy są.

– Masz dobre oko, faktycznie są do bani. Ale po tym właśnie można poznać dobrego nauczyciela. Byle kto może uzyskać dobre wyniki, kiedy ma utalentowanych uczniów.

Czarnowłosa dzieciak przetrawił jego słowa.

– To gdzie te wyniki?

– Musisz mi uwierzyć na słowo, że przyjdą w swoim czasie. Cierpliwość to najstraszliwsza broń wojownika. Uwierz mi, wiem, co mówię. Stoczyłem parę pojedynków.

– A wygrałeś jakiś?

Koniczyna prychnął.

– Kurde, Calder, podoba mi się ten chłopak. Przyszedłeś tu tylko po to, żeby wdeptać moją zasłużoną reputację w błoto?

– Nie tylko. Potrzebuję twojej pomocy.

– Chcesz się nauczyć fechtunku?

– Wolę, kiedy inni wyręczają mnie w machaniu mieczem.

– W takim razie...

– Hmm... – mruknął gardłowo Calder. – Chodzi o mojego syna.

– Wielkiego Wilka? Naszego przyszłego króla? Niezrówanego wojownika, Stoura Zmierzchuna? Kto jak kto, ale on chyba umie się obchodzić z mieczem?

– Umie, aż za dobrze. Jest niestety odrobinę... samowolny.

Spalił Uffrith, bałwan jeden! Ja tu przez lata planuję, jak zdobyć to przeklęte miasto, a gdy wreszcie dostaję je w swoje ręce, on je podpala!

– Na wojnie czasem się zdarza, że ludzi ponoszą emocje.

– Mój ojciec mawiał, że kiedy wskażesz trzem Północnym wspólny kierunek, pozabijają się, zanim zdążysz wydać im rozkaz do ataku. Gregun Pustogłowy i jego ludzie z Zachodnich Dolin równie chętnie przyłączą się do Wilczarza, jak wystąpią przeciwko niemu. Jak mam ich zmusić do posłuszeństwa, jeśli nie radzę sobie z własną rodziną? Gdyby Stour nie był moim synem, musiałbym stwierdzić, że jest zwykłym kutafonem.

– Ale ponieważ jest twoim synem...

Calder nie słuchał.

– Interesuje go tylko sława, nic poza tym. Własna legenda. A ile jest warte imię? Ci wojownicy! – Wypowiedział to słowo z taką odrazą, jakby miało gorzki smak. – Słowo daję, im częściej triumfują, tym gorsi się stają.

– Porażka odnawia ducha. – Koniczyna podrapał się po bliźnie. Specjalnie w tym celu zapuszczał paznokiec małego palca. – Nauczyłem się tego na własnej skórze.

– Wydaje mu się, że jest niezwyciężony. Jego imię przyciąga głupców jak gównno muchy, a potem ci głupcy udzielają mu dumnych rad. Podesłałem mu Cudną na adiutanta, miałem nadzieję, że wpoi mu trochę rozwagi.

– Słuszny wybór. Cudna trzeźwo ocenia sytuację.

– Przez Stoura rwie sobie włosy z głowy.

– To ona ma teraz włosy?

– To była przenośnia.

– Aha.

– Chcę, żebyś jej pomógł. Żebyście razem sprowadzili Stoura na właściwą drogę.

– I to ja mam wiedzieć, która jest ta właściwa?

– Prędzej ty niż ten mój synalek-kutafon. Może przynajmniej zawrócisz go z tej niewłaściwej raz czy drugi.

Koniczyna podrapał się po brodzie. Jego uczniowie tarzali się w trawie, chłopak od Caldera z niesmakiem kręcił głową. Wziął

głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Dobrze – powiedział. Był dostatecznie stary, żeby wiedzieć, kiedy się nie wymiga od obowiązków. Stęknął, schylił się, podniósł miecz. Powoli, bo czemu nie? – Zrobię, co w mojej mocy.

– Tak jak my wszyscy. Tylko na tyle możemy liczyć, prawda? Porządny z ciebie gość, Koniczyna. Zawsze byłeś wobec mnie lojalny.

– Oczywiście. Byłem lojalny wobec Bethoda, potem Głamy Złotego, Cairma Żelaznorękiego, a teraz jestem lojalny wobec ciebie.

– Taaak... Byłeś wobec nich lojalny, dopóki nie znaleźli się po stronie pokonanych.

– To brzmi jak niemal idealny opis nielojalności.

Calder wzruszył ramionami.

– Trzeba się ustawiać z wiatrem.

– Jeśli mam jakiś talent, to z pewnością do ustawiania się z wiatrem. Możesz wziąć jabłka. – Koniczyna podsunął nogą kosz chłopakowi z blizną na wardze. – Brzuch mnie od nich boli.

\* \* \*

– Tak oto ziściły się wszystkie moje marzenia – powiedział Koniczyna, podchodząc bliżej z mieczem przerzuconym przez ramię.

Cudna odwróciła się do niego. Wśród okrywającej jej czaszkę czarno-srebrnej szczeciny mignęła biała blizna. Cudna zaśmiała się chrapliwie. Nie był to wesoły śmiech.

– Patrzcie, patrzcie... A któż to taki?

Koniczyna spojrzął po sobie.

– Ja znam te buty! – wykrzyknął. – Przybył Jonas Koniczyna, który naprawi wszelkie zło. – Mrugnął porozumiewawczo do Cudnej, ale nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia. – Nastął twój szczęśliwy dzień – dodał.

– Czas najwyższy, kurwa.

Mocno uścisnęli sobie dłonie, Cudna przyciągnęła go i pokleпали się po plecach.

– Cóż to, nie dojadasz? – zapytał Koniczyna, mierząc Cudną wzrokiem. – Jakbym przytulił pęk włóczni.

– Zawsze byłam szczupłą.

– To tak jak ja. – Poklepał się po brzuchu. – Tuż pod tą starannie pielęgnowaną warstewką tłuszczu kryje się ciało herosa.

Cudna uniosła brew. Koniczyna lubił patrzeć na ludzi, którzy są w czymś dobrzy, a Cudna umiała unosić brwi jak nikt inny.

– Co takiego się wydarzyło, że twój tłuszcz znalazł się tak blisko linii frontu?

– Czarny Calder mówi, że potrzebujesz pomocy.

– Nie zaprzeczę. Kiedy mogę się jej spodziewać?

– Stroisz sobie ze mnie żarty, kobieto? Mam się zaopiekować przyszłością Północy, naszym następnym królem, Wielkim Wilkiem Stourem Zmierzchnem.

– Ty? – Teraz Cudna uniosła obie brwi jednocześnie.

– Mam go sprowadzić na właściwą drogę. Słowa Caldera.

– Powodzenia. – Przywołała go gestem i zniżyła głos. – Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek spotkałam drugiego takiego kutafona jak ten chłopak. A przecież byłam adiutantem Czarnego Dowa.

– Przez jeden dzień! – prychnął Koniczyna.

– Wystarczyło z nawiązką.

– Ale owszem, słyszałem, że Wielki Wilk ma w sobie coś z kutafona.

Cudna wskazała ruchem głowy wznoszący się ponad drzewami słup dymu.

– W tej chwili pali właśnie wioskę, którą dopiero co zdobyliśmy. Kiedy go zostawiłam, chodził od domu do domu, sprawdzał, czy zajmują się ogniem.

Koniczyna już wcześniej wyczuł niesioną wiatrem woń dymu.

– Po co o coś walczyć, jeśli i tak zamierzasz to spalić?

– Może Wielki Wilk ci powie, bo ja nie mam pojęcia.

– No cóż. – Koniczyna wysunął podbródek i podrapał się po

szczecinie porastającej wyciągniętą szyję. – Dobrze się więc składa, że cechuje mnie isticie heroiczna cierpliwość.

– Przyda ci się. – Cudna skinęła głową w bok. – Przyszłość nadchodzi.

I rzeczywiście, na ścieżce pojawił się idący zawadiackim krokiem Stour. Przydomek „Zmierzchun” nadano mu już w dzieciństwie, z racji tego, że urodził się podczas zaćmienia słońca – w rzeczywistości urodził się godzinę przed zaćmieniem, ale dzisiaj nikt nie śmiał mu tego wytykać, a niecodzienne narodziny stały się częścią stale rozdymającej się legendy Wielkiego Wilka. Miał długie ciemne włosy, a jego wytworny strój był nabijany złotymi ćwiekami i zaopatrzony w mnóstwo złotych klamer i sprzączek. Szaroniebieskie oczy miał stale wilgotne, jakby zaraz miał się rozpląkać, chociaż zapewne byłyby to łzy gorzkiej wzgardy dla świata i wszystkiego, co się w nim znajduje.

Nie był szczególnie wysoki, jego ruchy zdradzały za to szybkość i siłę. Miał wdzięk tancerza, nie brakowało mu także szyderczej pewności siebie. Jej nadmiar bywał zgubny, ale Koniczyna widywał i takie przypadki, gdy właśnie pewność siebie potrafiła przeprowadzić człowieka przez ogień: stary, dobry pancerz żelaznej arogancji. Ten człowiek bez wątpienia umiał wybrać właściwy moment i bez cienia wahania czy żalu wydobyć z niego to, czego zapragnął.

Towarzyszyło mu stadko pizdusiów, jacy zawsze gromadzą się wokół słynnych wojowników. Wielu z nich dumnie obnosiło się z wizerunkiem wilka na tarczy: ludzie bez własnego imienia, przyciągani do sławy jak ćmy do ognia. Koniczyna widywał ten schemat wielokrotnie. Glama Złoty miał taki orszak, Krwawa Dziewiątka również, najprawdopodobniej nawet Skarling Bezkapturn przed setkami lat dorobił się podobnej zbieraniny patrzących spode łba psubratów.

Czasy się zmieniały, a tłum pizdusiów pozostawał taki sam.

Stour Zmierzchun wbił w Koniczynę spojrzenie tych zimnych, żywych, wiecznie wilgotnych oczu. Od razu oparł dłoń na rękojeści miecza. Jego uśmiech był pełen zdrowych zębów

i poważnych grózb.

– Jonas Koniczyna – powiedział. – Co ty tu, kurwa, robisz?

– Twój ojciec mnie przysłał. Czarny Calder.

– Wiem, kto jest moim ojcem.

– On wie, kto jest jego ojcem – zadrwił jeden z szyderców, obwieszony bronią muskularny młody łotr, który przy chodzeniu podzwaniał jak wózek sprzedawcy noży obarczony nadmierną ilością towaru.

Stour spojrział na niego z ukosa.

– Stul dziób, Magweer.

Magweer cały się zjeżył, że go tak spostponowano: element zgranego schematu. Koniczyna ze wstydem musiał przyznać w duchu, że swego czasu także uczestniczył w takich przedstawieniach, i to z niemałym zapalem.

– Interesuje mnie co innego – ciągnął Zmierzchun. – Po co cię przysłał?

– Żebym cię sprowadził na właściwą drogę. – Koniczyna wzruszył bezradnie ramionami. – To jego słowa, sam rozumiesz.

– A ty umiesz odróżnić drogę właściwą od gównianej?

Dupolizy Stoura zachichotały, jakby ich wódz opowiedział znakomity dowcip. Koniczyna też się uśmiechnął. Jeżeli jedynym, co człowiek mógł zrobić, był wybór właściwego momentu, to teraz z pewnością nie był czas na unoszenie się dumą.

– Nie zamierzam się przechwalać, bo sam nieraz zboczyłem z właściwej ścieżki. Może zdołam oszczędzić ci wdepnięcia w jakieś gówno, którym pachną moje buty.

– Tak mi się właśnie wydawało, że cuchnie tu gnojem. – Stour Zmierzchun pociągnął nosem, przesunął językiem po zębach i końcem kciuka potarł czubek nosa. – Jak zatem brzmi twoja pierwsza rada dla mnie?

– Nigdy nie drap się mieczem po czole. – Koniczyna wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nikt inny tego nie zrobił, ale to nie był jego problem. – Najlepiej w ogóle nie wyciągaj bez potrzeby miecza z pochwy, bo raz dobyty bywa diabelnie niebezpieczny.

Stour podszedł do niego nieco bliżej, obejmując go roztaczaną przez siebie złowieszczą aurą.

– Mądrość godna bohatera – wyszeptał.

– Kiedyś chciałem być bohaterem. – Koniczyna poklepał się po brzuchu. – Wyrosłem z tego. Ale twojemu ojcu powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy.

– W takim razie... – Stour zamaszystym gestem wskazał w głąb doliny. – Raczysz wskazać drogę?

– Nie śmiałybym. Znam swoje ograniczenia. Zamiast prowadzić, wolę podążać za wodzem.

Stour otworzył szerzej oczy.

– W takim razie postaraj się za nami nadążyć, staruszk.

Przepchnął się obok Koniczyny wpatrzony w dal i perspektywę kolejnych podbojów. Koniczyna ukłonił się nisko i ustąpił z drogi jego nachmurzonym kompanom.

– Przed zachodem słońca chcę spalić jeszcze wioskę albo dwie! – zawołał przez ramię Wielki Wilk.

Młodzi pieczeniarze prześcigali się w tym, kto głośniej zaśmieje się z jego słów.

– A nie mówiłam? – Cudna stanęła obok Koniczyny. – Kutafon jak się patrzy.

## Zniszczyć to, co kocha

Rikke wcisnęła ramiona jeszcze głębiej pomiędzy sękatę korzenie, nie bacząc na to, że ma pełno piasku we włosach. Tkwiąc po szyję w lodowatej rzece, wsłuchiwała się w kroki żołnierzy wroga, idących ścieżką nad jej głową: sądząc po odgłosach, skurczybyków musiało być całkiem sporo. Zastanawiała się – nie po raz pierwszy – co się stanie, jeśli ją złapią. Kiedy ją złapią. Spróbowała wyrównać i uciszyć oddech.

Paralizujący strach, drażniący niepokój o bliskich i znajomych, dręczący ból tysiąca drobnych siniaków i zadrapań, natrętny głód i przenikliwie zimno składały się na najbardziej gówniane popołudnie w całym jej życiu – a w ostatnim czasie konkurencja w tej dziedzinie była ostra.

Poczuła pod brodą dotknięcie palca, który pchnął jej żuchwę do góry i zamknął usta; nie zorientowała się, kiedy zaczęła szczekać zębami. Isern tkwiła wtulona w brzeg tuż obok niej. Woda sięgała jej aż po szpiczasty podbródek, włosy kleiły się do nachmurzonej twarzy, ale tkwiła nieruchomo jak sama ziemia, cierpliwa jak drzewa, twarda jak gład. Podniosła wzrok na utkaną korzeniami przewieszkę nad ich głowami, bezgłośnie wyjęła drugą rękę z wody i przytknęła palec do ust.

– A niech to...

Głos zabrzmiał tak głośno, jakby ktoś przemówił Rikke prosto do ucha. Prawie podskoczyła i byłaby się zsunęła z pluskiem jeszcze głębiej, gdyby Isern nie złapała jej pod wodą za odrętwiałą z zimna rękę.

– ...niech to... – Głos był męski, niemłody, ale też leniwy i raczej cichy, jakby jego właścicielowi nigdzie się nie śpieszyło.  
– No, nareszcie.

Rozległo się zadowolone stęknienie i struga lekko parującego



moczu spadła do wody nie dalej niż krok od twarzy Rikke. Najsmutniejsze było to, że dla tej odrobiny ciepła Rikke prawie była gotowa podstawić pod nią głowę.

– Różne są przyjemności w życiu – ciągnął ten sam głos – ale nauczyłem się, że nie ma to jak dobre szczanie, kiedy cię najdzie chęć.

– Hmm... – Ten pomruk nie brzmiał męsko. Kobieta dobierała dalsze słowa starannie jak kowal gwoździe do podkucia konia arystokraty. – Waham się, czy po tym objawieniu z twojej strony mam dla ciebie więcej szacunku niż przed chwilą, czy mniej.

– W tym momencie... – strużka zniknęła, ale tylko na chwilę – ...zdarza mi się powstrzymać od dalszego sikania. Ale kiedy mam okazję odpryskać się do końca... – jeszcze kilka tryśnieć, coraz skromniejszych – ...to jest pięknie. Jak rozwija się nasza szlachetna bitwa?

– Unia wieje, aż się kurzy; zdarzają się czasem jakieś potyczki, ale nikt tam nie stawia prawdziwego oporu. Chłopaków Wilczarza nigdzie nie widać. Pewnie też uciekają, tak sobie miarkuję.

– Mnie to pasuje. Przy odrobinie szczęście wycofają się aż do Anglandu i wszyscy będziemy mogli chwilę odsapnąć.

Rikke spojrzała na Isern: miała rację wiedźma przeklęta. Zawsze miała rację, zwłaszcza gdy przychodziło do wygłaszania zniechęcających prognoz.

Rankiem natrafiły na polankę pełną trupów. Było ich tuzin, może więcej, wojownicy z obu stron, którzy teraz znaleźli się po tej samej stronie. Mówi się, że Wielki Rozjemca rozstrzyga wszystkie spory. Rikke zasłoniła usta wierzchem dłoni, ledwie mogła oddychać... a potem dostrzegła Isern, która – przycupnięta nad zwłokami jak opisywani w pieśniach pożeracze trupów – majstrowała przy sprzączkach i grzebała w podartych łachach.

– Co robisz?

– Szukam czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia.

Rikke zaczęła jej pomagać. Starając się nie patrzeć na twarze zabitych, odrętwiałymi palcami przeszukiwała im kieszenie.

Także w tej sprawie Isern miała słuszość. Strach, wyrzuty sumienia, obrzydzenie – wszystko znika, gdy człowiek dostatecznie zgłodnieje. Kiedy porzuciły zabitych i ostrożnie ruszyły dalej, niepokoilo ją tylko jedno: niczego przy nich nie znalazły.

– Wódz! – zawołał ktoś na trakcie. – Zmierzchun! Przyszły król!

Rozległ się łoskot broni uderzającej o tarcze.

Rikke zeszywniała – na ile było to jeszcze możliwe, bo właściwie i tak już do złudzenia przypominała bryłę lodu. Isern przycisnęła się do niej i szepnęła głosem niewiele głośniejszym od tchnienia:

– Ćśś...

– Na pamięć poległych... – mruknęła kobieta na górze. Chwilę później odezwała się ponownie, głośnie i z wymuszonym animuszem: – Wodzu! Jak układa się dzień?

– Na razie bezkrwawo, ale pora jeszcze wczesna.

To musiał być Stour Zmierzchun we własnej osobie. Głos miał cokolwiek miaukliwy jak na takiego sławnego wojownika. Brzmiał jak rozkapryszony chłoptaş.

– Ci południowcy są jak rzadki sos – mówił dalej. – Co rusz przeciekają przez palce. Kiedy Krwawa Dziewiątka stawał do walki, miał przeciwko sobie Rudda Trójdrzewca, Czarnego Dowa, Hardinga Ponuraka i innych. Jak człowiek ma zdobyć sławę, kiedy brak mu godnych przeciwników, z którymi mógłby się mierzyć?

Chwila ciszy.

– Wkurwiające, przyznaję – powiedziała kobieta.

– Mam dla was zadanie, Cudna. Gdzieś w tych lasach ukrywa się dziewczyna.

Rikke poczuła przykre klucie w żołądku, gorsze niż głód. Skuliła się tak bardzo, jakby chciała wtopić się w piasek.

– Chcę ją dopaść – dodał Stour.

Entuzjastyczny sikacz parsknął śmiechem.

– Kto by nie chciał dopaść dziewczyny w lesie?

Zrobiło się cicho, jakby dowcip chybił celu.

Zdaniem Rikke wcale nie był śmieszny. Ani trochę.

– Jak mamy ją odróżnić od wszystkich innych dziewczyn?

– Mówią, że jest wyjątkowo nerwowa. Ma kółko w nosie, może mieć też krzyż namalowany na lewym oku.

– Ożeż kurwa... – wyszeptała Rikke. Czubkiem języka dotknęła kolczyka w nosie.

– Może jej towarzyszyć wiedźma z górskiego ludu. Ją możecie zabić, ale dziewczyna jest nam potrzebna żywa.

– Musi być ważna – zauważyła ta, którą nazwano Cudną.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. – Zmierzchun zaśmiał się przeciągle. – To córka Wilczarza.

– O ja pierdołę... – szepnęła Rikke.

– Ćśś... – syknęła Isern.

– Co mamy z nią zrobić, jeśli ją złapiemy?

Niezadowolone stęknienie.

– Powiem tak: jeśli mój ojciec dostanie ją w swoje ręce, to pewnie będzie chciał wziąć za nią okup. Albo użyje jej jako argumentu podczas rokowań pokojowych. – Ostatnie słowa Zmierzchun prawie wypluł, jakby miały gorzki smak. – Znasz mojego starego: plany zamknięte w planach.

– Czarny Calder zawsze był cwany – wtrącił sikacz.

– Ja na to patrzę inaczej. Według mnie, jeśli chcesz złamać wroga, musisz zniszczyć to, co kocha. A ja słyszałem, że ci durnie z drugiej strony wprost uwielbiają tę suczkę-nerwuskę. To taka ich maskotka. – Po głosie Zmierzchuna można było poznać, że się uśmiecha. – Dlatego, jeśli ją dopadnę, to zedrę z niej łachy, wychłoszczę kurwę, powyrywam jej zęby, a na koniec dam ją niewolnym, żeby ją wydymali, najlepiej na przedpolu, żeby wszyscy słyszeli, jak wrzeszczy.

Znów na moment zapadła cisza, w której Rikke usłyszała własny chrapliwy oddech. Isern mocniej ścisnęła ją za ramię.

– A może dam ją do wyruchania mojemu koniowi? Albo psom? Albo może, nie wiem... knurowi jakiemuś?

– Jak chciałbyś to zrobić? – W głosie sikacza dało się słyszeć wyraźne obrzydzenie.

– Odrobina wyobraźni i cierpliwości, a nie będzie dla ciebie

rzeczy niemożliwych. A potem obwiążę ją kolczastymi pnączami, powieszę gdzieś na drzewie, na widoku, wyrznię jej krwawy krzyż, złapię jej bebechy w kubel i posłę tamtym.

– Ale co, bebechy?

– No tak. W ślicznej skrzyneczce, z twardego drewna, rzeźbionej... I do tego kwiaty. Albo nie: zioła! Żeby się starzy durnie nie połapali, co dostali, dopóki nie otworzą. – Zmierzchun sapnął z zadowoleniem, jakby rozprawiali o pięknej rybie, którą zamierza złowić, planowanej smacznej kolacji albo z dawna wyczekiwanej chwili wieczornego relaksu na werandzie. – Wyobraźcie sobie ich miny.

Zaniósł się śmiechem, jakby wizja zamkniętych w pudełku wnętrzości Rikke była czymś niesłychanie zabawnym.

– Ja pierdołę – sapnęła Rikke.

– Ćśś... – powtórzyła Isern.

– No, ale wszystko w swoim czasie. – Zmierzchun westchnął smętnie. – Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, dobrze mówię? Mój ojciec wyznaczył za nią wysoką nagrodę, więc ktokolwiek mi ją przyprowadzi, będzie bogaty.

– Się robi, wodzu. – Cudna chyba też nie była zachwycona jego wizją, w każdym razie nie bardziej niż Rikke. – Poszukamy jej.

– No i pięknie. Możesz wrócić do sikania, Koniczyna.

– Nie ma potrzeby, na jakiś czas powinno mi wystarczyć.

Ciche kroki zaczęły się oddalać.

Rikke powinna pewnie być zmrożona zgrozą. Na pamięć poległych, miała do tego pełne prawo! Tymczasem przepełniała ją wściekłość, furia, która rozgrzewała ją nawet w tej sięgającej pod brodę lodowatej wodzie; która kusila ją, żeby z nożem w zębach wygramolić się z rzeki i od razu, na miejscu, wyciąć Stourowi Zmierzchunowi krwawy krzyż na brzuchu.

Ojciec zawsze jej powtarzał, że szkoda sił i zachodu na zemstę; że to umiejętność odpuszczenia przeciwnikowi dowodzi prawdziwej siły, mądrości i prawości człowieka; że rozlew krwi zawsze prowadzi tylko do dalszego rozlewu krwi. W tej chwili jednak jego lekcje wydawały jej się ogromnie odległe. Pasowały

do innych, cieplejszych miejsc. Zacisnęła zęby, zmrużyła oczy i obiecała sobie w duchu, że jeśli dożyje końca najbliższego tygodnia, to dopilnuje, żeby w przyszłości Stour Zmierzchun został wydymany przez knura.

– Powiem szczerze, Cudna – zabrzmiał głos mężczyzny nazwanego Koniczyną. Mówił cicho, jakby powierzał Cudnej jakąś tajemnicę. – Ten skurwiel mnie coraz bardziej niepokoi.

– No wiem.

– Z początku myślałem, że to tylko pozory, jakaś gra z jego strony, ale zaczynam myśleć, że on wcale nie udaje. Że jest dokładnie taki, na jakiego pozuje.

– No wiem.

– Bebechy w skrzynce? Z ziołami?!

– No wiem.

– Kiedyś ten gość będzie Królem Północnych. On, Zmierzchun. Bebechy w skrzynce. – Długie milczenie, westchnienie, w końcu: – Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie powinien wyczekiwać tej chwili.

Rikke musiała mu przyznać rację. Wydawało jej się, że wśród odbijających się w wodzie czarnych gałęzi dostrzeża także odbicia dwojga rozmawiających.

– Widzisz tam coś w dole?

Zesztywniała, mocniej ściskając rękojeść noża. Widziała, jak Isern zaciska zęby, jak wysuwa grot włóczni ponad wodę: jasna stal ociekała wodą, lśniła światłem, skrzyła się groźbą śmierci.

– Ale co? – spytała Cudna. – Ryby?

– No. Warto wyjąć wędkę, jak myślisz?

Cudna charknęła, splunęła, grudka flegmy nadleciała łukiem z góry i spadła do wody.

– Tak sobie miarkuję, że nie ma w tym strumieniu niczego, co warto by złapać.

## Było źle

Kiedy Pleczysty wracał do domu, z zachodzącego słońca została już tylko różowa poświata nad czarnymi wzgórzami. W dolinie zaległa ciemność, ale on potrafiłby przejść tę drogę po omacku. Znał każdą koleinę na trakcie i każdy kamień w biegnącym wzdłuż niego rozsypującym się murze.

Wszystko takie znajome – a zarazem takie obce.

Można by pomyśleć, że po dwóch latach nieobecności człowiek będzie biegiem wracał do miejsca, które kocha, i ludzi, których kocha, uśmiechnięty od ucha do ucha, że mało mu policzki nie pękną. Tymczasem Pleczysty włókł się noga za nogą, jak skazaniec idący na szafot, i był mniej więcej równie pogodny. Człowiek, który stąd odszedł, niczego się nie bał; człowiek, który wracał, odczuwał nieustanny lęk – i nawet nie bardzo wiedział, czego się boi. Może samego siebie.

Na widok domu przycupniętego wśród nagich drzew, ze światłem sączącym się przez szpary w zamkniętych okiennicach, odczuł dziwną chęć, by go minąć i pójść dalej. Naszła go osobliwa myśl, że tu nie ma już dla niego miejsca – nie po tym, co widział i co zrobił. Co będzie, jeśli przyniósł to coś ze sobą?

Jednakże ścieżka wiodąca obok domu była ścieżką tchórze. Wziął głęboki wdech, zacisnął obolałe dłonie w pięści. Gunnar Pleczysty nie był tchórzem. Zapytajcie, kogo chcecie.

Mimo to zapukanie do drzwi wymagało od niego wielkiej odwagi – większej niż wspięcie się po drabinie w Borletcie, poprowadzenie natarcia przeciw pikinierom z Musselii, większej nawet niż taszczenie chorych na gripę podczas późniejszej długiej zimy. Zapukał jednak.

– Kto tam?

Na dźwięk jej głosu dobiegającego zza drzwi wzdrygnął się bardziej niż na widok grotów tamtych pik. Do tego momentu bał się, że jej nie zastanie, że o nim zapomniała, że się wyprowadziła. A może wcale się nie bał, może miał taką nadzieję?

– To ja, Liddy – wykrztusił z trudem. – Gunnar.

Drzwi zaklekotały, otworzyły się i Liddy stanęła w progu. Zmieniła się, nie tak bardzo jak on, ale się zmieniła. Może zeszcupiała. Może okrzepla. Ale kiedy się uśmiechnęła, jej uśmiech jak zwykle rozświetlił ponury świat.

– Co ty sobie wyobrażasz, niemądry dryblasie, pukając do własnych drzwi?

Rozplakał się. Najpierw zatrzęsł nim potężny szloch, który zrodził się aż w żołądku, a potem już żadna siła nie była go w stanie powstrzymać. Drżącą ręką nieporadnie zdjął okulary i wszystkie łzy, których nie przelał w Styrii (bo Gunnar Pleczysty nie był przecież tchórzem), popłynęły gorącymi strugami po wykrzywionej w płaczliwym grymasie twarzy.

Kiedy Liddy zrobiła krok w jego stronę, cofnął się, skulił, zasłonił się rękami, jakby chciał ją powstrzymać; jakby była ze szkła, które może się strzaskać w jego dłoniach. Mimo to podeszła i go objęła. Miała chude ramiona, a on i tak nie był w stanie wyrwać się z jej uścisku; była od niego o głowę niższa, a i tak zdołała przycisnąć jego twarz do swojej piersi. Pocałowała go w głowę, szepcząc:

– Ćśś, już, już dobrze. Ćśś...

Po dłuższej chwili, gdy spazmy szlochu zaczęły się uspokajać, położyła mu dłonie na policzkach i uniosła jego głowę. Spokojnie, z powagą spojrzała mu w oczy.

– Było źle? – zapytała.

– O tak – wychrypiał. – Było źle.

Uśmiechnęła się tym uśmiechem, który rozświetlał świat. Stała tak blisko, że widział go nawet bez okularów.

– Ale teraz wróciłeś do domu.

– Ano tak. Wróciłem.

I znów się rozplakał.

Pleczysty wzdrygnął się na dźwięk głuchego stuknięcia siekiery. Tłumaczył sobie, że to odgłos rzetelnie wykonywanej pracy, powtarzał sobie, że jest w domu, bezpieczny, z dala od linii frontu – ale może przyniósł wojnę ze sobą? Może ten skrawek ziemi, na którym stał, zmienił się w pole bitwy?

– Nadal uważam, że rąbanie drewna to robota dla mężczyzny – powiedział, próbując żartem pokryć zmieszanie.

May postawiła nowe polano na pieńku i zamachnęła się siekierą.

– Kiedy mężczyźni spieprzają do Styrii, wszystko staje się robotą kobiet.

Gdy opuszczał dom, była nieśmiałą, niezręczną chłopczycą, jakby urodziła się w nieswojej skórze. Dziś nadal była koścista, ale w jej ruchach znać było siłę i szybkość. Szybko dorosła. Nie miała wyboru.

Kolejne głuche stuknięcie i z pieńka spadły następne dwa kawałki drewna na opał.

– Powiniennem być zostać, a ciebie posłać na front – powiedział. – Może wtedy byśmy wygrali.

Uśmiechnęła się do niego. On też się uśmiechnął – na myśl o tym, że umie ją sprowokować do uśmiechu. Nie mógł się nadziwić, że ktoś, kto wyrządził tyle zła, co on, mógł mieć swój wkład w powstanie czegoś tak dobrego jak ona.

– Skąd masz okulary? – zapytała.

Dotknął ich palcem. Czasem zapominał, że je nosi – dopóki ich nie zdjął, bo wtedy wszystko, co znajdowało się dalej niż na wyciągnięcie ręki, rozmazywało mu się przed oczami.

– Uratowałem życie pewnemu człowiekowi, lordowi marszałkowi Mitterickowi.

– Brzmi imponująco.

– To dowódca armii, ni mniej, ni więcej. Wróg zastawił zasadzkę, ja przypadkiem byłem w pobliżu i... no... – Zdał sobie sprawę, że zaciska drżące dłonie w pięści. Zmusił się do ich



rozluźnienia. – Lord marszałek uznał, że go ocaliłem, a ja wtedy szczerze przyznałem, że nie miałem pojęcia, kogo ratuję, bo nie widzę dalej niż na pięć kroków naprzód. Wtedy mi je dał. W prezencie. – Zdjął okulary, chuchnął na nie i starannie przetarł je ręką koszuli. – Cud nowoczesności, przypuszczam, że kosztują sześciomiesięczny żołd szeregowca. – Założył je z powrotem, zahaczył o uszy, oparł w znajomym rowku u nasady nosa. – Jestem mu wdzięczny, bo dzięki nim mogę docenić urodę własnej córki, nawet kiedy stoi po drugiej stronie podwórka.

– Urodę! – Prychnęła z lekceważeniem, ale było widać, że zrobiło jej się miło.

Słońce przedarło się przez chmury, jego ciepłe promienie padły na uśmiech Pleczystego i przez moment było jak dawniej. Jakby nigdy nie wyjechał.

– Więc walczyłeś na froncie?

Nagle zaschło mu w ustach.

– Walczyłem.

– Jak było?

– No... – Tyle czasu marzył o tym, by zobaczyć jej twarz, a gdy teraz na niego patrzyła, nie potrafił spojrzeć jej w oczy. – Było źle.

– Wszystkim mówię, że mój ojciec jest bohaterem.

Skrzywił się. Chmury się przesunęły, rzuciły cień na podwórko, dawny lęk znów przysiadł mu na ramieniu.

– Nie mów tego.

– A co mam mówić?

Zmarszczył brwi, spuścił wzrok na obolałe dłonie, zatarł je.

– Nie to.

– Co oznaczają te rysunki?

Strzepnęła ręką, próbując mankietem koszuli zasłonić tatuaże szturmowca, ale sinych gwiazdek na knykciach nie dało się schować.

– To nic takiego, bawiliśmy się z chłopakami.

Schował ręce za plecami, żeby ich nie widziała. Żeby sam nie musiał ich oglądać.

– Ale...

– Wystarczy tych pytań. – Liddy wyszła na ganek. – Twój ojciec dopiero co wrócił.

– Mam zresztą mnóstwo roboty – powiedział Gunnar.

Wstał. Utrzymanie domu w schludnym stanie wymagało ogromnego wysiłku. Nawet we troje z trudem dawali sobie z tym radę, a odkąd Liddy z May zostały tylko we dwie, dom wyglądał, jakby zamierzał się zapaść w krajobraz.

– Trzeba pewnie załatać z tuzin dziur – dodał.

– Tylko uważaj: kiedy wejdiesz na dach, cała chałupa może się zawalić.

– Wcale bym się nie zdziwił. Ale najpierw zajrzę do owiec. Wełna osiąga ponoć świetne ceny, a przedzalnie wyrastają jak grzyby po deszczu. Gdzie stado? W górze doliny?

May spojrzała na matkę, Liddy zrobiła dziwną minę, a Pleczysty znów poczuł przygniatające brzemię lęku.

– Nie mamy już stada, Gunnarze.

– Co?

– Chciałam, żebyś najpierw odespał trochę, nim zaczniesz się zamartwiać. – Można było odnieść wrażenie, że ciężkie westchnienie Liddy podeszło aż z podeszew jej znoszonych butów. – Lord Isher odgrodził dolinę. Nie wolno nam już tam wypasać owiec.

Pleczysty ledwie rozumiał, co do niego mówi.

– Dolina to wspólna ziemia. Zawsze tak było.

– Już nie. Edykt króla. Wszędzie dzieje się to samo, w sąsiedniej dolinie też. Musieliśmy sprzedać stado Isherowi.

– Musieliśmy mu sprzedać nasze owce, żeby mógł je wypasać na naszej ziemi?

– Dał nam dobrą cenę. Nie wszyscy tyle płacili swoim dzierżawcom.

– To znaczy, że najpierw jestem dymany, kiedy wyruszam na wojnę, a potem drugi raz, kiedy z niej wracam, tak? – warknął nieswoim głosem Gunnar. – I nic z tym... nie zrobiłaś?!

– Nic nie przyszło mi do głowy. – Liddy posłała mu nieprzejednane spojrzenie. – Może ty byś na coś wpadł, ale cię tu

nie było.

– Bez owiec wszystko traci sens! – Jego ojciec hodował owce, jego dziadek również, nawet dziadek jego dziadka. Cały jego świat rozpadał się na kawałki. – Co teraz zrobimy? – Znow łapał się na tym, że zaciska pięści. Krzyczał, ale nie potrafił przestać. – Co zrobimy?!

Warga May zadrżała, jakby dziewczyna miała się rozplakać. Liddy objęła ją ramieniem i cały gniew Pleczystego ulotnił się w okamgnieniu, zostawiając po sobie chłód i rozpacz.

– Przepraszam.

Przysięgał sobie w duchu, że nigdy więcej nie straci nad sobą panowania, że będzie żył dla dwóch swoich kobiet, że da im dobre życie... po czym spieprzył sprawę w parę godzin po przejściu przez próg domu.

– Przepraszam – powtórzył.

Zrobił krok w ich stronę, podnosząc rękę, ale zobaczył tatuaże na knykciach i czym prędzej schował dłoń.

– Nie mamy wyboru, Gunnarze – powiedziała cicho, spokojnie Liddy. – Isher zaproponował, że nas wykupi. Musimy odejść. Myślałam o Valbecku. Tam jest praca, są nowe przedsiębiorstwa.

Patrzył na nią w milczeniu, nie mogąc wykrztusić nawet jednego słowa.

W ciszy, która zapadła, usłyszał odgłosy wydawane przez konie. Odwrócił się i spojrział w stronę traktu.

Zbliżało się trzech ludzi. Nie śpieszyli się, jakby mieli cały dzień do dyspozycji. Jeden dosiadał dużej kasztanki, dwóch jechało na wozie ze skrzypiącym kołem. Pleczysty rozpoznał woźnicę: Lennart Nieczęsty, młodszy brat młynarza. Pleczysty zawsze miał go za tchórza, a rozbiegany wzrok Lennarta nie wpłynął teraz na zmianę jego opinii.

– To Lennart Nieczęsty – mruknął.

– Rzeczywiście – przyznała Liddy. – May, do domu.

– Ale ma...

– Do domu.

Pozostałych dwóch Pleczysty nie znał. Jeden z nich, wysoki

i szczupły, siedział obok Nieczęstego z kuszą na kolanach i kolebał się w rytm kołysania wozu. Kusza nie była naładowana – i to był dobry znak, bo naładowane kusze miały zwyczaj wystrzeliwać w najgorszym możliwym momencie, ale Pleczysty i tak nie rozumiał, po co tamtemu broń, z której można zabić człowieka. A już z pewnością zagrozić mu śmiercią.

Ten na koniu jeszcze bardziej mu się nie podobał: wysoki, brodaty, z fantazyjną szablą kawaleryjską u pasa i fantazyjnym trójgraniastym kapeluszu na głowie, siedział zawadiacko w siodle i rozglądał się dookoła takim wzrokiem, jakby cała ta ziemia należała do niego. Wstrzymał konia bliżej domu, niżby tego wymagała uprzejmość, okrężnym ruchem zdjął kapelusz i przecesał paznokciami przyлизane włosy, przyglądając się Pleczystemu w zadumie. Nieczęsty zatrzymał wóz z tyłu, pomiędzy dwoma dużymi, zbryzganymi porostami słupkami granicznymi, które postawił jeszcze dziadek Gunnara.

– Cześć, Gunnar – powiedział i zerknął w bok, na Liddy.

– Cześć, Nieczęsty.

Liddy odgarnęła pasemko włosów za ucho, ale wiatr natychmiast porwał je i pchnął jej prosto na stroskaną twarz.

– Wróciłeś. – Jeżeli Nieczęsty chciał wyrazić radość z tego faktu, to zupełnie mu to nie wyszło. – Skąd masz okulary?

– Ze Styrii.

– Jak tam było?

– Źle.

– Schudłeś chyba, co?

Ten z kuszą uśmiechnął się ironicznie.

– Wcześniej był gruby?

– Jeszcze jak – powiedział brodacz i nie zaszczycając Pleczystego spojrzeniem, nałożył kapelusz.

– Za mało jedzenia, za dużo srania – odparł Pleczysty – i takie są skutki.

– Przekleństwo żołnierza – przemówił znowu brodacz. – Nazywam się Bagniak.

Połykał końcówki słów, jakby nie lubił mówić i nie chciał tracić na rozmowę więcej czasu niż to absolutnie konieczne.

– Ja jestem Zdolny – powiedział chudzielec. – Pracujemy dla lorda Ishera.

– Jako kto? – spytał Pleczysty, chociaż broń tamtych nie pozostawiała mu złudzeń.

– Różnie. Głównie zajmujemy się skupowaniem ziemi. Ta dolina należy do Ishera...

– Ten kawałek nie.

Bagniak sapnął z niezadowoleniem, wyciągnął szyję i podrapał się po brodzie.

– Nie wyżyjesz tutaj, Gunnarze. – Nieczęsty parsknął przypochlebnym śmiechem. – Dobrze wiesz. Wypas się skończył. Na obronę Ishera powiem, że król podniósł podatki jak wściekły, żeby mieć pieniądze na te swoje przekłete wojenki. Wszyscy grodzą ziemię i obrabiają ją maszynami.

– Wydajność – prychnął Bagniak, nawet się na niego nie obejrzawszy.

Jego obojętność tylko podsycała zapal Pleczystego.

– Mój ojciec zginął na tej ziemi. – Z trudem powstrzymał się od podniesienia głosu. – Bronił jej przed Gurkhulczykami.

– Wiem. Mój też. – Nieczęsty wzruszył ramionami. – Ale co ja poradzę?

– Po prostu robisz, co ci każą, tak?

– Nie zrobię ja, zrobi ktoś inny.

– Postęp – burknął Bagniak.

– Czyżby?

Pleczysty spojrzał w górę doliny, w stronę innych domów: stały ciche, puste, z kominów nie unosił się dym.

– Tamtych już wykupiliście, tak? Lanta z córkami, Barrowów, starego Neimana...

– Neiman zmarł, ale co do reszty masz rację: sprzedali.

– Wytłumaczyliśmy im, że to ma sens – dodał Zdolny, poprawiając trzymaną na kolanach kuszę.

– To dlaczego moja żona nadal tu jest?

Nieczęsty znów posłał Liddy to ukradkowe spojrzenie.

– Chciałem jej dać więcej czasu. Znamy się tu wszyscy i...

– Zawsze ci się podobała. Rozumiem. Mnie też się podoba.

Dlatego się z nią ożeniłem.

– Gunnarze... – W głosie Liddy zabrzmiała stroskana, ostrzegawcza nuta.

– Nie mam pojęcia, dlaczego za mnie wyszła. Ale stało się.

Nieczęsty uśmiechnął się bez przekonania.

– Posłuchaj, przyjacielu...

– Zanim wyjechałem, nie byłem twoim przyjacielem. – Nagle Pleczysty odniósł wrażenie, jakby mówił ktoś inny, a on tylko się przyglądał. – Tym bardziej nie jestem nim teraz.

– Dość tego.

Bagniak dźgnął konia piętami w boki, wepchnął się między Pleczystego i pieńki do rąbania drewna, na którym leżała siekiera. Dobry jeździec. Siedział wysoko w siodle. Patrząc na niego na tle rozświetlonego nieba, Pleczysty musiał mrużyć oczy.

– Lord Isher przejmie tę dolinę w taki czy inny sposób. Upór nie ma sensu. Lepiej odejść stąd z jakimś groszem w kieszeni.

– Lepiej niż co?

Bagniak odetchnął głęboko przez nos.

– Szkoda by było, gdyby ten wasz śliczniutki domek spalił się którejs nocy.

Sięgnął w dół – ale nie do obłazącej z pozłoty koszowej rękojeści fantastycznej szabli. Zamierzał raczej dobyć noża. Miał nadzieję, że uda mu się sprowokować Pleczystego, zmusić go do pochopnej reakcji, a potem dźgnąć. Jednym pchnięciem ostrego metalu rozwiązałyby problem, którego nie udawało się rozstrzygnąć w rozmowie. W przeszłości ta metoda zapewne niejednokrotnie się sprawdzała.

– Spalił się, mówisz?

Zabawne: Pleczysty wcale się nie złościł. Ulga, że może odpuścić, choćby tylko na chwilę, była tak wielka, że niewiele brakowało, by się uśmiechnął.

– Tak właśnie mówię. – Bagniak nachylił się ku niemu. – Szkoda by było, gdyby twoja śliczna żoneczka i córka...

Pleczysty złapał go za but i wyrzucił z siodła. Zaskoczony Bagniak stęknął, zamłócił rękami w powietrzu i runął na ziemię.

Klął pod nosem, gdy Pleczysty obchodził konia dookoła; próbował wstać, ale druga stopa uwięzła mu w strzemieniu.

Zanim Bagniak zdążył się pozbierać, Pleczysty złapał go za nadgarstek, wykręcił mu rękę na plecy i zmusił go do położenia głowy na pieńku. Bagniak wrzasnął, trzasnęło mu w łokciu, wypuścił nóż. Pleczysty uniósł nogę i całym ciężarem ciała wgniół mu głowę w posiekany siekierą pieńek – raz, drugi, trzeci. Trzasnęły kości. Bagniak przestał krzyczeć.

Zdolny uniósł się z kozła, wybałuszył oczy i zaczął majstrować przy kuszy. Większość ludzi potrzebuje chwili, by zacząć działać. Pleczysty miał dokładnie przeciwny problem – zawsze był gotowy do działania. Zawsze. Ruszył w stronę wozu.

Zdolny nie zdążył napiąć cięciwy, nie zdążył nawet sięgnąć po bełt, zamachnął się tylko kuszą na stojącego już przy wozie Pleczystego, który przyjął uderzenie na przedramię i złapał go za przód kurtki. Zdolny kwiknął cicho, gdy Pleczysty uniósł go w powietrze i wyrzucił jego głowę w słupek graniczny. Krew zbryzgała burtę wozu. Zdolny spadł na ziemię z jedną ręką przeplecioną przez szprychy skrzypiącego koła i strzaskaną czaszką wykrzywioną w tył pod nienaturalnym kątem.

Pleczysty wskoczył na kozioł. Nieczęsty – z lejcami w bezwładnych dłoniach – tylko się na niego gapił.

– Gunnar...

Próbował wstać, ale Pleczysty kolaniem pchnął go z powrotem na siedzenie.

Nie był pewien, ile razy uderzył Nieczęstego – pięść do góry, pięść w dół, pięść do góry, pięść w dół – ale kiedy przestał, z twarzy tamtego została lśniąca krwawa miazga. Patrzył na nią z niedowierzaniem, lekko zadyszany. Wiatr chłodził mu spocone czoło.

Obejrzał się na Liddy. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, zasłaniając usta ręką.

Przeniósł wzrok na swoje pięści. Z wysiłkiem rozprostował czerwone od krwi palce. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co się stało.

Słaby i roztrzęsiony usiadł na kozle obok zwłok Nieczęstego.

Plamki w polu widzenia: krew na okularach. Zdjął je nieporadnym gestem. Świat się rozmazał.

Liddy nic nie mówiła. On też nie.

Cóż było mówić?



## Morze interesów

– Witam wszystkich po raz trzynasty na odbywającym się co pół roku spotkaniu Aduńskiego Towarzystwa Słonecznego!

Wielki machineus Honrig Curnsbick, odziany w olśniewającą kamizelkę haftowaną w złote liście, rozłożył szeroko ręce. Ten teatr nie słyszał równie entuzjastycznego aplauzu od czasu, gdy Iosiv Lestek dał ostatni występ na tej scenie.

– Dziękuję w tym miejscu naszym szacownym mecenasom: lady Ardee i jej córce Savine dan Glokcie. – Curnsbick skinął ręką w stronę łoży zajmowanej przez Savine.

Savine uśmiechnęła się do niego skromnie znad wachlarza, jakby jej delikatna natura z trudem znosiła takie zainteresowanie publiki. Rozległy się wiwaty, gwizdy, pokrzykiwania „Dobrze mówi!”. Domyślała się, że najgłośniejsi są ci członkowie towarzystwa, którym szczególnie zależy na jej pieniądzach.

– Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w dziewięcioro w salonie lady Savine, nawet nam się nie śniło, że osiem lat później Towarzystwo Słoneczne będzie liczyło ponad czterystu członków, i to pochodzących nie tylko z Unii, lecz także spoza jej granic!

Curnsbickowi rzeczywiście mogło się nie śnić, za to Savine od początku miała piękne, odważne marzenia.

– Żyjemy we wspaniałych czasach! – mówił dalej. – W czasach, gdy tylko leniwi klepią biedę! Gdy tylko małostkowi kręcą nosem z niezadowolenia! Gdy pomysłowość i przedsiębiorczość jednego mężczyzny mogą zmienić świat!

A nawet, oby los nam sprzyjał, pomysłowość jednej kobiety.

– Zaledwie wczoraj tu, w Adui, Dietam dan Kort ukończył budowę mostu wykonanego w całości z żelaza, z żelaza,

podkreślam, mostu, który pozwoli przeprowadzić kanał przez Mur Casamira wprost do serca miasta. – Kolejne wiwaty. Ludzie siedzący na widowni obok Korta poklepywali go po plecach. – Kanał zapewni nieograniczone dostawy surowców, zdynamizuje rozwój przemysłu i handlu, da nowe miejsca pracy, dostęp do lepszych towarów, a masom robotników zagwarantuje lepsze życie. – Curnsbick rozpostarł ręce gestem zawodowego showmana. Światło załśniło w jego okularach. – Wszystkim przyniesie dostatek!

A przede wszystkim przyniesie go Savine, ma się rozumieć. Jaki byłby sens dostatku, gdyby wszyscy mieli w niego opływać?

– Przejdźmy do rzeczy, panie i panowie, do rzeczy, czyli do postępu. Naszym pierwszym prelegentem będzie Kaspar dan Arinhorm. Temat jego wystąpienia to zastosowanie silnika Curnsbicka do wypompowywania wody z kopalń rudy żelaza.

Savine wstała i skierowała się do wyjścia, zanim Arinhorm dotarł do pulpitu. Prawdę mówiąc, wynalazki same w sobie nigdy jej przesadnie nie interesowały. Znacznie ciekawsze były możliwości zarabiania na nich pieniędzy – a tę alchemię praktykowano w kuluarach teatru.

Zebrany pod trzema wielkimi kandelabrami całkiem okazały tłumek huczał od podekscytowanych rozmów i wprost tętnił od perspektyw i propozycji. Grupki elegancko odzianych mężczyzn tworzyły się i rozpadały, wciągane przez przyprawiające o zawrót głowy prądy i zawirowania, a na tych powodziowych wodach unosiły się jasne, kolorowe plamy damskich sukien. Gdzieś można było dostrzec przepiękne szaty niedobitków dawnych gildii kupieckich. Wprawne oko Savine bezbłędnie wychwytywało najzamożniejszych i najbardziej ustosunkowanych gości; ci pozbawieni środków i wpływów podążali ich śladem jak kruche szalupy wciągnięte w kilwater wielkiego statku, w rozpaczliwym poszukiwaniu mecenatu, zaangażowania, inwestycji.

To było prawdziwe morze interesów. W jego niebezpiecznych wodach, targanych nieprzewidywalnymi sztormami, fortuny osiadały na mieliznach, przedsiębiorstwa szły na dno wraz

z całymi załogami, reputacje tonęły – ale jeżeli trafił się wizjonerski nawigator, prądy wpływu i zamożności mogły go ponieść ku spektakularnym sukcesom.

– Bóg wspiera pracowitych – mruknęła Zuri, zerkając na zegarek.

Stale towarzyszyła Savine, gotowa w razie potrzeby odpędzić natrętów lub, rzadziej, zapisać nieoficjalne spotkanie czy zaproszenie na herbatkę ze szczególnie obiecującym kontrahentem. Często przy okazji tych sympatycznych konwersacji rzucała niezobowiązującą uwagę o nocnych obyczajach rozmówcy, jego szemranej przeszłości albo potomstwie z nieprawego łoża i napomykała o tym, jak ujawnienie tego czy owego sekreciku może zrujnować obiecującą karierę. Trudno byłoby znaleźć znaczących ludzi, którzy nie mieliby jakiejś wstydlivej tajemnicy zapisanej w jej notesiku. Zastosowany z wdziękiem delikatny szantażyk niezawodnie pozwalał przesunąć ceny w pożądanym kierunku. Marząc o zwycięstwie w tej grze, należało stać jedną nogą w sali balowej, a drugą po kolana w gnoju.

– A zatem... bierzmy się do pracy. – Savine przywołała na twarz swój najbardziej promienny uśmiech, rozłożyła wachlarz i spłynęła po stopniach w tłum.

– Rozważyła pani moją propozycję, lady Savine? Nowe projekty barek na węgiel, pamięta pani? Zarówno z kilem, jak i płaskodennych. Dostarczymy węgiel do wszystkich domostw, nawet tych najpodlejszych. Węgiel to przyszłość!

– Z przeprowadzonych przeze mnie oględzin wynika, że wzgórza w okolicy Rostodu są dosłownie poszatkowane żyłami miedzi, lady Savine. Można by ją tam zbierać gołymi rękami! Metale to przyszłość!

– Muszę jeszcze tylko przekonać właściciela ziemi, krewniaka lorda Ishera. Wiem, że pozostaje pani w zażyłych stosunkach z jego siostrą...

Nosiła wprawdzie mieczyk, ale na tym polu bitwy walczyła wachlarzem. Konspiracyjne stuknięcie zamkniętym wachlarzem wywoływało uśmiechy skuteczniej niż czarodziejska różdżka.

Gwałtowne otwarcie go szybkim ruchem nadgarstka ucinając bezowocne rozmowy skuteczniej niż topór kata. Zręczne uniesienie wachlarza, połączone z uśmiechem i dyskretnym wzruszeniem ramienia, potrafiło pogrzebać mężczyznę głębiej niż szpadel grabarza.

– Dziś najważniejsza jest sól, lady Savine. Wielkie ilości soli, takie, żeby wystarczyło dla wszystkich. Potencjalny inwestor mógłby liczyć na trzykrotny zwrot z inwestycji w ciągu zaledwie kilku miesięcy, może nawet czterokrotny...

– Zegary! Oto co dziś naprawdę się liczy: dokładne zegary w przystępnej cenie. Ten potencjał, lady Savine... nie można pozostać ślepym na taki potencjał...

– Wystarczy szepnąć słówko do właściwego ucha w biurze patentowym...

Wyławiała ich jednego po drugim z ich planami, marzeniami, pewnym siebie błyskiem w oku. Rozpromieniali się z zachwytu na jej najłżejszy uśmiech – albo kulili się ze zgrozy, gdy delikatnie zmarszczyła brwi. Kończąc rozmowę strzepnięciem wachlarza, wspominała wszystkie odmowy, które musiała w swoim czasie znieść, i rozkoszowała się swoją władzą.

– Biorąc pod uwagę pani styryjskie kontakty, pani mecenas mógłby odegrać kluczową rolę...

– Zważywszy na to, jak wysoko jest pani ustosunkowana w Agrioncie, wystarczyłaby jedna rozmowa...

– Brakuje mi już tylko finansowania!

– ...pięciokrotny zwrot z inwestycji!

– Lady Savine? – Kobieta – młoda, w rudej peruce, z piegowatymi ramionami – zerknęła na nią znad wachlarza wzrokiem, który w zamyśle miał być pewnie czarujący, a z punktu widzenia Savine był zwyczajnie chytry. – Jestem... proszę o wybaczenie... szczerą pani wielbicielek.

Mając całe stadko szczerych wielbicieli Savine nie bardzo rozumiała, co daje tej kobiecie prawo do wciskania się do niego poza kolejnością.

– Nazywam się Selest dan Heugen.

– Kuzynka Borasa dan Heugena?

Boras był zadufanym w sobie prostakiem. Najwyraźniej nie on jeden w tej rodzinie.

– To mój... dalszy krewny – odparła Selest z kokieteryjnym uśmiechem. – Ja jestem zaledwie małąką gałązką na koniuszku naszego drzewa genealogicznego.

– Raczej pięknym rozkwitającym pękiem, jak się domyślam.

Selest zarumieniła się jak niewinna wiejska dziewczyna zagubiona w wielkim mieście. Albo jak kiepska aktorka w szmirowatym przedstawieniu, pomyślała Savine.

– Wiedziałam, że jest pani piękna, ale nie spodziewałam się, że także życzliwa. Ojciec zostawił mi w spadku nieco pieniędzy, które chciałabym zainwestować. Pozwolę sobie zapytać, czy mogłaby pani coś w tej kwestii doradzić?

– Kupuj rzeczy, które będą zyskiwały na wartości – odparła Savine i odwróciła się do niej plecami.

– Lady Savine dan Glokta. – Niski mężczyzna o kręconych włosach, ubrany w sposób zdradzający zarówno zamożność, jak i gustowny umiar. – Liczyłem na to, że uda mi się panią poznać.

– Ma pan nade mną przewagę.

– Z pewnością nie w kwestii urody, pani. – Istotnie, wyglądał raczej przeciętnie. Tylko oczy miał niezwykle, błyszczące i różnokolorowe: jedno zielone, drugie niebieskie. – Nazywam się Yoru Sulfur.

Savine rzadko się zdarzało usłyszeć nazwisko, które nic by jej nie mówiło. Za każdym razem budziło to jej ciekawość. Nowe nazwiska to nowe szanse, prawda?

– Czym się pan zajmuje, panie Sulfur?

– Jestem członkiem Zakonu Magów.

Niełatwo było ją zaskoczyć, ale na tę odpowiedź odruchowo zareagowała uniesieniem brwi. Zuri zwykle odpędzała od niej najgorszych maniaków, lecz tym razem wyjątkowo zapadła się pod ziemię.

– Czarnoksiężnik na spotkaniu wynalazców i inwestorów? Szpieguje pan swoich wrogów?

– Powiedzmy raczej, że szukam nowych przyjaciół. – Odslonił w uśmiechu mnóstwo czystych, ostrych, lśniących zębów. – My,

magowie, zawsze interesowaliśmy się wszystkim, co mogłoby zmienić świat.

– To godne podziwu – przyznała Savine, chociaż z doświadczenia wiedziała, że ilekroć ktoś mówi o zmienianiu świata, ma na myśli realizację własnych interesów.

– Dawno temu, za życia Euza i jego synów, magia najlepiej się do tego nadawała. Jednakże te czasy minęły, a dzisiaj... – Sulfur rozejrzał się po zatłoczonym foyer i nachylił ku Savine, jakby zamierzał zdradzić jej jakąś tajemnicę. – Osobiście zaczynam dochodzić do wniosku, że tak jest lepiej.

– Pociąga pana władza – mruknęła Savine i musnęła wachlarzem jego nadgarstek. – Tak jak mnie.

– Powinna pani poznać mojego mistrza; świetnie byście się rozumieli, macie ze sobą wiele wspólnego. Od lat, rzecz jasna, utrzymuje kontakty z pani ojcem, ale nikt nie jest wieczny.

Savine zmarszczyła brwi.

– Co też pan...

– Lady Savine! – Curnsbick szedł w jej stronę z ramionami rozpostartymi szeroko w czułym geście. – Kiedy wreszcie wyjdzie pani za mnie za mąż, do diaska?!

– Nigdy albo nawet parę dni później. Poza tym głowę bym sobie dała uciąć, że byłam na pańskim ślubie z jakąś inną kobietą.

Ucałował jej dłoń.

– Wystarczy jedno pani słowo, a uduszę ją własnymi rękami.

– Ależ to przemiła osoba! Nie chciałabym mieć jej na sumieniu.

– Proszę nie udawać, że ma pani sumienie.

– Ależ mam, mam jak najbardziej, tyle że nakładam mu kaganiec i nie dopuszczam go do interesów. Przedstawiam panu...

Odwróciła się do Sulfura, który jednak zdążył przez ten czas wtopić się w tłum.

– Curnsbick, ty stary psie! – Arinhorm, pierwszy prelegent, wrył się w ich rozmowę jak wieprz w grządkę róż.

– Arinhorm, mój przyjacielu! – Curnsbick grzmotnął go

serdecznie w ramię. Był geniuszem, gdy przychodziło do obsługi maszynierii, za to wobec ludzi bywał zbyt łatwowierny. – Pozwól, że przedstawię ci Savine dan Gloktę.

– A tak. – Arinhorm posłał jej wyjątkowo wymuszony uśmiech. Był jednym z tych nieznośnych osobników, którzy uważają, że celem istnienia wszystkich innych ludzi jest służenie jego własnym celom. – O ile wiem, zainwestowała pani w kopalnie żelaza w Anglandzie. Najprawdopodobniej jest pani największym nieinstytucjonalnym właścicielem kopalń w całej prowincji.

Savine wolałaby nie dyskutować o swoich inwestycjach na forum publicznym. Kiedy wygrywasz, ludzie stają się przyjacielscy, ale kiedy wygrywasz zbyt wiele, stają się nerwowi.

– Istotnie – odparła – prowadzę tam pewne interesy.

– Szkoda, że nie słuchała pani mojego wystąpienia. Największym problemem, z jakim borykają się kopalnie, czynnikiem ograniczającym ich wydajność, jest tempo wypompowywania wody z podziemnych korytarzy. Siła mięśni ludzkich i końskich ma swoje ograniczenia, natomiast silnik pana Curnsbicka może po wprowadzonych przeze mnie usprawnieniach pracować dziesięciokrotnie szybciej, a także wypompowywać wodę z większych głębokości...

Mówił całkiem do rzeczy, ale Savine nie przypadł do gustu sposób przedstawienia problemu.

– Pan wybaczy, ale w tej chwili bardziej od żelaza interesuje mnie mydło – powiedziała.

– Słucham?

– Mydło. A także szkło i naczynia stołowe. Te dawne luksusy, niegdyś dostępne wyłącznie dla arystokratów, stały się przedmiotami codziennego użytku, na razie dla osób zamożnych, ale wkrótce trafią pod strzechy. Czyste ciała, przeszklone okna, talerze... Jeżeli wymyśli pan, jak wypompowywać zastawę stołową spod ziemi, z przyjemnością o tym podyskutuję.

– Pani żartuje.

– Żarty zachowuję dla ludzi obdarzonych poczuciem humoru.

Z pewnością rozumie pan, że muszę starannie dobrać partnerów w interesach.

– Popełnia pani błąd.

– Nie byłby moim pierwszym. Mimo to jakoś sobie radzę.

– Nigdy nie należy dopuszczać do tego, by uczucia wchodziły w drogę zyskom – warknął Arinhorm.

Skórę powyżej kołnierzyka koszuli upstrzyły mu gniewne czerwone plamy. Zuri pojawiła się u jego boku i robiła, co mogła, żeby go odciągnąć od Savine, ale on nie zamierzał się ruszyć z miejsca.

– Wzmacnia to moje przekonanie, że w interesach nie ma miejsca dla kobiet – dodał.

– A jednak ja jestem tutaj – Savine uśmiechnęła się szeroko – a pan stoi naprzeciwko mnie i podsuwa mi swoją żebaczka miseczkę. Bez wątpienia są w życiu Unii takie dziedziny, w których nie ma miejsca dla kobiet, ale nie może mi pan zabronić sprzedawania i kupowania.

Curnsbick chuchnął na okulary i przetarł je do czysta.

– Miej się na baczności, mój druhu – powiedział, zakładając je na nos i zerkając na Arinhorm sponad szkieł. – Lady Savine może w każdej chwili sprzedać lub kupić ciebie.

– Bez obaw. – Savine z trzaskiem rozłożyła wachlarz. – Nie kupuję towarów, które nie zwiastują zysku.

– Pan Arinhorm się rozżłościł – zauważył półgłosem Curnsbick, gdy zagłębili się w tłum. – Z czasem przekonasz się, Savine, że na dłuższą metę odrobina wielkoduszności potrafi zwrócić się pięciokrotnie. Życzliwość byłaby najlepszą inwestycją...

Zbyła jego dobroduszne głędzenie poufałym poklepaniem po dłoni.

– Wielkoduszność i życzliwość pasują do ciebie wysmienie – odparła. – Mnie z nimi nie do twarzy. Pewna liczba zapiekłych wrogów stanowi absolutnie niezbędny dodatek dla kobiety, która chce się modnie nosić.

– Poza tym może się okazać, że jednak znajdzie sobie inwestora.



– Niech ją szlag! – zaklęła Savine. Arinhorm wdał się w rozmowę z Selest dan Heugen. – Czyżby zamierzała grzebać w pozostawionych przeze mnie resztkach?

– Moim zdaniem tak to właśnie wygląda.

– Jak suka w zaułku na tyłach jatki.

– Jest dość popularna wśród dżentelmenów z socjety.

Rzeczywiście, siwe głowy odwracały się w ślad za nią, gdy szła przez salę uwieszona na ramieniu Arinhorma.

– Cokolwiek miałoby pizdę, byłoby wśród nich popularne – mruknęła Savine.

– Auć! Przypomina mi młodszą ciebie, Savine.

– Młodsza ja była trucizną.

– Młodsza ty była nektarem. Podobnie zresztą jak starsza ty. Mówi się jednak, że naśladownictwo jest najszczęśliwszą odmianą hołdu. Jak by na to patrzeć, mamy tu tłum starych głupców próbujących imitować Curnsbicka. Czy ja się skarżę?

– Tylko wtedy, gdy akurat się nie przechwalasz.

– Przechwalam się od tak dawna, że nikt już o tym nie mówi.

– Curnsbick uśmiechnął się leciutko. – Krąg Świata jest ogromny, Savine. Możesz się zgodzić na to, by ktoś inny zajął mały jego skrawek.

– Pewnie masz rację – przyznała bez entuzjazmu, odsuwając od siebie niesmaczną wizję spółki Arinhorma i Heugen. – Byle płacił mi czynsz.

Ale Curnsbick już nie słuchał. Rozmowy cichły, tłum rozstępował się jak ziemia przed pługiem. Przez ciżbę szedł mężczyzna o starannie przystrzyżonym i obficie nawoskowanym zarostie, ubrany w czerwony mundur ze złotym szamerunkiem.

– A niech mnie... – szepnął Curnsbick, ścisnąwszy nadgarstek Savine. – Toż to król we własnej osobie!

Jego Wysokość można było krytykować za wiele rzeczy – krytyków zresztą nie brakowało, regularnie publikowali swoje poglądy w coraz bardziej obelżywych pamfletach – ale jedno trzeba było przyznać: król Jezal zawsze wyglądał jak na króla przystało. Śmiał się, kiedy było trzeba, poklepywał po

ramionach, ścisnął dłonie, przerzucał się z gośćmi zarcikami: prawdziwa krynica pogody ducha, której trochę w tym teatrze brakowało. Za nim – ze szczękiem broni i pancerzy – sunął tuzin żołnierzy korpusu rycerskiego w pełnym rynsztunku, a także co najmniej dwie dwudziestki skrybów, oficerów sztabowych, służących, adiutantów i zwykłych pieczeniarzy wypinających piersi obwieszone niezasłużonymi medalami, które skrzyły się odblaskiem tysiąca świec w kandelabrach.

– Panie Curnsbick. – Król dał wynalazcy znak, by wstał z klęczek. – Przepraszam za spóźnienie. Sprawy pałacowe, rozumie pan. Rządzenie królestwem. Mnóstwo pracy.

– Obecność Waszej Wysokości opromienia Towarzystwo Słoneczne. Jest mi ogromnie przykro, że zmuszeni byliśmy rozpocząć prezentację, nie czekając na przybycie Waszej Wysokości...

– Nie, nie, nie. Postęp na nikogo nie czeka. Mam rację, panie Curnsbick? Nawet na królów.

– Na królów w szczególności, Wasza Wysokość – wtrąciła Savine, dygnawszy nisko. Jeden z członków królewskiego orszaku aż się zachłysnął na widok takiej bezczelności, ale cóż: nie ma zysku bez ryzyka.

Curnsbick wskazał ją wyciągniętą ręką, zamierzając dokonać prezentacji.

– To jest...

– Savine dan Glokta, naturalnie – powiedział król. – Duma rozpieszcza człowieka, gdy jego poddani okazują tak wielką... przedsiębiorczość i determinację. – Potrząsnął pięścią. Dziwnie to wypadło: tak silny gest, a tak nijako wykonany. – Zawsze podziwiałem ludzi, którzy... wytwarzają różne rzeczy.

Savine opadła jeszcze niżej w swoim ukłonie. Dawno przywykła do tego, że mężczyźni się na nią gapią; nauczyła się to tolerować, zbywać i wykorzystywać do swoich celów. Król jednak patrzył na nią zupełnie innym wzrokiem. Jego uśmiech, choć beznamiętnie atrakcyjny, skrywał wielki smutek.

– Wasza Wysokość jest dla mnie zbyt łaskawy.

– Raczej nie dość łaskawy.

Zastanawiała się, czy dowiedział się o niej i swoim synu. Czyżby Orso coś chlapnął?

– Z takimi kobietami u steru Unię czeka naprawdę świetlana przyszłość – dodał król.

Na szczęście w tej samej chwili w głębi sali wybuchło małe zamieszanie i rycerz herold ze skrzydlatym hełmem pod pachą przecisnął się przez tłum.

– Wasza Wysokość, mam nowiny.

– Na tym właśnie polega twoja praca, czyż nie? – zauważył z lekkim rozdrażnieniem król. – Mógłbyś wyrażać się bardziej konkretnie?

Rycerz przysunął się do niego.

– Nowiny... z Północy – szepnął mu do ucha.

Królowi zrzęda mina.

– Proszę o wybaczenie, lady Savine, panią i wszystkich zebranych. Muszę wracać do Agriontu.

Złoty rąbek monarszego płaszcza zatrzepotał głośno, gdy król zrobił w tył zwrot na wypolerowanym do połysku obcasie. Orszak stłoczył się za nim jak stadko nadętych kaczątek za plecami matki. Nikt się nie uśmiechał.

Curnsbick wydał policzki.

– Jak sądzisz, czy trwająca pół minuty wizyta to wyraz poparcia Jego Królewskiej Mości dla naszej sprawy?

– Wizyta to wizyta – mruknęła Savine.

Rozmowy rozbrzmiały głośniejsze, ludzie tłoczyli się przy wyjściach, przepychali w pośpiechu, by jak najszybciej poznać nowinę – i jak najszybciej na niej skorzystać.

– Dowiedz się, co rycerz herold miał do powiedzenia – poleciała półgłosem Savine, zwracając się do Zuri. – Aha, i zapisz coś, proszę: należy uprzykrzyć Kasparowi dan Arinhormowi prowadzenie interesów w Anglandzie.

Zuri wyjęła zza ucha zatknięty tam ołówek.

– Jakież plotki? Nowe przepisy? Czy po prostu brak odpowiedzi na przysyłane przez niego listy?

– Po trochu wszystkiego, na początek. Zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie.

Savine nie była winna temu, że śmietanka towarzyska przypominała jedno wielkie wężowisko, zamierzała jednak wśliznąć się na sam jego szczyt i tam pozostać. Jeżeli w tym celu będzie musiała stać się najbardziej jadowitym gadem w całej Adui, to trudno, niech tak będzie.

## Potyczka z ojcem

– Pobudka, Wasza Wysokość.

Słowom tym towarzyszył ohydny chrobot gwałtownie odsuwanych zasłon.

Orso uchylił jedno oko i zasłonił je ręką przed wściekłą powodzią światła.

– Zdaje się, że zabroniłem ci tak się do mnie zwracać. – Uniósł głowę, ale ponieważ zaczęło mu w niej pulsować w nadzwyczaj nieprzyjemny sposób, położył ją z powrotem. – Poza tym, jak śmiesz budzić następcę tronu?

– Zdaje się, że zabroniłeś mi tak się do ciebie zwracać.

– Jestem niekonsekwentny. Następcą tronu Unii...

– A także, teoretycznie, Talinsu.

– ...może być tak bardzo niekonsekwentny, jak tylko ma na to ochotę, do diabła.

Macające na oślepie palce Orso zacisnęły się na uchu dzbanka. Podniósł naczynie do ust i pociągnął łyk, nim się zorientował, że dzbanek zamiast wody zawiera zwiędnięte piwo. Opluł nim pół ściany.

– Niech Wasza Wysokość pobędzie sobie niekonsekwentny podczas ubierania się. Są nowiny.

Orso rozejrzył się w poszukiwaniu wody, a nie znalazłszy jej, mimo wszystko dopił resztki piwa.

– Nie mów mi tylko, że ta blondyna z wczoraj była nosicielką zgnilizny fiuta. – Rzucił dzbanek na podłogę i znów opadł ciężko na łóżko. – Tego by mi jeszcze brakowało, kolejnej działki...

– Scale Żelaznoręki i jego Północni wtargnęli na ziemię Protektoratu. Spalili Uffrith.

– Też coś.

Orso miał ochotę sięgnąć po but i cisnąć nim w Tunny'ego, ale

ostatecznie uznał, że szkoda zachodu. Przewrócił się na bok, przysunął do dziewczyny – jakżeż ona miała na imię? – i przycisnął na wpuł stwardniałą kuškę do jej ciepłych pośladków. Półprzytomna dziewczyna jęknęła z niezadowoleniem.

– To nie jest zabawne – powiedział Orso.

– Pewnie, że nie jest. Gubernator Finree dan Brock dzielnie stawia opór Północnym, wspomagana przez Wilczarza i jej własnego syna Leo, sławnego Młodego Lwa, ale jednak oddaje pole przeważającym siłom wroga pod dowództwem przejmującego zgrozą Stoura Zmierzchuna, Wielkiego Wilka, który poprzysiął przepędzić przeklętych południowców z Anglandu. – Tunny umilkł na chwilę. – Gdybyś miał wątpliwości, śpieszę z wyjaśnieniem: to my jesteśmy tymi przeklętymi południowcami.

Orso zdołał otworzyć oboje oczu naraz.

– Ty nie żartujesz, prawda?

– Wasza Wysokość zorientuje się, że żartuję, kiedy zaczniesz się śmiać.

– Co to ma...

Orso poczuł nagłe ukłucie... czegoś. Niepokoju? Podniecenia? Gniewu? Zazdrości? W każdym razie było to jakieś uczucie. Od tak dawna nic nie czuł, że teraz było to jak dźgnięcie ostrogą. Próbował się wygramolić z łóżka, a gdy stopa zaplątała mu się w pościel, strzepnął ją i przez przypadek kopnął tę-jak-jej-tam w tyłek.

– Co jest, kurna? – wymamrotała i usiadła, próbując odgarnąć z twarzy skołtunione włosy.

– Przepraszam! – powiedział Orso. – Strasznie cię przepraszam, ale... Północni! Najazd! Lwy, wilki i diabli wiedzą co jeszcze! – Sięgnął po szkatułkę i wciągnął po odrobinie perłowego proszku każdą dziurką nosa z osobna, żeby ostatecznie się rozbudzić. – Ktoś powinien coś z tym zrobić, do stu tysięcy diabłów!

Pałacy żar w głębi nozdrzy przygasł i niezwykle uczucie jeszcze się wzmogło – do tego stopnia, że aż się wzdrygnął

i dostał gęziej skórki na rękach. „Mógłbyś spróbować zrobić coś, co stanowiłoby powód do dumy”, powiedziała mu matka. Czy to była jego szansa? Do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo pragnął ją dostać.

Spojrzał na baterię pustych butelek przy łóżku, a potem na Tunny’ego, który stał oparty plecami o ścianę, z założonymi na piersiach rękami.

– Ja powinienem coś z tym zrobić! – zagrzemiał Orso. – Przygotuj mi kąpiel.

– Hildi już się tym zajęła.

– Gdzie moje spodnie? – Złapał w locie rzucony przez Tunny’ego element garderoby. – Muszę natychmiast zobaczyć się z ojcem! Co dziś jest? Poniedziałek?

– Wtorek – powiedział Tunny i zawiadackim krokiem wyszedł z pokoju. – Twój ojciec ćwiczy dziś fechtunek.

– W takim razie poszukaj moich kling szermierczych! – zawołał jeszcze Orso, tuż przed tym, jak drzwi się zamknęły.

– Zamknijże się, na litość... – jęknęła ta-jak-jej-tam i nakryła głowę kocem.

\* \* \*

– Jeden jeden! – Król uśmiechnął się od ucha do ucha i wyciągnął rękę.

– Piękna walka, Wasza Wysokość – powiedział Orso.

Pozwolił ojcu pomóc sobie wstać i rozcierając obolałe zebra, schylił się po broń. Musiał przyznać, że tempo potyczki dało mu się we znaki. Watowany kaftan wydał mu się obficie watawony, niż kiedy poprzednio go wkładał. Może matka miała rację, może faktycznie miał już za sobą ten piękny wiek, w którym wszystko uchodzi na sucho. Może jeden trzeźwy dzień w tygodniu byłby niegłupim pomysłem. No, przynajmniej jeden trzeźwy poranek, tak na początek.

Jednakże okoliczności jak zwykle sprzysięgły się przeciwko niemu i nie dane mu było postąpić właściwie: po nieskazitelnie

wypielegnowanym trawniku płynął już ku nim służący, niosąc lśniącą tacę z dwoma kieliszkami.

Król wsunął sobie dłuższą klingę pod pachę i wziął kieliszek.

– Co powiesz na małe orzeźwienie?

– Przecież wiesz, że nigdy nie piję przed obiadem – odparł Orso.

Spojrzeni po sobie i zgodnie wybuchnęli śmiechem.

– Poczucia humoru nigdy ci nie brakowało – przyznał ojciec, unosząc kieliszek do toastu. – Temu nikt nie zaprzeczy.

– Nikt nie próbował, o ile mi wiadomo. Oskarżają mnie natomiast o brak wszelkich innych zalet. – Orso pociągnął łyk wina, przytrzymał je w ustach, przełknął. – Ach, intensywne, czerwone, pełne słońca... – Ospryjskie, bez wątpienia. Przez chwilę żałował, że jednak podbili Styrię. – Zapomniałem, jak znakomite wina podajesz.

– Jestem królem, prawda? Gdybym pijał podle trunki, znaczyłoby to, że ze światem źle się dzieje.

– Ale ze światem naprawdę źle się dzieje, ojcze.

– Z pewnością! Powiem ci coś: zaledwie wczoraj przyjąłem delegację robotników z Kelnu. Przedstawili mi listę skarg na warunki pracy w tamtejszych zakładach włókienniczych. – Król spochmurniał, zapatrzył się na piękny ogród pałacowy i ze zgrozą pokręcił głową. – Powietrze przesycone dławiącymi oparami, podle żarcie, stęchła woda, epidemia dreszczy, wypadki przy pracy z maszynami, zdeformowane noworodki... Okropne historie.

– Na dodatek Scale Żelaznoręki najechał Protektorat Wilczarza.

Król znieruchomiał z kieliszkiem w pół drogi do ust.

– Więc słyszałeś o tym?

– Byłem w burdelu, nie na dnie studni. Cała Adua o tym mówi.

– Od kiedy to interesujesz się polityką?

– Interesuję się zgrają barbarzyńców, którzy palą miasta naszych sojuszników, rządząją krwawe rzeznie i grożą najechaniem suwerennego terytorium Unii. Jestem dziedzicem



tronu, do kurwy nędzy, czy nie?

Król podkręcił lśniące wąsy – ostatnio raczej siwe ze złotymi pasemkami niż złote z siwymi – i z powrotem naciągnął rękawiczkę.

– A od kiedy interesujesz się byciem następcą tronu?

– Od zawsze – skłamał Orso. Odstawił z impetem kieliszek, budząc tym przerażenie służącego, który musiał rozpaczliwie manewrować tacą, żeby kieliszek z niej nie spadł. – Po prostu miałem... pewne problemy z wyrażaniem tego zainteresowania. Gotowy, staruszk?

– Zawsze, szczawiku!

Król zrobił wypad i pchnął. Jedna długa broń zderzyła się płazem z drugą, zadźwięczała, zgrzytnęła. Król dźgnął krótkim ostrzem, ale Orso przyjął pchnięcie na swoją krótką klingę, zblokował, odbił. Odskoczyli i zaczęli chodzić po okręgu. Orso prawie nie odrywał wzroku od czubka ostrza ojca, czasem tylko zerkał na jego nogę wykroczną: król miał zwyczaj lekko skręcać stopę tuż przed atakiem.

– Dobrze fechtujesz – powiedział król. – Słowo daję, masz talent. Mógłbyś pokusić się o zwycięstwo w Turnieju.

– Talent? Być może. Ale zaangażowanie, wytrzymałość, poświęcenie? W żadnym razie.

– Mógłbyś zostać mistrzem, gdybyś ćwiczył częściej niż raz w miesiącu.

– Jeśli zdarzy mi się poćwiczyć raz w roku, to jest to dla mnie pracowity rok.

W rzeczywistości Orso ćwiczył przynajmniej raz w tygodniu, gdyby jednak ojciec o tym wiedział, mógłby zacząć podejrzewać, że syn daje mu fory. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby władcy najpotężniejszego kraju w Kręgu Świata zależało na pokonaniu własnego syna w kręgu szermierczym, ale pozwolenie królowi na jedno, dwa trafienia zawsze było najpewniejszym sposobem przeforsowania spraw, na których Orso zależało.

– To co zamierzamy zrobić w sprawie Północnych? – zapytał.

– My? – Czubek długiej klingi króla uderzył o broń następcy

tronu.

– No dobrze, ty.

– Ja? – To samo, z drugiej strony.

– Niech ci będzie: twoja Zamknięta Rada.

– Zamknięta Rada nie zamierza robić absolutnie nic.

– Jak to? – Orso opuścił broń. – Scałe Żelaznoręki najechał nasz Protektorat!

– Z całą pewnością.

– Powinniśmy go chronić! To niemal definicja protektoratu.

– Wiem, jakie są zasady, chłopcze. – Król zrobił wypad, Orso się uchylił i krótką klingą zbił ostrze ojca w bok. Wielkie różowe ptaki brodzące w pobliskiej fontannie spojrzwały na nich z dezaprobatą zniesmaczone szczękiem stali. – Sęk w tym, że zasady i rzeczywistość rzadko idą razem do łóżka.

„Tak jak ty z matką?” – niemal wyrwało się Orso, uznał jednak, że byłoby to zbyt wiele jak na niewybitne królewskie poczucie humoru. Zamiast tego zrobił kolejny unik i przeszedł do natarcia: przyjął uderzenie długiej klingi na swoją, wykonał obrotowy ruch nadgarstkiem i wytrącił ojcu broń z ręki. Zablockował rozpaczliwe pchnięcie krótkiej stali, aż zazgrzytały jelce, a potem z wyczuciem dziabnął króla długą klingą w bark, aż ostrze lekko się wygięło.

– Dwa do jednego – powiedział, tnąc ze świstem powietrze. Staruszek nie powinien zbyt łatwo zwyciężyć. Nikt nie ceni tego, co przychodzi mu bez trudu.

Przywołał służącego z ręcznikiem. Król niecierpliwie skinął na innego, żeby podał mu upuszczoną broń.

– Zawsze będzie jakiś kryzys, Orso, i zawsze będzie się wydawało, że ten akurat jest najgorszy w historii. Całkiem niedawno żyliśmy w strachu przed Gurkhulczykami, nie bez powodu zresztą. Zanim się ich pozbyliśmy, połowa Adui legła w gruzach. A teraz co? Wielki Prorok Khalul przepadł bez śladu, wszechpotężny cesarz Uthman został zdetronizowany i władza Gurkhulu rozwiała się jak dym na wietrze. Zamiast żadnych podbojów żołnierzy z południa napływają tłumy zdesperowanych uchodźców.

– Nie moglibyśmy się cieszyć upadkiem naszego wroga?

– Dla niektórych z nas obalenie monarchy nie jest powodem do świętowania.

Orso się skrzywił.

– Przyznaję, ta zbieżność rzeczywiście może być bolesna.

– Wszystko to dowodzi, że wielkie ośrodki władzy równie szybko upadają, jak powstały. Murcatto ma pod butem niemal całą Styrię, Stare Cesarstwo rośnie w siłę, rzuca nam wyzwanie w Czerwonej Krainie i podburza przeciw nam mieszkańców Stariklandu, a teraz jeszcze ci przekłęci Północni łamią wywalczone w mękach traktaty i znów prą do wojny. Ich apetyt na krew jest nienasycony.

– Apetyt na krew obcych być może. – Orso rzucił ręcznik służącemu na głowę i wrócił na pozycję wyjściową do kolejnego starcia. – To zdumiewające, jak szybko nawet najwięksi twardziele mają dość widoku własnej krwi.

– To prawda. Ale mnie sen z powiek spędzają przede wszystkim nasi wewnętrzni wrogowie. Wojna w Styrii wyczerpała zapasy pieniądza i zasoby cierpliwości. Otwarta Rada narzeka bez przerwy. Słowo daję, gdyby nie fakt, że arystokraci większą nienawiścią darzą siebie nawzajem niż mnie, dawno by się pobuntowali przeciw królestwu. Głos chłopów nie wybrzmiewa tak głośno, ale i wśród nich niezadowolenie narasta. Zewsząd zagraża mi nielojalność poddanych.

– Wobec tego musimy im dać solidną nauczkę, Wasza Wysokość.

Orso ciął, ciął i pchnął. Król odbił oba cięcia, uniknął sztychu, wpakował się na krzak przystrzyżony w kształt wieży maga i tanecznym krokiem wrócił do kręgu.

– Nauczka będzie przeznaczona dla Północnych – podjął Orso – ale jej świadkami powinni być także twoi niewierni poddani. Pokażmy naszym sojusznikom, że można na nas polegać, a wrogom, że nie ma z nami żartów. Kilka zwycięstw, jedna czy dwie triumfalne defilady, szczypta patriotycznego zapachu: oto recepta na zjednoczenie narodu.

– Podsuwasz mi dokładnie te same argumenty, które przedstawiłem Otwartej Radzie. Problem polega na tym, że skarbiec świeci pustkami. Ba, nawet gorzej: pieniędzmi, które jestem komuś winien, można by zasypać fosę wokół Agriontu i jeszcze trochę by zostało. Nic nie mogę zrobić.

– Przecież jesteś Najwyższym Królem Unii!

Król uśmiechnął się smutno.

– Pewnego dnia zrozumiesz, synu, że im większą masz władzę, tym mniej możesz.

Kiedy to mówił, szpice jego kling jakby więdły w oczach. Był to jednak oczywisty podstęp: po ustawieniu nogi podstawnej Orso widział, że ojciec trwa w stanie najwyższej gotowości. Był jednak taki dumny z zastawionej pułapki, że niegrzecznie byłoby w nią nie wpaść. Orso natarł z triumfalnym warknięciem, po czym całkiem przekonująco zabelkotał, gdy nadział się na – spodziewaną – kontrę. Powstrzymał się od instynktownego zblokowania pchnięcia krótkiej klingi ojca, dopuścił ją za zasłonę i jęknął, gdy głucho stuknęła w ćwiczebny kaftan.

– Dwa dwa! – Król zarechotał z uciechy. – Wystarczy się trochę nad sobą poużalać, a w gorącej wodzie kapany narwaniec zaraz się na ciebie rzuci!

– Dobra robota, ojcze.

– Stary kundel jeszcze dycha, co?

– Na szczęście tak. Bo chyba możemy się zgodzić co do tego, że nie jestem jeszcze gotowy do objęcia tronu.

– Nikt nigdy nie jest na to gotowy, mój chłopcze. Ale powiedz mi, dlaczego tak się nagle zainteresowałeś karną ekspedycją przeciw Północnym?

Orso odetchnął głęboko. Nie spuścił wzroku pod czujnym spojrzeniem ojca.

– Bo chcę ją poprowadzić – odparł.

– Co takiego?!

– Chcę... no wiesz... chcę się czymś... wyróżnić. Czymś więcej niż zaliczenie wszystkich tutejszych kurewek.

Król parsknął śmiechem.

– Ostatni oddział, jakim dowodziłeś, to pułk żołnierzy-zabawek, które gubernator Stariklandu przysłał ci na prezent. Miałeś wtedy pięć lat.

– W takim razie najwyższy czas, żebym zdobył jakieś doświadczenie. Jestem przecież następcą tronu, prawda?

– Tak twierdzi twoja matka, a ja staram się jej nie przeciwstawiać.

– Muszę kiedyś zacząć dbać o swoją reputację. – Orso cofnął się na pozycję wyjściową, szykując się do decydującej rundy. Obcasem odkopnął grudę błota z idealnie utrzymanego trawnika. – Biedaczka jest w fatalnym stanie.

– Boisz się, że Młody Lew zgarnie całą sławę, co?

Ostatnio ten przydomek stanowczo zbyt często przewijał się w rozmowach. Orso nie był tym zachwycony.

– Na pewno zostawi coś dla swojego przyszłego monarchy – odparł.

– Ale... wojna? – Ojciec skrzywił się z niesmakiem, ukryta w brodzie stara blizna odkształciła się wyraźnie. – Kiedy przychodzi do rozlewu krwi, Północni nie bawią się w sentymenty. Mógłbym ci opowiedzieć o moim dawnym druhu Logenie Dziewięciopalcym...

– Opowiadałeś mi o nim, ojciec. Setki razy.

– Bo to diabelnie dobre opowieści! – Król wyprostował się, opuścił broń i marszcząc brwi, spojrzał na syna. – Tobie naprawdę na tym zależy, prawda?

– Musimy coś zrobić.

– W tej sprawie na pewno. – Król zaatakował gwałtownie, ale Orso był na to przygotowany: sparował, zrobił unik, sparował drugi raz. – No dobrze, a co powiesz na to? – Cięcie, cięcie, sztych. Orso cofnął się, nie tracąc czujności. – Dam ci Gorsta, dwudziestu żołnierzy korpusu rycerskiego i batalion gwardii królewskiej.

– To o wiele za mało!

Orso przeszedł do natarcia, prawie dosięgnął ojca pchnięciem i zmusił go do wycofania się.

– Zgadzam się. – Król nieśpiesznie przesuwał się w bok,

sztych jego długiej klingi kreślił małe świetliste kółeczka w powietrzu. – O resztę będziesz musiał sam się postarać. Pokaż mi, że potrafisz zebrać pięć tysięcy ludzi. Wtedy pozwolę ci ruszyć na ratunek Protektoratowi.

Zaskoczony Orso zaniemówił. Werbowanie pięciu tysięcy żołnierzy niepokojąco blisko kojarzyło mu się z prawdziwą pracą. Jednakże na samą myśl o tym, że wreszcie będzie miał jakieś sensowne zajęcie, przepełniła go niezwykła, nieznana mu energia.

– Tak zrobię, do diaska! – Przegrywaniem niczego więcej nie zdobędzie. Miał ochotę wreszcie coś wygrać. – Broń się, Wasza Wysokość!

I natarł po raz kolejny. Stal zgrzytnęła o stal.

## Potyczka z ojcem

– Dziab, dziab, Savine – powiedział ojciec, wychylając się z fotela, żeby łatwiej śledzić jej ruchy. – Dziab, dziab.

Bark palił ją żywym ogniem, ból spływał w dół ramienia aż do koniuszków palców, ale nie ustawała w wysiłkach. Każdy sztych musiał być ostry, szybki, doskonały.

– Dobrze! – zaszcebiotał Gorst, który, spokojny i zrównoważony, zbijał jej pchnięcia. Zgrzyt żelaza niósł się po pustej sali.

Dla ojca nigdy jednak nie była dość dobra.

– Noga wykroczna! – warknął. – Rozłóż równo ciężar!

– Rozłożyłam – odparła i wyprowadziła trzy kolejne pchnięcia, szybkie jak błyskawica.

– Balansuj! Postaraj się! Wiem, że nie lubisz nic robić na pół gwizdka.

– Prawie tak samo, jak ty nie lubisz patrzeć, jak coś robię na pół gwizdka.

– Więc rozłóż równo ciężar na obie stopy. Oboje będziemy szczęśliwsi.

Stała w większym rozkroku i zadała jeszcze kilka ciosów, które Gorst niezawodnie parował.

– Lepiej? – zapytał ojciec.

Istotnie, było lepiej, ale oboje wiedzieli, że tego nie powie. To by było przyznanie się do porażki.

– Się okaże. Jak tam sytuacja na Północy?

– Długi ciąg rozczarowań, jak to zwykle w życiu bywa. Północni napierają, Anglandczycy się przed nimi cofają.

– Ludzie mówią, że dopóki kobieta dowodzi naszym wojskiem, nie należy się spodziewać niczego lepszego.

Savine zrobiła wypad. Szczęknęła stal, Gorst zablokował jej

pchnięcie dłuższą klingą.

– Oboje dobrze wiemy, że ludzie to skończeni głupcy. – To słowo ojciec wypowiedział takim tonem, jakby sama myśl o rodzaju ludzkim napawała go niesmakiem. – Osobiście uważam, że po śmierci jej ojca Finree dan Brock jest najlepszym generałem w całej Unii. Gorst ją zna, prawda?

Wielgachny ochroniarz króla, zwykle zachowujący kamienny wyraz twarzy, tym razem się skrzywił.

– Trochę, Eminencjo.

– Szkoda, że nie mogłem jej przekazać dowodzenia w Styrii – mówił dalej ojciec Savine. – Może dziś liczylibyśmy triumfy zamiast poległych. Dziab!

– Brock kontra Murcatto, to by było coś – syknęła Savine, zasypując Gorsta kolejnym gradem pchnięć. – Dwie największe armie w całym Kręgu Świata, obie dowodzone przez kobiety.

– Które to kobiety doszłyby pewnie do wniosku, że mają lepsze pomysły na wydawanie pieniędzy i po prostu wszystko obgadały. Gdzie byśmy wtedy byli? Dobra, wystarczy tych sztychów; pokaż nam teraz jakieś cięcia. Tylko walcz na serio, Savine, Gorst nie jest ze szkła.

Doskoczyła do Gorsta, jakby zamierzała zaatakować z prawej, i w ostatniej chwili zeszła na lewą, tnąc przy tym zamasyście na wysokości głowy. Opuścił obie klingi i odskoczył, szybki jak wąż mimo potężnej postury. Odprowadził wzrokiem ostrze Savine, gdy świsnęło mu tuż przed nosem.

– Wyśmienicie – zakwiczał.

Savine skinęła obiema klingami w teatralnym geście.

– Czy Brock sama pokona Północnych?

– Na razie wciąż jeszcze zbiera siły w Anglandzie. Może liczyć na Wilczarza, ale Scale Żelaznoręki ma nad nimi sporą przewagę liczebną. Spodziewam się, że Brock odda Protektorat, po czym zatrzyma Północnych nad Białą Strugą. Może do tego czasu zmieni się sytuacja u nas i wiosną będziemy mogli na nich uderzyć i zgarnąć całą chwałę.

– Kobiety odwalają najcięższą robotę, a chwała przypada w udziale mężczyznom. Brzmi znajomo.



– Małostkowość nie przystoi fehmistrzyni. Tnij, dziewczyno. Z życiem!

Buty Savine piszczały na drewnianej podłodze, gdy zataczała krąg wokół Gorsta, tnąc z każdej możliwej pozycji. Gorst prawie się nie ruszał, a mimo to jego klingi zawsze znajdowały się na miejscu, gotowe sparować jej ciosy.

– Moja córka ma szybkie nogi, prawda, Gorst?

– Nadzwyczaj szybkie, Eminencjo.

– To po pobieranych u matki lekcjach tańca. Ja, niestety, ostatnio niewiele tańczę.

– Szkoda – powiedziała Savine. Przesuwała się po okręgu, wypatrując luki w obronie Gorsta. Skóra głowy, pokryta odrastającymi krótkimi włosami, swędziała ją od potu. – Zamknięta Rada też powinna poćwiczyć pracę nóg. Jeżeli Brock przegra, wyjdziecie na tchórzy i głupców.

– Większych tchórzy i głupców, niż już jesteśmy.

– Ewentualnym zwycięstwem zaś wzmocni reputację swoją i swojego syna.

– Leonault dan Brock. – Ojciec Savine prychnął, odsłaniając bezzębne dziąsła. – Młody Lew.

– Kto wymyśla te kretyńskie przydomki?

– Przypuszczalnie skrybowie. Podczas kampanii gurkhulskiej widziałem lwy. Głupie zwierzęta, zwłaszcza samce. Dobrze, wystarczy. Przerwa.

Savine wzięła głęboki wdech i rozchyliła poły pikowanego kaftana, żeby wpuścić pod spód trochę powietrza. Koszulę przepociła na wskroś. Ocierając ogoloną głowę ręcznikiem, zastanawiała się, czy dostojni dżentelmeni z Towarzystwa Słonecznego rozpoznałyby ją w tej chwili – bez pudru, klejnotów, sukni i peruki. Najprawdopodobniej wyczuliby przebijającą przez pot woń pieniędzy i stłoczyliby się wokół niej tak samo jak zawsze.

– Powinnaś popracować nad chwytem. – Jej ojciec wychylił się w przód. Kości przemieściły się pod bladą skórą dłoni, gdy wsparł się na lasce, żeby wstać.

– Nie, nie, nie. – Savine podeszła i położyła mu rękę na

ramieniu. – Nie będziesz sobie robił krzywdy tylko po to, żeby pokazać mi, jak się trzyma broń.

Zdjęła przerzucony przez podłokietnik pled, narzuciła ojcu na nogi i starannie go nim opatuliła. Na miłość losu, ależ był wychudzony. Powiedzieć o nim „skóra i kości” to jak nic nie powiedzieć: nawet skóry niewiele już na nim zostało.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Jego lewa powieka drgnęła w nerwowym tiku.

– Zauważyłaś, żeby kraj upadał?

– Dziś nie.

– W takim razie chyba nadal żyję. Ale jutro powinnaś znów sprawdzić. Wszędzie mam wrogów: w Pałacu, w Zamkniętej Radzie, Otwartej Radzie, na polach i w fabrykach. Anglandczycy, którzy już przed wojną byli na mnie wściekli, dziś wprost się pienią na myśl o mnie. Wszędzie jestem znienawidzony.

– Tutaj nie – odparła. Była to z jej strony najlepsza namiastka czułości, na jaką umiała się zdobyć.

– I to mi wystarczy z naddatkiem. – Delikatnie dotknął jej twarzy: zimne opuszki palców na spoconym policzku. – To i tak znacznie więcej, niż zasługuję.

– Nie da się chyba zająć któregoś z ważnych stołków, nie dorobiwszy się przy okazji paru wrogów.

Prychnął z rozgoryczeniem, które nawet u niego wydało się przesadzone.

– Gdy tylko dotkniesz tyłkiem drewna, orientujesz się, ile taki stołek jest naprawdę wart. Myślisz, że Zamknięta Rada naprawdę rządzi? Albo król i królowa? Wszyscy jesteśmy marionetkami. Mamy przyciągać uwagę i brać na siebie winę.

Savine zmarszczyła brwi.

– Kto w takim razie pociąga za sznurki?

Spojrzała ojcu w oczy, nieprzejeđnane i błyszczące.

– Przez całe życie zadawałem pytania i nauczyłem się, że są takie, które lepiej pozostawić bez odpowiedzi. – Opuścił rękę i położył dłoń na dłoni córki, tej, w której trzymała klingi. – Popracuj teraz nad obroną.

– Do trzech trafień? – zaproponował Gorst.

Savine podrzuciła krótkie ostrze w powietrze i złapała je lewą ręką.

– Jak chcesz.

Ruszył powoli w jej stronę, szurając stopami, pchnął i ciął bez przekonania. Z łatwością zablokowała sztychy, efektywnym ruchem nadgarstka zbiła cięcie w bok.

– Jeżeli pani gubernator doprowadzi do pata w starciu z Północnymi, jakie to będzie miało skutki dla naszych interesów w Anglandzie?

– Ha! – Jej ojciec uśmiechnął się szeroko. – Zastanawiałem się, kiedy przejdziemy do kwestii pieniędzy.

– Wcale od niej nie odeszliśmy. – Savine sparowała cios i uniknęła ospałego wypadu. Jak na człowieka słynącego z zajadłości, Gorst był zdumiewająco nieskuteczny. – Ceny na Północy lecą na łeb, na szyję. Powinnam wszystko sprzedać czy raczej bardziej się zaangażować?

– Unia nie odpuści Anglandu. Gdybym był człowiekiem interesu, skupowałbym wszystko, jak leci. W końcu niebezpieczeństwo i okazja...

– ...często idą w parze – dokończyła Savine i kątem oka dostrzegła, jak ojciec się uśmiecha. Niewiele rzeczy sprawiało jej taką satysfakcję, jak wywołanie uśmiechu na twarzy arcylektora. Nikt poza jej matką tego nie potrafił. – Rozejrzę się wobec tego za kredytem, który pozwoliłby mi zwiększyć inwestycje w tamtejsze kopalnie. – Sama z trudem powstrzymywała się teraz od uśmiechu. – Valint i Balk mają znakomitą ofertę...

– Przestań! – warknął ojciec. Wzdrygnął się przy tym tak, że zrobiło jej się go żal. – Nawet tak nie żartuj, Savine. Valint i Balk to kanalie. Pasożyty. Pijawki. Kiedy raz się ciebie uczepią, już się od nich nie uwolnisz. Nie spoczną, póki nie zawłaszczą słońca i nie zaczną pobierać od świata opłat za jego codzienne wschodzenie. Obiecuj mi, że nigdy nie przyjmiesz ich oferty!

– Obiecuję. Będę się od nich trzymać z daleka. – Choć nie było to łatwe. Dom bankierski Valint i Balk do złudzenia przypominał starą, zachłanną wierzbę, której poskręcane

korzenie sięgają dosłownie wszędzie. – Zresztą nie chodzi o jakieś wielkie pieniądze. Nabyłam już pakiet kontrolny składnicy broni w Ostenhormie za śmieszłą sumę. Nie uwierzyłbyś.

– Miecze zawsze są dobrą inwestycją – przyznał arcylektor, patrząc, jak córka broni się przed ciosami Gorsta.

– Ale podobno przyszłość należy do plujących ogniem rur, tych całych... armat.

– W Styrii mieliśmy z nimi mieszane doświadczenia.

– Ostatnio buduje się je coraz mniejsze, coraz bardziej przenośne i zarazem coraz mocniejsze. – Savine z wdziękiem uchyliła się przed bezpłciowym pchnięciem Gorsta. – Opracowano też już eksplodującą amunicję.

– Eksplozje to również dobra inwestycja.

– Zwłaszcza gdyby udało mi się zdobyć zlecenie albo dwa od gwardii królewskiej.

– Ach tak... Znasz kogoś wpływowego?

– Tak się składa, że zaaranżowałam mały wieczorek z Asil dan Roth i paru innymi małżonkami wojskowych. O ile mi wiadomo, jej mąż został niedawno mianowany Zbrojmistrzem Królewskim.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności – zauważył z przekąsem ojciec.

Następny wypad Gorsta był wprost uwłaczająco delikatny.

– Ja też nie jestem ze szkła. – Poirytowana Savine zahaczyła klingą o czubek jego ostrza. – Włóż trochę serca w swoje ataki.

Od małego uczyła się fechtować. W dzieciństwie marzyła o tym, żeby w męskim przebraniu wygrać Turniej, a potem zamaszystym gestem zdjąć czapkę i odsłonić złote loki na oczach szalejącego w ekstazie tłumu. Kiedy przyszła moda na peruki, Savine zgoliła loki – które, prawdę mówiąc, i tak miały dość przeciętny brązowy kolor. Z czasem nauczyła się, że mężczyźni nigdy nie wiwatują na cześć kobiety, która zwycięża ich w wymyślonych przez nich rozrywkach. Porzuciła więc krąg szermierczy i postanowiła liczyć swoje triumfy w bankach.

Sparowała kolejne dwa pchnięcia niewiele mocniejsze od

tamtego, ale tym razem zwinnie uniknęła następującego po nich cięcia i uderzyła Gorsta koszową rękojęścią krótszej klingi.

– Walczysz też jak baba? – zapytała. – Czy tylko mówisz w taki sposób?

Gorst ledwo zauważalnie przymrużył oczy.

– Ajajaj! – Jej ojciec parsknął śmiechem. – Jeden zero dla damy.

– Chcę się dowiedzieć, jakie to uczucie, zostać zaatakowaną przez człowieka, który naprawdę jest niebezpieczny. – Savine przyjęła postawę wyjściową, pewna swojego chwytu na broni i ufna w swoje umiejętności. – Inaczej to nie ma sensu.

Gorst zerknął na arcylektora, który zacisnął w zadumie wargi, po czym leciuteńko wzruszył ramionami.

– Chce się uczyć – powiedział. Na jego twarzy malowała się nieznaną Savine bezwzględność. – Naucz ją więc.

Coś się zmieniło, Gorst w jakiś inny sposób zajął miejsce w kręgu i przyjął postawę, inaczej niż zwykle obrócił stopy na skrzypiących deskach, rozluźnił potężne bary, mocniej ścisnął poszczerbioną broń. Trudno byłoby powiedzieć, że na jego płaskiej twarzy odmalowały się jakieś emocje, ale Savine odniosła wrażenie, że uchyliły się jakieś drzwi, za którymi czaiło się coś potwornego.

Łatwo się uśmiechać na widok byka, o którym wiesz, że jest uwięzany. Kiedy jednak znienacka zdajesz sobie sprawę, że łańcuch zniknął, a byk kieruje rogi w twoją stronę i drapie ziemię kopytem, nagle wydaje się zupełnie innym zwierzęciem.

Prawie zdążyła otworzyć usta, żeby powiedzieć „Zaczekaj”.

– Zaczynajcie.

Była przygotowana na jego siłę, ale kompletnie zaskoczył ją szybkością: dopadł jej, zanim zdążyła nabrać tchu. Wytrzeszczyła oczy, gdy długą klingą ciął z góry na dół; ledwie starczyło jej przytomności umysłu, żeby uskoczyć i sparować cios krótkim ostrzem.

A nie, jednak nie była przygotowana na jego siłę. Od impetu uderzenia zadzwoniły jej zęby, a ręka zdrętwiała od czubków palców aż po bark. Savine zatoczyła się w tył, dysząc ciężko, ale

krótka klinga Gorsta była tuż, uderzyła w jej dłuższą broń i wytrąciła ją z nieczułych palców. Ostrze zaklekotało na podłodze. Savine machnęła na oślep lewakiem, zapominając o wszelkim szkoleniu i technice, zdążyła jeszcze zobaczyć błysk stali...

Pchnięcie długiej klingi trafiło ją w pierś, wydusiło całe powietrze z płuc w jednym palącym sapnięciu, niemal uniosło ją w powietrze i odepchnęło w bok. Zachwiała się, omal nie przewróciła, a ułamek sekundy później bark Gorsta wyrzucił ją w korpus. Głowa poleciała jej w przód, twarz z czymś się zderzyła, być może z ciemieniem przeciwnika.

Czyżby frunęła w powietrzu?

Ściana grzmotnęła ją w plecy, sala zawirowała, i Savine z zaskoczeniem stwierdziła, że tkwi na czworakach i gapi się w podłogę. Krople krwi skapywały na drewno tuż przed jej twarzą.

Stęknęła.

Żebra bolały ją przy każdym urywanym oddechu, żółć wymiocin paliła w gardle. Z lewą dłonią zaplątaną w osłonę rękojeści krótkiej klingi szukała po omacku długiej broni, aż w końcu namacała ją na podłodze. Miała pozdzieraną skórę na wierzchu palców, a gdy na chwilę przytknęła drżącą dłoń do ust, cofnęła ją całą we krwi. Trzęsła się.

To bolało. Ucierpiała jej twarz, ucierpiały tułów i duma, ale to nie ból najbardziej nią wstrząsnął. Najgorsza była bezradność. Całkowicie błędna ocena własnych możliwości. Kurtyna została zerwana i Savine zrozumiała, jaka jest naprawdę krucha; jak kruchy jest każdy człowiek w obliczu wymierzonego w gniewie cięcia mieczem. Świat nagle stał się zupełnie innym miejscem niż jeszcze przed chwilą, innym i bynajmniej nie lepszym.

Gorst przykucnął obok niej. Trzymał obie klingi w jednej ręce.

– Powinienem ci chyba powiedzieć, że i tak się hamowałem.

Skinęła głową i krzywiąc się z bólu, wyprostowała się na klęczkach.

– Rozumiem.

Na twarzy jej ojca próżno byłoby szukać oznak wyrzutów

sumienia. Jak sam lubił powtarzać: nieustanny ból skutecznie go z nich wyleczył.

– Fechtunek to jedno – powiedział – ale prawdziwa walka to coś zupełnie innego. Mało kto jest do niej stworzony. Warto się od czasu do czasu wyżyć złudzeń co do swoich możliwości, nawet jeśli miałyby to zabość.

Z uśmiechem patrzył, jak Savine ociera skapującą z nosa krew. Od dawna już nie próbowała go zrozumieć. Zwykle była jedyną rzeczą, którą kochał, w świecie, którym gardził. Od czasu do czasu traktował ją jednak jak rywala, którego należy zmiążyć.

– Jeżeli zostaniesz zaatakowana przez człowieka, który jest naprawdę niebezpieczny, moja rada brzmi: uciekaj. – Gorst wyprostował się i wyciągnął do niej szeroką dłoń. – I liczę raczej na to, że sam się wkrótce zniszczy.

Pomógł jej wstać. Nogi miała jak z galarety.

– Dziękuję, pułkowniku Gorst. To było... nadzwyczaj pouczające. – Miała ochotę się rozplakać, w każdym razie jej ciało miało ochotę się rozplakać, ale ona nie zamierzała mu na to pozwolić. Zaciśnęła zęby i lekko zadarła głowę. – Za tydzień o tej samej porze?

Jej ojciec parsknął chrapliwym śmiechem i z uciechy plasnął dłonią o podłokietnik fotela.

– Zuch dziewczyna!

# Obietnice

Pleczysty nie spał. Leżał i patrzył w sufit.

Obok żółtego purchla na wybialkowanej ścianie widniała rysa. Miał wrażenie, że wpatruje się w nią przez całą noc. Patrzył na nią także wtedy, gdy promienie słońca wspinały się po wąskich budynkach, przesywały pranie rozwieszone na sznurach pomiędzy nimi, wpadały w głąb wąskiej uliczki i przez wąskie okienko dosięgały jednoizbowej sutereny, w której mieszkali.

Miał wrażenie, że od tygodni patrzy na tę rysę i rozmyśla, rozważa różne sprawy, obraca je w głowie, zamartwia się nimi, jakby wymagały od niego podjęcia poważnych decyzji – gdy w rzeczywistości wszystkie ważne decyzje już podjął, dokonał niewłaściwych wyborów i teraz nie mógł nic zmienić.

Westchnął ciężko, czując w gardle charakterystyczne oleiste drapanie valbeckiego powietrza, a w nosie pleśniowy odór gówna i cebuli, stale obecny w suterenie mimo starań szorującej ją Liddy. Smród wgryzł się w ściany. Wgryzł się w jego skórę.

Na ulicy ludzie szli do pracy, ich buty – widoczne przez maciupęńkie okienko pod sufitem – miesiły blocko, ich cienie migotały na upstrzonej grzybem ścianie.

– Jak ręce? – mruknęła Liddy, odwracając się do niego na wąskim łóżku.

Poruszył palcami. Skrzywił się.

– Rano zawsze bolą.

Liddy ujęła jego wielgachną dłoń w obie swoje, znacznie drobniejsze, i zaczęła rozcierać jej obolałe wnętrze i pulsujące bólem knykcie.

– May już wstała? – zapytał.

– Wymknęła się po cichu. Nie chciała cię budzić.



Leżeli tak obok siebie, ona patrzyła na niego, on nie śmiał spojrzeć na nią. Nie chciał oglądać rozczarowania w jej oczach. Troski. Strachu. Nawet jeśli były to jego własne rozczarowanie, troska i strach, odbijające się jak w lustrze.

– To nie w porządku wobec niej – wyszeptał do rysy na suficie. – Powinna mieć normalne życie, tańce, zalotników... A nie usługiwać jakiemuś bogatemu łajdakowi.

– Nie ma nic przeciwko temu. Chce pomóc. To dobra dziewczyna.

– Jest najlepszym, co zrobiłem w życiu. Jediną dobrą rzeczą, jaką zrobiłem.

– Uczyniłeś wiele dobra, Gunnarze. Zrobiłeś wiele dobrych rzeczy.

– Nie wiesz, jak było w Styrii, jaki ja byłem w Styrii...

– W takim razie teraz zrób coś dobrego. – W głosie Liddy zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. Ostatni raz uścisnęła dłoń męża i ją puściła. – Nie zmienisz przeszłości, prawda? Masz wpływ tylko na to, co przyjdzie.

Miał ochotę się z nią pospierać, ale nie dostrzegał żadnej luki w jej rozsądnej argumentacji. Leżał więc, dąsał się i słuchał szurania butów, jazgotu gniewnych głosów i pokrzykiwań dziewczyny na rogu powtarzającej złe nowiny: wywołane brakiem chleba zamieszki w Holsthormie, spalenie fabryki w Kelnie, niepokoje w całym Midderlandzie i wojna, wojna na Północy.

– To moja wina – mruknął. Nie miał jak zaatakować Liddy, więc napadł sam na siebie. – Nie powinienem był iść na wojnę.

– To ja cię puściłam. I to ja straciłam farmę.

– Farma i tak była stracona. Tamto życie nie miało przyszłości. Dla ciebie i May lepiej by było, gdybym nie wrócił.

Zdecydowanym gestem położyła mu dłoń na policzku i odwróciła jego głowę w taki sposób, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Nigdy tak nie mów, Gunnarze. Nigdy.

– Zabiłem ich, Liddy – wyszeptał. – Zabiłem ich.

Nie odpowiedziała. Co miała powiedzieć?

– W jednej chwili wszystko spieprzyłem. Jest w ogóle coś, czego nie zniszczyłem?

– Niczego nie da się zniszczyć w jednej chwili. Wszystko zawsze wisi na włosku. A teraz musimy patrzeć w przyszłość, bo tak się właśnie robi. Żyje się dalej.

– Naprawię to. Znajdę tu pracę.

– Na pewno. – Liddy się uśmiechnęła. Kosztowało ją to sporo wysiłku, ale jednak się uśmiechnęła. – Jesteś dobrym człowiekiem, Gunnarze.

Wzdrygnął się, poczuł w nosie bolesne ukłucie wzbierających łez.

– Koniec z przemocą – wychrypiał. – Obiecuję, Liddy. – Złapał się na tym, że zaciska pięści. Rozluźnił dłonie. – Od tej pory nie będę szukał kłopotów.

– Gunnarze... – zamruczała z powagą Liddy. – Nie składaj obietnic, co do których nie jesteś pewien, że ich dotrzymasz.

Strużka pyłu osypała się na łóżko. W pobliskiej hucie uruchamiano maszyny, od których wibracji trzęsła się cała suterena.

\* \* \*

Dopiero kiedy Pleczysty skręcił za róg, zdał sobie sprawę, do czego ustawił się w kolejce. Nad rozsuwanymi drzwiami magazynu złotą farbą wymalowano napis Piwa Cadmana. Ze środka dobiegały zgiełk i tumult, odgłosy intensywnej pracy. Browar. Połowę czasu w Styrii chodził pijany, a przez drugą połowę szukał okazji, żeby się upić. Obiecał nie szukać kłopotów, a przecież wiedział, że dla niego kłopoty czają się na dnie każdej butelki.

Tyle że w Valbecku pokusa czyhała na każdym kroku. W co drugim domu mieściła się jakaś spelunka albo destylarnia, legalna albo nie, którą dziwki, złodzieje i żebracy obsiadali jak muchy stertę gnoju, a gdyby nawet nie stało człowiekowi sił, żeby dotrzeć do sąsiednich drzwi i tam topić swoje smutki, mógł

zawsze liczyć na obnośnych sprzedawców piwa, którzy kursowali po ulicach z beczkami na plecach i dostarczali trunek do domu.

Browar źle wróżył złożonej przez Pleczystego obietnicy niepakowania się w kłopoty, ale w Valbecku niewiele widział dobrych wróżb, a rozpaczliwie potrzebował zajęcia. Dlatego zgarbił się, otulił ciaśniej płaszczem dla ochrony przed siąpiącym z mrocznego nieba czarnym jak atrament kapuśniaczkim i szurając nogami, przesunął się o kolejne pół kroku.

– Obojętne, jak wcześnie przyjdę, zawsze jest kolejka – powiedział mężczyzna o szarych włosach i szarej twarzy, zakutany w przetarty na łokciach płaszcz.

– Coraz więcej ludzi szuka roboty w Valbecku – mruknął inny.

– Ludzi zawsze jest więcej niż pracy. Miałem kiedyś dom w dolinie niedaleko Hambernaltu. Wiecie, gdzie to jest?

– Nie bardzo – odparł Pleczysty.

Przed oczami stanęła mu jego dolina: zielone drzewa kołyszące się na wietrze, miękka zielona trawa wokół kostek. Miał świadomość, że pamięć wszystko upiększa, a życie na farmie było ciężką i marnie wynagradzaną harówką, ale tam przynajmniej otaczała go zieleń. W Valbecku nie było niczego zielonego – może poza rzeką niosącą wielkie kolorowe plamy zanieczyszczeń z mieszczących się w górze jej biegu farbiarni.

– Kiedyś to była piękna dolina – monotonnym tonem kontynuował szarowłosy – i piękny miałem dom, w lesie, nad rzeką. Wychowałem w nim pięciu chłopaków. Można było zarobić na wyrębie, na wypalaniu węgla... A potem zaczęli wypalać tani węgiel w piecu w górze doliny i rzeką zaczęła spływać smoła. – Smętnie pociągnął nosem. – Ceny spadły na łeb, na szyję. Zresztą ten przekłety lord Barezin i tak wyciął las pod pastwiska.

Ogromny wóz przetoczył się z turkotem obok nich, klekocące koła rozbryznęły zalegające na ulicy błoto i ochlapały nim stojących w kolejce mężczyzn, którzy zamamrotali ze złością i obrzucili inwektywami woźnicę, na co ten zamamrotał ze

złością i również obrzucił ich inwektywami. Kolejka posunęła się kolejne pół kroku do przodu.

– Moi synowie znaleźli sobie inne zajęcia. Jeden zginął w Styrii. Jeden podobno ożenił się gdzieś niedaleko Kelnu. Ja musiałem się zapożyczyć i ostatecznie straciłem dom. Kiedyś to była piękna dolina.

– No cóż – mruknął Pleczysty, nazbyt rozżalony swoim losem, żeby czerpać pociechę z tego, że kto inny uzala się nad sobą. – „Kiedyś była” nic ci nie da.

– Co prawda, to prawda – zgodził się z nim staruszek. Pleczysty natychmiast pożałował, że się odezwał. – Pamiętam, byłem wtedy jeszcze szczeniakiem...

– Stul pysk, stary kmiecie! – warknął mężczyzna stojący przed Pleczystym, wielki dryblas z gwiazdkowatą blizną na policzku i oberwanym kawałkiem ucha.

Weteran wojenny, jak nic. Na dźwięk przebijającej z jego głosu złości Pleczystemu serce zabiło żywiej. Poczł muśnięcie podniecenia.

Starszy mężczyzna zagapił się na niego.

– Nie chciałem nikogo obrazić...

– Więc zamknij ryj, do kurwy nędzy.

Po prostu siedź cicho. Nie mieszaj się do tego. Dawno powinien był przyswoić sobie tę lekcję, prawda? Wykładano mu ją dziesięć razy, jeśli nie więcej. Obiecał Liddy, dosłownie przed paroma godzinami jej obiecał. Dość kłopotów.

– Daj mu spokój – mruknął.

– Co powiedziałeś?

Zdjął okulary i schował je do kieszeni płaszcza. Kolejka stała się rozmazaną plamą, została z niej tylko rozwścieczona twarz dryblasa.

– Wiem, co czujesz – mówił dalej. – Jesteś zawiedziony. Przypuszczam, że żadnemu z nas tutaj życie nie ułożyło się tak, jakbyśmy chcieli. Mam rację?

– A co ty wiesz o tym, czego ja bym chciał?

Pleczysty z najwyższym trudem powstrzymał się od rozwalenia dryblasowi głowy – ale przecież obiecał Liddy.

Dlatego zrobił tylko krok do przodu, obnażył zęby w grymasie i splunął tamtemu prosto na poblizniony policzek.

– Na pewno nie tego – powiedział, podnosząc pięść. – A teraz odwróć się – dodał, wskazując palcem kierunek – zanim przebiję tę ścianę twoim łbem.

Oszpecony blizną policzek drgnął i przez ułamek sekundy Pleczysty myślał, że dryblas ruszy do walki; przez jedną piękną chwilę miał nadzieję, że nie będzie musiał dłużej się hamować. Po raz pierwszy od tygodni mógłby znów poczuć się wolny, po raz pierwszy od czasu, gdy zmasakrował gębę Lennarta Nieczęstego.

Dryblas zwrócił spojrzenie przekrwionych oczu na pięść Pleczystego i tatuaż na jej wierzchniej stronie. Burknął coś pod nosem i się odwrócił. Przez chwilę stał, przestępując z nogi na nogę, zanim w końcu postawił obszarpany kołnierz, wyszedł z kolejki i sobie poszedł.

– Dzięki – odezwał się staruszek. Rysująca się na wychudzonej szyi grdyka podskoczyła mu nerwowo. – Niewielu zostało takich, którzy umieją się przyzwoicie zachować.

– Przyzwoicie. – Pleczysty skrzywił się i rozprostował palce. Miał wrażenie, że tylko zacisnąwszy pięści, nie odczuwa bólu w dłoniach. – Nawet już nie wiem, co to znaczy.

Przez ostatnie tygodnie najróżniejsi ludzie stawali na czele tych kolejek i decydowali o tym, kto dostanie pracę, a kto odejdzie z niczym. Większości z nich sprawiało przyjemność upokarzanie petentów. Oficerowie w Styrii byli tacy sami. Odrobina władzy rzadko czyni człowieka lepszym.

Ale dziś przed drzwiami browaru, pod małą markizą siedział jeden z porządniejszych brygadzystów: pochylony nad wielgachną księgą, siwowłosa, krzepki, o wyważonych, precyzyjnych ruchach, wyglądał na człowieka, który wszystko sobie starannie przemyślał i dokładnie wie, jak należy się zachowywać.

– Nazywam się Gunnar Byk – skłamał Pleczysty. Nie umiał kłamać i miał wrażenie, że brygadzista przejrzał go na wylot.

– Jestem Malmer. – Brygadzista zmierzył go wzrokiem. – Masz

doświadczenie w browarnictwie?

– Przez lata wypilem sporo piwa. – Pleczysty spróbował się uśmiechnąć, ale Malmer nie był ubawiony. – Ale nie, nie mam żadnego doświadczenia przy produkcji.

Malmer pokiwał wolno głową, jak człowiek przywykły do rozczarowań.

– Ale będę ciężko pracował. – W tym tygodniu Pleczysty załapał się do pracy dosłownie na dwie godziny, przy sprzątanii stajni. Browar był jego trzecim przystankiem tego dnia; nie mógł wrócić do domu z pustymi rękami. – Mogę przerzucać węgiel, zmiatać podłogi albo... no... cokolwiek pan powie. Obiecuję, że będę harował za trzech.

Malmer uśmiechnął się półgębkiem.

– Obietnice nic nie kosztują, przyjacielu.

– Tam do czorta, czy to nie sierżant Pleczysty?!

Z browaru wyszedł szczupły mężczyzna o brodzie koloru piasku, ubrany w poplamiony fartuch. Na widok Pleczystego przystanął i ujął się pod boki. Jego twarz wydała się Pleczystemu znajoma, ale chwilę trwało, zanim sobie przypomniał, gdzie poprzednio ją widział, i zdołał ją wpasować w swoje obecne życie.

– Sarlby?

– To Byk Pleczysty! – Sarlby złapał Pleczystego za rękę i szarpnął ją z takim animuszem, jakby próbował wycisnąć wodę z zardzewiałej pompy. – Pamiętasz, Malmer? Opowiadałem ci o nim! Walczyliśmy razem w Styrii. Właściwie to walczyłem za jego plecami, bo pchać się przed niego byłoby nierozsądnie.

Malmer rozsiadł się wygodniej na krześle i jeszcze raz otaksował Pleczystego wzrokiem.

– Dużo mi opowiadałeś o Styrii – powiedział. – Przyznaję, że nie zawsze cię słuchałem.

– To zacznij słuchać, głąbie, bo to jest najlepszy człowiek, jakiego znam! Był pierwszy na drabinach podczas oblężenia Borletty! W każdym razie pierwszy, który od razu nie spadł. Zawsze pierwszy szedł do ataku. Ile razy tak było? Pięć? – Złapał

Pleczystego za nadgarstek i podciągnął mu rękaw, odsłaniając gwiazdki wytatuowane na knykciach. – Widzicie te kurwy? – Mówił takim tonem, jakby przechwalał się wielkim okazem warzywa, za który zdobył nagrodę na wystawie. – Widzicie te kurwy?!

Pleczysty wyszarpnął rękę z jego uścisku i obciągnął rękaw.

– To przeszłość – powiedział.

– Z doświadczenia wiem, że przeszłość nigdy nie zostaje zbyt daleko w tyle – powiedział Malmer. – Ręczysz za niego, Sarlby?

– Każdy, kto walczył z nim ramie w ramie, poręczyłby za niego po stokroć. Jak mi życie miłe, kurwa, jasne, że za niego ręczę!

– Zatrudniam cię. – Malmer zamoczył pióro, spokojnie strząsnął nadmiar atramentu i zawiesił nad księgą. – To jak piszemy? Byk? Czy Pleczysty?

– Proszę zapisać Gunnar Byk.

– Adres?

– Mieszkamy w suterenie przy Loteryjnej. Tam domy nie mają numerów.

– W suterenie? – Sarlby pokręcił głową z niesmakiem. – Nie martw się, wyciągniemy was stamtąd. – Przyjacielskim gestem objął Pleczystego i wprowadził do ciepłego, zgiełkliwego i smrodliwego wnętrza. – Co ty tu w ogóle robisz? Wydawało mi się, że masz własne gospodarstwo.

– Musiałem... sprzedać – mruknął Pleczysty, zająknąwszy się na kłamstwie.

Sarlby się uśmiechnął.

– Kłopoty, co?

– No – wychrypiął Pleczysty. – Tak jakby.

– Masz ochotę? – Sarlby podał mu butelkę.

Owszem, miał. Znacznie większą, niżby to podpowiadał zdrowy rozsądek.

– Lepiej nie – odparł z wysiłkiem. – Jak już zacznę, trudno mi przestać.

– Pamiętam, że w Styrii nie byłeś taki ostrożny. – Sarlby pociągnął łyk napitku.

– Staram się nie powtarzać dawnych błędów.

– Ja za to stale je powtarzam, psiamać! Jak ci się podoba Valbeck?

– Jest w porządku.

– To jedna wielka, zasrana kupa żużlu. Pierdolona maszynka do mięsa. Jebana dziura.

– W sumie racja. – Pleczysty odął policzki. – Dziura.

– Bogatym, na wzgórzu, żyje się nieźle, ale co my mamy powiedzieć? My, którzy walczyliśmy o nasz kraj? Co mamy? Otwarte rynsztoki. Po trzy rodziny w pokoju. Syf na ulicach. Silni żerujący na słabych. Kiedyś żyło się lepiej. Uczciwiej.

– Poważnie?

Ale Sarlby nie słuchał.

– Dziś człowiek jest wart tylko tyle, ile roboty da się z niego wydusić. Jesteśmy traktowani jak szmaty, które można wycisnąć i wyrzucić. Jak trybiki w wielkiej maszynie. Ale są tacy, którzy chcieliby poprawić nasz los.

Pleczysty uniósł brew.

– Zauważyłem, że ci, którzy najwięcej gadają o czynieniu dobra, po drodze czynią najwięcej zła.

Tego również Sarlby nie usłyszał. Zawsze był mistrzem w niesłyszaniu słów, których nie chciał słyszeć. Może każdy tak ma.

Pochylił się do ucha Pleczystego, jakby zamierzał mu zdradzić jakąś tajemnicę.

– Słyszałeś o Destruktorach?

– O tych bandytach? Niszczą maszyny, palą fabryki... To zdrajcy.

– Tylko ta pierdolona inkwizycja tak ich nazywa. – Sarlby splunął na wysypaną trocinami podłogę. W pluciu też zawsze był mistrzem. – Ale Destruktorzy zmieniają świat! Nie chodzi o to, że niszczą maszyny, Pleczysty. Oni zrywają łańcuchy! Twoje i moje kajdany.

– Ja nie noszę kajdan.

– Powiedział gość, który mieszka w suterenie przy Loteryjnej. Nie mówię o łańcuchach na rękach, tylko o tych, które niewolą



twój umysł; które skuwają naszą przyszłość i przyszłość naszych dzieci. Władcy zostaną obaleni. Upadną wszyscy ci, którzy tuczą się na naszym znoju i bólu, lordowie i damy, królowie i księżęta.

– Oczy Sarlby’ego zabłysły, gdy wyobraził sobie wizję przyszłości. – Nigdy więcej żaden bogaty skurwiel nie będzie nam mówił, jak żyć. Każdy będzie mógł decydować o swoim życiu. Każdy będzie miał prawo głosu.

– Pozbędziemy się króla?

– Każdy człowiek będzie królem!

Dawniej Pleczysty mógłby oskarżyć Sarlby’ego o zdradę stanu, ale przez ostatnie dwa lata jego patriotyzm dostał niewąski łomot i teraz Pleczysty traktował bajania przyjaciela jak sny na jawie.

– Boję się, że wtedy tego „króla” nie wystarczy dla wszystkich – mruknął. – Słuchaj, Sarlby, nie chcę mieć kłopotów. Dość się nacierpiałem.

– Dla niektórych kłopoty to naturalne środowisko. A ty zawsze byłeś najlepszy, kiedy miałeś zaciśnięte pięści.

Pleczysty skrzywił się na te słowa.

– Najgorszy też – zauważył.

– Oblegałeś miasta, wspinałeś się na mury... Wiesz, jak wygląda prawda: wszystko, co wartościowe, trzeba sobie wywalczyć.

Sarlby wyszczerzył zęby i wymierzył cios pięścią w powietrze. On też na wierzchniej stronie dłoni miał tatuaże szturmowca.

– Być może. – Pleczysty poczuł łaskotanie podniecenia, ukłucie radości, ale odepchnął je i wciągnął dłoń jak najgłębiej w rękaw. – Ale ja się już w życiu dość nawalczyłem.

Obiecał coś Liddy i tym razem zamierzał dotrzymać obietnicy.

## Cios zadany szaremu człowiekowi

– Wszystko gotowe? – zapytał Sibalt.

Mimo ciemności Vick wyraźnie wyczuwała jego podenerwowanie, co bynajmniej jej nie uspokajało. Obejrzała się na Moora: potężna sylwetka na koźle, z lejcami w dłoniach. Przeniosła wzrok na siedzącego obok Łoja w za dużym sztormiaku. Deszcz bębnił głośno o impregnowany materiał.

Niewiele brakowało, żeby znów zapytała, czy na pewno chcą to zrobić.

Jest jednak czas na wątpliwości, na przetrwanie ryzyka i konsekwencji – a potem ta chwila mija, czasem zupełnie niepostrzeżenie, i nagle robi się za późno, trzeba się zaangażować i pójść na całość, nie oglądając się na siebie.

– Gotowe – odparła. – Ruszajmy.

Grise złapała ją za rękę.

– A co z nimi?

Ruchem głowy wskazała dwóch przemokniętych stróżów nocnych stojących z boków bramy huty. Trzymane przez nich latarnie wyławiały z mroku ich ściągnięte z nerwów twarze.

– Są opłaceni.

– Zapłaciliście tym skurwielom?!

– Złoto bardziej przemawia do ludzi niż żelazo. W dodatku prawie zawsze wychodzi taniej.

I zanim Grise zdążyła zareagować, Vick wtuliła głowę w ramiona, postawiła kołnierz i ruszyła na drugą stronę ulicy.

Rozejrzała się na boki, ale mżawka była ich sprzymierzeńcem: ulica w obu kierunkach świeciła pustkami. Gdy Vick zbliżała się do bramy, krew dudniła jej pod czaszką, a strach zakradał się do gardła, ponaglał ją, kazał jej krzyczeć. Tłumaczyła sobie, że w przeszłości bywała w gorszych opalach –

bo tak właśnie było. Starła się głęboko oddychać i iść powoli.

– Dostawa – powiedziała, sama zaskoczona tym, jak spokojnie brzmi jej głos.

Stróż podniósł latarnię, żeby przyjrzeć się intruzowi. Vick zmrużyła oślepienie światłem oczy, a on zapukał w bramę. Rozległ się szcęk zdejmowanej od wewnątrz sztaby. Nocne dostawy nie były niczym nadzwyczajnym.

– Jazda! – zawołała Vick.

Moor strzelił lejcami i przeprowadził wóz w poprzek błotnistej ulicy, wprost na ciemny dziedziniec huty. Połyskujące wilgocią hałdy węgla i stosy drewna majaczyły w ciemnościach niczym duchy. Ściana huty wznosiła się jak urwisko, przez okna sączył się złowieszczy blask.

Moor zawołał cicho do potężnego konia pociągowego, zaciągnął hamulec i oddał lejce Łojowi. Sibalt zeskoczył z tyłu wozu na ziemię i wytarł ręce w skórzany fartuch.

– Na razie wszystko gra – mruknął, kierując się wraz z Vick do wrót budynku.

– Na razie – potwierdziła.

Potężna kłódka była otwarta. Vick wyłuskała ją ze skobla i oparła dłonie na wielgachnym uchwycie. Sibalt zrobił to samo. Jej ręce i jego, obok siebie. Pchnęli jednocześnie, szcęknięty kółeczka i wrota zaczęły się przesuwac w bok.

Gorąco buchnęło ze środka. Piece, maszyny i paleniska cały czas emanowały przyjemną poświatą. Tutaj nigdy nie było zimno, nigdy nie było ciemno. Wzrok Vick wyłowił z półmroku żelazne podpory, szkielet budowli, kolumny, za którymi rozmieszczają ładunki.

Cofnęła się dwa kroki w stronę wozu; Sibalt już bez jej pomocy otworzył drzwi do końca. Grise zdążyła przez ten czas odwiązać sznur przytrzymujący brezent i ściągnąć płachtę, odsłaniając ukryte pod nią beczki.

– Dobra – szepnęła Vick. – Weźmy tę, pierwszą z...

Powódź blasku zalała podwórze – to rozmieszczone dookoła dziedzińca latarnie zostały jednocześnie odsłonięte – i wszyscy zamarli w bezruchu oślepieni nagłą jasnością: Grise na wozie, ze

zwojem sznura w rękach; Moor z dłonią wsuniętą pod pierwszą z beczek; trzymający lejce Łój, któremu oczy wychodziły z orbit; Sibalt w otwartych drzwiach huty.

Jakże szybko ich plany wzięły w łeb.

– Stać! – rozległ się skrzekliwy głos. – W imieniu Jego Wysokości, stać!

Koń się spłoszył i szarpnął wozem. Zgrzytnął zaciągnięty hamulec. Grise spadła na ziemię.

Moor puścił beczkę i wyprostował się z siekierą w dłoni.

Łój wydał z siebie nieartykułowany, piskliwy krzyk.

Nastąpiły po sobie trzask, brzęk, świst. Bełty wbiły się z głuchym łoskotem w burtę wozu. Oraz w Moora.

Vick już biegła. Złapała Sibalta i pociągnęła go do wnętrza huty. Biegli dalej, klucząc wśród wyłaniającej się z ognistego półmroku maszynerii, wozów i szyn. Sibalt pośliznął się, grzmotnął w jakąś skrzynię i aż stęknął z bólu. Metalowe pręty posypały się z głośnym trzaskiem na kamienną posadzkę.

Vick pomogła mu wstać, chociaż sama omal się przy tym nie przewróciła. Jej zdyszany oddech, jego świszczące sapanie, głośnie plaśnięcia stóp – wszystkie dźwięki odbijały się od wysoko zawieszonego sufitu. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyła migające światła i jakiś ruch. Z ciemności dobiegały pokrzykiwania.

Zaparło jej dech w piersi, gdy zahaczyła o coś głową: zwieszający się z góry łańcuch. Odepchnęła go, rozkołysała i zostawiła za sobą. Parę kroków dalej Sibalt złapał ją pod ramię i pociągnął w ciemną lukę między dwiema ogromnymi żelaznymi kadziami. Nie zdążyła nawet zapytać, po co to robi, gdy zobaczyła światło także z przodu. Usłyszała kroki. Zostali osaczeni.

– Czekali na nas – wyszeptał Sibalt. – Wiedzieli, że przyjdziemy.

– Kto im powiedział? – zapytała również szeptem Vick.

W półmroku twarz Sibalta wydała jej się jakaś dziwna. Zazwyczaj malował się na niej niepokój, w tej chwili jednak Sibalt miał taką minę, jakby ktoś zdjął mu z ramion wielki

ciężar. Spuściła wzrok i dostrzegła w jego dłoni sztylet, lśniący pomarańczowo odbitym blaskiem pieców. Odruchowo cofnęła się o krok.

– Nie myślisz chyba, że to ja?

– Nie, nie myślę. Ale to bez znaczenia.

Z oddali dobiegły krzyki Grise:

– No dalej, skurwysyny! Chodźcie tu! Chodźcie do mnie!

– Sama to powiedziałaś – przypomniał Sibalt. – Prędzej czy później każdy sypie. Przykro mi, że zostawiam cię na lodzie.

– O czym ty mówisz? – Głos Vick już nie brzmiał spokojnie.

Sibalt posłał jej swój charakterystyczny smutny uśmiech.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Przychodzi taka chwila... kiedy człowiek musi się postawić.

I wbił sobie sztylet w szyję.

– Nie! – szepnęła Vick. – Nie, nie, nie!

Przycisnęła ręce do jego szyi, ale nic nie mogła zrobić: gardło miał rozplątane, w ranie wzbierała czarna krew. Ręce miała lepkie od krwi aż po łokcie, spodnie szybko nasiąkały oślizłym ciepłem.

Sibalt wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, krztusił się, czerń płynęła mu z ust i nosa. Może próbował jej coś przekazać, wyrazić żal, przebaczenie, nadzieję, pretensje... Nie miała pojęcia.

Pokrzykiwania Grise przeszły w nieartykułowany wrzask, potem w stłumione gulgotanie. Brzmiała jak człowiek, któremu ktoś założył worek na głowę.

Oczy Sibalta się zaszklily. Vick wypuściła z rąk jego krwawiącą szyję i usiadła, oparta plecami o metal, który nie wystygł jeszcze po pracowitym dniu. Bezwładnie zwiesiła czerwone od krwi dłonie.

W takim stanie znaleźli ją praktycy.

## Poznanie strzały

Rikke pędziła z impetem w dół zbocza, drzewa i niebo skakały jej przed oczami. Szlag trafił wszystkie jej precyzyjne plany, a przy okazji także pelerynę i łuk. Na tym właśnie polega problem z planami: mało który z nich jest w stanie sprostać sforze psów ścigającej człowieka w ulewnym deszczu. Mokra ciernie złapały ją za kostkę i szarpnęły mocno. Zatoczyła się, wrzasnęła, ale jej krzyk ucichł jak ucięty nożem, gdy wyrznęła twarzą w pień drzewa. Przewróciła się i poturlała bezradnie przez kolczasty gąszcz, postępując przy każdym uderzeniu o ziemię, aż wreszcie z przeciągłym jękiem zjechała twarzą w stertę nasiąkniętych wodą liści.

Podniosła wzrok i zobaczyła parę wysokich butów. Podniosła wzrok nieco bardziej i zobaczyła ubranego w te buty mężczyznę, który patrzył na nią z góry. Na jego twarzy malowało się raczej zaskoczenie niż triumf.

– Niezłe wejście – powiedział.

Nie był zbyt wysoki, ale za to krzepki jak drzewo: potężny, muskularny tors, potężne, muskularne ręce, potężna szyja, mocna żuchwa, kciuki zatknięte za sfatygowany pas podtrzymujący miecz. Mógł być mniej więcej tego samego wzrostu co ona, ale z pewnością ważył dwa razy więcej. Jeden policzek miał zdeformowany pokaźną blizną.

Wypluła kawałki liści.

– Kurwa... – szepnęła.

Zamiast złapać ją za szyję, mężczyzna odsunął się i uklonił.

– Proszę – powiedział i wytwornym ruchem szerokiej dłoni wskazał jej drogę. Taki gest bardziej pasowałby któremuś z tych wymuskanych fagasów z Ostenhormu.

Zamiast tracić czas na rozmyślenia nad tym darem od losu,

złapała go w obie ręce.

– Dzięki – wysapała, stając na nogi.

W ustach czuła smak krwi. Przemoczona koszula pozaczepiała się w sposób beznadziejny o cierniste krzaki, Rikke pozbyła się jej więc i zadyszana, na miękkich nogach, ruszyła przed siebie w samym podkoszulku.

Słyszając za plecami szczekanie psów, oglądała się czasem do tyłu: w chłostanym ulewą lesie migwały cienie, które – była o tym przekonana – w każdej chwili mogły się na nią rzucić, wgryźć się jej w tyłek i obalić ją na ziemię. Za to z przodu ktoś głośno przedzierał się przez las.

– Rikke? – Rozpoznała głos Isern. – Jesteś tam?

– Jestem, jestem... – wykrztusiła. – Doganiam cię.

Spomiędzy pni błysnęło światło, drzewa się rozstąpiły i Rikke poczuła przyprawiającą o zawrót głowy ulgę, która – jak zwykle – bardzo szybko zmieniła się w zgrozę. Widząc z wysoka tę bliznę wśród lasu, domyślały się, że mają przed sobą dolinę rzeki. Zza zasłony deszczu nie było jednak widać, że rzeka płynie w głębokim parowie. Teraz zaś było to oczywiste: skalista grań rzadko porośnięta lichą trawą, uczeplone jej karłowate drzewka i spieniona woda przewalająca się z hukiem w dole. Trzymając włócznie nad głową, Isern wybiła się w powietrze, wygięła plecy w łuk i długim susem przeskoczyła onieśmielającą przepaść, szeroką na co najmniej cztery kroki. Przeturlała się po mokrym mchu i paprociach na drugim brzegu i zwinnie stanęła na nogi.

Rikke przyszło do głowy, że mogłaby przystanąć, ale kiedy chwilę potem pomyślała o tym, że miałyby zostać wyruchana przez konia Stoura Zmierzchuna, perspektywa wylądowania na dnie przepaści wydała jej się całkiem atrakcyjna. Zwłaszcza że w gruncie rzeczy wcale nie mogła się zatrzymać w pół kroku, pędząc na złamanie karku po stromym i śliskim stoku. Zmusiła się więc do jeszcze szybszego biegu, mimo że zęby jej szczękały, a płuca pracowały jak miechy, i zaufała swojemu szczęściu, które ostatnio nieszczególnie jej sprzyjało.

Wypadła spomiędzy drzew. Parów nagle wydał jej się

znacznie szerszy niż przed chwilą, poszarpane skały opadały stromo w wodną pianę.

Szczyście jej dopisało: znalazła solidny punkt oparcia na samym skraju wąwozu, mocno wybiła się z prawej nogi i przepięknie pofrunęła w powietrzu. Zimny wiatr wdzierał jej się do szeroko otwartych ust, deszcz zacinał prosto w twarz.

Problem polegał na tym, że zbyt wcześnie zaczęła spadać. Może gdyby zjadła coś rano, w jej wyskoku byłoby więcej siły – ale nie zjadła. Drapała rękami powietrze, jakby w ten sposób mogła przyciągnąć się do przeciwległej krawędzi, lecz spadała już bardzo szybko i nie potrzebowała długiego oka, żeby wiedzieć, że nie doleci.

Okrutna sprawiedliwość ziemi. Prędzej czy później każdy, kto próbuje skakać, musi się z nią zmierzyć.

Śliskie od deszczu skały wybiegły jej na spotkanie.

– Ożeż kur...

Wyrznęła brzuchem o skraj urwiska. Stęknęła, zapłuła się, zaparło jej dech w piersi. Rozpaczliwie czepiała się mokrych liści, mokrych korzeni, mokrej trawy, aż w końcu bez sił i bez tchu, za to z piaskiem w oczach zaczęła się zsuwać poza krawędź, na próżno drąc paznokciami ziemię.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. Ponad krawędzią pojawiła się twarz Isern: grymas wściekłego wysiłku, biała blizna na ustach, język widoczny w szparze między zębami. Rikke jęknęła z bólu, miała wrażenie, że za chwilę Isern wyrwie jej rękę z barku.

Może powinna była powiedzieć wiedźmie, żeby ją puściła – wielki dramatyczny gest, ostatnia łza na policzku tuż przed tym, jak runie w przepaść, ku zagładzie – ale kiedy czujesz na karku tchnienie Wielkiego Rozjemcy, sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Uczepiła się żyłastego ramienia Isern, jak niedoszła topielica masztu tonącego statku, i krztusiła się, szarpała, wierzgała, grożąc pociągnięciem w przepaść ich obu.

– Kurwa, ile ty ważysz... Ożeż ty!

Coś śmignęło w powietrzu. Isern stęknęła i wyteżyła wszystkie siły. Rikke natrafiła wreszcie stopą na kamień,



zapała się o niego i wypchnęła całe ciało w górę. W końcu zdołała nabrać powietrza w obolałe płuca, z jękiem pchnęła po raz drugi... i Isern przewróciła się na plecy, pociągając ją za sobą. Przeturlały się w gąszcz mokrych paproci.

– Ruchy!

Isern z wysiłkiem wstała, upadła i zaczęła się czołgać, wlokąc za sobą włócznię wraz z wyrwanym przy okazji kawałkiem darni. W jej nodze tkwiła strzała: Rikke wyraźnie widziała wystający z tyłu uda zakrwawiony grot.

Deszcz nieco zelżał. Obejrzawszy się, Rikke zobaczyła ujadające psy, które kręciły się na skraju przepaści, a także – kilka kroków powyżej nich, wśród drzew – klęczącego mężczyznę. Był wystarczająco blisko, żeby widziała marsowy grymas na jego umorusanej twarzy, wystrzępiony skraj karwasza, napięty łuk w ręce.

Otworzyła szeroko oczy. Jedno z nich zapłonęło żywym ogniem, jak wstawiony w czaszkę rozżarzony węgielek.

Usłyszała trzepot zwolnionej cięciwy.

Zobaczyła strzałę.

Zobaczyła ją długim okiem.

W ułamku sekundy – niczym światło wypełniające jej pokój o wschodzie słońca, gdy nagle otworzy się okiennice – zalała ją cała wiedza o tej strzale.

W jednej chwili zobaczyła ją całą, jej przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Zobaczyła, jak ją stworzono – kowal zaciskał zęby, gdy wykuwał grot, a rzemieślnik wypychał językiem policzek, przycinając w skupieniu lotki.

Zobaczyła, jak strzała zakończy swój żywot: spróchniała brzechwa, grot rdzewiejący w kolczastych zaroślach.

Zobaczyła ją w kołczanie zawieszonym w nogach łóżka, kiedy łucznik całował żonę, Riam, na pożegnanie i życzył jej szybkiego zagojenia się złamanego palca.

Zobaczyła, jak lśniący grot trafia spadającą kroplę deszczu i roztrzaskuje ją w skrzącą się blaskiem mgiełkę.

I bez cienia wątpliwości wiedziała, dokąd strzała zmierza. Dokąd zawsze zmierzała.

Wystawiła więc rękę, a gdy strzała wybiegła jej na spotkanie – Rikke wiedziała, że inaczej być nie może – z łatwością zbiła ją w bok, ot, po prostu szturchnęła palcem i strzała chybiła kulejącej Isern, po czym śmignęła między drzewa, nie czyniąc nikomu krzywdy. Odbiła się jeszcze od pnia i utknęła w poszyciu na swoim miejscu, właściwym miejscu, jedynym możliwym, w którym Rikke widziała ją próchniejącą w gęstwinie.

– Na pamięć poległych... – wyszeptała wpatrzona w swoją dłoń.

Na czubku palca wskazującego wzbierała kropelka krwi. Grot strzały musiał o niego zahaczyć. Zadygotała na całym ciele. Do tej pory w to nie wierzyła, nie uwierzyła nawet kiedy zobaczyła Uffrith stojący w ogniu, jak w jej śnie. Ale teraz nie mogła dłużej zaprzeczać faktom.

Miała długie oko.

I oko to pulsowało ciepłem w jej lepkiej, wilgotnej twarzy. Spojrzała na łucznika, który przyglądał jej się ze zgrozą i tylko szczeka opadała mu coraz niżej i niżej.

Na myśl o tym, że dokonała niemożliwego, wezbrał jej w piersi cudowny, radosny śmiech. Uniosła triumfalnie pięść.

– Pozdrów ode mnie Riam! – wykrzyknęła. – Oby palec zrósł się jej jak najszybciej!

A potem dopadła Isern, złapała ją pod pachę i pomogła jej ukryć się wśród ociekających wodą drzew.

Wcześniej jednak mignął jej jeszcze most linowy: znajdował się sto stóp od nich w górę rzeki i kolebał się i skręcał na boki, gdy pędzili po nim kolejni ludzie zbrojni w lśniącą od deszczu stal. Nie wiedziała, ilu ich dokładnie było, ale z pewnością wystarczająco wielu. Radość z poznania strzały zgasła w niej jak zdmuchnięty płomyk świecy.

– Chodź – ponagliła szeptem Isern.

Razem zagłębiły się w gąszcz czepliwych, zachłannych, mokrych krzaków. Kiedy Isern upadła i warknęła ze złością, Rikke pomogła jej wstać, ale ociężała w przemoczonym ubraniu i powłócząca nogą wiedźma poruszała się bardzo wolno.

– Idź – powiedziała Isern. – Będę szła za tobą.

– Nie – odparła Rikke, wlokąc ją.

Słyszała za plecami odgłosy walki. Krzyki ludzi. Skamlenie psów. Trzask i zgrzyt stali. Dźwięki niosły się echem wśród drzew, dobiegały zewsząd i zarazem znikąd. Odepchnęła chłuszczące ją gałęzie i przedarła się na podmokłą polanę. Deszcz osłabł, przeszedł w mżawkę, ale omszała skalna ściana przed nimi ociekała strużkami wody.

– Na górę! – Isern odwróciła się w stronę lasu i z jękiem bólu osunęła się bokiem na ziemię, gdy zraniona noga nie utrzymała jej ciężaru. – Wspinaj się!

– Nie. Nie zostawię cię.

– Lepiej, żeby przeżyła jedna z nas, niż żebyśmy obie zginęły. Idź.

– Nie – powtórzyła Rikke.

Ktoś przedzierał się przez las w ich stronę. Ktoś duży.

– W takim razie stań za mną. – Isern odepchnęła Rikke do tyłu.

Nie była jednak w stanie ustać na nogach, nie wsparłszy się na włóczni. Nie było mowy, żeby mogła z kimś walczyć. A już z pewnością nie miała szansy wygrać.

– Wystarczy tego chowania się za twoimi plecami. – O dziwo, Rikke już się nie bała. – Zresztą i tak kiepsko się wspinam. – Odgięła palce Isern zaciśnięte na drzewcu włóczni i pomogła wiedzmie oprzeć się o skałę. – Czas, żebym to ja stanęła z przodu.

Isern cofnęła się, ledwie trzymając się na spływającej krwi nodze.

– Już po nas.

Rikke mocniej ścisnęła włócznię, opuściła ją i wymierzyła grot w stronę drzew. Wahala się, czy trzymać broń do końca, czy lepiej nią rzucić, gdy tylko wróg się pojawi. Chciałaby, żeby jej drugie oko znów się otworzyło; nie musiałyby wtedy zgadywać.

Przypomniała sobie słowa Stoura Zmierzchuna, które słyszała nad głową, gdy kryła się w strumieniu: jej wnętrzności zapakowane w skrzyneczkę i przybrane ziołami, żeby ojciec nie

poczuł ich zapachu, dopóki nie zajrzy do środka.

– No chodźcie tu! – zawołała. Ślina prysnęła jej z ust. – Chodźcie, kurwa! Czekam!

Zaszeleściły mokre liście i na polanę wyszedł mężczyzna – wysoki, w sfatygowanym płaszczu, uzbrojony w poszczerbioną tarczę i miecz ze srebrzystą literą na ostrzu przy rękojeści. Spod opadającej na twarz szopy siwych włosów przezieriała paskudna blizna przecinająca czoło, brew i policzek aż do kącika ust. W zdeformowanym lewym oczodole zamiast oka tkwiła jasna kulka martwego metalu, lśniąca w promieniach słońca.

Na widok Rikke i Isern, zakrwawionych i przyczajonych pod skałą, mężczyzna uniósł brwi – a właściwie uniósł jedną brew, tę nieuszkodzoną; ta poparzona tylko lekko drgnęła.

– Szukałem was – powiedział.

Rikke jeszcze przez chwilę po prostu stała nieruchomo, z wybałuszonymi oczami, a potem zrobiła krok w jego stronę, z drzeniem wypuściła powietrze z płuc, puściła włócznię i rzuciła mu się na szyję.

– Caul Dreszcz! Się wam, kurwa, nie śpieszyło! – wycedziła Isern przez zaciśnięte zęby. – Ścigają nas ludzie Zmierzchuna.

– Nie musicie się już nimi martwić.

Dopiero teraz Rikke zauważyła, że miecz Dreszcza jest cały zbryzgany krwią. Caul zawsze umiał w paru słowach wyrazić obfitość treści.

– Dasz radę iść? – zapytał.

– Gdybym nie miała strzały w nodze – syknęła Isern – mogłabym biegać w kółko dookoła ciebie.

– Nie wątpię. – Dreszcz przykucnął obok niej i odął porośnięte siwą szczeciną policzki. – Ale masz strzałę w nodze.

Szturchnął drzewce palcem. Isern skrzywiła się z bólu.

– Nie będziesz mnie niósł – warknęła. – Mowy nie ma, kurwa!

– Uwierz mi, wcale się do tego nie palę. – Dreszcz wsunął miecz w uchwyt przy pasie. – Ale kiedy masz coś do zrobienia, to lepiej to zrobić...

– ...niż wiecznie się bać – dokończyła Rikke. To było jedno z ulubionych powiedzonek jej ojca.

Dreszcz złapał Isern za rękę i zarzucił ją sobie na ramię, jakby nic nie ważyła. Biorąc pod uwagę, ile ostatnio jadły z Rikke, faktycznie nie mogła być zbyt ciężka.

– Co za upokorzenie – burknęła z twarzą przyciśniętą do pleców Dreszcza, kiedy ten ruszył w drogę.

– A co ze mną? – mruknęła Rikke.

Odkąd przestało jej zagrażać niebezpieczeństwo, siły zupełnie ją opuściły, mięśniami twarzy zaczęły wstrząsać nerwowe tiki, nogi jej się plątały i bała się, że zaraz upadnie – i już nie wstanie.

– Zawsze lubiłaś marudzić. – Dreszcz tylko pokręcił głową. – Chodź, ojciec na ciebie czeka.

## Czekasz czy tracisz czas?

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że może za dużo pijesz? – spytała Cudna.

Koniczyna mlasnął.

– „Za dużo” to by było, z definicji, za dużo, ja zaś odkryłem, że ile wypiję, zawsze jest w sam raz – odparł, podając jej butelkę.

Cudna pokręciła głową.

– Wszyscy pijacy tak mówią.

Koniczyna posłał jej urażone spojrzenie.

– Ci zasadniczo trzeźwi też. – Świetnie się prezentował urażony. Lata praktyki. – Uraziłaś mnie. Widziałaś kiedyś, żebym po pijanemu przegrał jakąś bójkę?

– Nigdy nie widziałam, żebyś się bił.

Zakorkował butelkę.

– To najlepszy dowód, że znam umiar.

– Na twoim miejscu przynajmniej próbowałabym wyglądać na trzeźwego. – Cudna ruchem głowy wskazała ścieżkę. – Idzie Wielki Wilk.

Rzeczywiście szedł, zbliżał się teatralnym krokiem, jednocześnie dumnie paradował i gniewnie stąpał z marsem na czole i gromadką posępnych młodzików za plecami. Niewolnicy rozbiegali się przed nim jak kurczaki na podwórku. Zważywszy na unoszącą się w powietrzu wilgoć, prawdziwym cudem było, że nie bucha z niego para.

„Oto bogowie wojny”. Koniczyna poruszył bezgłośnie ustami, po czym, gdy Wielki Wilk znalazł się bliżej, zapytał:

– Napijesz się, wodzu?

Stour wytrącił mu butelkę z ręki. Poleciała w krzaki.

Koniczyna odprowadził ją smętnym spojrzeniem.

– Rozumiem, że nie – powiedział.

– Uciekła! – warknął przyszyły król z wyjątkową nawet jak na niego furią. – Wymknęła się nam, pierdolona sucz!

– Wszyscy jesteście zrozpaczeni.

– Przeszła dokładnie tamtędy, gdzie mieliście być! – warknął jeden z łajdaków Stoura, znany jako Greenway. Gdyby za szydercze uśmieszki przechodziło się do legendy, miałyby gwarantowane miejsce we wszystkich pieśniach. – Widzieliście ją?

– Widziałem jej koszulę. – Koniczyna rzucił mu podarty łach.

– W każdym razie domyślam się, że to jej. Wątpię jednak, żeby na ciebie pasowała, będzie piła pod pachami...

Greenway ze złością cisnął koszulę na ziemię.

– Widzieliście ją czy nie?!

– Gdybym ją zobaczył, tobym ją złapał.

– Do tego musiałbyś ruszyć dupę! – zachnął się Magweer. Próbował naśladować Stoura i zgrywać wilka w klatce, ale wypadał w tej roli znacznie mniej złowieszczo.

– No to przynajmniej bym was zawołał – zgodził się Koniczyna. – Do tego nie trzeba wstawać.

W duchu się zastanawiał, dlaczego właściwie ich nie zawołał. Kiedy ją zobaczył, obszarpaną i zrozpaczoną, i pomyślał o tych wszystkich draniach depczących jej po piętach, zrobiło mu się jej żal. Na polowaniach też zawsze w duchu kibicował lisowi. Jeżeli nie umiesz zwyciężyć bez torturowania na wpół obłąkanej młodej dziewczyny, to może nie zasługujesz na zwycięstwo? A może całe te rozważania były gównem, a ona po prostu wpadła mu w oko? Smutna prawda była taka, że ładni ludzie umieli wykaraskać się z niejednych tarapatów, które dla brzydkich skończyłyby się fatalnie.

Spojrzał na Greenwaya, potem na Magweera i wzruszył ramionami.

– Najwidoczniej polowanie na dziewczyny to nie moja bajka.

Stour podszedł bliżej i zmierzył go spojrzeniem swoich wiecznie wilgotnych oczu.

– To ja decyduję, co jest twoją bajką, a co nie.

Koniczyna zbył go kolejnym wzruszeniem ramion.

– Służę ci pokornie, wielki książę, ale po prostu nie umiem się zmienić w motyla. Twój ojciec przysłał mnie tutaj ze względu na mój spryt, nie chyżość. Równie dobrze mógłbyś sobie zażyczyć, żeby wiatr płynął, a rzeka wiała.

– Jesteś lojalny, Koniczyna, co? – spytał półgłosem Magweer, jakby w tych słowach kryła się jakaś chytra pułapka.

– W granicach rozsądku, owszem. Lubię tak o sobie myśleć. Kiedy wiatr dmie, trzeba się przed nim ugiąć.

– Słyszałem, że zwróciłeś się przeciw Glamie Złotemu – wtrącił Greenway, windując sztukę szyderczego uśmiešku na nowe wyżyny. – Przeciw Cairmowi Żelaznorękiemu też.

– Pozostałem lojalny wobec nich obu – odparł Koniczyna – ale jeszcze bardziej lojalny byłem wobec siebie. Prawda jest taka, że ludzie lubią gadać o lojalności, dopóki nie uwięzi ich ona po stronie pokonanych. Bo wtedy nagle zapominają języka w gębie. Dlatego uważam, że człowiek rozsądnie lojalny jest lepszy niż większość, a z całą pewnością jest od tej większości uczciwszy. Tylko głupiec każe ludziom nazbyt często wybierać pomiędzy lojalnością i rozsądkiem. Ale wracając do tematu: jak udało jej się uciec?

– Na drugim brzegu rzeki czekał na nią Caul Dreszcz – syknął Stour, zaciskając pięści. – Zabił czterech moich ludzi.

– Dreszcz. – Magweer zacisnął pięści w identycznym geście. – Szkoda, że stary zjeb nie trafił na mnie.

Cudna i Koniczyna równocześnie wybuchnęli śmiechem. Koniczyna pochylił się, oparłszy ręce na kolanach, a Cudna, z jedną pięścią wspartą na jego barku, odchyliła się do tyłu. Musieli przedstawiać niecodzienny widok, zanosząc się tak śmiechem, ale nie byli w stanie się powstrzymać.

– To było dobre – przyznał Koniczyna, łapiąc gwałtownie oddech. – Naprawdę dobre.

– Co cię tak bawi, kutafonie?

Cudna wskazała palcem kolekcję broni Magweera.

– Caul Dreszcz, mój przyjacielu, wsadziłby ci te wszystkie toporki głęboko w dupę. Powinieneś uważać, kogo wybierasz na przeciwnika. Prędzej czy później trafisz na większego, niżbyś



chciał.

– Żadna walka mi niestraszna – burknął Magweer.

– Serio? – spytała Cudna. – A gdybyś ty był sam, a ich było dziewiętnastu?

Rozdziawił usta, natężył się, żeby coś powiedzieć, ale nie znalazł właściwych słów. Był ucieleśnieniem dziecięcych wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać wojownik: posępny, muskularny i obwieszony wszystkimi możliwymi zabawkami, jakie kowal umiał wyprodukować.

Koniczyna westchnął ciężko.

– Uspokój się, przyjacielu – powiedział.

– Bo jak nie, to co, staruszk?

– Bo jak nie, to będzie ci smutno, a świat i tak jest już wystarczająco ponury, nie trzeba na nim kolejnego smutasa. Łazicie po tym lesie nachmurzeni jak Krwawa Dziewiątka, jakbyście byli gotowi zamordować cały świat, gdyby tylko trafiła się po temu okazja.

Stour zmrużył oczy.

– Krwawa Dziewiątka był największym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziała Północ.

– Wiem – odparł Koniczyna. – Widziałem, jak pokonał w pojedynku Fenrisa Straszliwego.

Cisza.

– Widziałeś to? – Do płaczliwego głosu Stoura zakradła się nieoczekiwana nuta szacunku.

Cudna znów się roześmiała i walnęła pięścią w bark Koniczyny.

– Trzymał tarczę – powiedziała.

– Trzymałeś tarczę, kiedy Krwawa Dziewiątka walczył ze Straszliwym?

– Stałem po stronie twojego dziadka, Bethoda – przytaknął Koniczyna. – Miałem osiemnaście lat, nie miałem pojęcia o świecie i uważałem się za twardego skurczybyka.

– Wszyscy mówią, że to był wielki pojedynek – wyszeptał zapatrzony w dal Stour.

– Na pewno był krwawy. Szkoda tylko, że wyniosłem z niego

niewłaściwą naukę, przez co sam później raz czy drugi szukałem zwady... – Koniczyna złapał się na tym, że drapie się po bliźnie, i zmusił się do opuszczenia ręki. – Jeśli chcesz mojej rady, powiem tak: nie wchodź do kręgu.

– Ale to właśnie w kręgu zdobywa się sławę! – zachnął się Stour i uderzył się pięścią w pierś. – To w kręgu pokonałem Nieznajomego-u-Bram. Porąbałem go na kawałki!

– Ponoć był to pojedynek godny pieśni – powiedział Koniczyna. – Tak słyszałem. – W rzeczywistości słyszał, że Nieznajomy-u-Bram posunął się w latach, stracił refleks i na starość nie dorastał już do swojej dawnej reputacji: tragedia każdego wielkiego wojownika, który nie zginie u szczytu sławy. – Pamiętaj jednak, że za każdym razem, gdy wkraczasz do kręgu, twoje życie balansuje na ostrzu miecza. Prędzej czy później spadnie na niewłaściwą stronę.

Młodzi wojownicy Stoura zareagowali szyderstwem i kpina, jakby całkiem rozsądne słowa Koniczyny zasługiwały tylko na skrajną pogardę.

– Czy Czarny Dow lękał się kręgu? – zadrwił Greenway.

– Albo Whirrun z Bligh? Shama Bezduszny? – pytał Magweer.  
– Rudd Trójdzwiecz?

Cudna przewróciła oczami. Zamierzała zapewne wytknąć rozmówcom, że wszyscy czterej wspomniani przez nich wojownicy zginęli gwałtowną śmiercią, w tym dwóch w kręgu. Ale Stour ją uprzedził.

– Krwawa Dziewiątka stoczył jedenaście pojedynków – przypomniał. – Wygrał wszystkie.

– Owszem, Krwawa Dziewiątka pokonał przeznaczenie – przyznał Koniczyna. – Pobił Straszliwego i skradł twojemu dziadkowi łańcuch. I co mu z tego przyszło? Stracił wszystko, niczego nie stworzył, a z czasem łańcuch i tak wróci w twoje ręce. Kto by chciał być taki jak on?

Stour rozłożył ręce, wybałuszył oczy, przybrał teatralną pozę.

– Jedyne łańcuch, jaki mnie interesuje, to łańcuch krwi!

Nie było w tym krztyny sensu. Jak niby upleść łańcuch z krwi? Fatalna metafora.

Ale Magweer, Greenway i reszta dupolizów odpowiedzieli chórem groźnych pomruków i wygrazaniem pięściami.

– Nie chcę być taki jak Krwawa Dziewiątka! – grzmiał Stour. – Chcę się stać Krwawą Dziewiątką! – Jego uśmiech wariata stał się jeszcze szerszy. Teraz naprawdę przypominał Krwawą Dziewiątkę w jego najgorszych momentach. – Nikt nie był od niego sławniejszy. I nikt nie budził większego lęku.

– Chce zostać Krwawą Dziewiątką – podsumowała beznamiętnie Cudna, gdy Wielki Wilk, któremu jak zwykle śpieszyło się nie wiadomo dokąd, oddalił się poza zasięg głosu.

– Żeby kobiety słuwały na ziemię na dźwięk jego imienia. Żeby przez lata siać śmierć, a na koniec zebrać żniwo nienawiści. Żeby po kres swoich dni kroczyć w kręgu krwi. – Koniczyna bezradnie pokręcił głową. – Nigdy nie zdołam pojąć, dlaczego ludzie pragną tego, czego pragną.

– Pozwolisz, żeby ten błazen Magweer odzywał się do ciebie w taki sposób?

Koniczyna spojrział na Cudną z ukosa.

– A co ci przeszkadza, jak on się do mnie odzywa?

– Utwierdza tych młodych durniów w przekonaniu, że wszystko wiedzą lepiej.

– Nie możemy tłumaczyć wszystkim durniom, że się mylą, tak jak nie możemy powstrzymać przyływów i odpływów morza.

Koniczyna z żalem zapatrzył się na gąszcz mokrych krzaków, gdzie wylądowała wytrącona przez Stoura butelka; zastanawiał się, czy zostało w niej dość trunku, żeby opłacało się jej szukać. Doszedł do wniosku, że raczej nie, podszedł do najbliższego drzewa i pomalutku pod nim usiadł.

– Słowa nie kaleczą, a ja dość już w życiu stoczyłem sporów. Ostatnio staram się raczej przed nimi uciekać.

– Nadzwyczaj rozważnie, chociaż, jak sam przyznałeś, kiepski z ciebie biegacz.

– Istotnie. Nauczyłem się, że jeżeli ktoś koniecznie się chce pokłócić, to są tylko dwa możliwe wyjścia. – Koniczyna wiercił się i przytulał plecami do pnia, aż znalazł wygodną pozycję. – Pierwsze jest takie, że nie zwracasz uwagi, jesteś ponad to,

przefruwasz górą jak niesione wiatrem nasionko dmuchawca.

– A drugie?

– Drugie? Mordujesz skurwiela. – Koniczyna uśmiechnął się do niebieskiego nieba, na którym słońce wreszcie zaczynało przygrzewać. – Nie chciałbym jednak psuć takiego pięknego popołudnia zabijaniem kogokolwiek. A ty?

– Szkoda by było, fakt. – Cudna patrzyła, jak Koniczyna układa się na ziemi i krzyżuje nogi w kostkach. – Co robisz?

– To, co wszyscy powinniśmy robić. – Zamknął oczy. – Czekam sobie.

– A jaka jest różnica między czekaniem i traceniem czasu?

Koniczyna nie uznał za stosowne podnosić powiek.

– Skutki, kobieto. Skutki.

## Im większy przeciwnik...

Glaward ściągnął koszulę i rzucił ją Barnivie, po czym zetknął zaciśnięte pięści i warknął gardłowo, prężąc twarde mięśnie na ogromnej piersi. Zebrani pod płotem widzowie odpowiedzieli pomrukiem aprobaty i podziwu. Zakłady szły w najlepsze. Szanse Leo z pewnością oceniano coraz niżej.

– Słowo daję, on jeszcze urósł. – Jurand z niedowierzaniem wytrzeszczał oczy.

– Ja też – burknął Leo, próbując głosem dodać sobie krzepy.

– To widać: nogi masz już prawie równie grube jak on ręce.

– Pokonam go.

– Mieczem na pewno. Dlaczego chcesz z nim walczyć na pięści?

Leo zaczął rozpinąć koszulę.

– Kiedy mieszkałem w Uffricie, Wilczarz opowiadał mi o Krwawej Dziewiątce, o pojedynkach stoczonych przez niego w kręgu... Uwielbiałem te opowieści. Ganiałem z kijem w garści po ogrodzie na tyłach domu i udawałem, że jestem Dziewięciopalcym, a palik od sznura na pranie grał rolę Rudda Trójdrzewca, Czarnego Dowa albo Fenrisa Straszliwego.

Kiedy wypowiadał te imiona, nadal przeszywał go dreszcz. Były jak magiczne zaklęcia.

Jurand patrzył, jak Glaward na rozgrzewce walczy z cieniem. Bił mocno.

– Palik nie wybije ci zębów – zauważył.

Leo narzucił mu koszulę na głowę.

– Prawdziwy czempion nigdy nie wie, czym będzie musiał walczyć. Dlatego zawsze pozwalam wam wybrać broń. – Poranek był chłodny, zaczął więc podskakiwać na palcach, żeby się rozgrzać. – To dlatego pokonałem Barnivę oburęcznym

mieczem, Antaupa włócznią, Kipielnika Jina maczugą, a ciebie klingami szermierczymi. Dlatego z Ritterem rywalizuję w strzelaniu z łuku. To znaczy rywalizowałem. – Nieszczęsny frajer już nie żył. – Ale jeszcze nigdy nie wygrałem z Gławardem na pięści.

– Ja się nie dziwię. – Na czole Juranda zarysowała się znajoma pionowa zmarszczka. – Jest wielki jak stodoła.

– Im większy przeciwnik...

– ...tym mocniej bije?

– Porażki uczą nas więcej niż zwycięstwa – mruknął Leo, oklepując zmarznięte mięśnie.

– Ale też bardziej będzie cierpiał. – Jurand zniżył głos. – Przynajmniej obiecaj mi, że nie będziesz próbował walczyć czysto.

– Albo będę walczył honorowo, albo wcale – odparował Leo. Wydawało mu się, że w którejś z jego ksiązek Casamir Niezlomny tak właśnie powiedział. – Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

– Twojej. – Jurand wyglądał na urażonego tym pytaniem. – Jak zawsze. Wszyscy stoimy po twojej stronie i dlatego wcale nie będę zachwycony, kiedy Gławard cię przydusi i stracisz przytomność.

Leo zmrużył oczy.

– Po swoim sekundancie oczekuję wiary we mnie – przypomniał.

Ściągnę zagrały pod skórą Gławarda, gdy uniósł pięści. Leo musiał przyznać, że prezentuje się majestatycznie, jak posąg z przesadnie zarysowaną rzeźbą mięśni. Nawet zęby miał muskularne, tak to przynajmniej wyglądało.

– Uduszę cię jak kociaka! – zapowiedział chrapliwym głosem.

– Wiwat Młody Kot! – parsknął Barniva, budząc powszechną wesołość wśród widzów.

– Czy kiedy zginiesz, mogę wziąć twojego konia? – zapytał szeptem Jurand.

– Więcej wiary – warknął Leo i ruszył do natarcia.

Atakuj, zawsze atakuj. Zwłaszcza gdy jesteś słabszy.

Udało mu się zaskoczyć Gławarda, uchylił się pod jego przecinającą powietrze pięścią – poczuł na włosach towarzyszący jej podmuch powietrza – i z całej siły uderzył w korpus.

Gławard na pewno miał trochę tłuszczu, ale wszelkie nadzieje, że pod spodem będzie miękki, okazały się płonne. Leo miał wrażenie, że wyrzwał pięścią w drzewo.

– Psiakrew... – syknął przez zaciśnięte zęby i nie przestając się uśmiechać, strzepnął pulsujące bólem palce.

– Zaraz będziesz żarł piach – zapowiedział groźnie Gławard.

Coraz liczniejsza publika odpowiedziała śmiechem i wiwatami.

Leo powinien był przede wszystkim śledzić ruch pięści Gławarda, ale jego wzrok co rusz przyciągały dwie absolutnie niezwykle kobiety wśród widzów. Starsza miała pozbawioną wyrazu wąską twarz o ostrych rysach, zniekształcone blizną usta i spodnie z rozciętą nogawką, spod której wзираły bandaże. Z kolei młodsza miała twarz szeroką i aż nazbyt ekspresyjną, gruby złoty kolczyk w szerokim piegowatym nosie i tak obszerną grzywę rudobrazowych włosów, że gapie stojący z tyłu musieli się wychylać na boki, żeby coś zza niej widzieć.

– Jakie to męskie – powiedziała. Podniosła nogę i oparła zabłocony but na poprzeczce płotu. Język zwisał luźno spod byle jak zaplecionych sznurówek. – Wstęp jest płatny?

– Wydaje mi się – odparła starsza – że rozbierają się za darmo.

Młoda rozpostarła ramiona i rozpromieniła się w uśmiechu.

– To piękny obywatelski gest!

Gławard nie zamierzał odpuścić przeciwnikowi, napierał niestrudzenie, jedną ręką wymierzając krótkie, kąśliwe i potencjalnie zabójcze proste. Leo uchylił się przed jednym, przed drugim, ale trzeci zahaczył go w policzek i wytrącił z równowagi. Leo miał szczęście, że pośliznął się na mokrej trawie, bo w tej samej chwili druga pięść Gławarda przecięła powietrze w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała się jego głowa. Wycofał się po okręgu i wymierzył

Glawardowi żałośnie słabe pacnięcie w żebra, które nie przyniosło żadnego efektu.

Glaward prychnął wzgardliwie.

– My tu walczymy czy tańczymy?

Ponad jego barkiem Leo znów dostrzegł dziewczynę z kolczykiem: zezując, spoglądała na opadający jej na twarz kosmyk włosów. Wysunęła dolną wargę, dmuchnęła i kosmyk na chwilę odfrunął, by zaraz opaść do oczu wraz z trzema innymi. Wydała się Leo dziwnie znajoma, jak słowo, które ma się na końcu języka.

– Walczymy! – odwarknął. Przygarbił się, wyszczerzył zęby i zasypał Glawarda gradem ciosów. Ślina pryskała mu z ust.

– Tak jest! – wykrzyknął Jurand. – Pokaż mu!

Najszczersze wysiłki Leo spełzyły jednak na niczym, jego uderzenia napotykały gardę potężnych przedramion, prześlizgiwały się po ciemieniu, odbijały od boków tułowia. A potem nie wiadomo skąd pojawiła się wielgachna pięść, która trafiła go od dołu w podbródek, aż zachwiał się na nogach. Stęknął bezradnie, gdy coś złapało go za pas i uniosło w powietrze.

Ciemna ziemia i jasne niebo zawirowały wokół niego, zamłócił chaotycznie rękami, ziemia grzmotnęła go boleśnie w bok, zęby mu zaklekotały, przekoziółkował i upadł na twarz. Dźwignął się z przeciągłym jękiem w samą porę, żeby zobaczyć wybiegający mu na spotkanie buciór Glawarda. Sapnął i odturlał się do tyłu; potężny obcas wyszarpał z ziemi kępę darni. Leo wstał, stracił równowagę i oparł się ciężko o płot.

– Ładnusi ten blondynek – mówiła właśnie starsza z dwóch kobiet.

– Widzę – odparła młodsza. – Mam oczy.

Patrzyła na niego z brodą wspartą na złożonych dłoniach. Żuła coś i jej głowa poruszała się rytmicznie w górę i w dół. O tak, z pewnością miała oczy: ogromne, bardzo jasne i bardzo przeszywające.

– Przypomina mi psa myśliwskiego – dodała. – Jest taki śmiały i zawzięty.



Leo nie czuł się przesadnie śmiało, gdy znów spadły na niego pięści Gławarda. Zasłaniał się, ale ich impet był przerażający. Cios w bok przydusił go i rzucił na płot. Kiedy chwilę potem knykieć Gławarda zahaczył jego żuchwę, Leo poczuł słony smak w ustach.

– Wycofaj się stamtąd! – Ledwie usłyszał głos Juranda, tak głośno brzmiał jego własny chrapliwy, bulgoczący oddech.

Z trudem uniknął potężnego haka, który przerzuciłby go na drugą stronę ogrodzenia, i z całej siły pchnął Gławarda. Olbrzym prawie nie drgnął, za to Leo odbił się od niego, zatoczył w bok i odsunął od płotu. Twarz tętniła mu bólem, w płucach go paliło, kolana się pod nim uginały.

Gławard mógł go w tej chwili powalić pchnięciem małego palca, ale wolał rozkoszować się triumfem, wymachiwać pięściami, przechadzać się dumnie jak kogut rządzący na podwórku.

– Przywal mu! – wrzasnął Jurand, przekrzykując zgiełk tłumy. – Przywal mu, do diabła!

Było oczywiste, że Leo nie pobije Gławarda pięściami. Jeśli chciał wygrać, musiał użyć głowy. Jak przez mgłę pomyślał, co w takiej sytuacji powiedziałyby jego matka: mniej odwagi, więcej rozwagi. Najgorszych żołnierzy wystawiła na pokaz w dolinie, każąc im maszerować, co czynili jak ostatnie łajzy.

W głowie zaczęło mu się przejaśniać, ale potrząsnął nią, jakby wciąż nie był w stanie zogniskować wzroku, i złapał się za żebra, jakby nie mógł złapać tchu. Jego nogi odzyskiwały moc, on jednak udał, że zatacza się jak pijany.

– Walczymy? – wybełkotał, odsłaniając zakrwawione zęby. – Czy tańczymy?

Nie dostałby wawrzynów za swoją grę aktorską, ale Gławarda opatrność pobłogosławiła mięśniami, nie wyobraźnią: bez zastanowienia rzucił się na Leo, biorąc zamach do ciosu, o którym ludzie mieli opowiadać latami.

Tyle że Leo już się otrząsnął. Uchylił się przed nadlatującą pięścią, przetoczył po ziemi i złapał muskularną łydkę Gławarda, po czym zerwał się na równe nogi i pociągnął ją za

sobą.

Zaskoczony Glaward stęknął, podskoczył na drugiej nodze, zamachał rękami, łapiąc równowagę... a potem pośliznął się i padł na twarz.

– I kto teraz zre piach? – wychrypiał Leo. Glaward bezradnie drapał ziemię, miotał się, warczał, ale Leo przycisnął jego nogę do swojej piersi i nie zamierzał puścić. – Smacznego! – Szarpnął i jeszcze mocniej wykręcił stopę Glawarda.

Glaward odklepał w ziemię.

– Dość! – wykrzyknął. – Poddaję się! Poddaję się!

Leo puścił wielki buciór i zatoczył się do tyłu. Poczul, jak Jurand łapie go za przegub dłoni i podnosi jego rękę do góry.

– Tak triumfują nie-olbrzymi! – obwieścił i narzucił koszulę na ramiona Leo.

– Nie musisz się od razu ubierać! – zawołała starsza z dwójki kobiet. Młodsza zaniósła się śmiechem. – Nami się nie przejmuj!

– Leo! – zawołał ktoś, pewnie jeden z nielicznych optymistów, którzy jednak na niego postawili. Leo spróbował się uśmiechnąć, nie bacząc na wściekły ból. Czyżby ząb mu się poluzował? – Młody Lew!

Młoda spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Ty jesteś Leo dan Brock?

– We własnej osobie – wyręczył go w odpowiedzi Jurand i z dumą klepnął w ramię.

– Ha! – Zeskoczyła z płotu i uśmiechnięta od ucha do ucha ruszyła w ich stronę. – Mały Leo!

– Mały Leo? – Jurand uniósł brwi.

Kobieta zmierzyła Leo wzrokiem od stóp do głów.

– No dobra, trochę wyrósł – przyznała.

A potem, ku jego wielkiemu zdumieniu, objęła go, złapała za tył głowy i przycisnęła jego twarz do swojego ramienia. Dopiero wtedy wśród masy klekoczących amuletów, kostek, wisiorów i runów dostrzegł zawieszony na rzemyku drewniany kołek z odcisniętymi śladami zębów.

– Rikke? – Odsunął się od niej i otaksował ją wzrokiem, wypatrując śladów tamtej chorowitej dziewczynki, z której

zwykł drwić w domu jej ojca w Uffricie. – Słyszałem, że zaginęłaś!

Uniosła zaciśnięte pięści w triumfalnym geście.

– Ale się odnalazłam! – Opuściła ręce i podrapała się po potylicy. – Prawdę mówiąc, byłam trochę zagubiona, ale Isern-i-Phail, która zna wszystkie ścieżki, odprowadziła mnie do domu.

– Jak kapitan żeglugi morskiej sterujący dziurawą łajbą. – Blizna starszej kobiety deformowała kącik ust i nadawała jej twarzy wyraz permanentnej pochmurności. A może Isern po prostu z natury była stale nachmurzona. – Prawdziwa ze mnie bohaterka, ale nie mówmy tyle o mnie.

– Łajdacy od Czarnego Caldera byli wszędzie, dowodził nimi jego syn, w dupę kopany Stour Zmierzchun. – Rikke obnażyła zęby w tak nagłym grymasie gniewu, że Leo omal się przed nią nie cofnął. – Słowo daję, osobiście dopilnuję, żeby skurwiel wrócił do błota. – Splunęła na ziemię i zmiotła ręką długą nitkę śliny, która zwisała jej z ust. – Gnoje.

– Ale... nic ci się nie stało?

Podsunęła mu obie pięści pod nos i zaczęła odliczać, prostując kolejne palce:

– Głodowałam. Zostałam spoliczkowana. Sikali na mnie, strzelali do mnie, szczuli mnie psami, grozili, że oddadzą mnie knurowi do wyruchania. Spałam pod nogami wisielca, omal nie spadłam w przepaść, zabiłam dzieciaka, a na dodatek się posrałam. Tak że wiesz... – Przechyliła głowę i wzruszyła ramionami, które podeszły jej niemal na wysokość uszu. – Powiem tak: mam po prostu nadzieję, że następny tydzień będę miała luźniejszy.

– Nie było ci... lekko – powiedział Leo. Nie miał pojęcia, o czym mówi Rikke, ale miło mu się jej słuchało. – Dobrze cię znów widzieć – dodał szczerze. Kiedyś byli blisko, na ile to możliwe w przypadku tak dziwnej dziewczyny jak ona.

– Pamiętasz, jak się pierwszy raz spotkaliśmy? – zapytała.

Leo się skrzywił.

– Trudno to zapomnieć.

– Nabijałeś się z moich tików, głupich włosów i dziwnego

zachowania.

– Popisywałem się przed chłopakami.

Rikke skinieniem głowy wskazała Gławarda, który siedział na zboczu pagórka i rozcierał skręconą kostkę.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Nie wiem, czy to coś zmienia, ale nie jestem z tego dumny.

– Zmieniło, kiedy cię przewróciłam i na tobie usiadłam.

Teraz z kolei Leo podrapał się po głowie.

– Podobno porażki uczą nas więcej niż zwycięstwa, tak słyszałem. W dodatku byłaś wtedy o pół głowy wyższa ode mnie.

– Wyprostował się i spojrzał na nią tak samo z góry, jak ona wówczas patrzyła na niego. – Dziś byś się nie odważyła.

– Czy ja wiem... – Wyciągnęła rękę i kciukiem starła mu krew z górnej wargi. Może to powieka jej zadrżała, a może Rikke po prostu do niego mrugnęła. – Może dałabym się namówić.

– Tak sobie miarkuję, że lepsze to niż zostać wyryćkaną przez knura – wtrąciła Isern-i-Phail. Stęknęła cicho, zwiesiła obandażowaną nogę z płotu i kulejąc, zaczęła się oddalać. – Muszę odprowadzić tę dziurawą łajbę z powrotem do jej ojca, zanim znów mi gdzieś zdryfuje. Dałam słowo!

– Jestem rozchwytywana. – Rikke wycofała się, ukłoniła tak nisko, że aż ręką zamiotła ziemię, i wskoczyła na ogrodzenie. – Do zobaczenia, mały Leo. – Przerzuciła nogi na drugą stronę płotu, zeskoczyła i odeszła dumnym krokiem.

Leo patrzyła za nią z niedowierzaniem.

– No, no, no... – Antaup wyrósł u jego boku, jak często miał w zwyczaju, gdy tylko w pobliżu pojawiały się jakieś kobiety. Odął wargi i wziął głęboki wdech, odprowadzając Rikke wzrokiem. – Kim jest ta piękność z kółkiem w nosie?

– Trzy razy „no”? – mruknął oziębło Jurand. – Toż to prawie jak oświadczyńny.

– To – odparł Leo – była Rikke.

– Zaginiona córka Wilczarza?

– Przyjaźniliśmy się, kiedy mieszkałem w Uffricie. Od tamtej pory bardzo... wyrosła.

– We wszystkich ważnych miejscach – przyznał Antaup. –

Tylko te oczy...

– Ponoć widzi przyszłość? – spytał z powątpiewaniem Jurand.

Szept Barnivy przy uchu Leo drżał od tłumionego śmiechu:

– Podejrzewam, że widzi w niej twoją fujarę.

Jurand odwrócił się i pokręcił głową.

– Na litość... – Był fantastycznym przyjacielem i piekielnie mądrym człowiekiem, ale także okropnym świętoszkiem.

– Uważaj. – Leo zarzucił Barnivie rękę na szyję i przydusił go lekko. – Jesteś następny w kolejce do żarcia piasku.

– Skoro wolisz się bić... – Antaup polizał kciuk i palec wskazujący, po czym użył ich do podkręcenia loczka opadającego mu na czoło. – Szkoda, żeby takie obiecujące poletko się marnowało.

W tym właśnie momencie Leo podjął decyzję i doszedł do wniosku, że jednak jest zainteresowany. Antaup znał się na kobietach; jeśli jemu Rikke zaimponowała, zaimponuje każdemu.

– Trzymaj swój pług przy sobie. – Wolną ręką złapał Antaupa i przyciągnął do siebie, udając, że zamierza się z nim siłować. Odprowadził tyłek Rikke tym samym chciwym spojrzeniem, jakim obrzucali go jego towarzysze. – I wara od mojego poletka.

# Pytania

Wydawało jej się, że Łoja trzymają w celi po lewej stronie. Rozpoznała jego dobiegający zza ściany bełkot; nie rozumiała słów, ale i bez tego słyszała w głosie strach. Grise była w pomieszczeniu po prawej: najpierw wywrzaskiwała obelgi, potem już tylko wrzeszczała. Na razie nikt nie przyszedł zadawać jej pytań. Chcieli ją zmiękczyć. Vick zastanawiała się, jak bardzo już zmiękła.

To dziwne, jak łatwo człowiek traci poczucie czasu, kiedy nie widzi nieba. Siedziała w pozbawionej okien celi o białych ścianach, przesadnie jasno oświetlonej, ze stołem, drzwiami, dwoma krzesłami i trzema plamami krwi na podłodze. Czy odkąd ją tu przyprowadzili, upłynęło kilka godzin, czy kilka dni? Musiała się chwilę zdrzemnąć, bo obudziła się gwałtownie zlna zimnym potem, słysząc dobiegające z korytarza błaganie. Drzwi pozostały jednak zamknięte. Wcześniej ją rozebrali, przykuli do krzesła i tak zostawili, coraz bardziej obolałą i coraz bliższą zsikania się.

Zastanawiała się, czy nie nasikać pod siebie, gdy drzwi się otworzyły.

Do środka wszedł – a raczej został wwieziony – mężczyzna: siedział na osobliwym fotelu z kółkami, popychanym przez praktyka-olbrzyma. Miał siwe włosy, skórę niemal równie jasną jak nieskazitelnie czysty biały płaszcz i głęboko pożłobioną zmarszczkami, choć zarazem ledwie starczało jej na okrycie kości. Grymas wykrzywił jego twarz, lewe oko zadrżało i przymknęło się nieco. Na małym palcu nosił urzędowy pierścień z ogromnym fioletowym kamieniem, ale i bez niego nie sposób byłoby go z kimś pomylić.

Kulas. Kaleka. Królewski Skórozdzierca. Oś, na której kręciła

się cała Zamknięta Rada. Jego Eminencja arcylektor Glokta.

– Podoba mi się ten fotel – powiedziała Vick, gdy ze skrzypnięciem zatrzymał się po drugiej stronie stołu.

Arcylektor uniósł brew.

– Mnie nie, ale z każdym rokiem chodzenie sprawia mi coraz większy ból, a moja córka uparcie twierdzi, że cierpienie bynajmniej nie uszlachetnia. Namówiła więc swojego przyjaciela, mistrza Curnsbicka, żeby go dla mnie zrobił.

– To dzieło wielkiego machineusa?

– To ponoć geniusz. – Glokta spojrział w górę na pochylonego nad nim praktyka, w którego gigantycznych pięściach ginęły uchwyty fotela. – Dzięki niemu bezużyteczny człowiek może obwozić po mieście człowieka użytecznego, przez co ten drugi również staje się bezużyteczny. To się nazywa postęp, hmm? Rozkuj ją, proszę.

– Eminencjo? – dobiegł stłumiony głos spod maski praktyka.

– No dalej, już. Nie jesteśmy zwierzętami.

Praktyk wyjął z kieszeni mały drewniany klin i ze zdumiewającą delikatnością podłożył go pod jedno z kół wózka. Następnie ciężkim krokiem obszedł stół dookoła i rozpiął kajdany, które mocno werżnęły się w skórę Vick. Nadgarstki miała otarte do krwi, ale nie próbowała ich rozmasować. Pilnowała się, żeby się nie skrzywić, nie wzdrygnąć, nie przeciągnąć ani nie jęknąć – nawet kiedy położyła ręce na stole i dostrzegła krew Sibalta za paznokciami. Okaż ból, a zachęcisz ich do zadawania ci dalszego bólu – tego właśnie nauczyła się w obozach. Na własnej skórze.

Arcylektor Glokta przyglądał jej się z leciutkim uśmiechem na zdeformowanej twarzy, jakby czytał jej w myślach.

– Ubranie, proszę – powiedział.

Niezadowolony praktyk położył na stole schludnie złożoną koszulę i spodnie. Niczym pedantyczny pokojowiec obciągnął nierówno leżący rożek tkaniny.

– Możesz nas zostawić, Dole.

– Ale Eminencjo... – Głos praktyka aż zadrżał ze zgrozy.

– Nie będę się powtarzał, mam lepsze rzeczy do roboty.

Praktyk rzucił Vick jeszcze jedno spojrzenie spode łba, wycofał się, schylił pod nadprożem, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Rozległ się nieodwołalny szcęk zasuwki i Vick została zamknięta w białej celi sam na sam z najbardziej przerażającym człowiekiem w całej Unii.

– Doskonale. – Głokta się uśmiechnął, odsłaniając ziejącą w uzębieniu lukę. – Wygląda na to, że znów należą się pani gratulacje, inkwizytorko Teufel. Świetna robota, jak zwykle. Wiedziałem, w kim pokładam zaufanie.

– Dziękuję, Eminencjo.

– Mam się odwrócić, żeby mogła się pani ubrać? – Zmarszczył brwi i spojrzał na koła wózka. – Uprzedzam jednak, że to chwilę potrwa; nie jestem już taki zwinny jak za młodu. Trzeba pani wiedzieć, że kiedy zwyciężałem w Turnieju, żaden z przeciwników nie zdołał mnie trafić...

Nie bacząc na ból w zeszywniałym biodrze, wstała. Skrzypnęło odsuwane krzesło.

– Proszę się nie kłopotać – powiedziała. Strzepnęła koszulę i zaczęła się ubierać.

Więźnia rozbiera się po to, by poczuł się bezbronny; by miał wrażenie, że nie ma gdzie ukryć swoich sekretów. Ale ta strategia jest skuteczna tylko wobec tych, którzy jej na to pozwolą. Vick ubierała się dokładnie w taki sam sposób, jakby była sama w pokoju. Kiedy człowiek dorasta w obozach, śpi wśród obcych, dzieli ich ciepło, smród i wszy, a gdy wybuchnie epidemia, razem ze wszystkimi kuli się pod wymierzonym przez nadzorców strumieniem wody z węża, skromność staje się luksusem, bez którego szybko uczy się obywać.

– Mogę tylko panią przeprosić, że dotarcie do pani zajęło mi tak dużo czasu – podjął Jego Eminencja, tak samo jak ona niewzruszony jej nagością. – W rządzie panuje oburzenie wywołane walkami na północy. Czy dopadliśmy wszystkich?

– Wszystkich poza Sibaltem. On... – Vick bardzo się pilnowała, by jej twarz niczego nie wyrażała, gdy przed oczami stanął jej Sibalt wbijający sobie nóż w szyję. – Wolał się zabić niż dać się pojmać.



– Pech. Wiem, że... zbliżyliście się do siebie.

Arcylektor wiedział o wszystkim, rzecz jasna, ale Vick miała wrażenie, że dopiero jego wiedza i słowa przydały realności temu uczuciu. Kompletnie ją to zaskoczyło. Musiała przestać zapinać koszulę, zacisnąć zęby, wbić wzrok w podłogę i milczeć, żeby własny głos jej nie zdradził.

Trwało to tylko chwilę, bo zaraz maska wróciła na swoje miejsce i Vick spokojnie pozapinała guziki brudnymi od krwi paznokciami.

– To jakiś problem, Eminencjo?

– Nie dla mnie. Wszyscy tęsknimy za prostym światem, ale ludzie to istoty z natury niedoskonałe, nieprzewidywalne i pełne wewnętrznych sprzeczności, obciążone własnymi sympatiami, potrzebami i uczuciami. Nawet ludzie tacy jak my.

– Uczucia nie miały z tym nic wspólnego – odparła Vick, wciągając spodnie. Miała wrażenie, że arcylektor prześwietla ją na wylot.

– Jeżeli istotnie nie miały – powiedział – udowodniła pani swoje oddanie sprawie. Jeśli zaś miały, sprawiła się pani jeszcze lepiej, gdyż udowodniła swoją lojalność.

– Wiem, jak wiele zawdzięczam Waszej Ekscelencji. Nie zapomnę.

– Staram się nie mieć do ludzi pretensji o to, co myślą, lecz wyłącznie o to, co robią. Pani zrobiła wszystko, o co mógłbym prosić.

Vick usiadła na krześle naprzeciw arcylektora.

– Sibalt był przywódcą. Nie sądzę, żeby pozostali coś wiedzieli.

– Wkrótce się przekonamy.

Spojrzała mu w oczy, głęboko osadzone i pałające gorączkowym blaskiem.

– To nie są źli ludzie – dodała. – Po prostu chcą czegoś więcej.

– A podobno uczucia nie miały z tym nic wspólnego... – Z lewego oka arcylektora pociekła łza. Delikatnie otarł ją białą chusteczką. – Dorastała pani w obozach, inkwizytorko Teufel.

– Eminencja wie najlepiej, że tak właśnie było.

- Widziała pani rodzaj ludzki w stanie czystym.
- Tak czystym, że bardziej się nie da, Eminencjo.
- Proszę mi zatem powiedzieć: kiedy ci dobrzy ludzie dostaną coś więcej, czego z kolei zapragną?

Vick zawahała się, ale na to pytanie nie było innej odpowiedzi.

- Jeszcze trochę więcej.
- Bo taka jest ich natura. To ich „coś więcej” musi zostać odebrane komuś innemu i ten ktoś bynajmniej nie będzie tym zachwycony. Nie da się całkowicie wyeliminować nieszczęścia, tak jak nie da się wyeliminować ciemności. – Arcylektor dźgnął powietrze kościstym palcem. – Dlatego celem rządu jest zrzućcie wszystkich nieszczęść na barki tych, ze strony których istnieje najmniejsze zagrożenie przykrą dla nas reakcją.

– A jeżeli źle ocenimy, kto jak zareaguje?

– Niewłaściwa ocena sytuacji jest takim samym elementem życia jak nieszczęście. Przyjemnie jest mieć władzę i podejmować decyzje w imieniu wszystkich, ale zawsze wiąże się z tym ryzyko, że podjęta decyzja będzie błędna. Mimo to wszyscy musimy dokonywać wyborów. Lęk przed dorosłością to kiepski pretekst do pozostania dzieckiem.

– Naturalnie, Eminencjo.

Istnieją granice tego, co człowiek może zrobić; potem pozostaje mu już tylko iść dalej przez życie. Także i tę lekcję wyniosła z obozów.

– Skąd brali gurkhulski ogień?

– Mówili coś o znajomych w Valbecku.

– Innych Destruktorach?

– To może być inna, lepiej zorganizowana grupa. Wspomnieli o niej jakimś Tkaczu.

Glokta nie zareagował na to imię – ale też miał zwyczaj skrywać uczucia jeszcze głębiej, niż czyniła to Vick. O ile miał jeszcze jakieś uczucia. Obozy były okrutne, ale i tak przypominały sielankę w porównaniu z miejscem, w którym on uczył się życia.

– Valbeck jest dużym miastem – zauważył – i z każdym dniem

się powiększa: nowe fabryki, nowe slumsy... No, ale jest to jakiś punkt zaczepienia. Zapytam pani znajomych o ich znajomych w Valbecku. Zobaczymy, czy uda nam się dowiedzieć coś więcej o tym... Tkaczu.

Jeszcze jedna próba. Ostatnia. Vick pochyliła się nad stołem, splotła dłonie na blacie.

– Za pozwoleniem Waszej Eminencji... Moim zdaniem tego chłopaka, Łoja, dałoby się przeciągnąć na naszą stronę.

– A byłaby pani pewna jego lojalności?

– Ma siostrę. Gdyby ją aresztować...

Arcylektor posłał jej bezzębny uśmiech.

– Dobrze. Proszę udać się do sąsiedniej celi i wyzwolić go z oków. Cieszę się, że ktoś usłyszy dziś dobre nowiny. Domyślam się, że chce pani jak najprędzej wyruszyć do Valbecku, żeby tam wykorzenić ten spisek.

– Nie mogę się tego doczekać, Eminencjo.

– Proszę się nie przepracować. Praktyku Dole!

Drzwi otworzyły się z impetem. Barczysta sylwetka praktyka niemal w całości wypełniła otwór drzwiowy.

– Proszę mnie stąd zabrać – polecił arcylektor.

Dole wyłuskał klin spod koła i zaczął wyprowadzać skrzypiący wózek. W progu Glokta zatrzymał go jeszcze gestem i obejrzał się przez ramię.

– Postąpiła pani słusznie – powiedział.

– Wiem, Eminencjo. – Vick spojrzała mu w oczy. – Nie mam co do tego wątpliwości.

Kiedy kłamiesz, mów tak, jakbyś wierzył w swoje słowa.

Reguła ta jest dwakroć prawdziwsza, gdy próbujesz okłamać siebie.

\* \* \*

Łój patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Skute dłonie trzymał na stole i tak się garbił, że jego kościste ramiona znajdowały się na wysokości uszu. Naprawdę przypominał jej

brata.

Na jego ciele nie było na razie żadnych śladów. To już coś, pomyślała.

– Uciekłaś im? – zapytał szeptem.

Uśmiechnęła się smutno i usiadła naprzeciw niego, na krześle przeznaczonym dla tych, którzy zadają pytania.

– Im się nie ucieka – odparła.

– To jak...

– Jestem jedną z nich.

Długo patrzył na nią bez słowa, a ona zastanawiała się, czy obrzuci ją w końcu stekiem wyzwisk, zacznie szaleć, kopać i drapać – ale był na to albo za sprytny, albo za bardzo przerażony. Spuścił wzrok na poplamiony blat stołu.

– Aha – powiedział tylko.

– Wiesz, z kim przed chwilą rozmawiałam w drugim pokoju?

Wolno pokręcił głową.

– Z Jego Eminencją arcybiskupem.

Oczy prawie wyszły mu z orbit.

– Był tutaj?!

– We własnej kalekiej osobie. Szczęściarz z ciebie, nigdy nie widziałeś go przy pracy. Ja tak. – Zagwizdała przeciągle przez zęby. – Mówią na niego Kulas... No, biegów to on żadnych już nie wygra, ale kiedy trzeba kogoś zmusić do mówienia, to ręczę ci, że nie ma szybszego niż on. Przypuszczam, że twoja przyjaciółeczka Grise wyśpiewuje mu właśnie wszystko, co wie na wszystkie możliwe tematy.

– Grise jest silna.

– Wcale nie. Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Kiedy rozbiorą cię do naga i zostawią sam na sam z Kulasem, a on zacznie cię kroić, nikt nie jest dostatecznie silny.

Łój zamrugał. Łzy wezbrały mu w oczach.

– Ale ona...

– Nie myśl o niej, czeka ją stryczek. Moor nie żyje. Sibalt... – Nagle ścisnęło ją w gardle.

– Co Sibalt?

– Też nie żyje.

– Mówisz to takim tonem, jakbyś była z tego dumna.

– Nie jestem dumna, ale nie czuję także wstydu. Sami dokonali wyboru, słyszałeś, jak ich pytałam. Ciebie też zapytałam.

Łój zawahał się, oblizął nerwowo wargi. Chłopak nie był głupi.

– Grise czeka stryzynek, a mnie... nie?

– Bystry jesteś. Dla ciebie drzwi są wciąż otwarte, dla ciebie... i twojej siostry.

Zamrugnął z niedowierzaniem. Na jego ściągniętej twarzy wypisane były wszystkie targające nim uczucia. Biedaczysko, byłby najgorszym karciarzem w całej Unii.

– Powiedziałam Jego Eminencji, że, być może, jest jeszcze dla ciebie nadzieja. Że możesz okazać się użyteczny dla króla.

– Użyteczny? W jaki sposób?

– W sposób wybrany przeze mnie.

Znów wbił wzrok w stół.

– Miałbym zdradzić braci.

– Najprawdopodobniej tak.

– Jaki mam wybór?

– Nie masz żadnego. I tak możesz mówić o szczęściu.

Spojrzał na nią z nieoczekiwaną hardością w oczach.

– To po co w ogóle pytasz?

– Żebyś zrozumiał, co mi zawdzięczasz.

Vick wstała, wyjęła klucz i rozkuła go, po czym rzuciła mu ubranie.

– Ubierz się i prześpij. Rano ruszamy do Valbecku. Muszę się dowiedzieć, skąd te ćwoki wytrzasnęły trzy beczułki gurkhulskiego ognia.

Łój siedział nieruchomo. Jego blade nadgarstki nadal spoczywały w otwartych kajdanach.

– Czy cokolwiek z tego było prawdą?

– Cokolwiek z czego?

– Z tego, co nam powiedziałaś.

Zmrużyła oczy.

– Dobry kłamca stara się kłamać jak najrzadziej – odparła.

- Czyli naprawdę... dorastałaś w obozach?
- Dwanaście lat. Od dziewczynki do kobiety. Moi rodzice i siostry nie przeżyli. – Z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Brat też. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby jej nie rozumiał.
- Straciłaś tylu bliskich...
- Więcej niż większość.
- Jak w takim razie możesz...
- W obozach nauczyłam się jednego. – Pochyliła się nad nim, szczerząc zęby, aż osunął się na krześle. – Zawsze trzymaj ze zwycięzcami.

## Machina państwowa

– Lordzie marszałku Brint – powiedział Orso – dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć bez uprzedzenia. Na pewno jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

– Nie ma o czym mówić, Wasza Wysokość. – Lord marszałek Brint miał jedną rękę, nie miał za to za grosz wyobraźni. Wszystko w nim, od wypolerowanych do połysku wysokich butów jeżdżeckich po nawoskowane wąsy, było sztywne i zgodne z regulaminem. – Ojciec Waszej Wysokości jest moim bliskim przyjacielem.

– A także Najwyższym Królem Unii.

Uśmiech marszałka zadrżał leciutko.

– To też. W czym mogę pomóc?

– Chciałem z panem porozmawiać o naszej odpowiedzi na atak Scale’a Żelaznorekiego i jego Północnych.

– Bardzo bym chciał, żebyśmy jakoś na to zareagowali. – Brint prychnął z rozgoryczeniem. – Niestety, ci skąpi szachraje z Zamkniętej Rady odmówili mi finansowania! Da Wasza Wysokość wiarę?

– Nie dam. Udało mi się natomiast przekonać ojca, żeby powierzył mi dowództwo sił ekspedycyjnych.

– Doprawdy?

– No...

– To znakomita nowina!

Lord marszałek zerwał się z krzesła i podszedł do stołu, na którym leżały rozpostarte mapy. Po drodze minął lśniąca zbroję, którą nosił zapewne w latach młodości (o ile w ogóle należała do niego), bo w przeciwieństwie do niego miała obie ręce.

– Zapewniam Waszą Wysokość, że pokażemy tym łajdakom z Północy, gdzie raki zimują!

Orso miał obawy, że pomysł obsadzenia następcy tronu w roli dowódcy nie przypadnie do gustu doświadczonemu zawodowemu żołnierzowi, ale Brint był zachwycony.

– Zdaję sobie sprawę, lordzie marszałku, że brakuje mi doświadczenia militarnego, jeśli nie liczyć zabawy ołowianymi żołnierzkami w dzieciństwie.

Oraz bzykania dziwek przebranych w mundury, rzecz jasna.

– Po to właśnie zatrudnia się oficerów, Wasza Wysokość – odparł Brint, zatopiony w oględzinach map, na których rozcapierzonymi palcami odmierzał odległości. – Na zastępcę proponuję pułkownika Foresta. Został zwerbowany na długo przede mną i od tamtej pory brał udział we wszystkich większych wojnach. Nie znam nikogo, kto odznaczałby się równie gorącym doświadczeniem i zimną krwią.

Orso się uśmiechnął.

– Będę wdzięczny za wszelkie rady, lordzie marszałku, zarówno jego, jak i pańskie.

– Pani gubernator Finree stawia nadzwyczaj śmiały opór wrogowi. Co za kobieta! Moja stara znajoma, nawiasem mówiąc. Jeżeli wytrwa w swoich staraniach, moglibyśmy wylądować tutaj! – Brint grzmotnął w mapę z takim impetem, że Orso zaczął się poważnie obawiać o stan jego jedynej ocalałej ręki. – Pod samym Uffrithem! Wtedy można by drani flankować.

– Znakomicie! Flankować drani. Świetnie.

Orso musiał się jeszcze dowiedzieć, o co chodzi z tym flankowaniem, ale wizja ekspedycji zaczynała się z wolna klarować. Dobiegające przez otwarte okno surowe pokrzykiwania prowadzącego musztrę sierżanta przydawały ich rozmowie dodatkowego wojskowego charakteru. Troszkę żałował, że nie wystroił się na tę okazję w mundur... Ale nie, kurtka mogłaby mu się nieprzyjemnie opinać na brzuchu. Przed rozpoczęciem kampanii powinien kazać sobie uszyć nową.

– Teraz potrzeba mi już tylko ludzi.

Brint obejrzał się na niego.

– Słucham?

– Ojciec obiecał mi batalion gwardii królewskiej. Da mi też



swojego dowódcę straży, Bremera dan Gorsta, który, jak słyszałem, sam jest wart tyle, co cała kompania wojska. – Orso się roześmiał. Brintowi nie było do śmiechu. – Sęk w tym, że potrzebuję jeszcze... jakichś pięciu tysięcy ludzi.

Milczenie się przeciągało.

– Wasza Wysokość nie ma ludzi? – zasyczał Brint, parszkając śliną.

– No właśnie... dlatego przyszedłem do pana, lordzie marszałku. No bo jest pan... przecież... lordem marszałkiem. – Orso się skrzywił – Prawda?

Brint odetchnął głęboko i odzyskał zimną krew.

– Tak, Wasza Wysokość, jestem. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Trudno mi nad sobą zapanować, gdy rozmowa schodzi na tych przeklętych Północnych. – Spuścił wzrok na pierścionek z żółtym kamieniem noszony na małym palcu, trącił go czubkiem kciuka. Pierścionek wyglądał na damski. – Przez tych dzikusów straciłem żonę i dwóch bliskich przyjaciół. A także rękę.

– Nie musi pan przepraszać, lordzie marszałku. Doskonale pana rozumiem.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, Wasza Wysokość: życzenie Waszej Wysokości jest całkowicie rozsądne i uzasadnione. Przyklasnąłbym mu – Brint spojrział na swój pusty rękaw i prychnął – gdybym tylko miał do tego stosowny sprzęt. Jestem po prostu zakłopotany, że nie mogę udostępnić Waszej Wysokości odpowiedniej liczby ludzi, oraz zawstydzony, że do tej pory nie udzieliłem wsparcia pani gubernator. Po wojnie w Styrii kilkanaście pułków zostało rozformowanych i siły, którymi dysponujemy, są dalece niewystarczające. Nie widać końca buntu w Stariklandzie. – Ocalałą ręką wskazał inną mapę. – Narastają niepokoje wśród chłopstwa w Midderlandzie. A przez tych przeklętych Destruktorów, szlag by ich trafił, pospólstwo zaczyna kręcić nosem na przypisane mu miejsce w świecie. Szczerze mówiąc, już obiecany przez ojca Waszej Wysokości batalion przysporzy mi kłopotów. Nie ma mowy, żebym zwerbował kogokolwiek więcej bez dodatkowego

finansowania ze strony lorda kanclerza.

– Hmm... – Orso założył ręce na piersi. Zanosiło się na to, że podobnie jak wiele rzeczy w jego życiu, zorganizowanie ekspedycji wojskowej będzie o wiele trudniejsze, niż myślał. – Czyli chodzi o pieniądze, tak?

– Wasza Wysokość... – Westchnienie lorda marszałka Brinta świadczyło o jego bezgranicznym znużeniu. – Zawsze chodzi o pieniądze.

\* \* \*

– Lord marszałku Gorodets – powiedział Orso – dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć bez uprzedzenia. Na pewno jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

– Istotnie, Wasza Wysokość, jestem.

Zapadła znacząca cisza. Lord kanclerz zmierzył Orso niewzruszonym spojrzeniem sponad okularów w złotych oprawkach. Ze swoimi licznymi podbródkami, które zawdzięczał zamiłowaniu do tłustych, gęstych sosów i które rozlewały mu się daleko po futrzanym kołnierzu, przywodził na myśl ropuchę. Orso pożałował (nie pierwszy raz tego dnia), że nie wypił znacznie więcej, ale jeżeli miał zwyciężyć w starciu z nieprzejednaną machiną państwową, musiał zachować przytomność umysłu.

– Przejdę więc od razu do rzeczy – zapowiedział. – Śpieszno mi, jak zapewne każdemu prawemu obywatelowi Unii, przyjść z pomocą naszym braciom i siostram w Anglandzie, którzy zostali przyparci do muru.

Gorodets skrzywił się, jakby odczuł autentyczny, fizyczny ból.

– Wojna.

– Owszem, wojna, ale niezawiniona przez nas...

– Te niezawinione wcale nie są tańsze, Wasza Wysokość.

– Nie są tańsze? – mruknął Orso.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat ojciec Waszej Wysokości za namową Jej Królewskiej Mości królowej Terez stoczył w Styrii

trzy wojny, których stawką było dziedzictwo Waszej Wysokości, Wielkie Księstwo Talinsu.

– Wolałbym, żeby zapytał mnie o zdanie. – Orso parsknął śmiechem, który miał wypaść rozbijająco i uroczo. – Nie śpieszy mi się do rządu nawet w jednym kraju, a co dopiero w dwóch.

– To się dobrze składa, Wasza Wysokość, ponieważ Unia wszystkie te trzy wojny przegrała.

– No bez przesady... Można by chyba uznać, że w tej środkowej był remis.

– Można by, ale wątpię, żeby którykolwiek z jej uczestników się z nami zgodził. Zresztą z finansowego punktu widzenia zwycięstwa nie są wcale wiele lepsze od porażek. Dla opłacenia wydatków wojennych byłem zmuszony nałożyć wyższe podatki na chłopstwo, kupców, prowincje, a w końcu także, choć z najwyższą niechęcią, na arystokrację. Arystokraci odpowiedzieli konsolidacją majątków, rugowaniem dzierżawców i przeforsowaniem w Otwartej Radzie przepisów, które pozwoliły im przejąć i wygrodzić ziemie niebędące dotąd ich własnością. Ludność wiejska napłynęła wezbraną falą do miast, co wywróciło cały system podatkowy do góry nogami. Korona została zmuszona do zaciągnięcia wysokich pożyczek... właściwie należałoby powiedzieć: jeszcze wyższych pożyczek niż wcześniej. Sam dług wobec domu bankierskiego Valint i Balk jest... – Gorodets przez chwilę przeglądał w myślach swój słownik w poszukiwaniu słowa, które należycie oddałoby skalę zjawiska, ale ostatecznie musiał się poddać. – Trudny do opisanego. W zaufaniu powiem Waszej Wysokości, że same odsetki od tego długu stanowią poważne obciążenie dla budżetu państwa.

– Aż tyle?

– Więcej. Sytuacja jest fatalna, ze wszystkich stron grożą nam wybuchy niezadowolenia. Wygospodarowanie dziś jakichkolwiek dodatkowych funduszy to rzecz nie do pomyślenia.

Orso słuchał tych słów z narastającą zgrozą.

– Lordzie kanclerzu, proszę tylko o pieniądze na zwerbowanie pięciu tysięcy żołnierzy...

– Tylko, Wasza Wysokość?

Gorodets spojrzał na niego jak nauczyciel na ucznia, który przynosi mu zawód. Spojrzenie to było dla Orso nieprzyjemnie znajome: takim właśnie wzrokiem mierzyli go jego prawdziwi nauczyciele. Zresztą nie tylko nauczyciele, prawdę mówiąc, w ten sam sposób patrzyli na niego wszyscy, którzy mogli mieć nad nim jakąś władzę.

– Czy Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę, jak wielka byłaby to suma?

Orso powściągnął narastającą frustrację.

– Ale przecież zgodzi się pan ze mną, że trzeba coś zrobić w sprawie Północnych!

– To, z czym się zgadzam lub nie, nie ma żadnego znaczenia, Wasza Wysokość. Jestem zwykłym księgowym, nawet nieszczególnie wpływowym, prawdę mówiąc. – Lord kanclerz gestem ogarnął przestronny gabinet, którego wszystkie powierzchnie były wyłożone marmurami lub złotem. Spod sufitu patrzyły na nich zadowolone z siebie gipsowe twarze poprzednich lordów kanclerzy. – Prowadzę księgi. Staram się pilnować, żeby wydatki były równoważone wpływami z podatków, i podobnie jak wszyscy moi poprzednicy regularnie ponoszę porażki na tym froncie. Może i trzymam w rękę państwową sakiewkę, ale sam nie decyduję o polityce.

– Nie sam?

Lord kanclerz prychnął niewesołym śmiechem, przetaił okulary rąbkiem lamowanej futrem szaty i obejrzał je pod światło.

– W ogóle o niej nie decyduję.

– A kto?

– Priorytety Zamkniętej Rady określa Jego Eminencja arcybiskup Glokta.

Nieszczęśliwy Orso zgarbił się na krześle. Już sobie przypominał, dlaczego porzucił próby udzielania się w rządzie i skierował swą energię ku winu i kobietom.

- Czyli chodzi o priorytety, tak?
- Wasza Wysokość... – Lord kanclerz założył okulary. – Zawsze chodzi o priorytety.

\* \* \*

– Eminencjo – powiedział Orso – dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć bez uprzedzenia. Na pewno jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

- Moje drzwi zawsze stoją otworem przed Waszą Wysokością.
- To musi Eminencja mieć tu niezłe przeciągi!

Arcylektor Głokta odpowiedział fałszywym uśmiechem, odsłaniając odrażającą szczerbę w uzębieniu. Jak taki potworny strzęp człowieka mógł spłodzić coś tak cudownego, jak jego córka? Orso nie pierwszy raz nie mógł się temu nadziwić.

– Chciałem porozmawiać z Waszą Eminencją o niefortunnych wypadkach na Północy...

- Nie nazwałbym ich niefortunnymi.
- Nie?

– Scale Żelaznoręki, jego brat Czarny Calder i syn tego ostatniego Stour Zmierzchun najechali nasz Protektorat i spalili stolicę naszego długoletniego sojusznika. To nie niefortunność, tylko wyrachowane działania wojenne.

– To jeszcze gorzej.

– O wiele gorzej.

– Powinniśmy więc dać najeźdźcom nauczkę! – Orso uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Owszem, powinniśmy – zgodził się z nim arcylektor, chociaż coś w tonie jego głosu sugerowało, że wcale tego nie zrobią.

Orso zawahał się, nie wiedząc, jak ubrać myśli w słowa, i doszedł do wniosku, że zwykle najlepiej jest mówić wprost.

– Chcę poprowadzić zbrojną ekspedycję przeciw Północnym – powiedział.

– Patriotyzm Waszej Wysokości jest godny najwyższego podziwu. – Trzeba Głokcie oddać sprawiedliwość: wypowiedział

te słowa bez cienia drwiny. – Jest to jednak problem natury militarnej. Może powinien Wasza Wysokość poruszyć go w rozmowie z lordem marszałkiem Brintem...

– Rozmawiałem z nim już. Odesłał mnie, choć nie wprost, do lorda kanclerza Gorodetsa, który z kolei równie okrężną drogą skierował mnie do Waszej Eminencji. Rzec by można, że podążając szlakiem rosnących wpływów i władzy, trafiłem pod pańskie drzwi. – Orso wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Które zawsze stoją przede mną otworem.

Przymrużona lewa powieka arcylektora drgnęła leciuteńko. Orso skłął się w duchu: te oratorsko-cwaniackie popisy nigdy nie przynosiły mu nic dobrego. Wśród możliwych tego świata radziłby sobie lepiej, gdyby wydawało im się, że spełniają kaprysy półgłówka.

Zwłaszcza że najprawdopodobniej tak właśnie było.

– Ojciec udzielił mi oficjalnego pozwolenia – podjął. – Lord marszałek Brint obiecał mi oficerów. Brakuje mi tylko ludzi, a raczej, ściśle rzecz biorąc, pieniędzy na opłacenie i wyekwipowanie pięciu tysięcy chwatów.

Jego Eminencja wyprostował się na krześle i zmierzył go spojrzeniem głęboko osadzonych, pałających gorączkowym blaskiem oczu. Nie było to przyjemne spojrzenie, w żadnym wypadku, i Orso cieszył się, że musi je znosić tutaj, na parterze Domu Pytań, a nie w jego podziemiach.

– Czy Wasza Wysokość zna moją córkę?

W surowo urządzonym gabinecie powiał zimny wiatr. Ogromne stopy papierów na biurku poruszyły się i zatrzepotały jak niespokojne duchy, a Orso zaczął się zastanawiać, ile z nich zawiera zeznania ludzi winnych zdrady. Albo niewinnych. Był bardzo zadowolony z siebie: udało mu się zachować obojętny wyraz twarzy mimo wywołanych pytaniem arcylektora wyrzutów sumienia i całkiem normalnego w tej sytuacji przerażenia. Może nie sprawdzał się we wszystkich dziedzinach, na których zależało jego matce, ale w udawaniu niewiedzy był prawdziwym mistrzem. Być może dlatego, że mógł czerpać z nieprzebranych pokładów prawdziwej, nieudawanej

ignorancji.

– Córkę Waszej Ekscelencji...? Sarene?

– Savine.

– Savine, naturalnie. Chyba mieliśmy okazję gdzieś się poznać...

Nie dalej jak trzy dni temu jego język poznał jej piczkę, a jej usta jego fiuta i wszyscy czworo bawili się wprost kapitalnie. Odkaslnął zakłopotany twardością w spodniach, która była zgoła nie na miejscu podczas spotkania z człowiekiem budzącym powszechny lęk w Unii.

– Wasza Wysokość wie, co moja córka robi?

– Co robi?

Orso zaczął się zastanawiać, czy Jego Eminencja nie dowiedział się jednak o ich cichym układzie, mimo wszystkich środków ostrożności, przy których upierała się Savine. Jakkolwiek by na to patrzeć, zawodowo zajmował się poznawaniem tajemnic i był w swoim fachu bardzo, ale to bardzo dobry – a przy tym jego profesja bynajmniej nie ograniczała się do zgłębiania sekretów. Orso był praktycznie pewien, że następcy tronu nie grozi los topielca znalezionego w kanale, okrutnie okaleczonego i obrzmiałego od morskiej wody, ale... Lepiej było nie drażnić arcylektora.

– O ile mi wiadomo, młode damy chętnie... szyją? – zaryzykował.

– Savine jest inwestorem – powiedział Glokta.

Orso postanowił udać głupka.

– To rodzaj... – Skinął w powietrzu dłonią, aż zafurkotał koronkowy mankiet. – Kupca?

– Kupca, którego przedmiotem zainteresowania są wynalazki. Maszyny. Manufaktury. Nowe metody rozwiązywania starych problemów. Savine kupuje pomysły i wciela je w życie.

Prawdę powiedziawszy, poczynania Savine napawały Orso takim zadziwieniem i nabożną czcią, jakby była magiem biegłym w Sztuce Wysokiej, ale w tej chwili uznał, że lepiej wczuje się w rolę, zbywając słowa arcylektora wzgardliwym wybuchem śmiechu.

– Jakie to... nowoczesne – dodał drwiąco.

– Nadzwyczaj nowoczesne. W czasach mojej młodości nie do pomyślenia było, żeby ktokolwiek dorobił się w ten sposób fortuny. Zwłaszcza kobieta. Savine jest pionierką, ale naśladowcy depczą jej po piętach. Wkraczamy w nową erę, Wasza Wysokość.

– Doprawdy, Ekscelencjo?

– Ostatnio moja córka współfinansowała budowę nowej, ogromnej fabryki włókienniczej w okolicach Kelnu. – Blady, sękaty palec arcylektora wskazał ponad wyrzeźbioną w blacie biurka mapą Unii na punkt, który do złudzenia przypominał stary ślad po zardzewiałym gwoździu. – Jest w tej fabryce maszyna, napędzana kołem wodnym, ale obsługiwana przez jednego człowieka, która w ciągu dnia grępluje tyle wełny, co dziewięciu ludzi pracujących starymi metodami.

– To chyba dobrze dla włókiennictwa? – Orso nic z tego nie rozumiał.

– Owszem, dobrze. Bardzo dobrze także dla mojej córki i jej współników, ale już niezbyt dobrze dla pozostałych ośmiu gręplarzy, szukających dzisiaj nowej pracy, z której mogliby wykarmić rodziny.

– Rzeczywiście, to niefortunne.

– Zmyślny konstruktor tej maszyny, gurkhulski uchodźca imieniem Masrud, właśnie wymyślił kolejną, tym razem do przędzenia nici ze zgręplowanego surowca. Jedna taka maszyna pozbawi pracy sześć kobiet. Nie będą z tego zadowolone.

– Arcylektorze, dokonania pańskiej córki są naprawdę fascynujące. – Orso wcale nie kłamał. Chcąc oszczędzić sobie zażenowania, na myśl o Savine musiał mocno założyć nogę na nogę. – Nie dostrzegam jednak ich związku z naszymi kłopotami na Północy...

– Zmiany, Wasza Wysokość. Zmiany o bezprecedensowym zakresie następujące w nieznanym wcześniej tempie. Porządek, który przetrwał wieki, dziś kruszy się i pęka. Tradycyjne bariery, choćbyśmy nie wiem jak bardzo starali się je podpierać i umacniać, wałą się jak zamki z piasku zmiecione falą



przyływu. Ludzie boją się utracić to, co mają, pożądamy zaś tego, czego nie mają. To czas zamętu. Czas strachu. – Arcylektor wzruszył ramionami, ale uczynił to ostrożnie, jakby nawet ten gest sprawiał mu ból. – Czas wielkich szans dla kogoś tak bystrego jak moja córka, ale zarazem czas ogromnych zagrożeń. Zaledwie dwa tygodnie temu inkwizycja zdemaskowała spisek grupy niezadowolonych robotników, zamierzających spalić fabrykę, o której mówiłem, i podburzyć jej pracowników przeciw rządowi ojca Waszej Wysokości.

– Ach tak...

– Właściciele manufaktur codziennie dostają pogróżki. Co noc robotnicy o uczernionych sadzą twarzach niszczą maszyny. Wczoraj rano w Hockstead pogrzeb agitatora przerodził się w regularne zamieszki.

– Ach tak.

– W podziemiach tego gmachu przetrzymywani są członkowie grupy tak zwanych Destruktorów: zatrzymaliśmy ich ubiegłej nocy przy próbie wysadzenia w powietrze huty niespełna dwie mile od miejsca, w którym teraz siedzimy. Próbujemy ich teraz przekonać, by pomogli nam odkryć inny spisek, obejmujący swoim zasięgiem cały kraj.

– To brzmi... kiepsko.

Orso spuścił wzrok. Nie był pewien, czy ma na myśli sam spisek, czy może los spiskowców. Może jedno i drugie naraz.

– Zewsząd wyziera nielojalność, wszędzie czai się zdrada. Ludzie lubią powtarzać, że jeszcze nigdy nie było tak źle...

– Oj lubią, lubią – przytaknął z uśmiechem Orso.

– ...ale naprawdę jeszcze nigdy nie było tak źle.

Orso spoważniał.

– Ach tak.

– Chciałbym, żebyśmy mogli robić to, co uznajemy za słuszne, naprawdę bym chciał. – Arcylektor spojrział na zawieszony na ścianie duży portret w mrocznych barwach. Przedstawiał jakiegoś budzącego zgrozę łysego biurokrate sprzed lat, być może Zollera, który czujnym, groźnym wzrokiem obserwował maluczkich. – Nie możemy jednak ryzykować w tej chwili

żadnych zamorskich wypraw, choćby najszlachetniejszych, najbardziej pożądaných i na pozór nieodzownych. – Splótł palce długich, chudych dłoni i spojrzał prosto na Orso. Jego zapadnięte, pałające żarem oczy wyglądały jak osadzone w nagiej czaszce. – Mówiąc wprost: przyszłość Unii wisi na włosku i rząd musi w pierwszej kolejności troszczyć się o własne bezpieczeństwo, królewską spuściznę i pozycję następcy tronu.

– W tej ostatniej kwestii na pewno nie chciałbym wchodzić wam w paradę. – Orso wzruszył bezradnie ramionami. Skończyły mu się pomysły. – Czyli chodzi o politykę, tak?

– Wasza Wysokość... – Arcylektor Głokta uśmiechnął się, po raz kolejny odsłaniając ziejącą lukę między zębami. – Zawsze chodzi o politykę.

\* \* \*

Orso ponownie rozłożył karty, ale nic się wśród nich nie zmieniło: były tak samo fatalne jak zaraz po rozdaniu.

– Pas. – Zdegustowany odrzucił karty. – Co za gówniany dzień. Człowiek zaczyna się zastanawiać, jak ten kraj w ogóle funkcjonuje.

– Raczej zdaje sobie sprawę, że w ogóle nie funkcjonuje – odparł Tunny i zgarnął pulę.

– Dlatego nie odczuwam wielkiego entuzjazmu na myśl o zostaniu królem.

– Ty w ogóle masz w sobie niewiele entuzjazmu do czegokolwiek.

– To prawda. Zaczynam rozumieć, dlaczego mój ojciec jest... jaki jest.

– Nieudolny, tak? – parsknął Żółtko. – To chyba największy nieudacz...

Orso złapał go za przód koszuli i podniósł z krzesła.

– Ja mogę z niego drwić – warknął z bliska wprost w zaszokowaną twarz Żółtko. – Ty nie, kurwa!

– Nie znęcaj się nad tym głupkiem – wtrącił pojednawczo

Tunny. – Szkoda zachodu. – Udawało mu się jednocześnie palić chaggę, obserwować Orso spod przymrużonych powiek i z wielką wprawą rozdawać karty. – To głupek.

Żółtko rozpostarł dłonie w niemym geście zgody. Orso prychnął z niesmakiem i pchnął go z powrotem na krzesło. Zgarnął karty i obrzucił je leniwym spojrzeniem: były tak samo beznadziejne jak poprzednio. Ale może dobrych graczy poznaje się po tym, że potrafią wygrać także ze złą kartą na rękę.

– Nie myśl o tych starych łajdakach z rządu. – Tunny wycelował w niego cybuch fajki. – Brakuje im wizji i zuchwałości. Musimy spojrzeć na to z innej strony, potraktować to jak zakład. – Rzucił dwie srebrne monety na pusty środek blatu. – Potrzebny ci jest ktoś, kto ma pieniądze. Ambicję. Cierpliwość. Ktoś, kto uzna, że warto na ciebie postawić w zamian za obietnicę paru przysług w przyszłości.

– Na mnie nie licz – zastrzegł się Żółtko. Zrobił smutną minę i cisnął karty na stół.

– Bogaty, ambitny, cierpliwy... – zadumał się na głos Orso, wpatrzony w lśniące srebrniki na stole. – Zakład albo... inwestycja? Daj ołówek. – Nakreślił parę słów na jednej z kart, złożył ją i wyciągnął rękę. – Zaniesiesz to tam, gdzie zawsze, Hildi? – Znacząco poruszył brwiami. – To zaproszenie do biura Sworbrecka. Dziesięć miedziaków, jeśli się pośpieszysz.

– Dwadzieścia, a dostarczę to na wczoraj. – Hildi zeskoczyła ze skrzyni zadarła głowę i wysunęła zuchwę do przodu takim gestem, jakby groziła Orso nabitą kuszą.

– Niech będzie dwadzieścia, chociaż to rozbój w biały dzień. Ile jeszcze jestem ci winien?

– Siedemnaście marek i osiem miedziaków.

– Aż tyle?

– Nigdy nie myłę się w rachunkach – odparła z namaszczaniem.

– Nigdy nie myli się w rachunkach – powiedział Tunny i bez pomocy rąk przesunął fajkę z chaggą z jednego kącika ust w drugi.

– Nigdy nie myli się w rachunkach – zawtórował mu Orso,

odliczając monety.

Hildi porwała mu je z ręki, wrzuciła pod czapkę, którą następnie mocno nacisnęła na gęstą szopę blond loków, i zwinnie niczym kot wymknęła się z pokoju.

– Jak będziemy grać bez jednej karty? – burknął Żółtko.

– Dajesz sobie radę bez krztyny uroku, rozumu i pieniędzy? – Orso obejrzał swoje karty. – To i bez karty dasz radę.

## Bolesne miejsca

– Skąd masz tego krwiaka, do diabła?!

Savine przytknęła palce do ust. Starannie się upudrowała, ale jej matka, która wielu rzeczy potrafiła nie zauważyć, miała oko niezwykle wyczulone na ślady pobicia.

– To nic takiego, nie ma o czym mówić. Ćwiczyłam fechtunek. Z Bremerem dan Gorstem.

– Fechtunek, kurwa? Z Bremerem dan Gorstem?! Taka bystra dziewczyna, a czasem zachowujesz się jak skończona idiotka.

Savine poruszyła się na krześle i skrzywiła z bólu, gdy zakłuło ją pod żebrem.

– Zgadzam się, to nie był mój najlepszy pomysł.

– Ojciec wie?

– Był przy tym. Co więcej, mam wrażenie, że świetnie się bawił.

– To do niego podobne. Tylko jedno kręci go bardziej niż własne cierpienie: cierpienie innych. Nie pojmuję jednak, skąd w ogóle przyszedł ci do głowy pomysł fechtunku.

– To dobre ćwiczenie. Daje mi siłę, pomaga się... skupić.

– Powinnaś się mniej skupiać, a więcej bawić. – Matka wyćwiczonym gestem odchyliła głowę i jednym haustem opróżniła kieliszek. – Powinnaś wyjść za męża.

– Żeby jakiś bałwan mną pomiatał? Dziękuję, postoję.

– To nie wychodź za bałwana, tylko za bogatego faceta, który lubi facetów. Coś by was łączyło. – Matka w zadumie zapatrzyła się w sufit. – Albo znajdź sobie jakiegoś przystojnego bałwana: przynajmniej będziesz miała na czym oko zaczepić, żałując swojej decyzji.

– Ty miałaś taki właśnie plan? – spytała Savine, sącząc drinka.

– Prawdę mówiąc, tak. Ale zanim dopchałam się do lady,

został mi już tylko genialny mózgowiec-kuternoga.

Savine prychnęła śmiechem, aż wino poleciało jej z nosa, poderwała się z krzesła, żeby nie zachłapać sukienki, i ostatecznie rozlała zawartość kieliszka po całym dywanie w sposób, który nie przystoi damie.

Matka pośmiała się z niej przez chwilę, a potem westchnęła i zapytała:

– A wiesz, co jeszcze ci powiem? – Uśmiechnęła się z przekąsem do olbrzymiego brylantu wprawionego w ślubny pierścionek. – Ani przez chwilę tego nie żałowałam.

Rozległo się głośne pukanie i do pokoju wśliznęła się Zuri z książką pod pachą. Pochyliła się i zaczęła szeptać Savine do ucha:

– Jest parę decyzji do podjęcia, pani, a potem kolacja z tą plotkarą i skąpiradłem, Tilde dan Rucksted, i jej mężem: będzie okazja, żeby pomówić o ich inwestycji w kanał pana Korta.

Teraz z kolei Savine westchnęła ciężko. Jeśli usłyszy kolejne bajeczki o brawurowych wyczynach lorda marszałka na pograniczu, zapragnie raczej utopić się w kanale niż go przedłużać. Ale interesy to interesy.

– O co chodzi, kochanie? – spytała matka, nalewając sobie następny kieliszek wina.

– Muszę się przebrać do kolacji.

– Teraz? – Matka wykrzywiła usta w podkówkę. – Nudy na pudy. A miałam nadzieję, że uda nam się dziś porozmawiać.

– Przecież porozmawialiśmy.

– Nie tak jak dawniej, Savine! Mam jeszcze setkę ciętych ripost, wcale nie mniej zabawnych od tej ostatniej.

Savine odstawiła kieliszek i wraz z Zuri ruszyła do wyjścia.

– Zachowaj je na następny raz, mamó. Interesy nie mogą czekać.

– Interesy. – Matka otarła kroplę ściekającą po ściance karafki i oblizwała palec. – Nic, tylko interesy.

\* \* \*

– Ciaśniej – wysyczała Savine przez zaciśnięte zęby.

Oparła pięści o toaletkę. Za jej plecami Freid aż sapnęła z wysiłku, zaciągając sznurówki.

Spotkanie było nieoficjalne, więc do ubrania jej na tę okazję wystarczyły cztery pomocnice. Freid w pojedynkę zadbała o garderobę. Lisbit była odpowiedzialna za makijaż – farbki, cienie, pudry, perfumy. Metello – Styryjka o twarzy jakby ciosanej siekierą, dawna garderobiana księżnej Affoi – ledwie porozumiewała się we wspólnej mowie, za to za pośrednictwem peruk wysławiała się z niebywałą wprost elokwencją. Zuri prowadziła kalendarz, dbała o biżuterię i pilnowała pozostałych trzech kobiet, żeby czegoś nie zepsuły.

– Pan Tardiche pisze, że bez dalszych inwestycji w maszyny huta nie sprosta konkurencji – powiedziała, patrząc Savine w oczy w lustrze. – Chodzi o pięć tysięcy marek.

– Nie podobało mi się, jak do mnie mówił podczas swojej ostatniej wizyty. – Savine zmarszczyła brwi. – Jest wysoki, ale to nie powód, żeby traktować mnie z góry. – Uniosła głowę, podstawiając się Lisbit, która na wierzchu dłoni jak na palcu mieszała różne cienie i czubkiem małego palca zaczęła je nanosić na powieki. – Przekaż mu, że w takim razie sprzedaję swoje udziały. Jeżeli ukorzy się i przyjdzie po prośbie, może zmienię zdanie. – Stęknęła, gdy Freid kolejnym szarpnięciem omal nie zwała jej z nóg. – Niektórzy mężczyźni lepiej wyglądają na klęczkach. Ciaśniej, Freid.

– Każdy lepiej wygląda na klęczkach. To właśnie najbardziej mi się podobało w świątyni. – Zuri odłożyła kalendarz, podeszła i oplotła sobie końce sznurówek wokół pięści. Wbiła kolano w plecy Savine. – Wydech.

Savine z jękiem opróżniła płuca. Zuri szarpnęła mocno: może i była smukła jak wierzbowa witka, ale – na miłość losu – miała przy tym krzepę sztauera. Uczucie przyduszenia było przez moment przerażające, jednak uzyskanie najlepszych wyników wymagało poświęceń.

Ludzie lubią sobie wyobrażać, że uroda jest czymś wrodzonym. Savine była zaś absolutnie przekonana, że prawie

każdy może być piękny, jeśli tylko będzie ciężko pracował i wyda odpowiednio dużo pieniędzy. Wszystko sprowadzało się do podkreślenia tego, co dobre, zatarcia tego, co złe, oraz mozolnego nadania temu, co przeciętne, jak najbardziej imponującej formy. Właściwie do złudzenia przypominało to prowadzenie interesów.

– Tak będzie dobrze, Zuri – wyrzęziła. Poruszała ramionami, żeby suknia lepiej się ułożyła. – Gorset, który nie przerzyna cię na dwoje, nie spełnia swojej funkcji. Wiąż, Freid, zanim coś się poluzuje.

– Był u nas pan Hisselring. – Zuri wróciła do kalendarza. – Prosi o kolejną prolongatę długu.

Savine uniosłaby brwi, gdyby Lisbit nie była akurat zajęta nadawaniem im perfekcyjnego zarysu.

– Biedny, stary Hisselring... Szkoda by było, gdyby stracił dom.

– Pismo chwali dobroczynność. Podkreśla jednak, że tylko gospodarni pójdą do nieba.

– Cynik mógłby wytknąć Pismu, że można go użyć do poparcia obu stron w każdym sporze.

W kąciку ust Zuri zarysował się cień uśmiechu.

– Cynik mógłby stwierdzić, że taki właśnie jest cel Pisma.

Savine odkryła, że gdy tylko zaczyna mięknąć, choćby przez chwilę, skuteczną motywację zapewnia jej przypomnienie sobie o tym, co mają inni ludzie, a ona nie. W tej akurat chwili na linii wzroku miała dyskretnie uróżowany policzek Lisbit: dziewczyna wyglądała przez to jak chłopka, ale taki właśnie makijaż był ostatnio w modzie. Zawsze można znaleźć coś, o co człowiek może być bezsensownie zazdrosny. Zwłaszcza że przytępienie morderczych instynktów mogło zwiastować klęskę. Gdyby ktoś jej zarzucił, że przez takie podejście do życia stała się wyrachowana, płytką i nikczemną, odparłaby, że ludzie wyrachowani, płytki i nikczemni zawsze wychodzą na swoje – a potem zaśmiałyby się przesłodka i szeptem poleciła Zuri zanotować w kalendarzu, że krytykanta należy zniszczyć.

Przejrzała się w lustrze.

– Jeszcze odrobinę różu – zarządziła. – A co do Hisselringa...



Dość już czekałam. Każ mu spłacić dług.

– Tak, pani. Następna sprawa: pułkownik Vallimir i prowadzony przez niego zakład produkcyjny w Valbecku.

Z ust Savine dobył się jęk frustracji, najgłośniejszy, na jaki było ją stać, dopóki musiała wydymać usta pod pędzelkiem Lisbit.

– Cały czas przynosi straty?

– Przeciwnie: w tym miesiącu donosi o pokaźnych zyskach.

Savine odruchowo szarpnęła głową, żeby spojrzeć na Zuri. Lisbit rozmazała szminkę, zacmokała z dezaprobatą, po czym pochyliła się i czubkiem palca naniosła poprawki. Savine wyraźnie poczuła jej słodki zapach.

– Błogosławieni niech będą gospodarzni... Czym Vallimir tłumaczy ten swój niespodziewany sukces?

– Niczym.

Zuri nałożyła Savine naszyjnik; zrobiła to tak delikatnie, że Savine ledwie poczuła muśnięcie biżuterii: nowe szmaragdy od jej człowieka w Osprii. Sama Savine nie wybrałaby lepiej.

– To podejrzane.

– Istotnie.

– Powinniśmy mu złożyć wizytę. Nasi wspólnicy muszą mieć świadomość, że nie przeoczymy żadnego szczegółu. Mamy zresztą w Valbecku inne sprawy do załatwienia. Nie ma drugiego miasta, które byłoby równie źle pomyślane, fatalnie zbudowane i humorzaste, ale można tam naprawdę zbić fortunę. Wygospodaruj nam parę dni w przyszłym miesiącu, będziemy mogły...

– Przykro mi, ale... nie będę mogła ci towarzyszyć, pani.

Zuri powiedziała to w taki sam sposób, w jaki robiła wszystko inne: delikatnie, z wdziękiem, ale nadzwyczaj stanowczo.

Savine zapatrzyła się na nią w lustrze. Zaniemówiła. Lisbit z wysiłkiem przełknęła ślinę. Metello podniosła wzrok znad peruki na stojaku i znieruchomiła z grzebieniem w ręce.

– Na południu dzieje się źle jak nigdy dotąd – podjęła Zuri ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Niektórzy mówią, że sukub zgładził Proroka, inni, że Prorok wprowadzie zwyciężył, ale

dochodzi do siebie po walce. Cesarz został obalony, jego pięciu synów rzuciło się sobie nawzajem do gardeł. Kolejne prowincje ogłaszają niepodległość i koncentrują się na przetrwaniu. Wszędzie pojawiają się nowi watażkowie i bandyci. Panuje chaos. – Podniosła wzrok. – W Ul-Safayn, siedzibie mojego rodu, zapanowało bezprawie. Moim braciom grozi niebezpieczeństwo. Muszę im pomóc się stamtąd wydostać.

– Ale Zuri... – Savine zamrugła. – Jesteś dla mnie opoką.

Bo tak właśnie było. Zuri była piękna, dyskretna, władała pięcioma językami, miała znakomity gust, wyrafinowane poczucie humoru i talent do interesów, a mimo to nigdy nie próbowała grać pierwszych skrzypiec. Bez wątpienia mogłaby zająć w gurkhulskim społeczeństwie pozycję równie wysoką jak ta, jaką Savine zajmowała w Unii, gdyby nie fakt, że gurkhulskie społeczeństwo osunęło się w otchłań obłędu i popchnęło tłumy uchodźców do przebycia Morza Kręgu. Posiadanie ciemnoskórych towarzyszek życia nagle stało się w Adui niezwykle modne.

Odkąd zostały sobie przedstawione przez ojca Savine, Zuri – sympatyczna uciekinierka z południa, rozpaczliwie potrzebująca pracy – na dziesiątki sposobów dowiodła swojej przydatności, ale w istocie chodziło o coś więcej. Savine miała nieprzeliczoną armię znajomych, utkana przez nią szeroka sieć wzajemnych przysług, spółek i zobowiązań rozpościerała się na całą Unię i poza jej granice, ale przyjaciół nie miała wcale – poza Zuri, której za przyjaźń płaciła.

Złapała się na tym, że pyta:

- Ale szybko wrócisz?
- Najprędzej, jak się da.
- Powinam przydzielić ci eskortę?
- W pojedynkę będę bezpieczniejsza.

Savine kątem oka pochwyciła swoje odbicie w lustrze i zdała sobie sprawę, że nawet efektowny makijaż nie jest w stanie zamaskować jej przygnębienia. Nie do pomyślenia.

– Ależ oczywiście – powiedziała z nieco przesadnym entuzjazmem. – Jedź. Rodzina jest najważniejsza. Opłacę ci

podróż.

– Pani, ja już...

– Po drodze zajrzysz do naszych agentów w Dagoſce, upewnisz się, że nie próbują nas oskubać. A zważywszy na okoliczności, na wybrzeżu Morza Gurkhułskiego mogą się trafić jakieś okazyjne zakupy.

– Nie zdziwiłabym się – przyznała Zuri.

Spojrzała z dezaprobatą na Freid, która zasłaniała się przygotowaną dla Savine suknią jak tarczą, wytrzeszczając oczy nad ozdobnie haftowanym kołnierzem.

– Nie boisz się... żerców?

– Bóg mi świadkiem, że mam dość rzeczywistych zmartwień – odparła z westchnieniem Zuri. – Nie muszę wymyślać sobie nowych.

– Moja ciotka mówi, że na południu wręcz się od nich roi – wtrąciła Lisbit, jak zwykle gotowa zaangażować się w ploteczki.

– A mój ojciec to kiedyś takiego jednego widział – wyszeptała Freid. – Dawno temu, podczas bitwy o Aduę. Potrafią ukraść człowiekowi twarz, przenicować go jednym spojrzeniem albo...

– To wszystko bajki, rozpowiadane przez ludzi, którzy naprawdę powinni mieć więcej oleju w głowie – orzekła surowym tonem Savine. – Lisbit, pod nieobecność Zuri będziesz mi towarzyszyć. Na pewno chętnie wybierzesz się do Valbecku, prawda?

Policzki Lisbit poróżowiały jeszcze bardziej.

– Będę zaszczycona, pani!

Zupełnie jakby jej zaszczycenie miało interesować Savine.

Zuri samą swoją obecnością dawała do zrozumienia, że jest niezrównaną towarzyszką dla eleganckiej damy, z czego wynikało, że owa dama również jest niezrównana. Lisbit nie wysyłała takich komunikatów: była ładniutka, ale nie nadawała się do prowadzenia kalendarza i nie miała za grosz gustu. Cóż, trudno. Jak mawiał ojciec Savine: „Každy pracuje takimi narzędziami, jakie ma pod ręką”.

Pokryła rozczarowanie uśmiechem.

– Oczywiście gdyby ktokolwiek z twojej rodziny – dodała pod

adresem Zuri – potrzebował pracy albo dachu nad głową, będzie u mnie mile widziany.

– Jesteś nazbyt hojna, pani. Jak zawsze.

– Pan Hisselring raczej by się z tobą nie zgodził. Jeżeli twoi bracia są choć w połowie tak użyteczni jak ty, to będzie moja najlepsza inwestycja.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lisbit uchyliła je odrobinę, a po chwili podeszła do Savine, którą Freid i Zuri właśnie opatulały suknią.

– Przyszła ta dziewczyna, pani – powiedziała, krzywiąc się z niesmakiem. – Ma wiadomość od Spilliona Sworbrecka.

Savine poczuła znajome trzepotanie w żołądku i rumieniec na twarzy.

– O której mam być u Rucksteadów?

Zuri spojrzała na zegarek.

– Za dwie godziny i dziesięć minut.

Savine zastanowiła się, ale niezbyt długo.

– Przekaż Tilde moje najszczerze przeprosiny, nie będę mogła ich dziś odwiedzić. Głowa mnie boli. Wprowadźcie tę dziewczynę od Sworbrecka.

Nie była to, ma się rozumieć, dziewczyna od Sworbrecka, tylko od Orso. Przeciętny ksiązę zatrudniłby syna jakiegoś lorda w roli osobistego służącego, ale Orso, z typowym dla siebie nieposzanowaniem zasad, przygarnął trzynastoletnią znajdę, wcześniej zatrudnioną przy praniu brudnej pościeli w burdelu. Uwielbiał otaczać się ciekawostkami, robił to zapewne po to, by jak najskuteczniej odwracać uwagę od faktu, że jest następcą tronu.

Dziewczyna stanęła przed Savine – piegowata, w wyświeconej sukience i ściągniętej prawie na oczy sfatygowanej żołnierskiej czapce. W wyperfumowanej garderobie Savine była tak samo nie na miejscu, jak szczur na weselnym torcie. Ze zgrozą i niedowierzaniem patrzyła, jak Metello wdrapuje się na taboret i nakłada Savine perukę. Można by pomyśleć, że przez przypadek trafiła na sabat czarownic, gdzie odprawiany jest jakiś tajemny rytuał.

– Hildi, prawda? – Savine spojrzała na nią w lustrze. – Tak masz na imię?

– Tak, pani. – Hildi skinęła głową. Miała bystre oczy.

– Pan Sworbreck prosi mnie o spotkanie?

– U niego w gabinecie – odparła dziewczyna z imponująco dyskretnym porozumiewawczym mrugnięciem.

– Zdejmij czapkę, kiedy rozmawiasz z panią Savine! – warknęła Lisbit.

W obliczu rychłego awansu już zaczynała stroić fochy. Savine zaczęła się zastanawiać, czy przed powrotem Zuri będzie miała ochotę udusić Lisbit. Prawdopodobnie tak.

Hildi zrobiła skwaszoną minę, ale posłusznie zdjęła czapkę, spod której wyłoniła się zdumiewająco obfita masa wysoko podpiętych blond włosów. Metello mruknęła z zainteresowaniem i zeskoczyła ze stołka. Szturchnęła grzebieniem czuprynę Hildi, potarła kosmyk włosów między kciukiem i palcem wskazującym, w końcu wyrwała pasemko (Hildi kwiknęła z bólu), podniosła je do światła i posłała Savine znaczące spojrzenie spod siwiejących brwi.

– Masz piękne włosy – powiedziała Savine.

– Dzięki – burknęła Hildi, rozcierając obolałą skórę. – Chyba.

– Dam ci za nie trzy marki.

– Za moje włosy? – Zaskoczenie Hildi nie trwało długo. – Dziesięć.

– Pięć. Nosisz czapkę, nawet nie zauważysz ich braku.

– Bez włosów czapka nie będzie pasować. Dziesięć albo nic.

– Podoba mi się ta dziewczyna! Zuri, wypłać jej dwanaście.

Zuri wyjęła swój zakrzywiony nóż.

– Nie ruszaj się, dziecko.

Savine patrzyła, jak Zuri zręcznie obcina włosy Hildi, pozostawiając króciutkiego jeża.

– Jak słońce zamknięte w butelce – mruknęła, gdy Metello rozpościerała przed nią złote loki. – Po drodze zajrzemy do mojego perukarza. A ty, moje dziecko – zwróciła się do Hildi – zmykaj już. – Perspektywa spotkania z Orso rozproszyła smutek wywołany zapowiadaną nieobecnością Zuri i gdy Savine

spojrzała Hildi w oczy w lustrze, też do niej mrugnęła. – Powiedz panu Sworbreckowi, że z wielką przyjemnością się z nim spotkam.

\* \* \*

– Oż ty w mordę... – wysapała.

Barkiem zrzuciła na podłogę plik papierów Sworbrecka i wyczerpana osunęła się na blat. Za jej plecami sypała się na ziemię istna lawina notatek. Rozprostowała obolałe od zaciskania palce. Rant biurka odcisnął się białą krechą we wnętrzu jej dłoni.

– Uch... – Wyplątała palce drugiej dłoni z włosów Orso i poklepała go po policzku. – Ćwiczyłeś.

– Przy każdej okazji. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wytarł twarz i zsunął jej udo z ramienia.

– Chyba powinnam pogadać ze Sworbreckiem... – Wciąż nie mogąc złapać tchu, wyciągnęła uciskający ją w ramię nożyk do otwierania listów i odrzuciła go na bok. – Niech wstawi tu łóżko.

– Brakowałoby mi tego biurka – zaoponował Orso. Pochylił się nad nią, ale niezbyt daleko, tak że musiała wyciągnąć szyję, żeby go pocałować. – Tyle wspomnień...

Obciągnęła spódnicę i sięgnęła do paska jego spodni.

– Twoja kolej.

– Moglibyśmy najpierw... porozmawiać?

– Najpierw?! – Zmrużyła oczy. Ciągle jeszcze była przyjemnie miękka, zarumieniona, rozedrgana, ale jeśli Orso myślał, że uda mu się ją w tym stanie jakoś okantować, to czekało go przykre przebudzenie. – Co ci chodzi po głowie?

– O wydarzenia na Północy. – Uklęknął i spojrzał na nią błagalnie. – Nie może być tak, że Finree dan Brock walczy sama w naszej wojnie. Powinniśmy być Unią, do diabła!

– Powinniśmy...

– Musimy jakoś zareagować! – Uderzył w blat biurka z takim impetem, że aż kieliszki zadzwięczały. – Mam poczucie, że to ja

powiniennem poprowadzić armię.

Savine wybuchnęła śmiechem, ale gdy stwierdziła, że Orso się nie śmieje, spoważniała. Zapadła krępująca cisza.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie. Rozmawiałem z moim ojcem. Potem z twoim...

Gwałtownie podniosła wzrok.

– Że co?!

– Więcej wiary, Savine, nie zacząłem od „Dzień dobry, w nocy wylizałem córkę Waszej Eminencji”. Niczego się nie domyśla.

– Trzeba niemałej odwagi, żeby tak stanowczo twierdzić, czego mój ojciec się domyśla, a czego nie.

– Której mi brakuje, tak? O to ci chodzi? – Orso zrobił urażoną minę i Savine zrobiło się go trochę żal.

– Moje ty biedactwo... – Objęła go za szyję, przyciągnęła i pocałowała lekko. – Po dwunastu latach chlania, grania w karty i posuwania wszystkiego, co ma otwór, nikt cię nie traktuje serio?

– Ty najwyraźniej nie.

Wyprostował się i zaczął zapinać koszulę.

Prawdę mówiąc, Savine uważała, że właśnie ona jest jedyną osobą, która traktuje go poważnie.

– Przecież jestem przy tobie, prawda? – Ponownie przyciągnęła go do siebie, wplotła palce w jego włosy i przycisnęła jego głowę do piersi. – I co ci wielcy ludzie odpowiedzieli Waszej Wysokości?

– Ojciec dał mi batalion wojska i powiedział, że mianuje mnie dowódcą, jeżeli zwerbuję jeszcze pięć tysięcy ludzi. Tylko że do tego... potrzebne mi są pieniądze. – Orso przesunął koniuszkiem palca wzdłuż obojczyka Savine aż do zagłębienia u nasady szyi. – A ty znasz ludzi. Różnych ludzi. Bogatych. Takich, którzy mogliby potraktować mnie jak... inwestycję.

Zmarszczyła brwi. Kiedy uznawała inwestycję za kiepską, nie narażała na szwank swojej reputacji poprzez polecenie jej komuś innemu. A gdy inwestycja zapowiadała się obiecująco, wolała ją zatrzymać dla siebie. Ale pięć tysięcy żołnierzy to

potężny wydatek: mundury, broń, pancerze, posłania, zapasy... Do tego dochodziła armia mężczyzn i kobiet odpowiedzialnych za dostarczenie tamtych na pole bitwy i utrzymanie ich tam wraz z całym taborem i stadem zwierząt pociągowych i jucznych – dla których również trzeba było zabrać jedzenie.

W dodatku, pomijając jej dobre chęci i ewentualną hojność, Orso był gorzej niż niesolidny. Jak można zatrudnić praczkę z burdelu zamiast osobistego służącego?! Nie miał pojęcia o zasadach rządzących prowadzeniem interesów, tym bardziej więc nie można się było spodziewać, że będzie ich przestrzegał. Jeżeli miała mu pożyczyć pieniądze, będzie potrzebowała jakichś gwarancji. Orso musiał zrozumieć, czego oczekuje od niego w zamian. Musieli zawrzeć umowę, pewną, solidną umowę, taką, z której nawet król się później nie wyślizga.

Orso – być może zachęcony jej przedłużającą się zadumą – uśmiechnął się nieśmiało.

– Co o tym myślisz?

Jej usta same się do niego uśmiechnęły, po czym, zgoła niezależnie od umysłu, odparły:

– Dam ci te pieniądze.

Znów zapadła cisza. Kiedy na twarzy Orso odmalowały się w końcu jakieś odczucia, bardziej przypominały podejrzliwość niż wdzięczność. I trudno mu się było dziwić. Co ta Savine kombinowała?

– Tak... po prostu? Całą sumę?

– Po co komu pieniądze, jeśli nie może pomóc... przyjacielowi? – Nie wiadomo dlaczego omal nie zadławiła się tym ostatnim słowem.

– Żadnego planu spłat? Obietnicy przysługi za przysługę? Żadnego pogadaj-z-tym-i-tamtym o interesach?

– Działam w słusznej sprawie, prawda? Patriotycznej.

Słuszne sprawy? Patriotyzm? Zupełnie jakby ktoś obcy mówił jej głosem.

Łagodnym gestem dotknął jej policzka. Kiedy chciał, potrafił być bardzo delikatny.

– Kiedy myślę, że nie mogę mieć jeszcze lepszej opinii o tobie,



tu mnie... zupełnie zaskakujesz. No, muszę lecieć. Mam mnóstwo spraw do załatwienia.

Dopiero kiedy cofnął dłoń, Savine zdała sobie sprawę, że przyciskała do niej policzek. Wciąż czuła, że jest ciepły. Zarumieniła się i odwróciła zakłopotana jak dziecko. I wściekła za to na siebie, prawdę mówiąc.

– Naturalnie. – Przyglądziła sukienkę, skubnęła nerwowo naszyjnik, poprawiła perukę. – Ja też mam plany na wieczór, kolację z marszałkiem Ruckstedem i jego żoną...

– Brzmi kapitalnie. Ale słuchaj, jesteś pewna swojej decyzji? – Objął ją od tyłu w pasie i przyciągnął do siebie. – Całkowicie pewna?

– Zawsze mówię to, co myślę.

I rzeczywiście tak było. Z wyjątkiem tej sytuacji.

– Odezwę się – szepnął jej do ucha, aż po szyi Savine przebiegły ciarki. – A jeśli nie ja, to Sworbreck na pewno.

Drzwi zamknęły się za nim ze szczękiem.

Savine stała na środku zagraconego gabinetu i próbowała zrozumieć, co właśnie zrobiła. Uwielbiała hazard, ale zawsze grała w znajome gry. A to? To było nierozsądne. Złamała wszystkie swoje zasady.

Wszystkie jej bliskie przyjaciółki, o których wiedziała, że zazdroszczą jej i serdecznie jej nienawidzą, mogłyby jej udzielić odpowiedzi, powiedziałyby, że w całej Adui nie ma drugiej tak ambitnej żmii jak Savine dan Glokta. Wredna sucz zamierza dosiąść fiuta następcy tronu i wjechać na nim do pałacu. Ukradnie tron, żeby na wszystkich patrzeć z góry.

Może wcale by się nie myliły, może istotnie wciąż śniła dziecinny sen o zostaniu Najwyższą Królową Unii. W jednym Zuri miała rację: każdy lepiej wygląda na klęczkach. Gdyby Orso nie był następcą tronu, nie zainteresowałyby się nim – bo i czym tu się interesować?

To znaczy, owszem, był przystojny. Emanował swobodną pewnością siebie. Umiał ją rozśmieszyć, tak naprawdę rozśmieszyć, przy nim nie musiała udawać. I ten uroczy tik w kąciku ust, gdy przychodził mu do głowy jakiś żart; ona też od

razu zaczynała się uśmiechać, zastanawiając się, co to będzie tym razem – i nigdy nie umiała zgadnąć. Nikt nie potrafił jej zaskoczyć tak jak on. Nikt tak jak on nie rozumiał jej potrzeb. Pomyślała o tym, jakie wszystko wydawało jej się blade i nieciekawe, gdy czekała na wiadomość od Sworbrecka: przebieranki, kolacje, herbatki, zyski, przebieranki, plotki, planowanie, znaczki w kalendarzu. A potem przyszła wiadomość i wszystko eksplodowało kolorami. Zupełnie jakby tkwiła zamknięta w więzieniu, kiedy nie była z Orso. Jakby została pogrzebana i powracała do życia tylko, gdy...

– Oż w mordę! – mruknęła.

Nagle nogi się pod nią ugięły – zupełnie tak samo, jak kiedy Bremer dan Gorst cisnął nią o ścianę. Musiała się oprzeć ciężko o biurko. Spojrzała na swoje majtki, porzucone zmięte na podłodze.

Wszyscy wiedzieli, że Orso jest próżniakiem, leniem i nicponiem. Nie powinna go pragnąć i nigdy nie mogła go mieć.

A była w nim zakochana bez pamięci.

## Część II

„Postęp oznacza tylko tyle, że złe rzeczy dzieją się szybciej”.

Terry Pratchett

## Pełen smutnych historii

– Zaczniście od czyszczenia kominów po wschodniej stronie – powiedział Sarlby, oparłszy się na miotle. – Te piece tutaj zostały dopiero co wygaszone, są jeszcze gorące jak kuźnia Stwórcy.

Kominiarzem był stary, roztrzęsiony, zezowaty pijaczyna. Zalatywało od niego piwiarnią i masową mogiłą jednocześnie, które to aromaty Pleczysty znał lepiej, niżby chciał.

– Wiem, co robię – mruknął kominiarz.

Nie podnosząc wzroku, przeszedł obok Sarlby’ego z czwórką pomagierów, chłopaków brudnych od sadzy, objuczonych szczotkami i wyciorami i – na oko – wygłodniałych. Najmłodszy pogwizdywał, a kiedy mijał Pleczystego, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając lukę po dwóch zębach. Pleczysty próbował odpowiedzieć mu w ten sam sposób, ale nie był w nastroju do uśmiechania się.

– Słowo daję – mruknął Sarlby – za każdym razem, kiedy go widzę, skurczybyk jest coraz bardziej nawalony.

– Gdyby nie to, że już nie piję, sam jego widok skutecznie przekonałby mnie do zachowania umiaru – przyznał Pleczysty.

– Szkoda dzieciaków, co? Takie to młode, a już musi złązić do komina. Jak myślisz, ile lat miał ten najmniejszy?

Pleczysty zamiatał dalej. W Styrii nauczył się, że jest bardzo dużo rzeczy, nad którymi lepiej się nie zastanawiać. Nieprzypadkowo najszczęśliwsi ludzie, jakich miał okazję poznać, zwykle okazywali się również najgłupszymi.

– Kupuje się ich, wiesz? W sierocińcach. Przybłądy bez rodziny i bez perspektyw. Są prawie jak niewolnicy. – Sarlby otarł czoło i przysunął się do Pleczystego. – Nacierają sobie kolana solanką, wiesz? Łokcie też. Szorują je do żywego, codziennie rano i wieczorem, żeby robiły się twarde jak skóra

na buty. Łatwiej wtedy wytrzymać w gorącym kominie.

– Rzeczywiście, szkoda dzieciaków. – Pleczysty uniósł okulary, rozmasował obolałą nasadę nosa i nałożył je z powrotem. – Ale świat jest pełen smutnych historii.

– Pewnie. – Sarlby prychnął niewesołym śmiechem. – Osobiście znam takiego jednego nieszczęśliwca. Mieszka gość w piwnicy przy Łąkowej. Wody mu się tam tyle zbiera, że co rano musi ją kubłem wybierać niczym z tonącej łajby. A twoja rodzina gdzie się teraz podziewa?

– Malmer znalazł nam pokoje w domu w połowie wysokości wzgórza.

– Rety, rety... – Sarlby zadarł nos i mówił dalej głosem, który w jego mniemaniu miał udawać głos arystokraty: – Pokoje? W liczbie mnogiej?

– No, dwa w sumie. Nie są tanie, ale córka pracuje jako gosposia, żona dorabia szyciem... Głównie szyje ubrania na pogrzeby.

– Tutaj ubranie na pogrzeb to najlepszy ciuch.

– Ano tak. – Pleczysty westchnął ciężko. – Liddy zawsze miała dryg do szycia. W ogóle świetnie sobie radzi ze wszystkim, do czego przyłoży rękę. W tej rodzinie to ona ma talent.

– A także urodę, pomysłu, poczucie humoru... – Sarlby wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W takim razie co ty wniosłeś do tego małżeństwa?

– Szczerze? Nie mam zielonego pojęcia.

– Mniejsza z tym, grunt, że się wam układa. W połowie wzgórza życie nie wygląda tak najgorzej, opary są tam trochę rzadsze. Zawsze jest tak, że ktoś ląduje na górze, a ktoś inny na dole. Jednemu się powodzi, a drugi cierpi.

Pleczysty spojrzał na Sarlby'ego sponad okularów.

– Przystaniesz się mnie wreszcie czepiać?

– To nie ja, to sumienie cię gryzie.

– Jasne. Ty mu tylko dostarczasz amunicji.

– Jeśli ci się to znudzi, wiesz co robić. – Sarlby położył Pleczystemu rękę na ramieniu i zniżył głos do szeptu: – Destruktorzy rosną w siłę, bracie, przybywa nas z każdym

dniem. Wielka Zmiana jest tylko kwestią czasu.

Może sprawił to oddech Sarlby'ego na karku, może świadomość wspólnej tajemnicy, a może ryzykowny temat rozmowy – tak czy inaczej, Pleczystego przeszedł dreszcz. Kiedyś chciał coś zmienić, dawno temu, zanim jeszcze w Styrii przekonał się, że zmienianie świata nie jest takie proste.

– Jasne – mruknął teraz. – Każdy dostanie własnego smoka do jazdy wierzchem i zamek z piernika. Jeśli zgłodnieje, zawsze będzie mógł zjeść mury.

– Nie jestem głupcem, Byku, wiem, jaki jest świat, ale może uda nam się choć trochę wyrównać poziom życia ludzi; wyrzucić część bogatych łajdaków z pałaców na wzgórze i wyciągnąć część ubogich rodzin z piwnic przy Łąkowej; dać każdemu człowiekowi uczciwą płacę za uczciwą pracę. Chodzi o to, żeby pracodawca nie fałszował wskazań zegara, nie wlepił kar za byle co i nie zmuszał dziewczyn do nocnych nadgodzin; żeby rzeźnik przestał sprzedawać zepsute mięso, młynarz mąkę zmieszaną z kredą, a barman piwo rozcieńczone stęchlą wodą. Może dzięki nam dzieciaki nie będą musiały przynajmniej szorować się w solance. To już by było coś, nie uważasz?

– Fakt, to by było coś. – Pleczysty musiał przyznać, że w przemowie Sarlby'ego nie było się z czym spierać. – Nie wiedziałem, że taki z ciebie orator.

Z głębi browaru dobiegł trzask.

– Podkradłem te słowa lepszym od siebie – przyznał Sarlby. – Jeśli ci się podobają, powinienes przyjść na spotkanie, posłuchać Tkacza. On by cię przekonał.

Pleczysty usłyszał czyjś zdławiony krzyk.

– Nie mogę dać się wam przekonać – odparł z żalem. – Jakiś czas temu darowałem sobie próby naprawiania świata. Może przy pierwszym razie, kiedy wspinaliśmy się po drabinach; na pewno przy drugim. Dość już miałem kłopotów. Teraz się nie wychylam. Mam rodzinę.

Znowu ten trzask, tym razem głośniejszy. Z jednego ze świeżo wygaszonych palenisk buchnął kłęb sadzy.

– Co jest, do diabła? – Sarlby zrobił krok w tę stronę. – Ej! Tu

się zmiata!

Z przewodu kominowego dobiegły zgrzyty, chrobotanie, znów buchnęła sadza, a potem rozległ się piskliwy wrzask, wyraz przerażenia i bólu.

Pleczysty zmartwiał.

– Nie mogę wyjść! – To musiał być jeden z kominiarczyków. – Nie mogę się wydostać!

Pleczysty z Sarlby spojrzeli po sobie. Na twarzy dawnego towarzysza broni Pleczysty dostrzegł odbicie własnej bezradności i zgrozy.

– Utknął w kominie! – wychrypiał Sarlby.

Pleczysty odrzucił miotłę i doskoczył do paleniska. Wspiął się na ławę przy kominie. Paleniska cały dzień pracowały pełną parą i cegły nawet od zewnątrz były wciąż gorące w dotyku. Rozległ się kolejny trzask, zgrzyt, jakby coś się ześliznęło, i krzyki chłopca przeszły w nieartykułowany, bezrozumny wrzask.

Komin zbudowano tak samo niechlujnie jak cały Valbeck: Pleczysty wyszarpywał kawałki kruszącej się zaprawy palcami, drapał paznokciami, jakby mógł gołymi rękami rozebrać komin i dostać się do uwięzionego w nim chłopca, ale nie był w stanie tego zrobić.

– Masz! – To Malmer podbiegł do nich i wcisnął mu w dłoń łom.

Pleczysty chwycił stalowy pręt i zaczął kuć, rozłupywać cegły, kruszyć zaprawę. Kłął wściekle pod nosem. Odłamki cegieł furkotały w powietrzu. Cały czas słyszał uwięzionego w kominie chłopca, który przestał krzyczeć i już tylko krztusił się i pojękiwał.

Kiedy udało mu się wyłuskać całą cegłę, z komina buchnęło takim żarem, że musiał na moment odwrócić twarz. Zaraz potem zaklinował łom w wyrwie, użył go jako dźwigni i powiększył otwór. Z komina wydostał się kłęb sadzy. Przyczerniła mu okulary, wdarła się do płuc, przyprawiła go o atak kaszlu. Sarlby złapał za poszarpane krawędzie wyrwy, sapnął, gdy poparzył sobie dłonie, zdarł fartuch i owinął nim

ręce.

Pleczysty wbił łom w głąb komina i naparł z całej siły. Drżał z wysiłku, postękiwał przez zaciśnięte zęby, ale w końcu ogromny klinowaty zlepek cegieł odłamał się od reszty i spadł w palenisko. W odsłoniętym przewodzie kominowym coś było: dwa czarne patyki. Na jednym z nich tkwił but.

W środku było gorąco jak w piecu. Pot błyskawicznie wystąpił na twarz Pleczystego. Spodnie chłopca tliły się i dymiły, ciało na nogach zrobiło się śliskie w dotyku i pokryło pęcherzami. Kiedy Pleczysty je chwycił, w pierwszym momencie pomyślał, że to popiół się z nich złuszcza. Dopiero po chwili zorientował się, że to płaty skóry.

– Niech to szlag! – Sarlby znów zaatakował komin łomem.

Spadły cegły, posypała się zaprawa i chłopak osunął się w ramiona Pleczystego w tumanach sadzy.

Był gorący, tak gorący, że ledwie dało się go dotknąć. Pleczysty cierpiał katusze, próbując go nie upuścić.

– Połóż go tutaj! – Malmer przetarł ławę i zaczął wytrząsać iskry z tłących się włosów chłopca.

– Kurwa! – wyszeptał Sarlby, zakrywając usta przedramieniem.

Chłopiec się nie ruszał. Nie oddychał, ale zważywszy na to, jak bardzo został poparzony, to chyba dobrze się złożyło. Pachniało jak w kuchni o poranku, bekonem przysmażanym na patelni.

– Co robimy?! – zawołał Pleczysty. – Co robimy?!

– Nic nie możemy zrobić. – Malmer zacisnął porośnięte siwą szczecinę szczęki. – On nie żyje.

– Upiekł się – szepnął Sarlby. – Kurwa, upiekł się żywcem!

– Ale powiedzieliście, że kominy po zachodniej stronie... – Pleczysty odwrócił się i zobaczył kominiarza. Stojącemu obok niego pomagierowi oczy wychodziły z orbit. – Powiedzieliście...

Jego głos przeszedł w nieartykułowane gulgotanie, gdy Pleczysty złapał go za przód koszuli, podniósł i wbił w głąb rozbitego komina. Kominiarz szamotał się bezradnie, szarpał pięści Pleczystego, któremu ścięgną na wierzchu dłoni wyszły



spod tatuażu.

– Nie wiedziałem. – Łzy płynęły mu po twarzy, oddech cuchnął alkoholem i zgnilizną. – Nie miałem pojęcia...

– Spokojnie – rozległ się czyjś głos, niski, łagodny, kojący. – Spokojnie, wielkoludzie. Puść go.

Pleczysty był jak napięta kusza, której łatwiej już wystrzelić bełt niż się powstrzymać. Z najwyższym wysiłkiem pohamował żądzę strzaskania kominiarzowi kręgosłupa, rozluźnił pięści i wypuścił z uścisku jego brudną kurtkę. Cofnął się. Kominiarz pochlipując osunął się na podłogę obok kotła.

Malmer poklepał Pleczystego po piersi.

– Tak trzymać. Przemocą nic nie wskórasz, to zły moment.

Pleczysty wiedział, że żaden moment nie jest dobry. Wiedział to od lat. Tyle że to, co wiedział, i to, co robił, rzadko miewało ze sobą coś wspólnego.

Spojrzał na leżącego na ławie chłopca, na jego czerwono-czarne ciało. Dopiero teraz naprawdę rozluźnił palce, ściągnął usmolone okulary i stał tak, ciężko dysząc. Przeniósł wzrok na Sarlby'ego i Malmera: dwie plamy w świetle lampy.

– To gdzie odbywają się te spotkania?

## Niespodzianki

Rikke spróbowała usiąść, ledwie trafiła na krzesło i klapnęła na nie z takim impetem, że przygryzła sobie język i obiała pośladki. Isern musiała wykazać się refleksem i przytrzymać jej krzesło, żeby nie przewróciło się do tyłu.

– Jesteś pijana – powiedziała.

– A jestem – odparła z dumą Rikke. Przypaliła również chagę i teraz wszystko wokół niej emanowało przyjemnym ciepłkiem. Twarze w blasku świec stawały się błyszczące, rozmazane i szczęśliwe.

– Do tego upalona – dodała Isern. – Ale ludzie ci wybaczą, bo jesteś młoda, głupia i osobliwie urocza.

– Owszem, jestem urocza.

Rikke pociągnęła kolejny łyk, który jednak napotkał po drodze zalatujące wymiotami beknięcie. Zakrztusiła się, omal nie zadławiła i opluła piwem pół ściany. Gdyby była mniej pijana, wypadłoby to nadzwyczaj niegodnie, a tak tylko się roześmiała.

– A że jestem pijana... Taki jest przecież cel uczszczęszowania.

Isern spojrzała na nią leniwie ponad krawędzią kufła.

– Mówi się „uczszczęszowania”.

– Tak właśnie powiedziałam: uczszczęszowania.

Przekłęte słówko zupełnie nie chciało jej przejść przez odrętwiałe wargi. W sali – a właściwie w stodole, bo w tych czasach człowiekowi musiało wystarczyć to, co miał – cichł gwar. Ojciec Rikke zamierzał przemówić.

– Ćśśśsicho! – syknęła. – Ćśśśsicho!

– Nic nie mówiłam – odparła Isern.

– Powiedziałam, ćśśśsicho! – Łamiący się głos Rikke poniósł

się daleko w cichym wnętrzu.

Jej ojciec odkaszlnął, a wszyscy popatrzyli na Rikke, która zarumieniła się gwałtownie, skuliła, jak tylko dało się najbardziej, i siorbnęła piwa.

– Może Calder, Scale i ich łotry chwilowo zmusili nas do ucieczki – zaczął ojciec Rikke.

– Chwilowo! – ryknął ktoś. – Łajdaki!

Inni goście podchwycili okazję do obrzucenia wroga inwektywami. Rikke skrzywiła się i splunęła na usłaną słomą podłogę.

– Może zdeptali mi ogródek! – mówił dalej gospodarz.

– Tam i tak nic nie rosło, tylko chwasty! – odkrzyknął ktoś z tyłu sali.

– Może i przemawiam do was w cudzej stodole zamiast w swoim domu w Uffricie!

– U ciebie zawsze cuchnęło psem! – zakrzyknął ktoś inny.

Odpowiedział mu śmiech setki lub więcej Ludzi Nazwanych, stłoczonych przy stołach zrobionych ze starych drzwi. Widząc jednak, że ojciec Rikke nie podziela ich rozbawienia, wkrótce spoważnieli.

– Wiele rzeczy w życiu straciłem – ciągnął. – Wiele zostało mi odebranych. W ostatnim czasie wielu dobrych ludzi wróciło do błota; widzę wśród nas mnóstwo pustych miejsc, na których powinni zasiadać nasi przyjaciele. Tej pustki nic nie zapełni.

Uniósł kielich. Wszyscy powtórzyli jego gest, po stodole poniósł się srogi pomruk.

– Za poległych! – mruknął Dreszcz.

– Za poległych – zawtórowała mu Rikke. Pociągnęła nosem, tłumiąc niespodziewany przyływ smutku i złości.

– Mam jednak lojalnych sprzymierzeńców! – Ruchem głowy ojciec Rikke wskazał lady Finree, która ze wszystkich sił starała się zachowywać swobodnie i naturalnie. Był jej za to wdzięczny. – A teraz jeszcze wróciła do mnie córka. – Uśmiechnął się do Rikke. – Dlatego uważam się za szczęściarza, nawet jeśli bywam smutny! – Objął córkę i pocałował ją w czubek głowy. Stodoła rozbrzmiała wiwatami, aż zatrzęsły się wiekowe krokwie, a on

dodał półgłosem: – Tak sobie miarkuję, że chyba nie zasłużyłem na takie szczęście.

– Ja też chciałabym wznieść toast! – Rikke wsparła się na ramieniu ojca, wgramoliła na stół i podniosła kufel nad głowę. Wylała przy tym trochę piwa na blat, ale ten był już tak zachlapany, że nikt nie zauważyłby różnicy. – Za was wszystkich, smętnych drani, którzy byliście beznadziejnie zagubieni, zanim dzięki czulej opiece i przewodnictwu Isern-i-Phail zdołaliście do mnie wrócić!

– Za zagubionych drani! – zagrzemiał ktoś.

Goście wypili, rozległy się śmiechy, ktoś coś zaintonował, gdzieś w kącie wybuchła bójka, ktoś dostał po gębie, komuś ułamał się ząb, ale wszyscy byli w świetnych humorach.

– Na pamięć poległych, Rikke, jak ja się cieszę, że wróciłaś! – Ojciec ujął jej twarz w stare, sękaty dłonie. – Gdyby coś ci się stało... – Wyglądał, jakby w kącikach oczu zalśniły mu łzy. Uśmiechnął się, pociągnął nosem. – Jesteś całym dobrem, jakiego dokonałem w życiu.

Niepokoił ją jego wygląd. Ojciec wydał jej się dziwnie zrezygnowany, jakby poszarzały, wiele lat starszy, niż kiedy poprzednio go widziała – a przecież od tamtej pory minęło zaledwie parę tygodni. Niepokoił ją również sposób, w jaki mówił, niemądry, sentymentalny, jakby tkwił zapatrzony w przeszłość i niczego już nie oczekiwał od życia. Nie chciała jednak, żeby zobaczył troskę na jej twarzy, dlatego błaznowała bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Co ty wygadujesz, stary łobuzie? Uczyniłeś wiele dobra, bardzo wiele. Całe góry dobra. Kto zrobił dla Północy więcej niż ty, ha? Każdy z obecnych tu głupców oddałby za ciebie życie.

– To możliwe, ale nie powinni być do tego zmuszeni. Po prostu nie wiem... – Zmarszczył brwi i powiódł po zebranych w stodole opojach takim wzrokiem, jakby wcale ich nie widział; jakby przeniknął ich długim okiem na wskroś i zobaczył coś strasznego. – Nie jestem pewien, czy mam dość sił do dalszej walki.

– Posłuchaj no. – Ujęła jego poźłobioną zmarszczkami twarz

i pociągnęła ku sobie. – Jesteś Wilczarz! – warknęła gniewnym, zapalczywym tonem. – Nie ma na Północy drugiego takiego twardziela jak ty! W ilu bitwach brałeś udział?

Uśmiechnął się lekko na te słowa.

– Mam wrażenie, że we wszystkich – odparł.

– Właśnie! We wszystkich! Walczyłeś u boku Krwawej Dziewiątki! Walczyłeś u boku Rudda Trójdrzewca! Pokonałeś Bethoda na Wyżynach!

Uśmiechnął się i musnął językiem jeden ze szpiczastych zębów.

– Wiesz, że nie lubię się przechwalać.

– Człowiek z twoim imieniem nie musi się przechwalać. – Zadarła głowę i wyprężyła pierś, żeby mu pokazać, jak bardzo jest dumna z łączącego ich pokrewieństwa. – Pokonasz Stoura Zmierzchuna i jego dupolizów, powiesimy go na kolczastych pnączach, wytnę mu krwawy krzyż, a potem wyślę jego tatce jego bebechy! – Zdała sobie sprawę, że warczy gniewnie, parska śliną i wygraża ojcu pięściami. Rozluźniła dłonie i otarła usta. – Albo coś w tym rodzaju.

Jej krwiożerczość zaskoczyła ojca.

– Nigdy przedtem nie mówiłaś w taki sposób.

– Wcześniej nikt nie spalił mi domu. Nie rozumiałam dotąd, dlaczego krwawe rodowe właśnie to taka popularna rozrywka na Północy, ale chyba zaczynam pomału łapać.

Jej ojciec skrzywił się ze smutkiem.

– Miałem nadzieję, że moje zatargi umrą razem ze mną, a ty będziesz od nich wolna.

– Ale to nie twoja wina! Ani nie moja. To Scale Żelaznoręki nas zaatakował! To Czarny Calder spalił Uffrith! To Stour Zmierzchun ścigał mnie po lasach, kurwa jego mać! To oni podeptali ci ogródek... – Rikke bez przekonania zawiesiła głos.

– W ogródkach piękne jest to, że odrastają.

– Kiedy siedzisz po szyję w lodowatej wodzie, perspektywa się zmienia. – Na wspomnienie tamtych chwil wezbrała w niej wściekłość. – Kiedy nie dojadasz, srasz po gaciach, do tego chodzisz wiecznie poobcierany, a potem słyszysz, jak jakiś

kutafon się przechwala, co z tobą zrobi. „Musisz zniszczyć to, co kochają”, powiedział złamas jebany, a potem wzięli i zniszczyli wszystko, kurwa, wszystko. To teraz my zniszczymy to, co oni kochają, i zobaczymy, jak im się, kurwa, spodoba. Obiecałam sobie, że zabiję Stoura. Przysięgam, że to zrobię.

Jej ojciec westchnął ciężko.

– Najpiękniejsze w obietnicach składanych samemu sobie jest to, że nikt inny nie ma do ciebie pretensji, kiedy ich nie dotrzymujesz.

– Tiaaa... – Złapała się na tym, że znów zaciska pięści, i tym razem postanowiła ich nie rozluźniać. – Isern mówi, że jestem miękka. Rozpieszczona.

– Mogło być gorzej.

– Isern mówi, że księżyc kocha okrucieństwo.

– Powinnaś chyba uważać, czego uczysz się od Isern-i-Phail.

– Chce dla mnie jak najlepiej. I dla całej Północy też.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

– Możesz w to wierzyć albo nie, ale wszyscy chcą jak najlepiej. Wszelkie zło na świecie wynika z tego, że ludzie nie potrafią się w tej kwestii porozumieć.

– Ona mówi, że trzeba utwardzić serce na kamień.

– Rikke... – Położył dłonie na jej ramionach. – Posłuchaj mnie. Przez lata poznałem wielu ludzi, którzy tak właśnie zrobili. Ludzi absolutnie godnych podziwu, którzy utwardzili swoje serca, by móc przewodzić, zwyciężać, rządzić. Ale ostatecznie nie wyniknęło z tego nic dobrego ani dla nich samych, ani dla tych, którzy byli blisko nich. – Ścisnął lekko jej ramiona. – Lubię twoje serce takie, jakie jest. Może gdyby było was więcej, Północ byłaby lepszym miejscem.

– Tak myślisz? – mruknęła bez przekonania.

– Jesteś twarda, Rikke, a do tego masz głowę na karku. Chociaż lubisz to ukrywać, może nawet przed sobą. – Wilczarz powiódł wzrokiem po sali i wypełniających ją rozkrzyczanych ludziach. – Kiedy to wszystko się skończy, będziesz im potrzebna właśnie taka: twarda i trzeźwo myśląca. Ale będą też potrzebowali twojego serca, kiedy odejdę.

Rikke z wysiłkiem przełknęła ślinę i – jak zwykle – obróciła łęk w żart:

– A dokąd się wybierasz? Do sracza?

– Najpierw do sracza, potem spać. Nie spij się za bardzo, dobrze? – Pochylił się i mruknął jej do ucha. – Szkoda by było, gdyby z serca zrobił ci się bukłak na wino.

Odprowadziła go chmurnym spojrzeniem. Zawsze był chudy, ale żyłasty i silny jak naprężony łuk, teraz zaś wydał jej się przygarbiony i kruchy. Złapała się na tym, że zastanawia się, ile jeszcze mu zostało. Bo jeśli ktokolwiek tu liczył na jej siłę i rozum, to wszyscy byli w poważniejszych tarapatach, niż przypuszczała.

Dreszcz z marsową miną siedział sam, dookoła niego było trochę wolnej przestrzeni. Miał taką reputację, że ludzie, nawet podcięci, woleli trzymać się od niego na dystans. Na Północy było wielu złych ludzi, ale Caul Dreszcz – jeśli wierzyć temu, co o nim mówiono – zaliczał się do najgorszych. Źli ludzie są przekleństwem, bez dwóch zdań, przynajmniej dopóki nie znajdziesz się w kłopotach i nie odkryjesz, że jeden z nich stanął po twojej stronie. Bo wtedy są najlepszym, co mogło ci się przytrafić.

– Hej, hej, Dreszczu! – Rikke grzmotnęła go w ramię, chociaż niewiele brakowało, żeby chybiła. Miała fart, że był szeroki w barach. – Coś mi się widzi, że nie w smak ci to całe ucztowanie. Świętujemy mój heroiczny powrót! Powinieneś się uśmiechać! – Spojrzała na jego okaleczoną twarz, obwisłą powiekę wokół metalowego oka, ogromną bliznę po oparzeniu na policzku. – Umiesz się chyba uśmiechać, co?

Spojrzał na jej dłoń na swoim ramieniu, potem przeniósł wzrok na jej twarz. Nie uśmiechnął się.

– Dlaczego nigdy się mnie nie bałaś?

– Nigdy nie wydawałeś mi się szczególnie przerażający. A to twoje oko to nawet ładne jest. Takie błyszczące. – Rikke poklepała go po policzku. – Miałam za to wrażenie, że jesteś... zagubiony. Jakbyś zgubił sam siebie i nie wiedział, gdzie szukać. – Przyłożyła dłoń do jego piersi. – Ale zawsze byłeś tutaj. Nadal

jesteś.

Na jego twarzy odmalował się taki szok, jakby go spoliczkowała. W zdrowym oku coś zalśniło wilgotno – albo może to jej świat rozmazywał się przed oczami, bo przecież Caul Dreszcz nie słynął ze skłonności do płaczu. No, poza tym jednym razem, kiedy oko mu wypłynęło, ale to co innego.

– Coś dużo tu dziś mamy płaczkliwych staruszków – mruknęła pod nosem Rikke i odsunęła się od stołu. – Muszę się jeszcze napić.

Może dalsze picie nie było najlepszym pomysłem, ale z jakiegoś powodu to właśnie złe pomysły zawsze wydawały jej się najbardziej atrakcyjne.

Napełniała właśnie kufel piwem, maksymalnie skoncentrowana, żeby nie uрониć ani kropli, z językiem wtulonym w zagłębienie w dolnej wardze, w którym zwykle opierała się fajka z chaggą, gdy zobaczyła Leo dan Brocka.

Zwykle towarzyszyli mu nieodłączni kumple – i rzeczywiście, ten z pełnym uzębieniem siedział nieopodal i uśmiechał się do jednej z obsługujących ich kobiet w taki sposób, jakby jego uśmiech był darem, za który powinna mu być wdzięczna, ale pozostałych nie było nigdzie widać. Pewnie matka Leo ich przepłoszyła. Trzeba było oddać jej sprawiedliwość: lady Finree potrafiła być przerażająca, a w tej chwili – sądząc po gniewnej minie i wygrażającym palcu – udzielała chyba nauczki synowi.

– ...ale dłużej nie będę ci przeszkadzać – podsłuchiwała Rikke, podszedłszy do nich. – Ktoś w końcu musi poprowadzić ten odwrót.

Leo odprowadził ją takim wzrokiem, jakby jego oczy miały sztylety. Jednym haustem opróżnił kufel, a potem odrzucił go na zaśmiecony stół i zaczął pić prosto z dzbana. Strużki piwa ściekały mu po szyi i ostro pracującej grdyce.

– Czasem odnoszę wrażenie, że na takich ucztach więcej piwa się rozlewa, niż wypija – powiedziała Rikke w mowie Unii. Oparła ręce na blacie obok Leo i przygarbiła się, wtulając głowę w ramiona.

Leo opuścił dzban i spojrzał na nią ponad krawędzią.



– A niech mnie... – odparł w języku Północnych. – Zaginiona córka Wilczarza. Cieszysz się, że wróciłaś?

– Wolałabym wrócić do Uffrithu, ale Uffrith spłonął, a ludzie poszli w rozsypkę. Przynajmniej ci, którzy mieli szczęście. Zawsze mi się wydawało, że nienawidzę tego miejsca, ale teraz, kiedy zostało zniszczone, tęsknię za nim. – Musiała przełknąć kolejną grudę smutku. – Chociaż i tak lepsze to niż ukrywanie się w lodowatym lesie przed tamtymi piździelcami, muszę przyznać. Na Północy jest wielu drani, ale Stour Zmierzchun... – Wyszczrzyła zęby, czując nagłe ukłucie nienawiści. – Na pamięć poległych, to jest skurwiel na miarę pieśni.

– Wy, wojownicy z Północy, uwielbiacie śpiewać o skurwielach.

– Jestem wojowniczką. – Dźgnęła się kciukiem w pierś.

– Zauważyłem.

Uniósł brwi i spojrział na nią znacząco. Na kciuk, nie na pierś. Chociaż może i na pierś dyskretnie zerknął. Prawdę mówiąc, Rikke miała nawet taką cichą nadzieję, ale była tak wstawiona, że nie mogła mieć pewności. Wydawało się, że każde słowo padające między nimi tnie jak nóż, niesie zagrożenie, jak sztych w pojedynku. I przyprawia o dreszcz, jakby każdy oddech wiązał się z ryzykiem.

– Nie jest łatwo – powiedziała i przysiadła na stołku, który wcześniej zajmowała matka Leo. Oparła but o blat stołu i zaczęła się beztrudnie kołysać. – Życ w cieniu sławnego rodzica, znaczy.

– Nie jest. – Leo zagapił się w głąb dzbana z piwem. – Brakuje mi ojca. To już trzy lata, jak zmarł, a czuję, jakby to było wczoraj. Dopóki żył, matka niezbyt się mną interesowała.

– Powinieneś się cieszyć, że się interesuje. Ja swojej w ogóle nie znałam.

– Niedługo zostanę lordem gubernatorem – powiedział Leo, siląc się na gubernatorski ton.

Nie wyszło mu to za dobrze, ale Rikke uznała tę porażkę za przeuroczą. Zresztą w tej chwili wszystko w nim wydawało jej się przeurocze, zwłaszcza – nie wiadomo dlaczego – jego

obojczyki: miał mocne, wyraziste obojczyki, a pomiędzy nimi zagłębienie, w które idealnie wtuliłby się jej nos.

– Król wyda edykt i będę mógł robić, co zechcę – dodał.

Rikke otworzyła szeroko oczy.

– To znaczy, że musisz we wszystkim słuchać mamusi, dopóki facet w złotej czapce nie udzieli ci pozwolenia, żebyś zrobił coś innego? – Wydęła policzki. – Imponujące. Kurwa, naprawdę imponujące.

Z początku marszczył chmurnie brwi, ale z przyjemnością zauważyła, jak ten grymas rozplywa się teraz w uśmiechu zakłopotania.

– Masz rację – powiedział. – Fujara ze mnie.

Przyszło jej do głowy, że czasem to właśnie fujara jest tym, czego jej najbardziej trzeba, ale ugryzła się w język, zanim powiedziała to na głos. Dziewczyna powinna przecież być choć trochę tajemnicza, prawda? Nawet po pijaku.

Kiedy Leo pochylił się w jej stronę, poczuła, że oblewa się z tej strony wstydliwym rumieńcem, jakby on był zrobiony z rozżarzonych węgli, a ona usiadła za blisko paleniska.

– Podobno wychowały cię wiedźmy.

Prychnęła i zerknęła na Isern-i-Phail.

– Raczej wredne suki.

– Mówią, że masz długie oko.

Skorzystała z okazji i również nachyliła się ku niemu. Lypnęła na niego lewym okiem.

– Dobrze mówią. – Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Z tej wąskiej przestrzeni buchał z niej żar jak z otwartego pieca. – Widzę twoją przyszłość.

– I co w niej jest?

W jego głosie słyszała powątpiewanie, śmiech, ciekawość... Czyżby wychwyciła też chrapliwą nutę pożądania? Na pamięć poległych, oby tak właśnie było.

– Problem z zagłębieniem w przyszłość polega na tym, że nikt nie lubi, kiedy mu się psuje niespodziankę. – Wstała, omal nie przewracając przy tym stołka, ale po mistrzowsku złapała równowagę, wczepiwszy się w skraj stołu. – Pokażę ci.

Złapała go pod ramię i pociągnęła, żeby wstał, ale się rozmyśliła i po prostu zaczęła je w zadumie obmacywać. Było takie twarde pod materiałem... Jak z drewna.

– Kawał łapy – mruknęła i pociągnęła go do wielkich drzwi.

Były otwarte, bo ludzie zaczęli się powoli rozchodzić do namiotów i posłań. Ostrożny przyjaciel Leo, Jurand czy jak mu tam było, obserwował ich z miejsca pod ścianą i krzywił się z dezaprobatą, ale Rikke chwilowo miała w dupie jego dezaprobatę.

Isern-i-Phail podeszła do Dreszcza i oparła o stół obnażoną obandażowaną nogę.

– To jest noga, co się zowie. – Wskazała ją dumnym gestem. Pod białą skórą uda zarysowały się ścięgna. – Tak właśnie powinna wyglądać noga doskonała.

Dreszcz dokładnie obejrzał rzeczoną kończynę.

– Bez dwóch zdań – orzekł.

– Druga jest jeszcze lepsza.

Oczy Dreszcza, a właściwe jedno oko zwróciło się ku twarzy Isern.

– Co ty powiesz...

– Tak, tak, dobrze słyszałeś. – Pochyliła się nad nim. – A jeśli chodzi o to, co jest pomiędzy...

– Przepraszam państwa – powiedziała głośno Rikke.

Przepchnęła się obok nich, ciągnąc za sobą Leo. Oboje z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

Po wyjściu z nagrzonej stodoły nocne powietrze było jak plaśnięcie w twarz, zimne i ostre szczypało Rikke w nosie i przyprawiało ją o zawroty głowy. Ogniska dziurawiły noc, w ciemnościach majaczyły zarysy namiotów, gdzieś w oddali ktoś śpiewał pieśń o martwym bohaterze. Rikke ujęła Leo pod łokieć i szli przed siebie, bez celu, zaśmiewając się do łez, ilekroć któreś się potknęło.

Nagle Leo złapał ją za ramię.

– Dokąd ty mnie...

Stęknął, gdy przyparła go do rozpadającego się muru, wplątała palce w jego włosy, przyciągnęła go do siebie i tak

przytrzymała. Ich twarze dzieliła dosłownie szerokość kilku palców. Przeciągała tę chwilę, jego gorący piwny oddech łaskotał ją w policzek. Przeciągała tę chwilę, odbłask dalekich ognisk rozświetlał mu kąciki oczu. Przeciągała tę chwilę i przysuwała się coraz bliżej i bliżej, aż w końcu podsunęła jej swoje uśmiechnięte usta, a ona musnęła je wargami, z boku na bok, w jedną stronę, w drugą.

Zaczęli się całować, łapczywie, niechlujnie, z cmokaniem warg, zgrzytem zębów i mlaskaniem języków. Rikke doszła do wniosku, że świetnie całuje (nawet jeśli była to tylko jej własna opinia), ale musiała przyznać, że i Leo nie jest wcale taki najgorszy w te klocki: nie było żadnego bezsensownego dzióbania się nawzajem, jak wróbel dziobie ziarenko, tylko od razu się w siebie wczepili.

Oderwali się na chwilę dla złapania tchu. Leo zachwiał się lekko, otarł usta i otaksował jej twarz spojrzeniem zarazem rozdrażnionym, podnieconym i pijanym, przez co i ona poczuła się po trochu rozdrażniona, podniecona i pijana. Odetchnął głęboko.

– To gdzie ta niespodzianka? – zapytał.

– Ty podła gadzino. – Uśmiechnęła się szeroko.

Barkiem pchnęła uchylone, rozklekotane drzwi, za którymi ziała ciemność, i popchnęła go do środka. Potknął się o własne nogi, zachwiał, upadł z głuchym łoskotem.

Zapadła cisza.

– Leo? – szepnęła.

Szurając nogami, zaczęła się posuwać naprzód. Było ciemno choć oko wykol, szła z wyciągniętą przed siebie ręką, gdy wtem coś złapało ją za przegub dłoni i szarpnęło w dół. Upadła z jękiem na coś miękkiego, stertę zatechłej słomy pachnącą ziemią i zwierzętami, ale nigdy nie była przesadnie wybredna, a w tej akurat chwili czuła się jeszcze mniej wybredna niż zazwyczaj. Wybredna Rikke. Parsknęła śmiechem, gdy Leo wśliznął się na nią i znów zaczął ją całować, posapując przy tym gardłowo, pożądliwie. Odpowiedziała podobnym sapnięciem, czując w ciemnościach napór jego rozpalonych warg.

Wsunął jej dłoń pod koszulę, sięgnął powyżej talii, po żebrach... Złapała go za nadgarstek.

– Czekał! – syknęła.

Zamarł.

– Co się stało?

W ciszy Rikke wyraźnie słyszała przyśpieszony oddech Leo i łomotanie własnego serca.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie powinniśmy... zapytać twojej matki o pozwolenie?

Jego zęby błysnęły słabo w mroku, gdy się uśmiechnął.

– Ty podła gadzino.

– Albo jeszcze lepiej Jego Wysokości? Królewski edykt ma pewnie wyższą rangę niż słowo pani gubernator...

– Masz rację. – Podparł się na rękach. – Pchnę posłańca do Adui. Będą to chcieli omówić na posiedzeniu Zamkniętej Rady, ale rycerz herold powinien zdążyć wrócić z odpowiedzią, zanim...

– Wtedy już nie będę chyba aż tak pijana – weszła mu w słowo Rikke.

Już próbowała się wysliznąć ze spodni, ale zanim ściągnęła je z bioder, dłoń jej się omsknęła. Rikke upadła na bok, najadła się słomy, syknęła, splunęła, zachichotała, beknęła... i znów się całowali, on trzymał jej twarz w obu rękach, ona czuła pod palcami mocny zarys i kłujący zarost jego szczęki.

Sięgnął dłonią między jej uda. Próbowwała rozchylić nogi, ale zaplątała się we własny pas. Czuła, jak słoma kłuje ją w pośladki, gdy wypchnęła biodra, żeby się o niego ocierać, ocierać. Jej język znalazł się w jego ustach, jego przyśpieszony oddech zdradzał, że Leo się uśmiecha. Ona też się uśmiechała, uśmiechała się od ucha do ucha. W kategorii rozrywek było to na pewno o niebo lepsze od uganiania się po lasach. Nie potrzebowała długiego oka, żeby widzieć, do czego to zmierza.

Nie ma to jak być pożądaną, prawda? Pożądaną przez kogoś, kogo sama pożądasz. Odrobina magii w zwyczajnym świecie: coś tak dobrego, co można mieć za darmo.

Przetoczyła się i znalazła na wierzchu – nie tylko korciło ją,

żeby przejąć inicjatywę, ale przede wszystkim miała dość kłującej ją w tyłek słomy. Udało jej się ściągnąć spodnie już do kostek, więc usiadła okrakiem na Leo i zaczęła się mocować z jego paskiem – ale nic nie widziała, mrok wirował wokół niej i trochę się bała, że się przewróci, chociaż przecież tylko klęczała, w dodatku w słomie. Palce miała tak nieporadne, jakby próbowała wyłuskać fastrygę, mając rękawice na rękach.

– Kurwa, no... Matka ci tu jakiś zamek założyła, czy co? Gdzie twoja sprzączka?

– Tam gdzie zwykle – odszepnął Leo. Jego gorące tchnienie załaskotało ją w ucho i przyprawilo o zabawny dreszczyk. – Gdzie ma być?

Rozpiął sprzączkę, która cicho brzęknęła. Rikke wepchnęła mu rękę w spodnie.

– O rety... – mruknęła głupkowato.

Fiuty zawsze ją zaskakiwały. Diabelnie dziwny kawałek anatomii. Umiała się jednak z nimi obchodzić (nawet jeśli była to tylko jej własna opinia). Nie było sensu wzdygać się, jakby się przestraszyła, tylko brać w garść.

– Auć! – Leo aż poderwał się z ziemi. – Delikatnie!

– Przepraszam.

Może jednak wyszła z wprawy. Zwłaszcza że teraz naprawdę wszystko wokół niej wirowało, kręciło się jak porwana w wir łódka, chociaż był to bardzo przyjemny wir, ciepły, klejący, pachnący zwierzętami. Dłoń Leo między jej nogami nie próżnowała – nie idealnie we właściwym miejscu, ale dostatecznie blisko. Rikke przesunęła biodra, żeby palce trafiły, gdzie trzeba i pojękując Leo do ucha, zaczęła się kołysać w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył.

– Kurna... – szepnął w ciemnościach Leo. Zmagał się z nią po omacku i z trudem powstrzymywał od parsknięcia śmiechem. – Gdzie twoja...

– Tam gdzie zwykle – odmruknęła. Splunęła w dłoń, złapała go za fiuta i przysunęła się bliżej. – Gdzie ma być?

## Lew i wilk

Kiedy ktoś go o to pytał, odpowiadał, że uwielbia kobiety. Zaloty. Podboje. Rubaszne żarty. Prawda jednak była taka, że Leo zawsze czuł się przy kobietach nieswojo. Mężczyzn rozumiał: poklepywanie po plecach, mocne uściski dłoni, ostra gadka, zapasy. A kobiety? Kobiety były dla niego jedną wielką przekłętą tajemnicą. Nie trafiały do niego ich słowa, nie ogarniał ich uczuć, nie podziwiał osobliwych, miękkich ciał. I te cycki. Faceci ciągle gadali o cyckach, więc i on o nich gadał: kuksaniec pod żebro, komentarz „Ta to ma walory”... Ale gdyby miał być szczery, nie rozumiał, co w nich takiego niezwykłego. Były, to były. Oczywiście w łóżku sprawiał się jak należy, szturmował, napierał, zwyciężał – na tym polu nigdy nie dał plamy. Za to wiele późniejszych poranków zaliczał do najbardziej niezręcznych momentów swojego życia.

Sięgnął po spodnie, wydłubał z nich trochę słomy, z wysiłkiem je naciągnął i wzdrygnął się, gdy szczęknęła sprzączka paska. Namacał koszulę i buty, zrobił krok w stronę drzwi i się odwrócił.

Rikke leżała na słomie ze swobodnie rozrzuconymi ramionami. Złoty kolczyk w jej nosie lśnił w poświacie brzasku, splątana masa łańcuszków, runów i talizmanów unosiła się w rytm jej oddechu, pasemko włosów opadło jej na twarz. Leo złapał się na tym, że uśmiecha się mimo wściekłego bólu głowy.

Przy kobietach zawsze czuł się nieswojo, ale może jego problem polegał na tym, że do tej pory nie znalazł tej właściwej. Rikke w niczym nie przypominała kobiet, które matka wpychała mu przed oczy w Ostenhormie. Tamte zawsze mówiły co innego, niż myślały, jakby konwersacja była grą, w której zwycięzcą będzie ten, kto lepiej zamąci rozmówcy w głowie. Z Rikke znali

się od lat, nie potrzebowali głupich wstępów, gadania o niczym, a na dodatek każda spędzona z nią chwila była przygodą. Rikke potrafiła uprowadzić rozmowę i w okamgnieniu przerzucić ją na zupełnie obce terytorium. Człowiek nigdy nie wiedział, gdzie może wylądować, ale ona zawsze była w tym szczerą.

Odrzucił buty i wyciągnął się obok niej. Podniósł rękę, zawahał się, znieruchomiał, ale w końcu, szczerząc zęby w uśmiechu, odgarnął niesforny kosmyk z jej twarzy. Nie otworzyła oczu, ale za to wykrzywiła w uśmiechu usta.

– Jednak postanowiłeś nie wymykać się cichaczem?

– Dotarło do mnie, że to tutaj najbardziej chcę teraz być.

Kiedy w końcu otworzyła te wielkie, szare oczy i spojrzała na niego, poczuł się trochę dziwnie.

– Masz ochotę na dogrywkę? – Przeciągnęła się z rękami nad głową i wtuliła mocniej w słomę.

– Król na razie milczy – powiedział i pochylił się, żeby ją pocałować.

Wykręciła się od pocałunku.

– A pani gubernator?

– Nie mam nic na piśmie – mruknął – więc domniemywam, że się zgodzili.

Jej oddech pachniał kwaśno, w kącikach ust zebrała się zgęstniała ślina, a jemu to zupełnie nie przeszkadzało.

Wsunęła mu dłoń we włosy, chwyciła mocno, przyciągnęła i pocałowała – głębokie, zachłanne pocałunki z językiem nie pozostawiały żadnych złudzeń. Przetoczyła go na wznak, podparła się na łokciu i przygryzłszy wargę, zaczęła mu rozpinąć pasek. Wciśnięty plecami w stertę słomy znów zaczął szybciej dyszeć. Zapomniał o bólu głowy...

Znieruchomiała i zmarszczyła brwi. Usiadła. Pociągnęła nosem.

– Czujesz?

– Trzymają tu zwierzęta.

– Nie, nie to. Słodki zapach, jakby... – Znowu pociągnęła nosem, naganiając sobie powietrze dłonią. Mały palec drgał jej nerwowo. – Nie, tylko nie to. – Skrzywiła się z niesmakiem. –



Zawsze w najgorszym momencie. – Teraz już wszystkie jej palce dygotały. – Idź po Isern-i-Phail!

W drgawkach opadła na ziemię.

– Co?

– Idź po Isern!

Chwyliła kolek zawieszony na rzemyku na szyi i mocno zacisnęła na nim zęby. W następnej sekundzie wyprężyła plecy jak dobrze napięty łuk i sapnęła głośno, przeciągle, głucho, jakby coś wydusiło z niej całe powietrze, a potem opadła na ziemię. Wszystkie jej mięśnie dygotały spazmatycznie, miotła się, kopała piętami w klepisko i rozrzuciła siano na wszystkie strony.

– Kurwa! – krzyknął Leo.

Znieruchomiał z jedną ręką wyciągniętą w jej stronę, a drugą w stronę drzwi. Chciał ją przytrzymać, żeby nie zrobiła sobie krzywdy; chciał jej pomóc, ale nie wiedział jak. Ze zgrozą stwierdził, że w pierwszym odruchu chciał biec po matkę.

Na szczęście w drugim zrobił, co mu kazano: popędził po Isern-i-Phail.

Otworzył drzwi na oścież i przebiegł przez podwórze, płosząc kury, pomiędzy namiotami, obok ludzi, którzy – bez entuzjazmu skubiąc śniadanie, ostrząc broń i biadoląc na marne żarcie, kiepską pogodę i ogólnie fatalny stan rzeczy – odprowadzili go wzrokiem pełnym niedowierzania, gdy półnagi pędził wśród nich. Zobaczył siedzącego przy ognisku Gławarda, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy Jurand szepnął mu coś do ucha, a potem obaj okręcili się w miejscu z szeroko otwartymi oczami i rozsunęli na boki: tuż za ich plecami Leo wybił się w powietrze i wielkim susem pomiędzy nimi przesadził ognisko.

– Przepraszam!

Prawie upadł, pośliznąwszy się przy lądowaniu, ale zaraz złapał równowagę i pognął dalej przez obozowisko Północnych, wśród dymiących ognisk, zapachów jedzenia, basowych śpiewów wojownika, który poszedł się odpryskać między drzewa.

– Gdzie jest Isern-i-Phail?! – darł się Leo. – Isern-i-Phail!

Zobaczył wyciągniętą rękę – nie wiedział czyją – i pobiegł do wskazanego przez nią namiotu. Z rozmachem odgarnął płachtę przy wejściu i wparował do środka.

Spodziewał się zastać wiedźmę zgarbioną nad kociołkiem, tymczasem siedziała po prostu w namiocie, ubrana w obszarpany gurkhulski szlafrok, z obandażowaną nogą opartą o starą skrzynię. W jednej ręce trzymała fajkę z chagą, w drugiej dzbanek wczorajszego piwa.

Spojrzała ciekawie na zadyszanego Leo.

– Rzadko mi się zdarza z samego rana wypędzić z namiotu półnagię mężczyznę, ale...

– Ona ma atak! – wysapał Leo.

Isern wrzuciła fajkę do dzbanka, aż zasyczało. Zdjęła nogę ze skrzyni i sztywno wstała.

– Prowadź.

Rikke leżała na słomie. Już nie rzucała się w spazmach jak wcześniej, ale nadal wiła się, sapała i pojękiwała cicho. Ściekająca wokół kołka ślina zmieniła się w pianę i obryzgała wykrzywioną w grymasie twarz. Musiała uderzyć głową o ścianę, bo miała krew we włosach.

– Na pamięć poległych... – mruknęła Isern. Uklękła obok Rikke i położyła jej dłoń na ramieniu. – Pomóż mi – zwróciła się do Leo. – Przytrzymaj ją!

On też uklęknął i oparł jedną dłoń na ramieniu Rikke, a drugą na jej kolanie. Isern rozgarnęła jej włosy w poszukiwaniu rozcięcia na głowie. W tej właśnie chwili Leo zdał sobie sprawę, że Rikke jest zupełnie naga, a i jemu niewiele do tego stanu brakuje.

– Myśmy tylko... – Może Antaup wymyśliłby jakieś niewinnie brzmiące usprawiedliwienie, ale Leo nigdy nie umiał kłamać, a ta chwila wymagałaby prawdziwego mistrza. – Myśmy tylko...

– Jestem kobietą światową. – Isern-i-Phail nawet na niego nie spojrzała. – Mogę się domyślić, coście tu robili. – Pochyliła się nad Rikke, palcami wytarła jej ślinę z twarzy, odgarnęła włosy. – Ćśś... – szepnęła śpiwnie. – Ćśś...

Objęła ją najdelikatniej i przemawiała najciszej, jak to tylko

możliwe. Leo nigdy by się nie spodziewał takiej delikatności po twardej góralce.

– Wracaj, Rikke. Wróć do mnie.

Rikke stęknęła słabo, gdy ostatnia seria drgawek wstrząsnęła nią od stóp po ramiona, jęknęła i językiem wypchnęła ośliniony kołek z ust.

– Kurwa... – wyrzęziła.

– Zuch dziewczynka! – odpowiedziała Isern swoim zwykłym ostrym głosem.

Leo zamknął oczy i odetchnął z ulgą. Nic jej się nie stało. Dotarło do niego, że wciąż trzyma ją kurczowo, chociaż przestała się już szamotać. Puścił ją więc pośpiesznie. Na jej ramieniu odcisnęły się różowe ślady jego palców.

Isern zaczęła jej naciągać spodnie na bezwładne stopy i nogi.

– Pomóż mi ją ubrać.

– Nie wiem jak...

– Rozebrałeś ją czy nie? No to teraz tak samo, tylko odwrotnie.

Rikke usiadła z przeciągłym jękiem. Obiema rękami złapała się za zakrwawioną głowę.

– Co widziałaś? – zapytała ją Isern. Kucnęła przy niej i narzuciła jej koszulę na ramiona.

– Łysego tkacza z sakiewką, której nie da się opróżnić.

Głos Rikke brzmiał dziwnie: był chropawy, głuchy, zupełnie obcy. Nie wiadomo dlaczego wydał się Leo trochę przerażający. A także trochę podniecający.

– Co jeszcze? – dopytywała Isern.

– Widziałam starą kobietę o głowie pozszywanej złotym drutem.

– Hmm... Co jeszcze?

– Widziałam lwa... i wilka... walczyły w krwawym kręgu... gryzły i drapały i wilk wygrywał... – Rikke spojrzała na Leo szeroko otwartymi oczami. – Wilk wygrywał, ale to lew był zwycięzcą. – Złapała go za rękę i wpatrując się w jego twarz, zdumiewająco silnym gestem przyciągnęła go do siebie. – Lew był zwycięzcą!

Do tego momentu Leo był przekonany, że całe to długie oko to bzdura. Bajka. Przesąd. Jakże mogło być inaczej? Ale patrząc w dzikie, załzawione oczy Rikke, w jej źrenice rozszerzone tak bardzo, że nie został ani ślad tęczy, były tylko czarne studnie bez dna, czuł, jak włoski na karku stają mu dęba, a po kręgosłupie przechodzą ciarki. Nagle nabrał wątpliwości.

A może zaczął wierzyć?

– Czy to ja jestem lwem? – zapytał szeptem.

Ale ona już zamknęła oczy i osunęła się na słomę. Jej bezwładna dłoń wyśliznęła mu się z ręki.

– Zmykaj teraz, chłopcze – pogoniła go Isern, wciskając mu w ręce koszulę i buty.

– Czy jestem lwem? – zapytał ponownie. Z jakiegoś powodu rozpaczliwie chciał poznać odpowiedź.

– Lwem? – Isern ze śmiechem wypchnęła go na podwórze. – Prędzej osłem.

I kopniakiem zamknęła za nim drzwi.

## Bez zbędnych sentymentów

– Mój ojciec bardzo cię ceni.

Spojrzenie permanentnie zmrużonych oczu inkwizytorki Teufel przeniosło się z przesuwającego się za oknem słonecznego krajobrazu na Savine, nic jednak nie powiedziała. Powiedzieć o niej, że wyglądała hardo, to nic nie powiedzieć. Wyglądała jak wykuta z krzemienia. Miała wydatny podbródek i wystające kości policzkowe, nos tępo zakończony, lekko garbaty, a tuż powyżej nasady naznaczony dwiema wyraźnymi zmarszczkami od ciągłego robienia marsowych min. Upstrzone siwizną ciemne włosy nosiła związane w kok ciasny jak kajdany mordercy.

Savine posłała jej wyćwiczony, na pozór niewinny uśmiech, na jaki większość ludzi automatycznie odpowiadała uśmiechem.

– A nie należy do ludzi, którzy szafują pochwałami – dodała.

Teufel odpowiedziała ledwie zauważalnym skinieniem głowy, ale nadal milczała. Z niektórych ludzi łatwiej coś wydobyć komplementami niż torturą, a Savine wiedziała z doświadczenia, że najlepiej sprawiają się w tej roli komplementy osób trzecich, zwłaszcza szacownych osób trzecich. Jednakże Teufel niełatwo było złamać. Kołysała się lekko w rytm kolebania powozu, pilnując swojej mimiki jak skarbcza bankowego.

Czując niespodziewane dźgnięcie bólu, Savine przesunęła się na siedzeniu. Jej miesiączka jak zwykle wykazała się idealnym wyczuciem czasu i przyszła za wcześnie: znajomy, tępy ból w głębi brzucha spływał w dół aż do tylnej strony ud, a rzadkie ukłucia w tyłku przyjmowała prawie z ulgą. Jak zwykle starała się zmusić wszystkie mięśnie do posłuszeństwa i udawać całkowicie zrelaksowaną. Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej

promienny niż przed chwilą.

– Mówił mi, że wychowałaś się w Anglandzie – zagaiła, próbując innego podejścia.

Teufel w końcu się odezwała, lecz ograniczyła swoją odpowiedź do niezbędnego minimum:

– Tak, pani.

Przypominała Savine jeden z silników Curnsbicka: surowa, kanciasta, bezkompromisowa. Nie miała grama zbędnego ciała, nie nosiła żadnych zbędnych ozdób i z całą pewnością nie żywiła zbędnych sentymentów.

– Pracowałaś w kopalni.

– Pracowałam.

I – sądząc po ubraniu – nie przebrała się od tamtej pory. Miała na sobie znoszoną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, typowe dla robotników skórzane szelki, zgrzebne spodnie wpuszczone w wysokie, mocno zasznurowane robocze buty, z których jeden wysunęła wyzywająco na środek podłogi, jakby w ten sposób zaznaczała swoje prawo do nowego terytorium. Żadnych ukłonów na rzecz kobiecości. Ciekawe, pomyślała Savine, czy dałoby się znaleźć drugą kobietę, która przykładałaby tak niewielką wagę do swojego wyglądu.

Dyskretnie obciągnęła suknię w nieudanej próbie przemieszczenia szwu, który wrzynał się jej w spoconą pachę. W życiu by się do tego nie przyznała, ale skrycie zazdrościła Teufel jej stroju, zwłaszcza teraz, w taki upał.

– Węgiel zmienia świat – zauważyła. Uchyliła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i nieco szybciej zaczęła poruszać wachlarzem.

– Tak słyszałam.

– Ale czy na lepsze? – mruknął tęsknym głosem chłopak. – Oto jest pytanie.

Podniósł wzrok, rumieniec wypłynął na jego blade policzki, a jego wielkie, smutne, żabie oczy zwróciły się ku Teufel. Posłała mu takie samo chłodne, krytyczne spojrzenie, jakim mierzyła Savine – spojrzenie, które kazało mu samemu ocenić, czy powinien był się odzywać.

Chłopak wbił wzrok w podłogę i jeszcze mocniej objął się ramionami.

Tworzyli z Teufel przedziwną parę: kobieta z krzemienia i chłopiec z wosku. Ona nieokazująca cienia emocji, on z każdym uczuciem wypisanym wyraźnie na twarzy. Nikt by ich nie podejrzewał o bycie agentami inkwizycji – i pewnie o to właśnie chodziło, domyślała się Savine.

– Spodziewacie się jakichś kłopotów w Valbecku? – spytała.

– Gdybyśmy się spodziewali kłopotów – odparła Vick – ojciec raczej odradzałby pani przyjazd.

– Odradzał, ale puściłam jego słowa mimo uszu. Zresztą gdyby w Valbecku panował spokój, nie wysłałby właśnie ciebie. Mam rację?

Vick nawet nie drgnęła powieka. Ta kobieta naprawdę była niewzruszona.

– A pani spodziewa się kłopotów?

– Zawsze rozsądniej jest się ich spodziewać niż dać się im zaskoczyć. Jestem współwłaścicielką jednego z zakładów włókienniczych w mieście.

– Między innymi.

– Między innymi. Moim wspólnikiem jest pułkownik Vallimir.

– Dawny dowódca pierwszego pułku gwardii królewskiej. Okazał się zbyt mało elastyczny, żeby służyć pod Mitterickiem. Jak układa się wasza współpraca?

Wyglądało na to, że Vick zna się nie tylko na swojej robocie, lecz także na cudzej.

– To żadna frajda naginać do swojej woli ludzi, którzy z natury są elastyczni. A posiadanie wspólników ma swoje zalety: jest ktoś, kto dogląda interesów na miejscu, ktoś, kto bierze na siebie część ryzyka...

– I ktoś, na kogo można zwalić winę.

– Powinnaś wziąć się za prowadzenie interesów.

– Nie wiem, czy byłabym dostatecznie bezwzględna. Zostanę przy inkwizycji.

Za te słowa Savine nagrodziła Vick starannie wytrenowanym wybuchem spontanicznego śmiechu.

– Zakład przynosił straty – powiedziała. – Przypuszczam, że były jakieś kłopoty z pracownikami. Zawsze byłam zdania, że tkaniny są dobre do noszenia, nie do inwestowania w nie. – Strząsnęła paproszek z haftowanego mankietu żakietu podróżnego. – Wśród tkaczy jest wielu byłych żołnierzy, ludzi porywczych i pamiętliwych. Kiedy gildie się rozpadły, zostali pozostawieni samym sobie. Ucierpiały ich kieszenie, ale także ich duma.

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie, pani?

– To co zwykle: zdałam sobie sprawę z potencjalnych zysków. A teraz nagle okazało się, że moja fabryka zarabia krocie.

– To pięknie – wtrąciła Lisbit.

Nigdy nie miała nic ciekawego do powiedzenia, a mimo to nigdy nie umiała się powstrzymać od gadania. Jakby tego było mało, jako świeżo awansowana towarzyszka podróży swojej pani przemawiała z wyjątkowo afektowanym akcentem. Jak tak dalej pójdzie, Savine udusi ją, zanim dojadą do Valbecku, nie czekając na powrót Zuri z Południa.

– To pięknie – przyznała – ale zyski tak okazałe i uzyskane w tak krótkim czasie wzbudziły moje podejrzenia.

– Powinnaś zatrudnić się w inkwizycji, pani – powiedziała Vick.

– W tym gorsecie? Nie wydaje mi się.

Tym razem Teufel się uśmiechnęła: kącik jej ust uniósł się leciutko. Był to uśmiech pełen rezerwy, jak cała jej mimika. Jakby przeliczyła w myślach budżet i uznała, że na ten jeden uśmiech będzie ją stać.

– Niewiele można z ciebie wyciągnąć – przyznała Savine.

Kącik ust uniósł się nieco wyżej.

– Może dlatego, że niewiele mam.

Nie było to – ściśle rzecz biorąc – szyderstwo. Po prostu obie wiedziały, że Teufel wiele widziała, wiele wycierpiała i wyszła zwycięsko z sytuacji, w których Savine nigdy się nie znajdzie. W których nigdy nie ośmieliłaby się znaleźć. Teufel nie musiała się chować za pudrem i perukami. Spokojna i bezpieczna żywiła uzasadnione przeświadczenie, że została wyrzeźbiona z drewna



utwardzonego w ogniu i że gdyby tylko chciała, to tymi żyłastymi górniczymi dłońmi mogłaby złamać Savine na pół.

Savine złapała się na tym, że obraca się lekko na siedzeniu, żeby ukryć przypasany mieczyk. Żałowała, że go wzięła. Nagle wydała się sobie żałośnie pretensjonalna, siedząc naprzeciw kogoś, kto zawodowo kroi ludzi na kawałki.

\* \* \*

Vick siedziała z jedną nogą wyprostowaną. Stary uraz biodra przypominał o sobie i gdy powóz podskakiwał na nierównościach traktu, szpila bólu przeszywała jej nogę od kolana po kręgosłup. Nie zamierzała jednak wiercić się w poszukiwaniu wygodnej pozycji, której – o czym doskonale wiedziała – i tak by nie znalazła.

Savine dan Glokta siedziała wygodnie, z nogą założoną na nogę, spokojna i beztraska. Czubek nieskazitelnie wypolerowanego trzewika wystawał spod haftowanego rąbka sukni, która kosztowała zapewne więcej niż powóz, a powóz do tanich nie należał. Vick nigdy jeszcze nie widziała kobiety, która by z taką starannością dbała o swój wygląd – a spędziła kiedyś makabryczne pół godziny wśród gości królowej Terez na jednym z urządzanych przez nią przyjęć.

Każdy włoszek w jej brwiach, każda niteczka w jej stroju i każda plamka pudru były na swoim miejscu, i to pomimo wściekłego gorąca. Była tak porcelanowo perfekcyjna, że człowiek zdumiewał się, widząc i słysząc, jak oddycha, porusza się i mówi jak żywa istota. U pasa nosiła pocieszny mieczyk z wysadzaną klejnotami rękojeścią. Na głowie miała maciupęńki, bezsensowny kapelusik przypięty kryształową szpilką. W ręce trzymała wachlarz z opalizujących muszli małży, którym poruszała z wdziękiem w przód i w tył, w przód i w tył. Zwinięte w koronę złote warkocze tylko skończony dureń mógłby wziąć za jej naturalne włosy – albo w ogóle czyjekolwiek naturalne włosy. Gdyby świat był sprawiedliwy,

wyglądałaby niedorzecznie, ale ponieważ nie był, z czego Vick doskonale zdawała sobie sprawę, wyglądała wprost zjawiskowo.

Czy ona też mogłaby tak wyglądać, gdyby inkwizycja nie zainteresowała się jej ojcem? Gdyby nie wysłała go wraz z całą rodziną do Anglandu? Być może, siedziałyby teraz tutaj w peruce, której utkanie trwało miesiąc, i postukiwała czubkiem takiego cudownego, okropnego trzewika, zadowolona z siebie jak kot wylegujący się na zapiecku?

Dawno się nauczyła, że w grze w „być może” nie ma zwycięzców. Właściwie w ostatecznym rozrachunku w mało której grze ktoś wygrywa.

– Zabrałaś słodycze, Lisbit? – zapytała Savine.

Lisbit, niewiele mniej wystrojona od swojej pani, wyjęła z torby podróżnej błyszczące pudrko. W powietrzu rozszedł się słodki zapach, gdy uniosła wieczko, odsłaniając najwyżej tuzin niedużych kandyzowanych owoców w gniazdkach z gniecionego papieru. Vick pociekła ślinka. Kiedy człowiek głoduje, jedzenie dotyka w nim bardzo szczególnych miejsc, z których nie ma powrotu.

– Skusisz się? – mruknęła Savine.

Vick przeniosła wzrok z kosztownych słodyczy na jej równie kosztowny uśmiech. W obozach wszystko miało swoją cenę, często podwyższoną o przykre odsetki. Patrząc w oczy Savine dan Glokty, twarde i błyszczące jak oczy drogiej lalki, Vick doszła do wniosku, że chyba w całym Anglandzie nie znalazłaby równie bezlitosnej wierzytelki. Wystarczy, że zaciągnęła dług u jednego Glokty.

– To nie dla mnie – odparła.

– Doskonale cię rozumiem, ja też nie mogę ich jeść. – Savine z westchnieniem oparła dłoń na niewiarygodnie smukłej talii i wyprostowała się, rozciągając mięśnie na plecach. – Już i tak czuję się jak funtowa kiełbaska w półfuntowej osłonce.

Nie było to – ściśle rzecz biorąc – szyderstwo. Obie wiedziały, że w jednym włosku łonowym Savine kryje się więcej ogłady, pieniędzy i urody, niż Vick zdołałaby łączyć u wszystkich swoich znajomych. Siedziała spokojnie na niewidzialnych

poduchach władzy i przywilejów, bezpieczna ze świadomością, że gdyby tylko miała taki kaprys, mogłaby w mgnieniu oka kupić – lub sprzedać – Vick.

Podsunęła pudełko Łojowi.

– A ty, młody człowieku?

Plamiasty rumieniec wypłynął mu na policzki. Jakby bogini zstąpiła z nieba i zaproponowała mu życie wieczne.

– Ja... – Zerknął na Vick. – Mogę?

– Jeżeli pani Savine mówi, że możesz, to możesz.

Savine uśmiechnęła się szeroko jak nigdy dotąd.

– Poczęstuj się.

Łój drżącą ręką wyłuskał jeden owoc z ozdobnego papierka, usiadł wygodniej i zapatrzył się na niego.

– Kosztował pewnie więcej niż twoje buty – zauważyła Vick.

Łój uniósł jedną nogę: but miał brudny, z językiem wywieszonym jak u zziąjanego psa.

– Te mam za darmo – powiedział. – Zdjąłem je z nóg trupa. – Włożył owoc do ust. – Mmm... – Wybałuszył oczy. – Mmm... – Zamknął powieki, zaczął przeżuwać i rozplynał się na siedzeniu.

– Dobrze? – spytała Lisbit.

– Jak słońce – wymamrotał.

– Wypadałoby podziękować, naprawdę.

– Mniejsza o podziękowania – powiedziała Savine. Dobrze się z tym maskowała, ale przelotny grymas rozdrażnienia na jej twarzy nie uszedł uwagi Vick. – Ty na pewno nie chcesz?

– To nie dla mnie – powtórzyła Vick – ale jesteś bardzo miła, pani.

– Chyba nie wszyscy by się z tobą zgodzili.

– Gdyby wszyscy zgadzali się ze wszystkimi, byłabym bezrobotna. – Vick podkuliła nogę, starając się nie krzywić z bólu, i otworzyła okno do końca. – Zatrzymaj się! – zawołała do woźnicy. – Dalej pójdziemy pieszo.

– Naprawdę trzeba uważać na to, w czym towarzystwie się człowiek pokazuje. – Savine otworzyła szerzej oczy, gdy turkoczący powóz stanął. – Matka lubi mi powtarzać, że reputacja jest dla kobiety wszystkim. Jak na ironię, sama cieszy

się fatalną opinią.

– Niektórych rzeczy nie cenisz, dopóki ich nie stracisz – mruknęła Vick.

Zeskoczyła w poślubione koleinami błoto. Valbeck krył się jeszcze za wzgórzami na północy, było już jednak widać dym z tysięcy jego kominów: niesiony wiatrem snuł się po niebie wielką ciemną smugą. Może też czuła jego zapach, gryzące łaskotanie w głębi gardła.

– To wszystkie wasze rzeczy? – spytała Savine, gdy Łój ściągnął ich brudne worki podróżne z ułożonej na dachu sterty pakunków.

– Lubimy podróżować bez zbędnego bagażu – odparła Vick. Narzuciła sfatygowany płaszcz robotnika i przygarbiła się w stosowny do tego stroju sposób.

– Zazdroszczę. Czasem mam wrażenie, że nie potrafię wyjść z domu bez tuzina skrzyń i stojaka na kapelusze.

– Zamożność czasem ciąży, co?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odparła Savine.

Lisbit zamknęła drzwi powozu.

– Dziękuję za przysmak, pani – wychrypiął Łój.

– Dobre maniery należy nagradzać – powiedziała Savine i rzuciła mu pudełko przez okno.

Łój sapnął z zaskoczenia, złapał puzderko, prawie je upuścił, znów na chwilę powstrzymał jego upadek, w końcu przycisnął je do piersi.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyszeptał.

Savine posłała mu uśmiech – szczery, swobodny, pełen elegancko wypolerowanych perłowych ząbków.

– W takim razie milczenie będzie dla ciebie najlepszym wyjściem – odparła.

Zdaniem Vick prawie zawsze tak właśnie było.

Savine dotknęła wachlarzem rąbka perfekcyjnego kapelusika.

– Pomyślnych łowów.

Trzasnął składany wachlarz, strzelił bat, wóz szarpnął i potoczył się w stronę Valbecku. Łój odprowadził go smutnym wzrokiem, bez słowa, osłaniając oczy przed stojącym w zenicie

słońcem. Vick rozpuściła włosy, strzepnęła głową, wsadziła rękę do przydrożnego rowu i przeczesła włosy brudną wodą od nasady po same końce.

– Naprawdę musisz to robić? – spytał Łój.

– Znaleźliśmy się wśród desperatów, chłopcze – odparła, nadając swojemu głosowi zgrzytliwe, typowe dla robotników brzmienie. – Musimy stosownie wyglądać.

Wyciągnęła rękę i rozsmarowała mu trochę błota na policzku.

Wóz Savine zniknął za drzewami. Łój westchnął, tuląc do piersi ozdobne puzderko.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona – szepnął.

– Nie, nie spotkałeś. – Vick oklepała zdrętwiałą nogę, żeby trochę ją ożywić, pociągnęła nosem, charknęła i splunęła na trakt. Pstryknęła palcami na Łoja. – No, daj cukiereczka.

## Przyjaciele tacy jak ci

Rezydencja Vallimira, stojąca wysoko na wzgórzu, gdzie większość zamożnych mieszkańców Valbecku miała swoje domy, stanowiła ciekawą ilustrację tezy o niebezpieczeństwach płynących z nadmiaru bogactwa i niedostatku gustu. Wszystko w niej – meble, sztuce, a nade wszystko goście – było za ciężkie, zbyt ozdobne, przesadnie błyszczące. Suknia pani Vallimir uderzała w niewłaściwy odcień fioletu, zasłony były krzykliwie turkusowe, a zupa miała zjadliwie żółty kolor moczu i smak stosowny do koloru.

– Nie pamiętam takiej fali upałów! – Pani domu zacmokała z dezaprobatą, wachlując się z coraz większym zapalem.

– Są przytłaczające. – Superior Risinau, przełożony inkwizycji w Valbecku, otarł pot obficie roszący mu pulchne policzki, który natychmiast wystąpił na nie z powrotem. – Nawet jak na tę porę roku.

Savine nie pomagał fakt, że jej miesięczka rozhulała się na dobre i pierwszego dnia była wyjątkowo obfita. Majty jak pole bitwy, jak z upodobaniem mawiała jej matka. Nawet zapakowana w potrójną pieluchę wcale by się nie zdziwiła, gdyby, wstawszy z miejsca, zostawiła wielką krwawą plamę na niegustownej tapicerce Vallimira. Taki wkład w przyjęcie przetrwałby długo w ludzkiej pamięci. Powstrzymała się od grymasu po wyjątkowo ostrym ukłuciu bólu, odłożyła nazbyt ozdobną łyżkę i odsunęła miseczkę.

– Nie jest pani głodna, lady Savine? – zainteresował się siedzący u szczytu stołu pułkownik Vallimir.

– Jedzenie jest przepyszne, ale z wiekiem muszę niestety coraz bardziej dbać o figurę.

Risinau zagulgotał ze śmiechu.

– Nie jest to coś, czym ja bym się przejmował – powiedział, siorbiąc zupę z miski, jak wieprz pomyje z koryta.

Savine zamaskowała niesmak uśmiechem.

– Ma pan szczęście.

A my pecha, że musimy oglądać tę ohydę.

Lord Parmhalt, burmistrz Valbecku, balansował na granicy jawy i snu. Pani Vallimir udawała, że nie widzi, jak dryfuje w jej kierunku, grożąc rychłym uwaleniem się jej na kolana. Wzburzone jej wachlarzem powietrze odwiało mu parę kosmyków siwych włosów: wcześniej tkwiły przyklejone do łysej czaszki, teraz zaś uniosły się na imponującą wysokość. Po raz dziesiąty tego wieczoru Savine żałowała, że nie została w Adui, najlepiej zwinięta w kulkę bólu, przy zaciągniętych zasłonach, wyrzygując stek bluzg. Stanowczo odmawiała jednak bycia niewolnicą swojego łona-tyrana. Interesy były ważniejsze. Interesy zawsze były ważniejsze.

– Jak idą interesy? – zapytała.

– Kwitnąco – odparł Vallimir. – Uruchomiliśmy produkcję w trzecim budynku, fabryka pracuje z pełną wydajnością. Koszty w dół, zyski w górę.

– Właśnie takie kierunki kosztów i zysków lubię najbardziej.

Vallimir wydał z siebie taki dźwięk, jakby jednocześnie próbował zaśmiać się i zakaszleć. Miał marniutkie poczucie humoru.

– Same dobre wiadomości, o czym zawiadamiałem już w liście. Żadnych powodów do zmartwień.

– Ja zawsze umiem znaleźć coś, co spędza mi sen z powiek – zapewniła go Savine.

Nawet gdyby miał to być nieustanny zgrzytliwy ból w brzuchu i z tyłu ud.

Może sprawiła to jej obecność, ale atmosfera spotkania była nieco napięta: rozmowy były zbyt skore, śmiechy zbyt głośne, służący, którzy przyszli zebrać talerze, byli wyraźnie zdenerwowani. Błysk metalu za oknem przyciągnął wzrok Savine: para strażników patrolująca ogrody rezydencji. Wcześniej, przy wejściu, powitało ją czterech innych,

w towarzystwie smętnego brytana.

– Czy cała ta zbrojna obstawa naprawdę jest potrzebna? – zapytała.

Z zadowoleniem odnotowała wzdrygnięcie się Vallimira. Jakby usiadł na szpilce.

– Zważywszy na pani pozycję społeczną, zazdrość, jaką może pani wzbudzać, a także... stanowisko pani ojca, uznałem, że ostrożność nie zawadzi.

– Ostrożności nigdy dość – zawtórował mu superior Risinau. Pochylił się ku Savine i dotknął jej ręki ze stanowczo zbyt wielką poufałością. – Proszę się nie lękać, lady Savine.

– Zapewniam pana, że niełatwo mnie zastraszyć. Codziennie dostaję co najmniej tuzin gróźb, najdzikszych fantazji na temat mojego poniżenia i gwałtownej śmierci. Rozjuszeni konkurenci, zazdrośni rywale, niezadowoleni pracownicy, wzgardzeni wspólnicy, zawiedzeni zalotnicy. Gdyby dało się przeliczyć groźby na pieniądze, byłabym... – Savine zawiesiła głos, jakby liczyła w pamięci. – Jeszcze bogatsza. Słowo daję, spotykam się z większą ilością jadu niż mój ojciec. Dotarło do mnie, że tylko jednego mężczyzna nienawidzi bardziej niż drugiego mężczyzny.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Czego? – nie wytrzymała pani Vallimir.

– Kobiety.

Savine poruszyła się na niewygodnym krześle. Kiedy podczas pojedynku szermierskiego mężczyzna dostał przypadkiem w jądra, miał pełne prawo wyć z bólu, płakać i turlać się po ziemi; przeciwnik przez ten czas wstrzymywał się od nacierania, a publika pomrukiwała współczująco. Gdyby zaś kobieta choć przez chwilę przestała się uśmiechać podczas swojej comiesięcznej udręki, byłaby skompromitowana.

Zmusiła się więc do jeszcze szerszego uśmiechu. Pot wystąpił jej na skórze.

– Domyślam się, że kraty w oknach zainstalowano także ze względu na mnie?

– Tutaj, na wzgórzu... – pani Vallimir wychyliła się zza pleców



potakującego z zapalem burmistrza; wybierała słowa ostrożnie jak omszałe kamienie przy próbie sforsowania rzeki – ...wszyscy musimy dbać o bezpieczeństwo.

– Trzy tygodnie temu zamordowano jednego z fabrykantów – zaskrzeczała Condine dan Sirisk, myszata żonka właściciela fabryki, któremu interesy uniemożliwiły udział w spotkaniu. – Zabili go w jego własnym domu!

– Napad rabunkowy. – Risinau oblizwał się na widok fioletowej galaretki, którą służący zaczęli serwować gościom przy drugim końcu stołu. – Sknocony napad rabunkowy, nic więcej. – Pochylił się i poklepał Savine po ręce, jakby chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Owionęła ją bijąca od niego mieszanka aromatu wody różanej i słodko-kwaśnego zapachu jego ciała. – Proszę się nie martwić, znajdziemy sprawców.

– Czy to znaczy, że w Valbecku nie ma Destruktorów?

Wszyscy popatrzyli na Savine. Zrobiło się cicho, znieruchomiało wszystko oprócz okropnych porcji galaretki na talerzykach.

– Niedawno w Adui udaremnilo spisek zmierzający do wysadzenia huty w powietrze za pomocą gurkhulskiego ognia – podjęła Savine.

Pani Sirisk położyła z zapartym tchem rękę na piersi: sądząc po wyrazie jej twarzy, nowina przejęła ją nie tyle zgrozą, ile raczej niemal erotyczną rozkoszą, gdy pomyślała, że najpóźniej w południe następnego dnia będzie mogła zabłysnąć nią w towarzystwie.

Savine mrugnęła do niej konspiracyjnie.

– Mam znajomości w inkwizycji – dodała.

– No cóż... – Vallimir poczuł się wyraźnie dotknięty. Należał do mężczyzn, którzy czują się tak za każdym razem, gdy kobieta ośmieli się odezwać. – Tutaj nie mówimy tego rodzaju kłopotów.

– W żadnym wypadku. – Risinau otarł z czoła świeżą warstewkę potu. Było oczywiste, że coś ukrywa. – Nie ma u nas Destruktorów, Podpalaczy...

– Podpalaczy? – powtórzyła Savine.

Vallimir i jego żona spojrzeli po sobie z niepokojem.

– To jeszcze gorsze ścierwa niż Destruktorzy – odparł niechętnie pan domu. – Szaleńcy i fanatycy, rozkochani w sianiu zniszczenia. Destruktorzy chcieliby... – skrzywił się z niesmakiem – ...zmienić Unię. Podpalacze chcą ją zniszczyć.

– Nawet jeśli ktoś wierzy w istnienie takich bestii, tutaj ich nie uświadczysz – stwierdził Risinau. – W Valbecku robotnicy nie mają się na co skarżyć.

– Wiem z doświadczenia, że robotnicy potrafią utkać pretensje z nawet najmniej obiecującego wątku – odparła Savine. – A u was jest ich bardzo wielu. Czy miasto może rozwijać się tak szybko, nie napotykając żadnych problemów?

Lord Parmhalt się ocknął, być może za sprawą celnego kuksańca wymierzonego mu przez żonę gospodarza.

– Poczyniliśmy ogromne postępy, lady Savine, po części dzięki hojnym kredytom udzielonym przez dom bankierski Valint i Balk. Niedawno utworzyli nowy oddział w Valbecku. Powinna pani zobaczyć... – Po chwilowym ożywieniu burmistrz znów zaczynał przysypiać. – Nową część miasta...

– Nowe ulice – dodał Vallimir.

– Wzorcowe ulice – uzupełnił Risinau.

– Kryte rynsztoki – rzekł burmistrz, podjąwszy kolejny heroiczny wysiłek w celu niezaśnięcia. – Bieżąca woda w każdym domu, rozmaite... innowacje...

– W Gurkhulu budują świątynie – powiedziała Savine. – W Styrii pałace. My budujemy kanalizację. – Odpowiedziały jej uprzejme śmiechy. Podniosła wzrok na służącą, która w desperackim skupieniu próbowała wmanewrować porcję galaretki na stojący przed nią talerzyk. – Mogę zapytać, jak ci na imię, moja droga?

Dziewczyna spojrzała na nią, zamrugła, spojrzała na panią Vallimir, oblała się różowym rumieńcem i odgarnęła niesforny kosmyk włosów za ucho.

– May, pani. May Pleczysta.

– Powiedz mi, May, podoba ci się w Valbecku?

– Jako tako, pani. Nie mogę się przyzwycząić... do powietrza.

– W dole, u stóp wzgórza, powietrze istotnie bywa fatalne, opary są gorsze nawet niż w Adui.

May z wyraźnym wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Tak słyszałam, pani.

– Nie bój się, możesz mówić otwarcie – zapewniła ją Savine. – Wręcz nalegam, byś była ze mną szczerą. Po cóż w przeciwnym razie w ogóle rozmawiać?

– Pani... Mamy już przyzwoite mieszkanie na zboczu wzgórza. Jesteśmy za nie ogromnie wdzięczni.

– A jak to wygląda w starym mieście?

May odkaszlnęła nerwowo.

– Zamieszkaliśmy tam bezpośrednio po przybyciu. Za przeproszeniem, ale w starym mieście panuje okropny tłok. Czasem sześcioosobowa rodzina musi się gnieździć w jednej izbie w piwnicy.

– Sześcioosobowa? W jednej izbie w piwnicy? – Savine spojrzała na Vallimira, który znów leciutko się wzdrygnął.

– Ściany w domach są wiecznie wilgotne, dzieci bawią się w rynsztokach, świnie ryją w zaułkach, a woda z pomp jest bardzo niezdrowa. – Dziewczyna wyraźnie się rozkręcała, gestykulowała z coraz większym zapalem. – Ludzi stale przybywa, pracy nie starcza dla wszystkich, panuje drożyzna...

Zahaczyła ręką o kieliszek Savine, który zakolebał się niebezpiecznie. Dłoń Savine wystrzeliła w przód jak przy pchnięciu krótką klingą i złapała go, zanim spadł.

Przerażona służąca spuściła wzrok.

– Ja... bardzo przepraszam...

– Nic się nie stało. Bardzo ci dziękuję. Możesz odejść.

– Głupia, krnąbrna dziewczka! – warknęła pani Vallimir, zamknąwszy za nią wypolerowane na przesadnie wysoki połysk drzwi. Jej wachlarz aż furkotał w powietrzu, z takim zapalem nim wymachiwała.

– Co też pani mówi?! – zachnęła się Savine. – To była wyłącznie moja wina, niczyja więcej.

– Nie panuje nad łapami i jęzorem! Jutro rano ją zwolnię.

– Wolałabym, żeby pani tego nie robiła. – W głosie Savine

zabrzmiała niespodziewanie ostra nuta.

Pani Vallimir się nastroszyła.

– Wybacz pani, lady Savine, ale w moim domu...

– To piękny dom, w którym mam zaszczyt być gościem. Poprosiłam jednak dziewczynę o szczerłość i nie zgodzę się, by została za to ukarana. – Ból skutecznie wyczerpał zapasy cierpliwości Savine. Po raz pierwszy przestała się uśmiechać. Przeniosła wzrok na Vallimira i wytrzymała jego spojrzenie. – Proszę mnie nie zmuszać, bym nalegała. Szkoda by było tak uroczego wieczoru. Gdyby karano mnie za każde słowo prawdy w rozmowach z inwestorami, nie zdołałabym przysporzyć państwu tak wielkiego majątku.

Przedłużające się milczenie przerwał w końcu Risinau – nachylił się ku Savine i nakrył jej dłoń swoją, tłustą i spoconą. Jakby ktoś oblepił jej palce stęchłym ciastem.

– Osobiście zaręczam, lady Savine, że nasi robotnicy są zadowoleni i nie ma najmniejszych powodów do zmartwień.

Miał pecha: jego protekcyjne zapewnienie zbiegło się w czasie ze szczególnie bolesnym skurczem, jakby ogromna pięść zacisnęła się wokół wnętrza Savine. Pochyliła się w jego stronę i zasłaniając usta dłonią, żeby nikt postronny jej nie usłyszał, szepnęła mu do ucha:

– Dotknij mnie jeszcze raz, to cię dźgnę widelcem prosto w tę tłustą, spasioną szyję. Zrozumiałeś?

Superior z wysiłkiem przełknął ślinę i ostrożnie odkleił rękę od jej dłoni.

Savine odwróciła się do Vallimira.

– Mówił pan, że interes kwitnie?

– Istotnie.

– Chętnie obejrzałabym księgi rachunkowe. Uwielbiam księgi dobrze prosperujących firm.

Vallimir kolejny raz drgnął nerwowo.

– Każę ci je dostarczyć, pani.

– Lepiej będzie, jak sama pójde je przejrzeć. Skoro już przebyłam taki szmat drogi, powinnam zobaczyć wprowadzone przez pana ulepszenia. Na własne oczy.

– Ale osobiste odwiedziny w fabryce... – Vallimir się skrzywił.  
Risinau podjął wyzwanie:

– To może nie być najlepszy...

– Nie będę przeszkadzać, zapewniam. – Skoro tak bardzo zniechęcili ją do udania się do fabryki, tym bardziej powinna tam pójść. – Przekonałam się, że w interesach takie indywidualne podejście bywa wprost nieocenione. – Wzięła do ręki nedorzecznie długą łyżeczkę, wbiła ją głęboko w galaretkę i z wielką przyjemnością, głośno siorbiąc, wciągnęła odkrojony kawałek w wydęte usta. – Pyszności! Proszę przyjąć wyrazy uznania, pani Vallimir. – Galaretka była ohydna, chyba najgorsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miała nieprzyjemność jeść. Savine przetrzymała kolejne dźgnięcie w brzuch i zaszczyciła zgromadzonych przy stole gości swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem. – Koniecznie musi pani dać mojej służącej przepis.

## Tonące statki

Zjedli w przesadnie drogim barze serwującym mięsa z rusztu, gdzie okna pokrywała gruba warstwa tłustej sadzy, a talerze były niewiele czystsze. Łój błyskawicznie pochłonął swoją porcję mięcha z sosem, a potem patrzył, jak Vick zjada swoją; niewiele brakowało, żeby ślinił się przy tym jak wygłodniałe psisko. Czują się trochę nieswojo, kiedy wlepił w nią spojrzenie tych wielkich, smutnych ślepi, ale bez pośpiechu wymiotła talerz do czysta. Kolejny nawyk wyniesiony z obozów, gdzie jedzenia było wiecznie za mało. Kiedy rozkoszujesz się każdym kęsem, masz wrażenie, że starcza na dłużej.

Zaczekali do wieczora, który jednak – przy zalegającym nad Valbeckiem całunem dymu – nie był wcale dużo ciemniejszy od dnia, był za to jeszcze gorętszy. Słońce jawiło się jako wściekła smuga barwy stopionego metalu, namazana na niebie daleko za budowanymi na zachodzie wielkimi kominami. Zaczęli się przeciskać parującymi, zatłoczonymi zaułkami jak szczury penetrujące stertę gnoju. Zadając niezobowiązujące pytania, usiłowali wywęszyć, gdzie można by znaleźć Destruktorów.

Vick sto razy przepowiadała sobie w głowie historię swoją i Łoja, aż kłamstwa stały się dla niej naturalne jak druga skóra, bardziej znajome od prawdy. Miała gotową odpowiedź na każde pytanie, wyjaśnienie wszystkich podejrzeń, zestaw usprawiedliwień stawiających ją w dobrym – choć nie najlepszym – świetle. Jedynym, na co nie była przygotowana, było to, co zastała na miejscu.

– Destruktorzy? – powtórzyła męska dziwka, nawet nie próbując ściszyć głosu. – Znajdziesz ich chyba w zaułku odchodzącym od ulicy Ramnarda. – I zawołała do swojej koleżanki płci żeńskiej, zajętej poprawianiem ramiączek

sukienki na obsypanych ospowymi krostami ramionach: – Jak się nazywa ta uliczka, na której spotykają się Destruktorzy?!

– Ona się w ogóle jakoś nazywa? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna, zajęta uśmiechaniem się do potencjalnych klientów.

Zachowywali się tak beztrosko, jakby Destruktorzy zajmowali się szydełkowaniem i wcale nie byli bandą zagrażających spójności społeczeństwa renegatów. Kulas nazwał superiora Risinaua głupim tłusciochem, pozbawionym wyobraźni, za to nadzwyczaj lojalnym. Sądząc po tym, z jaką swobodą mieszkańcy Valbecku rozprawiali o zdradzie stanu, Risinau niespecjalnie panował nad sytuacją w mieście.

Kurewki wykierowały ich do uśmiechającego się z wyższością alfonsa, który po krótkich targach wskazał im jednorękiego żebraka. Za parę miedziaków żebrak zaprowadził ich do bezrobotnego kowala trudniącego się sprzedażą zapalek z obwoźnego kramiku. Kowal ruchem głowy wykierował ich do starego magazynu na końcu ciemnej uliczki. Przy drzwiach stał wysoki mężczyzna. Padające z okna na piętrze światło odbijało się w szklach okrągłych okularów, które wydawały się bardzo małe na jego wielgachnej czaszce.

Vick od razu się zorientowała, że z gościem mogą być kłopoty. Rzecz oczywista – gabaryty: był od niej prawie o głowę wyższy, a wyświecona kurtka opinała się na szerokich, krzepkich barach. Ale nie spodobała jej się też jego mina, pokorny, niemal skruszony wyraz, jaki jego twarz przybrała na ich widok. Nie miał w sobie nic z pawiej pychy typowej dla facetów, którzy uważają się za twardzieli. Taki cień poczucia winy cechował tylko tych naprawdę niebezpiecznych.

Znała tę minę doskonale, oglądała ją w lustrze za każdym razem, gdy trafił jej się kiepski dzień.

Zresztą wszelkie ewentualne wątpliwości rozwiewał tatuaż na jego pięści, który zdążyła dostrzec, zanim wciągnął dłoń w głąb rękawa: topór i błyskawica skrzyżowane ponad strzaskaną wartownią, na wszystkich knykciach. Czyli szturmowiec. Pierwszy na drabinach podczas oblężenia.

W awangardzie natarcia. Zrobił to pięć razy i przeżył, żeby się tym chwalić – albo, co bardziej prawdopodobne, żeby nigdy więcej o tym nie wspominać.

W obozach nauczyła się odruchowo zastanawiać nad tym, jak mogłaby pokonać przeciwnika, ale tego gościa lepiej byłoby po prostu mieć po swojej stronie. A jeśli się nie da, to uciec przed nim najszybciej, jak nogi poniosą.

Cała ta sytuacja na odległość pachniała pułapką. Z drugiej strony wszystko tu pachniało pułapką, a Vick tłumaczyła sobie, że to dobrze, bo dopiero kiedy człowiek poczuje się bezpiecznie, popełnia swój ostatni błąd.

– Jestem Vick – przedstawiła się – a to Łój.

Destruktorzy zwykle posługiwali się imionami. Nie używali nazwisk.

Olbrzym zmierzył ich wzrokiem. Widoczne za szkłem okularów oczy wydawały się mniejsze, niż były w rzeczywistości.

– Gunnar – powiedział.

– Przyjechaliśmy z Adui – wyjaśniła i przysunęła się, żeby dodać ściszym głosem: – Jesteśmy znajomymi Collema Sibalta.

– Rozumiem. – Spojrzał na nią raczej z zaskoczeniem niż podejrzliwością, jakby jej słowa niezbyt go interesowały. – Gratuluję.

– Nie pilnujesz wejścia?

– Wyszedłem się przewietrzyć, w środku jest dla mnie za gorąco. – Obciągnął kołnierzyk. – Ta cała Sędzia mnie... – Zawiesił głos i znieruchomiał z otwartymi ustami, jakby nie mógł zdecydować, jak ta cała Sędzia na niego działa. – Powiem tak: sytuacja w mieście niezbyt mi się podoba; gdyby mi się podobała, nie przyszedłbym tutaj. Ale nie widzę, w jaki sposób Sędzia miałaby coś zmienić na lepsze.

Vick jeszcze bardziej zniżyła głos:

– Nie boisz się inkwizycji?

– Prawdę mówiąc, boję się, ale chyba tylko ja jeden.

Gunnar pchnął drzwi wytatuowaną dłonią i skinął na nich, żeby weszli.



Vick była małomówna z wyboru, ale rzadko zdarzało się jej zapomnieć języka w gębie. Kiedy przechodziła przez próg magazynu, zdołała tylko wykrztusić:

– Szlag by to...

– No... – Łój wybałuszył oczy bardziej niż zwykle. – Szlag by to.

W środku stłoczyło się dobre pięćset osób. Było gorąco jak w piecu i głośno jak w rzeźni, śmierdziało starą smołą, niemytymi ciałami i gniewem. Migotanie pochodni, które z trudem rozświetlały wnętrze, przydawało wszystkim obrazom odrobiny szaleństwa. Pod jedną ze ścian ktoś rozpostarł ogromny transparent pozszywany ze starych prześcieradeł, z namalowanym napisem Teraz albo nigdy.

Dzieciaki wspięły się na belki nośne i tam usiadły, zwiesiwszy nogi. W pierwszym odruchu Vick pomyślała, że na belkach dyndają wisielcy. Dopiero po chwili zorientowała się, że widzi słomiane kukły z namalowanymi chytrymi twarzami: król i królowa, którym drewniane korony opadły na oczy; wzdęty lord kanclerz Gorodets; wykrzywiony arcylektor Glokta; łysol z patykiem w ręce musiał być Bayazem, Pierwszym Wśród Magów. Najwyżsi przedstawiciele władzy otwarcie wykpiwani.

Na scenie, której rolę pełnił stary wóz, występowała kobieta, której zapału mogłaby pozazdrościć niejedna aktorka: jedną chudą ręką trzymała się poręczy wozu, drugą, zaciśniętą w pięść, wygrażała nad głową.

Sędzia, domyśliła się Vick. Miała kobieta wycucie dramaturgii. Na czerwonej suknię, która mogła być w przeszłości suknią ślubną jakiejś arystokratki, nałożyła stary, sfatygowany kirys z rdzewiejącymi nitami. Burzę rudych włosów rozczesała, upięła i zaplotła w jeden wielki, wściekły kołtun. Oczy wychodziły jej z orbit w kościstej, upstrzonej plamiastym rumieńcem twarzy i w taki sposób odbijały światło pochodni, że miało się wrażenie, jakby ogień gorzał w jej czaszce. Może nawet istotnie tak właśnie było.

– Czas rozmów dawno minął! – wydarła się dzikim, przenikliwym głosem, na którego dźwięk Vick skrzywiła się

odruchowo. – Rozmowy nigdy nie przyniosły niczego... – Zawiesiła na chwilę głos, przekrzywiwszy głowę, i na jej usta wypłynął kruchy, drżący uśmiech. – Czego nie dałoby się uzyskać ogniem!

– Spalić ich! – zakrzyknął ktoś.

– Spalić fabryki!

– Spalić fabrykantów!

– Spalić wszystko! – Dziewczynkę siedzącą na dźwigarze tak bardzo poniósł entuzjazm, że omal nie spadła.

Tłum podchwycił hasło:

– Spalić ich! Spalić ich! Spalić ich!

Pięści miarowo wznosiły się w powietrze. Na obnażonych przedramionach było widać takie same tatuaże, jakie nosili buntownicy ze Stariklandu. Robotnicy z dumą obnosili się ze zdradzieckimi sloganami. Niektórzy wymachiwali też rytmicznie bronią i nie były to tylko zaostrzone na pokaz narzędzia pracy. Mieli broń drzewcową, mieli miecze, Vick dostrzegła co najmniej jedną kuszę. To był żołnierski oręż, przeznaczony do zabijania.

– A nie mówiłem?

Mężczyzna, który przedstawił jej się jako Gunnar, stał teraz obok niej i kręcąc głową, obserwował Sędzię, która drapieżnym krokiem przechadzała się po scenie i zachęcała słuchaczy do jeszcze głośniejszych wiwatów.

– Gdybym wiedziała, że to bal przebierańców – mruknęła Vick – bardziej bym się postarała.

Zawsze umiała się zdobyć na ciętą ripostę, ale prawdę mówiąc, cała ta scena kompletnie ją zaskoczyła. Spodziewała się, że Destruktorzy z Valbecku to tuzin durniów i pyszałków, chowających się po piwnicach i kłócących o to, na jaki kolor pomalują nowy piękny świat, który nigdy nie nadejdzie. Zamiast tego zastała liczną, dobrze zorganizowaną grupę, otwarcie nawołującą do buntu. Została wytrącona z równowagi, a ponieważ nie przywykła do takiego stanu, jej umysł miotał się gorączkowo, szukając oparcia.

– Czekaście! Chwilę! – Stary mężczyzna wspiał się na wóz

i stanął obok Sędzi. – Czekaście, powiedziałem!

– To Malmer – wyjaśnił Gunnar, nachyliwszy się do ucha Vick.  
– Porządny człowiek.

Malmer był przeciwieństwem Sędzi: masywny, krzepki, ubrany zwyczajnie, jak robotnik, z twarzą, na której lata harówki odcisnęły się mnóstwem zmarszczek, i z przerzedzonymi siwymi włosami był jak lodowata woda przy jej ognistej furii.

– Łatwo znaleźć ludzi skorych do wzniesienia pożarów – powiedział, odwróciwszy się do parnego wnętrza. – Znacznie trudniej o takich, którzy zbudują coś na zgliszczach.

Sędzia skrzyżowała ramiona na zdezelowanym pancerzu i posłała Malmerowi drwiące, pełne wyższości spojrzenie, ale tłum się uspokoił, gotowy go wysłuchać.

– Jesteśmy tu wszyscy, bo nie podoba nam się obecny stan rzeczy – zaczął Malmer. – Jak mógłby się nam podobać? – Gunnar mruknął potakująco i pokiwał głową. – Urodziłem się w tym mieście. Spędziłem w nim całe życie. Myślicie, że podoba mi się to, jak się zmieniło? Że podoba mi się cuchnąca rzeka i śmieci zalegające do kolan na ulicach? – Z każdym kolejnym zdaniem jego głos przybierał na sile, z każdym zdaniem coraz głośniej brzmiała też chóralna mrukliwa odpowiedź słuchaczy. – Że podoba mi się, jak porządnych ludzi wyrzuca się z pracy, bo jakiś dobrze urodzony łajdak ma takie widzimi się? Że podoba mi się, jak kierowani chciwością pozbawiają nas naszych praw, a dobrych ludzi traktują jak bydło?!

– Jebać fabrykantów! – zawyła Sędzia.

Tłum wiwatował i gwizdał, zawodził i gderał.

– Są tu ludzie, którzy dzień w dzień produkują całe mile tkanin, a nie stać ich na koszulę dla siebie! Są kobiety, dla których szczytem ambicji jest okpienie inspektora i wmówienie mu, że ich syn jest już dostatecznie dorosły, żeby pracować! Ilu z nas straciło palce? Ilu dłonie? Ilu całe ręce? – Ludzie podnosili kikuty, kule, okaleczone kończyny: weterani nie okrutnych wojen, lecz niekończących się zmian przy maszynach. – Nie dalej niż milę od pałaców na wzgórzu ludzie umierają z głodu!

Porażeni pylicą chłopcy się duszą, a dziewczęta, które wpadną któremuś fabrykantowi w oko, są zmuszane do pracy na nocki. Dobrze wiecie, o jakiej pracy mówię!

– Jebać fabrykantów! – wrzasnęła znowu Sędzia.

Gniew tłumu rozbrzmiał jeszcze głośniej.

– Nadejdzie czas porachunków! – Malmer zacisnął pięści i powiódł po słuchaczach spojrzeniem spode łba. Jego uporczywy gniew był tak samo niepokojący jak ognista furia Sędzi. – Obiecuję wam to. Ale musimy myśleć. Musimy planować. Kiedy zaczniemy przelewać naszą krew, a możecie być pewni, że nastanie taki dzień, musimy mieć pewność, że będzie coś warta!

– Będzie! – zabrzmiał gładki, dźwięczny głos. – Będzie warta wszystko!

Tłum błyskawicznie się uciszył. Zapadła brzemienne wyczekiwaniem cisza, w której ludzie bali się choćby głośniejsze odetchnąć. Uśmiechnięta szeroko Sędzia pomagała komuś wgramolić się na wóz: pulchny mężczyzna w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze, miękki i blady, wydawał się dziwnie nie na miejscu w towarzystwie tych nieokrzesanych.

– A oto i on. – Gunnar założył ręce na piersi.

– Oto kto? – spytała szeptem Vick, chociaż po tym, jak zrobiło się nagle cicho, domyślała się odpowiedzi.

– Tkacz.

– Przyjaciele! – zawołał pulchny człowieczek, głaszcząc powietrze serdelkowatymi palcami. – Bracia i siostry! Destruktorzy i Podpalacze! Uczciwi mieszkańcy Valbecku! Niektórzy z was znają mnie jako Risinaua, superiora Inkwizycji Jego Królewskiej Mości! – Podniósł ręce, zwrócone wnętrzem różowiutkich dłoni w stronę publiki, i uśmiechnął się smutno. – Pozostaje mi tylko za to przeprosić.

Vick wytrzeszczyła oczy. Jeżeli wcześniej została wytrącona z równowagi, to teraz padła jak długa.

– Ja pierdołę... – usłyszała szept Łoja.

– Pozostali znają mnie jako Tkacza!

Tłum odpowiedział nierównym pomrukiem, w którym złość

mieszała się z miłością i wyczekiwaniem, jakby ludzie przyszedli zobaczyć walkę bokserską i mistrz właśnie wszedł do kręgu.

„Głupi tłuścioch”, powiedział Glokta. „Pozbawiony wyobraźni, za to nadzwyczaj lojalny”. Wyglądało na to, że pierwszy raz, odkąd Vick pamiętała, Jego Eminencja poważnie pomylił się w ocenie człowieka.

– Kilka tygodni temu napisałem do króla list – ciągnął Risinau – w którym wyliczyłem nasze żale i pretensje. Anonimowy list naturalnie; nie uznałem za stosowne podpisać się prawdziwym imieniem i nazwiskiem. – Incydentalne śmiechy wśród słuchaczy. – Stale obniżane pensje. Nieustannie rosnące koszty życia. Wstrząsające warunki mieszkaniowe. Zatrute powietrze i woda. Choroby, nędza i brud. Oszukiwanie pracowników poprzez stosowanie sfałszowanych miar i ukryte potrącenia. Ucisk ze strony pracodawców.

– Jebać pracodawców! – Sędzia aż parsknęła śliną.

Risinau pomachał w powietrzu kartką papieru.

– Dziś rano otrzymałem odpowiedź – ciągnął. – Oczywiście nie od króla-idioty.

– Palant z Agriontu! – zaszydziła Sędzia i złapała się za krocze, budząc powszechną wesołość.

Dzieci na dźwigarach zaczęły podskakiwać i szarpać kukłę króla, przez co ta wyglądała, jakby tańczyła.

– Nie od jego styryjskiej królowej – mówił dalej Risinau.

– Pałacowa pizda! – wykrzyknęła Sędzia, wypychając biodra w przód.

Ktoś pociągnął za sznurek, który podwinął spódnicę kukły królowej, odsłaniając potężny kłęb futra w miejscu sromu. Huragan śmiechu przewalił się przez tłum.

– Nie od jego rozpustnego syna Orso. – Risinau posłał Sędzi wyczekujące spojrzenie.

Sędzia wzruszyła kościstymi ramionami.

– O tym kutafonie to już w ogóle szkoda gadać – odparła.

Publika odpowiedziała chóralnym buczeniem i gwizdami.

– Nie odpowiedział mi więc żaden z figurantów, żaden z galionów, lecz sam pilot państwowej nawy, nie kto inny jak

Kulas we własnej osobie. Arcylektor Glokta!

Na to nazwisko tłuszcza zareagowała z największą wściekłością. Stojący przed Vick stary, przygarbiony człowiek z niesmakiem opluł powykręcaną kukłę Glokty.

– Zaskoczę was pewnie, gdy powiem, że nie proponuje nam żadnej pomocy. – Risinau spojrział badawczo na list. – Ostrzega natomiast przed nielojalnością i grozi surowymi karami.

– Jebać jego kary! – wrzasnęła Sędzia.

– Pisze dalej, że najważniejsze jest funkcjonowanie wolnego rynku. Świat musi iść naprzód. Postęp jest nieuchronny, nie da się go zakuć w łańcuchy. Kto by pomyślał, że arcylektor okaże się takim pryncypialnym przeciwnikiem kajdan? – Rozproszone wybuchy śmiechu. – Kiedy człowiek świadomie zabija drugiego człowieka, nazywają to morderstwem, ale kiedy społeczeństwo doprowadza do śmierci tysięcy, wzruszają ramionami i mówią „Takie jest życie”. – Pomruki aprobaty. Risinau zmiął list w dłoni i odrzucił na bok. – Czas rozmów minął, przyjaciele. Nikt nie słucha. Nikt ważny. Nastał czas, by zrzucić jarzmo i powstać jako wolni mężczyźni i kobiety. Skoro nie chcą nam dać tego, co się nam należy, musimy powstać i wziąć to siłą. Musimy dokonać Wielkiej Zmiany!

– Dobrze gada! – wydarła się Sędzia.

Ludzie zaczęli znów wymachiwać bronią. Malmer kiwał ponuro głową.

Risinau uciszył tłum gestem podniesionych rąk.

– Zajmiemy Valbeck! – zapowiedział. – Nie po to, by go spalić... – Tu z rozczarowaniem pogroził palcem Sędzi, która pokazała mu język i splunęła w tłum. – Lecz po to, by go wyzwolić! Zwrócić go mieszkańcom! Stać się przykładem dla całej Unii.

Publika odpowiedziała pełnym aprobaty rykiem.

– Żeby to było takie proste... – Gunnar pokręcił głową. – Jakoś w to wątpię.

– Ja również – mruknęła Vick.

Ścisnęła rękę Łoja z taką siłą, że chłopak skrzywił się z bólu, i pociągnęła go pod ścianę.

– Musisz natychmiast wyjechać z miasta – powiedziała

szeptem. – Rozumiesz? Prosto do Adui.

– Ale...

Wcisnęła mu sakiewkę w bezwładną dłoń.

– Najszybciej, jak tylko dasz radę. Idź do mojego pracodawcy, wiesz, o kogo mi chodzi, i powiedz mu, co tu dzisiaj widziałeś. Powiedz mu... – Rozejrzała się, ale zajęci oklaskiwaniem Risinaua ludzie nie zwracali na nich uwagi. – Powiedz mu, kim jest Tkacz. Wierzę w ciebie. Dasz sobie radę.

Puściła jego rękę, on jednak, zamiast się ruszyć, wpatrywał się w nią tymi wielkimi oczami, tak bardzo podobnymi do oczu jej brata.

– Ty nie jedziesz?

– Ktoś musi ogarnąć sytuację na miejscu. Idź już.

Odepchnęła go i patrzyła, jak chwiejnie zmierza do wyjścia.

Chciała pójść za nim, bardzo chciała, ale musiała przedostać się na wzgórze i odszukać Savine dan Gloktę. Może zdoła ją jeszcze ostrzec...

– Kogóż widzę? To musi być Victarine dan Teufel! – Zamarła na dźwięk tego afektowanego głosu. – Słyszałem, że przybyłaś do Valbecku.

Uśmiechnięty Risinau szedł przez tłum w jej stronę, ocierając spoconą twarz chusteczką. Towarzyszyli mu Sędzia z jednej strony i Malmer z drugiej.

Vick odczuła nagłą pustkę w trzewiach, gdy spoczęły na niej dziesiątki spojrzeń. To samo poczuła wtedy w kopalni, w ciemnościach, gdy utopiła się jej siostra. Syknęła wtedy, żeby ją uciszyć, i usłyszała odległy szum wody.

Dopadli ją. Była skończona.

Risinau skinął na nią pulchnym palcem.

– Collem Sibalt opowiadał mi o tobie.

Serce waliło jej tak mocno, że ledwie była w stanie oddychać. Ledwie coś widziała. Dzieci ściągnęły z belki kukłę Bayaza i okładały ją jego własnym kosturem, aż słoma leciała na wszystkie strony.

Nie mogła uwierzyć, że jej głos brzmi tak spokojnie. Jak głos obcego człowieka, i to człowieka, który dobrze wie, co robi.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – odparła.

– Wyłącznie. Twierdził, że masz twarde serce i spokojną głowę, a zaangażowania w naszą sprawę niejednen mógłby ci pozazdrościć. – Risinau podszedł i przydusił ją w uścisku, ociekającą zimnym potem i wstrząsaną przechodzącymi jej po plecach ciarkami. – Collem Sibalt był naszym drogim przyjacielem. Jego przyjaciele są moimi przyjaciółmi.

Sędzia stała obok niego z przekrzywioną głową i wpatrywała się w Vick czarnymi, pustymi oczami. Vick nie była pewna, czy Sędzia po prostu świetnie gra, czy naprawdę jest tak szalona, na jaką wygląda.

– Nie ufam jej – warknęła.

– Ty nikomu nie ufasz – burknął Malmer.

– A mimo to co rusz zawodzę się na ludziach.

Risinau odsunął Vick na odległość wyprostowanych ramion.

– Przybywasz w idealnym momencie, siostró – rzekł z uśmiechem.

– Dlaczego? Czyżbyśmy znaleźli się na tonącym statku?

– W żadnym razie. – Superior-rewolucjonista objął ją ramieniem. – Nasz statek obrał kurs na Wielką Zmianę i kieruje się ku brzegom dobrobytu, równości i wolności, choć nie będzie to rejs łatwy i przyjemny. Jutro w południe nasze piękne miasto czeka prawdziwy sztorm. Tak, moi przyjaciele! – Odwrócił się do publiki i podniósł ręce. – Jutro wielki dzień!

Destruktorzy i Podpalacze odpowiedzieli gromkim aplauzem.



## Witaj w przyszłości

Najeżony kolcami mur bardziej pasowałby do więzienia niż do fabryki i Savine odczuwała silny dyskomfort, wkraczając przez żelazne wrota na teren zakładu. Jej comiesięczne męczarnie przerodziły się w znośny, choć natrętny ból, za to letni upał jeszcze się od poprzedniego dnia nasilił – podobnie jak niepokojące przeczucie, dręczące ją od wyjazdu ze wzgórza przez całą drogę przez miasto, gdy powóz turkotał w stronę rzeki po mrocznych, osobliwie pustych i cichych ulicach.

Przed nią wznosiły się trzy olbrzymie hale z osmolonej cegły, zaopatrzone w nieliczne okna i pozbawione wszelkich ozdób. Włożyła na tę okazję wysokie buty na grubej podeszwie, ale i tak doskonale wyczuwała wibracje bruku wprawianego w drżenie przez pracujące w halach wielkie maszyny. Posępni ludzie, szarokórzy i szaro odziani, snujący się po dziedzińcu i zajęci załadunkiem i rozładunkiem wozów, wodzili za gośćmi złym wzrokiem. Kiedy spojrzała jednemu z nich w oczy, splunął demonstracyjnie. Przypomniała sobie, jak królowa Terez bywa przyjmowana podczas swoich nielicznych spotkań z pospólstwem. Tu przynajmniej nikt nie wyzywał jej od styryjskich pizd – choć zapewne wyłącznie dlatego, że nie była Styryjką.

– Robotnicy nie są chyba zadowoleni z mojej wizyty – zauważyła półgłosem.

Vallimir prychnął.

– Jeżeli w ogóle istnieje coś, co by ich zadowoliło, to ja jeszcze tego nie odkryłem. Dowodzenie żołnierzami było znacznie prostsze.

– Można pozostawać w serdecznych stosunkach z konkurencją, ale niekoniecznie z własnymi pracownikami. –

Savine obejrzała się przez ramię na dziesięciu strażników, którzy z dłońmi na rękojeściach mieczy weszli gęsiego przez bramę. Nie pomógł jej fakt, że uzbrojeni po zęby mężczyźni rozglądali się po dziedzińcu jeszcze bardziej lękliwie od niej. – Naprawdę potrzebujemy takiej rzucającej się w oczy eskorty?

– To zwykłe środki ostrożności – odparł Vallimir, prowadząc Savine, Lisbit i resztę ich grupy przez dziedziniec. – Superior Risinau sugerował, żeby stale towarzyszył pani tuzin praktyków.

– To by chyba była przesada.

Nawet w przypadku córki najbardziej znienawidzonego człowieka w Unii.

– Moim zdaniem ich obecność tylko niepotrzebnie wzmagalaby napięcie – powiedział Vallimir. – Dla zapewnienia należytej wydajności zakładu podjęte zostały pewne... działania mające na celu wprowadzenie oszczędności: wydłużenie godzin pracy, skrócenie przerw, ograniczenie wydatków na żywność i mieszkania, kary za rozmowy i pogwizdywanie...

– Nadzwyczaj rozsądnie. – Savine z aprobatą kiwała głową.

– Niektórzy ze starszych pracowników zmówili się jednak i wspólnie wystąpili przeciwko tym zmianom. Musieliśmy ich zwolnić. Nie obeszło się bez przemocy. Następnie musieliśmy wprowadzić zakaz zrzeszania się, co zresztą znacząco ułatwiły nam nowe królewskie przepisy regulujące prawo do zgromadzeń.

Przepisy zostały wprawdzie ogłoszone przez króla, ale ojciec Savine osobiście przyłożył rękę do ich sformułowania.

– Zastosowane w trzeciej hali nowe metody produkcyjne wywołały... – Vallimir z pochmurną miną spojrzał na najnowszy z trzech budynków: dłuższy i niższy od poprzednich, z jeszcze węższymi oknami w już brudnych od sadzy ścianach – ...znaczące niezadowolenie załogi.

– Często się zdarza, że im bardziej efektywna metoda, tym większe niezadowolenie wzbudza. Może powinniśmy zacząć naszą wizytę właśnie tutaj.

Vallimir skrzywił się lekko.

– Nie jestem przekonany, czy w środku będzie się pani...

dobrze czuła. Jest tam gorąco i bardzo głośno, to nie miejsce dla kobiety z pani sfer.

– Bez przesady, pułkowniku. – Savine ruszyła do wejścia. – Ze strony matki pochodzę przecież z twardego pospólstwa.

– Zdaję sobie z tego sprawę, znałem pani wuja.

– Lorda marszałka Westa?

West zmarł, zanim Savine przyszła na świat, ale matka czasem jej o nim opowiadała – o ile można tak nazwać sentymentalne frazesy, jakie wygłasza się na temat dawno nieżyjących bliskich.

– Kiedyś nawet wyzwiał mnie na pojedynek.

– Naprawdę? – Ten okrucieństwo szczerości Vallimira przykuł uwagę Savine. – Z jakiego powodu?

– Pochopnych słów, których wypowiedzenia wielokrotnie potem żałowałem. W pewien sposób przypomina mi go pani. Cechowała go ogromna determinacja. Zaangażowanie. – Vallimir spojrzał na nią, wyjmując klucz, i otworzył zamek. – Bywał w tym przerażający.

Pchnął drzwi. Pomruk maszynerii przerodził się w huk.

Całe wnętrze hali wprost dygotało od ustawicznego gniewu maszyn: trzask pasów transmisyjnych, zgrzyt zębatek, klekot czółenek, jęki metalu poddawanego ogromnym naprężeniom. Podłoga gmachu została wpuszczona dość głęboko w ziemię, przez co, stojąc przy wejściu, znaleźli się na czymś w rodzaju balkonu. Savine podeszła do barierki i spojrzała z góry na robotników. Zmarszczyła brwi. Czyżby perspektywa płatała jej figle?

Nie. Jednak nie.

– To dzieci – stwierdziła.

Do jej głosu nie przeniknęła ani krztyna emocji. Setki brudnych, chudych dzieci stały w rzędach przy krosnach, uwijały się wśród maszynerii, przetaczały szpule przędzy wielkie jak one same, ugiwały się pod ciężarem bel gotowych tkanin.

– Jeżeli w Valbecku można mówić o nadpodaży jakiegoś towaru – krzyczał jej do ucha Vallimir – to z pewnością są nim

porzucone lub osierocone dzieci, żebracy, którzy są dla państwa wyłącznie ciężarem! Tutaj znaleźliśmy im użyteczne zajęcie. – Uśmiechnął się ponuro. – Witaj w przyszłości, pani.

Jeden z kątów pomieszczenia zajmowały ogromne regały, wysokie na pięć lub sześć poziomów i zaopatrzone w przesuwane drabinki. Na półkach leżały łachmany: na oczach Savine z jednego z takich kłębów szmat wyczołgała się rozczochrana dziewczynka. To były łóżka. Te dzieci tu mieszkały. Smród przyprawiał o mdłości, upał wgniatał w ziemię, zgiełk ogłuszał. Prawdziwie piekielna mieszanka.

Zanim Savine ponownie się odezwała, musiała zdławić kaszel: nawet tu, na balkonie, powietrze było gęste od pyłu, którego gęste kłęby unosiły się w padających przez okna snopach światła.

– Domyślam się, że pracują za minimalne wynagrodzenie? – zapytała.

Na twarz Vallimira wypłynął osobliwy grymas.

– To właśnie jest w tym projekcie najpiękniejsze. Nie licząc wpłat na rzecz sierocińca, z którego je bierzemy, oraz naprawdę minimalnych wydatków na żywność i ubrania, nie ponosimy żadnych kosztów. Nie płacimy im. To tak, jakbyśmy je... kupowali.

– Kupowali. – Także i tym razem głos Savine nie zdradzał żadnych emocji. – Jak maszyny.

Spojrzała na swój nowy pas do miecza – całkiem niedawno go jej dostarczono i była nim zachwycona. Prawdziwe arcydzieło: sipańska skóra, a na niej wysadzone drogimi kamieniami srebrne płytki przedstawiające sceny upadku Magów. Ile dzieci mogłaby kupić zamiast niego? Ile rzeczywiście kupiła?

– Wcześniej zatrudnialiśmy wykwalifikowanych tkaczy, ale to zbędny wydatek. Dzieci uczą się obsługi maszyn równie szybko, a jest z nimi znacznie mniej zachodu. – Vallimir wskazał na pracujące wściekle maszyny, wokół których uwijały się drobne sylwetki, chociaż bardziej przypominało to gest sędziego sygnalizującego przestępstwo niż showmana zachwalającego widowisko. – Dzięki nowym maszynom i niższym kosztom pracy

i zakwaterowania ta hala jest wydajniejsza od pozostałych dwóch razem wziętych, a zarazem znacznie łatwiej ją kontrolować.

Ruchem głowy wskazał pełniącego straż na dole krępego brygadzystę. W splecionych za plecami rękach trzymał pałkę... a może bicz?

– Jak długo tu pracują? – wychrypiała Savine, machinalnie zakrywszy usta dłonią.

– Zmiana trwa czternaście godzin. Dłuższych nie udało się wprowadzić na stałe.

Lubiła się przechwalać tym, jaka jest twarda, ale w tym miejscu już po paru chwilach zaczęło jej się kręcić w głowie. Kurczowo złapała się balustrady. Czternaście godzin harówki w tym pyłe i zgiełku, dzień w dzień. I jeszcze ten upał – niczym w kuźni Stwórcy, jak mawiał jej ojciec. Pot spływał jej po głowie pod peruką.

– Dlaczego tu jest tak gorąco?

– W niższej temperaturze przędza zaczyna się kleić, mogłaby uszkodzić maszyny.

Zastanawiała się w duchu, czy kiedykolwiek przedtem odnotowano w jednym miejscu takie natężenie celowo zaplanowanej ludzkiej nędzy. Oparła dłoń na ramieniu Vallimira.

– W interesach zysk jest jedynym dobrem – powiedziała – strata zaś jedynym złem.

– Naturalnie.

Instynkt podpowiadał jej, że oboje z Vallimirem mają pewne wątpliwości, ale ona mogła zwalić winę na niego – krwio pijęc i okrutnika, on na nią – zołzę o sercu z kamienia, a zyski z produkcji doskonale sprawdzały się w roli smaru dla zgrzytliwych trybików w sumieniach ich obojga. Przecież gdyby nie poczynili oszczędności, prędzej czy później znalazłby się inny fabrykant, u którego niepowodzenia w interesach zdławiłyby skrupuły. Czy pracownicy opłakiwaliby ich, gdyby musieli zamknąć zakład? Czy może raczej czym prędzej znaleźliby nowego pracodawcę, na którego mogliby wylewać

swoje małostkowe żale?

– Świetna robota! – zawołała do ucha Vallimira, choć nawet jej samej własny głos wydał się nieco zdławiony. To przez ten upał, rzecz jasna. A także hałas i pył. – Prosiłam o zyski, a pan bez zbędnych sentymentów mi je zapewnił.

– U właściciela fabryki sentymenty są jeszcze groźniejsze niż u żołnierza.

Savine poczuła zapach gotowanego gdzieś niedaleko jedzenia: pachniało jak żarcie, którym w posiadłości matki karmiono psy. Oparła dłoń na wciąż obolałym brzuchu, chociaż ledwie była w stanie go namacać przez fiszbiny gorsetu. Pomyślała o swojej fabryce guzików i sprzączek w Holsthormie: drobne rączki najlepiej nadawały się do tej precyzyjnej roboty. Czy tamten zakład wyglądał tak samo? Gorzej? Oblizwała wargi i przełknęła kwaśną ślinę.

– Myślę jednak – odezwała się – że warto by się zatroszczyć o poprawę warunków bytowych. Może dałoby się wybudować jakieś lokum dla dzieci na dziedzińcu? Dać im czyste miejsce do spania? I lepiej je karmić?

Vallimir uniósł brew.

– Zdaję sobie sprawę, że to zbytki – ciągnęła Savine – ale nazbyt surowe warunki zmniejszają wydajność. Z doświadczenia wiem, że należy dążyć do osiągnięcia równowagi. Gdyby poprawić warunki, może udałoby się jednak wprowadzić dłuższe zmiany?

– To bardzo ciekawa sugestia, lady Savine.

Obserwujący dzieci Vallimir powoli kiwał głową, na przemian zaciskając i rozluźniając szczęki. Od takiego widoku człowiekowi powinno pękać serce, ale w interesach nie ma miejsca dla serc – z pewnością nie dla takich, które łatwo by pękały.

Savine uśmiechnęła się z nieco większym zapałem.

– Mogłabym teraz obejrzeć księgi?

Środek pierwszej, największej hali zajmowała olbrzymia rama nośna, w której obracał się wał napędowy, przenoszący – za pośrednictwem inżynieryjnego koszmaru zębatek, przekładni, dźwigni i pasów – energię z rzeki do ogromnych krosien rozstawionych w dwóch rzędach na podłodze. Z gigantycznych szpul odwijala się istna pajęczyna nici, a na końcu z krosien schodziły materiały w przeróżnych wzorach i kolorach. Wokół maszyn zgromadzili się ludzie – brudni od smaru, mokrzy od potu, z zaciśniętymi ustami i hardym spojrzeniem. O ile widok mieszkańców trzeciej hali omal nie złamał Savine serca, o tyle ci tutaj najchętniej zmiądzzyliby jej czaszkę.

Nie oczekiwała od pracowników żadnych ciepłych uczuć; jakkolwiek by na to patrzeć, swoją reputację zawdzięczała ostentacyjnemu obnoszeniu się z bogactwem, co nie mogło przypaść do gustu biedocie. A jednak emanująca od tych mężczyzn cicha, lodowata furia była niezwykła i znacznie bardziej niepokojąca niż jakikolwiek otwarty wybuch gniewu. Nagle Savine zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie zabrała ze sobą za mało strażników.

Dyskretnie dotknęła łokcia Lisbit.

– Mogłabyś wyjść i sprowadzić powóz pod bramę? – mruknęła.

Policzki Lisbit – zwykle różowe i gładkie – od gorąca pokryły się czerwonymi plamami rumieńców.

– A może powinniśmy od razu wyjść, pani? – spytała, obserwując z narastającym niepokojem tłum robotników.

Savine nie przestała się leciutko uśmiechać. Szanująca się dama zawsze się uśmiecha.

– Nie powinniśmy okazywać słabości ani wobec naszych pracowników, ani wobec współników.

Nie przejmowała się zbyt nieprzychylnością pracowników, konkurentów czy ludzi, których musiała zastraszyć, przekupić lub zaszantażować, żeby przeciągnąć ich na swoją stronę. Dopiero kiedy cię szczerze nienawidzą, wiesz, że wygrałaś. Dlatego kipiącą niechęć robotników przyjęła z niewymuszoną wyższością, parując przed nimi z wysoko

uniesioną głową. Jeżeli chcieli w niej widzieć czarny charakter, niech im będzie. Bohaterowie negatywni i tak zawsze byli najciekawszy.

Kantorek Vallimira znajdował się na drugim końcu hali – podwieszane do ściany pudełko ze zrzucenymi pod spodem na stos skrzynkami i beczkami, zaopatrzone w balkon, z którego właściciel mógł spoglądać na pracowników niczym król na poddanych. Albo cesarz na niewolników.

Pułkownik uklonił się sztywno i wskazał jej drogę na górę.

– Nie musi się pani śpieszyć. – Odwrócił się i powiódł posępnym wzrokiem po nachmurzonych pracownikach. – No, może troszeczkę.

Drzwi – zaopatrzone w dwa zamki i masywną sztabę – były tak ciężkie, że zamknięcie ich kosztowało Savine sporo wysiłku. Odpięła haftkę przy kołnierzu zakietu, żeby schłodzić spoconą szyję, ale powietrze w kantorku było niewiele chłodniejsze niż na dole w tkalni, a szarpiący nerwy jazgot maszynerii – niewiele cichszy.

Poluzowana deska jęknęła pod jej stopą, gdy ruszyła w stronę zawalonego księgami biurka. Drażniła ją wszelka fuszerka, zwłaszcza w gmachu, którego budowę częściowo sfinansowała, ale chwilowo miała większe zmartwienia. Wyminęła biurko i podeszła do okna, rozmasowując jedną ręką szyję. Niepokój, coraz bardziej dokuczliwy, przerodził się w fizyczny, niemal bolesny ucisk.

Ulica przed budynkiem była pusta – to zrozumiałe, wszyscy byli w pracy, a cóż innego niż praca miałoby zwabić człowieka w ten zaułek zębatych murów i zakratowanych bram, niebotycznych tkalni i dudniącej maszynerii? A jednak ten spokój wydał jej się podejrzany. Coś wisiało w powietrzu, jakby zapanowała cisza przed burzą. Marszcząc brwi, wodziła wzrokiem po pustej uliczce, przygryzała wargę i zastanawiała się, czy udałoby jej się teraz wyjść bez...

Zza węgła sąsiedniego gmachu wyszedł jakiś mężczyzna, za nim drugi, trzeci i kolejni, w sumie zebrało się ich dwudziestu lub więcej: robotnicy w bezbarwnych ubraniach, tacy sami,



jakich widywała w Holsthormie, Adui i wszystkich innych miastach Unii, i tacy sami, jak pracujący na dole, w tkalni – tyle że ci zachowywali się jak jedno zwierzę, któremu przyświeca wyraźny cel.

Coś błysnęło i Savine przeszedł dreszcz. Nagle zdała sobie sprawę, że ci ludzie są uzbrojeni. Niektórzy nieśli pałki, trzymając je przy nodze, inni ciężkie narzędzia, a ten, który szedł na czele, bez wątpienia miał stary miecz. Kiedy zastukał do furtki w murze, ta uchyliła się, jakby wszystko było wcześniej umówione, i cały dwudziestoosobowy tłumek wdarł się na teren zakładu.

Okręciła się na pięcie, słysząc dobiegające z hali krzyki – jeden, drugi, było ich coraz więcej i stawały się coraz głośniejsze, zamieszanie powoli zagłuszało hałas czyniony przez maszyny. Podkraǳła się do drzwi i ostrożnie położyła dłoń na zasuwce. Chciała je otworzyć.

Bała się je otworzyć.

– Cofnąć się! – dobiegł ją okrzyk Vallimira, gdy w końcu uchyliła drzwi kantorka. – Cofnijcie się, do diabła!

Robotnicy odeszli od maszyn i stłoczyli się w bliższym krańcu sali: lita masa ludzi, masa zwróconych w jej stronę twarzy wykrzywionych złością, narzędzia, żelazne pręty, ściskane w pięściach kamienie. Savine rozdziawiła z niedowierzaniem usta.

Strażnicy Vallimira powstrzymywali napór tłumu tuż przy schodach, sformowani w rozpaczliwy półksiężyc, ale robotnicy mieli dwudziestokrotną przewagę liczebną. Savine ze zgrozą wodziła wzrokiem po odrażającym ludzkim roju. Co za tłuszcza.

Stojący na balkonie Vallimir miał zaczerwieniony kark.

– Natychmiast się cofnijcie! – wykrzyknął.

Mężczyzna w poplamionym podkoszulku, którego ramiona wyglądały jak posplatane ze starych sznurów, wskazał go pałką.

– Sam się cofnij, ty stary skurwysynu!

W stronę Vallimira poleciały z tłumu różne przedmioty: kamienie, narzędzia, części maszyn. Odbijały się od ścian kantorka, ze szczękiem rykoszetowały na pancerzach

strażników.

Coś strąciło Vallimirowi kapelusz i pułkownik osunął się na ziemię z ręką przyciśniętą do zakrwawionej głowy. Kiedy tuż przy drzwiach roztrzaskała się butelka, Savine zamknęła je, założyła sztabę i cofnęła się w głąb pomieszczenia. Mimo gorąca i duchoty ogoloną skórę głowy miała nieprzyjemnie zimną. Liczyła się z tym, że przy wyjściu z tkalni może dojść do nieprzyjemnych scen, ktoś obrzuci ją obelgami, paru najbardziej krewkich gburów trafi do więzienia – a ona, niewzruszona, wróci w objęcia luksusu. Czegoś takiego się jednak nie spodziewała. To było zbrojne powstanie!

Wyraźnie słyszała własny urywany oddech: oddech ściganego zwierzęcia. Nieporadnie dobyła miecza. Nie było to może zbyt mądre, ale przecież tak właśnie powinien zachować się człowiek, gdy jego życie jest zagrożone, prawda? Czy jej życie było zagrożone? Zgiełk w hali przybliżał się i narastał, ponad nieustający jazgot maszynerii wzbijały się krzyki, przekleństwa, bezrozumne pomruki, szcęk stali. I przeciągły, przenikliwy wrzask, który nie chciał ucichnąć.

Rozpaczliwie chciało jej się sikać. Rękojeść miecza nagle stała się śliska w jej spoconej dłoni. Spojrzała desperacko na okna: były okratowane grubymi prętami. Na meble: nie było wśród nich kryjówek, w której nie zostałaby natychmiast znaleziona. Na podłogę... i obluzowaną deskę.

Opadła na kolana i zaczęła podważać deskę czubkami palców, a potem wypolerowanymi paznokciami. Zaciskając zęby i nie oglądając się na drzazgi, zdołała wsunąć palce pod spód, aż w końcu wcisnęła w otwór czubek miecza i nasadą drugiej dłoni uderzyła w rękojeść.

Podniosła gwałtownie głowę, gdy zza drzwi dobiegł głos:

– Otwórz drzwi, kochaneczko. – Głos ociekał słodyczą, ale brzmiała w nim też nuta groźby. Tak mógłby mówić rzeźnik, który próbuje wywabić prosię z chlewika do zagrody. – Jeśli sama otworzysz, będziemy delikatni. Ale jeśli będziemy musieli wyłamać drzwi, to przy okazji możemy złamać i ciebie.

Chrapliwy chichot... i uderzenie w drzwi, od którego zatrzęsała

się blokująca je sztaba. Savine aż podskoczyła. Z całej siły pociągnęła za miecz, wszystkie ściętna w jej ciele napięły się i zadygotały z wysiłku, a gdy w końcu gwoździe wydały płaczący jęk skargi i ustąpiły, poleciała do tyłu i upadła na plecy. Wygięty mieczyk zaklekotał na podłodze.

Dopadła do otworu i pomiędzy dwoma legarami zobaczyła walające się w dole zakurzone skrzynie i beczki. Da radę przecisnąć się przez tę szparę? Zaczęła się szarpać z guzikami zakietu, zostawiła na materiale smugi krwi spod paznokci, w końcu go z siebie zerwała. Odpięła srebrną sprzączkę prześlicznego paska i również go odrzuciła. Miecz zrzuciła do dziury; jego stukot o posadzkę utonął w zgiełku maszynierii. Nie było czasu na przygotowania, na wątpliwości. Spuściła nogi w dziurę i zaczęła się ześlizgiwać. Nie było to zachowanie zbyt wytworne, ale nie da się wytwornie uciec przed bandą morderców.

– Liczę do pięciu, zdiro! – Ten sam głos zza drzwi, tym razem przepełniony groźbą. – Na „pięć” wchodzimy!

– Licz sobie i do tysiąca, złamasie! – warknęła.

Zsunęła się już biodrami w otwór w podłodze – był wąski, za wąski, skrajne deski wrzynały się jej w ciało przez ubranie.

– Jeden!

Utknęła. Zacisnęła zęby, wijąc się rozpaczliwie. Zaparła się o legary i pchnęła z całej siły.

– Dwa!

Warknęła gardłowo, trzasnął rozdzierany materiał i w końcu spadła – po drodze obtarła jeszcze bark i grzmotnęła podbródkiem o legar, a na koniec wylądowała na boku, zahaczywszy głową o rant beczki.

– Trzy! – usłyszała niewyraźnie. Dzwoniło jej w uszach.

Półprzytomna podniosła się na czworaki... i stwierdziła, że nic nie widzi. Ogarnięta paniką podniosła dłoń do twarzy: to peruka zsunęła jej się na oczy. Zdarła ją i odrzuciła. Coś utrudniało jej ruchy – to spódnica zahaczyła o gwóźdź nad głową i częściowo się rozdarła. Savine szarpnięciem uwolniła się z koronek i zostawiła je zawieszane na gwoździu.

– Cztery!

Dostrzegłszy lśniący w półmroku mieczyk, zacisnęła na nim dłoń i zaczęła się czołgać wśród beczek, w kurzu i pyle. Nieludzki wrzask powtarzał się regularnie: cichł tylko na chwilę, by krzyczący mógł nabrać tchu, po czym rozbrzmiewał od nowa.

– Pięć!

Drzwi kantorka zatrzęsły się od uderzenia. Sztaba podskoczyła w uchwytach.

Gdzieś po drodze Savine rozcięła sobie dłoń i do połowy zdarła dwa paznokcie i od tej pory zostawiała krwawe ślady na wszystkim, czego dotknęła, czerwone smugi upstrzyły nawet jej halki. Ucieczka będzie trudna. Piekielnie trudna. Ale musiała uciec.

Brnęła dalej na czworakach. W głowie jej pulsowało, bark tętnił bólem, szczeka ją rwała, zdarte do żywego biodra nie dawały o sobie zapomnieć, a ona przygryzła w skupieniu język i czołgała się najszybciej, jak się dało. Krew spływała jej po czole i skapywała z brwi. Pomiedzy beczkami dostrzegała urywane obrazy.

Wleczony przez tłuszczę Vallimir, ze zwisającą bezwładnie zakrwawioną głową. Jeden z robotników rechoczący głośno i wymachujący zatkniętym na czubek długiego noża kapeluszem pułkownika. Leżący nieruchomo strażnik – bez hełmu, ze zlepionymi krwią włosami i ciemną kałużą rozlewającą się wokół rozbitej głowy. Drugi strażnik: na czworakach, otoczony przez tłum ludzi leniwie okładających go kijami, które z głośnym łoskotem tłukły w powgniatany pancerz. Udało mu się wstać, ale kiedy wyciągnął po omacku rękę, żeby złapać równowagę, jego dłoń dostała się między dwa wielkie koła zębate. Gwałtowne szarpnięcie powaliło go na ziemię, a chwilę później wrzasnął przeraźliwie, gdy jego ręka została wciągnięta w tryby maszyny. Krew zbryzgała mu twarz. Savine też poczuła jej kropelki na policzku, ale nikt usłyszał, jak zapało jej dech w piersi. Zgrzyt udręczonej maszynerii i krzyk udręczonego człowieka zagłuszyły wszystko.

Nastąpiło szarpnięcie, rozległ się przeciągły zgrzyt, krzyk strażnika przeszedł w bulgotliwe zawodzenie... a potem maszyny odzyskały rytm i koła zaczęły się obracać z normalną szybkością. Savine odwróciła wzrok. Patrzyła przed siebie. To się nie działo naprawdę, nic z tego nie działo się naprawdę. Jak mogłoby się dziać? Ludzie krzyczeli, ujadali jak sfera psów. Nie rozumiała słów, docierały do niej tylko gniew i kolejne uderzenia wstrząsające drzwiami kantorka.

Powiodła wzrokiem wzdłuż głównego wału napędowego, który z drugiej strony krosien wchodził w ciemny otwór w ceglanej ścianie. Może udałoby jej się tam doczołgać, dotrzeć do mrocznej, zapylonej przestrzeni poniżej przekładni, i tamtędy wydostać na zewnątrz. Może.

Położyła się na brzuchu i wpełzła pod wielkie wałki u dołu krosna. Była ambitna jak żmija – i teraz czołgała się jak wąż, jak robał, mokra od potu w lepkim upale i drżąca ze strachu, gdy wszędzie wokół niej grzechotały metalowe elementy rozpędzonej maszyny. Wśród maszynierii mignął jej mały chłopiec, okruch światła padł na jego rozgorączkowaną twarz zwróconą w stronę kantorka. Wszyscy patrzyli w tamtą stronę, gapili się jak wilki na kurnik. Czekali, aż uda się wyłamać drzwi i będą mogli ją wywlec.

Parła niestrudzenie naprzód, połamanymi paznokciami czepiając się, czego się dało. Prześliznęła się po wielkiej plamie krwi okaleczonego strażnika i czołgała się dalej, każdym jęklwym oddechem wzniecając z podłogi mały kłęb kurzu, pełzła wzdłuż zasilającego całą halę potężnego wału, który skrzył się od smaru i wirował jak wściekły.

W każdej chwili spodziewała się usłyszeć pełen zachwyty okrzyk „Jest tutaj!” albo poczuć zaciskające się na kostce palce. „Wyciągnijcie tę sukę!”. Spocone plecy mrowiły ją wyczekująco, a pierś falowała gwałtownie, gdy Savine kaszłała i krztusiła się wszechobecnym pyłem, ale z przygryzionym językiem rozpaczliwie brnęła przed siebie, usiłując nie poddać się strachowi i rozpacz.

Kiedy w końcu dotarła do otworu w ścianie, niemal

rozpląkała się z ulgi. Złapała się poszczerbionych cegieł, podciągnęła i wpadła do ciemnego tunelu. Wylądowała na brzuchu, nałykała się cuchnącej wody, która zalegała na dnie do wysokości kostek, wypluła ją i zwymiotowała. Było ciemno, tylko na skraju otworu majaczyły odblaski światła. Tunel pulsował łoskotem maszynerii i zniekształconymi przez echo krzykami tłumu. Z przodu zobaczyła mrugające światło. Ruszyła w jego stronę, mlaskając przemoczonymi butami w błocku i słysząc narastający z każdą chwilą klekot drewna. Coś się tam poruszało.

Jedno z ogromnych kół wodnych napędzających wał skrzypiało, turkotało i chrzęściło nieustannie, snopy światła przebijały się pomiędzy czarnymi szprychami, woda pieniała się pod nurzającymi się w rzece łopatkami i spadała rozbryzniętym deszczem lśniących kropeł z tych łopatek, które właśnie się wynurzyły.

Koło było dobre cztery razy wyższe od dorosłego człowieka i nie mogło być mowy o przedostaniu się na jego drugą stronę, ale pomiędzy jego poruszającymi się belkami i oślizłą od wilgoci ścianą tkalni była odrobina wolnej przestrzeni, za którą Savine dostrzegła szare dzienne światło i ledwie widoczny skrawek kamienistej plaży.

Odwróciła się i spojrzała do tyłu, w głąb mrocznego tunelu. Nikt jej nie ścigał, ale drzwi nie mogły stawiać oporu w nieskończoność. Robotnicy zaczną jej szukać, a jeśli ją złapią...

Zdoła się wśliznąć pomiędzy koło i mur? Czy to w ogóle możliwe?

W skupieniu przycisnęła język do podniebienia, próbując ocenić szerokość luki. A jeśli się w nią nie zmieści, to czy koło wciągnie ją pod wodę? Czy wtedy utonie? A może zostanie wciągnięta w mechanizm i rozerwana na kawałki? Albo jej głowa dostanie się pomiędzy koło i jego podpory i zostanie zgruchotana jak orzech? Czy grozi jej pocięcie, pokrojenie, pokawałkowanie i wykrwawienie się z setki drobnych ran, kiedy będzie bez końca kręcić się na kole? Przypomniała sobie rozpaczliwy krzyk strażnika, któremu tryby zmiażdżyły rękę.

Nie miała jednak wyboru.

Przytuliła się do ściany, zacisnęła zęby i dysząc ze strachu i wyczerpania, zaczęła powoli, pomalutku wysuwać jedno ramię za załom muru. Opuściła brudny but do wody i zaczęła macać w poszukiwaniu dna rzeki. Przemoczone halki lepiły jej się do drżącej nogi, którą zanurzyła do połowy uda, zanim stopa zapadła się w muł. Przesunęła się odrobinę w bok, przyciskając plecy do cegieł z całej siły, jakby od tego zależało jej życie.

Bo rzeczywiście zależało.

Rozpaczliwie – i bezskutecznie – usiłowała wciągnąć brzuch i zupełnie się rozpląszyć. W posiekanym szprychami koła świetle ścisnęła mocniej rękojeść miecza, z desperackim skupieniem przygryzła wargę i przeniosła ciężar ciała na zatopioną w wodzie nogę, po czym stopniowo, powoli zanurzyła drugą. Wolną ręką złapała halki w garść i przycisnęła do ciała, żeby nie wplątały się w koło i nie pociągnęły jej na pewną śmierć. Zabita przez własne ubranie przy próbie ucieczki z tkalni. Gdzieś tam na pewno krył się żart.

Zaparło jej dech w piersi, gdy wystająca z koła śruba zahaczyła o suknię na piersi, rozdarła haftowany materiał i omal nie wciągnęła jej pod młóćące wodę łopatkki. Mało brakowało, a straciłaby równowagę. Aż zaszczękała zębami ze zgrozy, wczepiwszy potrzaskane paznokcie w wykruszającą się spomiędzy cegieł zaprawę. W strugach wody przesuwiała się bokiem, z policzkiem przyciśniętym do ściany i prawie zupełnie zamkniętymi oczami. Halki kleiły jej się do nóg, kwaśny odór rzeki dławił ją w płucach, głowę rozsadzały jej stukot, turkot i łomotanie koła wirującego z bezrozumną złością.

W końcu wyminęła koło, zaskomlała rozpaczliwie i wpadła do wody. Zaczęła młócić wodę ramionami, szłochać, krztusić się, po trochu płynąć, po trochu brnąć na kolanach przez płyciznę, aż wreszcie na drżących rękach i nogach wypełzła na wilgotny kamienisty brzeg. W pierwszym odruchu miała ochotę ucałować ziemię – dopóki nie zobaczyła pokrywającej ją brudnej piany.

Podniosła wzrok i wierzchem dłoni otarła mokrą twarz.

Tuż obok pluskała rzeka, fioletowo-pomarańczowo-zielona

i upstrzona wielkimi plamami nienaturalnych kolorów ze znajdujących się w górze biegu farbiarni. Na powierzchni unosiła się masa śmieci i kożuch cuchnącej piany wzburzonej przez tuzin mieszających wodę kół łopatkowych. Na lewym brzegu, przy którym nurt był wolniejszy, znajdował się skrawek plaży z brunatnymi smugami martwych wodorostów znaczącymi poziom wody o różnych porach. On również był zawalony miejskim śmieciem – szmatami, kawałkami skór, połamanymi krzesłami, potłuczonym szkłem, zardzewiałym drutem oraz obiektami tak bardzo przegniłymi i spróchniałymi, że nie sposób było je rozpoznać: wymiociny udręczonej rzeki, rozdziobywane przez stada przemoczonych ptaków do złudzenia przypominających skrzydlate szczury.

Grzebiąca w śmieciach garbata kobieta wbiła w Savine dziki wzrok, zobaczyła miecz w jej ręce i czmychnęła, zabierając przerzucony przez zdeformowane ramię pękaty worek.

Savine chwiejnym krokiem wspięła się po kamienistej plaży nieco wyżej. Targane wiatrem przemoczone ubranie czepiało się jej i chłostało skórę. Musiała znaleźć jakąś kryjówkę. Brnęła przed siebie, odgarniając obwieszane szmatami gałęzie, oglądając połamane skrzynie, krztusząc się gnilnymi wyziewami rzeki. Muchy brzęczały nad padliną, ciałem świni, owcy albo psa, z którego zostało trochę brudnych kości i kłęb sierści, ale tuż obok coś wpadło Savine w oko: stary płaszcz bez jednego rękawa, z podszewką zwieszającą się jak wnętrze wyprute z ciała. Podniosła go z zachwytem, jakiego nie wzbudziłyby w niej nawet najmodniejsze jedwabie od adueńskich bławatników. Jedwabie nie ocaliłyby jej życia, a ten płaszcz mógł to zrobić.

Buty miała tak oblepione błockiem, że nikt by się nie domyślił, że kosztowały więcej niż przeciętny dom w tej okolicy, ale halki – brudne od niesionego przez rzekę świństwa, a po nasiąknięciu wodą ciężkie jak pancerz – mogły ją zdradzić. Próbowwała majstrować przy zapięciach zakrwawionymi palcami, ale ostatecznie musiała je poprzecinać mieczem i została na brzegu rzeki w samych klejących się do ciała



reformach. Gorsetu – choć rozdarty z przodu, ze sterczącym fiszbinem – nie dała rady zdjąć: nie mogła dosięgnąć sznurowania na plecach.

Narzuciła na ramiona ubłocony płaszcz, który nawet stara żebraczka uznała za bezwartościowy. Bijący od niego odór zgnilizny miał osobliwą chemiczną nutę, która dławiała w gardle, ale Savine i tak się ucieszyła – w tym okryciu nikt nie rozpoznałby w niej ikony mody, bywalczyni salonów i sal balowych, postrachu inwestorów i wynalazców, Savine dan Głokty.

W tej chwili niczego nie pragnęła tak bardzo, jak zagrzebać się w śmieciach i zniknąć – ale wiedziała, że po nią przyjdą. Znali ją. Znali jej ojca. Zdążyli już na pewno wyważyć drzwi do kantorka, znaleźli dziurę w podłodze. Pójdą jej krwawym tropem, prześledzą go przez halę, wśród maszyn, obok koła łopatkowego. Lada chwila ją znajdą.

Zebrała trochę zalegającego na plaży błota i rozsmarowała je na twarzy i krótko ostrzyżonej głowie. Zgarbiła się w sposób podpatrzony u tamtej nędzarki, a idąc, powłóczyła jedną nogą – nawet nie musiała udawać, że kuleje, bo gdzieś po drodze skręciła kostkę, która teraz coraz mocniej dawała jej się we znaki. Wszystko ją bolało. Otulona śmierdzącym płaszczem, z mieczem ukrytym za pazuchą, pokuśtykała przed siebie, zostawiając na kamieniach strzępy najświetniejszych gurkhulskich płócien wartych dwieście marek.

Przegramoliła się przez niski murek i wylądowała w zaułku na tyłach tkalni – tym samym, w którym wcześniej wypatrzyła uzbrojonych ludzi. Coś załaskotało ją w szyję: na miłość losu, kolczyki! I to te krzykliwe, jarmarczne, wybrane przez Lisbit. Zdjęła je i już miała wyrzucić, gdy przypomniała sobie, ile mogą być warte. Schowała je w rozdarciu podszewki gorsetu.

Łoskot maszynierii ucichł, zamiast niego było słycać odległy trzask pękającego metalu, dartych tkanin i tłuczonego szkła. Nie bez powodu nazwali się Destruktorami. Jeśli o nią chodziło, mogli zrównać z ziemią całe miasto, byle tylko zostawili ją w spokoju.

Przekradła się do węgła i wyrzała zza niego w kierunku bramy tkalni.

Przed bramą stał powóz. Wyglądał zupełnie tak samo, jak kiedy wsiadała do niego rano. Woźnica siedział na koźle z brodą wtuloną w szalik, jeden z koni zarzucał nerwowo łbem, uprząż cicho podzwaniała. Osobliwie zwyczajna, bezpieczna scena na pustej ulicy.

Savine jęknęła z ulgą i chwiejnym krokiem ruszyła w jego stronę.

## Zwykli ludzie

Lisbit ćwiczyła siedzenie prosto. Nie rozumiała, co takiego robi lady Savine, że jej szyja wygląda tak, jak wygląda; nie mogła przecież mieć w niej więcej kości niż przeciętny człowiek. Ale Lisbit, która obserwowała ją w każdej wolnej chwili, w końcu odkryje jej sekret. Na pewno należało wyprostować plecy i tak wypiąć pierś, żeby łopatki prawie się stykały, a potem unieść nie tyle samą brodę, ile całą szyję...

Przygarbiła się i rozruszała napięte ramiona. Do diaska, ależ to była ciężka robota. Otworzyła zegarek, dłuższą chwilę wpatrywała się w cyferblat, żeby odczytać godzinę, po czym zamknęła kopertę z tym cudownym pstryknięciem. Lady Savine trochę się ociągała, ale ona będzie na nią czekać, ma się rozumieć, taka jest przecież rola towarzyszki damy. Jeśli zajdzie potrzeba, będzie czekać, aż słońce zajdzie, ot co. Taka była lojalna. O wiele lepsza od tej brunatnoskórej suki, Zuri, która na przyzwoitych ludzi patrzyła z góry i wydawała im polecenia, jakby była od nich lepsza. No więc od Lisbit na pewno nie była lepsza i Lisbit zamierzała jej to udowodnić. Skoro już dostała swoją szansę, to zamierzała ją wykorzystać. Obciągnęła śliczny koronkowy mankiecik u rękawa ślicznej nowej sukienki i poklepała schowany nad sercem zegarek. Ależ on pięknie wyglądał zawieszony na tym ślicznym łańcuszku... Lisbit Buczyna, towarzyszka damy. Tak, to dobrze brzmiało. Zasłużyła na to, zasłużyła bardziej niż ta przeklęta Zuri. Zresztą co to w ogóle za imię? Zuri. Lalkę można tak nazwać, nie człowieka.

Zakichana brązowa suka, która wszystkim zdołała wmówić, że wszystko wie lepiej. A teraz jeszcze ściągnie tu swoich braci! W dodatku lady Savine powiedziała, jak gdyby nigdy nic, „Dalej, sprowadź ich do nas! Niech zamieszkają wśród nas, tutaj, gdzie

żyją porządni ludzie!”. Lisbit nie wierzyła własnym uszom. Tak jakby i bez tego nie było ich już w Unii wystarczająco dużo. Chciała być miła. Była życzliwa z natury, wielkoduszna – każdy by zaświadczył. Zawsze dawała miedziaki włóczęgom, jak tylko miała jakieś zbędne. Ale jakieś granice muszą być: mieszkańcy Unii mieli własne problemy i nie potrzebowali armii brunatnych łobuzów, którzy będą sprawiali dodatkowe kłopoty. Rozpanoszyli się po całej Adui! Były takie miejsca w mieście, w które porządny człowiek bał się zapuścić.

Wyjęła lusterko, żeby się w nim przejrzeć: lejący się z nieba żar fatalnie wpływał na puder. Cmokając z niesmakiem na widok swoich rumieńców, kątem oka dostrzegła za oknem kulejącego żebraka idącego prosto w stronę powozu, zwykłego żebraka w brudnym płaszczu z oberwanym rękawem i odsłoniętą patykowatą ręką. Pomyślała przez moment, że to może być kobieta, i skrzywiła się. Żebraczka była brudna, krótkie włosy miała pozlepiane gównem, krwią, diabli wiedzą czym jeszcze. Na dodatek wyglądała, jakby roznosiła choroby. Ostatnim, czego potrzebowała Lisbit, kiedy wróci lady Savine, była schorowana kaleka wyciągająca rękę po pieniądze.

Otworzyła okno i rzuciła ostrym tonem:

– Wypierdalaj stąd, ale już!

Żebraczka strzeliła zaczerwienionymi oczami w bok, a potem skręciła, wyminęła powóz i pokuśtykała dalej, jeszcze bardziej przygarbiona niż przed chwilą.

Sekundę później cały powóz się zachybotał, gdy drzwi z drugiej strony otworzyły się gwałtownie i do środka wparował obcy mężczyzna – wysoki, w roboczym ubraniu, z wielgachną plamą od sadzy na policzku. Patrzenie, jaki bezczelny! Żeby tak po prostu pchać się do powozu pani Savine!

– Wypad! – warknęła rozjuszona Lisbit.

Mężczyzna nie zamierzał jednak wysiąść, a za jego plecami tłoczyli się już kolejni: łypali złowieszczo przez okna, wyciągali po nią brudne łapska.

– Pomocy! – krzyknęła, kuląc się przy drzwiach. – Pomocy!

Ze złością kopnęła tego z brudną gębą. Trafiała go całkiem

konkretnie, prosto w szczękę, ale przy tej okazji któryś inny złapał ją za kostkę i wywlekli ją, wrzeszczącą, z powozu wprost do rynsztoka. Nagle odniosła wrażenie, jakby tonęła w obłapiającym ją i depczącym morzu dłoni, buciorów i wykrzywionych z wściekłości twarzy.

– Gdzie ona jest?

– Gdzie córka Kulasa?

– Gdzie ta kurwa Glokta?

– Jestem tylko pokojówką! – zapiszczała Lisbit.

Nie miała pojęcia, co się dzieje. To był napad! Rozbój! Ściągnęli woźnicę z kozła i kopali go, kopali, a on kulił się na ziemi i zakrwawionymi rękami osłaniał głowę.

– Damy ci jedną szansę...

– Jestem tylko...

Ktoś ją uderzył: tępy łomot, grzmotnięcie głową o chodnik, krew w ustach. Ktoś złapał ją za włosy i pociągnął do góry. Pękł jakiś szew, z naderwanego rękawa żakietu zwisały koronki. Ktoś grzebał w jej torebce, rozrzucał śliczne flakoniki z tuszami i pudrem, wdeptywał pędzelki w ziemię.

– Do środka ją! Zaraz się przekonamy, co wie!

– Nie! – zapiszczała. Łańcuszek zegarka zadrapał ją w twarz, gdy ktoś złapał go i zerwał. – Nie! – Śmiejąc się, powlekli ją przez bramę na teren zakładu. – Nie! – Próbowała złapać się słupka bramy, ale jeden z mężczyzn trzymał ją za lewą rękę, drugi za prawą, a trzeci za kostkę lewej nogi. – Nie! – Prawym butem bezradnie ryła ziemię. Szkoda, taki był ładny. Taka była dumna, że może go włożyć. – Jestem tylko pokojówką!

\* \* \*

– Przestańcie! – zagrział Kurzman. Odepchnął jednego mężczyznę stojącego mu na drodze, potem drugiego. – Przestańcie. – Złapał za gardło chłopaka, który z zapalem pchał łapę pod rozdartą spódnicę dziewczyny, i rzucił go na ziemię. – Zapomnieliście, kim jesteśmy? Nie jesteśmy zwierzętami!

Jesteśmy Destruktorami!

W momencie gdy zwrócili w jego stronę rozwścieczone twarze, nabrał wątpliwości, ale nie przestał na nich krzyczeć. Co innego mógł zrobić?

– Robimy to po to, żeby nigdy więcej nie być ich ofiarami. Nie po to, żeby to oni stali się naszymi ofiarami. Jesteśmy lepsi, bracia. Jesteśmy ponad to! – Gwałtownie gestykułując, próbował przemówić im do wyobraźni. – Robimy to, żeby dokonać Wielkiej Zmiany! Żeby zapanowała sprawiedliwość, pamiętacie?

Oczywiście znał prawdę – niektórym chodziło o sprawiedliwość, innym o zemstę, innym o zyski, a jeszcze innym po prostu o zadymę, a łączenie i mieszanie tych motywacji wcale nie było niemożliwe. W chwilach takich jak ta, gdy ludzie byli upojeni zwycięstwem i przemocą, nawet najlepsi z nich przechodzili czasem nawet na ciemną stronę. Awanturników było jednak dość, żeby jego przemowa nie rozwiała wszystkich wątpliwości.

– Chcesz ją wypuścić? – zapytał ktoś.

– Nikt nikogo nie wypuszcza. Zostanie osądzona razem z pozostałymi, uczciwie, jak należy.

– Jestem tylko pokojówką – stęknęła dziewczyna. Łzy złościły ślady w pudrze na jej policzkach.

Weszło dwóch innych mężczyzn, ciągnąc Vallimira. Miał podarte ubranie, zalane krwią i półprzymknięte oczy. Jeden z robotników napluł na niego.

– Skurwiel jebany!

Kurbman zasłonił Vallimira, podnosząc ręce w pojednawczym geście.

– Spokojnie, bracia. Nie róbmy rzeczy, których później mielibyśmy żałować.

– Ja niczego nie będę żałował! – odparował któryś.

– A ja nie jestem twoim bratem – burknął drugi.

– Jeśli nie masz jaj, żeby zrobić, co trzeba, to znajdzie się ktoś, kto je ma – odezwał się trzeci, tak jakby samo dołączenie do tłuszczy było aktem wielkiej odwagi.

Sprawy mogłyby się potoczyć źle, albo przynajmniej gorzej

niż dotychczas, gdyby nie grzechoczący łańcuchami więźniowie, którzy w tej samej chwili pojawili się na ulicy: mniej więcej dwa tuziny ludzi, eleganckie stroje w nieładzie, dumne twarze wstrząśnięte i poobijane, ślady łez na policzkach. Szli przykuci parami do długiego łańcucha, a prowadziło ich pięciu Destruktorów z zawieszonymi u pasa kajdanami domowej roboty. Ich dowódcę, idącego na czele starego drania o surowej twarzy, Kurberman znalazł ze spotkań Destruktorów, chociaż nie przypominał sobie, żeby gość kiedykolwiek zabierał głos.

– Bracie Kosmyku! – zawołał. Tamten gestem zatrzymał szurających nogami więźniów. – Zabieracie ich do sądu?

– Zgadza się, zabieramy.

– Mam dla was jeszcze dwoje.

Przyciągnął dziewczynę i nie bacząc na gniewne pomruki kompanów, przekazał ją mężczyźnie z blond brodą, który od razu zajął się przykuciem jej do łańcucha.

Do licha, pomyślał Kurberman, rozpoznając w jednym z więźniów Swoja, brygadzystę z trzeciej hali w hucie szkła Reslinga. Swoj nie podnosił wzroku, na policzku miał nabrzmiałą krwawą pręgę. To był porządny facet, zawsze dbał o swoich ludzi. Kurberman z trudem przełknął ślinę. Skucie pojmanej dwójki było najlepszym, co mógł dla nich zrobić. Gdyby teraz zaczął się domagać uwolnienia kogoś, mógłby przypłacić to życiem.

– Jestem tylko pokojówką – jęknęła dziewczyna, gdy obok niej przykuli Vallimira ze zwieszoną, zakrwawioną głową.

Kurberman odwrócił się do robotników.

– Mamy okazję stworzyć lepszy świat, bracia! – Głos mu się łamał. – Lepszy świat, rozumiecie? Ale musimy to zrobić, jak należy.

\* \* \*

Strażnik szarpnął łańcuch i Resling wraz z pozostałymi znów zaczęli maszerować – a właściwie powłóczyć nogami, potykając

się, pojękując i płacząc, pilnowani przez pół tuzina żylastych mężczyzn w roboczych ubraniach, z pałkami w brudnych dłoniach.

– Łajdaki – mruknął pod nosem.

Karlic dan Resling zamierzał dopilnować, żeby wszyscy ci dranie trafili na szubienicę.

Minęli wypaloną skorupę powozu. Szczątki pojazdu zasłały ulicę – kawałki drewna, szkło z wybitych okien. Resling się wzdrygnął, gdy coś dużego wypadło z okna na piętrze fabryki: ogromne biurko przekoziółkowało w powietrzu i roztrzaskało się na bruku, siejąc papierami na wszystkie strony. Dookoła stało paru ludzi: patrzyli, jeden jadł jabłko, drugi się śmiał. Miał piskliwy, histeryczny śmiech.

Wdarli się beczelnie na mostek – do jego biura znaczy, ale nazywał je mostkiem, bo lubił żeglarskie metafory.

– Wynoście się stąd! – Zwykle wystarczyło krzyknąć, żeby potulnie spuścili wzrok. – Wynocho, powiedziałem!

Tym razem nie podziałało.

Nie mógł w to uwierzyć – ani wtedy, ani teraz. Był przecież admirałem! Był Karlrikiem dan Reslingiem!

Wyciągnęli go zza biurka.

– Niech was wszystkich szlag trafi!

Powlekli go przez pokład jego własnego okrętu – znaczy przez halę fabryczną. Obrzucili go odpadkami, a potem z zapalem, jakiego nigdy przedtem u nich nie widział, zabrali się do niszczenia maszyn, do których obsługi zostali zatrudnieni!

– Bądźcie przeklęci!

Po tym wszystkim, co zrobił dla tych ludzi i tego miasta, przykuli go do tego przeklętego łańcucha razem z dwoma tuzinami innych bezbronnych nieszczęśników, niczym niewolników w jakimś zasranym Gurkhulu!

– Jak śmiecie?!

Tworzyli dziwną zbieraninę. Tego na przedzie, w rozdartym płaszczu, znał z widzenia. Jakiś prawnik? Obok szła żona tego idioty. Jak mu było...? Sirisk? Dziewczyna, którą ostatnią dołączyli do łańcucha, wyglądała raczej na służącą niż damę.



Mokre od łez policzki miała zaróżowione jak wiejska dziewczucha. Dokąd ich w ogóle zabierali? To było bez sensu. Wszystko było bez sensu.

Z okna na piętrze wychyliła się mocno umalowana kobieta i śmiała się, śmiała, rzucając w powietrze stopy papierów. Rachunki. Pokwitowania. Dokumenty notarialne. Fruwały jak niedorozwinięte konfetti, osiadały na bruku, wykaligrafowane zawijasy pokrywały się brudem.

To nie był zwykły strajk ani zwyczajne zamieszki, nie ograniczały się do jednej, dwóch fabryk w sąsiedztwie. Ulice zostały zarażone chorobą rewolucji! Była wszędzie. Świat zwariował.

Co by powiedziała jego najdroższa Seline, widząc swoje ukochane miasto w takim stanie? Seline, która wieczorami wydawała darmową zupę ubogim, karmiła tych przeklętych pasożytów. Może dobrze się stało, że grypa zabrała ją tamtej mroźnej zimy, mimo że nie żałował pieniędzy na lekarzy. Dobrze się stało. Tak właśnie mówili nad jej grobem.

W głębi mijanej przecznicy jacyś ludzie przewrócili wóz. Wysypujące się z niego beczki turlały się po ulicy.

– Łajdaki! – warknął pod adresem najbliższego ze strażników. Najbliższego Destruktora. Najbliższego zdrajcy. Najbliższego zwierzęcia. – Jestem Karlric dan Resling i dopilnuję, żebyście wszyscy...

Tamten uderzył go pięścią. Było to tak nieoczekiwane, że Resling zatoczył się do tyłu i klapnął ciężko tyłkiem na bruk, omal nie przewracając przy tym idącej przed nim kobiety. Siedział zaskoczony na ziemi i krwawił obficie z rozbitego nosa. Nikt nigdy go tak nie uderzył. Nigdy w życiu. I bardzo, bardzo mocno czuł, że nie chce, żeby przytrafiło mu się to powtórnie.

– Wstawaj – powiedział strażnik.

Resling wstał. Miał łzy w oczach. Co by sobie pomyślała jego najdroższa Seline, gdyby go teraz zobaczyła?

Był Karlrikiem dan Reslingiem. Był admirałem.

Był, prawda?

Nie był już tego taki pewien.

– Łajdaki – mruknął idący obok Condine mężczyzna.

Zabrzmiało to jak płaczące beczenie owcy. Facet kusił los.

– Przestań! – syknęła na niego zapłakana. – Tylko pogorszysz sprawę.

Z drugiej strony... Czy mogło być jeszcze gorzej? Minęła ich grupa mężczyzn: wykrzywione twarze, zaciśnięte pięści, pałki, siekiery. Krzyczeli, pohukiwali, wydawali zwierzęce dźwięki w niczym nieprzypominające słów, szczyrzyli do niej zębami, kłapali szczękami. Kuliła się w sobie, gdy mijali ją wzburzonym wirem. Łzy płynęły jej po twarzy przez cały czas, odkąd tamci ludzie kopniakami wyłamali drzwi herbaciarni, w której rozpowiadała ploteczki zasłyszane od Savine dan Glokty. Nie musieli ich wyłamywać. Mogli je otworzyć. Dzwoneczek przy drzwiach miał taki uroczy dźwięk.

Jej ojciec zawsze tracił cierpliwość, kiedy płakała. „Musisz być twarda, dziewczyno”, powtarzał. I wściekał się, jakby jej łzy były wymierzonym w niego nieuczciwym atakiem. Zdarzało mu się czasem zdzielić ją wtedy po łbie, ale od tych ciosów nie robiła się wcale twardsza, wprost przeciwnie. Jej mąż wolał natomiast stosować metodę dobrodusznego zaniedbania: myśl o tym, że mógłby zainteresować się nią na tyle, żeby ją uderzyć, była niedorzeczna. Ludzie, którzy przykuli ją do łańcucha, okazali jej więcej uwagi niż ktokolwiek inny od wielu lat.

Mijali właśnie stojącą w ogniu ogromną tkalnię. Skłębiony dym wzbijał się pod mroczniejące niebo, szyby pękały z hukiem, szkło sypało się na bruk, z pustych okien wylały jęzory płomieni, tłące się deszczulki i kawałki dachówek spadały na ulicę. Condine musiała zasłonić się ręką przed żarem, który osuszał łzy na jej twarzy równie szybko, jak się tam pojawiały.

Robotnicze powstanie stanowiło tło jednej z jej ulubionych powieści, Zagubionej wśród robotników, w której piękna córka fabrykanta zostaje ocalona z pożaru przez jednego z najbardziej nieokrzesanych pracowników jej ojca. Stronice przedstawiające

scenę, w której bohaterka wśród fabrycznej maszynerii ostatecznie ulega swojemu wybawcy, były wyjątkowo zaczytane. Condine szczególnie lubiła opis ramion tamtego mężczyzny, tak silnych, a zarazem tak delikatnych.

Wokół niej nie brakowało teraz silnych ramion, ale o delikatności nie było mowy. Jacyś ludzie usiłowali kopniakami wyważyć drzwi sklepiku. Inna grupa wносиła dywan z czyjegoś domu. Condine zerkała na boki zażawionymi oczami, kierowana jękiem, krzykiem, obłąkanymi dźwiękami. Wszędzie okropieństwa i potworności. Nie było w nich nic romantycznego.

Żebak w brudnym płaszczu ukradkiem przemykał na tyłach kolumny więźniów. Po co to robił? Przecież zmierzali prosto do piekła. Ba, już tam dotarli.

– Łajdaki – zaszlochał znowu ten mężczyzna.

– Cicho bądź! – warknęła na niego gniewnie.

Mężczyzna idący przed nią odwrócił się z marsową miną.

– Oboje się uciszcie.

\* \* \*

Colton odwrócił się znów plecami do mażącej się, skamlącej dwójki i pokręcił głową. Problem z bogaczami polegał na tym, że nie umieli sobie radzić z trudami życia. Brakowało im praktyki. Roztarł obolałą skórę pod kajdanami: chałupnicza robota, nieoszlifowane, łatwo ocierały ręce, ale Colton przywykł do niewygód.

Wcale nie chciał być nadzorcą, ale dawali płaszcz. Do tego posiłki, choć gówniane, i kasa, choć marna. Zresztą nie miał wyboru: zostałby nawet psem stróżującym, gdyby zaproponowali mu budę. Zasady są fajne, ale dopiero kiedy człowiek ma dach nad głową.

Minęli trzy leżące na ziemi skulone sylwetki. Podarte i zaplamione czerwone kurtki. Żołnierze. Jeżeli wojsko nie było w stanie powstrzymać tego szaleństwa, to jakie szanse miał

ktokolwiek inny?

Zawsze myślał, że zostanie tkaczem, jak ojciec. To był złoty wiek, niedługo po tym, jak Curnsbick opatentował swoją maszynę przędzalniczą i nowe fabryki zaczęły produkować przędzę tak tanio, jakby rozdawały ją niemal za darmo, nagle ogromnie wzrosło zapotrzebowanie na tkaczy. Odziani jak wielcy panowie dumnie przechadzali się po ulicach. Owszem, na przędzarzy przyszły chude lata, szkoda ich, ale to był ich problem.

A potem – mniej więcej w tym samym czasie, gdy Colton kończył praktyki zawodowe – pojawiło się mechaniczne krosno Masruda i w ciągu trzech lat tkacze podzielili los przędzarzy, czyli również zaczęli cienko prząść. Sytuacja stała się o tyle przykra, że wielu przędzarzy, zwabionych wielkimi pieniędzmi, przekwalifikowało się na tkaczy, po czym pieniądze nagle się skończyły.

I tak Colton został bez pracy. Przybył do Valbecku, bo wszyscy mu powtarzali, że tam zawsze jest jakaś praca – tyle że wszyscy inni wpadli na ten sam pomysł. Został więc nadzorcą. Ludzie patrzyli na niego jak na zdrajcę, ale on potrzebował tego płaszcza i tych posiłków. A teraz tkwił przykuty do łańcucha w towarzystwie bogatych drani. Na dodatek los spletał mu okrutnego figła: buntownicy ukradli mu płaszcz. To było nie w porządku – ale o tym, co naprawdę jest nie w porządku, najlepiej wiedzieli przędzarze.

Kiedy gramolili się na most, obszczał ich pies: ganiał jak opętany wokół zniszczonego wozu, z którego banda chłopców kradła skrzynki, szczekał na wszystkich i zarazem na nikogo. Kobieta za plecami Coltona cały czas pochlipywała. Ci bogacze naprawdę nie radzili sobie z trudami życia, nie mieli praktyki, ale zanosilo się na to, że teraz będą mogli poćwiczyć.

– Stać – zakomenderował pilnujący łańcucha Destruktor.

Kolumna więźniów zatrzymała się na moście. O dziwo, Colton stwierdził, że zna tego człowieka. Nazywał się Kosmyk, zdaje się, i dawno temu był tkaczem. Colton przypomniał sobie, jak Kosmyk i jego ojciec śmiali się z czegoś wspólnie na zebraniu

gildii, zanim ojciec zmarł i gildia się rozpadła. Od tamtej pory Kosmyk wyraźnie spochmurniał, ale to samo odnosiło się do wielu tkaczy. Głównie z powodu maszyny Masruda.

\* \* \*

Kosmyk podszedł do murku przy krawędzi mostu i spojrzął na rzekę.

Brudna i spieniona woda niosła śmieci i opalizujące plamy oleju. Często tu przystawał, dokładnie w tym miejscu, po śmierci żony. Patrzył na wodę. To lato nastąpiło tak upalne, że z trudem przychodziło uwierzyć, jak surowa była tamta zima.

Może to zimno ją zabiło, może głód, może grypa, a może po prostu wyciekły z niej resztki nadziei. Nie była w stanie się rozgrzać. Stawała się coraz bardziej i bardziej chora, aż pewnego razu się nie obudziła. Ich syn zmarł dwie noce później, miał osiem lat. Córka odeszła ostatnia, tuż przed odwilżą. Prawdę mówiąc, nie pamiętał ich za dobrze. Nie pamiętał, jak wyglądali za życia, za to dobrze zapamiętał ich po śmierci. Przez kilka nocy spał z nimi przez ścianę, czekając, aż ziemia odtaje. Kilka ostatnich wspólnie spędzonych nocy.

Pamiętał pogrzeb. Jeden grób, a i tak mógł mówić o szczęściu, że go dostał, tylu ludzi wtedy chowano. Żona na dnie, dzieci na górze, trochę tak jakby je tuliła. Patrzył w dół i myślał, że mają szczęście. Żałował, że nie kładzie się razem z nimi. Nie płakał. Nie umiał płakać. Grabarz położył mu dłoń na ramieniu.

– Powinieneś przyjść na spotkanie – powiedział. – Posłuchać Tkacza.

Pamiętał, jak się wtedy odwrócił i zobaczył mijających ich bogatych ludzi. Śmiali się z czegoś, ale wcale nie z niego i jego smutków. W ogóle go nie zauważyli. Jakby żyli w osobnym świecie.

To się zmieniło.

Obejrzał się na nich. Paru krwawiących mężczyzn, parę mażących się kobiet. Nie czuł litości. Niczego nie czuł. Od dawna

niczego nie czuł.

– Co robicie? – zapytał jeden z nich, taki z zakrwawionymi ustami. – Chcę wiedzieć, co...

– Zamknij się! – krzyknęła na niego zaczerwieniona dziewczyna w podartej sukience. – Zamknij, kurwa, ryja, ty pierdolona mendo!

Kosmyk przeniósł wzrok na gruby łańcuch. Nie popływaliby przykuci do niego. Wystarczyłoby zepchnąć z mostu pierwszą parę, ona pociągnęłaby za sobą resztę, prosto na dno. I byłoby po wszystkim.

Wiedział, że to nie byłaby sprawiedliwość, ale zastanawiał się, czy taka jej namiastka by mu nie wystarczyła.

Dwóch mężczyzn goniło trzeciego, śmiali się, okładając go kijami, a kiedy się przewrócił, siłą postawili go na nogi i bili dalej. Jakiś żebrak przycupnął w bramie niedaleko krańca mostu i przyglądał się Kosmykowi błyszczącymi oczami.

\* \* \*

Prowadzący kolumnę więźniów stary Destruktor spojrział prosto na nią. Savine cofnęła się za róg i ciasniej otuliła cuchnącym płaszczem.

Nie odważyła się wejść na most, gdzie byłaby bezbronna i miałaby odciętą drogę ucieczki. Poszła za więźniami tylko dlatego, że nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. A tak, mając ich przed sobą, czuła przynajmniej, że nie jest sama. Nie mogła im jednak pomóc, tak jak oni nie mogli pomóc jej. Dla nikogo nie było pomocy.

Jej ciało rozpaczliwie chciało biec, mięśnie aż bolały z nieustannego napięcia, ale nie miała dokąd uciekać. Mogła co najwyżej przemykać uliczkami zasłanymi kawałkami papieru i zagrodzonymi przewróconymi wozami, zwłokami zaszlachtowanych koni i zepsutymi maszynami. Ukrywając mieczyk pod śmierdzącą szmatą płaszcza, rozglądała się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, dziury, miejsca, do którego

szaleństwo jeszcze nie dotarło i w którym mogłaby na chwilę przysiąść, pomyśleć, zrozumieć, co się stało, znaleźć wyjście z tej sytuacji. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że obłęd jest wszechobecny, rozprzestrzenił się jak zaraza, jak pożar buszu. Całe miasto postradało rozum. Cały świat.

Wzdrygnęła się, słysząc kobiecy krzyk, szybko zdławiony. W głębi przecznicy dostrzegła poruszające się sylwetki: ktoś pchnął kogoś do rynsztoka, ktoś kogoś kopał, noga w pończosze, obtarty but.

– Pomocy! Pomocy!

Mogła coś zrobić. Miała miecz. Zamiast tego tylko przyśpieszyła kroku, a krzyk kobiety szybko utonął w ogólnym zgiełku, wśród innych okrzyków, hałasów i szczekania psów. Słyszając jakiś trzask, zadarła głowę... i odskoczyła pod ścianę. Na sterczącym ze ściany budynku stalowym żurawiu wisiał człowiek: dobrze ubrany, ze związanymi rękami i siwymi włosami w dzikim nieładzie. Fabrykant? Inżynier? Jakiś jej znajomy, z którym wspólnie żartowała na jednym z przyjęć?

Pokuśtykała dalej ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nawierzchnia się zmieniała: nowy chodnik ustąpił miejsca staremu brukowi, potem ziemi usłanej słomą, w końcu pożłobionemu koleinami błocku. Im dalej od rzeki i pobudowanych nad nią fabryk, tym uliczki stawały się węższe, a zabudowa ciaśniejsza, aż w końcu Savine przeciskała się cuchnącymi zaułkami pozalewanymi odpadkami z piwnic. Na wysokości kostek miała małe piwniczne okienka, na sznurach nad jej głową żaloszne skrawki garderoby powiewały jak pęki obłąkanych flag, a na pogrodzonych kawałkach ulic świnię pochrząkiwały, kwiczały i ryły w śmieciach.

Ciemność jeszcze bardziej piekielna niż zwykle zstąpiła na miasto, gdy słońce zaszło i dym z pożarów rozplątał się po ulicach. W oparach pojawiały się i znikwały jakieś kształty, widma w gęstym jak zupa półmroku. Kompletnie zabłądziła. Valbeck przemienił się w labirynt potworności, z którego nie było ucieczki. Czy to naprawdę był ten sam świat, w którym przewodniczyła spotkaniom Towarzystwa Słonecznego

i pstryknięciem wachlarza wpływała na losy ludzi?

Nagle ludzie przed nią rozpierzchli się jak ławica ryb, piszcząc ze strachu. Nie miała pojęcia, przed czym uciekają, ale panika okazała się bardziej zaraźliwa niż dżuma i ona również rzuciła się do ucieczki, bez namysłu, donikąd. Przyśpieszony oddech świzzczał jej w zdartym gardle, cuchnący płaszcz plątał się wokół zdartych kolan. Zobaczyła znikającego w zaułku człowieka i pobiegła za nim, po czym mało się z nim nie zderzyła, gdy zatrzymał się odwrócić. W ręce ścisnął odłamaną nogę od krzesła.

– Cofnij się!

Na jego twarzy malował się taki obłęd, że ledwie przypominał człowieka. Popchnął Savine. Upadła, przygryzła sobie język i omal nie pocięła się własnym mieczem, przetoczywszy się do rynsztoka. Ktoś przebiegający obok kopnął ją w żebra, potknął się i przewrócił. Podniosła się i pokuśtykała dalej, krzywiąc się z bólu.

Czy to był naprawdę ten sam dzień, w którym przy śniadaniu siedziała przy nazbyt ozdobnym stole pani Vallimir i wymieniała uprzejmości z jej gośćmi? Ach, co za aromatyczna herbatka! Kto jest jej importerem? Czy to możliwe, żeby zaledwie przed godziną dyskutowała z pułkownikiem o cenie dzieci? Rozmyślała o swoim ślicznym pasie do miecza, arcydziele rzemiosła? Pułkownik i jego żona zostali tymczasem najprawdopodobniej zamordowani, a Savine dan Glokta stała się wspomnieniem, dawno zasłyszana i mało prawdopodobną bajeczką.

Jeżeli los pozwoli jej wyjść cało z tego koszmaru, stanie się lepsza. Będzie dobrym człowiekiem, jakiego zawsze tylko udawała. Koniec z hazardem. Koniec z ambitną żmiją. Jeśli tylko los ją oszczędzi. Zdała sobie sprawę, że powtarza te słowa z każdym skamlącym oddechem.

– Oszczędź mnie... Oszczędź mnie... Oszczędź mnie...

Jak wiersz. Jak modlitwa. Śmiała się z Zuri, kiedy ta mówiła o bogu. Jak ktoś tak mądry mógł wierzyć w takie głupstwa? A teraz sama próbowała uwierzyć... i żałowała, że nie potrafi.



– Oszczędź mnie...

Weszła na nierówno wybrukowany plac, przy którego jednej krawędzi stał płonący budynek: ogień tryskał zza czarnych kolumn, kłęby popiołu opadały z nieba na tle krwawego zachodu słońca. Na środku placu stał stary posąg Haroda Wielkiego. Małe sylwetki zebrały się wokół postumentu i okładały Haroda młotami po nogach. Inne postaci zarzuciły mu sznury na ramiona i usiłowały go obalić. Wszystkiemu przyglądała się triumfująca tłuszcza z pochodniami w dłoniach, wrzeszcząca z radości i gniewu, miotająca ochrypłymi głosami przekleństwa. Skrzypce i piszczałka rzępoliły wesoło, jakaś kobieta tańczyła w rytm ich melodii, zarzucając obszarpaną spódnicą i potarganymi włosami. Był też mężczyzna: gruby i całkiem nagi człapał ciężko dookoła. Panowała atmosfera obłąkanego karnawału.

Savine stała i patrzyła. Wyczerpanie i rozpacz już się jej nie imały. Była brudna jak świnia, spragniona jak pies i prawie chciało jej się śmiać. Albo płakać. Albo poddać się i dołączyć do tancerzy.

Oparła się ciężko o ścianę, usiłując nabrać tchu i zebrać myśli. Jazgotliwa muzyka nie ułatwiała jej zadania.

Sylwetki, czarne na tle płomieni, drżące w ich żarze. Wysoki mężczyzna w cylindrze, wskazujący przed siebie wyciągniętą ręką. Krzyczał coś.

\* \* \*

– Obalić go! – zagrzemiał Spopiel.

Był przecież królem, a ten plac był jego królestwem. Nie zamierzał tolerować innych władców w swoim państwie.

– Obalić go!

W swoim czasie, kto wie, może każe tu postawić nowy posąg – przedstawiający jego samego, w kradzionym cylindrze, w którym prezentował się naprawdę niekiepsko.

Spopiel niczego się nie bał. Im dłużej to powtarzał – sobie

i innym – tym bardziej prawdziwe były to słowa. Co innego Zagon, ten bał się wszystkiego; chował się z płaczem w szafie, gdy mężczyźni odwiedzali jego matkę. Spopiel nie cierpiał tego kulącego się, wiecznie zestrachanego mazgaja, dlatego pozbył się go jak wąż pozbywa się starej skóry. Spopiel niczego się nie bał.

Uśmiechnął się szeroko na widok zataczających się tancerzy w różnych stadiach roznegliżowania, wychłostanych i upokorzonych.

– Może należałoby powiesić któregoś z nich?! – wykrzyknął jeszcze głośniej niż przed chwilą, żeby wszyscy widzieli, że niczego się nie boi. – Dać pozostałym nauczkę!

– A nie powinniśmy poczekać na Sędziego? – zasugerował Ramiarz.

Spopiel przełknął ślinę. Niczego się nie bał, ale Sędzia była... inna. Nie tylko sama była szurnięta, ale na dodatek potrafiła innych doprowadzić do szaleństwa. Tak jakby ona była zapalką, a oni podpalką. I nigdy nie było wiadomo, co myśli. Mogła się zachwycić tym, co zrobił z placem, ale równie dobrze mogła to uznać za przejaw bezguścia. Wyobrażał sobie, jak te czarne oczy na niego patrzą, a spomiędzy zębów wysuwa się czubek języka. „Nie uważasz, Spopiel, że kurewsko bez gustu ci to wyszło?”, tak by właśnie powiedziała. Wszyscy spojrzeliby na niego, a jemu zaschłoby w gardle, kolana zaczęłyby mu się trząść, zupełnie jak Zagonowi, kiedy chował się w szafie.

– Na kogo?! – wrzasnął. Strach, jak zwykle, doprowadzał go do białej gorączki. Złapał Ramiarza za gors przetartej marynarki; frajer nie miał dość rozumu, żeby ukraść porządny łach któremuś z wyelegantowanych klientów. – To ja tu, kurwa, rządę! To mój plac! Rozumiesz, kutasie?

– Jasne, jasne, rozumiem, to twój plac.

– No właśnie! I będę na nim palił, co zechcę! – Spopiel wspiął się na usypany z papierów kopiec i jednym ramieniem objął nieszczęśnika przywiązanego do pala w samym jego środku. – Będę na nim palił, kogo zechcę! – Podniósł trzymaną w drugiej ręce pochodnię. Ogień w ciemności dodał mu odwagi. – Jestem

królem tego jebanego placu, rozumiesz?

Przejechał dłonią po zwieszanej bezwładnie głowie nieszczęśnika, a potem wytarł rękę – we włosach tamtego pełno było wina i krwi – o przód jego zakrwawionej koszuli. Zeskoczył z papierowego szańca, wyrwał Ramiarzowi butelkę i pociągnął solidny łyk. Alkohol też dodawał mu odwagi. Kiedy się napił, czuł się tak, jakby Zagon był hen, daleko stąd, i jego szafa też, i nawet Sędzia.

Z uśmiechem powiódł wzrokiem po swoim dziele. Jeszcze nie zdecydował, czy spali tego drania. Do tej pory myślał, że nie, ale gdy zapadł zmrok, doszedł do wniosku, że płonący człowiek będzie się świetnie prezentował.

\* \* \*

– Pomocy... – wyjącał Alingham.

Nie miał mu kto pomóc. Wszyscy powariowali, wszyscy. Uśmiechy najeżone połyskującymi zębami, oczy pałające bezlitosnym ogniem... Ci ludzie przypominali diabły. Byli diabłami.

Kiedy wywlekli go z biura, był przekonany, że straż miejska go uratuje. Kiedy przywiązywali go do pała, był pewien, że inkwizycja przybędzie mu na odsiecz. A gdy zrobiło się ciemno i zamieszki przerodziły się w niszczycielską orgię, wciąż miał nadzieję, że lada chwila wojsko wmaszeruje na plac i położy temu kres.

Nikt jednak nie przyszedł, a sterta dokumentów prawniczych, rysunków inżynierskich, oficjalnych obwieszczeń, sprośnych rycin i połamanych mebli z biur przy placu sięgnęła mu do wysokości ud.

Stos.

Nie spodziewał się, żeby naprawdę go podpalili. Nie, na pewno nie mogli mieć takiego zamiaru. Prawda, że nie mogli?

Zastanawiał się wcześniej, czy otworzyć biuro w takiej szemranej okolicy – ale jeśli inżynier miał być traktowany

poważnie, musiał mieć biuro, a czynsze w lepszych dzielnicach były wprost astronomiczne. Mówili mu, że Destruktorzy dostali surową nauczkę i zostali spacyfikowani, a Podpalacze to tylko plotka rozpowszechniana przez marudnych pesymistów, mająca zaszkodzić miastu. Zwracali jego uwagę na nowy i na wskroś nowoczesny oddział Valinta i Balka. Wspominali coś o gentryfikacji.

A teraz ogień buchał z okien nowego i na wskroś nowoczesnego oddziału Valinta i Balka, płatki popiołu i płonące promesy opadały wolno na plac, a z cienia wyroili się Podpalacze: obłąkańcza armia obskoczyła go z pochodniami i latarniami i zaczęła harcować wokół niego. Ktoś go spoliczkował i śmiał się przy tym, śmiał. Dlaczego go tak nienawidzili? Przecież dzięki niemu świat stał się lepszy. Bardziej wydajny. Niezliczone drobne ulepszenia maszynierii i usprawnienia procedur w kilkunastu fabrykach. Tak się starał, tak pracował nad reputacją pilnego pracownika... Dlaczego go nienawidzili?

– Co za dzień! – krzyczał ktoś. – Nareszcie nastąpiła Wielka Zmiana!

Alingham poczuł zapach dymu i zaczął się rozpaczliwie rozglądać, przerażony, że to jego stos zaczyna się palić – ale nie. W załzawionych oczach mieniły mu się dziesiątki ognisk.

– Pomocy... – wymamrotał do nikogo.

Wystarczyłaby jedna zbłąkana pochodnia. Przyniesiony wiatrem tłący się papierek. Przypadkowa iskra. Im dłużej się to ciągnęło, tym większa dzicz go otaczała i tym bardziej prawdopodobna stawała się jego zagłada.

Jedna kobieta rozdarła na sobie sukienkę, druga połała jej obnażone piersi winem, a potem jakiś mężczyzna wetknął między nie głowę jak świnia ryj do koryta – a wszyscy śmiali się i wrzeszczeli histerycznie, jakby świat miał się jutro skończyć. A może już się skończył? Obok niego przemknął rzępolący skrzypek, fałszując niemiłosiernie. Ze skrzypiec zwisały pozrywane struny.

Alingham zamknął oczy. To wszystko wyglądało jak sceny

z upadku Aulcus, ten sam chaos i rozpusta na ulicach. Zawsze wyobrażał sobie cywilizację jako maszynę: sztywny, odlany z żeliwa korpus, wszystko przynitowane we właściwych miejscach... Teraz jednak widział, że w rzeczywistości jest delikatna i ulotna jak welon panny młodej, jak wąż tkanina, której wszyscy zgadzają się nie tykać, choć można ją zerwać w okamgnieniu. A tuż pod nią czyha piekło.

– Wyżej, łajdaki! Wyżej sypcie! – zaryczał ten, którego nazywali Spopielem, wódz Podpalaczy, władca demonów, tymczasowy Glustrod tego placu.

Mężczyźni i kobiety obrzucali Alinghama papierami, które trzepotały, zwijały się i wirowały unoszone gorącymi prądami powietrza.

– Pomocy... – wyszeptał do nikogo.

Na pewno przyjdą. Tak. Straż miejska. Inkwizycja. Wojsko. Ktoś na pewno przyjdzie. Jak mogliby nie przyjść?

Patrząc na rosnącą mu wokół nóg stertę papieru, był jednak zmuszony przyznać, że mogą nie zdążyć.

– Wielka Zmiana! – wrzasnął ktoś i zarechotał jak wariat. – Co za dzień!

\* \* \*

– Co za dzień! – wrzasnął zezowaty skurczybyk.

Mally nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię, ale zawsze miała go za drania, jednego z tych łajdaków, którzy zagląдают ludziom do okien w poszukiwaniu czegoś, co mogliby ukraść.

– Jesteśmy wolni! – wykrzyczał. – Wolni, kurwa!

Mally chciała być wolna. Kto by nie chciał? Tak... zasadniczo. Bo to piękny sen – biegać z rozpuszczonymi włosami wśród kwiatów w ogrodzie. Nie chciałaby jednak być wolna od pobierania pensji; próbowała, ale okazało się to przykre jak diabli. W ogóle to właśnie przez to zaczęła się kurwić. Właściwie nikt jej do tego nie zmuszał, po prostu wybór między

kurwieniem się a głodowaniem to nie był żaden wybór.

Wyważyli drzwi knajpy i wywlekli z niej różnych elegancików i dżentelmenów, a potem kazali im tańczyć ku ucieście wszystkich w świetle płonącego banku – ubranym albo rozebranym, zależy, jak się akurat trafiło. Jeden zażywny starszy pan dreptał nieszczęśliwie wokół stosu – w kapeluszu na głowie, za to ze spodniami opuszczonymi do kostek. Inny klient – chyba prawnik, zdaniem Mally; znała go, stale nawijał o dobroczynności i lubił zasłaniać twarz, kiedy robiła mu laskę – został rozebrany do rosołu i wychłostany tak, że krwawe pręgi na owłosionych plecach lśniły w blasku płomieni.

Musiała przyznać, że oglądanie płasających klientów stanowi miłą odmianę, i prawdę mówiąc, w dupie miała to, że bank się spali, ale trochę się niepokoila o to, kto zapłaci za wyważone drzwi. A temu zmartwieniu towarzyszyło inne, poważniejsze: jeżeli spalą wszystkich klientów, kto jutro zapłaci za cokolwiek?

– Wielka Zmiana! – Zezowaty skurwiel złapał ją za rękę (mocno, aż zabolalo), szarpnął i omal jej nie przewrócił. To zabawne, że ilekroć faceci zaczynali pokrzykiwać o wolności, nigdy nie mieli na myśli wolności dla dziewczyn. – Co za dzień, hę?! – wrzasnął jej prosto w twarz, zionąc cuchnącym oddechem.

– Pewnie. – Uśmiechnęła się i wyrwała z jego uścisku. – Wielka Zmiana.

Tylko czy aby na pewno była to zmiana na lepsze? To też niepokoilo Mally. Może kiedy jutro obudzi się z rana, świat znormalnieje, a przy okazji ktoś jej naprawi wyłamany zamek. Miała poważne wątpliwości. Ale czy mogła zrobić coś innego niż uśmiechać się do końca i mieć nadzieję na najlepsze? No, w tym przynajmniej miała sporą praktykę.

Zauważyła, że Spopiel się jej przygląda. Poczula, że musi zrobić coś okrutnego, pokazać mu, że jest jedną z nich. Wystawiła obutą nogę i podcięła poruszającego się niezdarnie rozebranego prawnika. Upadł i poturlał się po ziemi, a wtedy wskazała go palcem i zaniosła się obłąkańczym śmiechem.

Wcale jej się to nie podobało, ale wybór pomiędzy

krzywdzeniem innych i byciem krzywdzoną to nie był żaden wybór. Wiedziała o tym, bo wystarczająco często lądowała na bardziej gównianym końcu tej huśtawki.

\* \* \*

– Wstawaj, świnio! – warknął ktoś.

Randock chwiejnie dźwignął się z ziemi, trzymając się za bok. Próbował jednocześnie tańczyć i zasłaniać się ręką. Nigdy nie umiał tańczyć, nawet ubrany, a teraz był wykończony, mimo nagości pocił się jak świnia, a stara znajoma – zgaga – paliła go w gardle. Tyle że chwilowo zgaga była najmniejszym z jego zmartwień.

To chyba ta dziewczyna, Mally, go podcięła. Tak przynajmniej mu się wydawało. Teraz wytykała go palcami i zanosila się jazgotliwym śmiechem. Nie rozumiał tego. Przecież często jej pomagał, wspierał ją finansowo, z dobroci serca. Właśnie dlatego tu przychodził, żeby pomagać tym biednym dziewczynom, które w ciężkich czasach zostały zmuszone do uprawiania rozpusty. A skoro pragnęły wyrazić za to – zupełnie naturalną – wdzięczność, nie chciał ich poniżyć poprzez odmawianie. Miał wyrobione sumienie społeczne. A one co, niewdzięczne suki? Tak mu się odpłacały? Pierdolone, brudne kurwy! Wszystkie, co do jednej!

Człapał dookoła hałdy dokumentów piętrzącej się wokół nieszczęśnika w tanim garniturze, przywiązanego do pala niczym jakiś heretyk przez fanatyków z dalekiego południa. Może dokumenty prowadzonych przez niego spraw też znajdowały się na tym stosie, przeznaczone do spalenia. Co za strata. Co za głupota! Poświęcił życie prawu. To też była z jego strony dobroczynność. Jak on harował na rzecz swoich klientów! Jaki był sumienny! Trafiliście do Randocka? Jesteście w dobrych rękach! Na tym właśnie zbudował swoją reputację. Z tego zrodziła się świetnie prosperująca kancelaria Zalev, Randock i Crun. Oczywiście Zalev już od paru lat nie żył, zmarł

na grypę tamtej mroźnej zimy, ale Randock nie zamierzał tylko z tego powodu inwestować w nową tabliczkę. A Crun zajął się prawem patentowym: w dzisiejszych czasach na patentach naprawdę nieźle się zarabiano.

Zawsze powtarzał, że papier i atrament mogą obalać góry, jeśli tylko człowiek ma dość czasu i odpowiednie koneksje w sądzie. Nie istniało nic potężniejszego niż prawo! A teraz okazywało się, że jednak ogień jest od niego silniejszy. Samo prawo, pozbawione skutecznych mechanizmów egzekucji, było warte tyle, co ludzkie tchnienie.

Wzdrygnął się, gdy część dachu banku zawaliła się i ze środka buchnęły płomienie i snopy iskier. „Nigdy nie narażaj się Valintowi i Balkowi”, powiedział mu Zalev w dniu, gdy został prawnikiem. Nigdy. Na miłość losu, jeżeli nawet ich – posiadaczy takiego majątku, powierników tylu tajemnic i dzierżących tak wielką władzę – można było spalić, to gdzie szukać azylu?

Ogień sięgał już wąskiego budynku, w którym mieściły się biura Randocka. Kancelaria była całym jego życiem. Zbudował ją własnymi rękami – to znaczy własnymi, a także rękami Zaleva i Cruna, ale jednak głównie własnymi, bo przecież Zalev zmarł, a Crun skupił się na prawie patentowym.

Zadyszany i zasapany zatrzymał się, jęknął, pochylił i wsparł dłonie na kolanach. Potworne rzępolenie trwało, kurwy wytykały go palcami, śmiały się i piły. Co za niesprawiedliwość! Przecież przychodził im pomagać! Był ich dobroczyńcą. Ich mecenasem. Zastępował im ojca... no, może raczej życzliwego wuja. Wszyscy go kochali. A teraz sztychili z niego, każąc mu człapać w kółko na golasa jak smutnemu niedźwiedziowi, którego widział kiedyś w objazdowym cyrku.

Z drugiej strony mogło być gorzej. To on mógł tkwić przywiązany do pala, obsypany zewsząd prawniczą podpałką. Nakrył usta dłonią, usiłując przełknąć zgagę.

Ktoś go uderzył. Randock poczuł ogniste smagnięcie na pośladkach i zakwilił z bólu.

– Proszę! – wystękał, znów rozpaczliwie zasłaniając się ręką. – Błagam!



Jakiś paskudny zezowaty kurdupel łypał na niego okiem. Trzymał w ręce bicz.

– Tańcz, spasiony wieprzu! – warknął. – Bo wrzucimy cię do ognia!

Randock zaczął tańczyć.

\* \* \*

– Co za dzień! – wydarł się Ćma. W końcu przyszła Wielka Zmiana, świat został wywrócony do góry nogami, ludzie, którzy przez całe życie byli na dnie, nagle znaleźli się na szczycie, szumowiny stały się wielkimi panami, wszystko, o czym Ćma marzył, lecz co było dla niego niedostępne, nagle znalazło się na wyciągnięcie ręki. Kto go teraz miał powstrzymać? – Co za dzień!

I jeszcze raz smagnął prawnika batem, tym razem po udach, aż się spaślak zachwiał, potknął i osunął na kolana. Spaślak, który parę dni wcześniej, gdy Ćma poprosił go o jałmużnę, nawet na niego nie spojrzał. Potraktował go jak robaka. A teraz kto był robakiem, co? Znał ich wszystkich. Widział ich wszystkich, nawet kiedy oni go nie dostrzegali. Starannie rachował wszystkie zniewagi, a dziś nastał dzień zapłaty.

– Tańcz, spasiony wieprzu!

Kiedy prawnik próbował wstać, Ćma kopnął go w szczękę i przewrócił, a potem odrzucił bat, złapał oburęczny młot i wrócił do obtłukiwania posągu.

– Wal się! – warknął. Król jakiś, wielki pan. Też coś. – Teraz już nie taki wielki!

Odłupał kawałek napisu. Nie miał pojęcia, co oznacza. Po Wielkiej Zmianie litery staną się niepotrzebne.

– Dawaj to! – wyrwał butelkę z ręki Ramiarza, który właśnie próbował się napić, a teraz tylko ochlapał sobie wódką tę głupią czapkę.

– Ty draniu. – Ramiarz otarł twarz.

Ćma tylko się roześmiał i pociągnął łyk. Zobaczył stojącą

w drzwiach dziewczynkę. Przyglądała mu się: mała brązowoskóra dziewczynka z wielkimi ciemnymi oczami i śladami łez na policzkach.

Wzniósł butelkę w geście triumfu.

– Co za dzień!

\* \* \*

Hessel odwróciła się plecami do ogarniętego obłędem placu. Za bardzo ją przerażał. Szurając nogami, cofnęła się w głąb bramy, gdzie leżał ojciec.

– Tato! – wyszeptała, ciągnąc go za rękę. – Zbudź się, proszę!

Zadrżał, kiedy nim szarpnęła, ale się nie obudził. Jedno oko miał na wpół otwarte, spod powieki wyzierał skrawek białka. Ale się nie obudził.

Kiedyś, na spacerze po ogrodzie w Bizurcie, gdzie cesarz Solkun posadził ponoć po jednym okazie wszystkich drzew z całego świata, tata powiedział jej, że zawsze warto mieć przy sobie chusteczkę, żeby móc się ogarnąć, obmyć i schludnie prezentować. Wyjęła więc chusteczkę, polizała ją i spróbowała zetrzeć mu krew z czoła, ale im więcej jej ścierała, tym więcej się jej pojawiało. Cała chusteczka zrobiła się od niej czerwona, a szpakowate włosy ojca szczeniały.

– Boże... – wyszeptała, sama nie wiedząc, czy klnie, czy się modli. Mimo usilnych starań kapłanów nie nauczyła się rozróżniać jednego od drugiego. – Boże, boże, boże...

Tata mówił, że tu im będzie lepiej. W Dawah nie byli już bezpieczni. Najpierw żołnierze cesarza zostali wypędzeni z miasta, zapanował chaos i zrobiło się źle. Potem pojawili się żercy, żeby zaprowadzić porządek, i to było o wiele gorsze. Widziała jednego z nich, na głównej ulicy, o zachodzie słońca. Emanował przerażającą poświatą. Wciąż widywała go w snach: czarne oczy, pusty uśmiech, krew na pięknej szacie. Uciekli więc z Dawah. Tata mówił, że tu im będzie lepiej.

– Boże, boże, boże...

Ale wcale nie było lepiej. Nie było pracy. Ludzie pluli na nich na ulicy. Szli z miasta do miasta, a resztkę pieniędzy, której nie ukradli im żeglarze podczas rejsu, pomалу się wyczerpywała. Usłyszawszy, że w Valbecku jest praca, dla bezpieczeństwa dołączyli do tuzina innych Kantyków i razem z nimi ruszyli w drogę. Odbyli ciężką podróż tylko po to, żeby stwierdzić, że w Valbecku także nie ma pracy – nawet dla białych twarzy, o śniadych nie mówiąc. Ludzie patrzyli na nich jak na szczury.

A potem Valbeck zwariował. Nie rozumiała, co się stało. Nie wiedziała nawet, kto i dlaczego uderzył tatę.

– Boże, boże...

Kapłani mówili, że jeżeli będzie się modliła codziennie rano i wieczorem i zachowa wewnętrzną czystość, będą jej się przydarzały dobre rzeczy. Modliła się co wieczór i co rano. Czyżby robiła to niewłaściwie? A może była zepsuta od wewnątrz i dlatego bóg ją pokarał?

– Boże... – jęknęła, potrząsając ramieniem ojca. – Proszę, tato, zbudź się!

Nie wiedziała, co robić. Nikogo tu nie знаła. Zabrali ojcu buty. Buty, na boga! Jego bosa stopy oklapły na boki. Dotknęła jednej z nich drżącą ręką. Miała łzy w oczach.

– Boże – wyszeptwała. Co powinna zrobić?

Usłyszała chrobot kroków, ktoś przekradł się wzdłuż ściany i stanął w drzwiach: zgarbiony żebrak w obszarpanym płaszczu bez jednego rękawa patrzył z lękiem na plac, gdzie ciemne sylwetki wiły się i zataczały przy dźwiękach zwichrowanej muzyki.

Hessel przykucnęła, szczerząc zęby. Nie wiedziała, czy ma walczyć, czy płakać. Kapłani mówili, że czasem trzeba się zdać na łaskę obcych.

– Proszę... – powiedziała. Wyszło jej z tego rozpaczliwe jęknięcie.

Żebrak obrócił się gwałtownie. Był kobietą, jasnoskórą kobietą z ogoloną głową i oczami o obłąkanym spojrzeniu. Strużki krwi zakrzepły jej na głowie, z zaczerwienionego oka spływał czarny tusz.

– Mój tata... nie chce się obudzić – dodała Hessel, nieporadnie wypowiadając obce słowa.

– Przykro mi. – Żebraczka przełknęła ślinę, jej zakrwawiona szyja drgnęła. – Nic na to nie poradzę.

– Proszę!

– Musisz być cicho! – syknęła żebraczka, zerkając trwożliwie w stronę placu.

– Proszę! – zawołała Hessel, łapiąc ją za obnażone ramię. – Proszę! Proszę! – powtarzała coraz głośniej. Nie mogła się powstrzymać. Nie była już nawet pewna, czy mówi w języku Unii, czy po kantycku.

Żebraczka próbowała się oddalić, ale tylko pociągnęła za sobą wczepioną w jej rękę dziewczynkę.

– Proszę! Proszę! Proszę!

– Zamknij się! – wrzasnęła żebraczka i rzuciła nią o ścianę.

Hessel usłyszała jej kroki oddalające się w stronę placu. Pozbierała się z ziemi i roztarła obolałe miejsce na głowie, w którym nabiła sobie guza po uderzeniu o kamień. Podczołgała się do ojca i delikatnie dotknęła jego ręki.

– Tato... – powiedziała błagalnym tonem – zbudź się, proszę.

## Coś, co należy do nas

Savine potknęła się i wytoczyła z zaułka. Za plecami cały czas słyszała zawrodożenie dziewczynki.

Zgrzytliwa muzyka ucichła. Tańce ustały. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę – czarne, połyskujące w ciemności odbłaskami płomieni.

Zobaczyła wysokiego mężczyznę w cylindrze: w jednej ręce trzymał pochodnię, a drugą wyciągał w jej stronę.

– Przyprawadźcie mi ją!

Rzuciła się do ucieczki, zmusiła drżące nogi do jeszcze jednego wysiłku. Wpadła w boczną uliczkę, pośliznęła się, przewróciła i wpadła do rynsztoka. Zerwała się z ziemi i pobiegła dalej, minęła starą kobietę z wytrzeszczonymi oczami, przemknęła przez wciśnięte między małe domki podwórko, na którym piętrzyła się rojąca się od szczurów sterta popiołu, gnoju i kości.

Pokrzykiwania za plecami, chrapliwe wrzaski i chrapliwy śmiech, głośny tupot stóp niosący się echem wśród łuszczących się ścian. Po drodze dopadała desperacko do kolejnych drzwi – zamknięte, zamknięte, zamknięte, w końcu jedne się otworzyły i wpadła w głąb zapuszczonego domu.

Izba z obwisłym sufitem, stosy szmat, a na nich wyciągnięci ludzie – śpiący, pijani, nałogowi palacze plew, półnaczy, zaślinieni, z tępo rozdziawionymi ustami. I ten smród, nie do opisania. Ktoś zrobił dziurę w podłodze i użył jej jako wygodki. Dookoła roiły się muchy. Savine zbierało się na wymioty, gdy zasłaniając usta dłonią, kluczyła wśród leżących ciał. W końcu jakoś dotarła do drugich drzwi i znalazła się w zaułku na tyłach domu.

– A to co takiego...

Dwaj mężczyźni. Zatoczyła się, odskoczyła, skręciła i popędziła przed siebie... Ślepa uliczka kończyła się ścianą z podpleśniałej cegły, pozbawioną drzwi i okien.

Odwróciła się powoli. Oddech zamierał jej w gardle. Zbliźali się swobodnym krokiem, dwóch chojraków, którzy wiedzą, że już wygrali. Jeden miał paskudnego zeza i pałkę nabitą gwoździem, drugi – koślawą gębę i czapkę nisko zsuniętą na czoło.

– Cofnijcie się! – syknęła, wyciągając przed siebie rękę. Wypadłoby to pewnie bardziej imponująco, gdyby ręka jej się tak nie trzęsła.

– Kobieta – stwierdził Zezulec i zaczął się uśmiechać.

Ten w czapce spojrział podejrzliwie na jej płaszcz, pod którym trzymała mieczyk.

– Co tam chowasz?

– Nie twoja sprawa.

Starła się, żeby jej głos emanował niewymuszoną pewnością siebie, tak jak zawsze. Pewność siebie to połowa sukcesu.

Wyszło z tego żalosne skrzeczenie, a i tak nie zdołała ukryć charakterystycznego akcentu.

Zezulec jeszcze bardziej się rozpromienił.

– I to nie byle jaka kobieta... Prawdziwa dama. – Klepnął pałką w drugą dłoń, pogładził sterczący z drewna gwóźdź. – Ciężkie czasy nastały, co?

– Dla wielu dam – dodał ten w czapce, podchodząc bliżej.

Ugięła lekko nogi i cofnęła się pod ścianę. Zerkała to na jednego, to na drugiego.

– Ostrzegam...

Nagle Zezulec się zadumał.

– A może to ona?

– Jaka znowu ona?

– Savine dan...

– Stul pysk! – wrzasnęła.

Wybałuszyła z niedowierzaniem oczy. Dotarło do niej, że właśnie dźgnęła go mieczem w pierś: to był podręcznikowy wypad, z którego sam Bremer dan Gorst mógłby być dumny.

– O kurwa! – mruknął ten w czapce i też wytrzeszczył oczy. Cofnął się.

Zezulec zakaszlał dziwnie, wypuścił pałkę i zaczął ręką drapać pierś w miejscu, gdzie tkwił miecz. Próbował coś powiedzieć, ale zabrakło mu tchu.

Wyciągnęła miecz z rany. Ostrze rozorało Zezulcowi wierzch dłoni. Wezbrała krew, czarna plama rozlała się z przodu kurtki.

Ten w czapce rzucił się do ucieczki. Savine skoczyła naprzód i chlasnęła go w tylną część uda, ale nie utrzymała rękojeści w dłoni i uderzyła płazem miecza, nie przecięła nawet obszarpanych spodni. Wystarczyło to jednak, żeby potknął się i legł jak długi w rynsztoku.

– Błagam! – zakwilił. Podparł się na rękach i obejrzał przez ramię, tak samo przerażony jak Savine zaledwie chwilę wcześniej. – Błagam!

Zakrzuszył się, gdy ostrze weszło mu między żebra, skulił się, zwinął i obrócił na bok. Grymas bólu wykrzywił mu twarz. Savine uklękła na nim, próbując wyszarpnąć miecz, ale broń utknęła na dobre, a mężczyzna wił się, miotał i jęczał. Z głębi ulicy dobiegły krzyki. Kroki poniosły się echem.

Zostawiła miecz i puściła się biegiem. Bolały ją już wszystkie mięśnie, płuca paliły żywym ogniem. Zaryzykowała spojrzenie za plecy: w mroku majaczyły jakieś sylwetki, olbrzymie, zniekształcone. Okrzyki i śmiech, jakby myśliwych w pogoni za lisem. Przed nią też wyrastał z ciemności jakiś kształt, potwór najeżony tysiącem ramion. Zatrzymała się gwałtownie: to barykada przegradzała ulicę, tysięczne ramiona okazały się nogami krzesel i biurka i zwykłymi odłamkami drewna. Na jej szczycie stał człowiek, wysoki, barczysty, prawie pozbawiony szyi, krótko ostrzyżony. Nie widziała jego twarzy, tylko połyskujące pomarańczowo okulary, te takie nowoczesne, oprawione w cienki drut. Na masywnej, pokrytej zarostem twarzy wydawały się wyjątkowo drobne.

– Pomóż mi! – jęknęła rozpaczliwie, wyciągając zakrwawioną rękę. – Błagam, pomóż mi!

Chwycił jej nadgarstek w żelazny uścisk i przez ułamek

sekundy Savine zastanawiała się, czy nie popełniła właśnie największego błędu w całym swoim życiu.

Bez wysiłku wciągnął ją na górę i postawił obok siebie. Zobaczyła podrygujące płomienie pochodni na ulicach. Ze strachu ledwie mogła oddychać i się poruszać. Drżąc, skuliła się za rozbitą komodą i złapała w dłoń odłamaną nogę krzesła.

Jej prześladowcy zbliżali się, ale szli coraz wolniej. Było ich sześciu, jeszcze zdyszanych po biegu. Nieśli pałki, kije i pochodnie. Na czele szedł ten wysoki: paradował dumnym krokiem, cylinder miał zawadiacko przekrzywiony.

– Wystarczy – powiedział dryblas na barykadzie. – Nie podchodźcie bliżej.

Mówił spokojnie, powoli, basowym głosem. Jak mógł być taki spokojny? Jak ktokolwiek jeszcze kiedykolwiek będzie mógł być spokojny?

– Fajną ścianę postawiłeś – powiedział Cylinder.

Na jego dziobatej, spoconej twarzy malował się szyderczy uśmiech. Oczy miał szeroko otwarte, dzikie, płonące odbitym blaskiem trzymanej w dłoni pochodni.

– Dzięki – odparł dryblas – ale muszę was prosić, żebyście podziwiali ją z daleka. – Zdjął okulary i z najwyższą starannością je złożył. – Proszę grzecznie. – Kciukiem i palcem wskazującym rozmasował nasadę nosa. – Ale drugi raz prosić nie zamierzam.

– Nie da rady. – Cylinder uśmiechnął się od ucha do ucha. – Masz coś, co należy do nas.

Dryblas wcisnął okulary w zdrętwiałą dłoń Savine i delikatnym gestem zacisnął na nich jej palce.

– Uwierzcie mi – odezwał się znowu; jego głos brzmiał prawie smutno – nie ma tu niczego, czego moglibyście chcieć.

– Oddaj nam ją! – zażądał Cylinder.

Savine wzdrygnęła się na dźwięk jego gniewnego głosu.

Dryblas zeskoczył z barykady i ruszył naprzód – spokojnie, bez pośpiechu. Savine kompletnie nie rozumiała jego zachowania.

Cylinder też miał wątpliwości. Uniósł pochodnię jeszcze



wyżej.

– Nie boję się jakie...

Dryblas doskoczył do niego, przyjął uderzenie pochodni na bark i otrząsnął się z niego w deszczu iskier. Jego pięść dosięgła boku Cylindra: cios był krótki, szybki, ale Savine wyraźnie usłyszała głucho uderzenie i prawie poczuła jego siłę. Cylinder zgiął się wpół i zachwiał na nogach. Dryblas złapał go za poły kurtki, uniósł w powietrze niczym worek szmat, a potem z takim impetem cisnął nim o ziemię, że tamtemu cylinder spadł z głowy. Niedoszły napastnik – już bez cylindra – zadygotał, jęknął, wyciągnął drżącą rękę... Niewzruszony dryblas uniósł obutą stopę i wgniótł mu twarz w bruk.

Savine śledziła to wszystko szeroko otwartymi oczami, ledwie wążąc się nabrać tchu. Dryblas strząsnął parę iskier z ramienia i przeniósł wzrok na wstrząśniętych kompanów Cylindra, otaczających go półokręgiem. Było ich pięciu, pięciu chłopca, i żaden przez ten czas nawet nie drgnął.

– Damy mu radę – powiedział jeden, choć bez przekonania. Obliznął nerwowo wargi i z wahaniem postąpił krok w przód.

– Ej!

Drugi mężczyzna wspiął się na barykadę – a może był tam już wcześniej, tylko Savine go nie zauważyła. Żyłasty, z obwisłym wąsem, trzymał naładowaną kuszę. Na grzbiecie dłoni trzymanej na spuście widniał jakiś rysunek. Tatuaż.

– Powiedziałem: „ej!”. – Szedł spokojnie w stronę intruzów, celując do nich z kuszy. Zalśnił grot bełtu. – Co wy, kurwa, „ej!” nie rozumiecie?!

Najwyraźniej zrozumieli, bo zaczęli się wycofywać. Cylinder zbulgotał cicho i jeden z towarzyszy pomógł mu wstać: twarz miał całą we krwi, głowa zwisała mu bezwładnie.

– No! – zawołał za nimi żyłasty wąsacz. Opuścił kuszę, gdy przepadli w dusznych mrokach nocy. – I nie wracać mi tu! – Wytatuowanym wierzchem dłoni otarł spocone czoło, czekając, aż jego towarzysz wespnie się z powrotem na górę. – Do diabła, Byku, nie taki był plan.

Byk: doskonałe przezwisko dla barczystego olbrzyma, który

spojrzał spode łba na Savine. Skuliła się i odczołgała, aż oparła się plecami o mur.

– No cóż... – Rozmasował knykcie, krzywiąc się lekko. – Wiesz, jak plany się zmieniają, kiedy zaczyna się prawdziwa walka.

– Zastrani Podpalacze, kurwa ich mać! – warknął kusznik i z wprawą rozładował kuszę. – Pojeby. Nic, tylko wszystko by palili.

– Wiesz, Sarlby, to dlatego nazywają ich Podpalaczami.

Savine dostrzegła, że za barykadą jest ktoś jeszcze: dziewczyna o zawziętej, kościstej twarzy przykucnęła obok niej i spojrzała na nią bacznie.

– Ranna? – zapytał dryblas.

– Chyba głównie przestraszona. – Dziewczyna rozwarła palce Savine i wyjęła jej z dłoni okulary, żeby podać je właścicielowi. – Trudno jej się dziwić.

Savine nagle ją rozpoznała: służąca z domu Vallimirów. Jakżeż ona miała na imię? Kolacja w rezydencji na wzgórzu wydawała się tak odległa, jakby odbywała się przed tysiącem lat. May. May Pleczysta.

May delikatnie dotknęła jej policzka.

– Jak ci na imię? – zapytała.

Nie rozpoznała Savine – i właściwie trudno było mieć o to do niej pretensję. Savine z trudem poznawała samą siebie.

– Ardee – odparła szeptem. Imię matki pierwsze przyszło jej do głowy. Poczowała narastający w nosie palący ból, wysoko, u nasady, smarknęła głośno i się rozplakała. Nie pamiętała już, kiedy poprzednio płakała. Może nigdy? – Dziękuję – wybełkotała przez łzy. – Dziękuję wam...

Dziewczyna patrzyła podejrzliwie w dół, na jej pierś. Savine zdała sobie sprawę, że poły jej ohydneho płaszcza rozchyliły się, odsłaniając elegancki jedwabny gorset: był zniszczony, podarty i najeżony sterczącymi fiszbinami, ale tylko głupiec by się nie domyślił, że jego właścicielka musi być bardzo zamożną kobietą, z gromadką służących, które pomagają jej ubierać. A wystarczył jej jeden rzut oka na May, żeby wiedzieć, że dziewczyna na pewno nie jest głupia.

Savine otworzyła usta – chciała wypluć jakąś bajeczkę, wyrzygać jakieś kłamstwo, ale tylko zająknęła się chrypliwie. Nic jej nie zostało.

May podniosła wzrok znad zniszczonego arcydzieła sztuki hafciarskiej, nad którym jakaś nieszczęsna kobieta mozoliła się przez miesiąc, i zakryła je płaszczem.

– Jesteś bezpieczna – powiedziała. – Zabiorę ją do środka – dodała, zwracając się do Byka, i pomogła Savine wstać. Zaprowadziła ją do drzwi. – Chyba miała ciężki dzień.

Wczepiona w nią kurczowo Savine beczała jak dziecko.

## Człowiek czynu

Chorągiew Niezłomnego trzepotała majestatycznie, cudownie wyszywana: biały koń stawał dęba na wietrze na tle słońca ze złotogłowiu, a na obrzeżu lśniły wyhaftowane nazwy pól bitewnych, na których unijne wojska odniosły chwalebne zwycięstwa. Ten sam sztandar, pod którym Casimir Niezłomny podbił Angland, teraz tkwił idealnie pionowo w sękatej pięści kaprała Tunny'ego: żołnierskie męstwo przedestyłowane w kawał płótna.

Rozległ się narastający chrzęst broni i pancerzy, gdy żołnierze – idealnie zsynchronizowani – obrócili się w stronę Orso, tupnęli lewymi obcasami i zasalutowali. Pięciuset ludzi poruszających się jak jeden. Ich nowiuteńki rynsztunek lśnił w słońcu. Była to zaledwie dziesiąta część jego nowo sformowanej armii ekspedycyjnej, gotowa do wypłynięcia na północ, by tam skopać tyłek Stourowi Zmierzchnowi.

Orso nie powinien pewnie sam tak o tym mówić, ale widok był imponujący.

Odpowiedział na ich salut zamaszystym gestem, który doprowadził do perfekcji przed lustrem. Musiał przyznać, że lubi nosić mundur. Dzięki niemu czuł się – a było to w jego przypadku uczucie całkiem nowe – człowiekiem czynu. Poza tym, kiedy wkładał dobrze skrojoną i solidnie wykrochmaloną kurtkę, nikt się nie domyślał, że ostatnio urósł mu brzuch.

Pułkownik Forest uśmiechał się szeroko podczas przeglądu wojsk – jego szczery, nieskrępowany uśmiech był symbolem wszystkiego, co najlepsze u prostego obywatela Unii: trzeźwego spojrzenia na świat, niezawodności, lojalności. Sam pułkownik zaś – krępy, z wyraźnie widoczną blizną na twarzy i nabłyszczonymi szpakowatymi węsami, w sfatygowanej

futrzanej czapie na głowie – stanowił uosobienie solidności i niezłomności.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tak doskonale prezentującego się oddziału, Wasza Wysokość – powiedział. – A widziałem ich wiele.

Postanowili nazwać się Dywizją Następcy Tronu. Ścisłe rzecz biorąc, Orso pozwolił im wybrać nazwę, a Forest z pewnością ją zasugerował, może nawet się przy niej upierał – tak czy inaczej, Orso był zachwycony tym komplementem. Być może dlatego, że choć raz czuł, że zrobił coś, malutkie cokolwiek, by na niego zasłużyć.

– I co ty na to, Hildi? – zapytał.

– Są bardzo błyszczący – odparła.

Z typową dla siebie przedsiębiorczością załatwiła sobie haftowany mundurek dobosza i teraz wyglądała jak prawdziwy żołnierz. Właściwie co w tym złego? Doświadczeniem bojowym dorównywała przecież księciu Orso.

– A ty, Gorst?

– Piękny oddział, Wasza Wysokość.

Orso z trudem powstrzymał się od odruchowego wzdrygnięcia. Bez względu na to, ile razy słyszał ten piskliwy głosik, nie potrafił się do niego przyzwycząić.

– Waszej Wysokości należą się gratulacje – dodał Gorst.

– Bzdura. Ja tylko stałem tutaj. – A także wydawałem pieniądze Savine, uśmiechałem się i ćwiczyłem idealny salut. – To pan odwalił najcięższą robotę, pułkownik Forest.

– Pułkownik Forest, kurna – mruknął Tunny, kręcąc głową, jakby nie mógł znieść tej przesadnej uprzejmości. Żółtko, jak skory do naśladowania dowódcy, odpowiedział stosownie szyderczym uśmiechem.

Forest nie zwracał na nich uwagi. W ignorowaniu Tunny'ego – podobnie jak w wielu innych sprawach – miał wprost gigantyczne doświadczenie.

– To sami weterani, Wasza Wysokość – podjął. – Niektórzy z nich walczyli na Północy, większość w Styrii. Wystarczyło im tylko przypomnieć, na czym ten fach polega. Takie właśnie było

moje zadanie.

– Zdarza się, że ludzie nie wywiązują się ze swoich zadań, ale pan ze swojego wywiązał się diabelnie dobrze, pułkowniku. Szczęściarz ze mnie, że pana mam. – Orso posłał Forestowi swój specjalny uśmiech, zarezerwowany na chwile prawdziwego szczęścia.

Tworzyli zwycięską spółkę: Forest wniósł do niej doświadczenie, trzeźwość osądu, serdeczność, dyscyplinę, odwagę, bliznę na twarzy oraz – ma się rozumieć – wspaniałe wąsy. Orso dodawał spółce splendoru i... No cóż, zawsze miał mizerny zarost i nie nosił widocznych blizn, więc właściwie na splendorze jego udział się kończył. Może tak właśnie nazwą go historycy: Król Splendor. Prychnął śmiechem; ludzie mogli mu wymyślić gorszy przydomek.

I pewnie często wymyślali.

– Rolą króla nie jest wykonywanie wszystkich zadań jak należy.

Orso wzdrygnął się leciuteńko na dźwięk styryjskich słów wypowiedzianych ostentacyjnie głośno na oczach setek ludzi, którzy przez ostatnie dziesięć lat walczyli ze Styryjczykami... i z nimi przegrywali. Zapomniał, że matka przyszła popatrzeć: siedziała na składanym fotelu w cieniu przenośnej fioletowej markizy; dwórki rozlokowały się wokół niej na trawie niczym złocona oprawa arcydzieła.

– Rola króla polega na wybraniu właściwych ludzi, którzy go w tym wyręcą.

– Brzmisz, matko, prawie tak, jakbym ci zaimponował. – Orso również przeszedł na styryjski, ale przynajmniej mówił cicho. – Nie miałem pojęcia, że umiesz przybrać taki ton.

– Nie opowiadaj bzdur, Orso. Zdarzało ci się już mnie słyszeć, gdy imponowali mi inni ludzie.

– To prawda – przyznał z westchnieniem.

– Zresztą odkąd przestawiłam cię na stały pokarm, nie zrobiłeś niczego takiego, co mogłoby mi zaimponować.

Westchnął ponownie, tym razem głębiej.

– To również prawda.

– Przyszły król nie powinien wojować.

– Ale przecież wszyscy najwięksi władcy byli wojownikami, czyż nie? Harold, Casimir, Arnault...

Królowa machnięciem ręki zbyła imiona bohaterów.

– Pospólstwo bez wątpienia omdlewa na myśl o królu-zdobycy, ale to królowie spółkujący zakładają dynastie.

– Spółkuję od lat. Tym również nigdy ci nie imponowałem.

– Doskonale wiesz, Orso, że najważniejsze jest to, z kim spółkujesz. Wolałabym, żebyś się ożenił. – Królowa rozsiadła się wygodnie i otaksowała syna spojrzeniem od stóp do głów, postukując przy tym perfekcyjnie wypielęgowanym paznokciem w podłokietnik. – Jeśli jednak koniecznie chcesz się po drodze zabawić w żołnierza, to muszę przyznać... – kącik jej ust uniósł się niemal niedostrzegalnie – ...że prezentujesz się imponująco.

Orso często sobie powtarzał, że dawno przestało mu zależeć na opinii matki, ale ciepłko satysfakcji, jakie rozgrzało go teraz aż po cebulki włosów, zadawało kłam tym zapewnieniom.

– Każdy prędzej czy później dorasta – odparł i odwrócił się, żeby nie zobaczyła, jak się rumieni.

Królowa wstała, a odziany w liberię służący natychmiast sprzątnął fotel.

– Może mógłbyś w tym pomóc ojcu – powiedziała i skierowała się do pałacu. Dwórki utworzyły wokół niej lśniący grot włócznie, w którym ona sama była brylantowym szpicem.

– Jej Królewska Mość była prawie... zadowolona – mruknął Tunny. Z wielką wprawą opuścił i zwinął królewski sztandar. Różne rzeczy można było o nim powiedzieć (i ludzie często je mówili), ale z chorągwią umiał się obchodzić jak nikt inny. – A coś mi mówi, że niełatwo wprawić ją w ten stan.

Orso uniósł brwi.

– Wolałaby, żebyś się ożenił.

– Ożeń się z pułkownikiem Forestem – poradził mu Tunny. – Wyraźnie czuję rodzące się między wami uczucie.

– Mógłbym trafić gorzej, a Forest ma ogładę i doświadczenie, jest zorganizowany, odpowiedzialny, znacznie ode mnie

inteligentniejszy i przy tym szanuje moją zwierzchność. Poza piczką ma wszystkie cechy idealnej panny młodej.

Tunny obejrzał się na wydającego rozkazy Foresta, którego twarz poniżej pięknej futrzanej czapy stawała się coraz bardziej czerwona.

– Ta jego czapa wygląda jak piczka.

Orso zdławił śmiech. Tunny miał trochę racji.

– Radzę ważyć słowa, kapralu. Bo inaczej będę zmuszony pana awansować.

– Wszystko, tylko nie to.

Tunny'emu proponowano już awans do stopnia starszego sierżanta, on jednak stanowczo odmawiał wyniesienia go powyżej rangi kaprała. Niektórzy ludzie są jak woda: jakkolwiek wysoko by ich wynieść, zawsze wracają na swój naturalny poziom. Zmrużył oczy i spojrzał wprost w pałace słońce.

– Mam nadzieję, że Wasza Wysokość spakował jakieś ciepłe ciuchy. W tej chwili trudno to sobie wyobrazić, ale na Północy robi się naprawdę zimno.

– Nieprzypadkowo Północ słynie z mrozów.

Do Orso zbliżał się rycerz herold. Minął właśnie służących zajętych demontażem królewskiej markizy.

– Wasza Wysokość! – zadudnił zgoła niepotrzebnie donośnym głosem i strzelił opancerzonymi obcasami. – Jego Królewska Mość życzy sobie natychmiast widzieć Waszą Wysokość!

– W pałacu?

– W Domu Pytań, w towarzystwie arcylektora Glokty.

Orso się skrzywił.

– Nie wiedzą, że mam tu armię, którą muszę powieść ku chwale? – zapytał, po czym przemyślał swoje słowa i przeformułował poprzednią wypowiedź: – A raczej armię, na którą będę patrzył, gdy pułkownik Forest powiedzie ją ku chwale.

– Dwadzieścia lat czekasz na tę chwałę – szepnął mu do ucha Tunny. – Godzina w tę czy we w tę nie robi ci różnicy.



\* \* \*

– Nareszcie! – rzucił zniecierpliwiony król, gdy Orso wreszcie wszedł przez drzwi. Było widać, że Jego Wysokości daleko do tradycyjnej pogody ducha.

Jego Eminencja siedział przy biurku w swoim fotelu na kółkach. Mimo upału nogi miał przyrzucone pledem, a twarz bardziej ściągniętą, zawziętą i bledszą niż zazwyczaj – który to stan niełatwo było osiągnąć. Orso widział kiedyś ciało człowieka, który trzy dni wcześniej zmarł na zarazę: w porównaniu z Gloktą nawet tamten trup miał więcej rumieńców na policzkach. Obok arcyrektora stał chyba jedyny człowiek w całej Unii o jeszcze bardziej odrażającej powierzchowności: jego zastępca, superior Pike, którego rysy twarzy całkowicie zniknęły pod śladami potwornych oparzeń. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego oblicza, ale atmosfery w komnacie nie dałoby się nazwać pokrzepiającą.

Wiedziony dawno wpojonym nawykiem Orso zaczął od kontrataku:

– Mam mnóstwo zajęć, ojcze. Jeżeli chciałeś się ze mną pożegnać, trzeba było...

– Nie wyruszysz na północ – warknął gniewnie król.

– Nie wyru... Że co? – Ograbiony ze sposobności do uniku Orso został zmuszony do przejścia prosto w fazę urażonej godności. – Ojcze, pracowałem na to...

– Inni ludzie stale na coś pracują. Dlaczego miałbyś być wyjątkiem?

„Dlatego że jestem następcą tronu Unii, do diabła!” miał na końcu języka Orso, ale na całe szczęście Pike go uprzedził i odezwał się pierwszy; jego głos zdradzał równie niewiele emocji jak okaleczona twarz:

– Wasza Wysokość, w Valbecku wybuchło powstanie.

Orso z trudem przełknął ślinę.

– Powstanie?

Brzydkie słowo, bardzo brzydkie. Nie powinno się go używać

przy ludziach z królewskiego rodu. Czy Pike nie mógł wybrać czegoś bardziej neutralnego, na przykład „incydent”? Nawet „zamieszki” byłyby lepsze. Nagle do Orso dotarło, że skoro superior naprawdę użył tego słowa, i to w obecności króla, następcy tronu i arcylektora inkwizycji, to sytuacja musiała być poważna.

– Skoordynowane, dobrze zorganizowane i szeroko zakrojone – ciągnął Pike. – Wygląda na to, że pracownicy kilkunastu fabryk zbuntowali się jednocześnie i obezwładnili nadzorców, strażników i właścicieli.

– I przejęli fabryki?

Lewe oko arcylektora zaczęło nerwowo drgać. Otarł ściekającą z niego łzę.

– Opanowali całe miasto – odparł. – Nie możemy wykluczyć, że przeniknęli także w szeregi straży miejskiej, a nawet, być może, inkwizycji.

– Budują barykady – podjął Pike – biorą zakładników i wysuwają żądania.

– Wielkie nieba... – Otepiały Orso osunął się na krzesło. Valbeck stał się jednym z największych i najnowocześniejszych miast Midderlandu. Określenie „powstanie” było w jego przypadku niedopowiedzeniem: znaleźli się o krok od rewolucji! – Jak to się mogło stać?

– Bardzo dobre pytanie, psiakrew! – zachnął się król i z marsem na czole spojrzął na arcylektora.

– To robota Destruktorów – odparł Glokta – i Podpalaczy.

– A co to za jedni, u diabła? – zdumiał się Orso.

– Destruktorzy chcą na mnie wymusić pewne ustępstwa. – Jakiś miesiąc drgał nerwowo przy skroni Jego Wysokości. – A Podpalacze chcieliby powiesić mnie, cały rząd i wszystkich arystokratów, wszystko spalić i narzucić własny porządek.

Orso znów musiał przełknąć ślinę; miał wrażenie, że coś tkwi mu w gardle, uparta gula, która nie daje się ruszyć.

– Ich opinia na mój temat jest pewnie niezbyt pochlebna? – zapytał.

– Uważasz, że matka surowo cię ocenia? To poczekaj, aż

usłyszysz, co mają o tobie do powiedzenia tamte łotry.

– Mam agentkę w Valbecku – odezwał się znowu Glokta. – Przysłała do Adui gońca z ostrzeżeniem, jednak zbyt późno, żebyśmy zdążyli zareagować. Na tym kontakt się urwał. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w mieście.

– Chaos – burknął król i zacisnął pięści.

– Sukces tamtych zdrajców zachęci innych malkontentów do spiskowania przeciwko Jego Wysokości i jego poddanym – mówił dalej arcylektor. – Utrzymanie porządku w kraju już dziś wymaga od nas najwyższego wysiłku. Książę Orso, tylko twoje wojsko jest wolne.

– Udam się z Waszą Wysokością do Valbecku – pośpiesznie zapewnił Pike. – Zapewnię Waszej Wysokości pełne wsparcie ze strony inkwizycji.

Orso zamrugnął z niedowierzaniem.

– A co z Północą? Miałem...

– Do stu tysięcy diabłów! – wybuchnął król z nietypową dla siebie gwałtownością. Szarpnięciem rozpiął górny guzik obwieszzonego sznurami munduru, ze złością otarł pot z czoła. – Świat nie kręci się wokół ciebie! Córka arcylektora utknęła w Valbecku! – Nagle opamiętał się i z zakłopotaniem odkaszlnął. – A także inni, naturalnie, wielu synów i wiele córek...

– Zaraz, zaraz... – Orso nie posiadał się ze zgrozy. – Pańska córka...? Savine?!

Doskonale wiedział, że arcylektor nie ma więcej dzieci. Gula w jego gardle przybrała takie rozmiary, że ledwie był w stanie mówić.

Glokta oklapł w fotelu.

– Udała się do Valbecku na inspekcję jednej ze swoich fabryk. – Rozchylił szare wargi, odsłaniając zniszczone uzębienie. – Nie mam od niej żadnych wieści, nie wiem, czy jest wolna, czy dostała się do niewoli. Nie wiem nawet, czy żyje.

– Niech szlag trafi tych zdradzieckich łotrów! – eksplodował znowu król i wgniół pięść we wnętrze drugiej dłoni. – Korci mnie, że ruszyć tam osobiście na czele korpusu rycerskiego!

– To by urągało godności króla. – Orso wstał gwałtownie, aż

krzesło zgrzytnęło na kafelkach. – Ja się tam udam. – Savine go potrzebowała. – Wyruszę bezzwłocznie. – Reszta Unii też go potrzebowała, ma się rozumieć, ale, do diabła, to była Savine! – Tunny! – zagrzmiął, ruszając do wyjścia. Właściwie nie tyle zagrzmiął, ile po prostu wrzasnął. – Powiedz pułkownikowi Forestowi, że ruszamy do Valbecku!

## Paskudna sprawa

Leżała na boku, z policzkiem opartym o bark Leo i nogami przerzuconymi przez jego nogę; wtulona w niego, przyciśnięta, zagrzebana w kocach u jego boku.

Zawsze był taki ciepły – zupełnie jakby wzięła ze sobą do łóżka jedno z tych cudownych żarzących się polan ze starego kominka. Jeszcze niedawno całymi tygodniami dokuczało jej przejmujące zimno, a także głód, strach i niewygody, dlatego wylegiwanie się w ciepelku, gdzie mogła bezpiecznie balansować na granicy snu i jawy, sprawiało jej przyjemność, za którą była dozgonnie wdzięczna.

Właściwie byłoby idealnie...

...gdyby Leo tyle nie gadał.

– Nic mi nie pozwala zrobić – gderał. – Nic, do diabła! Traktuje mnie jak... jak szczeniaczka na krótkiej smyczy!

– Lew na smyczy – wymamrotała Rikke.

– Aż dziw, że na noc nie każe mnie zamykać w pudełku.

Rikke nie miałaby nic przeciwko temu, żeby matka Leo zapakowała do pudełka jego głowę, a resztę zostawiła jej do dyspozycji, ale tego raczej nie chciałby usłyszeć.

– Tylko ich poszturchujemy – marudził dalej. – Kręcimy się wokół ich taborów, podskubujemy linie zaopatrzenia, czasem wygramy jakąś potyczkę.

– Mhm... – Rikke z roztargnieniem głaskała sympatyczne wybrzuszenia i zagłębienia na jego brzuchu w nadziei, że to go uciszy. Bez powodzenia.

– Trzeba pójść na zwanie z nimi! – Zacisnął pięści, jego barkiem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. – Trzeba im zadać ból!

– Przecież to właśnie próbujemy zrobić, prawda? – Niechętnie

otworzyła jedno oko, uniosła głowę i zerknęła na niego. – Scale, Calder i Stour mają łącznie więcej ludzi niż my. Dlatego ich spowalnimy. Nie dajemy im się połączyć. Każemy im zgadywać, jakie są nasze siły. Z każdą milą stają się coraz słabsi. – Trochę niepokoił ją fakt, że ona, która nigdy w życiu nie miała miecza w ręce, musi wyjaśniać jemu, sławnemu wojownikowi, zawiłości wojskowej strategii. – Czekamy na właściwy moment. Twój moment. – Opuściła głowę i znów wtuliła się w ciepło jego ciała. – Niech no tylko przybędzie twój przyjaciel, książę Orso...

Leo poderwał się gwałtownie. Głowa Rikke opadła na materac, przynosząc jej szybkie, całkowite i nieprzyjemne przebudzenie.

– A tak, Książę Pijaków, zataczając się, przybywa nam w sukurs – zadrwił.

– No wiesz, nie sam. – Rikke przetarła zaspane oczy. – Mój ojciec mówi, że prowadzi pięć tysięcy ludzi.

– Prędzej pięć tysięcy dziwek. Podobno z tyłoma już spał.

– Ile on ma lat? Dwadzieścia pięć? – Marszcząc brwi, Rikke dokonała pośpiesznych obliczeń. – Jeżeli zaczął na serio w wieku siedemnastu lat, to ma na koncie osiem lat bzykania, czyli... zaraz... dwie dniennie? Pod warunkiem, że żadna nie skusi go na powtórkę. I tak dzień w dzień. Nie, no... każdy ma przecież słabsze chwile, kiedy zwyczajnie nie jest w nastroju. Czy one tam ustawiają się w kolejkach na pałacowych korytarzach? – Parsknęła śmiechem. – Pyta musi go od tego boleć.

– Może tylko cztery tysiące – powiedział skwaszony Leo.

– Prędzej uwierzę, że jego reputacja dalece wyprzedza fakty. – Rikke uniosła brew. – To się podobno czasem zdarza u młodych mężczyzn.

– Może książę Orso jest wyjątkiem. Może zarucha Północnych na śmierć.

– Mnie to pasuje, byle odesłał drani do domu.

Próbowała go pociągnąć z powrotem na posłanie, ale był nieugięty.

– Właściwie to nawet bym się nie zdziwił, gdyby tak właśnie zrobił, zważywszy że ma styryjską degeneratkę zamiast matki...

– Styryjskie co?

Leo skrzywił się z takim niesmakiem, jakby między nimi w łóżku nagle wylądował zdechły pies.

– Ona podobno sypia z kobietami.

Rikke nigdy nie potrafiła zrozumieć, co kogo obchodzi, z kim sypia ktoś, kogo nigdy w życiu nie poznali. Jak niewiele trzeba mieć problemów w życiu, żeby zacząć się czymś takim przejmować?

– Ty akurat powinieneś rozumieć. Większość czasu spędzasz z facetami.

– A co to niby ma znaczyć?

– No wiesz... masz zgraną ekipę, dobrych kumpli... Przyjaźnicie się, nie?

Leo zmarszczył brwi, nadal nie bardzo wiedząc, do czego Rikke zmierza.

– Znamy się od lat – odparł. – Dorastałem z Jurandem i Antaupem. A Jina poznałem w Uffricie, sama wiesz. Jesteśmy towarzyszami broni.

– A jacy z was mocarze! – Uścisnęła jego muskularne ramię. – Nie dziwota, że tak lubicie zapasy.

– Zapasy to dobre ćwiczenie, a poza tym... – Oczy wyszły mu z orbit. Wyrwał się z jej uścisku. – To obrzydliwe!

– Nie dla mnie. – Dobrze wyrobione opinie Leo na różne tematy zazwyczaj miały kruche fundamenty. Rikke uwielbiała je okopywać, żeby potem patrzeć, jak wałą się w gruzy. – Nie ma nic bardziej ekscytującego niż umięśnione męskie ciała, połyskliwe od potu, mozolące się i siłujące w zwarcu...

– Musisz wszystko spychać do rynsztoka?

– Nie muszę. – Złapała go za rękę i pociągnęła na posłanie, tym razem skutecznie. – Ale tu jest ciepłutko.

Znów próbowała się do niego przytulić, ale on myślami był już przy wylewaniu kolejnych żalów.

– Właściwie nie mam pretensji do Orso – powiedział takim tonem, jakby w ten sposób wyświadczał księciu przysługę. – Od tego są książęta, żeby pławić się w blasku cudzej chwały. – Tak jakby chodziło o chwałę, a nie o to, kto żywy wróci do domu. –

Pretensje mam do mojej matki. To przez nią uchoǳi mu to na sucho! – Miałby pretensje do matki nawet o rześisty deszcz. – Dlaczego nie może mi po prostu zaufać?

– Rety... – mruknęła Rikke.

Przeturlała się na drugi bok i zagapiła na trzepoczące płótno namiotu. Wyzbyła się resztek złuǳzeń: jej ulubiona część dnia legła w gruzach. Nie rozumiała, dlaczego Leo tak się śpieszy do bitwy, którą najprawdopodobniej przegra. Chłopak miał wiele zalet – odwagę, uczciwość, pogodę ducha, ładną twarz i jeszcze ładniejszy tyłek, a na dodatek był taki niezawodnie ciepły. Niestety brakowało mu wyobraźni, nie mógł też narzekać na zbyt niską samoocenę, a każdą zwłokę traktował jak upartego capa, który rzuca mu się pod nogi i odwleka jego nieuchronny triumf.

– ...spuściła mnie ze smyczy, już ja bym tym łajdakom pokazał..

Znów sobie przypomniała – to wspomnienie wracało do niej przynajmniej raz dziennie – tamtą chwilę, gdy ukryta pod przewieszonym brzegiem rzeki słuchała, jak Stour Zmierzchun planuje, co z nią zrobi, i zaśmiewa się przy tym do rozpuku. Pomyślała o spalonym Uffricie i o wszystkich porządnym ludziach, którzy zginęli tam bądź zostali ranni. Zacisnęła pięści, gdy jak zwykle ogarnęła ją złość. Nikt nie życzył temu skurwielowi śmierci tak żarliwie jak ona, ale nawet ona rozumiała, że muszą być cierpliwi. Wszelka dostępna pomoc była na wagę złota.

– ...niby jestem jej synem, a traktuje mnie jak...

Rikke odęła policzki i prychnęła przeciągle, aż jej wargi zafurkotały.

– Przepraszam – zmitygował się Leo. – Nudzę cię?

– Nie, skądże. – Przewróciła oczami. – Każdej dziewczynie robi się mokro, kiedy jej facet wyrzeka na swoją matkę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Trzeba mu było oddać sprawiedliwość: łatwo i szybko wpadał w przygnębienie, ale tak samo łatwo i szybko odzyskiwał dobry humor. Odgarnął koce i wyciągnął się obok niej. Przesunął dłonią po jej piersi, zjechał



po brzuchu w dół, na tyłek, potem na wewnętrzną część uda, aż zadrżała z przyjemności.

– No to od czego dziewczynie robi się mokro? – spytał szeptem.

– Mnie? Od ślicznych chłopaczków z nadmiarem odwagi i niedoborem cierpliwości.

Może ten poranek nie będzie jednak taki całkiem stracony... Wsunęła palce w jego włosy, przyciągnęła go i uniosła się, żeby go pocałować. Po nocy oddech miał ciut nieświeży, ale...

– Leo! – zawołał ktoś z zewnątrz.

– Ożeż w mordę! – mruknęła Rikke i opadła na posłanie.

– Przybył rycerz herold! – Głos Juranda zdradzał wyraźne podekscytowanie.

– A niech to szlag! – Leo wyrwał się Rikke, która bezskutecznie próbowała opleść go nogami, wyskoczył z łóżka i zaczął naciągać spodnie. – Pewnie zebrała się Zamknięta Rada.

– Obejrzał się na nią przez ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby dokładnie takiej właśnie nowiny oczekiwał. – Mianowali mnie lordem gubernatorem!

– Świetnie – mruknęła Rikke.

Obróciła swój but do góry podeszwą i tak długo nim potrząsała, aż ze środka wypadła grudka chaggi. Włożyła ją między zęby i dolną wargę.

Na zewnątrz dawało się wyczuć atmosferę wielkiego wyczekiwania: półnaczy mężczyźni kręcili się między namiotami, przeżuwając resztki śniadania, rozpytujac o nowiny i nie uzyskując odpowiedzi. Wszyscy jednak zmierzali w jednym kierunku jak niesione nurtem rzeki liście, w stronę podrygującej nad tłumem pary lśniących skrzydełek. Rycerz herold kierował się przez zalewany deszczem obóz do kuźni, którą lady Finree zaanektowała na swoją siedzibę.

Leo pośpieszył za nim, narzuciwszy w biegu płaszcz. Rikke skakała na jednej nodze za nim, wsparta na ramieniu Juranda. Zdążyła wzuć jeden but; skarpetkę na drugiej nodze miała pełną błota.

– To wiadomość dla mnie? – zapytał Leo. – Dla lorda Brocka?

Chyba jednak nie wszystko kręciło się wokół niego, bo rycerz herold nie zaszczycił go nawet przelotnym spojrzeniem, tylko wspiął się na błotnisty pagórek. Na ramieniu niósł torbę ozdobioną złotym słońcem Unii.

– Może przybył książę Orso ze swoją armią – zasugerowała z nadzieją Rikke, próbując włożyć drugi but i jednocześnie nadażyć za Leo.

– Nie liczyłbym na to. – Jurand nie patrzył na nią. Nerwowo zaciskał zęby.

– Nie lubisz mnie, co?

Spojrzał na nią zupełnie zaskoczony.

– Ależ przeciwnie. – Podsunął jej ramię. – Lubię. Trudno cię nie lubić.

– Prawda?

W końcu udało jej się naciągnąć but.

– Po prostu jestem... opiekuńczy. – Jurand zmarszczył brwi, gdy ruszyli dalej. Rycerz herold nadal milczał. – Razem dorastaliśmy i... Jak by to powiedzieć...? Leo wcale nie jest taki twardy, jakiego udaje.

Rikke prychnęła.

– My też razem dorastaliśmy, więc możesz mi wierzyć, że zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie ma szczęścia. Do kobiet, znaczy.

– Może okaże się wyjątkiem.

– Może. – Jurand posłał Rikke nieco wysilony uśmiech. – Po prostu nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

– Wstęp tylko dla członków sztabu – burknął wartownik przy wejściu do kuźni.

Rikke szturchnęła Juranda barkiem, tak że wpadł na wartownika, po czym, zanim zdążyli się rozplątać, wyminęła ich i weszła do środka.

Nigdy przedtem nie uczestniczyła w naradzie wojennej i jej pierwszy raz – podobnie jak pierwsze bzykanko i pierwszy pogrzeb – był nieco rozczarowujący.

W nabitej ludźmi kuźni powietrze było ciepłe i wilgotne od ich nerwowych oddechów. Matka Leo opierała obleczone

w rękawiczki dłonie na stole zawalonym mapami, otoczona gromadką podenerwowanych oficerów; byli wśród nich lordowie Mustred i Clensher, dwaj starzy i srodzy arystokraci z Anglandu, którzy zaledwie dzień wcześniej przybyli z posiłkami. Rikke nie była pewna, który jest który, ale jeden miał sumiaste siwe wąsy, a drugi stykające się pod brodą bokobrody i wygoloną górną wargę – tak jakby musieli podzielić się jednym zarostem.

Jej ojciec, wyraźnie zaniepokojony, drapał się po siwo zarośniętym policzku. Otaczali go jego dowódcy: Czerstwyy jak zwykle wyglądał na stroskanego; Czerwonogłowy – również jak zwykle – miał posępną minę; Oxel w typowy dla siebie sposób zezował na rycerza herolda, jakby ten był cudzą owcą, którą zamierza doprowadzić; a Dreszcz wyglądał po prostu jak Dreszcz, czyli chyba najgroźniej z całej ekipy.

Najmniej zaniepokojonym człowiekiem w kuźni był jej właściciel, kowal – on dla odmiany był po prostu wściekły, bo musiał przerwać pracę, żeby banda durniów mogła się posprzeczać pod jego systematycznie przeciekającym dachem. Cóż, taka właśnie jest wojna. Paskudna sprawa, na której dobrze wychodzą tylko źli. Rikke nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie tak się upierają, żeby śpiewać pieśni o wielkich wojownikach; dlaczego nie śpiewa się o świetnych rybakach albo piekarzach, albo dekarzach, albo jeszcze innych ludziach, dzięki którym świat naprawdę staje się lepszy, zamiast o takich, po których zostają zgliszcza i sterty trupów. Kogo to miało zachęcić? I do czego?

– Świat jest pełen tajemnic – mruknęła pod nosem i przepchnęła językiem grudkę chaggi z jednej strony ust na drugą.

– Pani gubernator! – zadudnił rycerz herold basem, który w niewielkim wnętrzu rozbrzmiał nieprzyjemnie głośno. Ukłonił się nisko i skrzydełkiem przy hełmie omal nie wylupił Dreszczowi jedyne ocalałego oka. – Wiadomość od Jego Wysokości!

Otworzył torbę, wyjął z niej zwój, przepchnął się przez mokry

tłum i zamaszystym, teatralnym gestem wręczył go adresatce.

Zapadła cisza. Finree dan Brock złamała wielką czerwoną pieczęć i zaczęła czytać; jej nieprzenikniona twarz niczego nie zdradzała. Rikke umiała czytać, z wielkim mozolem nauczyła się liter podczas tego okropnego roku spędzonego w Ostenhormie, ale tych tutaj nijak nie szło rozeznaczyć, takie były ozdobne i zawijasowate.

– I co? – Głos Leo rozdarł ciszę, w której wszyscy wstrzymali oddech.

– Przybył książę Orso? – burknął Mustred. Albo Clensher.

– Nie, nie przybył – odparła lady Finree, nie przerywając lektury.

– To może chociaż zaokrętował armię? – mruknął Clensher. Albo Mustred.

– Nie, nie zaokrętował. – Pani gubernator zacisnęła zęby i podniosła wzrok. – I nie robi tego.

Podawała list Leo. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że koszula wyłazi mu ze spodni, i spojrzała spode łba na Rikke, której koszula też wyłaziła ze spodni i w dodatku była krzywo pozapinana.

Rikke wbiła wzrok w ziemię, zawzięcie żując chagę i czując, że się rumieni. Lady Finree wielokrotnie wspominała o wykuwaniu silniejszych więzów łączących Unię z Północą, było jednak mało prawdopodobne, żeby miała na myśli Rikke bzykającą się z jej synem.

– W Valbecku wybuchło powstanie – wycedziła przez zęby lady Finree. – Destruktorzy przejęli władzę w mieście. Zachodzi obawa, że bunt może się przerodzić w rewolucję.

Leo przebiegł zwoj wzrokiem.

– Następcą tronu został posłany na miejsce, by odbić miasto z rąk buntowników. Nawet jeśli mu się uda... to w najbliższych tygodniach na pewno tu nie dotrze!

W małej kuźni znów zapadła cisza, mącona tylko bębnieniem kropel deszczu oraz ciurkaniem wody przez dziurę w dachu do podstawionego kubła. Wszyscy w milczeniu przeżuwali implikacje tej wiadomości – a potem wszyscy zaczęli mówić

jednocześnie:

– Na pamięć poległych... – wyszeptał Czerstwy, przeczesując rzadkie siwe włosy.

– Jebana Unia! – zdenerwował się Oxel. – Mówiłem, że nie można im ufać! Byliśmy głupi!

– Co proponujesz w zamian, hmm? – odwarknął Czerwonogłowy. – Mamy klęknąć przed Czarnym Calderem?

Dreszcz tylko stał i wyglądał jak Dreszcz, co samo w sobie było nadzwyczaj niepokojące. Ojciec Rikke podrapał się po nosie, z jego piersi dobył się znużony jęk.

– To przez coś takiego Angland mało nie zbankrutował od nowych podatków? – zezłościł się Mustred. Albo Clensher.

– Po co komu król, który nie broni swojego królestwa? – zapienił się Clensher. Albo Mustred.

– To odrażające! Niedorzeczne! Bezprecedensowe!

– Panowie, proszę! – Lady Finree rozpostarła ręce, próbując uspokoić nieuspokajalne. – To nam nie pomaga!

Jedyną osobą, która wyglądała na zadowoloną, był Młody Lew, który uśmiechał się coraz szerzej i szerzej, w miarę jak docierało do niego znaczenie nowin.

Rikke odęła policzki.

– Wychodzi na to, że będziemy musieli sami ratować swoją skórę.

# W lustrze

Scale Żelaznoreki, Król Północnych, swój najlepszy czas miał co najmniej dwadzieścia lat za sobą.

Kiedyś był wielkim wojownikiem, ale potem stracił dłoń, a na kikut nabito mu żelazną protezę. Kiedyś był wielkim wodzem, dziś wolał trzymać się z tyłu i zajadać zdobyczne żarcie – jadł zresztą cokolwiek niechlujnie, bo oprócz dłoni stracił także dwa przednie zęby. Konieczyna pamiętał go jeszcze jako więź więźni, teraz Scale wyglądał jak góra tłuszczu. Fałdy bladej skóry wylewały mu się na futrzany kołnierz, na czubku spoczonej łysiny wyrastała kępka siwych włosów, broda ociekała tłuszczem, popękane naczynka upstrzyły obrzmiałe policzki. Dwie chude jak patyk dziewczyny nie odstępowały go na krok – jedna z półmiskiem, druga z dzbanem, a obie obarczone najtrudniejszym zadaniem na całej Północy: musiały pilnować, żeby królowi nie zabrakło piwa.

Po jego prawicy zgromadziła się grupa starych wojów. Ich wypolerowane zbroje lśniły, lecz ich imiona dawno pokryła patyna zapomnienia. Scale nazwałby ich najbliższymi mu Ludźmi Nazwanymi, wiernym orszakiem, królewską strażą, ale ich naczelnym obowiązkiem było przypominanie mu dawnych triumfów oraz uparte twierdzenie – wbrew faktom – że wciąż jest tym samym człowiekiem, którym był, gdy miał dwakroć mniejszy brzuch i dwa razy więcej dłoni.

Ogień w palenisku hulał, wojownicy tłoczyli się przy stołach, w zarekwirowanej sali panował upał jak w kuźni i zgiełk jak na polu bitwy, kobiety klęły i rozdawały kopniaki, roznosząc w ciżbie pełne mięsa półmiski. Konieczyna z Cudną siedzieli przy stole Czarnego Caldera, w cieniu, z dala od paleniska. Było tu mniej złota, mniej śmiechów i mniej piwa, za to o wiele więcej

władzy. Może i Scale Żelaznoręki nosił królewski łańcuch, ale każdy, kto miał coś do powiedzenia, wiedział, że to jego brat podejmuje decyzje.

Calder przyjmował dziś interesującego gościa: niski mężczyzna w znoszonym podróżnym ubraniu nie miał broni, tylko kostur, który oparł o ścianę – w najeżonej ostrzami sali był to widok równie osobliwy jak widok kwoki baraszkującej wśród lisów. Koniczyna widywał już Czarnego Caldera podejmującego dumnych, wspaniałych, niezwykłych gości: Styryjczyków, przybyszów z Unii, ciemnoskórych południowców wciągniętych w pajęczą sieć jego knowań. Nigdy jednak nie widział, by Calder traktował kogoś z takim szacunkiem, z jakim odnosił się do tego niepozornego, bezbronnego człowieczka.

– Przyjdzie, mistrzu Sulfurze – powiedział Czarny Calder, kładąc w pojednawczym geście dłoń na stole pomiędzy nimi. – Zaręczam.

– Nigdy nie dawałeś mi powodów do zwątpienia – zapewnił go Sulfur. – Jak dotąd. – I poufale poklepał dłoń Caldera.

Calder przełknął ślinę i cofnął rękę.

– Szkoda, że twój mistrz nie mógł przybyć.

– Istotnie, szkoda. – Sulfur z uśmiechem powiódł wzrokiem po ociekającym tłuszczem i piwem tłumie. – Wprost uwielbia wyrafinowane konwersacje. Niestety, pewne sprawy zatrzymały go na zachodzie.

– Nic poważnego, mam nadzieję?

– Nieporozumienie z dwoma innymi członkami naszego zakonu. Brat Zacharus i siostra Cawneil mają... własne poglądy na niektóre sprawy.

– Ech, rodzina... – mruknął Calder. Spojrzał na brata i zmarszczył brwi. – Nasi najlepsi przyjaciele i zarazem najwięksi wrogowie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka dumnym krokiem wmaszerował Stour Zmierzchun – z zadartą głową i nisko przypasanym mieczem wprost ociekał pogardą, aż można się było dziwić, że nie wszedł wprost w palenisko i nie rzucił płomieniom wyzwania, by ośmieliły się go poparzyć. Jego

towarzysze omietli ławy wzgardliwymi spojrzeniami. Zapadła cisza. Magweer spojrział wilkiem na Koniczynę, który zasalutował mu niedojedzonym kawałkiem mięsiva.

– Spóźniasz się? – zadudnił Scale. Wyssał resztki szpiku z kości i rzucił ją pod stół, gdzie jego psy zaraz zaczęły o nią walczyć. – Spóźniasz się na kolację ze swoim królem?!

Stary król i zastęp jego starych pizdusiów popatrzyli spode łba na młodego dziedzica tronu i zastęp jego młodych pizdusiów – ani jedni, ani drudzy nie mieli nic wielkiego do zaproponowania, ale i tak wściekle zazdrościli sobie nawzajem. Pod pewnymi względami idealnie do siebie pasowali; oczami wyobraźni Koniczyna widział, jak każdy z nich staje do walki ze swoim odpowiednikiem z drugiej grupy: szpetny z przystojniakiem, małomówny z gadułą.

– Jakby patrzyli w lustro – mruknął.

– Lustro, które postarza – dodała Cudna.

– Przychodzę, kiedy mi się podoba, kurwa. – Stour przeniósł wzrok z piętrzącego się przed królem imponującego stosu ogryzionych kości na samego króla. – Zresztą słusznie się spodziewałem, że twoje ucztowanie... trochę potrwa.

Chwila chłodu przeciągała się, ale w końcu Scale wybuchnął świszczącym, gardłowym śmiechem. Z wysiłkiem wstał, o mały włos nie przewracając przy tym stołu, gdy zahaczył o niego wydatnym brzuszyskiem.

– Opowiadaj o swoich wiktoriach, bratanku! – zawołał i rozłożył szeroko ramiona. Żelazna prawa dłoń zwisała bezwładnie z końca kikuta.

Stour odpowiedział wilczym uśmiechem i z wdziękiem tancerza obszedł stół dookoła.

– Ostatnio nie ma o czym śpiewać, stryju – powiedział i rzucił się królowi w objęcia. Poklepali się po plecach w pięknym pokazie męskiej miłości. – Ta unijna suka i tchórzliwy Wilczarz cały czas walczą o miano tego, które szybciej przede mną ucieknie.

– Ha! Napieraj więc, chłopcze! Napieraj! Nie daj im wytchnienia! – Scale bez przekonania dźgnął powietrze żelazną



dłonią, a trzymany w drugiej ręce kufel opróżnił i podstawił do ponownego napełnienia.

– Przydałby mu się większy kufel – zauważył półgłosem Koniczyna.

– Nawet dwa – powiedziała Cudna. – Z jednego by pił, a do drugiego by mu nalewali. Biedne dziewczyny nie miałyby chwili spokoju.

Tymczasem Wielki Wilk wciąż żalił się na brak okazji do mordów:

– Jak tak dalej pójdzie, wycofają się za Białą Strugę, a my wygramy, nie dobywszy mieczy.

Scale klepnął go w ramię z taką siłą, że omal nie powalił go na stół.

– Jesteś jak pies szkolony do walki, nie możesz się doczekać, kiedy zerwiesz się ze smyczy! Też taki kiedyś byłem. Też taki byłem...

Król Północnych zapatrzył się w płomienie, oczy rozblęły mu odbitą poświatą ognia. Ponownie opróżnił kufel – i ponownie podał go do napełnienia. Dziewczyna odrzuciła długi warkocz na plecy i pośpieszyła z dzbanem. Ponownie.

Koniczyna też się napił.

– Nie pozwól mi rozpamiętywać dni minionej chwały, Cudna.

Prychnęła.

– Musiałbyś jakieś mieć.

– Opowiedz jeszcze raz, jak pokonałeś Nieznajomego-u-Bram!

– ryknął Scale. Należał do tych mężczyzn, którzy nie umieją zniżyć głosu. – Na pamięć poległych, żałuję, że mnie przy tym nie było! – Uderzył żelazną dłonią o stół, aż zadźwięczała. – Gdzie ta dziewczucha? Należy mojemu dziedzicowi!

Stour rozsiadł się wygodnie i oparł jedną obutą stopę na stole.

– Dobrze, stryju. Kiedy na czele tysiąca wolnych sforsowałem Crinnę, wiedziałem już, że tamci mają ogromną przewagę liczebną...

Cudna rozmasowała skronie.

– Przez ostatnie dziesięć tygodni słyszałam tę historię chyba z dziesięć razy.

– Owszem – przyznał Koniczyna. – I przy każdym powtórzeniu Stour wychodzi na coraz większego bohatera. Niedługo pokona tysiąc barbarzyńców trzymając ręce za plecami i walcząc mieczem przywiązany do fiuta.

– Ci wojownicy... – Sulfur westchnął ciężko, jakby sarkał na niesprzyjającą aurę. – Wydaje mi się, że Wielki Wilk nie jest dziś w nastroju do dyskusji o przeszłości Północy.

– Nie! Mistrzu Sulfurze! – Gdyby chodziło o kogoś innego niż Czarny Calder, Koniczyna powiedziała, że w jego głosie wyraźnie słychać proszący ton. – Jego nastrój jest jak każda burza: szybko przemija.

– Niestety mam wiele naglących spraw. – Wzrok Sulfura prześliznął się po Koniczynie, który zwrócił uwagę na różnokolorowe oczy gościa, lśniące w świetle pochodni. – Ani chwili spokoju, co, panie Stromiarz?

– Na to wygląda – mruknął Koniczyna. Nie miał pojęcia, kim jest ten drań ani skąd zna jego dawne nazwisko, ale doszedł do wniosku, że niebezpiecznym ludziom lepiej przytakiwać. A człowiek, którego lękał się Czarny Calder, musiał być niebezpieczny, nawet jeśli nie nosił miecza. – Dzisiaj nazywają mnie Koniczyna, nawiasem mówiąc.

– Można nazwać wilka krową, ale nie zacznie od tego dawać mleka. Tak samo można nazwać chaos porządkiem. – Sulfur odstawił kufel i wstał. Spojrzał z góry na Caldera. – Mój mistrz rozumie, że chaos bywa czasem niezbędnym, jeśli ma się z niego wyłonić nowy, lepszy ład. Nie ma postępu bez cierpienia. Nie ma tworzenia bez niszczenia. Dlatego pozwala wam prowadzić tę waszą małą wojenkę. – Spojrzał na Scale'a, który zaniósł się śmiechem po kolejnej emfatycznej frazie Stoura. Towarzyszący im obu wojownicy prześcigali się w głośnym wyrażaniu uciechy. – Mój mistrz lubi widzieć, jak gleba od czasu do czasu zostaje przeorana...

Calder pokiwał głową.

– To właśnie staram się robić.

– ...pod warunkiem, że ziemia szybko osiadzie i przyjmie nowy siew. W przeciwnym razie nie mogłby liczyć na zebranie

plonów, prawda?

– Powiedz mu, mistrzu Sulfurze, że wojna wkrótce się skończy – odparł Calder – i nadejdą żniwa bogatsze niż kiedykolwiek przedtem. Zwycięzimy. Twój mistrz zwycięży.

– Ktokolwiek zwycięży, on będzie triumfował, dobrze o tym wiesz. Nadmiar chaosu nikomu jednak nie służy. – Sulfur sięgnął po oparty o ścianę kostur. – Krótka pamięć bywa przekleństwem i zgubą ludzi wielkich. Takich jak twój ojciec na przykład. Radzę ci nie zapominać o tamtej zbiorowej mogile pod Osrungiem.

Uśmiechnął się i odwrócił – uśmiechał się szeroko, szczerze, z błyskiem w oku, ale Koniczyna i tak dostrzegł w tym uśmiechu groźbę. Nachylił się do Cudnej.

– Tak sobie miarkuję... Każdy komuś służy.

– Na to wychodzi – przyznała, odprowadzając wzrokiem wymykającego się z sali Sulfura. – I ten ktoś najczęściej okazuje się kutafonem.

Ledwie Sulfur zniknął, Calder ze złością uderzył pięścią w stół.

– Na pamięć poległych, kurwa! – Spojrzał spode łba na syna, który snuł swoje przechwałki w najlepsze ku uciesze króla. – Zachowuje się gorzej niż zwykle, a mój brat jeszcze go zachęca! Czy nie kazałem ci go sprowadzić na właściwą drogę?

Koniczyna bezradnie rozłożył ręce.

– Nawet najlepszy pasterz bywa bezradny wobec upartego tryka, wodzu.

– Jak tak dalej pójdzie, to z tryka zostanie baranina! Jak to powiedział Stolicus? Nigdy nie lękaj się wroga, ale zawsze go szanuj? Ta cała Brock na pewno nie jest głupia, a Wilczarz na pewno nie jest tchórzem.

– Czekają na dogodny moment. – Koniczyna westchnął. – Prędzej czy później zastawią na nas pułapkę.

– I jak tak dalej pójdzie, ci dwaj bohaterowie wmaszerują prosto w nią. – Calder zmierzył syna najposępniejszym ze spojrzeń. – Jak to się stało, że ma tak mało ze mnie?

– Nigdy nie musiał żyć w ciężkich czasach – odparła

półgłosem Cudna.

Koniczyna skinął na nią palcem.

– Oto surowy głos doświadczenia. Porażki przynoszą człowiekowi o wiele więcej korzyści niż zwycięstwa. – Podrapał się delikatnie po bliźnie na twarzy. – To najpiękniejszy dar, jaki dostałem w życiu. Nauczył mnie pokory.

– Pokory, też coś! – prychnął Calder. – Nie znam większego zarozumialca od ciebie.

– Na świecie aż roi się od ludzi, którzy chcieliby mnie złamać.

– Koniczyna uniesieniem kufła pozdrowił Magweera, który wybrał go sobie na obiekt kolejnych złowieszczych spojrzeń, gdy męska legenda Stoura osiągnęła punkt kulminacyjny. – Nie widzę powodu, dla którego miałbym im ułatwiać zadanie.

– Ty w ogóle nie widzisz powodów, żeby robić cokolwiek.

Nie było sensu zaprzeczać. Na szczęście dla Koniczyny Król Północnych wybrał ten właśnie moment, by z mozołem wstać i uciszyć tłum gestem żelaznej dłoni.

– Oto słowa mądrości – mruknął bez szczególnej satysfakcji Czarny Calder.

– Mój ojciec, Bethod... – zagrzemiał Scale; chwiał się na nogach, bo dobre piwo i słabe kolana robiły swoje – ...obwołał się Królem Północnych! Pobudował miasta i połączył je drogami. Zmusił klany do zjednoczenia się i stworzył państwo tam, gdzie nie było państwa!

Ani słowa o trzydziestu latach krwawych rzezi, które do tego doprowadziły. To właśnie jest najpiękniejsze w spoglądaniu w przeszłość: można wybrać kawałki, które nam pasują, a nieszczęsne prawdy rzucić na wiatr.

Scale zrobił tymczasem marsową minę i zapatrzył się w płomienie.

– Mój ojciec został zdradzony. Mój ojciec został zgładzony, a jego królestwo zostało rozszarpane jak kawał mięcha przez wygłodniałe psy. – Zdrową ręką wskazał Stoura. – Ale naprawimy dawne zło. Zniszczymy ten pierdolony Protektorat Wilczarza! Wypędzimy Unię z Północy! Stour Zmierzchun, mój bratanek i następca, będzie rządził niepodzielnie od Białej

Strugi po Crimnę, a nawet dalej! – Uniósł kufel; ochlapując sobie przy tym pierś piwem. – Marzenie Bethoda trwa w jego wnuku, Wielkim Wilku!

Wszyscy wzniesli kufle – Koniczyna i Cudna także – i zaczęli się przekrzykiwać, skandując imię Stoura.

– Nadal uważam, że jest kutafonem – szepnął Koniczyna, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Z każdym dniem coraz większym – wycedziła Cudna.

Stuknęli się kuflami i wypili, bo Koniczyna nigdy nie przejmował się zbyt tym, za co pije – grunt, żeby pić.

Calder nie dołączył do toastu. Spoglądał wilkiem na brata, który opadł ciężko na ławę i ryknął, żeby mu dolać piwa.

– Niektórzy nigdy się nie uczą – mruknął Calder.

– Wszyscy się uczy my. – Koniczyna popatrzył na starych wojowników, potem na młodych i delikatnie podrapał się po bliźnie. – Niektórzy muszą uczyć się na błędach.

## Umowa

– Obiecałeś mi coś, Gunnarze. – Słowa Liddy dobiegały zza cienkiej ściany przytłumione, ale zrozumiałe. – Obiecałeś, że będziesz unikał kłopotów.

– Próbowałem, Liddy. Wcale ich nie szukałem, one... same mnie znalazły.

– Nie pierwszy raz.

Savine spojrzała na siedzącą pod przeciwległą ścianą May. Światło wpadające przez krzywo osadzone okno podkreślało jej mocno zaciśnięte szczęki. Odwróciła głowę, jakby udawała, że nie słyszy rodziców.

– Próbuję po prostu przeżyć kolejny dzień – zabrzmiał głos Gunnara. – Jakoś to wszystko ogarnąć.

Ogarnięcie czegokolwiek w Valbecku nie było łatwe. Zamieszki praktycznie ustały, ale upał, złość i strach okryły miasto całunem wcale nie mniej gęstym niż dymy w czasach, gdy jeszcze działały piece hutnicze. Strach przed przemocą. Strach przed głodem. Strach przed tym, co będzie, gdy wrócą władze. Strach przed tym, że nie wrócą. Kwestia tego, kto aktualnie rządzi, zależała od osoby, której zadano to pytanie, rejonu miasta, a także pory dnia. Jeżeli w tym zniszczeniu, w tym szaleństwie był jakiś plan, to Savine go nie widziała. Nikt nie był dziś w Valbecku bezpieczny – może zresztą nikt nigdy nie był w nim bezpieczny, może poczucie bezpieczeństwa było kłamstwem, które ludzie powtarzali między sobą, żeby jakoś żyć.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie, co czuła, kiedy dźgnęła zezowatego w pierś. Albo kiedy cięła mieczem tego w czapce. Lekki nacisk na wnętrze dłoni, lekkie szarpnięcie rękojeści... Zabicie człowieka okazało się szokująco łatwe. Powtarzała sobie,

że nie dali jej wyboru, a mimo to widziała pod powiekami ich twarze, gdy tylko zamykała oczy. Zaczynała szybciej oddychać, pocić się, czubkami palców rozcierała spocony, swędzący kark, a serce biło jej tak samo jak wtedy.

– To co, teraz jesteś Destruktoorem? – spytała za ścianą Liddy.

– Malmer pomaga innym jak może, więc ja będę pomagał jemu. Mogę stać na barykadzie, rozdawać jedzenie... Nie jestem już wojownikiem. Nie jestem pasterzem. Kim powinienem być?

– Moim mężem. Ojcem May.

– Wiem. Nic innego się nie liczy, ale... Co mam robić? – Dziwnie było słyszeć łzawy, niemal błagalny ton w głosie człowieka, o którym Savine wiedziała, że potrafi być skrajnie niebezpieczny. – Nie mogę po prostu siedzieć i nic nie robić, prawda? Kiedy ludziom dzieje się krzywda.

W głosie Liddy nie było cienia słabości. Savine zdumiewała jej siła. Mimo otaczającego ją koszmaru Liddy starała się normalnie żyć, pracować i się uśmiechać.

– Pomaganie ludziom od krzywdzenia ich dzieli bardzo cienka linia, Gunnarze. A ty masz skłonność do jej przekraczania.

– Staram się po prostu postępować słusznie, tylko że... Czasem trudno się w tym połapać.

Głosy przycichły i przeszły w stłumiony pomruk, gdy zza okna dobiegły krzyki. Pewnie jakaś bójka. Savine kulila się w sobie, aż hałasy oddaliły się i w końcu całkiem ucichły.

Oblizła wargi. Cisza była trudna do zniesienia. Wcale nie miała ochoty się odzywać, ale było to lepsze niż ponowne oglądanie tamtych twarzy.

– Moi rodzice też się czasem kłócili.

May spojrzała jej w oczy.

– O co?

– O pracę ojca. O picie matki. O mnie. Zawsze byłam ulubionym tematem ich scysji.

Czy teraz też się o nią kłócili? Spuściła wzrok na tanie deski, popękane i pełne drzazg. Lepiej nie myśleć o dawnym życiu, lepiej udawać nową osobę, która pasuje do nowej sytuacji; która

wie, że może mówić o szczęściu.

Liddy oddała jej swoją sukienkę, o ile można tak nazwać bezkształtny wór z surowego płótna, starannie połatany i zalatujący tanim mydłem – i Savine była jej za to wdzięczna. Gunnar wyszukał dla niej materac, a właściwie gryzący siennik, z którego wyłaziła słoma. Savine była przekonana, że siennik roi się od wszy, ale i tak była za niego wdzięczna. Dzieliła z May pokój nie większy niż jej garderoba w domu w Adui; deszczułki przezierały spod spękanego tynku na ścianach, wokół obłazącej z farby framugi okiennej rozkwitał wielki pleśniowy kwiat, w dodatku nie miała co marzyć o prywatności – ale także za ten pokój była wdzięczna. Kiedy zostawała sama, wspomnienia tego, co zobaczyła – i co zrobiła – w dniu, w którym wybuchło powstanie, wypełniały jej umysł jak brudna woda dziurawą łódź i pociągały ją za sobą, aż czuła, że tonie.

Myślała o tym, żeby wydostać się z miasta, prawda jednak była taka, że ledwie starczało jej odwagi, by wyrzeć przez okno, nie mówiąc już o wyjściu na ulicę. Przekonała się, że jest znacznie mniej odważna, niż zrozumiała sądziła, kiedy przychodziło do szantażowania inwestorów, wybierania peruk czy wydawania wyroków śmierci towarzyskiej na adueńskich salonach. Zawsze uważała się za hazardistkę, najbardziej zuchwałą kobietę w całej Unii; teraz do niej dotarło, że za każdym razem gra była ustawiona pod nią. Nigdy wcześniej nie musiała ryzykować życia i nagle podniesienie stawki nie przypadło jej do gustu.

Przez pierwsze kilka nocy przyświecały sobie świecą, ale świeca się skończyła i teraz jedynym źródłem światła były łuny odległych pożarów co rusz wybuchających w mieście. Zaczynało wszystkiego brakować. Sklepy zostały splądrowane, rezydencje bogaczy obrano ze wszystkiego, do gołych legarów i krokwi. Destruktorzy rozprawdzali trochę żywności, ale z dnia na dzień było jej coraz mniej.

Savine miała świadomość, że w slumsach życie jest ciężkie, ale gdyby w ogóle się nad tym zastanawiała, miałyby znacznie bardziej romantyczne wyobrażenia na ten temat niż złudzenia,



z którymi łatwiej jej się żyło: śliczne, roześmiane dzieci baraszkuje w rynsztokach, rechoczące stare kobiety zajęte gotowaniem kości w garze, krzepcy mężczyźni poklepujący się po plecach i śpiewający czystym głosem stare, dobre robotnicze pieśni wokół ogniska, w którym płonęły resztki ich mebli. Ach, to poczucie braterstwa, ten duch, ta szlachetność ubóstwa!

Okazało się, że nie ma nic romantycznego w sraniu do kubła przy świadkach, nic uduchowionego w zbieraniu kości z kurczaka na jutrzejszy obiad, nic z siostrzanej miłości w kobietach, które rzucają się sobie do gardeł w walce o skrawki jedzenia ze śmietników, nic szlachetnego w skurczach żołądka od zanieczyszczonej wody z pompy, wszach wygrzebywanych spod pach, nieustannym zimnie, głodzie i strachu.

A jednak te surowe warunki nie skłoniły jej do współczucia ludziom, którzy musieli tak żyć na co dzień i mieszkali w takich samych domach w całej Unii – domach, z których ona czerpała zyski. Chciała tylko raz na zawsze się stamtąd wyrwać. Może była samolubna. Nikczemna. Nawet zła. Kiedy w dniu wybuchu powstania zapłakana uciekała przez miasto, przysięgała bogu, w którego nie wierzyła, że jeżeli przeżyje, stanie się dobrym człowiekiem.

A teraz wolałaby być zła, jeśli dzięki temu mogłaby się umyć.

– Widziałam cię w domu pułkownika Vallimira – powiedziała May.

Savine spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Nie udało jej się ukryć zaskoczenia. Niedający jej spokoju strach, odczuwany jako ustawiczne klucie, nagle przybrał na sile.

– Że co? – wychrypiała.

– Wczorom w przeddzień powstania – ciągnęła niewzruszona May – podałam ci galaretkę.

Savine zerknęła ku drzwiom, nie miała jednak co marzyć o wydostaniu się z domu bez przechodzenia przez sąsiedni pokój, gdzie człowiek, który na jej oczach rozdeptał głowę drugiemu człowiekowi, właśnie sprzeczał się z żoną.

– Była paskudna – mruknęła.

– Pamiętam, że próbowałam oszacować, ile kosztowała twoja

suknia – dodała May.

Znacznie więcej niż ten pokój. Zapewne więcej niż cały ten dom.

– Miałaś inne włosy – mówiła dalej dziewczyna, patrząc na porastający wygoloną czaszkę Savine mysy puszek. – Peruka?

– W Adui wiele kobiet je nosi.

A więc May ją rozpoznała. Rozpoznała ją od razu, ale nikomu nie powiedziała. Savine wzięła głęboki wdech, usiłując nie okazać strachu. Próbowwała myśleć trzeźwo, tak jak myślała na spotkaniach ze współnikami w interesach i podczas negocjacji z konkurentami.

May powoli pokiwała głową, jakby czytała jej w myślach.

– Piękne suknie. Wstrętne galaretki. Inny świat, co? Zapytałaś mnie, co myślę o mieście.

– Byłaś... bardzo szczerą.

– Chyba aż za bardzo. Zawsze miałam z tym problem. Ale wstawiłaś się za mną. Słuchałam przez dziurkę od klucza, wiem, że mnie broniłaś.

Savine odkaszlnęła.

– To dlatego mnie przygarnęłaś?

– Chciałabym móc powiedzieć, że tak. – May pochyliła się na krześle i zwiesiła chude dłonie między kolanami. – Ale to nie byłaby do końca prawda. W domu Vallimirów aż wrzało od plotek o twoim przybyciu. Wszyscy koniecznie chcieli cię zobaczyć. Wiem, kim jesteś, pani.

Savine drgnęła.

– Nie musisz tak się do mnie zwracać.

– To jak mam mówić? Savine?

Savine się wzdygnęła.

– Też nie. Tak będzie lepiej dla nas obu.

May zniżyła głos do szeptu:

– A „lady Glokta” będzie w porządku?

Savine się skrzywiła.

– Tego nazwiska lepiej nie wymawiać nawet w myślach.

Zapadło długie milczenie. Patrzyły na siebie bez słowa. U sąsiadów za ścianą ktoś zaczął śpiewać. Ludzie zawsze

wybierali wesołe piosenki; życie było wystarczająco żałosne, żeby nie trzeba było o tej nędzy śpiewać.

– Mogę zapytać... czy zamierzasz komuś o mnie powiedzieć?

May odchyliła się na oparcie.

– Ojciec myśli, że jesteś zagubioną sierotą. Matka się domyśla, że jesteś kimś, ale w życiu nie wpadnie na to, kim dokładnie. I niech tak zostanie. Bo gdyby to się wydało... – Zawiesiła głos.

Ładnie to wymierzyła, naprawdę nie trzeba było więcej słów. Savine przypomniała sobie tłum w tkalni, wszystkie oczy wpatrzone w nią... Tłuszcza. I ta nienawiść malująca się na ich twarzach.

Ostrożnie oblizwała wargi.

– Byłabym ci... ogromnie wdzięczna za zachowanie dyskrecji. Mogłabym ci się... odwdzięczyć.

– Na to właśnie liczę.

Savine odwinęła górny skraj sukni – serce dudniło jej w uszach *bum, bum, bum* – sięgnęła palcem pod strzępiący się materiał i wyłowiła kolczyki, które miała w uszach w dniu wybuchu powstania: jeden, potem drugi, niezwykle błysk złota w półmroku.

– Weź je. – Jej entuzjastyczny ton zupełnie nie pasował do negocjatorki z takim doświadczeniem. – To złoto i...

– Raczej nie będą pasowały do mojego zestawu. – May prześliznęła się wzrokiem po swojej nędznej sukieneczynie, zanim znów spojrzała na Savine. – Zatrzymaj je.

Milczenie się przeciągało. Było oczywiste, że May wszystko zaplanowała: poczekała na dogodną chwilę i ustaliła cenę.

– Czego chcesz?

– Chcę, żeby ktoś zaopiekował się moją rodziną, kiedy przyjdzie do wyrównywania rachunków. A przyjdzie.

– Z pewnością. – Savine zacisnęła dłoń na kolczykach i opuściła rękę.

– Żadnych kłopotów z inkwizycją. Bezwarunkowe ułaskawienie dla mojego ojca. Chcę, żebyś znalazła nam nowe miejsce do życia i załatwiła rodzicom dobrą pracę. To wszystko: masz zadbać o nasze bezpieczeństwo, tak jak my dziś dbamy

o twoje.

May długo patrzyła Savine w oczy: próbowała ocenić, czy można jej ufać. Na jej miejscu Savine zrobiłaby to samo.

– Możesz to zrobić? – zapytała May.

Cóż za ożywcza odmiana: negocjacje, w których nie trzyma się żadnych atutów.

– To naprawdę drobiazg – zapewniła ją Savine.

May splunęła w dłoń i wyciągnęła do niej rękę. Pokój był tak mały, że prawie nie musiała pochylać się na krzesło.

– Umowa stoi?

– Stoi.

Uścisnęły sobie dłonie.

## Nowy pomnik

– Masz pojęcie, ilu robotników zginęło przy budowie dróg króla Casamira? – zapytał Risinau.

Ośloniwszy oczy dłonią przed wściekle palącym słońcem, zadarł głowę i spojrział na pomnik górujący nad Placem Casamira – a właściwie na jego resztki, bo na wysokim na osiem kroków postumencie, oplecionym w tej chwili rozchwierutany rusztowaniem, ocalała tylko para gigantycznych butów oberżniętych na wysokości łydki. Poobtłukiwane kawałki dzieła Aropelli – słynnego posągu legendarnego króla, który pobił Północnych i przyłączył Angland do Unii – wały się po bruku pomazane niechlujnie wypisanymi hasłami. Triumfujący wyrostek próbował łomem odłupać nos Jego Wysokości.

Vick przerywała ciszę tylko wtedy, kiedy była pewna, że może zaproponować coś lepszego. Risinau należał do ludzi, którzy sami odpowiadają na swoje pytania.

– Tysiące! Tysiące pochowane w midderlandzkiej ziemi w bezimiennych mogiłach przy traktach. Mimo to Casamir został zapamiętany jako bohater. Wielki król. A te jego piękne trakty? Co za dar dla potomności... – Risinau prychnął pogardliwie. – Ileż to razy przechodziłem przez ten plac i spoglądałem w górę na ten hołd złożony tyranowi, ten symbol ucisku?

– Bez wątpienia jest to plama na przeszłości Unii – odezwał się Malmer, który stał za jego plecami w towarzystwie Gunnara Pleczystego. Risinau niechętnie odwrócił się do niego. – Mnie jednak bardziej martwi terażniejszość.

Większość Destruktorów zachowała jeszcze żarliwość neofitów albo przynajmniej udawała, że ją zachowuje, ale Pleczysty poprawił okulary i marszcząc brwi, z wyraźnym

powątpiewaniem spojrzął na resztki pomnika. Można się było tylko domyślać, co się stanie, kiedy więcej ludzi zacznie dzielić jego wątpliwości.

Zaprzątnięty wznioślejszymi sprawami Risinau nie zwracał sobie tym głowy.

– Spójrzcie, bracia, co dziś osiągnęliśmy! – Klepnął Malmera i Pleczystego po ramionach, jakby chciał ich wziąć w objęcia. – Obaliliśmy Casamira! Na jego miejscu wystawimy pomnik tym, których jego pycha przywiodła do śmierci.

Ciekawe, pomyślała Vick, ilu robotników umrze przez pychę Risinaua. Nie będzie to raczej mała liczba. Nietrudno obalić króla, który od dwustu lat nie żyje; ten obecnie panujący może stawić bardziej stanowczy opór. Zaczynała dochodzić do wniosku, że były superior inkwizycji jest przynajmniej w połowie szalony. Cóż, ostatnio w Valbecku odnotowano generalny deficyt zdrowia psychicznego i nic nie wskazywało na to, by sytuacja miała się w najbliższym czasie zmienić.

Praktycy stale kręcili się wokół Risinaua jak psy wokół tłących się śmieciowisk. Zrzucili czarne szaty i zdjęli maski, ale bystre oko nadal potrafiło wychwycić charakterystyczne ślady opalenizny wokół ust. Szczególnie licznie występowali w okolicy Domu Pytań, przemianowanego optymistycznie na Dom Wolności, gdzie polowali na nielojalnych obywateli. Albo może właśnie na lojalnych, bo idea lojalności stała się dość płynna.

Powstanie zmieniło wiele rzeczy, wiele jednak było takich, które pozostały smętnie znajome. Robotnicy jak dawniej harowali, praktycy jak zwykle obserwowali, a przeróżni ważniacy po staremu dyrygowali wszystkimi, nie biorąc się przy tym do żadnej pracy.

To miała być Wielka Zmiana?

– Od samego początku, odkąd ten szarlatan Bayaz stworzył Unię, opierała się ona na wyzysku zwykłych ludzi – perorował Risinau. – Pojawienie się maszyn, bezbrzeżna chciwość inwestorów, wyniesienie pieniądza do rangi boga i zrobienie z banków jego świątyń to tylko najświeższe i najbardziej ponure aneksy do naszych dziejów. Musimy położyć nowe teoretyczne

podwaliny pod nasze państwo, przyjaciele!

– Prawdę mówiąc, bardziej mnie teraz interesuje nakarmienie tych wszystkich ludzi – odparł Malmer, kolejny raz podejmując wysiłek ściągnięcia go na ziemię. – Pierwszego dnia spłonął jeden z tych wielkich spichrzów, drugi jest pusty, a lejący się z nieba żar bynajmniej nie pomaga. Część studni w starej części miasta już wyschła, wody z pozostałych psu bym nie dał...

– Umysł również potrzebuje stawy, bracie. – Risinau odpędził machnięciem ręki muchę (w gorącym i dusznym mieście muchy radziły sobie znakomicie) i uśmiechnął się do Vick. – Sibalt też na pewno ci to powtarzał.

Gdyby Sibalt powiedział jej coś takiego, najpewniej złamałaby mu nos. Takie pierdolety mógł sadzić tylko ktoś, kto nigdy nie był naprawdę głodny.

– To był dobry człowiek. – Risinau uderzył się pięścią w pierś. – Odczuwam jego brak jak brak kawałka siebie. Chyba dlatego tak bardzo lubię z tobą rozmawiać, siostró. To dla mnie najlepsza dostępna namiastka rozmowy z nim.

Vick rzadko pozwalała sobie na luksus nielubienia ludzi – równie rzadko, jak na luksus ich lubienia, bo jedno i drugie mogło grozić śmiercią. Zaczynała jednak autentycznie gardzić Risinauem. Był pyszny jak paw, samolubny jak małe dziecko, a na dodatek zaczynała przypuszczać, że mimo wyrafinowanego słownictwa, jakim się posługuje, jest zwyczajnym idiotą. Mądrej głowie dość dwie słowie; kiedy ktoś się nadmiernie rozgaduje, tylko próbuje ukrywać swoją głupotę. Nie wierzyła, żeby ten spasiony marzyciel był w stanie samodzielnie zorganizować takie powstanie: do tego był potrzebny zawodnik wagi ciężkiej – i miała ogromną ochotę się dowiedzieć, kto to taki. Kiwała więc głową, słuchając wygadywanych przez niego bzdur, z taką miną, jakby nigdy w życiu nie słyszała równie doniosłych prawd objawionych.

– Aresztowałem go tutaj za spiskowanie. – Risinau zapatrzył się w dal. – Dwadzieścia lat temu, tuż po tym, jak wstąpiłem do inkwizycji. W Valbecku dopiero wylewano fundamenty pod

pierwsze fabryki. Obaj byliśmy wtedy młodzi, idealistyczni... Aresztowałem go, ale ostatecznie musiałem mu przyznać rację. Przewidział, że robotnicy będą uciskani i gnębieni. – Westchnął ciężko. Jego pulchna dłoń spoczywająca na wydatnym brzuchu uniosła się i opadła w rytmie oddechu. – Zwolniłem go. Chciałem, żeby został moim informatorem, wmawiałem sobie, że udało mi się go przekabacić, tymczasem to on przekabacił mnie. A może przekabaciliśmy się nawzajem. Siadywaliśmy razem i do późna w noc dyskutowaliśmy o tym, jakie ciosy zadamy w imieniu szarego człowieka, tylko my dwaj i... Tkacz.

Vick zmarszczyła brwi.

– Myślałam, że to ty jesteś Tkaczem...

– To tytuł zapożyczony od lepszego ode mnie – odparł w zadumie Risinau, zanim jego kapryśny umysł znalazł sobie nowy obiekt zainteresowania. – Nie uważasz, że powinniśmy nakreślić jakiś manifest? Stworzyć robotniczy odpowiednik Zamkniętej Rady? – W jego oczach znów pojawił się charakterystyczny błysk, jakby patrzył w przyszłość, w stronę lepszego jutra. – Sibalt byłby zachwycony...

– Posłuchaj, bracie. – Malmer zainicjował jeszcze jedną próbę obudzenia go z pięknych snów. Podszedł bardzo blisko, Risinau aż się nastroszył. – Ja też znałem Sibalta i wiem, że był dobrym człowiekiem, ale on już nie żyje, a wielu żywych potrzebuje naszej pomocy. Ludzie są głodni, chorzy, przestraszeni. – Zniżył głos. – Prawdę mówiąc, ja też się boję.

– Nie musisz się bać! Nikt już nie musi się bać. Powstrzymaliśmy przecież zamieszki, prawda?

– Za dnia tak, ale nocami w dalszym ciągu dochodzi do pobić, linczów nawet. I nie tylko fabrykanci padają ich ofiarą. Także cudzoziemcy. Służący. Ludzie korzystają z okazji do wyrównania rachunków. Biorą, co chcą. Musimy zaprowadzić ład.

– I zaprowadzimy go, bracie! Niektórzy robotnicy zbyt długo byli gnębieni, należało się spodziewać, że po odzyskaniu wolności dadzą się ponieść emocjom. Ale nasi więźniowie są bezpieczni w Domu Pytań... to jest, Wolności. Chciałem



powiedzieć: Domu Wolności. Burmistrz, dowódca straży miejskiej, różni ważni obywatele, przy czym „ważni” to w tym przypadku najbardziej zachłanni i zdeprawowani...

– A co z Savine dan Gloktą? – przerwał Risinauowi Malmer. – Podobno była w mieście.

– Była. – Risinau wzdrygnął się z niesmakiem. – To wyjątkowo kostyczna, arogancka i nieuprzejma młoda kobieta, uosobienie współczesnej chciwości. W charakterze gościa przy stole byłaby niewiele lepsza od swojego ojca.

– Nie interesują mnie jej maniery, lecz raczej to, co moglibyśmy za nią wytargować.

– Wygląda na to, że prześliznęła się przez oka naszej sieci. Jak już wspomniałem, w dniu, w którym wybuchło powstanie, w mieście zapanował chaos, większy nawet, niż się spodziewaliśmy...

Zatroskany Pleczysty spojrzawszy sponad okularów na Malmera.

– Miejmy nadzieję, że Sędzia jej nie dorwała – powiedział.

Vick poczuła gwałtowny przypływ niepokoju.

– A dlaczego Sędzia miałaby ją dorwać?

– Podpalacze kontrolują sporą część starego miasta. Nie są wybredni, każdy może paść ich ofiarą. Musieliśmy postawić barykady.

– Nie mamy pojęcia, co się tam dzieje – przyznał Malmer. – Wiemy jednak, że wzięli zakładników. Podobno Sędzia rozgościła się w gmachu sądu...

– Gdzieżby indziej? – Risinau parsknął śmiechem, ale nikt mu nie zawtórował.

– Zapowiedziała, że będzie sędzić więźniów za zbrodnie przeciw ludowi.

– Ilu ma więźniów?

– Dwa tysiące? Trzy? Fabrykantów, bogaczy, ale też mnóstwo biedoty. Kolaborantów, tak ich nazywa. Kolaborantem może być każdy, kto według niej nie wykazuje dostatecznej żarliwości, a ona wysoko zawiesza poprzeczkę.

Zgroza dławiała Vick w gardle.

– Musimy ich uwolnić. Jeżeli chcemy negocjować...

– Sędzia nigdy nie słyszęła z nadmiaru zdrowego rozsądku. – Risinau wzruszył ramionami, jakby miał do czynienia z naturalnym kataklizmem, wobec którego jest całkowicie bezradny. – A po wybuchu powstania do reszty zwariowała.

– Podpalacze cię posłuchają?

– No cóż... To ludzie nieprzewidywalni. Nadzwyczaj zapalczywi. Pewnie dlatego nazywają ich Podpalaczami. – Znów się zaśmiał, ale widząc śmiertelnie poważną minę Vick, zakaszał i wrócił do tematu: – Mógłbym chyba poprosić ją o uwolnienie więźniów...

– Albo mógłbyś wysłać mnie, żebym o to poprosiła. – Vick spojrzała mu w oczy i wytrzymała jego spojrzenie. – Tak właśnie postąpiłby Sibalt. Ty musisz się skupić na sprawach najważniejszych: zasady, reguły, manifest. Ja porozmawiam z Sędzią.

To się Risinauowi spodobało. Oczy mu się zaświeciły na myśl o równiutkich akapitach schludnego odręcznego pisma. O szlachetnych deklaracjach. O prawach i swobodach.

– Zaczynam rozumieć, siostró, dlaczego Sibalt tak cię cenił. Weź ze sobą paru ludzi.

– Nie omieszkam.

Po spotkaniu z Sędzią Vick miała świadomość, że powinna zabrać wielu ludzi, i to przygotowanych na użycie przemocy. Traf chciał, że jej faworyt stał tuż obok.

– Bracie Gunnarze? – Spojrzała na tatuaż na wierzchu jego dłoni. – Coś mi mówi, że będziesz wiedział, gdzie znaleźć ludzi, którzy umieją walczyć.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią ponad oprawkami okularów.

– Obiecałem żonie, że nie będę niepotrzebnie ryzykował.

– Jeżeli nic nie zrobimy, ryzyko będzie jeszcze większe. Jeśli jedynej córce arcyrektora stanie się krzywda, Jego Eminencja nie spocznie, dopóki wszyscy nie trafimy na stryczek. – Vick obejrzała się na Risinaua, który objaśniał właśnie swoim praktykom, jak ma wyglądać jego nowy pomnik. Żył we śnie, który mógł się przerodzić w powszechny koszmar. – Jak tak

dalej pójdzie, ten nowy pomnik będzie naszym nagrobkiem.

## Wszyscy równi

Tu rządili Podpalacze – i to było widać. Niektóre domy zostały splądrowane, a ich wyłamane drzwi zwisały koślawo na wygiętych zawiasach. Inne, spalone, ziały jamami pustych okien, a osmolone cegły ze ścian albo obalonego komina leżały rozsypane na spieczonej słońcem pylistej drodze. Wszędzie walały się gruz i potłuczone szkło, podarte ubrania i połamane meble były porozwlekane po całej okolicy jak po przejściu huraganu. Cuchnęło tym bardziej, im głębiej się zapuszczali: odory zgnilizny, szczyń, zwęglonego drewna i zastarzałego dymu mieszały się i dusiły w lepkim upale.

Sarlby trzymał kuszę w gotowości, przepatrując czujnym wzrokiem kolejne wejścia do domów.

– Przed powstaniem nie było tu chyba wielu zamożnych ludzi – zauważył.

– W ogóle.

– A mimo to domy zostały okradzione i spalone.

– Biedni zawsze czują się skrępowani przy bogatych. Dlatego, jeśli mają wybór, wolą rabować takich samych jak oni.

– Nie ociągać się! – syknęła przez ramię Vick. – Zwarty szyk.

– Nie powiem, żeby podobało mi się przyjmowanie rozkazów od kobiety – burknął Sarlby. Nie próbował się jednak stawiać.

– Ta dziewczyna wie, co robi – odparł Pleczysty. – To więcej, niż mógłbym powiedzieć o przeciętnym oficerze w Styrii.

– Co racja, to racja.

– Kiedy pomyślę o ostatnich pięciu latach, to muszę przyznać, że podejmowałem same gówniane decyzje. Dlatego dziś staram się słuchać kobiet i po prostu zakładam, że chcą dobrze. Liddy mówi: „zbuduj barykadę”, to biorę i buduję barykadę. May mówi: „przygarnij tę dziewczynę”, to przygarniam.

– Mówisz o tej ostrzyżonej na łyso? Zamieszkała z wami?

– Nazywa się Ardee i ma dwie lewe ręce. Kiedy Liddy poprosiła ją o pomoc w kuchni, ta spojrzała na garnek takim wzrokiem, jakby pierwszy raz w życiu widziała coś podobnego.

– Pleczysty odął policzki. – Ale May ją polubiła, więc Ardee mieszka z nami.

– Ciężkie czasy, co? Każdy orze, jak może.

– Ciężkie czasy... A bywają w ogóle lżejsze? Oto jest pytanie.

Umilkli i nagle zrobiło się aż nazbyt cicho. Pleczystemu mignęła jakaś postać w głębi zaułka, twarz w oknie, która zaraz zniknęła, dwie osoby walczące o kość, które czmychnęły, gdy tylko się zbliżyli. Ktoś się tu napracował pędzlem: wszędzie było widać namazane hasła – malowane na fasadach literami wysokimi na trzy kroki albo gryzmołone na drzwiach literkami drobnymi niby w książce.

– Co tu jest napisane? – spytał Sarlby.

Pleczysty poprawił okulary na spoconym nosie i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

– Jebać króla – przeliterował. – Jebać królową. Jebać ich wszystkich. Powstańcie. Bierzcie, co do was należy. I tak dalej.

– Ciuchy ci podpieprzą – mruknął Sarlby, kręcąc głową – ale na pamiątkę zostawią piękny slogan. Zastrani Podpalacze. Zwykle łajdaki.

– Ot, polityka. Łajdacy wynajdujący usprawiedliwienia dla swojego łajdactwa.

– Piękne ideały i szara rzeczywistość są jak olej i woda – mruknęła Vick. – Nie łączą się. – Przykucnęła za węglem budynku i gestem przywołała swoich ludzi. – Teraz cicho. Jesteśmy na miejscu.

Sąd w Valbecku był wspaniałą budowlą – dostojne schody z kolorowego marmuru, na górze dostojne kolumny portyku... Ktoś jednak wspiął się już na dach i zerwał część miedzianego pokrycia kopuły, spod którego wyjrzała pajęczyna więźby. Stojący po sąsiedzku ogromny budynek nowego banku kilka dni wcześniej musiał się prezentować jeszcze piękniej, ale dziś została z niego wypalona skorupa. Kiedy szli przez pusty plac

przed bankiem, popiół tworzył małe wiry wokół butów Pleczystego.

– Ktoś próbował ich tu zatrzymać – zauważył, gdy ostrożnie weszli na schody. Poobijane drzwi, na wpół zerwane z zawiasów, zwisały luźno w futrynie.

– Oby nam poszło lepiej – odparł Sarlby, gładząc kuszę.

Po bokach wejścia stały dwa posągi – dwie niewiarygodnie dostojne damy w szlachetnych, zgoła niezyciowych pozach: jedna trzymała w dłoniach księgę i miecz, druga zerwany łańcuch. Pewnie sprawiedliwość i wolność, domyślił się Pleczysty.

Podpalacze stracili głowę Wolności i na jej miejscu osadzili łeb padłej krowy; muchy łaziły po szklistych ślepiach, strugi krwi zakrzepły na poobtłukiwanym marmurze. Na marsowym obliczu Sprawiedliwości pojawił się namalowany czerwoną farbą wielki uśmiech, a na jej piersi wymalowany ociekającymi farbą literami napis: „Już my wam pokażemy sprawiedliwość, kurwa”.

Vick przeszła pomiędzy nimi.

– Mają poczucie humoru ci Podpalacze – zauważyła.

– O, tak – przytaknął Pleczysty. – Jeszcze jakie.

Wejście do wielkiej sali sądowej nie było strzeżone, ale na ławkach dla publiczności rozsiadło się trochę Podpalaczy – albo po prostu złodziei, alfonsów, hazardzistów i pijaczków, bo trudno byłoby ich odróżnić. Niektórzy wiwatowali, gwizdali głośno i wygrażali pięściami, inni leżeli omdlali wśród pustych butelek. Jakaś parka umościła sobie gniazdko ze starych zasłon i siorbiąco-młaszczące odgłosy ich karesów niosły się po całym wnętrzu. Jakiś ciemnoskóry Kantyk z takim zapamiętaniem zaciągał się fajką nabitą plewami, że Pleczysty zastanawiał się, czy nie próbuje w pojedynkę zadymić całego miasta. Muchy bzycały w gęstym jak zupa powietrzu, śmierdziało niemytymi ciałami. Na wyłożonej mozaiką podłodze ktoś czerwoną farbą namalował toporny wizerunek kutasa, ale padający przez dziurę w dachu deszcz zmył pół rysunku i utopił go w rdzawej kałuży.

Sędzia – obłąkana wodzirejka tego karnawału głupców – siedziała wysoko ponad tłumem, w przeznaczony dla sędziów łożu. Na czubku rozwichrzonej rudej czupryny miała zatknięty czarny sędziowski biret. Cała była obwieszona kradzionymi klejnotami: upierścienione palce, jedna ręka zakuta w bransoletki, łańcuchy szefów gildii, sznury pereł i damskie naszyjniki splątane w krzykliwy kłęb i opadające na sfatygowany kirys. Jedną długą, chudą nogę przerzuciła leniwie przez podłokietnik połączanego fotela; tatuaże wiły się wokół odsłoniętego białego uda. Na widok tej nogi Pleczysty odczuł wstydliwie łaskotanie gdzieś w głębi swojej istoty – takie samo czuł w chwilach zwiastujących rychły wybuch przemocy.

W roli oskarżonego występował stary, kościsty więzień: ręce miał związane za plecami, przeredzone włosy sztywne od krwi, podbródek pokryty zarostem. Pilnujący go dwaj strażnicy nosili kolorowe stroje clownów, ale ich miecze były jak najbardziej prawdziwe.

– Richter dan Vallimir! – przemówiła szyderczym tonem Sędzia. – Pomijając już wszystko inne, jesteś oskarżony o posiadanie tego chujowego „dan” w nazwisku...

– Winny!

Na ławie przysięgłych zasiadało dziesięć dziwek (osiem płci żeńskiej i dwóch chłopców) oraz odziany w fartuch krępy mężczyzna, który wyglądał na zdumionego swoją pozycją. Jedna z kobiet zerwała się na równe nogi, aż zadzwonił zawieszony na jej szyi dzwoneczek. Jej umalowana twarz wykrzywiła się w obłąkańczym grymasie.

– Winny jak sto skurwysynów!

– Panie przysięgłe! – Sędzia grzmotnęła w pulpit siekierą, aż wióry poleciały. – Ile razy mam powtarzać? Morda w kubeł, kurwa wasza mać, dopóki nie przedstawię wszystkich zarzutów!

– Nie uznaję tego sądu! – Vallimir wypiął pierś. – Nie uznaję go! – Ktoś z publiczności rzucił w niego zepsutym owocem, ale chybił i pocisk rozbił się o ścianę, gnijąca maź spłynęła po pięknej starej boazerii. – Nie macie prawa mnie sądzić, ścierwa!

– Mylisz się! – zagrzmiała Sędzia. – Pokażcie mu nasze

prerogatywy!

Jeden z clownów uderzył oskarżonego pałką w głowę, aż ten zatoczył się na barierkę. Drugi postawił go do pionu. Świeża krew spłynęła po twarzy Vallimira.

Sędzia pogroziła mu ciężką od pierścieni dłonią.

– Nasze prawo to prawo pięści! Nasze prawo to prawo ostrej stali! Nasze prawo to prawo siły, ty mażąc się pizdo! To jedyne prawo, jakie się liczy. – Odpowiedziały jej słabiuchne wiwaty nielicznych przytomnych członków publiki. – Powinieneś o tym wiedzieć, byłeś przecież żołnierzem. Co na to obrona? Gdzie ten kutas Randock?

Zza stołu pokrytego warstwą popiołu, na którym stały puste butelki i leżał obrzmiały zdechły kurczak, wstał drżący mężczyzna. Był całkiem nagi, jeśli nie liczyć rozbitych okularów na nosie. Rękami zasłaniał klejnoty rodowe. Jego plecy były litą masą fioletowych krwiałków.

– Obrona nie ma nic do powiedzenia, wysoki sędzie – wybelkotał. – To sytuacja nie do obrony.

Zaniósł się histerycznym śmiechem i osunął z powrotem na krzesło, które zakolebało się na trzech nogach i omal nie zrzuciło go na podłogę. Przysięgli byli zachwyceni.

Sędzia się nie śmiała: zauważyła już Vick i jej Destruktorów, którzy weszli pojedynczo przez drzwi i rozstawili się w ławach dla publiczności. Spojrzenie jej czarnych oczu na dłużej spoczęło na Pleczystym, który poczuł, jak wstydlive łaskotanie rozlewa się po całym jego ciele. Powtarzał sobie, że jest zabójcza niczym skorpion, ale to nie pomagało. Wprost przeciwnie.

– Nie przypominam sobie, że bym wzywała świadków. – Skrzywiła się. – Mogę was oskarżyć o obrazę sądu.

– Można to i tak nazwać – zgodziła się Vick, rozglądając się po sali. – Risinau nas przysłał. Chce waszych więźniów.

Sędzia pociągnęła długi łyk ze stojącej przed nią butelki. Na widok pijących ludzi Pleczystemu zawsze chciało się pić, ale kiedy patrzył, jak język Sędzi owija się na szyjce butelki, bardziej niż zwykle zapragnął znaleźć się na jej miejscu. A może na miejscu butelki?



Sędzia zmrużyła oczy, patrząc na Vick.

– Jeżeli Risinau czegoś chce, niech przyjdzie osobiście.

– Przysłał mnie.

– Powinam się bać?

Pierwsi Podpalacze zaczęli sobie zdawać sprawę z przybycia gości; toczyli dokoła przekrwionymi oczami, niemrawo sięgali po broń.

Vick nie zrobiła kroku w przód ani się nie cofnęła.

– Jeśli oddasz nam więźniów – odparła – to nie.

– Moich więźniów czeka sąd, siostró! Ale nie martw się. – Sędzia machnięciem ręki wskazała ławę przysięgłych. – Te kurewki działają jak błyskawice. Czasem muszę je uciszać, żeby nie wydały wyroku, zanim zdążę podać choćby nazwisko oskarżonego! Gdyby urzędowały w Adui, w trymiga pozbylibyśmy się zaległości w sądach i można by zwolnić wszystkich prawników.

– Żeby dawali dupy na ulicy! – zakwicziała jedna z dziwek.

Odpowiedzią przysięgłych był chóralny wybuch śmiechu. Nagi adwokat wzdrygnął się i wbił wzrok w swoje stopy.

Sędzia pochyliła się, a uśmiech na jej twarzy przeszedł w drapieżny grymas.

– Nie po to obaliliśmy naszych panów, żeby teraz mieć nowych! Na mój gust Risinau próbuje się wywyższyć ponad robotników jak król ponad poddanych, jak...

– Jak sędzia ponad przysięgłych? – podsunęła Vick.

– Auć! – Sędzia wygięła usta w podkówkę. – Zraniona własną bronią... Cwana z ciebie sucz. – Wychyliła się z łoży i wrzasnęła w stronę stojącego poniżej biureczka pisarza sądowego, przy którym siedziała stara żebraczka: – Wykreśl to z protokołu!

– Przecież i tak nie umiem pisać – mruknęła żebraczka, ale posłusznie wróciła do gryzmolenia w księgach.

– Ja to rozumiem. – Teraz Vick postąpiła krok w przód. – Chcesz im odpłacić. Nie wątpię, że rachunek krzywd jest długi. – Pleczysty nie pojmował, jak udaje jej się zachować taki spokój wśród otaczającego ich szaleństwa. – I zapewniam cię, że nikt bardziej ode mnie nie pragnie tej odpłaty, ale jesteśmy teraz

odpowiedzialni za całe miasto i jego mieszkańców. Potrzebujemy karty przetargowej.

To była dobra próba, bardzo spokojna, bardzo rozważna. Tylko że zdaniem Pleczystego nie był to czas ani miejsce na spokój i rozwagę. Gdy przychodzi co do czego, liczy się tylko prawo pięści. W tej kwestii Sędzia miała rację, a on wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Stojący obok niego Sarlby odblokował spust kuszy.

Sędzia nieśpiesznie wstała, wsparłszy się pięściami o pokancerowane biurko, i przygarbiła kościste ramiona. Kradzione łańcuchy zakolebały jej się na piersi.

– Ach tak... Zamierzasz zaprowadzić moich więźniów do naszych ciemiężców i oddać ich w zamian za lepszy świat. Jakaś ty złotousta...

Wystawiła język i poruszyła jego koniuszkiem w sposób, który Pleczystemu wydał się zarazem odrażający i osobliwie podniecający. Była ucieleśnieniem kłopotów, wszystkiego, od czego się odżegnywał. Miał wrażenie, że już patrząc na nią, łamie daną Liddy obietnicę, ale i tak nie mógł oderwać od niej oczu.

– Dajże spokój... – prychnęła. – Wolności nie można kupić. – Chwyciła siekiere i uderzyła nią w biurko, aż wszyscy podskoczyli. – Trzeba ją sobie wyrębać! Trzeba spalić skurwysynów i wygrzebać ją z ich popiołów! Spójrzcie na siebie, żałośni frajerzy. Jesteście bandą tchórzy bawiących się w Wielką Zmianę. Niech ktoś zabierze mi tych głupców sprzed oczu.

– Tak jest, wysoki sędzie! – Jeden z clownów podszedł do Vick. – Kazała wam spadać, więc...

Urwał w pół słowa i kwiknął żałością, gdy Pleczysty złapał go za szyję i cisnął nim przez salę. Clown uderzył w stanowisko dla świadków, głową zrobił wgniecenie w boazerii i opadł na ziemię w płataninie członków i połamanego drewna. Jego miecz zaklekotał na posadzce.

Nastąpiła jedna z tych długich, przeciągających się chwil ciszy. Pleczysty słyszał za sobą głośne, przyspieszone oddechy, szurgot stóp wstających ludzi, klekot kuszy, którą Sarlby

podniósł do ramienia, niegłośny szcęk dobywanych mieczy. Zdjął okulary, złożył je i schował do kieszeni płaszcza. Był gotowy. Zawsze był gotowy.

– Ooooho! – Gardłowy głos Sędzi przeszedł w mięciutkie mruczenie. Po zdjęciu okularów została z niej niewyraźna połyskująca plama, ale Pleczysty i tak wiedział, że w tym momencie patrzy prosto na niego. – Ty mi się podobasz. Masz w sobie diabła. Swój pozna swego, co?

Pleczysty odniósł wrażenie, że stoi na skraju przepaści; wystarczyłoby go lekko szturchnąć, żeby spadł. Jego własny głos dobiegł z bardzo daleka. Brzmiał zupełnie obco.

– Nie chcę nikomu zrobić krzywdy...

– Ależ chcesz, kurwa, chcesz! Masz to wypisane na całym ciele! Bo nic innego nie umiesz, prawda? Za to w krzywdzeniu innych jesteś najlepszy! Nie przepraszaj! Nie gaś swojej świecy, zły człowieku! Niech płonie! Twoje miejsce jest wśród nas. Twoje miejsce jest przy mnie. Nie chcesz nikomu zrobić krzywdy? – Sędzia zacmokała z dezaprobatą. – Twoja usta mówią „nie”, ale twoje pięści są innego zdania.

Ktoś położył Pleczystemu dłoń na ramieniu, delikatnie, ale stanowczo.

– Chcemy tylko więźniów. – Głos Vick. Niewzruszony jak kamienny mur. – Wtedy nikomu nie stanie się krzywda.

Ta cudowna, straszna chwila przeciągnęła się jeszcze trochę, zanim Sędzia w końcu opadła na swój fotel, wystawiła język i pierdnęła przeciągle.

– Uparta z ciebie suka, nie ma co. Jak coś ucapisz zębami, to już nie puścisz, choćby cię kijami okładali. Wiesz, dlaczego nazywają mnie Sędzią?

– Tak po prawdzie to nie.

– W porcie w Kelnie rozstrzygałam spory wśród kurew. Rozsądzałam, co słuszne, a co nie. Uwierz mi, te dziewczyny potrafią się pokłócić dosłownie o wszystko. O wszystko, kurwa. A czasem trzeba umieć dojść do kompromisu. Przecież wszyscy stoimy po tej samej stronie, prawda? Wszyscy chcemy lepszego świata? Świata, w którym wszyscy będziemy równi?

– To się zgadza – przytaknęła Vick. Nie cofnęła ręki z ramienia Pleczystego, który odczuwał w nim wyraźne mrowienie. – Wszyscy równi.

– Nawet jeśli stosujemy różne metody. Bo moja może zadziałać, a twoja na pewno nie zadziała. Ni chuja. – Sędzia skinęła ręką w wielkopańskim geście. Błysnęły pierścienie. – Zabierzcie więźniów, ale jeśli wydaje się wam, że dostaniecie od Kulasa coś w zamian, to czeka was gorzka nauczka. Woźny?

Mężczyzna wystąpił z tłumu i głośno uderzył w podłogę drzewcem pozłacanej halabardy. Uśmiechał się od ucha do ucha, a z ubrania miał tylko brudną skarpetę na przyrodzeniu.

– Co jest, kurwa? Znaczy, słucham, Wysoki Sądzie.

– Zaprowadź naszych czcigodnych gości na dziedziniec, gdzie wypoczywa większość naszych więźniów. I licz się ze słowami, nędzniku. Nasi goście są bardzo wrażliwi. – Skinieniem ręki Sędzia odprawiła Vallimira. – Jego też zabierzcie, farciarz pierdolony. Parciarz fierdolony. Ha! Ogłaszam zakończenie rozprawy.

A zatem na dziś koniec z przemocą. Pleczysty nie był pewien, czy odczuwa ulgę, czy raczej rozczarowanie, kiedy założył znów okulary i spojrzał na Sędzię. Wskazywała go palcem rozpromieniona w obłąkańczym uśmiechu.

– A co do ciebie, mój piękny łotrze, to kiedy znudzi ci się udawanie, będę czekać. I przyjmę cię z otwartymi ramionami. – Zdjęła biret i rzuciła nim w kantyckiego palacza. – Podziel się tą fają, kutafonie! Nabij i przynieś.

Pleczysty patrzył na nią jeszcze przez chwilę, wsłuchany w dudniący mu pod czaszką puls, a potem dał się wykierować Vick w stronę wyjścia i – w ślad za owłosionymi pośladkami woźnego – na zewnątrz. Odprowadzały ich gwizdy i szyderstwa przysięgłych, ale brakowało w nich przekonania. Podpalacze chwilowo nasycili się sprawiedliwością.

Idąc za Vick po ciemnych schodach, odniósł wrażenie, że dobiega go skrzypienie okrętowego takielunku; wielokrotnie słyszał ten dźwięk, patrząc na wydymane wiatrem żagle podczas rejsu do Styrii. Tyle że nie było żadnego powodu, by na

tyłach sądu ktoś zgromadził taką masę drewna i lin.

– Ożeż kurwa... – szepnął Sarlby, gdy wyszli przed budynek.

Na brukowanym dziedzińcu, na który z obu boków wychodziły porozbijane okna, Podpalacze zainstalowali na podporach tuzin wielgachnych dźwigarów, być może wykradzionych z jakiejś budowanej fabryki. Z tych belek w regularnych odstępach zwieszały się ciała – mogła ich być setka, mogło być więcej. Kołysały się lekko na wietrze: mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy.

Wszyscy równi. Bez dwóch zdań.

– Ożeż kurwa – powtórzył szeptem Sarlby.

Nikt poza tym się nie odzywał. Vick stała i patrzyła. Pleczysty stał i patrzył. Wzniosłe ideały, takie jak te, które zaprowadziły go do Styrii, potrafią zawieść człowieka także w inne, mroczne miejsca.

– W celach siedzą ci, którzy jeszcze nie byli sądzeni. – Woźny pociągnął nosem i poprawił brudną skarpetę. – Ich pewnie też można sobie wziąć.

## Głupota młodych

– Książę Orso nie przybędzie. – Leo gniewnie tupał, idąc za matką po kruszących się stopniach. Za nim szedł Wilczarz. – Musimy walczyć.

Jej jedyną odpowiedzią było wyrażające frustrację westchnienie. Wyszła na pokryty mchem szczyt wieży, skąd rozpościerał się piękny widok na dolinę poniżej zrujnowanej twierdzy, wijącą się po jej dnie drogę i wysokie wzgórze po drugiej stronie, zwieńczone gąszczem rdzawych paproci. Na zachodzie droga dochodziła do brzegu wartkiego strumienia i przekraczała go po starym moście. Dalej musiała znajdować się wioska – domów nie było widać, ale dym z ich kominów snuł się wątlą smużką po niebie.

Wiatr się wzmógł i przyniósł odgłosy przemarszu: tysiące ludzi, setki koni i dziesiątki wozów tworzyły mieniącą się wstęgę, ciągnąc drogą wśród wzgórz i przez most. Armia Anglandu wycofywała się planowo na południowy zachód. Od tygodni.

– Mustred i Clensher przyprowadzili dwa tysiące żołnierzy z Anglandu. Nikogo więcej nie dostaniemy. – Leo stanął obok matki i oparł zaciśnięte pięści na kruszących się blankach. – Jeżeli nie przestaniemy się cofać... wyjdziemy na tchórzy.

Jego matka parsknęła oschłym śmiechem.

– Kiedy dowodzi się armią, bycie kobietą ma jedną wielką zaletę: nie muszę się przejmować tym, że okażę się tchórzem. I tak wszyscy się tego spodziewają.

– Ale tym razem naprawdę wyjdziemy na tchórzy!

Wilczarz prychnął.

– Twoja matka była więźniem Czarnego Dowa, stawiała mu czoło i wynegocjowała wolność nie tylko dla siebie, ale także dla

sześćdziesięciu innych ludzi. Nie będziesz jej prawil kazań na temat odwagi, chłopcze. Co innego bać się stanąć do walki, a co innego czekać na okazję do zwycięstwa.

– Pod warunkiem, że kiedyś w końcu przestaniesz czekać! – Leo machnięciem ręki wskazał kierunek, który wydał mu się południowym zachodem: za most, w stronę Anglandu. Kierunek nieustającego odwrotu unijnych wojsk. – Od granicy dzieli nas najwyżej osiemdziesiąt mil. Jeżeli damy się zepchnąć nad Białą Strugę, nie odzyskamy już tych terenów. Protektorat będzie stracony.

Miał nadzieję, że Wilczarz go poprze – w końcu to był jego Protektorat, prawda? A on sam walczył u boku Krwawej Dziewiątki, największego wojownika, jakiego widział świat, wojownika, który wygrał jedenaście pojedynków i w kręgu wywalczył sobie koronę króla Północy!

Ale stary Północny tylko spojrział w głąb doliny, zasępił się i w zadumie potarł wydatną szczękę.

– Trzeba być realistą – odparł półgłosem. – Nic nie trwa wiecznie.

– Doskonale rozumiem, jaka jest stawka w tej grze – zabrała głos matka Leo.

Odwróciła się plecami do traktu i przeniosła wzrok na północny mroczny las, z roztargnieniem skubiąc bezwłosy skrawek skóry na głowie. W dole było widać cały zarys twierdzy na szczycie wzgórza, ściany przemienione w stosy gruzu, osypujące się po zboczu luźne kamienie, napierający na fundamenty las.

– Jeżeli nawet tobie się wydaje, że uciekamy, nasz wróg pomyśli to samo – dodała.

Wilczarz uśmiechnął się od ucha do ucha, zmarszczki rozbiegły mu się z kącików oczu.

– Chcesz z nimi walczyć tutaj!

– Co ty na to?

– Teren jest sprzyjający. – Wilczarz obrzucił baczny spojrzeniem stromo wciętą dolinę, szarą nić rzeki, brązowy sznur traktu, skaliste stoki po obu stronach. – Może nawet

bardzo sprzyjający, jeśli dopisze nam szczęście.

– Zamierzasz walczyć z nimi tutaj?! – Leo wytrzeszczył oczy.

– To wojna, prawda? Stour Zmierzchun wysforował się przed ojca i stryja, wyprzedza ich może nawet o cały dzień marszu. Jego ludzie są rozproszeni, zmęczeni i odsłonięci, a zaopatrzenie kuleje.

– To lekkomyślne z jego strony – zauważył z uśmiechem Wilczarz.

– Błąd, który, mam nadzieję, dzięki nam okaże się dla niego śmiertelny w skutkach.

– Jeśli tylko założymy na hak odpowiednio tłustego robala.

– Wiesz, czym jest sztandar dla wojownika. – Matka Leo odwróciła się do niego. – Twój sztandar będzie idealną przynętą, zwłaszcza po tym, jak zraniłeś dumę Stoura zdobyciem jednej z jego chorągwi. Zaaranżujemy zamieszanie na moście, jakby nasza straż tylna miała kłopot z przeprawieniem się przez rzekę. Oby nie oparł się tej pokusie.

– Ja mam zostać tutaj? – zapytał Wilczarz. – W ruinach?

– Ukryj się i czekaj na mój sygnał. Główne siły Anglandu zostaną skoncentrowane za wzgórzem na południu. Kiedy Zmierzchun zaangażuje się w potyczkę, spadniemy na niego z dwóch stron i przyprzemy go do rzeki. Jeśli zrobimy to, jak należy, zdmuchniemy go w jednym uderzeniu.

– To by pomogło wyrównać szanse.

– A mnie poprawiłoby humor po tym niekończącym się odrocie. Bo możesz mi wierzyć albo nie, Leo, ale jest mi on tak samo niemły jak tobie.

Uśmiech nieproszony rozpląnął się po twarzy Leo.

– Będziemy z nimi walczyć tutaj.

– Pojutrze, mam nadzieję. Co sądzicie o tym planie?

Leo był zbyt zajęty wyobrażaniem sobie zwycięstwa. Dwa wzgórza jak dwie szczęki potrzasku. Arogancki Wielki Wilk zwabiony w dolinę pomiędzy nimi, otoczony przy moście, przyparty do rzeki i zmiażdżony. Ależ pieśni będzie się o tym śpiewało! Zastanawiał się, jak bitwa zostanie nazwana w książkach historycznych.



– Podoba mi się – odparł Wilczarz. – Jeśli można być czegoś pewnym, to na pewno głupoty młodych. Wezwę wojowników z Uffrithu; zbierzemy się tutaj i będziemy gotowi do walki. – Wiatr mierzwił siwe włosy okalające jego pobrużdżoną twarz. – Lady Finree... – Zawiesił głos. – Walczyłem u boku wielkich wojowników. Wielkich wodzów. Walczyłem też przeciwko niektórym z nich. Rzadko jednak zdarzało mi się widzieć lepiej dowodzoną armię, pani. Być może są tacy, którzy w tym, co robiłaś przez ostatnie tygodnie, będą się dopatrywać oznak słabości. – Mlasnął i splunął z blanków w dół. – Ci ludzie nie mają pojęcia o wojnie. Mogłaś zawieść nasze zaufanie. Rzucić nas na pożarcie. Ale nie zrobiłaś tego, dotrzymałaś słowa. Niewielu to potrafi, zwłaszcza gdy widzą, ile ich to będzie kosztowało.

Wyciągnął rękę.

Wyraźnie poruszona i zaskoczona matka Leo zamrugła i przyjęła podaną dłoń.

– Uznam, że dotrzymałam słowa, dopiero gdy znajdziesz się z powrotem w swoim ogródku w Uffricie. Nie wcześniej.

Wilczarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tam właśnie opijemy nasze zwycięstwo.

Odwrócił się i żwawym truchtem zbiegł po zdezelowanych stopniach.

Widząc, jakim szacunkiem stary Północny darzy jego matkę – jakim szacunkiem darzą się nawzajem – Leo pokraśniał z dumy. Wciągnął rześkie powietrze przez nos i sapnął z zadowoleniem.

– Poprowadzę ludzi przy moście...

– Nie – odparła krótko matka. – Potrzebny mi jest tam tylko twój sztandar, żeby zwabić Stoura. Ty nie.

– W takim razie będę dowodził pierwszym rzutem posiłków...

– Nie. – Posłała mu to charakterystyczne spojrzenie z góry, pod którym zawsze czuł się jak mały chłopiec. – Kawalerię będziemy trzymali w odwodzie we wsi Sudlenda. – Skinieniem głowy wskazała dym snujący się nad wzgórzami za mostem. – Tam właśnie zostaniesz przydzielony.

– Do odwodów?! – Leo machnął ręką w stronę doliny.

W stronę chwały. W stronę pieśni. – W końcu stajemy do walki, a ty mnie odsyłasz do taborów?

– To nie zsyłka do Ostenhormu, nie przesadzaj. – Mięśnie przy skroni matki drgnęły, gdy zacisnęła szczęki. – Jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli, a jest to całkiem prawdopodobne, przyjdiesz nam z odsieczą i zostaniesz bohaterem. Po to tu przecież wszyscy jesteśmy, prawda? Mamy być świadkami narodzin twojej legendy.

– To niesprawiedliwe! – zaskomlał żałośnie. Niedająca mu spokoju myśl, że matka może mieć rację, wprawiała go w jeszcze większą złość. – Kiedy walczysz o życie, nie zostawiasz najlepszego miecza w domu na kominku i nie ruszasz do szarży uzbrojona w nóż do chleba!

– W tej armii nie brakuje ludzi, którzy umieją walczyć – odparła lodowato spokojnym tonem, choć na jej policzki wypełzł gniewny rumieniec. – Doświadczonych żołnierzy, rozumiejących znaczenie rozważli, planowania i posłuszeństwa, psiakrew! Jesteś lekkomyślny, Leo. Nie mogę ryzykować.

– Nie! – Grzmotnął pięściami w sfatygowane blanki, aż z muru posypały się kamienie. – Wkrótce zostanę lordem gubernatorem! Jestem już dorosły...

– To się, kurwa, zachowuj jak dorosły! – warknęła matka z taką złością, że Leo odruchowo się cofnął. – To nie są negocjacje! Zostaniesz przydzielony do odwodów, koniec dyskusji. Twój ojciec nie żyje, rozumiesz?! On nie żyje, a ja nie mogę stracić także ciebie. – Odwróciła się do niego plecami. – Nie mogę stracić także ciebie.

Ledwie słyszalne drżenie w jej głosie ścięło go znacznie skuteczniej niż najstraszniejszy cios mieczem. Stał jak wryty, zżerany wyrzutami sumienia, zawstydzony i czuł się jak skończony głupiec. To ona pomogła mu się pozbierać, gdy po śmierci ojca rozpadł się na kawałki. Kiedy przy grobie ojca nie uroniła ani jednej łzy, patrzył na nią zapłakany i zarzucał jej, że nie ma serca. Dopiero teraz zrozumiał, że była silna i surowa, bo ktoś musiał taki być; że od tamtej pory miała dość siły, by dźwigać ich oboje. A on, zamiast być jej wdzięcznym, zamiast

być dobrym synem, który pomógłby jej nieść to przygniatające brzemie, mazał się, skamlał i dokuczał jej, jakby jego duma była najważniejsza.

Sam musiał mocno zamrużyć, żeby przegnać łzy. Podeszedł i delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

– Nie stracisz mnie, matko. Nigdy mnie nie stracisz.

Nakryła jego dłoń swoją, która nagle wydała mu się stara i krucha. Skóra marszczyła się wokół knykci.

– Poprowadzę odwody – dodał.

Stali razem na wietrze, patrząc w głąb doliny.

## Koniec balu

Klekot uchwytu kubła, bulgot chlustającej do środka brudnej wody, chlupot i kapanie, gdy podniosła kubel – zasapana, z drżącymi rękami, nogami, ramionami – i podała go May. Wzięła pusty kubel z rąk starca po lewej stronie, ucho zaklekotało charakterystycznie, i znów się pochyliła.

Stała zgarbiona w rzece po kolana. Przemoczoną spódnicę podwinęła i zatknęła za pas ze sznura. Wszelka idea przyzwoitości poszła w zapomnienie w momencie, gdy po raz pierwszy wykuśtykała z tego nazywanego rzeką ścieku, trzęsąc się z zimna w samych reformach.

Klekot, bulgot, chlupot, kap, kap, kap. Od jak dawna napełniała kubły wodą? Miała wrażenie, że upłynęły całe godziny. Błękitny wieczór przeszedł w szary zmierzch, a ten ustąpił miejsca obłąkanej ciemności rozświetlanej łuną pożarów. Początkowo odległa drażniąca woń dymu najpierw zmieniła się w nieprzyjemne łaskotanie w gardle, a potem w dławiące gryzienie, na które nie pomagała nawet zawiązana na twarzy wilgotna szmata. Przy każdym oddechu Savine miała wrażenie, że się dusi. Czuła się tak, jakby tkwiła w tym miejscu od wielu dni – i jakby już na zawsze miała w nim zostać.

Kobiety utworzyły żywy łańcuch i przekazywały sobie napełnione kubły znad rzeki do góry, na brzeg. Dzieci uwijały się wśród zgliszcz, odnosząc puste naczynia. Savine odbierała je i napełniała: klekot, bulgot, chlupot, kap, kap, kap.

Po drugiej stronie rzeki płonęły fabryki, płomienie strzelały wysoko w noc, czarne palce ogromnych kominów rysowały się na tle pożogi, ich odbicia wiły się w leniwie płynącej wodzie. Płonące śmieci spadały na ulice, na plażę, do rzeki – strzelające skrami ogniste ptaszki, roztańczone ogniki unoszące się na

powierzchni czarnego zwierciadła moment przed zgaśnięciem.

Na końcu łańcucha, wśród płonących budynków zmagający się z ogniem ludzie pokrzykiwali, komenderowali donośnie, wydzierali się na siebie nawzajem – może ze złości, może z rozpaczy, a może dla dodania sobie odwagi; Savine była zbyt zmęczona, żeby to rozróżnić. Ze zmęczenia prawie zapomniała, jak się mówi. Zapomniała, jak się myśli. Sama stała się maszyną. Maszyną do napełniania kubłów wodą. Co by powiedzieli jej ważni znajomi z Towarzystwa Słonecznego, gdyby ją teraz zobaczyli? Na tę myśl spróbowała prychnąć, ale prychnięcie utknęło jej w gardle i przyprawiło ją o mdłości. Pewnie doszliby do wniosku, że sobie zasłużyła, arogancka suka.

Klekot uchwytu kubła, bulgot wody, chlupot i kap, kap, kap – i kolejny kubeł oddany May. Ręce, nogi i ramiona trzęsące się z wysiłku. A może z zimna? Z wyczerpania? Ze strachu? Jaka to różnica?

Zadławiła się, zakrztusiła, dopadł ją atak kaszlu, nagły i niespodziewany jak cios pięścią w brzuch. Zgięła się wpół. Przy każdym kaszlnięciu jej cherlawą piersią targał potężny spazm. Ledwie zdążyła zerwać szmatę z twarzy, zanim się porzygała. Niewiele miała do wymiotowania, ot, żółć i brudną wodę, jej własny skromny wkład w zanieczyszczenie rzeki.

Odzyskała władzę nad płucami i schyliła się. Klekot, bulgot, chlupot, kap...

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu.

– Ugasili – powiedziała Liddy.

Savine spojrzała tępo najpierw na nią, a potem na piętrzące się na wysokim brzegu domy: nadal wznosiły się nad nimi kłęby dymu, ale ognia nie było już widać. Wyszła z rzeki i osunęła się na czworaki na oślizłym łupku. Była wykończona. Wygięła plecy w łuk w jedną stronę, w drugą i ból przeszył ją od pięt po nasadę karku – zaledwie mizerny cień tego, co jej ojciec odczuwał zapewne co rano. Może to ją powinno nauczyć współczucia dla niego? Ale nie. Jak sam chętnie powtarzał: ból uczy współczucia tylko dla samego siebie.

– Pożar ugaszony – wychrypiała May i padła obok niej na

brzeg.

Savine usiadła z jękiem i skrzywiła się z bólu, próbując rozprostować palce – pomarszczone od zimnej wody, zdarte do żywego zardzewiałymi metalowymi uchwytami wiader.

– Tam się dalej pali... – wyszeptała wpatrzona w szalejącą na drugim brzegu pożogę.

– Martwmy się o to, co jest tutaj. – W pomarańczowej łunie ognia za rzeką zagłębienia na zapadniętej twarzy Liddy rysowały się wyraźniej niż zwykle. – Bo to, co jest tam...

Savine zrozumiała. To, co było tam, było stracone.

Po przyjeździe do miasta uśmiechała się na widok wszechobecnych placów budowy, żurawi, rusztowań, całej tej materii tworzenia. Od tamtej pory Valbeck stał się jedną wielką areną zniszczenia.

Złapała się na tym, że jakaś cząstka jej umysłu usiłuje oszacować poniesione na skutek pożarów straty finansowe: zniszczone budynki i maszyny, ludzie na bruku... A jakie straty poniosła ona?

W porównaniu z dręczącym ją bólem rąk wszystkie te rozważania wydawały się nieistotne.

Dobrze, że przynajmniej chwilowo powiał wiatr, który spychał kłęby dymu w dół rzeki. Mogła odetchnąć pełną piersią.

– Co się stało? – spytała szeptem.

– Przypuszczam, że Podpalacze puścili z dymem jeszcze trochę fabryk, zanim wynieśli się z miasta. – Liddy próbowała otrzeć twarz wierzchem rękawa, ale tylko rozsmarowała popiół na skórze. – Taki mały prezent pożegnalny.

– Wynieśli się z miasta?

May powiodła językiem po wnętrzu ust i splunęła na ziemię.

– Zmierza do nas następca tronu na czele pięciu tysięcy żołnierzy – wyjaśniła. – Ponoć jutro mają dotrzeć do miasta.

– Orso przybywa? – szepnęła Savine.

Od wybuchu powstania prawie w ogóle o nim nie myślała. Głód, zimno i stała groźba śmierci skutecznie przytępiły jej apetyt na miłostki. Teraz stanął jej przed oczami jego uśmiech, boleśnie wyrazisty. Nagle zrobiło jej się słabo od niemądrej ulgi.

– Wygląda na to, że jakimś cudem wyciągnęli go z burdelu – powiedziała Liddy. – Na pewno przyprowadzi ze sobą kogoś z inkwizycji.

– Ojej... – wyrwała się niezbyt mądrze Savine. Dla większości mieszkańców była to straszna perspektywa, dla niej zaś nowina najlepsza od tygodni.

– Koniec balu – mruknęła May.

Rozległ się głośny hurgot. Savine podniosła wzrok: na drugim brzegu zapadł się właśnie dach płonącej tkalni. Fontanny iskier tryskały w mrok, dym kłębił się wściekle, na jej oczach połowa jednej ze ścian runęła do wewnątrz. Nowa wspaniała epoka waliła się w gruzy.

A księżę Orso przybywał jej na ratunek. Może powinna się śmiać, może płakać, ale nie została w niej już ani odrobina śmiechu, ani krztyna płaczu. Była pustą skorupą.

Siedziała na brzegu rzeki i patrzyła, jak na wodzie tańczą płomienie.

## Jedzenie grochu mieczem

– Atakujemy, Wasza Wysokość?

– Czy atakujemy, pułkowniku Forest? – Orso nie miał pretensji do pułkownika, przecież walka stanowi treść życia zawodowego żołnierza, ale ograniczenia jego wyobraźni stawały się coraz bardziej oczywiste. – Kogo mielibyśmy zaatakować? Samo miasto jest cennym zasobem, nie wrogiem. Jeśli zaś chodzi o jego mieszkańców, to nie mamy pojęcia, którzy pozostali lojalni wobec nas, a którzy nie; kto jest buntownikiem, a kto zakładnikiem. A wypowiedzenie wojny własnym obywatelom... wyglądałoby fatalnie. Moglibyśmy stworzyć więcej rebeliantów, niż zdołalibyśmy zgładzić.

Jeszcze raz spojrział na Valbeck przez lunetę. Widział malutkie domy, wieże, kominy jak szpilki i wznoszące się nad miastem czarne kłęby dymu, pochodzącego – jak się obawiał – raczej z pożarów niż z działających fabryk.

Z największą ochotą poprowadziłby wspaniałą szarżę, wyrznął buntowników w pień i przeszukał miasto dom po domu, aż znalazłby Savine. Porwałby ją w ramiona, ucałował ogniście i tak dalej, a ona byłaby zachwycona. Chociaż raz naprawdę przybyłby jej na ratunek.

Zdawał sobie jednak sprawę, że powinien odłożyć bajki na bok i pomyśleć.

Savine była twarda, o wiele twardsza od niego. I zaradna. O wiele zaradniejsza od niego. Dla niej – w ogóle dla wszystkich – byłoby najlepiej, gdyby zachował ostrożność i działał bardzo powoli i bardzo nudno. Sapnął głośno. Policzki zaczynały go swędzieć od zaczątków brody, która w jego zamysle miała mu przydać żołnierskiego sznytu, choć, prawdę mówiąc, obawiał się, że okaże się tylko kolejnym z jego licznych błędów.



– Zaatakowanie miasta całym korpusem przypominałoby jedzenie grochu mieczem – powiedział. – Trudne, nieporządne, frustrujące, a na dodatek można się dziabnąć w twarz. Musimy zachować spokój. Działać rozważnie. Przeprowadzić stanowczą, lecz konieczną interwencję władz. Musimy zachować się jak dorośli.

Choć raz.

Stanowczym gestem złożył lunetę. Okazywanie stanowczości jest niezmiernie ważne, zwłaszcza kiedy człowiek nie ma zielonego pojęcia, co właściwie robi. Oczywiście improwizował przez całe swoje dotychczasowe życie i jakoś mu się udawało, ale nigdy dotąd los tysięcy ludzi nie był tak bezpośrednio uzależniony od jego całkowitej ignorancji. Ale może taki właśnie powinien być prawdziwy bohater, z ogromnym ego, które pozwala mu tańczyć na krawędzi przepaści i w ogóle nie brać pod uwagę możliwości upadku.

– Otoczyć miasto – rozkazał, postukując w zadumie lunetą we wnętrze dłoni. Spojrzał na widoczny ponad polami Valbeck. – Rozlokować armaty w takich miejscach, żeby były dobrze widoczne, ale nic więcej. Zablokować wszystkie drogi. Odciąć zaopatrzenie. Dać jednoznacznie do zrozumienia, że to my tu rozdajemy karty.

– A potem? – zapytał Forest.

– Potem dowiedzieć się, kto jest przywódcą buntowników, i...

– Orso wzruszył ramionami. – Zaprosić go na rokowania.

– Wojna zawsze jest tylko wstępem do rozmów – zabrzmiał obcy głos. Całkiem niedaleko księcia stał mężczyzna w schludnym cywilnym ubraniu, którego Orso (o ile go pamięć nie myliła) widział po raz pierwszy w życiu: nijaki, niepozorny, z kręconymi włosami i długim kijem w ręce. Uśmiechał się. – Mój mistrz zgodziłby się z Waszą Wysokością bez zastrzeżeń.

Jako następca tronu Orso nawykł do zapominania dziewięciu dziesiątych przedstawianych mu ludzi, a także do tego, że ludzie zupełnie obcy usiłują wtykać nos w jego sprawy, odparł więc z najwyższą uprzejmością:

– Pan wybaczy, ale my się chyba nie znamy...

– To Yoru Sulfur – wyjaśnił superior Pike – członek Zakonu Magów.

– Byłem zajęty gaszeniem pożaru na Północy – rzekł Sulfur, uśmiechając się jeszcze szerzej – gdy zaleciał mnie charakterystyczny gryzący odór Unii stojącej w ogniu. Ani chwili spokoju, co? Ani chwili.

– Jego Eminencja arcylektor – odezwał się znowu Pike – a także ojciec Jego Wysokości, nasz król, bardzo stanowczo nalegali, by mistrz Sulfur do nas dołączył.

– Wyłącznie w roli obserwatora – zastrzegł się Sulfur i zbył słowa Pike'a machnięciem ręki, jakby poparcie dwóch najpotężniejszych ludzi w Unii było dla niego błahostką. – Oraz, być może, doradcy, w miarę moich skromnych możliwości jako reprezentanta mojego mistrza Bayaza, Pierwszego Wśród Magów, którego pilne sprawy zatrzymały na zachodzie. Zawsze jednak ogromnie troszczył się o stabilność i trwałość Unii. Stabilność, stabilność, stabilność; zawsze to powtarza. Stabilna Unia to stabilny świat. A to, co się tutaj dzieje, jest tej stabilności zaprzeczeniem. – Ze smutkiem pokręcił głową, patrząc na wznoszące się znad Valbecku dymy. – Zaczęło się przecież od spalenia banku.

– Ach tak... rozumiem – powiedział Orso, który niczego nie rozumiał. Odwrócił się do Foresta, z którym czuł się znacznie bezpieczniejszy. – Na czym stanęliśmy?

– Wasza Wysokość rozkazał otoczyć miasto.

– A tak, naturalnie. Do dzieła, pułkowniku.

Forest zasalutował sztywno, rozbrzmiały przekazywane rozkazy i wśród tupotu kopyt i brzęku pancerzy ostatnia kolumna Dywizji Następcy Tronu zeszła z traktu, by rozproszyć się na polach w tyralierę i rozpocząć manewr okrążający.

– Łoju?! – zawołał Orso.

Chłopak nieśmiało podszedł bliżej.

– Słucham pana... to znaczy... słucham, Wasza... ehm...

– Wasza Wysokość – podpowiedział Tunny, uśmiechając się kącikiem ust.

– Byłeś w mieście?

Łój pokiwał głową, wpatrując się w księcia Orso wielkimi, błyszczącymi oczami.

– Byłeś na spotkaniu Destruktorów?

Znów skinienie głowy.

– Masz pojęcie, kto tam u nich rządzi?

– Risinau, superior inkwizycji. Przeważał się „Tkaczem”. Wyglądało tak, jakby to on nimi kierował, chociaż gadał jak wariat. Była tam też kobieta nazywana Sędzią. – Chłopak wzdrygnął się lekko. – Jeszcze bardziej szurnięta od Risinaua. I był taki starszy gość, Mulmer albo... Molmer... Jakoś tak. On mi się wydał taki... porządny.

– W takim razie niech będzie Mulmer. – Orso zmarszczył brwi. – Jadłeś dziś? Wyglądasz, jakbyś głodował.

Łój tylko zamrugął.

– Kurczaka lubisz?

Łój wolno skinął głową.

– Żółtko!

– Tak, Wasza Wysokość?

– Idź do mojego kucharza i załatw chłopakowi kurczę z... no, z czym tam będzie chciał.

Żółtko nie był zachwycony.

– Czemu się krzywisz, Żółtko? Uważasz, że to zadanie niegodne ciebie?

– No, jak by to...

– To samo mówisz o każdym zadaniu, jakie ci wyznaczam. Załatw chłopakowi kurczaka, do diabła, a potem weźcie obaj białą flagę i idźcie do Valbecku... Mamy jakąś białą flagę, Tunny?

Tunny wzruszył ramionami.

– Się zawiesi koszulę na kiju i z głowy.

– No to najpierw kurczak, potem koszula na kiju i ruszacie do najbliższej barykady. Powiedźcie im, że księżę Orso, następca tronu, chciałby rozmawiać z Mulmerem, przedstawicielem Destruktorów. Powiedźcie, że jestem gotów negocjować, ba, że chcę negocjować. Że mam chętkę na negocjacje jak ogier na klaczkę.

– Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział Żółtko, nadal

nieszczęśliwie zachwycony.

– Tak jest, Wasza Wysokość – powiedział Łój, wciąż wybałuszając oczy. W jego wypadku ich zmrużenie chyba nie wchodziło w grę.

Kiedy odeszli, Orso oparł jedną rękę na brzuchu i znów zapatrzył się na miasto.

– Hildi! – zawołał.

Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, ubrana w mundurek dobosza i pochłonięta wyplataniem wianka ze stokrotek.

– Zajęta jestem.

– Przynieś mi kurczaka, dobrze?

– Też bym coś zjadła.

– To przynieś wszystkim. Kurczaka, mistrzu Sulfurze?

– To bardzo łaskawe ze strony Waszej Wysokości, ale muszę ściśle przestrzegać określonej diety.

– Magia wymaga dyscypliny, hmm?

Sulfur uśmiechnął się od ucha do ucha, odsłaniając dwa rzędy błyszczących białych zębów.

– Wszyscy musimy się czasem poświęcać.

– Zapewne. Chociaż przyznam, że nigdy nie byłem w tym zbyt dobry.

– Pewnie z braku praktyki – mruknęła Hildi.

Orso parsknął śmiechem.

– Nie będę zaprzeczał. Obawiam się, mistrzu Sulfurze, że po prostu chcę być powszechnie lubiany.

– Jak my wszyscy, Wasza Wysokość. Jednakże ten, który pragnie zadowolić wszystkich, nie zadowala nikogo.

– Nie zamierzam się spierać, wiem tylko, że ja na razie nikogo nie zadowoliłem. – Orso spojrzał na Sulfura, który, nie licząc kostura, tak mało kojarzył się z magiem, jak tylko było to możliwe. – Pewnie nie dałbyś rady załatwić całej tej sprawy jakimś jednym... bo ja wiem... magicznym zaklęciem?

– Magia potrafi zmieść góry z powierzchni ziemi, widziałem to na własne oczy. Ma jednak swoją cenę, która rośnie z każdym upływającym rokiem. Z doświadczenia wiem, że nie da się

przecenić wartości dobrych mieczy.

– Mówisz raczej jak księgowy niż jak czarnoksiężnik.

– Znak czasów, Wasza Wysokość.

– A pan, superiorze Pike? Co pan powie na kurczaka?

Superior nie był zachwycony. Ba, Orso omal się nie cofnął, gdy odrażająco poparzona twarz Pike'a zbliżyła się do jego twarzy.

– Wasza Wysokość zamierza paktować z buntownikami?

– Owszem. – Orso zaśmiał się nieszczercze. – Rozmowa przecież nie zaszkodzi?

– Przeciwnie, może zaszkodzić, i to bardzo. Jego Eminencja nie będzie zadowolony.

– A czy on w ogóle bywa z czegokolwiek zadowolony?

Orso wyszczerzył zęby w uśmiechu. Twarz Pike'a pozostała niewzruszona. Może to przez te poparzenia, może wesołość rozpierała Pike'a od wewnątrz, ale fizycznie nie był w stanie się uśmiechnąć. Może przez cały ten czas rechotał w duchu.

Chociaż wydawało się to mało prawdopodobne.

– Superiorze, najpiękniejsze w byciu następcą tronu jest to, że można przekonywać, nakłaniać, obiecywać, chełpić się i wszyscy muszą słuchać. – Orso nachylił się i wymruczał wprost w szczątki ucha superiora: – A zarazem nie ma się dość władzy, żeby cokolwiek naprawdę zrobić.

Pike uniósł brew. To znaczy wyglądał tak, jakby mógł unieść brew, gdyby mu któraś została. A potem leciuteńko skinął głową, być może na znak aprobaty, i wycofał się, żeby naradzić się z Sulfurem.

Orso został na polu pszenicy sam z Tunnym trzymającym pod pachą zwiniętą chorągiew Niezłomnego.

– O co chodzi, kapralu?

– Największe szkody zawsze i wszędzie wyrządzają herosi, którzy nie mogą się doczekać, kiedy coś się zacznie dziać.

Orso rozpiął górny guzik kurtki. Mundur świetnie leżał mu na brzuchu, ale przy szyi potrafił go wściekle pić.

– No cóż, jeśli w czymś jestem naprawdę dobry, to z pewnością w nicnierobieniu.

- Coś Waszej Wysokości powiem: zaczynam myśleć, że ma Wasza Wysokość zadatki na naprawdę nieprzeciętnego króla.
- Zawsze mi to powtarzasz.
- To prawda. – Tunny uśmiechnął się znacząco, śledząc ruchy otaczających miasto żołnierzy Dywizji Następcy Tronu. – Ale nigdy przedtem nie mówiłem tego serio.

## Bitwa pod Rdzawym Wzgórzem

– Jak noga? – spytała Rikke.

– Boli. – Marszcząc nos, Isern skubała paznokciem szwy. – I trochę zeszywniała – Wyprostowała się z westchnieniem. – Ale ból i sztywność to w sam raz coś, czego można się spodziewać po ranie od strzały.

Włożyła dwa palce do woreczka i zaczęła czymś smarować zaróżowioną, obrzmiałą skórę. Teraz to Rikke zaczęła kręcić nosem: zapach mazidla był nie do opisania.

– Na pamięć poległych – mruknęła, wstrzymując oddech – co to takiego?

Isern zaczęła owijać udo świeżym bandażem.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Może też zostaniesz dziabnięta strzałą i będę musiała cię tym posmarować? Wolałabym, żebyś się wtedy ze mną nie kłóciła. – Zapięła bandaż na szpilkę i krzywiąc się, przesunęła kciukiem po udzie. Rozprostowała kolano, zgięła je, obciążyła na próbę. – Wiedza nie zawsze jest darem, rozumiesz? Czasem lepiej tkwić w przytulnych mrokach ignorancji.

Wetknęła sobie grudkę chaggi między wargę i dziąsło, drugą utoczyła w palcach i podała Rikke, która wgryzła się w nią, zachwyciła się kwaśnym, ziemistym smakiem (dawniej wydawał jej się wstrętny, a teraz nigdy nie miała go dość) i wepchnęła językiem pod dolną wargę.

Było zimno. Nie rozpalali ognisk, żeby zwiadowcy Stoura ich nie wypatrzyli, bo wtedy całą pułapkę diabli by wzięli. Rikke prawie nie spała, a teraz była obolała i głodna, choć jednocześnie dręczyły ją mdłości. Na dodatek zżerały ją nerwy: przebierała palcami, przesuwała grudkę chaggi tam i z powrotem, skubała zawieszona na szyi runy, pociągała za

kolczyk w nosie...

– Uspokój się – zbeształa ją Isern. – Żadna z nas nie pójdzie walczyć.

– Ale chyba mogę się martwić o tych, co pójdą?

– Masz na myśli swojego Młodego Lwa? – Isern uśmiechnęła się szeroko, czubek języka wyszedł jej przez szparę między zębami. – Wiesz, nie można przez całe życie tylko się ruchać.

– Nie można. – Rikke westchnęła ciężko. – Ale warto próbować.

– Przyznaję, słyszałam o mniej szlachetnych pomysłach na życie.

Zapadło długie milczenie. Cisza, nerwy, a wtem ktoś gdzieś zaczął śpiewać basem pieśń o Bitwie na Wyżynach, w której ojciec Rikke pokonał Bethoda. Dawne bitwy. Stare triumfy. Ciekawe, pomyślała, czy w przyszłości ludzie będą śpiewać o Bitwie pod Rdzawym Wzgórzem, a jeśli tak, to kto będzie w tych pieśniach zwycięzcą, a kto pokonanym.

– Kiedy w końcu przyjdą? – zapytała po raz setny.

Wsparta na włócznie Isern patrzyła z marsową miną na wschód. Nad wzgórzami wschodziło słońce, jego oślepiający rąbek rozpalał krawędzie chmur. W dolinie nadal zalegał mrok, co najwyżej tu i ówdzie zamigotał strumień. Nad ciągnącymi się ku północy drzewami zawisła mgła.

– Może już niedługo – odparła – a może trochę później. A może zmienią zdanie i w ogóle nie przyjdą.

– Czyli nie masz pojęcia.

Isern zerknęła na Rikke z ukosa.

– Ech, gdyby tak ktoś zajrzał w przyszłość i powiedział nam, jak to się wszystko rozegra... Miło by było.

– Fakt. – Rikke z westchnieniem oparła brodę na splecionych dłoniach. – Miło by było.

\* \* \*

– Męstwo – powiedział Gławard, wpatrzony z posępną miną



w ognisko. – Śmiałość, lojalność... owszem. Ale w życiu bym nie pomyślał, że najcenniejszą cnotą żołnierza jest cierpliwość.

Barniva przesunął czubkiem kciuka po bliźnie.

– Walka i żołnierskie życie to dwie całkiem różne rzeczy.

Zdaniem Leo były to rzeczy nie tyle różne, ile zupełnie przeciwstawne. Zmarszczył brwi i spojrzał na słońce, widoczne jako blada różowa smuga na wschodzie. Przysięgłby, że wschodzi dziesięć razy wolniej niż zwykle. Na pewno było w zмовie z jego matką.

– Cierpliwość matką sukcesu – mruknął Jurand. Dotknął ramienia Leo, bardzo lekko, tak że tylko on to poczuł. – To ze Stolicusa.

– Ha.

W zwykły dzień o wschodzie słońca Leo już by ćwiczył. Na wieść o tym, że Bremer dan Gorst, facet dobrze po pięćdziesiątce, nadal trenuje po trzy godziny dziennie, Leo postanowił robić to samo. Tylko po diabła komu trening, kiedy ostatecznie siedzi na tyłku całe mile od pola bitwy? Westchnął ciężko i wolno wypuścił powietrze z płuc. Jego oddech skłębił się jak dym, po raz tysięczny tego ranka.

– Możemy tylko czekać. – Kipielnik Jin przesunął kielbaski na patelni, aż zaskwierczały. Widelec ginał w jego wielgachnej łapie. – Czekać i jeść.

Od smakowitego zapachu Leo burczało w brzuchu, ale nie był w stanie myśleć o jedzeniu, za bardzo się denerwował. Niecierpliwił. Frustrował.

– Na pamięć poległych! – Machnięciem ręki wskazał rozproszonych po wiosce opancerzonych żołnierzy: anglandzka kawaleria. Elita bez zajęcia. – Powinna dać nam walczyć! Co ona sobie myśli?

– W Styrii widziałem, jak wygląda źle dowodzona armia – powiedział Barniva. – Tu jest zupełnie inaczej.

– Moim zdaniem – zawtórował mu Jurand – pani gubernator jest wyśmienitym generałem.

– Ale nikt cię o zdanie nie pytał – odciął się Leo, chociaż sam przed chwilą zadał pytanie.

Jurand westchnął, Barniva ciasniej otulił się kocem i obaj wrócili do wpatrywania się w skwierczące kielbaski.

Leo zmarszczył brwi, słysząc stukot kopyt. Samotny jeździec jechał stępa poźłobionym koleinami traktem od mostu: Antaup, swobodnie rozparty w siodle.

– Dzieńdoberek! – zawołał, odgarniając loczek z czoła.

– Co nowego?

Leo nie był w stanie ukryć niecierpliwiej, ochoczej nuty w głosie, chociaż było oczywiste, że żadnych nowin nie będzie. A wyczekiwał ich z takim utęsknieniem jak porzucony kochanek, który nie przestaje tęsknić, choć raz po raz spotyka się z odmową.

– Nic – odparł Antaup. Zeskoczył z konia i ponad potężnymi barami Jina spojrzął na patelnię. – Nie zbywa wam jakaś kielbaska, chłopaki?

Barniva wyszczerzył zęby.

– Dla chłopaka z takim ślicznym uśmiechem kielbaska na pewno się znajdzie.

– Naprawdę musisz? – Leo skrzywił się z niesmakiem. – Co powiedziała? – zwrócił się do Antaup.

Zawsze żałował, że musi o to pytać w taki sposób, ale chyba żaden sposób nie jest dobry, kiedy dorosły mężczyzna przyjmuje rozkazy od własnej matki.

– Kazała nam się nie ruszać. – Antaup położył dłoń na ramieniu Jina, a gdy ten się do niego odwrócił, drugą ręką niepostrzeżenie podkradł mu widelec z talerza. – Powiedziała, że da ci znać, gdyby coś się zmieniło.

Wyciągnął się, żeby nabić na widelec jedną z kielbasek na patelni.

– Ejże! – Jin odepchnął go na bok.

Leo spojrzął z pochmurną miną na zwieńczone czerwienią wzgórze: czarna bryła na tle różowiejącego nieba, tu i ówdzie błysk metalu, gdy żołnierze szykowali się do bitwy. Albo do kolejnego dnia wyczekiwania.

Czekanie, czekanie, to przeklęte, niekończące się czekanie. W nicnierobieniu był naprawdę beznadziejny.

– Jadę na górę! – zapowiedział. Wziął hełm i ruszył w stronę konia.

– Powiedziała jeszcze, że masz nie jechać na górę! – zawołał za nim Antaup z pełnymi ustami.

Leo znieruchomiał i ze złości zazgrzytał zębami, ale po chwili ruszył dalej.

– I tak pojedę.

– Pojedę z tobą – zaproponował Jurand. – Zostawcie kiełbasę dla mnie!

– Dla takiego ślicznego chłopca zawsze mam gotową kiełbasę – zadrwił Barniva.

– Na pamięć poległych... – mruknął Leo i przygarbił ramiona.

\* \* \*

– Mam przeczucie co do dzisiejszego dnia – powiedziała Cudna.

– Dobre czy złe? – zapytał Koniczyna, zajęty okrawaniem starego pęcherza na wielkim palcu stopy.

– Po prostu przeczucie. Że coś się wydarzy.

– Codziennie coś się dzieje.

– Coś wielkiego, głupku.

– Aha. No, to mam nadzieję, że mnie ominie. Wolę rzeczy małe. Zazwyczaj.

– W takim razie musisz być zachwycony swoim fiutkiem – zadrwił Magweer na koniu, ze słońcem za plecami.

Koniczyna nie odczuwał szczególnie palącej potrzeby podniesienia wzroku znad pęcherza.

– Fiutek nie służy do tego, żeby robić przyjemność sobie, smyku, tylko innym. Może tego właśnie nigdy nie załapałeś.

Magweer aż się zjeżył. Z niewiadomych przyczyn ci najbardziej wyrywni do obrażania innych sami mają najcieńszą skórę.

– Więcej czasu poświęcasz swoim bąblom niż broni – odparował.

– Bąble są ważniejsze.

Paskudne rysy Magweera wykrzywiły się w grymasie niezrozumienia.

– Przy odrobinie szczęścia możesz przez całą kampanię ani razu nie sięgnąć po miecz. – Koniczyna przyciął kozikiem ostatni kawałek skórki i wyprostował się, podziwiając efekty swoich działań. – Za to stóp na pewno będziesz używał.

– Ma trochę racji – zauważyła Cudna.

Magweer splunął.

– Stour chce, żebyście dołączyli do niego oboje na czele szyku. Nie mam pojęcia po co.

– Serio? – zdumiał się Koniczyna. – Czyżbyście wy, bohaterowie, nie wystarczali mu za doradców?

– Kpisz sobie ze mnie, dziadku?

Znużony Koniczyna westchnął ciężko. Chłopak wyraźnie miał ochotę się z nim poprzytykać. Z większością ludzi jest tak, że jeśli ty odpuścisz, to i oni dadzą ci spokój, ale niektórzy są uparcie obrażalscy.

– Gdzieżbym śmiał, Magweerze. Ale wbrew temu, co mówią pieśni, wojna jest przygnębiająca. Trzeba więc czasem poprawić sobie nastrój, prawda, Cudna?

– Dlatego uśmiecham się, ile mogę – odparła z kamienną twarzą Cudna.

Magweer spojrział na jedno, na drugie, syknął ze złością, splunął jeszcze raz (na szczęście) i szarpnięciem skierował konia na zachód.

– Albo przeniesiecie się na czoło, razem ze zwiadowcami, albo będziecie mieli kłopoty – zapowiedział i odjechał, aż błocko trysnęło spod kopyt rumaka. Omal nie rozjechał jakiejś biednej kobieciny, która upuściła wiadra pełne wody.

– Bardzo mi się ten chłopak podoba – powiedział Koniczyna, kręcąc głową. – Przypomina mi młodego mnie. To znaczy przypominałby, gdybym za młodu był takim skończonym złamasem.

– Byłeś. Co więcej, nie zauważyłam, żebyś się jakoś znacząco zmienił pod tym względem.

Koniczyna zaczął naciągać but.

– Albo pod jakimkolwiek innym – dodał.

Cudna z niepokojem podrapała się po огоłonej potylicy, patrząc na biegnący ku zachodowi trakt.

– A niech mnie... – mruknęła. – Ależ mam przeczucie.

\* \* \*

– Ani śladu – powiedział ojciec Rikke i oddał jej swoją stareńką lunetę.

– Skoro mówisz, że nic nie widać – odparła – to pewnie nic nie widać. To ty jesteś wodzem, a ja tylko... nie wiem... Jasnovidzką?

– Diabelnie arogancki tytuł, bez dwóch zdań. – Tyle że głównianą.

– Prędzej czy później będziesz musiała zaprzestać ukrywania swojego daru, dziewczyno. A tymczasem, nawet jeśli twoje długie oko działa w kratkę, to twoje zwykłe oczy na pewno są bystrzejsze od moich.

Rikke z westchnieniem wzięła lunetę do ręki i wyjrzała sponad zarośniętych chwastami starych blanków, na wszelki wypadek nie wychylając się zbyt. Kępy kolcolistu na zboczu. Bystry strumień. Owce jak kropki na żółto-zielonej trawie. Plamy słońca i cienia ścigające się po dnie doliny, gdy wiatr pędził chmury po niebie. Dwustu żołnierzy Unii zebrało się przy moście, wokół wozu, który ustawiono w tak przemyślny sposób, jakby dopiero co złamał oś i zablokował przeprawę.

Przynęta na haczyku. Podstęp wydawał się żałośnie oczywisty, ale to zawsze tak wygląda, gdy zna się sprawę od kulis. A ryby i tak dają się złapać.

– Ani śladu.

Rikke oddała lunetę ojcu, poklepała go po ramieniu i zbiegła po schodach.

Na dziedzińcu tłoczyli się wolni Oxela i Czerwonogłowego: robili przegląd broni, jedli, rozmawiali półgłosem. Można by pomyśleć, że przed bitwą ludzie będą podekscytowani, ale znacznie częściej ogarnia ich rzewny nastrój. Kiedy człowiek czuje na grzbiecie cień Wielkiego Rozjemcy, nie skupia się na

swoich nadziejach, tylko rozpamiętuje stare żale.

Isern usadowiła kościsty tyłek na stercie gruzu, która w przeszłości była północnym murem twierdzy, położyła sobie włócznię na kolanach i szlifowała grot oselką.

– Ani śladu? – spytała, nie podnosząc głowy.

Wcześniej Rikke odniosła wrażenie, że w gęstwinie u stóp wzgórza coś mignęło metalicznie, ale teraz niczego tam nie widziała.

– Ani śladu.

Wspięła się na koronę zwałonego muru, chwilę się powierciła, w końcu znalazła wygodne siedzisko i zaczęła rozgarniać rosnące tam zaskakująco ładne chwasty.

– To ciekawe, że pieśni zupełnie pomijają cały ten czas, kiedy człowiek siedzi, czeka i nic nie robi.

Isern wyprostowała gojącą się nogę i skrzywiła się lekko.

– Fakt, skaldowie nazbyt dużo uwagi poświęcają machaniu mieczem. A prawda jest taka, że bitwy częściej wygrywa się łopata niż bronią: drogi, rowy, okopy, porządne latryny... Kopanie drogą do zwycięstwa, tatko zawsze mi to powtarzał.

– Myślałam, że go nie cierpiałś?

– Mógł być strasznym skurwielem, ale to nie znaczy, że nie miał racji. Przeciwnie, na wojowaniu znał się jak nikt inny.

– Szkoda, że... – Rikke zawiesiła głos i wyteżyła wzrok.

W dole pomiędzy drzew wyszedł człowiek, wysoki mężczyzna o jasnych brwiach i nastroszonych jasnych włosach. Miał krótką brodę, trochę się garbił, łokcie sterczały mu na boki. W jednej ręce trzymał miecz, w drugiej topór i patrzył spode łba w górę zbocza – nie na Rikke, tylko na piętrzącą się za jej plecami wieżę.

– Kto to jest? – spytała.

– Ale kto?

Jasnowłosa skinął toporem... i Rikke rozdziawiła usta: wokół niego z lasu wyszły jeszcze ze dwa tuziny uzbrojonych po zęby wojowników. Zerwała się na równe nogi, omal nie zaplątała się w te śliczne chwasty i nie spadła, ale wskazała przed siebie wyciągniętą ręką.

– Tam są ludzie! – wrzasnęła. – Wśród drzew!

Paru wolnych wspięło się na mur i spojrzęło w dół. Jednym z nich był Oxel. Rikke czekała, aż ryknie na swoich ludzi, wezwie posiłki, ale on po chwili tylko przeniósł ten swój szyderczy wzrok na nią i splunął.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno? – burknął. – Nikogo tam nie ma.

– Pojebana suka – mruknął inny, gdy, kręcąc głowami, schodzili z powrotem na dziedziniec.

Przyszło jej do głowy, że może faktycznie wariuje. Albo może wariuje jeszcze bardziej. Spomiędzy drzew wyłaniał się tłum ludzi, były ich setki.

– Ale ty ich widzisz, prawda? – zapytała cichutko Isern.

Wsparta na włócznie góralka spokojnie żuła chagę.

– Byli chamscy, ale mieli rację – odparła. – Tam nikogo nie ma. – Oстрыm łokciem wymierzyła Rikke bolesnego kuksańca. – Ale może ktoś będzie.

– Tylko nie to. – Rikke zakryła oczy dłonią. Jedno z nich było gorące. – Porzygam się.

Schyliła się i wypluła odrobinę gryzącej cieczy. Kiedy podniosła wzrok, tamci wciąż byli na swoim miejscu, wyraźnie widoczni w blasku wschodzącego słońca. Wzniesiona pośrodku ich szyku wielka chorągiew trzepotała na nieistniejącym wietrze.

– Mają flagę.

– Jaką flagę?

– Czarną z czerwonym kołem.

Isern spochmurniała jeszcze bardziej.

– Kiedyś to był sztandar Bethoda – powiedziała. – Dziś należy do Czarnej Caldera.

Ciałem Rikke znów targnęły mdłości, ale tym razem tylko trochę się zaśliniła. Splunęła na ziemię i otarła usta.

– Myślałam, że... Calder jest daleko na północ stąd.

– Długiego oka nie można otworzyć siłą – mruknęła Isern – ale kiedy otwiera się samo z siebie, tylko głupiec nim nie patrzy. – Odwróciła się i pośpiesznie przekuśtykała przez zasłany

gruzem dziedziniec twierdzy, nie bacząc na sarkania roztrącanych mężczyzn. – Czarny Calder zawsze miał paskudny zwyczaj pojawiania się tam, gdzie nie powinien.

– Co chcesz zrobić?

– Ostrzec twojego ojca.

– Jesteś pewna? – Idąc za Isern po kruszących się stopniach, Rikke kątem oka cały czas widziała wychodzących z lasu ludzi. Teraz była ich już cała armia. – A jeśli przyjdą za tydzień? Albo za miesiąc? A może już tu byli, dawno temu?

– Wtedy wyjdziemy na idiotki. – Isern posłała jej szeroki uśmiech i kulejąc, wspięła się na szczyt wieży. – Ale przynajmniej nie będziemy parą trupów w wielkiej stercie trupów. Wilczarz!

– Isern-i-Phail. – Ojciec Rikke zerknął na nią z ukosa. – Oby to było coś ważnego, mam bitwę do...

– Ludzie Czarnego Caldera siedzą w tamtym lesie. – Isern ruchem głowy wskazała na północ. – Chce was zająć z boku, tak sobie miarkuję.

– Widziałaś ich?

– Uczciwie przyznam, że nie. Ale twoja córka ich widziała. – Isern klepnęła Rikke w ramię. – Księżyc uśmiecha się do nas, pobłogosławił ją darem długiego oka. Musimy być gotowi na krew.

– Ty nie żartujesz. – Ojciec Rikke wskazał przeciwny kierunek. – Stour Zmierzchun może w każdej chwili nadciągnąć tym traktem; lady Brock liczy, że domkniemy pułapkę, w którą ma wpaść. Jeżeli nie przybędziemy na czas, cały plan utonie w gównie.

Isern wyszczerzyła zęby, jakby była zachwycona całą tą hecą.

– Gówna będzie znacznie więcej, jeśli pozwolimy, żeby Czarny Calder zakradł się do nas od dupy strony, kiedy będziemy odwróceni, nie uważasz?

Ojciec Rikke przycisnął dłonie do skroni.

– Na pamięć umarłych... Nie mogę zmienić planów tylko dlatego, że ty tak powiedziałaś, Rikke. Po prostu nie mogę.

– Wiem. – Rikke wzruszyła ramionami, unosząc je przy tym



najwyżej, jak tylko się dało. – Ja też bym nie zmieniła.

– Ale mówisz, że ich widziałaś? – zachrypiał Dreszcz.

Spojrzała kątem oka: nadal tam byli, rozciągnięci w długim szyku tuż przed granicą lasu. Setki wolnych, tarcze w jaskrawych kolorach, a pośrodku sztandar Czarnego Caldera.

– Cały czas ich widzę. Ten z przodu się do mnie uśmiecha.

– Jak wygląda?

– Wysoki, chudy, jasnowłosy skurczybyk. Przygarbiony, taki jakby kanciasty. Ma miecz i topór. Oż kurde... – Rikke zgięła się wpół i oparła ręce na kolanach. Zakręciło jej się w głowie.

– Brzmi jak Gwóźdź – powiedział Dreszcz i łypnął spode łba na las. – Gdyby Czarny Calder miał posłać kogoś, żeby zaszedł nas od tyłu, Gwóźdź świetnie by się do tego nadawał.

Ojciec Rikke odchrząknął.

– To możliwe.

– Daj mi paru wolnych – zaproponował Dreszcz. – Rozejrzę się po lesie. Nic nie tracisz, najwyżej nic nie znajdziemy.

Ojciec Rikke spojrzał na niego, na Isern, na swoją córkę i znów na Dreszcza.

– Dobra, rozejrzyjcie się, byle szybko. Jeżeli przyjdzie wezwanie, nie będziemy mogli czekać.

Dreszcz skinął głową i zbiegł na dół. Słońce wspinało się coraz wyżej. Na brunatnej wstędze drogi na dnie doliny pojawili się ludzie: było ich kilku i poruszali się bardzo ostrożnie.

– Na pamięć umarłych! – Rikke zakryła oko ręką. Czuła na skórze dłoni jego gorące pulsowanie. – Powiedz mi, że tych już widzisz!

– To pewnie zwiadowcy Stoura Zmierzchuna. – Isern splunęła na ziemię. – Oczywiście, że ich widzę.

\* \* \*

Zanim Leo przejechał przez gąszcz rdzawych paproci na zboczu wzgórze, mętny, szary świt przeszedł w mętny, szary poranek. Anglandczycy siedzieli w zwartej masie w miejscu

niewidocznym z doliny, uzbrojeni i gotowi. Niektórzy wstali, żeby mu zaszalutować, inni pozdrawiali go gestem obnażonych mieczy, jeszcze inni łamali rozkaz zachowania ciszy i wykrzykiwali „Młody Lew!” – wyglądało na to, że żołnierze są mu bardziej przychylni niż matka.

Kłęczała w paprociach tuż za wierzchołkiem z lunetą przytkniętą do oka i wycelowaną w dolinę, otoczona przez zбитych w gromadkę i szepczących między sobą zwiadowców i oficerów.

Pokręciła głową, gdy się do niej podkradł.

– Zdaje się, że kazałam Antaupowi przekazać ci, żebyś się tu nie pokazywał?

– Owszem, kazałaś, a ja mimo to przyjechałem... – Leo zawiesił głos.

W dolinie było widać ludzi, konnych ustawionych w luźnym szyku i śledzących nieporadne poczynania wojska przy moście. Północni, bez wątpienia.

– Zwiadowcy Zmierzchuna? – spytał niecierpliwym szeptem.

Podala mu lunetę.

– Głównie siły też są blisko: czoło pochodu dociera właśnie do tamtej farmy.

Spojrzał przez lunetę na skupisko jasnych zabudowań w górze doliny. Na brązowej wstędze traktu błysnął metal: kolczugi, groty włóczni. Kolumna zbrojnych zbliżała się do mostu. Wolni, sądząc po kolorowych plamkach, które musiały być ich tarczami. Tak jak po zobaczeniu jednej mrówki w trawie nagle dostrzega się kolejne, tak i Leo zdał sobie sprawę z istnienia następnej kolumny pieszych. I jeszcze jednej.

– Do stu tysięcy diabłów! – zaskrzeczał. Z podniecenia ścisnęło go w gardle. – Połkną przynętę!

Wyteżył wzrok: niedaleko farmy coś łopotalo na wietrze – wysoki szary sztandar. Z tej odległości nie był pewien, co jest na nim namalowane, ale miał przeczucie, że będzie to wizerunek czarnego wilka.

– Chorągiew Zmierzchuna – wyszeptał.

– Owszem. – Matka wyjęła lunetę z jego omdlałej dłoni i sama

podniosła ją do oka. – I tym razem nie mam wątpliwości, że sam Wielki Wilk przybył tu wraz z nią.

\* \* \*

– Co zrobili ci nieszczęśnicy? – spytał Koniczyna, obrzuciwszy zwłoki smętnym spojrzeniem.

– Opowiedzieli się po stronie Wilczarza – odparł Greenway i pokiwał głową, jakby powieszenie całej rodziny na drzewie zasługiwało na pochwałę.

Dwaj niewolni wywlekli z domu kredens, przewrócili go do góry nogami i zaczęli rąbać na kawałki. Koniczyna zmrużył w zadumie oczy.

– Co takiego chcą odkryć za pomocą topora, czego nie znaleźliby, otwierając drzwi?

– Ukrytych skarbów. Może złota.

– Złota? Jaja sobie robisz.

Greenway wygiął usta w płaczliwą podkówkę – nie licząc szyderczych uśmiezków, był to jedyny znany mu wyraz twarzy.

– No to może srebra.

– Srebra? Gdyby skurczybyki mieli srebro albo złoto, to przecież nie bawiliby się w uprawianie marnej ziemi, tylko siedzieliby w miasteczku i chlali na umór. Co i ja powinienem robić.

– Lepiej się upewnić – odparł jeden z rębaczy.

– Pewnie – zgodził się Koniczyna. – A jak nic nie znajdziecie, to pewnie spalicie dom, co? Ogień jest taki śliczny.

Rębajło zerknął głupkowato na Greenwaya i podrapał się po głowie. Wyglądało na to, że Koniczyna trafnie przewidział jego zamiary.

– A kiedy Stour będzie się chciał gdzieś przespać dzisiaj w nocy, to przecież może się zaszyć w zgliszczach – dodał Koniczyna. – Mam rację?

I kręcąc głową, poszedł dalej. Co za marnotrawstwo – ludzi, majątku, wysiłku. Cóż, taka była wojna. Nic, czego by wcześniej

nie widział z dziesięć razy. Jeżeli Wielki Wilk chciał udekorować swoją nową ziemię trupami i słuchać muzyki skrzypiących sznurów, to kimże był on, Koniczyna, żeby go krytykować?

Dogonił przyszłego króla, który pogryzał kradzione jabłko i w towarzystwie Cudnej podziwiał widoki.

– Nie podoba mi się to – powiedział Koniczyna, krzyżując ramiona na piersi. – Bardzo mi się nie podoba.

– Mnie też – zgodziła się z nim Cudna. – Śmierdzi na odległość.

Przed nim droga schodziła pomiędzy dwa wzgórze, w głąb trawiastej doliny o stromych zboczach. Na wierzchołku jednego ze wzgórz ostały się jakieś ruiny, drugie zaś, większe i łagodniejsze, było porośnięte rdzawymi paprociami, które przywodziły na myśl zakrzepłą krew. To skojarzenie również nie przypadło Koniczynie do gustu.

Pomiędzy wzgórzami, na dnie doliny, przez strumień był przerzucony niewielki mostek, przy którym z obu stron kłębili się żołnierze Unii. Wzrok Koniczyny osłabł z wiekiem, ale wydawało mu się, że powiewa nad nimi jakaś flaga.

Obdarzony bystrzejszym wzrokiem Stour zmrużył oczy.

– Czy ja dobrze widzę? – zapytał. – To sztandar Leo dan Brocka?

Koniczynie serce na moment przestało bić. W towarzystwie syna Czarnego Caldera zdarzało mu się to coraz częściej.

– Może czyjś inny? – zasugerował z nadzieją. – Albo w ogóle niczyj?

– Nie, to jego sztandar. – Stour przeżuł następne słowa, zanim je wypluł: – Młody Lew. Co to za imię?

– Nedorzeczne. – Koniczyna podniósł ręce i zatrzepotał palcami. – Za to Wielki Wilk? Ha, to jest imię co się zowie!

Cudna zakwiliła cicho. Kurczowo zaciskała usta, jakby ze wszystkich sił próbowała nie zesrać się w gacie.

Stour spojrział spode łba najpierw na nią, potem na Koniczynę.

– Kpisz sobie ze mnie, stary pierdolcu?

– Ktoś taki jak ja miałby kpić z kogoś takiego jak ty? – zapytał

osłupiały Koniczyna. – Gdzieżbym śmiał! Zgadza się, że „Młody Lew” to głupie imię dla mężczyzny. Przede wszystkim żaden z niego lew, prawda? A poza tym, ile on ma lat? Dwadzieścia parę?

– Mniej więcej – zgodziła się Cudna.

– Biorąc pod uwagę, ile żyją lwy... – Koniczyna zmrużył oczy i spojrzał w szare niebo. Nie miał zielonego pojęcia, ile żyją lwy. – To tak sobie myślę... że raczej taki... stary z niego lew, nie?

Twarz miał gładką i nieskalaną jak świeży śnieg. Liczył na typową dla sławnych wojowników niezdolność do dłuższego skupienia się na drobiazgach – i się nie przeliczył: już po chwili Wielki Wilk zapomniał o całej sprawie, zapatrzony w dół doliny, bez reszty skoncentrowany na moście i powiewającym nad nim sztandarze.

– Dopierdolimy gnojom – powiedział, głośno pociągając nosem.

Cudna nadal wyglądała, jakby zaraz miała narobić w portki, tym razem jednak z zupełnie innych powodów.

– No nie wiem, wodzu... Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Koniczyna wiedział z doświadczenia, że tylko idioci bywają czegokolwiek pewni. Ruchem głowy wskazał zrujnowaną twierdzę wznoszącą się ponad mostem i rdzawo zwieńczony pagórek na drugim brzegu.

– To może być pułapka – ostrzegł. – Jeżeli obstawili te wzgórza, wpakujemy się w niewąskie tarapaty.

– Bez dwóch zdań – zawtórowała mu Cudna, zaciskając zęby.

Stour syknął z irytacją.

– Dla was dwojga wszystko wygląda jak pułapka.

– Dlatego nigdy nie jesteście zaskoczeni – odparł Koniczyna.

– Ale też nigdy nie zaskoczylibyście wroga. Zbierz dwustu wolnych, Cudna. – Stour zacisnął pięści, aż mu pobieleły knykcie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy zacznie okładać przeciwnika. – Dopierdolimy im.

Cudna spojrzała na Koniczynę, unosząc po swojemu brew, ale on mógł jej odpowiedzieć tylko wzruszeniem ramion. Odwróciła się więc i zawołała do jednego ze zwiadowców, żeby sprowadził

więcej ludzi. Cóż innego miała zrobić? Taki już los zastępcy dowódcy: dopilnować, żeby ludzie wykonywali rozkazy wodza. A to, czy wódz jest patafianem, czy nie, nie ma żadnego znaczenia.

\* \* \*

Rikke stała na szczycie zrujnowanej wieży, jeszcze bardziej niespokojna niż wcześniej; żuła chaggę i bez przerwy się wierciła. Nerwy miała napięte jak postronki, prawie nie do zniesienia.

Najpierw żołnierze Unii zostali wypchnięci za most, potem przybyły posiłki i zepchnęły Północnych w tył, potem z kolei Północni doczekali się posiłków i w tej chwili po obu stronach rzeki kłębiło się mrowie ludzi, a traktem wciąż przybywali nowi wolni od Zmierzchuna. Na wieżę dobiegały dziwacznie odgłosy, zniekształcone wiatrem i odległością.

– Przeklęty głupiec wlaźł prosto w naszą pułapkę! – Ojciec Rikke oblizwał w zachwycie wargi.

Nie podzielała jego radości, nie mogła wyzbyć się przeczucia, że to nie Zmierzchun, lecz oni pchają się prosto w pułapkę. Spojrzała w stronę drzew – ludzi, których ujrzała dzięki długiemu oku, nie było w tej chwili widać. Może wtedy widziała tylko ich widmowe powidoki. A może nic.

– Dłużej nie możemy zwlekać. Czerwonogłowy?

– Słucham, wodzu.

– Daj znać Oxelowi i Czerstwemu...

– Czekaj! – szepnęła Rikke. W lesie coś się poruszało, trzaskały gałęzie, stal błyskała wśród liści. – Powiedz mi, że to widzisz!

Twarz ojca sposepniała.

– Widzę.

Dreszcz wybiegł spomiędzy drzew w pełnym pędzie, kierując się w stronę twierdzy. Wraz z nim pojawiła się część prowadzonych przez niego zwiadowców; jeden obejrzał się przez ramię, gdy zaczęli się wspinać na trawiaste wzgórze.

– Wszyscy na mury! – ryknął Dreszcz. Spomiędzy drzew wyfrunęły strzały, ze świstem tnąc powietrze wokół niego. Któryś z jego ludzi oberwał, pośliznął się, zatoczył, złapał równowagę i biegł dalej z drzewcem sterczącym z barku. – W lesie jest pełno tych skurwieli!

Ojciec Rikke wyprostował się na całą wysokość i zawołał z blanków w dół:

– Na mury! Czarny Calder atakuje od północy!

Rikke zobaczyła znajomą sylwetkę: jasnowłosa mężczyzna wyszedł z lasu dokładnie w tym samym miejscu, w którym widziała go wcześniej, i tak samo jak wtedy skinął toporem. Wokół niego zaroilo się od wojowników.

– To Gwózdź! – ryknął Czerwonogłowy i machnął mieczem.

Obrońcy rzucili się do murów, potykając się i tratując nawzajem w pośpiechu, żeby jak najszybciej przemieścić się spod południowych blanków na północne.

Pojawiła się także chorągiew, czarna z czerwonym kołem: sztandar Bethoda. Sztandar Czarnej Caldera. I nagle na granicy lasu wyroiło się mrowie ludzi.

– Na tym właśnie polega problem, jak ktoś szuka zwady. – Isern westchnęła ciężko i zdjęła skórzany pokrowiec z grotu włóczni. – Czasem znajduje jej aż za dużo.

Rikke miała wrażenie, że Gwózdź uśmiecha się właśnie do niej. Już wcześniej wiedziała, że tak robi.

\* \* \*

Nie odrywając wzroku od wydarzeń w dolinie, matka Leo uniosła wyprostowany palec.

– Poderwać ludzi – poleciała.

Wydawane przez oficerów rozkazy poniosły się po zboczu. Rozległ się głośny zgrzyt i klekot, gdy wszyscy naraz wstali, podnieśli broń i zaczęli formować szyki.

W dolinie roilo się teraz od Północnych – były ich setki, tysiące, żelazna zaraza sunęła po traktie w stronę mostu. Leo

czuł się skrajnie bezużyteczny. Mógł tylko klęczeć na ziemi i patrzeć, a gęstniejąca mżawka wciskała mu się przez szpary pod pancerz.

– Ludzie są gotowi, lady Finree – zameldował jeden z oficerów. – Dać rozkaz?

Pokręciła głową.

– Jeszcze chwilę, kapitanie. Jeszcze chwilę.

Czas włókł się straszliwie – cichy, powolny, niezdolnie napięty. Wysoko nad ich głowami zawisł drapieżny ptak, szykując się do ataku na zdobycz; wiatr burzył mu pióra.

– Należy wybrać właściwy moment. – Spojrzenie matki Leo prześliznęło się po chaotycznej potyczce przy moście, wypełniających dolinę szeregach Północnych, odległej farmie. – Ojciec zawsze mi powtarzał, że to połowa roboty generała.

– A druga? – zapytał Leo.

– Sprawiać wrażenie, że umiesz ten moment wybrać. – Lady Finree wstała i otrzepała spódnicę z ziemi. – Ritter?

Podszedł do niej drobny piegowaty chłopak z trąbką sygnałową w dłoni.

– Tak, pani?

– Graj sygnał. Naprzód.

Przenikliwy, donośny dźwięk instrumentu poniósł się nad doliną. Odpowiedział mu potężny chrzęst, gdy kilka tysięcy zbrojnych jednocześnie ruszyło w dół zbocza.

\* \* \*

– Szlag by to... – mruknęła Cudna, patrząc spode łba na rdzawe wzgórze.

Koniczyna spojrział w tym samym kierunku i poczuł znajome przykre ssanie w żołądku. Odzywało się przynajmniej raz w każdej bitwie, w której brał udział. Ponad granią, na tle plującego drobnym deszczem nieba, pokazały się groty włóczni, hełmy, w końcu ludzie. Szereg za szeregiem. Piechota Unii, dobrze uzbrojona i zdyscyplinowana, nacierała z góry, z flanki.



Ale Wielki Wilk zupełnie się tym nie przejął, wprost przeciwnie.

– Świetnie – mruknął, szczerząc zęby jak napalony pan młody na widok swojej oblubienicy. – Pięknie, kurwa. Ustawić mur z tarcz od tej strony. Przyjmujemy tych łajdaków po królewsku.

– Świetnie?! Nie wiemy, gdzie jest Wilczarz! – Koniczyna dźgnął palcem powietrze, wskazując zburzoną twierdzę na drugim wzgórzu: nawet jego niemłode oczy dostrzegły malutkie sylwetki na wieży. – A jeśli to jego ludzie? Podstawimy im gołe tyłki do kopnięcia!

– To możliwe.

Stour bez pośpiechu przeniósł wzrok na most. Panował tam nieopisany bałagan. Wszędzie wały się trupy, fruwały strzały, szczękały skrzyżowane włócznie. Walki trwały nawet w wodzie. Stour w zadumie popukał palcem w odęte wargi, bardziej jak kucharz, który zastanawia się, czy dorzucić do kotła jeszcze szczyptę soli, niż jak wódz wojenny, który posyła ludzi na śmierć. Może jednak taka właśnie obojętność na życie innych powinna być cechą dobrego generała.

– Ściągnąć tu wszystkich – zarządził. – Coś mi się widzi, że zajmę ten most.

– Dajesz się wciągnąć w grę na ich warunkach! – zauważyła oszołomiona Cudna. – To pułapka!

Wilgotne oczy Stoura zwróciły się w jej stronę.

– Oczywiście, że to pułapka. Ale kto w nią wpadł?

– My! – wypalił Koniczyna. – Potykając się po drodze o własne fiuty. Co by na to powiedział twój ojciec?

– Byłby zachwycony, kurwa. – Na twarz Stoura wypłynął wilczy uśmiech. – Bo to jego pomysł, od początku do końca.

Koniczynę zamurowało.

– Co? – wykrztusił tylko.

Stour ruchem głowy wskazał twierdzę w ruinie.

– Jest za tym wzgórzem, gotowy do ataku. Tym głupcom się wydawało, że przyłapią nas ze spuszczoneymi gaciami. – Nachylił się do Koniczyny. – Tymczasem to my przyłapiemy ich. No dalej, kurwa, do roboty, stare dziady! – Dobył miecza i zakręcił nim

w palcach z taką łatwością, jakby trzymał nóż do chleba. – Bitwa sama się nie wygra!

\* \* \*

Rikke nigdy przedtem nie widziała bitwy – a teraz miała także nadzieję, że nigdy nie zobaczy kolejnej.

Ludzie Czarnego Caldera napierali ze wszystkich stron. Zrujnowany mur okryła masa walczących ludzi, wielki kłęb tarcz i trzeszczących, dźgających, ślizgających się włócznie. Proporzec zatknięty na jednym z drzewc owinął się wokół ręki któregoś z wolnych, który darł się wściekle, usiłując się wyplątać, ale tylko jeszcze bardziej się zamotał. Na oczach Rikke grot innej włócznie przeszył mu policzek. Wolny szarpnął się i krzyknął, ale nikt go nie słyszał. Nie mógł się ruszyć i został wepchnięty na tę włócznie masą napierających na niego z tyłu towarzyszy broni. Wąska początkowo strużka krwi zmieniła się w bulgoczący potok. Rikke odwróciła wzrok. Żołądek podszedł jej do gardła.

Jej ojciec stał na stopniach wieży. Żyły rysowały mu się na szyi, gdy wykrzykiwał jakieś słowa, kompletnie dla niej niesłyszalne, zagłuszone przez wrzaski bólu i złości. Jak zapanować nad takim chaosem? Równie dobrze można chcieć okiełznać burzę.

Wpadł jej w oko młody chłopak o kręconych włosach: blady jak ściana, rozdziawił usta i z wybałuszonymi oczami postąpił krok w jedną stronę, krok w drugą... Nie wiedział, co robić. Przyszło jej do głowy, że chłopak może tu zginąć. Że ona może tu zginąć.

Rozpadało się na dobre i niesiony zimnym wiatrem deszcz perlił się na broni i pancerzach, przyklejał włosy do wykrzywionych twarzy, przemieniał zdeptaną i zasłaną ciałami ziemię w lepkie błoto.

– Pchamy!

Ściana z tarcz, ustawiona nie dalej niż dziesięć kroków od

niej, uginała się i skręcała, tarcze trzeszczały i zgrzytały, buty ślizgały się w błocku, gdy tarczownicy desperacko usiłowali powstrzymać nacierającego wroga. Jeden z obrońców wyprostował się i ciał toporem ponad ścianą, wyprostował się drugi raz... i kwiknął głośno, gdy grot włóczni trafił go poniżej krawędzi hełmu. Runął do tyłu i miotał się po ziemi, wrzeszcząc. Krew płynęła mu spomiędzy przyciśniętych do twarzy palców.

– Moje oko! Moje oko!

Strzały spadały z nieba, klekotały o ziemię, wpadały w wygaszone ognisko. Jeden z wojowników przykleknął nagle z wykrzywioną twarzą wsparty ma maczudze. Sapał ciężko, ślinił się, drzewce sterczało mu z pleców.

– Ostrożnie. – Isern pociągnęła ją delikatnie za pękniętą kolumnę o głowicy porzeźbionej w stare, omszałe już wizerunki diabłów. – Ostrożnie.

Rikke poczuła zimne muśnięcie na rękę i stwierdziła, że Isern wsunęła jej w dłoń nóż. Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby pierwszy raz w życiu widziała coś podobnego.

Zobaczyła mężczyznę siedzącego na ziemi: miał całą brodę we krwi i kłął jak szewc, szarpiąc się z zakrwawionym rękawem. Z przegubu dłoni zwisał mu zaczepiony na rzemieniu topór. Zobaczyła, jak jeden wojownik butem miażdży drugiemu głowę: z wściekłym grymasem na zbryzganej krwią twarzy podnosił stopę i uderzał nią z góry, podnosił i uderzał.

– Uratujecie moją nogę? – Chłopak, którego jasne włosy pociemniały na deszczu, w poszarpanych, ociekających czernią spodniach.

Inny bełkotał niezrozumiale, podciągając kolczugę, żeby odsłonić nieduże rozcięcie, w którym wzbierała krew. Ledwie uzdrowicielka ją wytarła, ta wzbierała ponownie, więc znów ją wycierała, ale krew płynęła za szybko, żeby dało się ją zatamować, za szybko.

Rozległ się osobliwy jęk i przy walącej się ścianie, gdzie rosły te śliczne chwasty, mur tarcz odkształcił się, wygiął do wewnątrz, w końcu pękł i ludzie Czarnego Caldera runęli wezbraną falą do wnętrza twierdzy: z bojowymi okrzykami na

ustach, w lśniących od deszczu i ochlapanych błotem kolczugach tworzyli najeżony ostrą stalą klin. Ich natarcie było jak pchnięcie sztyletem. Prowadził ich mężczyzna w zdobionym złotem hełmie, z powgniataną i porysowaną tarczą z wizerunkiem zielonego drzewa. Wzniósł topór do ciosu i rzucił się na Rikke.

To by był dobry moment na ucieczkę, ale może Rikke uznała, że wystarczy już tego uciekania. A może obłęd tamtych był zaraźliwy. Niewiele myśląc, ugięła nogi w kolanach, wyszczerzyła zęby i uniosła nóż do obrony.

Słyszając obłąkańczy jazgot, napastnik odwrócił się w bok: to Isern, stojąca na kruszących się schodach, wybiła się ze zdrowej nogi i uderzyła włócznią. Grot prześliznął się tuż ponad tarczą tamtego, trafił w szyję i rozplątał gardło. Mężczyzna zrobił jeszcze chwiejny krok do przodu, potem drugi; krew spływała obficie po zielonym drzewie na jego tarczy, barwiąc je na czerwono. W końcu osunął się na kolana i runął na twarz. Złoto grawerowany hełm spadł mu z głowy i poturlał się pomiędzy buty Rikke.

Dreszcz warczał, ciął, ryczał i łypał metalowym okiem. Czerwonogłowy słał strzałę za strzałą w najgęstsza ciżbę intruzów. Inni ludzie, których Rikke znała, dobrzy, łagodni ludzie, często bliscy jej ojcu, też wrzeszczeli nienawistnie, walili tarczami i rąbali na prawo i lewo mieczami i toporami.

Ludzie Czarnego Caldera tworzący formację klina zostali odcięci od reszty sił, zdławieni, stłamszeni i wyrżnięci, zadźgani włóczniami, zatłuczeni tarczami, wdeptani w ziemię. Został tylko jeden, prawdziwy olbrzym, okryty sfatygowanymi płytami pancerza: ogromnym toporem zataczał potężne kręgi w powietrzu, roztrącając i łamiąc wymierzone w niego włócznie. W pewnym momencie wykrzywiony nienawistnie niewolny wskoczył mu na plecy, złapał od tyłu ręką za szyję i zaczął dźgać nożem, raz po raz. Drugi doskoczył z boku i ciął w nogę. Olbrzym szarpnął się i opadł na jedno kolano – a wtedy opadli go na dobre. Trzymanym oburącz mieczem Oxel najpierw zdarł mu hełm, a potem rozłupał czaszkę.

Isern – z językiem wciśniętym w lukę między zębami – dźgała włócznią jednego powalonego wojownika za drugim. Jakiś inny próbował czołgać się w stronę Rikke, płacząc z ustami pełnymi błota – do momentu, gdy Dreszcz przydepnął mu kark i uderzeniem miecza odciął ciemię.

To natarcie skończyło się stosem zwłok, męstwo napastników poszło na marne, ale ludzie Czarnego Caldera w dalszym ciągu napierali ze wszystkich stron. Przez rozkołysany las włóczni Rikke dostrzegła Gwoździa: stał wysoko na murze, potrząsał toporem i z twarzą wykrzywioną jednocześnie w uśmiechu i grymasie furii wrzeszczał:

– Pozabijać skurwysynów! Pozabijać skurwysynów!

Stado strzał przefrunęło w powietrzu. Odgłosy walki przywodziły na myśl grad bębniący o blaszany dach. Rikke dostrzegła wśród walczących, zabijających i poległych duchy innych walczących, zabijających i umierających, może z dawno minionych bitew, a może z bitew, które dopiero miały rozegrać się w przyszłości. Osunęła się plecami po kolumnie, aż usiadła w błocie. Nóż wypadł jej z ręki, a ona siedziała nieruchoma i drżąca, z piekącymi oczami, i kurczowo zaciskała powieki.

\* \* \*

Leo stał na szczycie wzgórza, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści w bezsilnej frustracji. To była najwspanialsza bitwa, jaką kiedykolwiek widział, najwspanialsze starcie na całej Północy od czasu bitwy pod Osrungiem, gdzie – jak lubiła to powtarzać jego matka – został poczęty.

Mur tarcz Zmierzchuna zaklął się po pierwszej szarży Anglandczyków, wgiął się potężnie, ale jednak wytrzymał, nie pękł. Wkrótce kolejni Północni wsparli go od strony traktu i zepchnęli żołnierzy Unii do podstawy rdzawego wzgórza. W tej chwili wściekła walka toczyła się na całej długości doliny, poczynając od mostu, przy którym trwała krwawa jatka. Zbocza

odbijały echem bitewny zgiełk.

Gdyby Wilczarz w tej właśnie chwili runął na Północnych z drugiej strony, byłoby po walce. Zmierzchun zostałby wzięty w kleszcze i zmiażdżony; mogliby wziąć wszystkich jego ludzi do niewoli, może nawet zdołaliby pojmać samego Wielkiego Wilka i kazali mu ukłęknać.

Wilczarz jednak się nie pokazał i wkrótce zachwyty oficerów na wzgórzu przeszedł w troskę, a potem w głębokie zaniepokojenie.

– Gdzie się podział Wilczarz, do diabła? – mruknęła matka Leo. W gęstniejącym deszczu majaczył zaledwie duch zrujnowanej twierdzy po drugiej stronie doliny. – Powinien ich już zaatakować.

– Tak – przytaknęła Leo. Nie był w stanie wykrztusić nic więcej, tak bardzo zaschło mu w gardle.

– Przez ten przekłety deszcz nic nie widać – zżymała się matka.

– Nie – zgodził się z nią. Zawsze rwał się do działania i beczynne siedzenie, gdy inni walczą, było dla niego torturą.

– Jeżeli wkrótce się nie ruszy...

Wszyscy to widzieli. Niewolnych Zmierzchuna stale przybywało. Jeżeli Wilczarz nie zaatakuje, Anglandczycy zostaną oflankowani i ich szyk się załamie.

Jeździec – Północny, cały w błocie i wyraźnie wstrząśnięty – wspiął się na wzgórze. Ostro poganiał konia. Matka Leo wyszła mu na spotkanie, gdy zsunął się z siodła.

– Co z Wilczarzem?

– Czarny Calder wyszedł z lasu – wysapał posłaniec. – Bronimy się w ruinach, ale jest ciężko. Nie możemy wam pomóc.

Jeden z oficerów z wyraźnym trudem przełknął ślinę, drugi zapatrzył się w głąb doliny, trzeci oklapł jak przekłuty bukłak.

– Czarny Calder miał być dzień drogi stąd – wyszeptała matka Leo z szeroko otwartymi oczami.

– Oszukał nas – mruknął Leo.

Wpadli we własne sidła i stanęli w obliczu zagłady z rąk wroga, który miał przewagę liczebną. Leo spojrzał

z niedowierzaniem w stronę mostu – to tam powinien teraz być, tam, gdzie wykuwały się nowe imiona i powstawały pieśni jutra. Mógłby przeważyć szalę. Tak, na pewno by to zrobił.

Strategia zawiodła. Nadeszła chwila prawdy.

– Musimy pchnąć do walki odwody. – Podszedł do matki. Żadnego skamlenia, żadnego błagania, tylko prawda, prosto w oczy. – Nie mamy innego wyjścia. Daliśmy się w to wciągnąć.

Spojrzała w stronę mostu, marszcząc brwi. Mięsień z boku jej twarzy drżał nieustannie. Nic nie powiedziała.

– Jeżeli się teraz wycofamy, wydamy Wilczarza na pastwę Czarnego Caldera. Musimy stanąć do walki!

Zamknęła oczy, zacisnęła wargi w wąską poziomą krechę. Nadal milczała.

– Matko. – Delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. – Wojny można wygrywać mądrością, ale bitwy wygrywa się odwagą. To jest ten moment.

Otworzyła oczy, wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze.

– Jedź – powiedziała.

To jedno wypowiedziane cichym głosem słowo rozpaliło ogień w brzuchu Leo i przypawiło go o mrowienie w całym ciele, od cebulek włosów po czubki palców u nóg. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Odwrócił się i zawołał:

– Jurand! – Głos drżał mu z podniecenia. – Wchodzimy!

Jurand zerwał się na równe nogi.

– Tak jest! – odkrzyknął i pobiegł po konia.

– Leo?

Odwrócił się do matki: stała przed nim z zaciśniętymi pięściami, jej sylwetka odcinała się od szarego nieba.

– Daj skurwielom popalić – warknęła.

\* \* \*

– Ruchy! – wydarł się Stour.

Nie zawracał sobie głowy nakładaniem hełmu, co zdaniem Koniczyny było podręcznikowym wręcz przykładem głupoty, ale

jeśli ludzie nie będą widzieli twojej twarzy, to jak mieliby później opowiadać o twoich bohaterskich czynach?

– Chcę mieć ten most! – zaryczał Wielki Wilk, szczerząc zęby jak prawdziwy wilk. Mokre włosy lepiły mu się do czoła. – Ten most jest mój, kurrerwa!

Zapanował okrutny zamęt. Wolni Stoura ledwie opierali się zebranemu u stóp wzgórze wojsku Unii, ściana tarcz wiła się, gięła, zapadała i w każdej chwili groziła przerwaniem – ale mimo wszystko nie pękła. W całej dolinie toczyły się wściekłe walki, a z największą zajadłością ścierano się o most, gdzie ponad rzezią wciąż wznosił się złoty sztandar Leo dan Brocka, pokusa, której Stour nie potrafił się oprzeć.

– Niech no dorwę tego skurwiela! – wrzeszczał, prawie się przy tym piniąc ze złości. – Rozpruję go od jaj po szyję!

Zdaniem Koniczyna most nie był wart zachodu. Gdyby nie padające przez cały ostatni tydzień deszcze, można by przejść przez strumień obok mostu, a właściwie przeskoczyć go, nie mocząc nóg.

Zwolnił kroku. Niech Stour i jego rwące się do boju młode byczki poprowadzą ten atak. Koniczyna dość się w życiu nawalczył. Niech się świeżaki wykażą; niech poniosą koszty; niech się czegoś nauczą.

Zatrzymał się i zgięty w pół oparł dłonie na kolanach... i omal się nie potknął o własne nogi, gdy ktoś grzmotnął go w plecy. Odwrócił się, ale zmełł przekleństwo w zębach i uśmiechnął się na widok winowajcy.

– Magweer!

Minę miał jeszcze bardziej grobową niż zwykle, jakby Koniczyna właśnie zerznął mu matkę, a nie po prostu przystanął, żeby odsapnąć.

– Myślałem, że będziesz gdzieś na czele, żeby razem z innymi prowodyrami nadymać swoje imię chwałą.

– Wygląda na to, że jestem potrzebny tutaj – odparował Magweer. – Ktoś musi dopilnować, żebyś dotarł na front, ty zasrany tchórze!

Koniczyna zbył go machnięciem ręki.



– Tchórz to po prostu człowiek, który ma zdrowy szacunek dla wszelkich ostrych metalowych przedmiotów. Bitwa to nie miejsce dla wojownika.

– Co ty pierdolisz?! – Magweer prawie się zakrztusił ze złości. Cała jego broń zagrzechotała.

– Nawet nie ma jak się zamachnąć. Więcej ludzi ginie przez zwykły niefort niż od dobrego, czystego cięcia mieczem. W tłoku możesz co najwyżej poprzepychać się i postękać, a twój los zależy od decyzji podjętych daleko stąd i wiele godzin wcześniej przez ludzi, których nigdy nie poznasz. Twój problem polega na tym, że wbiłeś sobie do łba to, jak życie powinno wyglądać, zamiast tego, jak wygląda naprawdę.

Magweer otworzył usta do zjadliwej riposty, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdy Koniczyna schylił się i podniósł leżący w trawie bełt z kuszy: makabryczne narzędzie, z lśniącym od deszczówki opatrzonym zadziorami grotem.

– Pokażę ci, co mam na myśli. Wyobraź sobie, że jeden z tych drani cię dopadł.

Głos Magweera stał się piskliwy:

– Nie ma bitwy bez...

Oczy wyszły mu z orbit, gdy Koniczyna jedną ręką złapał go za ramię, a drugą wbił mu bełt w szyję tak mocnym i gwałtownym ruchem, że grot wyszedł przez kark.

Złapał Magweera, pod którym ugięły się kolana, i łagodnie opuścił na ziemię. Rozejrzał się na boki: nikt nie patrzył. Zabity na polu bitwy nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń. Kiedy Magweer nieporadnie próbował sięgnąć po jeden ze swoich licznych noży, Koniczyna złapał i unieruchomił jego rękę.

– Ostrzegalem cię. – Ze smutkiem pokręcił głową. Magweer wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Krwawił obficie z nosa. – Pole bitwy to niebezpieczne miejsce.

Chwycił w garść zakrwawioną kolczugę na piersi Magweera, zarzucił go sobie na ramię, przyjął wstrząśnięty i zatroskany wyraz twarzy i najszybciej, jak tylko mógł, potruchtał na tyły. Prawdę mówiąc, wcale nie poruszał się zbyt szybko. Dawno nikogo nie musiał nosić i już po paru pierwszych krokach dyszał

ciężko, zwłaszcza że Magweer był przecież obwieszony bronią. Co tylko dowodziło, że nie ma znaczenia, ile żelastwa masz przy sobie, jeżeli przeciwnik zaatakuje pierwszy.

Brnął błotnistym traktem, oddalając się od mostu, przy którym bitwa rozgorzała z nową zajadłością, i od ciągnącego się w górę doliny muru z tarcz. Mijał zawziętych wolnych, pędzących w przeciwnym kierunku. Groty wystrzelone z kusz spadały w trawę wokół niego.

Zacisnął zęby i podrzucił Magweera na ramieniu. Ciepła krew wsiąkała mu w koszulę, a on posuwał się naprzód, w górę. Minął jakiegoś pomniejszego dowódcę, który zachęcał swoich ludzi do zdwojonego wysiłku. Minął dwóch noszowych taszczących zawodzącego niewolnego. Szedł dalej, jakby ocalenie trafionego bełtem nieszczęśnika, którego dźwigał na plecach, było najważniejszą rzeczą na świecie. Niech polegli zaświadczą, że ciężka to była robota. Koniczyna nie ustawał w wysiłkach. Zmierzał na farmę, gdzie z drzewa wciąż zwieszały się cztery kołysane wiatrem ciała.

Rannych składano przed domem, gdzie jęczeli, kwilili i błagali o wodę, o litość albo o to, żeby ktoś sprowadził ich matki – wszystko to, o co zawsze proszą ranni, nadzwyczaj pod tym względem przewidywalni. Nikt tu nie chciał słuchać pieśni o chwalebnych czynach. Koniczyna żałował, że Magweer nie mógł zobaczyć tej sceny za życia – może wtedy by zrozumiał. Chociaż w głębi duszy Koniczyna w to wątpił. Ludzie zwykle widzą tylko to, co chcą widzieć.

Zrzucił Magweera w mokrą trawę, nieopodal jednej z uzdrowicielek, unurzanej we krwi po łokcie. Zerknęła przelotnie na rannego.

– On nie żyje.

Koniczyna nie był zaskoczony: kiedy postanowił kogoś dziabnąć, starał się to zrobić tak, żeby tamten nie wymagał już drugiego dziabnięcia, a miał w tym sporą wprawę. Mimo to w teatralny sposób udał smutnego i zaskoczonego.

– A to pech. – Wsparł się pod boki i pokręcił głową, jakby w ten sposób komentował bezsens całej tej sytuacji. – Taka

strata.

Z drugiej strony nie było to nic takiego, czego nie widziałby już sto razy.

Przeciągnął obolałe plecy i marszcząc brwi, odwrócił się w kierunku, z którego przybył. Bitwa trwała w najlepsze, chociaż w deszczu widział tylko wielką, skłębioną masę uwikłaną w masakrę na dnie doliny.

– Niech to szlag! – Otarł spocone czoło. – Zanim tam wrócę, będzie pewnie po wszystkim.

Uzdrowicielka nie odpowiedziała zajęta opatrywaniem następnego z rannych: miał rozplątane ramię, krew spływała mu strumieniami po bezwładnej ręce.

Koniczyna znalazł sobie wygodny kamień, usiadł na nim i położył obok siebie miecz w pochwie.

– Lepiej będzie, jak już tu zostanę.

## Załatwmy to jak mężczyźni

Leo owinął sobie ramię ciasno wokół nadgarstka, mocno ujął rękojeść i odwrócił się do podążających za nim jeźdźców. Deszcz bębnił o pancerze, kapał na mokre czapraki koni. Leo uniósł topór.

– Za Unię! – wykrzyknął. Odpowiedziały mu pomruki i skinienia głów. – Za króla! – Ostatnio nikt nie był Jego Wysokością zachwycony. – Za Angland! – Głośniejsze odpowiedzi: gniewne zawołania, uderzenia pancernych rękawic o tarcze. – Za wasze żony i dzieci! – Wsparł się na ramieniu Juranda i stanął w strzemionach. Chciał, żeby wszyscy poczuli wrzący w nim gniew, żarliwość, buzującą radość. – Za wasz honor i dumę! – Wiwaty niosące się w wilgotnym powietrzu, wzniesiona broń. – Dla zemsty, kurwa!

Odpowiedzią był wściekły ryk wojowników i tupot końskich kopyt grzebiących w błocie. Ludzie napierali naprzód, nie mogąc się doczekać, kiedy zostaną spuszczeni ze smyczy.

– Za Leo dan Brocka! – Gławard, wielki jak rycerze z legend, dźgnął mieczem niebo. – Za Młodego Lwa!

Ten okrzyk wywołał najgłośniejszą reakcję.

Leo nie mógł się nie uśmiechnąć. Jego imię było dla tych ludzi niemal równie wielką inspiracją jak dla niego samego.

– Naprzód! – Spuścił na twarz zasłonę hełmu i dźgnął konia ostrogami.

Najpierw stępa, poślubioną koleinami drogą wychodzącą z wioski, przez kałuże dziurawione deszczem i rozbijane kopytami koni. Barniva się z nim zrównał. Nie spuścił osłony, więc Leo widział jego pełen zapału uśmiech i malującą się na jego twarzy modną wojenną ogorzałość, nabytą w ogniu walki. Leo też się uśmiechnął i ponaglił konia: dalej, do przodu, na

samo czoło szyku, tam, gdzie jest miejsce wodza.

I dalej, już kłusem. Obok niego podskakujący w siodle przyczajony Antaup, z drugiej strony Kipielnik Jin ze sterczącą rudą brodą, przed nimi szara dolina w deszczu, strumień, dwa wzgórza, wszystko podrygujące w rytm ruchu konia. A pośrodku most i ludzie tłoczący się na nim z obu stron w gąszczu włóczni.

Uśmiechnął się szerzej. Jurand mu towarzyszył i nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Nareszcie wyzwolił się z oków! Nareszcie mógł wziąć własny los w swoje ręce. Wyryć dla siebie miejsce w legendach, tak jak to zrobili Harod Wielki i Casamir Niezłomny. Tak jak to zrobił Krwawa Dziewiątka.

I galopem, w łoskocie kopyt, w towarzystwie najlepszych ludzi Anglandu zmierzających do bitwy – aczkolwiek musiał przyznać, że nie jest to bitwa stworzona dla konnych. Żołnierze Unii się wykruszali. Zostali zepchnięci wstecz, na bliższy brzeg strumienia, a ich szyk zaczynał pękać, zmęczeni walką i coraz bardziej spanikowani podawali tyły. Z drugiej strony przez most nacierali wolni z bojowymi okrzykami na ustach.

Obojętnie przegalopował obok idących w rozsypkę Anglandczyków, ze wzrokiem wbitym w jednego z depczących im po piętach Północnych, który na jego widok przestał szczerzyć poźółkłe zęby i zaskoczony szeroko rozdziawił usta. Odwrócił się, pośliznął, przewrócił. Myśliwy stał się zwierzyną. Wciąż jeszcze próbował wstać, gdy topór Leo werznął mu się między łopatki i rzucił go twarzą w błoto.

Leo ryknął triumfalnie i ponad łoskotem kopyt i świstem wiatru w szczelinach hełmu usłyszał przenikliwy zwycięski okrzyk Antaup. Zamierzył się na jakiegoś wolnego, chybił, kiedy tamten rzucił się desperacko w bok, ale wychyliwszy się z siodła ściał innego i posłał go prosto do błota.

Wszystko było takie proste. Żadnych zgrzytliwych trosk, irytującej frustracji, straconych dni – nic, tylko piękne, straszne teraz.

– Naprzód! – zagrzmiął.

Rozkaz był zgoła niepotrzebny: gdzieżby indziej mogła szarżować jazda? Część kawalerii Północnych zdołała się

przedrzeć przez most. Leo pchnął konia w tę stronę i potrącił uciekającego wolnego, który odbił się od boku wierzchowca i wpadł pod kopyta rumaka Barnivy.

Leo wrył się w sam środek grupy zaskoczonych jeźdźców. Miał większego i lepiej wyszkolonego wierzchowca, który roztrącał konie wroga jak pług skiby ziemi. Poczł cudowne szarpnięcie ręki, gdy jego topór ześliznął się po hełmie jednego z Północnych, który zakrwawiony zachwiał się w siodle i z impetem opadł na kark konia. Zwierzę również się zachwiał, a Leo już wykręcił się w drugą stronę do kolejnego ciosu. Pluł, klął i sapał gardłowo, coraz bardziej zgrzany pod hełmem. Chlasnął po tarczy, wytrącił ją właścicielowi z ręki, ciął go, rozplątał mu bark i wysadził z siodła. Zlane krwią ogniwa kolczugi zafurkotały w powietrzu, a Leo już ciął ponownie, tym razem w nogę, która ugrzęzła w strzemieniu, i wyrąbał w niej potworną dziurę.

Włócznia ze zgrzytem przejechała mu po tarczy. Złapał za drzewce i spróbował je odepchnąć, bluzgając stekiem bezsensownych przekleństw. Stał w strzemionach, zamachnął się toporem i potężnym uderzeniem znad głowy z głuchym łoskotem wgniótł hełm włócznika.

Obrócił się do jeźdźca z wplecionymi w brodę srebrnymi pierścieniami, ciął, chybił, wszedł do zwarcia, w końcu uderzył ręką, w której trzymał tarczę. Tamtemu odskoczyła w tył głowa. Tak! Po to właśnie żył! Po to...

– Uff... – Topór w czymś ugrzązł. – Och!

Broń zaplątała się w paski czyjegoś siodła i kiedy jeździec zaczął się oddalać, pociągnął Leo za sobą, w bok.

– Kurwa!

Desperacko próbował wyszarpnąć dłoń z rzemiennej pętli, ale nie po to ją wcześniej zaciskał, żeby teraz łatwo się z niej wyplątać. Został szarpnięty w tył, noga wygięła mu się nienaturalnie, stopa wypadła ze strzemienia, w końcu spadł na ziemię. Świat wirował wokół niego. Tuż obok niego padł koń, drasnawszy go po drodze kopytem w hełm.

Przeturlał się w bok. Był oszołomiony, w hełmie miał pełno

śliny. Dźwignął się na czworaki, strząsnął tarczę i zaczął się szarpać z rzemieniem na przegubie drugiej dłoni, skubał go i tarmosił nieporadnie palcami w pancерnej rękawicy. Równie dobrze mógłby próbować szyć w jednopalczastych łapawicach. Nagle zadzwoniło mu w uszach... A może wcale nie nagle, może dzwoniło już wcześniej?

Kiedy w końcu udało mu się szarpnięciem oswobodzić rękę, tak go to zaskoczyło, że omal się nie przewrócił. Srebrnobrody jeździec leżał obok niego z maczugą w dłoni, częściowo przygnieciony przez swojego wierzchowca.

– Ty łajdaku! – pieniał się w języku Północnych. – Ty łajdaku!

Machnął maczugą w stronę Leo, ale nie miał szans go dosięgnąć. Leo chwiał się na nogach. Jeździec przegalopował tuż obok niego, koń ochlapał go błotem. Leo nagle sobie uświadomił, że ma puste ręce. Miecz! Dobądź miecza!

Namacał rękojęść. Pokręcił głową, usiłując pozbyć się zalegających w niej pokładów waty. Cichy metaliczny zgrzyt: udało mu się wyciągnąć miecz z pochwy. Spróbował pchnąć nim jakiegoś jeźdźca, potknął się, chybił, czubek ostrza zarył w ziemię.

– Ty łajdaku!

Srebrnobrody trafił Leo maczugą w nogę, ale cios był bardzo słaby. Leo ledwie go poczuł.

Powoli przejaśniało mu się w głowie. Przymierzył lepiej i przeszył mieczem pierś srebrnobrodego, który usiadł i sapnął przeciągle, nawet nieco zabawnie: Fufff.

Leo wyszarpnął miecz i tamten osunął się na ziemię.

Nie był pewien, w którą stronę jest zwrócony, świat widziany przez szczelinę hełmu kręcił się bez ładu i składu, w dodatku draństwo przekrzywiło mu się na głowie, pewnie po tym, jak go kopnął koń. Dusił się. Z trudem odpiął sprzączkę i obrócił hełm tyłem naprzód, zanim w końcu udało mu się go zdjąć.

Smagnięcie zimnego wiatru odczuł jak policzek wymierzony w spoconą twarz. Bitewny zgiełk nagle przybrał na sile.

– Leo!

Ktoś złapał go pod ramię i Leo prawie odwinął mu się

mieczem, zanim rozpoznał śpieszonego, ubłoconego Barniwę. Dookoła martwe konie. Martwi ludzie. Ranni ludzie. Połamana broń. Schylił się, zachwiał, na oślep sięgnął po tarczę, okrąglą tarczę wolnego. Przełożył rękę przez paski.

Jakiś Północny czołgał się w błocie, włócznia sterczała mu z pleców. Leo rozrąbał mu głowę.

– Przegrupować się! – ryknął.

Nie bardzo wiedział, do kogo krzyczy, nie był nawet pewien, czy poza nim i Barniwą został jeszcze ktoś, kto mógłby się przegrupować. Nie miało to znaczenia. Razem dadzą sobie radę. Nawet sam da radę.

Lało jak z cebra, duże krople dźwięcznie łomotały o zbroję, wsiąkały w miękką wyściółkę i przemieniały ją w lodowaty ołów.

– Na most!

Z mozołem brnął w kierunku, który wydawał mu się właściwy, licząc na to, że jego ludzie pójdą za nim. Miał dość nieustannego cofania się.

Dostrzegł swój sztandar: przemoczony złoty lew na białym polu zwisał smętnie przy bliższym krańcu mostu. Z drugiej strony było zaś widać chorągiew Stoura Zmierzchuna: śliniący się wilk na szarym polu.

Lew i wilk walczyły w krwawym kręgu. Lew był zwycięzcą.

Leo wyszczerzył zęby i ruszył naprzód. Człapał po błocie ubitym i przemieszanym setkami buciorów nacierających i wycofujących się, nacierających i wycofujących się. Tutaj walka była najzacieklejsza. Ciała, mnóstwo ciał. Polegli z obu stron konfliktu. Ludzie, którzy znieruchomieli, i ludzie wciąż jeszcze się poruszający, czołgający się, płaczący, drapiący ziemię, drapiący własne rany. Zaciskając zęby, kluczył wśród nich i przestępował ponad nimi. Serce waliło mu jak młotem. Szedł w stronę mostu.

– Leo!

Barniva złapał go i pociągnął na ziemię, zasłoniwszy go tarczą. Coś o nią zaklekotało. Strzała. Druga odbiła się od pancernego naramiennika Barnivy, kolejne posypały się



w trawę. Ktoś złapał się za szyję i upadł. Leo wyrzwał sponad tarczy i zobaczył łuczników klęczących w długim szeregu przed mostem. Właśnie nakładali strzały na cięciwy.

Barniva usiadł.

– Lo... – wykrztusił dziwnie niewyraźnym głosem.

Z twarzy sterczała mu strzała, z zagłębienia pomiędzy okiem i nasadą nosa. Wyglądała nedorzeczenie. Jak żart. Jakby patrzeć z boku na dziecko przytrzymujące pod pachą drewniany mieczyk: „Dźgnął mnie! Dźgnął mnie!”.

Ale to nie był żart. Białko oka Barnivy poczerwieniało. Krew.

Barniva osunął się do tyłu. Leo złapał go za ramiona.

– Lu... – wybełkotał Barniva. Krwawe oko spojrzęło w bok. Drugie zezowało lekko wpatrzone ze zdumieniem w sterczącą z twarzy strzałę.

– Uch...

Długa struga krwi ściekła z drzewca na policzek niby czerwona łąza.

– Barniva? – powiedział Leo, ale Barniva ani drgnął. – Barniva?

Nie żył.

Leo wstał, odrętwiały. W deszczu spadły wokół niego kolejne strzały. Wzbierał w nim gniew. Uniósł miecz.

– Do ataku! – zagrzmiał, ale z gardła dobył mu się tylko obłąkańczy bełkot.

Ludzie za jego plecami odpowiedzieli chóralnym rykiem – głosy Glawarda, Jina, Juranda, okrzyki bojowe i potępieńcze wrzaski. Wszyscy biegli. Strzała śmignęła mu koło ucha, druga zrykoszetowała na kirysie.

– Wy skurwysyny! – wydarł się, parskając śliną. – Skurwysyny!

Pośliznął się i wyrznął jak długi, nażarł się trawy i omal nie przeszył własnym mieczem. Pozbierał się z ziemi i pognał dalej. Odrzucił zdobyczną tarczę i chwycił miecz oburącz.

Mignął mu strumień pełny unoszących się w wodzie ciał. Mignęli mu łucznicy, byli coraz bliżej. Starzy, młodzi, jeden miał skórzany kaptur, inny szopę kręconych rudych włosów, jeszcze

inny twarz zdeformowaną blizną po starej ranie. Ten ostatni na widok pędzącego w jego stronę Leo zawahał się, sięgając po kolejną strzałę, wypuścił ją z ręki i rzucił się do ucieczki. Rudy strzelił z odległości paru kroków, ale w panice w ogóle nie wycelował i strzala pofrunęła wysoko ponad głowami ludzi. Sapnął i uchylił się przed cięciem miecza. Leo staranował go barkiem, powalił na wznak i zaczął rąbać innych, ogłuszony ich wrzaskiem i jazgotem, własnym postękiwaniem, trzaskiem i głuchym łupaniem stali o stal i ciało.

– Giń! – wrzeszczał mu koło ucha Gławard. – Giń!

Łucznicy nie nosili pancerzy. Miecz Leo siekł ich z takim odgłosem, z jakim tasak rzeźnicki tnie mięso. Miecz zadawał ogromne krwawe rany. Jeden z ludzi runął z krzykiem: miał rozplątany cały bok. Innemu Leo złamał łuk, którym tamten próbował się zasłonić, a przy okazji odciął mu rękę. Zachwiał się, tracąc równowagę, i odbił się od Antaupa, który włócznią przeszył wroga leżącego na ziemi. Leo się przewrócił, przeturlał, zobaczył szykującego się do skoku łuczника z nożem i nieporadnym ruchem ręki zasłonił się przed pchnięciem. Sekundę później ogromna maczuga zmiotła łuczника, Kipielnik Jin złapał Leo za przegub dłoni i postawił go na nogi. Łucznicy uciekali, bezlitośnie ścinani po drodze, niektórzy brodzili już w strumieniu. Leo znów skierował się w stronę mostu.

Zobaczył uciekającego Północnego, który potykał się i jedną ręką trzymał za bark drugiej. Krew płynęła mu spomiędzy palców. Leo uderzył go mieczem w skroń, trafił płazem, powalił i stratował. W piersi płonął mu ogień, kończyny miał odrętwiałe i bezwładne. Każdy krok był jak wspinanie się na górski szczyt.

Dalej, na most. Kamienie były śliskie od krwi, błota i padającego deszczu.

Na moście gromada wolnych rozpaczliwie próbowała postawić mur z tarcz. Jakiś Nazwany w lisim kołnierzu wskazywał przed siebie grubym palcem. Leo nie tyle go zaatakował, ile raczej na niego wpadł. Wymierzone ociężałymi rękami cięcie odbiło się od tarczy, nie czyniąc Nazwanemu żadnej szkody, a Leo zahaczył podbródkiem o rant tarczy

i poczuł w ustach słony smak krwi. Północny cofnął się ciężko o krok, ale się nie przewrócił i zwarli się z Leo w niezgrabnym uścisku, wyczerpani, szurając nogami i warcząc gniewnie. Siłowali się, przepychali, uderzali łokciami, a wokół nich inni ludzie, uzbrojeni po zęby, mordowali się bez ustanku.

Leo słyszał tuż przy uchu rozpaczliwy, świszczący oddech Północnego, stękał, chwytął, mełł w ustach mokre lisie futro. Nie mógł użyć miecza, który w coś się zaplątał, udało mu się za to drugą ręką dobyć sztyletu, ale kiedy nim pchnął, ostrze ześliznęło się nieszkodliwie po kolczudze. Brak miejsca. Brak tchu. Brak siły. Sztylet wykręcił mu się w dłoni, wysliznął się z palców, spadł w błoto.

Zwarci w uścisku zataczali się po okręgu. Kiedy uderzyli w mur na skraju mostu, Leo nagle znalazł dość wolnej przestrzeni, żeby wepchnąć wolną rękę pod brodę przeciwnika, wbić mu opancerzony kciuk w usta, wepchnąć go głębiej i naciągnąć mocno policzek. Rozszarpał Północnemu usta, rozdarł mu twarz. Tamten z wrzaskiem chwycił go za nadgarstek – ale żeby to zrobić, musiał puścić dłoń, w której Leo ścisnął miecz. Leo stęknął ciężko i zdobył się na ostatni wysiłek: chlasnął przeciwnika na odlew w skroń i wzdrygnął się, gdy krew bryznęła mu na twarz i coś uderzyło go w policzek – może ząb. Północny zatoczył się, przewalił przez omszały murek i z pluskiem spadł do wody, dołączając do innych ciał. Zwłoki niemal całkowicie zadławiły strumień, ale cóż, bez trupów nie ma chwały.

Leo opadł na czworaki, namacał miecz i zgarnął go wraz z garścią błota. Dźwignął się na jedno kolano, stęknął, wstał... I stał tak, chwiejąc się i czepiając oślizłych kamieni w murku. Wszystkie mięśnie mu drżały, a on dyszał chrapliwie, świszczając, jak wyciągnięta z wody bezradna ryba.

– Musimy... się wycofać. – To był Jurand, bez tchu, bez hełmu, z zakrwawioną twarzą. Objął Leo, podtrzymał go i zarazem się nam nim wsparł. – Zabrać cię... w bezpieczne miejsce.

– Nie! – odburknął Leo, przyciskając go mocno do piersi, aż pancerze zazgrzytały. Szarpnął się, żeby uwolnić się z objęć

i jeszcze raz zaatakować. – Będziemy walczyć.

Ulewa nie zelżała ani trochę, krople rozbryzgiwały się dźwięcznie na blachach. Przed nim ciągnął się opustoszały most – poślubiony koleinami garb ponad wodą – zasłany ciałami naszpikowanymi strzałami i jeżącymi się od włóczni. Trupy leżały na środku, przy skraju, pólsiedziały pod murkami, zwiślały przerzucone przez nie... A na przeciwległym brzegu, pod sztandarem z wilkiem, zebrali się Północni.

Byli tak samo przemoczeni i ubłoceni jak Leo, szczyrzyli zęby w nienawistnych grymasach, ale omdlałe ze zmęczenia dłonie nie chciały już dźwignąć oręża. I tak mierzyli się wzrokiem z przeciwnych stron zalewanego deszczem mostu: po jednej Leo i jego druhowie, po drugiej grupa Ludzi Nazwanych, a w jej środku wysoki mężczyzna o gniewnej twarzy, któremu mokre od deszczu włosy oblepiały policzki.

– Leo dan Brock! – zawołał tamten skrzekliwie.

Jego wilgotne oczy pałały bitewną furią. Po złotych ozdobach na mieczu, pasie i pancerzu Leo poznał, z kim ma do czynienia.

– Stour Zmierzchun! – odkrzyknął, szczyrząc zęby i prychnając śliną.

Próbował ruszyć do przodu, ale Jurand go powstrzymał – albo może podtrzymał, bo chyba tylko złość trzymała go na nogach.

– Nie rozstrzygniemy tego na polu bitwy! – warknął Zmierzchun.

Miał rację. Obie strony były wyczerpane. Żołnierze Unii, ledwie widoczni w deszczu na stoku rdzawego wzgórza, wycofywali się, ale ludzie Stoura nie mieli sił ich ścigać. W dodatku ulewa przemieniła pole bitwy w kleiste bajoro.

Stour wyrwał się przytrzymującym go wojownikom, wyszedł naprzód i okrwawionym mieczem wskazał na środek mostu.

– Załatwmy to jak mężczyźni! W kręgu! Ty i ja!

Prawdę mówiąc, Leo miał w dupie warunki pojedynku – chciał po prostu dopaść tego skurwiela i zagryźć go albo rozszarpać gołymi rękami.

Lew i wilk walczyły w krwawym kręgu. Lew był zwycięzcą.

– W kręgu! – zawołał w deszcz. – Ty i ja!

## Część III

„Miłość, podlana szczyptą pobłażliwości, przeobraża się w obojętność lub niesmak. Tylko nienawiść jest nieśmiertelna”.

William Hazlitt

# Żądania

Forest wszedł do jadalni zbrojny w swoją tradycyjną futrzaną czapę i równie tradycyjną ponurą minę. Czapę zdjął, minę zostawił.

- Destruktorzy wkrótce przybędą, Wasza Wysokość.
- To dobrze – odmruknął Orso. – Dobrze.

Tak często wyrażał w słowach dokładne przeciwieństwo swoich uczuć, że można by się po nim spodziewać pewnej wprawy w tym udawaniu. Na myśl o przybyciu Destruktorów rozpaczliwie zatęsknił za jakimś mocniejszym napitkiem, tyle że podczas rokowań pokojowych raczej nie wypadało zaczynać picia o świcie, nawet od małego piwka. Ograniczył się więc do ciężkiego, stroskanego westchnienia.

Jeden z miejscowych notabli oddał mu do dyspozycji jadalnię w swojej rezydencji, gdzie wprowadzie stół był zrobiony na wysoki połysk, ale już krzesła okazały się wybitnie niewygodne. A może to po prostu Orso czuł się niekomfortowo w roli negocjatora – podobnie jak, prawdę powiedziawszy, w każdej odpowiedzialnej roli. Po raz tysięczny nerwowo obciągnął kurtkę munduru: w bezpiecznej Adui leżała na nim idealnie, w Valbecku nagle zaczęła go pić w szyję. Nachylił się do superiora Pike'a i zagaił z przepraszającym uśmiechem:

– Myślę, że dobrze by było... gdybyś w ich obecności odgrywał rolę tego złego.

Pike zmroził go wzrokiem.

– Ze względu na blizny?

– Tak, i jeszcze ten czarny strój...

Niewyraźny, ledwie widoczny grymas na twarzy Pike'a mógł być uśmiechem.

– Bez obaw, Wasza Wysokość, mam wprawę. A gdybym

przesadził z nikczemnością, proszę mnie po prostu spoliczkować. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Waszą Wysokość w głównej roli w naszym małym teatryku.

– Obym wypadł przekonująco – mruknął Orso, po raz kolejny przyglądając fałdy kurtki. – Niestety przegapiłem wszystkie próby.

Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i do sali weszli Destruktorzy. Wyobraźnia Orso, niezwykle bujna, podsuwała mu wizje fanatyków o rękach po łokcie unurzanych we krwi, tymczasem na żywo okazali się – z początku rozczarowująco, potem zaś krzepiąco – zwyczajni.

Przewodził im potężnie zbudowany starszy mężczyzna, szeroki w barach, z łapami jak bochny i półprzymkniętymi oczami, których spojrzenie spoczęło na Orso i już tam zostało.

Następny szedł człowiek o pokrytej bliznami twarzy i oczach, które na niczym dłużej się nie zatrzymywały – nerwowo popatrywał na drzwi, okna i pół tuzina strażników pod wyłożonymi boazerią ścianami, unikając przy tym wzroku wszystkich obecnych.

Ostatnia była kobieta w poplamionym płaszczu, z niechlujną szopą prostych włosów i jedną z najbardziej zawziętych twarzy, jakie Orso w życiu widział. Malująca się w jej błękitnych oczach nieustępliwa pogarda mocno kojarzyła mu się z matką.

– Witajcie! – przemówił. Dążył wprowadzić do zachowania równowagi pomiędzy serdeczną jowialnością i niewymuszoną władczością w głosie, ale jak znał życie, udało mu się okazać co najwyżej rozdrażnienie i słabość. – Jestem księżę Orso, następca tronu. To pułkownik Forest, głównodowodzący czterech pułków otaczających w tej chwili Valbeck, a to...

– Wszyscy słyszeliśmy o superiorze Pike’u – przerwał mu starszy z mężczyzn. Opadł ciężko na środkowe krzesło i posłał księciu posępne spojrzenie ponad stołem.

– Same dobre rzeczy, mam nadzieję – odparł złowieszczym szeptem Pike.

Orso poczuł, jak włoski jeźą mu się na karku, mimo że przecież siedzieli z Pikiem po tej samej stronie stołu. Jeśli

chodziło o odgrywanie czarnych charakterów, to znalazł się w towarzystwie prawdziwego wirtuoza.

– Jestem Malmer. – Głos starszego mężczyzny był równie ciężki jak on sam; ważył słowa i kładł je starannie jak mistrz murarski kamienne bloki. – To brat Czapła; przez kilkanaście lat służył w armii twojego ojca. – Skinieniem głowy wskazał swojego towarzysza o poblížnionej twarzy, a następnie nieprzejednaną kobietę, której wzgarda wzmagala się z każdym kolejnym oddechem Orso. – A to siostra Teufel, która spędziła kilkanaście lat w więzieniach twojego ojca.

– Bardzo mi... przyjemnie...? – zaryzykował z nadzieją Orso, ale Pike już pochylił się nad stołem i wyszczerzył gniewnie zęby.

– Do księcia Unii, następcy tronu, masz się zwracać...

– Proszę! – Orso uciszył Pike'a gestem i superior usiadł grzecznie jak przywołany do porządku pies. – Nikt nie umrze od małego uchybienia etykiet. Mam szczerą nadzieję, że w ogóle nikt nie będzie musiał umierać. O ile mi wiadomo... wzięto zakładników?

– Pięciuset czterdziestu ośmiu wedle najnowszej rachuby – wychrypiała Teufel takim tonem, jakby zamierzała śmiertelnie znieważyc odwiecznego wroga.

– Ale niczego nie pragniemy bardziej niż ich uwolnienia – pośpieszył z zapewnieniem Malmer.

Orso bardzo chciał zapytać, czy wśród zakładników jest Savine, ale nawet taki niekompetentny negocjator jak on zdawał sobie sprawę, że w ten sposób tylko naraziłby ją na większe niebezpieczeństwo. Musiał się ugryźć w język i zamiast dawać stale wodzić się za fiuta, choć raz ruszyć głową.

– Wobec tego – odparł – uwolnijcie ich, śmiało.

Malmer uśmiechnął się smutno. Zmarszczki pocięły jego ogorzałą, jakby wygarbowaną skórę wokół oczu.

– Niestety, najpierw musielibyście spełnić nasze żądania.

– Korona nie negocjuje ze zdrajcami – zazgrzytał Pike.

– Panowie, proszę... – Orso znów uniósł dłoń w pojednawczym geście. – Przestańmy przerzucać się oskarżeniami i skupmy się na rozwiązaniu, które będzie



korzystne dla obu stron. – Sam się zdziwił, jak dobrze to zabrzmiało. Może jednak wcale nie był aż tak beznadziejnym mediatorem. – Oczywiście wysłuchamy waszych żądań...

Jego satysfakcja szybko zgasła, gdy Teufel rzuciła w jego stronę złożoną kartkę papieru: arkusz prześliznął się po blacie i spadł Orso na kolana. Książę skrzywił się i go rozłożył, spodziewając się wypisanych krwią obelg.

Tymczasem znalazł tam wypisane drobnym, pewnym charakterem pisma trzy zdania:

*Nie okazuj zaskoczenia. Udaj, że oglądasz listę żądań.  
Wbrew pozorom jestem waszym sprzymierzeńcem.*

Zaskoczony odruchowo spojrzał na kobietę naprzeciwko, która spiorunowała go wzrokiem jeszcze bardziej gniewnym niż dotychczas, aż między brwiami zarysowały jej się pionowe zmarszczki.

– Wasza Wysokość umie chyba czytać, prawda? – zapytała drwiącym tonem.

– Tuzin guwernantek straciło do mnie cierpliwość, ale matka uparła się, żebym posiadał tę umiejętność – odparł.

Zmarszczył brwi i spojrzał na papier z taką miną, jakby treść wiadomości zupełnie zbiła go tropu. Nie wymagało to od niego szczególnych talentów aktorskich.

*Superior Risinau był głównym inicjatorem powstania, ale uciekł z miasta przed waszym przybyciem, razem z Podpalaczami, którzy odpowiadają za większość zabójstw i zniszczeń. Jeżeli w tej chwili ktoś ma jeszcze posłuch wśród powstańców, to najprędzej Malmer. Nie jest złym człowiekiem, nie chce robić krzywdy zakładnikom. Niepokoi się przede wszystkim o bezpieczeństwo mieszkańców, a także o los Destruktorów i ich rodzin. Naprawdę ma pewne żądania, ale jest w rozpaczliwej sytuacji. W mieście zaczyna brakować żywności, coraz trudniej też jest utrzymać porządek.*

Te informacje były – mówiąc ogólnie – równie cenne, jak niespodziewane, ale Orso pilnował się i nie okazywał żadnych emocji. Zachowywał się tak, jakby przy rozdaniu dostał wygrywające karty i teraz musiał tylko przekonać pozostałych graczy, by zaangażowali w grę jak największe środki.

*Malmer zdaje sobie sprawę, że ma niewiele argumentów; jeżeli zaoferujecie mu zbyt dużo, nabierze podejrzeń. Wcześniej obawiał się, że od razu przypuścicie szturm na miasto, teraz boi się, że będziecie oblegać Valbeck i weźmiecie go głodem. Spodziewa się, że jesteście aroganckim łgarzem. Radzę potraktować go uczciwie i z szacunkiem i dążyć do pokojowego rozwiązania; nie prowokować go, nie poniżać, ale zarazem stanowczo odmawiać spełnienia wszelkich żądań i dać do zrozumienia, że macie świadomość, że czas działa na waszą korzyść. Gdybyście zaproponowali amnestię dla Destruktorów, w mojej ocenie byłby skłonny się poddać: wie, że to i tak więcej, niż ma prawo oczekiwać.*

Dalej następowały żądania Destruktorów: zmiany w prawie pracy, kontrola płac i cen chleba, poprawa warunków mieszkaniowych i sanitarnych – rzeczy, których Orso prawie nie rozumiał i na które z całą pewnością nie mógł przystać.

Superior Pike wyciągnął dłoń przywodzącą na myśl stopioną rękawicę.

– Wasza Wysokość pozwoli...

– Nie. – Orso złożył kartkę, przesunął paznokciem kciuka po zgięciu i schował ją do kieszeni. – Nie pozwolę.

Uśmiechnął się – bo zawsze należy zaczynać od uśmiechu – i pochylił do Malmera jak przyjaciel do przyjaciela, z którym zamierza podzielić się sekretem. Tak jakby los tysięcy wcale nie zależał od tego, czy ci dwaj dojdą do porozumienia.

– Panie Malmer, wygląda mi pan na uczciwego człowieka, więc i ja będę wobec pana uczciwy. Z łatwością mógłbym panu zaoferować cały świat, ale nie chcę pana obrażać. Fakty są takie, że Zamknięta Rada nie jest w nastroju do negocjacji i nawet

gdybym zgodził się na wszystkie wasze żądania... – Rozłożył ręce w tym samym geście rycerskiej bezradności, jakiego używał wobec porzuconych kochanek, sfrustrowanych wierzyteli i rozjuszonych funkcjonariuszy straży. – Jestem następcą tronu. Mój ojciec i jego doradcy mogliby pod byle pretekstem nie uszanować moich obietnic; prawdę mówiąc, podejrzewam, że właśnie dlatego mnie tu oddelegowano. Przypuszczam, że i pan zdaje sobie z tego sprawę.

– To po co w ogóle się spotkaliśmy? – wypalił Czapla.

Forest jakimś cudem zdołał nadać swojej poharatanej twarzy jeszcze bardziej ponury wyraz niż zwykle.

– Wojsko jest gotowe wkroczyć do miasta na rozkaz Waszej Wysokości...

– Dalszy rozlew krwi jest naprawdę ostatnim, na czym by nam zależało, pułkowniku – odparł Orso i tym razem użył swojego pojednawczego gestu wobec Foresta. Jego kojącej dłoni wystarczy dla wszystkich. – Wszyscy jesteśmy obywatelami Unii i poddaniymi mojego ojca. Wierzę, że znajdziemy pokojowe wyjście z sytuacji.

Może i nie był wytrawnym negocjatorem w sytuacjach, gdy w grę wchodziło życie zakładników, ale umiał zjednywać sobie ludzi i mógł czerpać pełnymi garściami z doświadczeń zdobytych w salonach gier, sypialniach dam i domach lichwiarzy. Zniżył głos, zrobił przyjaźniejszą minę, cały złagodniał i spojrzał Malmerowi w oczy.

– Mam świadomość, że głównym winowajcą tej niefortunnej sytuacji jest superior Risinau – podjął tonem ociekającym współczuciem. – Zauważyłem jednak, że nie przybył na negocjacje. Czyżby jego zaangażowanie w sprawę zmniejszyło się, gdy zagroziło wam realne niebezpieczeństwo? – Czyżby dostrzegł delikatny tik na kamiennej twarzy Malmera? – Znam takich jak on, ba, często widuję takiego człowieka w lustrze: człowieka, który zostawia swój bałagan innym do posprzątania.

Nikt nie próbował go bronić, co było trochę rozczarowujące, ale nikt też nie starał się wybielać Risinaua.

– Wiem, jakie to uczucie zostać kozłem ofiarnym. – Po kolei

spojrzał współczująco na każde z trojga rozmówców. – Doceniam to, że ci z was, którzy zostali w mieście, zrobili to z własnej woli, by ratować sytuację. Zapewniam was, że prawdziwi sprawcy tej katastrofy zostaną znalezieni i ukarani.

– Nie ma co do tego cienia wątpliwości – wysyczał Pike.

– Nie zamierzam jednak karać was za ich przewiny. Przedmiotem mojego zainteresowania, jedynym przedmiotem mojego zainteresowania jest bezpieczeństwo mieszkańców: mężczyzn, kobiet i dzieci z Valbecku, wszystkich, bez względu na to, po czyjej stronie się opowiedzieli. Mogę przedstawić wasze żądania ojcu, mogę je przedstawić Zamkniętej Radzie, ale obaj wiemy, że nie mogę wam zagwarantować ich spełnienia. – Orso westchnął ciężko, przeciągle. – Mogę jednak... obiecać wam amnestię. Bezwarunkowe ułaskawienie dla każdego Destruktora, który do jutra do zachodu słońca skapitułuje i złoży broń. Poza tym uwolnicie zakładników, całych i zdrowych. Niezwłocznie po spełnieniu tych warunków blokada miasta zostanie zdjęta i rozpoczną się normalne dostawy żywności.

– Wasza Wysokość – wtrącił Pike – nie można pozwolić, żeby zdrajcy...

Orso uciszył go wytrenowanym gestem, cały czas patrząc w oczy Malmera.

– Alternatywa może być, niestety, tylko jedna: całkowita blokada miasta. Na mój rozkaz żołnierze pułkownika Foresta otoczą Valbeck. Nikt nie wyjedzie i nikt nie przybędzie. Ponieważ nie mam żadnych pilnych planów, jestem gotowy czekać pod murami tak długo, jak będzie to konieczne. A kiedy w końcu się poddadacie, co nieuchronnie nastąpi, waszą kapitulację przyjmę nie ja, lecz superior Pike.

Nie trzeba dodawać, że na roztopionej twarzy superiora próżno byłoby wypatrywać oznak współczucia. Malmer powoli osunął się na oparcie krzesła i zmierzył Orso poważnym spojrzeniem.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

– Rozumiem, że nie jesteście do tego skorzy, ale zważywszy na okoliczności uważam, że złożyłem wam nadzwyczaj hojną

ofertę. Wiem doskonale, że na nic lepszego nie możecie liczyć.

Malmer spojrzał na Czaplę, potem na Teufel. Ich twarze niczego nie zdradzały.

– Muszę przedyskutować to ze swoimi ludźmi.

– Naturalnie. – Orso wstał.

Wyciągnął rękę do Malmera, który również wstał i spojrzał na nią podejrzliwie, zanim w końcu ujął ją w swoją potężną dłoń i uściskał. Orso wytrzymał uścisk.

– Będę jednak nalegał – powiedział – byście udzielili mi odpowiedzi przed zachodem słońca.

– Tak się stanie. – Malmer jeszcze raz przyjrzał mu się badawczo. – Wasza Wysokość.

Ciężkim krokiem wyszedł w towarzystwie swojego nerwowego kompana. Odsunięte przez Teufel krzesło zgrzytnęło na kafelkach, kiedy i ona wstała od stołu, posłała Orso ostatnią falę wzgardy, odwróciła się plecami i wyszła. Drzwi się zamknęły, szczerknął zatrzask.

– Świetna robota. – W układzie bezwłosych brwi Pike’a można by się dopatrzyć ledwie widocznego śladu zaskoczenia. Trudno było o to mieć do niego pretensję: Orso od dziesięciu lat pilnie pracował na to, żeby nikt zbyt wiele po nim nie oczekiwał. – Wasza Wysokość rozegrał to po mistrzowsku.

– Nie będę ukrywał, że miałem pewne wsparcie. – Orso wyjął z kieszeni kartkę z żądaniami buntowników. – Dostałem to od tej kobiety z twarzą jak oskard.

Pike z niedowierzaniem prześledził całą strategię negocjacyjną księcia, wyłożoną punkt po punkcie schludnym charakterem pisma.

– Musi być agentką arcylektora – powiedział.

– Ja też nie widzę innego wytłumaczenia. Zdobyła zaufanie przywództwa Destruktorów.

– Imponujące. Bardzo wiele będzie teraz zależało od tego, na ile trafnie oceniła sytuację.

– W rzeczy samej, superiorze.

Na myśl o Savine Orso poczuł ukłucie niepokoju. Sama w wielkim mieście. Zakładniczka? Trup? Skrzywił się: w głębi

czaszki, za oczami, czaił się nadciągający potężny ból głowy.  
Może jednak wcale nie było za wcześnie na drinka.

## Chwyć wodze

Chłód przedświt u kłuł Rikke w nozdrza. Oddechy rannych kłębiły się jak dym.

Ciekawe, ilu ich tu leżało, na tej polanie – setka, może więcej. Wśród nich krzątały się przygarbione, zakrwawione uzdrowicielki: zszywały, bandażowały, nastawiały, podawały jedzenie i wodę, pocieszały, jak mogły. A mogły niewiele.

Nad polaną niosło się jednostajne buczenie, trochę jak nad jednym z tych kwitnących krzewów, których pszczoły nie potrafią zostawić w spokoju – tyle że tu na ten dźwięk składały się pomruki, jęki, szlochy i kwilenia: bolesny chór. Przygnębiające to było. Rikke zadygotała i wolną ręką ciasniej otuliła się futrem.

– Wyżej, powiedziałam.

– Przepraszam.

Ręka ją bolała, ale posłusznie uniosła pochodnię, przyświecając Isern, która z językiem wciśniętym w wyrwę między zębami zszywała czerwoną ranę na ramieniu młodego chłopaka. Dostał patyk, żeby zacisnąć na czymś zęby. Miał zamknięte oczy i ślady łez na zaróżowionych policzkach.

– Nigdy nie myślałam o tobie jak o uzdrowicielce – przyznała Rikke i wzdrygnęła się, gdy Isern otarła szmatką krew.

– Nie?

– Nie spodziewałam się, że potrafisz być taka delikatna.

– Delikatna? Bzdura! Ranny nie potrzebuje delikatnego uzdrawiania. – Isern wbiła igłę w ramię chłopaka, który tylko zabalgotał w odpowiedzi. – Delikatność może go zabić. Dobra uzdrowicielka musi być twardsza i okrutniejsza niż wielki wojownik: czeka ją znacznie trudniejsza robota i znacznie mniejsza satysfakcja.

Jedna z pracujących w pobliżu uzdrowicielek, trzymająca akurat nóż w zębach, chrząknęła potakująco.

Isern posłała Rikke znaczące spojrzenie.

– Dobra uzdrowicielka, tak jak wielki przywódca, musi mieć serce z kamienia.

Chłopak, którego opatrywała, wypluł ośliniony patyk.

– Na pamięć poległych, nie zagadujże jej!

– Dam radę jednocześnie cię zszywać i z nią rozmawiać, chłopcze. – Isern wyjęła mu patyk z dłoni, wsadziła mu go z powrotem między zęby i wróciła do pracy.

Rikke powiodła wzrokiem po polanie pełnej jęczących ludzi.

– Dużo tych rannych.

– To i tak są tylko ci mniej poharatani; ci, których może jeszcze uda się postawić na nogi.

– Aż się człowiek zastanawia, po co to wszystko.

– Ale co, wojna?

– No tak. Wojna.

– Może byłoby inaczej, gdyby ściągnąć tu wszystkich Ludzi Nazwanych i wsadzić im ryje w gnój, który wykiełkował z tego, co posiali. Ale oni się tu nie zapuszczają, prawda? Bo tu nie jest przyjemnie. Nie ma błyszczącego metalu, jeśli nie liczyć tych kawałków, które wydłubujemy z ciał umierających. Uzdrowianie to robota dla kobiet, prawda?

W przypadku Isern słowa te trąciły lekką hipokryzją – Rikke na własne oczy widziała przecież, jak tą swoją włócznią zadźgała co najmniej pięciu ludzi – ale w ogólności nie sposób było się z nią nie zgodzić.

– Oni niszczą – mruknęła – my tworzymy.

Isern pokręciła głową, zacisnąwszy usta w nieustępliwą krechę. Z wielką wprawą posługiwała się igłą.

– Tyle zachodu, żeby powołać człowieka do życia, a wszyscy śpiewają tylko o zabójcach. Kiedy ostatnio słyszałaś, żeby mężczyzna wyśpiewał imię kobiety? No, chyba że nawoływał mamusię, kiedy Wielki Rozjemca położył na nim łapę.

– Świat mógłby być lepszy pod wieloma względami. – Westchnienie Rikke skłębiło się w powietrzu. – Bez dwóch zdań.



– Serdeczne dzięki za to objawienie. – Isern łypnęła na nią pogardliwie jednym okiem. – Przez trzydzieści sześć zim nauczyłam się jednej rzeczy: świat sam się nie zmieni. Chcesz zaleczyć jakieś rany? Weź się do szycia.

Wśród tego wszechobecnego cierpienia Rikke czuła się jeszcze bardziej bezradna niż zwykle.

– Ale co ja mogę zrobić?

– Ty? Rikke obdarzona długim okiem? Zobaczyłaś ludzi Czarnego Caldera, zanim przyszli, prawda? Może w ten sposób ocaliłaś armię. Może ocaliłaś nas wszystkich.

– Może.

Po bitwie ludzie rzeczywiście zaczęli na nią spoglądać jakoś inaczej niż wcześniej, jakby ją szanowali. To była miła odmiana. A także jakby się jej bali, co już takie miłe nie było. Trafili się też tacy, którzy jej nienawidzili, ale dałoby się ich policzyć na palcach. Było jej z tym zarazem przyjemnie i nieprzyjemnie; nigdy się nie spodziewała, że stanie się dość ważna, by ją znienawidzić.

– Nie jesteś już nikim, Lepka Rikke. – Isern wytrzeszczyła oczy. – Legenda się rozwija.

– Legenda! – Rikke prychnęła. – Jestem nikim i niczym.

– A czy nie tak właśnie zaczynają się wszystkie najciekawsze legendy? Na mój gust lepiej niż większość z nas nadajesz się na przywódcę, który poprowadzi ludzi ku świetlanej przyszłości.

– Żaden ze mnie przywódca.

– Nie dziwota, skoro wiecznie snujesz się gdzieś z tyłu i marudzisz, jaka jesteś beznadziejna. Wyżej tę pochodnię!

– Przepraszam. I tak niedługo będziesz musiała znaleźć kogoś innego, kto ci poświeci. Zostałam wezwana na naradę o świcie. – Rikke spęczniała z dumy. – Przez samą panią gubernator Brock.

– Chce, żebyś swoimi kobiecymi sztuczkami wybiła jej synowi z głowy pojedynek?

Rikke zgarbiła się smętnie.

– Jeśli naprawdę liczy na mój kobiecy spryt, to musi być diabelnie zdesperowana.

– A mnie się wydaje, że masz go w sobie więcej, niż myślisz –

zauważyła Isern. – Przecież to ty go podpuściłaś, prawda?

I znów posłała Rikke to charakterystyczne spojrzenie z ukosa, jakby razem uknuły jakiś niecny plan.

– Słucham?

– Tym gadaniem o lwach, wilkach i krwawych kręgach.

– Ja to po prostu zobaczyłam w swojej wizji. Sama mnie o to zapytałaś!

Isern na chwilę oderwała się od pracy.

– Nie wybierasz treści swoich wizji, ale sama decydujesz o tym, jak o nich opowiesz. Dopiero co mówiłaś o zmienianiu świata, a teraz nie jesteś w stanie wpłynąć na chłopaka, żeby zmienił zdanie? Spójrzmy prawdzie w oczy: żaden z niego geniusz. – Przegryzła nitkę i sięgnęła po bandaż. – Wiem, że lubisz sobie wyobrazać siebie jako bezradną pasażerkę pędzącego na oślep wozu, która jedzie nie wiadomo dokąd i nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia, ale kiedy spuścisz wzrok, to może zobaczysz, że to ty trzymasz wodze, nikt inny. – Jeszcze raz spojrzała na Rikke znacząco. – Może czas ich użyć? A teraz podnieś tę przeklętą pochodnię, z łaski swojej!

\* \* \*

Młody Lew zawsze wyglądał dobrze, ale teraz ze złością było mu do twarzy, z bitewnymi zadraśnięciami było mu do twarzy, nawet z tą odrobinę nadąsaną miną było mu do twarzy. Prawdę mówiąc, Rikke nie bardzo umiała sobie wyobrazić większego przystojniaka. Kłopot w tym, że pojedynki na śmierć i życie nie zawsze wygrywają ci przystojniejsi. Ba, historia wręcz faworyzuje brzydkich czempionów, którzy, być może, spędzają czas na treningach, kiedy ich ładniejsi koledzy mizdrzą się do luster.

Zachowała jednak tę refleksję dla siebie, bo i bez jej spostrzeżeń wszyscy byli wystarczająco podenerwowani. Leo uzależnił przyszłość ich wszystkich od wyniku pojedynku z jednym z najgroźniejszych ludzi na całej Północy, przy czym

bodaj jedyną osobą, która najwyraźniej nie doceniała dramatyzmu sytuacji, był sam Leo, powszechnie znany z braku umiejętności realnej oceny sytuacji.

Stojący na środku namiotu rycerz herold, który w opancerzonej dłoni ścisnął list od Jego Wysokości, dodatkowo psuł jej humor. Skąd oni biorą takich wysokich skurczybyków? To była jej pierwsza myśl po tym, jak wśliznęła się do środka i go zobaczyła. Zaraz potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego nikt nie zwraca na niego uwagi, a gdy chwilę później pani gubernator podczas szczególnie płomiennej tyrady po prostu przeszła przez niego na wylot, Rikke zdała sobie sprawę, że lewe oko pali ją jak ogień, a rycerza herolda wcale tam nie ma. Być może jeszcze go tam nie ma.

Po tym, jak przewidziała nadejście ludzi Czarnego Caldera, zaczęła postrzegać długie oko jako błogosławieństwo. Teraz jednak miała wrażenie, że stara klątwa wróciła.

– Nie mogę się wycofać – mówił właśnie Leo, naburmuszony, poharatany i piękny. – Jak to by wyglądało?

Jego matka spojrzała na niego z niedowierzaniem. Często jej się to zdarzało.

– Są ważniejsze rzeczy od tego, jak wypadniesz, Leo!

Ojciec Rikke rozdzielił ich i uspokajającym gestem położył Leo dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj, synu: w życiu tak już jest, że im starszy się stajesz i im mniej wiosen pozostaje ci do przeżycia, tym bardziej lękasz się je stracić. Ot, ironia losu. Za młodu wydaje ci się, że jesteś niezwyciężony, ale możesz to wszystko stracić... – Pstryknął palcami przed nosem Leo. – O, tak właśnie.

– Ale ja o tym wiem! – zachnął się Leo. – To przez twoje opowieści o Krwawej Dziewiątce idea pojedynku tak mnie zafascynowała. Te wszystkie jego triumfy w kręgu, kiedy los Północy zawisł na...

– Moje słowa miały być dla ciebie ostrzeżeniem, chłopcze! – Ojciec Rikke spojrzał na niego ze zgrozą. – Nie zachęta!

– Czy nikomu z was nie przyszło do głowy, że naprawdę mogę wygrać? – Rozeźlony Leo zacisnął pokrytą strupami dłoń

w pięść. – Nasi ludzie są wyczerpani i nie możemy liczyć na posiłki, a Scale Żelaznoręki ma pod ręką zastępy świeżych wojowników! To może być nasza jedyna szansa na odzyskanie Uffrithu i ocalenie Protektoratu!

Ojciec Rikke skrzyżował ramiona na piersi, westchnął przeciągle, głęboko, i spod krzaczastych brwi łypnął na matkę Leo.

– Nie da się ukryć, że chłopak ma trochę racji.

– Naprawdę mogę zwyciężyć! – Leo stanął obok nieruchomego rycerza herolda, wielgachna pieczęć na zwoju prawie muskała go po twarzy. – Wiem, że mogę! Rikke to widziała!

Ojciec Rikke i matka Leo jednocześnie się odwrócili i spojrzeli na nią. Stała jak skamieniała, z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami, jak kieszonkowiec przyłapany z ręką w cudzej sakiewce.

Nagle do niej dotarło, że Isern miała rację. To, co widzi w swoich wizjach, to jedno; ale to, jak o tym opowiada, to zupełnie co innego. I tych dwóch rzeczy nie musiała wcale łączyć prosta droga, lecz dowolnie skomplikowany labirynt.

Przepraszam cię, Leo, pomyliłam się. Przykro mi, ale twoja matka ma rację. Słuchaj, stary, tak naprawdę to lew przetrząsnął sromotnie, wilk odgryzł mu jaja i zatknął je na czubku piki.

Może rzeczywiście to ona trzymała wodze – zarówno teraz, jak i wcześniej. Może była władna cofnąć to, czego wcześniej dokonała. Jednakże gdzieś z tyłu głowy, w mrocznym zakamarku umysłu, którego istnienia była ledwie świadoma, odkryła pragnienie zobaczenia, jak Leo walczy ze Stourem Zmierzchnem i jak na oczach całej Północy przelewa krew tego skurczybyka; odkryła chęć zemsty – za ojca, za rannych na polanie, za tych, którzy wrócili do błota, za wszystkie jej cierpienia i udręki w zimnym lesie.

Mogła powiedzieć, cokolwiek chciała. Postanowiła, że powie prawdę.

– Widziałam lwa i wilka walczących w krwawym kręgu. Lew zwyciężył.

Matka Leo przycisnęła palce do skroni.

– Zamierzasz więc ryzykować życie, nie mówiąc o przyszłości całej Północy, tylko dlatego, że ta dziewczyna dostała ataku i widziała w nim walczące zwierzęta?!

– Zobaczyła Gwoździa wychodzącego z lasu, zanim faktycznie się tam pojawił – wtrącił ojciec Rikke, wbrew sobie zmuszony do stanięcia w jej obronie. – Gdyby nie ona, wszyscy moglibyśmy już leżeć w błocie.

– Wielkie nieba, Rikke! – wykrzyknęła lady Finree. – Nie jesteś przecież głupia, powiedz mu, że to szaleństwo!

– No więc... – Rikke zmarszczyła brwi. Z zewnątrz dobiegł odgłos ciężkich kroków, szcęk ostróg na pancernych butach. Spojrzała do góry, na sufit. – No tak. Już rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Moja opinia jest bez znaczenia. Twoja również, pani.

– Mogę zapytać, dlaczego tak uważasz?

Rikke skinieniem głowy wskazała wejście do namiotu.

– Przez niego.

Zawirowała odrzucona na bok płachta przy wejściu i do środka wmaszerował rycerz herold.

Wyjąwszy zwój z torby, zrobił jeszcze dwa kroki i stanął dokładnie w tym miejscu, w którym stał przez cały czas. Podał Leo opatrzony wielką pieczęcią zwój.

– Lordzie Brock – powiedział – wiadomość od króla.

Wszyscy znieruchomieli, wstrzymując oddech, tylko Leo wyciągnął rękę po zwój i powoli go rozwinął. Odczytał pierwsze parę wersów i z niedowierzaniem podniósł wzrok.

– Mam zastąpić ojca – powiedział. – Król potwierdza moją nominację na lorda gubernatora Anglandu.

Ojciec Rikke wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze. Matka Leo zrobiła pół kroku w tył.

– Leo...

– Nie – powiedział bardzo stanowczo, choć niezbyt ostro. – Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej, matko. Jestem ci wdzięczny za wszystko, czego mnie nauczyłaś, ale od tej pory sam odpowiadam za siebie. Stanę do walki ze Stourem

Zmierzchnem i żadne słowa nie odwiodą mnie od tego zamiaru.

Odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Rycerz herold z zakłopotaniem skinął głową lady Finree i podążył za nowym lordem gubernatorem Anglandu. Na całe szczęście zabrał ze sobą swojego ducha.

Ojciec Rikke znużonym gestem potarł zarośniętą szczękę.

– Cóż – powiedział – próbowaliśmy.

Poklepał Rikke po ramieniu i również wyszedł.

Lady Finree stała wpatrzona w płachtę przesłaniającą wejście. Jeszcze przed chwilą była głównodowodzącą armii – a potem jeden ruch królewskiego pióra stracił ją do statusu zatroskanej matki wojownika.

– Mam wrażenie, że zaledwie wczoraj karmiłam go, ubierałam i podcierałam mu tyłek. – Spojrzała na Rikke. – To skończony dureń – ciągnęła coraz bardziej chrapliwym głosem. – Na niczym się nie zna, ale ponieważ urodził się z fiutem, będzie od teraz decydował za nas wszystkich!

Nagle wydała się stara, słaba i bezradna i Rikke zrobiło się jej żal. Żałowała też tego, co sama powiedziała, ale tych słów nie dało się już cofnąć. Długie oko pozwalało czasem zajrzeć w przeszłość, ale nigdy nie pozwalało się w nią przenieść.

Wzruszyła ramionami tak gwałtownie, że barkami dotknęła uszu, zanim zwiesiła ręce w bezradnym geście.

– Może wygra?

## Broń głupców

– Przeklęty głupiec! – pinił się Calder, przechadzając się sztywnym krokiem po wiosce.

– Zgadzam się – westchnął idący za nim Koniczyna. – Przeklęty głupiec.

Na błotnistych ścieżkach i placach roiło się od wojowników Scale’a – ludzi uzbrojonych po zęby, gniewnych i nienawykłych do kapitulacji, którzy jednak pośpiesznie schodzili z drogi Czarnemu Calderowi, gdy szedł wśród nich z twarzą jak burzowa chmura.

– Kochałem moją żonę, Koniczyna – burknął. – Kochałem ją nad życie.

– To chyba... dobrze, nie?

– Była moją największą słabością.

– Aha.

– Kochałem ją, a kiedy umarła, został mi po niej tylko nasz syn.

– Mhm.

Calder szedł w stronę domu szefa wioski, który Król Północnych zaanektował na swoją tymczasową gospodę.

– Pobłazałem mu – mówił. – Rozpieszczałem przeklętego głupca... Wiele razy powinienem był złoć mu skórę, bo na to zasłużył, ale wtedy widziałem w jego twarzy jej twarz i nie potrafiłem się na to zdobyć.

– Teraz już pewnie za późno na klapsa – zauważył półgłosem Koniczyna.

– To się jeszcze, kurwa, okaże.

Calder pchnął drzwi na oścież i wparował do domu.

Król Scale pił. Cóż innego miał robić? Pił i rechotał głośno, słuchając opowieści o bitwie, już rozwodnionych kłamstwami

jak oszukane piwo. Jego bratanek, potężny Stour Zmierzchun przyozdobiony paroma świeżymi sińcami i zadrapaniami, szczyrzył zęby, słuchając o własnych wyczynach, przy czym łągarstwa sprawiały mu większą przyjemność od faktów. Zebrani wokół tych dwóch bohaterów wojownicy, starzy i młodzi, pławili się w słonecznym blasku triumfu, którego jeszcze nie osiągnęli.

Na widok Caldera zapadła cisza. Nie miał broni, ale wyraz jego twarzy był ostry niczym miecz.

– Wypad. Ale już.

Stare i młode pizdusie nastroszyły się, zagderały i spojrzały pytająco na swoich panów. Scale odął pokryte siecią drobnych żyłek policzki i wskazał na drzwi. Pizdusie wstały więc i wyszły gęsiego, posyłając Koniczynie tradycyjną dawkę pogardy, na którą odpowiedział nie mniej tradycyjną porcją niewzruszonej pogody ducha. Kiedy drzwi się zamknęły, w sali zostało ich tylko czterech: król Scale Żelaznoręki, jego brat Czarny Calder, syn tego drugiego Stour Zmierzchun oraz Koniczyna.

Piękna ekipa.

– Moja kochana rodzinka! – Melodyjny głos Caldera wprost ociekał pogardą. – Wszyscy razem.

– Ojciec... – próbował go zbyć pęczniejący z dumy Stour.

– Nie ojcu mi tu, chłopcze! Podoba ci się to szaleństwo, prawda, Scale?

– Trwa wojna, bracie. – Król Północnych posłał Calderowi spokojne spojrzenie spod szpakowatych brwi. – A jak trwa wojna, to wojownicy walczą.

– Chodzi o to, jak walczą i kiedy! Przez ciebie mogliśmy wszystko stracić! Cała nasza praca mogła pójść na marne! – Czyli, ma się rozumieć, cała praca Caldera, bo Scale trzymał się na tyłach i chlał, a Stour wysforował się naprzód i paradował dumny jak paw. – A ty, Stour? Jesteś naszą przyszłością! Jesteś przyszłością Północy! Nie możesz ryzykować...

– To samo mówiłeś przed walką z Nieznajomym-u-Bram. – Stour machnął lekceważąco ręką, jakby rozgarniał pajęczynę. – „Jest zbyt niebezpieczny. Nie możemy ryzykować twojego życia,



jesteś naszą przyszłością”. – Trzeba było przyznać, że z tym jęśliwym tonem całkiem udatnie przedrzeźniał gładzącego Caldera. – A ja go pokonałem! Tak jak Krwawa Dziewiątka pokonał Shamę Bezdusznego, mimo że nikt nie dawał mu żadnych szans! – Nadał się i łypnął złowieszczo okiem, jak kogut, który dostrzegł na swoim podwórku rywala. – A ten unijny dzieciak nie jest nawet w połowie tak dobrym wojownikiem, jakim był Nieznajomy-u-Bram! Nawet w jednej czwartej!

– Nazywają go Młodym Lwem, a moi szpiedzy donoszą mi, że groźny z niego przeciwnik. Ile razy ci powtarzałem: „nigdy nie lękaj się wroga, ale zawsze go szanuj”? Każdy pojedynek niesie ryzyko, a my nie jesteśmy skazani na hazard. Nieprzyjaciel jest wyczerpany, my mamy świeże siły. Plaskacz może ich zająć z flanki, teren nam...

– Wystarczy tej strategii. – Stour skrzywił się i pociągnął nosem, jakby to słowo miało przykry zapach. – W zimie powiedziałaś mi, że wygramy na wiosnę, wiosną, że latem, a latem, że na jesieni. Tydzień temu mówiłaś, że już wygraliśmy; że przechytryłaś tę unijną sukę i pokonałaś Wilczarza. Okazuje się, że unijna suka jest bystrzejsza, a Wilczarz twardszy, niż ci się zdawało. Co będzie, jeżeli znowu pomylisz się w ich ocenie? Jeżeli nie zdążysz ich pokonać przed zimą, a ten próżniak król ocknie się wreszcie i przyśle im posiłki? Co wtedy?!

Calder machnął ze złością ręką.

– Gdyby miały przyjść dla nich posiłki z Midderlandu, to już by tu były. Pobijemy ich przed nadejściem zimy.

– Bez obaw, ja ich pobiję jutro przed wieczorem – powiedział Stour i wybuchnął śmiechem.

Scale też się śmiał, Calderowi nie było do śmiechu, a Koniczyna patrzył na nich i myślał, że to nie jest najlepszy sposób na rządzenie królestwem.

– Krwawa Dziewiątka nigdy nie unikał walki – dodał Stour. – Czarny Dow też. Ani Whirrun z Bligh. Ja też się nie wycofam.

– Wyliczyłeś mi tu właśnie martwych głupców – wysyczał Calder. – Powiedz mu, Koniczyna. No powiedz mu, na pamięć umarłych!

Koniczyna od tygodni próbował przemówić Stourowi do rozsądku, ale skutek jego gadaniny był taki sam, jak gdyby dmuchawcami ostrzeliwał wojownika w pełnej zbroi płytowej. Z drugiej strony jeszcze jeden dmuchawiec na pewno nie zaszkodzi.

Rozłożył ręce takim gestem, jakby trzymał w nich półmisek pełen najlepszych rad.

– Nie ma większej głupoty niż przystać na walkę z niebezpiecznym przeciwnikiem na równych warunkach. Spójrz na mnie: straciłem w kręgu wszystko.

– Jaja też? – zadrwił Stour.

– Jaja są na swoim miejscu, mój książę, co najwyżej troszkę się skurczyły. Ale już nimi nie myślę.

– Mój bratanek pokonał w kręgu Nieznajomego-u-Bram – przemówił król, zdmuchując przy tym część pianki z piwa. – Na pewno da radę jakiemuś unijnemu durniowi.

– A kto ci obciął rękę, bracie? – zagadnął go Calder. – Nie jakiś unijny dureń przypadkiem?

Scale nie zezłościł się bynajmniej, przeciwnie, uśmiechnął się, odsłaniając luki w uzębieniu.

– Ty jesteś ten mądry brat – odparł. – Jesteś przebiegły. Taki jak nasz ojciec. Dobrze wiem, że wszystko, co mam, zawdzięczam twojemu sprytowi, okrucieństwu i lojalności. Wiele rzeczy rozumiesz znacznie lepiej ode mnie, ale żaden z ciebie wojownik.

Calder skrzywił się pogardliwie.

– Od dwudziestu lat z nikim nie walczyłeś! Chcesz posłać Stoura do walki, żeby przypomnieć sobie czas chwały. Spasłeś się jak...

– Wiem, spasłem się jak wieprz, postarzałem się i stałem powszechnym pośmiewiskiem. O czymś jednak zapominasz, bracie. – Scale zahaczył kciukiem o złoty łańcuch na szyi i naciągnął go w taki sposób, że ogromny diament zawisł w powietrzu, mieniając się odbłaskami ognia w palenisku. – To ja jestem najstarszym synem naszego ojca. To ja noszę jego łańcuch. To ja jestem królem! – Puścił łańcuch i zdrową ręką

klepnął Stoura po ramieniu. – Mianuję Stoura Zmierzchuna nie tylko moim następcą, ale także moim czempionem. Będzie reprezentował mnie w kręgu, gdzie stanie do walki o Uffrith i wszystkie ziemie od Brosmy po Białą Strugę. Rzekłem.

Stour posłał Calderowi swój pewny uśmiech.

– Lepiej zostaw nas, wojowników, samych, ojcie. Musimy omówić wybór broni.

Calder jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, z twarzą stężoną jak maska.

– Wojownicy – burknął takim tonem, jakby nie wyobrażał sobie gorszej zniewagi, a potem okręcił się na pięcie i wyszedł.

Stour uniósł kufel z piwem.

– Na pamięć poległych... Jak go czasem najdzie, potrafi, kurwa, beczeć jak owca...

Rozległ się głośny trzask: to Scale go spoliczkował. Upuszczony przez Stoura kufel potoczył się po ziemi.

– Więcej szacunku dla ojca, chłopcze! – warknął król, podsuwając w geście groźby palec pod wstrząśniętą i poróżwiałą twarz Stoura. – Zawdzięczasz mu wszystko, co masz.

Milczenie się przeciągało, zanim w końcu Scale z czułością poklepał złotą głowicę przypasanego miecza.

– Może jestem staroświecki – powiedział – ale nadal uważam, że miecz to najlepsza broń. A ty co o tym sądzisz, Koniczyna?

– Sądzę, że miecz to broń głupców.

Stour w zadumie przesunął palcami po policzku i zmrużył oczy. Dopiero po chwili przeniósł wzrok ze stryja na Koniczynę.

– Sam nosisz miecz – zauważył.

– To prawda – Koniczyna postukał paznokciem w głowicę swojej broni – ale staram się go nie wyciągać z pochwy.

Scale gwałtownym gestem rozłożył ręce – tę żelazną i tę cielesną.

– Przecież żyjesz z tego, że uczysz ludzi fechtunku!

– Płacą, więc ich uczę, ale zaczynam od tego, że odradzam im walkę mieczem. Człowieka uzbrojonego w miecz zawsze zdąży się zauważyć, nim zaatakuje. A jeśli człowiek, którego

zamierzasz zabić, wie, że się zbliżasz, to znaczy, że zabrałeś się do rzeczy od dupy strony.

– W kręgu nie ma się gdzie ukryć. – Zdegustowany Stour odwrócił się plecami do Koniczyny. – W kręgu ten drugi zawsze jest gotowy.

– Dlatego trzymałbym się od kręgu jeszcze dalej niż od miecza – odparł Koniczyna. – Pieniądze, ziemia, sława, przyjaciele, nawet imię... Jeżeli je stracisz, ale ujdiesz z życiem, to z czasem możesz wszystko odzyskać. – Sam przecież stracił imię, prawda? I zdobył nowe. Wciąż czuł w nozdrzach słodką woń koniczyny, tak jak wtedy, gdy leżąc w kręgu, czekał na swój koniec. – Ale nikt nie pokona Wielkiego Rozjemcy. Z błota się nie wraca.

Stour prychnął z niesmakiem.

– Chujnia – powiedział. – Słowa tchórza.

– Żywy tchórz może w przyszłości znaleźć w sobie odwagę. Martwy bohater... – Koniczyna lubił mówić, ale czasem cisza bywa wymowniejsza od słów. Dlatego przeciągnął ją jeszcze trochę, a potem uśmiechnął się i dodał: – Mniejsza z tym. Domyślam się, że i tak zrobisz, co zechcesz, Wielki Wilku.

I wyszedł z sali w ślad za Czarnym Calderem.

## Nadzieja i nienawiść

– Włożyli go do skrzynki – powiedział smętnie zapatrzony w ognisko Jurand.

– Kogo? – zainteresował się Gławard.

– Barniwę. Żeby go odesłać do rodziny.

Kipielnik skrzywił się, obmacując wyniesiony z bitwy ogromny krwiak.

– Tak to się chyba robi z poległymi.

– Zapakowali go w sól, ale podejrzewam, że i tak dojrzeje, zanim dotrze na miejsce...

– Zamierzasz się ubiegać o rolę po nim? – warknął Leo. – Znużonego wojną weterana? – Nie podobała mu się ta rozmowa, nie miał ochoty myśleć o śmierci Barnivy ani o swoim ewentualnym w niej udziale. – Czeka mnie pojedynek. Może być tak, że jutro o tej porze to mnie będą pakowali do skrzynki.

– Przecież nie będą musieli nigdzie cię wysyłać – zauważył szczerze zdziwiony Kipielnik. – Twoja matka jest na miejscu, w obozie.

Leo zazgrzytał zębami.

– Chodzi mi o to, że muszę się skoncentrować. Szkoda Barnivy, był dzielnym człowiekiem i dobrym przyjacielem. Zawsze mogłem na niego liczyć. – Głos mu lekko zadrżał. – Gdyby nie zasłonił mnie tarczą... – To może nadal by żył. Jego wieczne marudzenie o okropnościach wojny nagle zabrzmiało jak słowa mędrca. Leo nie spodziewał się, że tak bardzo będzie mu go brakowało. – Tak jak powiedziałem, szkoda Barnivy, ale na razie musimy się wstrzymać z opłakiwaniem go i zrobić wszystko, żeby jego ofiara nie poszła na marne. Jego, Rittera i wszystkich innych. – Niech to szlag, głos znowu zaczął mu się trząść. To było denerwujące. – Skupcie się wszyscy. Muszę

wybrać broń, którą zabiorę ze sobą do kręgu. Od tego wyboru może zależeć moje życie.

Jurand usiadł prosto.

– Przepraszam, po prostu... – Znów się przygarbił. – Do skrzynki.

– Włócznia – powiedział Antaup. – Włócznia to zasięg, szybkość, finezja...

– Finezja! – prychnął Kipielnik. – Krąg to nie miejsce na finezję.

Glaward przewrócił oczami, jakby w życiu nie słyszał większego głupstwa.

– A kiedy Stour Zmierzchun obejdzie bokiem twój rożen, to co zrobisz?

– Masz lepszy pomysł? – Antaup wytwornym ruchem uniósł brew. – Może jakiś wielgachny topór, co? Będzie ważył więcej od Leo, który zdąży nim dwa razy machnąć, zanim będzie po zawodach?

– Robi się też małe topory – odparł z lekka urażony Glaward.

– Włócznia jest zbyt nieporęczna w pojedynku na małym obszarze. – Jin dotknął obitego policzka i znów się skrzywił. – A topór to broń prosta, solidna, skuteczna na małą odległość.

– Miecz byłby bardziej uniwersalny – wytknął mu Antaup i mówił dalej, wykonując stosowne ruchy: – Pchnięcie, cięcie, wypad, uderzenie głowicą.

Glaward przewrócił oczami.

– Ty i to twoje zakichane „uderzenie głowicą”... Miecz to oczywistość.

– Miecz to klasyka.

– Nic nie rozumiecie – warknął Leo. – Wybieram broń, ale nie wiem, czy będę nią walczył, czy będę ją musiał oddać przeciwnikowi i walczyć tym, co on przyniesie. Dlatego potrzebuję czegoś, czym ja umiem się posługiwać, a on nie.

Glaward zmarszczył brwi.

– Czyli...

– No właśnie nie wiem! Dlatego was pytam.

– Może powinieneś zapytać kogoś naprawdę mądrego. – Jin

obmacywał sobie ząb po wewnętrznej stronie obitego policzka. – Na przykład swoją matkę.

– Chwilowo ze sobą nie rozmawiamy – burknął Leo. – Pomysł z pojedynkiem nie przypadł jej do gustu.

W ciszy, która zapadła, Antaup z Gławardem wymienili znaczące spojrzenia.

Siedzący przy ogniu Jurand pochylił się; jego poza zdradzała gorliwość i napięcie, oczy skrzyły się odbłaskiem płomieni. Leo musiał przyznać, że to na niego działa.

– A nie myślałeś o tym, żeby... może, tak tylko mówię... żeby jej posłuchać?

– Serio? Teraz?

– No wiesz, jest chyba najlepszym taktykiem, jakiego znam...

– Uważasz, że sobie nie poradzę?

– Nie ma drugiego człowieka, który wierzyłby w ciebie tak bardzo jak ja! – Jurand odkaszlnął, spojrzał na pozostałych, usiadł spokojniej. – Jak my, chciałem powiedzieć. Ale pojedynek... ma w sobie coś z hazardu: wszystko się może zdarzyć, a ja bym nie chciał... znaczy my wszyscy byśmy nie chcieli, żebyś... żeby coś ci się stało.

Pod koniec głos go zawiódł i przeszedł w chrypliwy skrzek, tak jakby „zginął” nie chciało Jurandowi przejść przez gardło. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ten pojedynek może się zakończyć tylko na dwa sposoby: albo zwycięstwem, albo spotkaniem z Wielkim Rozjemcą.

– Jak sobie radzisz z biczem? – zapytał Antaup.

Leo wybałuszył oczy.

– Pytasz poważnie?

– Widziałem kiedyś, jak taka jedna Gurkhulka biczem wyrywała ludziom miecze z dłoni. Na jakimś pokazie. Zgłaszali się na ochotnika z widowni. Powiem ci, że to było naprawdę coś. Jednej dziewczynie zerwała też pół sukienki, nawet jej przy tym nie drasnawszy.

Antaup uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Czyli co, mógłbym zerwać ubranie ze Stoura?

– No nie, nie o to mi chodziło. Ale pomyśl, jemu bicz na

pewno by się nie przydał..

– Powinam was wszystkich wybatożyć. – Rikke podeszła do ogniska.

Jak zwykle popychała językiem grudkę chaggi pod dolną wargą i z niedowierzaniem kręciła kudłatą głową. Leo ucieszył się na jej widok, nawet bardzo. Zawsze umiała poprawić mu humor. Z długim okiem czy bez niego, potrafiła przejrzeć na wylot wszelkie bzdury i dotrzeć wprost do sedna spraw. Co więcej, pomagała także jemu dostrzegać sedno spraw. Na pamięć poległych, ależ teraz potrzebował jej trzeźwego umysłu.

– Rozmawiamy o broni, kobieto – burknął Gławard.

– Słyszałam, mężczyzno – odparła Rikke. – Tak jak słyszałam, że gadacie dupami. To, co wniesiesz do kręgu w dłoniach, jest o wiele mniej ważne od tego, co wniesiesz tam w głowie. – Postukała się w skroń. – W tej pierwszej kwestii niewiele możecie pomóc, w drugiej możecie co najwyżej przeszkadzać.

– A ile to pojedynków stoczyłaś w życiu, hę? – zagadnął Jin.

– Więcej niż wy wszyscy razem wzięci – odparowała bez namysłu. – A teraz zmiatać mi stąd, muszę porozmawiać ze swoim czempionem.

Może przywykli do tego, że rozkazuje im matka Leo, a Rikke najwyraźniej zapożyczyła od niej autorytet – w każdym razie potulnie wstali i zaczęli zbierać rzeczy.

– Nie odchodźcie za daleko! – zawołała za nimi. – Ktoś musi trzymać tarcze!

– Co w ciebie wstąpiło? – zdumiał się Leo.

Rikke zrobiła wyniosłą minę i pociągnęła nosem, aż zadrżał kolczyk.

– Isern powiedziała, że powinienam przejąć wodze.

– To co, teraz jestem koniem?

– Owszem, jesteś. I potrzebne ci dźgnięcie ostrogą.

– Zwykle od tego miałem matkę. – Leo poczuł lekkie ukłucie niepokoju, gdy znów do niego dotarło, że wkrótce czeka go pojedynek na śmierć i życie. – A teraz, kiedy jej najbardziej potrzebuję, porzuciła mnie, larwa jedna.

– To na pewno bardzo smutna historia, ale założę się, że ona



to widzi inaczej. Nawykła do dowodzenia, Leo, a teraz nagle stała się zupełnie bezradna. Myślę, że się boi.

– Ona się boi? To ja będę walczył z Wielkim Wilkiem! Powinna być przy mnie!

– Od tygodni biadoliłeś, że stale zagląda ci przez ramię, a teraz, kiedy w końcu wyszedłeś z jej cienia, zaczyna ci jej brakować? Na pamięć poległych, Młody Lew naprawdę nie powinien tęsknić za mamusią!

Leo wziął głęboki wdech i bardzo powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Masz rację. Przez całe życie marzyłem o tym, żeby walczyć w kręgu. – Złapał się za głowę. – Do wszystkich diabłów, Rikke, dlaczego tego chciałem?!

Chwyciła go za nadgarstki, pociągnęła mu ręce w dół.

– Nikt potem nie pamięta, jak wyglądał pojedynek; zapamiętuje się tylko zwycięzcę. Walcz ostro.

– Taki mam zamiar.

– Walcz nieczysto.

– Tak zrobię.

– Lew pokonał wilka.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. – Ujęła jego twarz w dłonie. – Lew pokonał wilka. Ja to widziałam.

Jej wielkie, jasne oczy były przepełnione pewnością siebie. To mu dodało otuchy. Od razu poczuł się dzielniejszy. Poczuł się sobą, Młodym Lwem! Rikke była dokładnie tym, czego w tej chwili potrzebował: krynicą wiary na pustyni zwątpienia. Jak to się mówi – każdy dobry mężczyzna potrzebuje mieć przy sobie dobrą kobietę. Albo pod sobą.

– Kurczę, kocham cię – powiedział.

Rikke gwałtownie uniosła brwi, niemal równie wysoko jak on sam. Dlaczego z tym wyskoczył? Matka zawsze mu powtarzała, że daje się ponieść emocjom.

– To znaczy... – jąkał się. – To nie tak, że cię kocham, rozumiesz... – bełkotał. O co mu właściwie chodziło, do licha? Jak nazwać taką kobietę, która jest jednocześnie twoją kochanką

i przyjaciółką? Pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego. – Chociaż może właściwie tak...

– W takim razie obiecaj mi coś. – Ujęła go obiema rękami za potylicę i przyciągnęła, aż prawie zetknęli się nosami. – Obiecaj mi, że zabijesz skurwiela.

Wyszczerzył zęby.

– Obiecuję. Przecież o to właśnie chodzi, żeby zabić skurwiela. Zrobię to dla ciebie. Dla twojego ojca. Dla Rittera. Dla Barnivy... – Uśmiechnął się. – Miecz Barnivy. To jest broń, którą zabiorę do kręgu.

– Dobry wybór, moim zdaniem.

Leo spojrział w dal, w stronę mostu, i najpierw posmutniał, a potem zadrżał z niepokoju.

– Oby przyniósł mi więcej szczęścia niż jemu.

– Tobie szczęście nie będzie potrzebne. – Rikke odwróciła go z powrotem ku sobie i pocałowała: delikatnie, serio, z wiarą. – Widziałam to.

\* \* \*

Ludzie już się zbierali w wyznaczonym miejscu. Wyglądało na to, że przelana dzień wcześniej rzeka krwi tylko zaostrzyła ich apetyty. Koniczyna nie przepadał za pojedynkami w kręgu, odkąd sam takowy przegrał, ale poproszono go, żeby trzymał tarczę po stronie przyszłego króla północy, a to był nie byle jaki zaszczyt. Wydawało się więc roztropnym przynajmniej się nie spóźnić.

Nieopodal mostu, gdzie walki były najbardziej zażarte, wygolono kawał trawiastego placu i kołkami i sznurem wytyczono krąg o średnicy dobrych sześciu kroków. Cieśle sklecieli prowizoryczne trybuny, żeby najważniejsi widzowie mieli dobry widok na scenę, na której ważyć się będzie przyszłość ich wszystkich; żeby Czarny Calder i Scale Żelaznoręki, Wilczarz i lady Brock nie przegapili ani jednej kropli krwi utoczony w kręgu – szkoda by przecież było, gdyby

niezauważona przez nikogo wsiąkła w ziemię, prawda?

Dobra pogoda do pojedynku: intensywny błękit blaknący na horyzoncie, znużone słońce z wolna zapadające za wzgórze. Wysoko, wysoko wielki klucz gęsi z głośnym klangorem leciał na południe, zupełnie obojętny na sprawy ludzi – obojętny na to, kto wygra, a kto zostanie pokonany; kto przeżyje, a kto zginie. Dobrze było wiedzieć, że gęsi będą tak frunąć bez względu na to, co wydarzy się tu, na dole, chociaż wątle to będzie pocieszenie dla tego z bohaterów, który skończy z mieczem w dupsku.

Tworzący krąg z tarcz sekundanci, których zadaniem było dopilnowanie, żeby żaden z pojedyńkowiczów się nie wymknął, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona, powinni być najzacieklejszymi wojownikami, jakich tylko walczący potrafili znaleźć – i trzeba było przyznać, że ci młodszy mierzyli się nawzajem nader wojowniczymi spojrzeniami ponad plackiem wygolonej trawy. Starsi, dla których to nie był pierwszy raz, oszczędzali swoje gniewne grymasy na czas, kiedy naprawdę będą miały znaczenie – zwłaszcza że na razie stali przemieszani i Ludzie Nazwani od Scale'a rozmawiali z tymi od Wilczarza jak starzy przyjaciele. Koniczyna znał większość z nich: Czerwonogłowego i Oxela, Plaskacza i Brodda Milczącego, Kredowego Lemuna aż spod Yaws i Greguna Pustogłowego z Zachodnich Dolin. Gwoździa też rozpoznał: jasne włosy nosił nastroszone jak puch ostu, a po wczorajszych walkach był cały spowity w zakrwawione bandażę.

Właściwie było to nawet trochę dziwne, że ci sami ludzie, którzy zaledwie kilkanaście godzin wcześniej starli się na śmierć i życie, teraz razem się przechadzali, polerowali tarcze, rozpamiętywali dawne bitwy, dyskutowali o walkach minionych i walkach przyszłych. Prawda była taka, że wojowników – obojętne po której stronie się opowiedzieli – zawsze więcej łączyło ze sobą nawzajem niż z kimkolwiek innym.

– Najbardziej samotny fach ze wszystkich – mruknął pod nosem Koniczyna. Pasterze nie miewają wielu przyjaciół, ale też rzadko się zdarza, żeby musieli zabijać tych, których jednak zdobędą.

– Jonas Stromiarz.

Koniczyna odwrócił się gwałtownie.

Wypowiedziane złowieszczym szeptem nazwisko zabrzmiało zarazem przerażająco i dziwnie podniecająco. Obok niego stał wysoki mężczyzna z przypiętą do ramienia sfatygowaną tarczą. Targane wiatrem siwe włosy okalały siwo zarosniętą twarz przeciętą blizną, przy której blizna Koniczyny mogła się schować. W samym środku blizny w miejscu oka lśniła kula martwego metalu.

– A niech mnie diabli, jeśli to nie Caul Dreszcz! Nikt już nie nazywa mnie Stromiarzem. Przekonałem się, że wielkie i sławne imię prowokuje ludzi do sięgania po miecz, żeby kawałek sobie z niego odkroić.

Dreszcz skinął głową w sposób znamionujący długie i przykre doświadczenie.

– Co prawda, to prawda: na świecie nie brakuje porywczych głupców.

– A ja nie chcę, żeby ich przybywało. Dlatego jestem po prostu Koniczyną.

– Tam rosła koniczyna? W kręgu, w którym walczyłeś?

– Rosła. Ilekroć czuję jej zapach, przypominam sobie smak porażki.

Dreszcz ponownie skinął głową i przeniósł wzrok na wzgórza.

– Powinniśmy kiedyś pogadać jak dwa stare, sterane życiem rumaki bojowe.

– Ty jesteś rumakiem, Dreszcz, ale ja? Ja jestem wroną, która rozdziobuje resztki.

– Nie zrozum mnie źle, doceniam twoje aktorstwo. – Dreszcz obejrzał się na Greenwaya, który brykał rażno, jakby to on miał stanąć w kręgu przeciw Młodemu Lwu i na dodatek był pewien zwycięstwa. – Z całą pewnością nie brakuje durniów, którzy mają z ciebie ubaw. – Nachylił się nad Koniczyną i szepnął mu do ucha: – Ale obaj wiemy, kim naprawdę jesteś.

Mówiło się, że metalowym okiem Caul Dreszcz przenika ludzkie myśli, co było oczywistą bzdurą, ale tym drugim, zdrowym, widział dostatecznie dużo. Mało kto miał równie

bystry wzrok, mało który z Ludzi Nazwanych rzucał równie długi cień. Caul Dreszcz nie potrzebował czarodziejskiego oka, żeby snuć nadzwyczaj celne domysły.

Koniczyna odetchnął głęboko.

– Wiesz, jak jest. Każdy gra takimi kartami, jakie mu rozdał los.

– Niektórzy rzeczywiście tak robią, ale nie wszyscy. Niektórzy zabijają ludzi, którzy dostali lepsze karty, żeby im je zabrać. Powiedz no, co jest wart ten cały Stour Zmierzchun jako wojownik?

– Ja bym nie chciał z nim walczyć.

– Człowiek rozsądny w ogóle unika walki.

– Przynajmniej uczciwej.

Umilkli na chwilę, patrząc na gęstniejącą ciżbę po obu stronach – Unii i Północy: wojowników, służby i kobiet przybywało z każdą chwilą, aż w końcu ze wszystkich stron otaczał ich rozgadany tłum.

– A jakim jest człowiekiem? – zapytał Dreszcz.

– Takim, jakiego można się spodziewać po kimś, kogo nazywają Wielkim Wilkiem. Na pewno nie lepszym. A jakim człowiekiem jest Brock?

Dreszcz wzruszył ramionami.

– Takim, jakiego można się spodziewać po kimś, kogo nazywają Młodym Lwem. Na pewno nie gorszym.

– Mhm. Tak się zastanawiam... Skoro znamy wszystkie odpowiedzi, to po kiego diabła zadajemy się jeszcze z tymi skurczybykami?

Zgiełk się wzmógł – wiwaty z jednej strony, gniewne pomruki z drugiej – i przez tłum precyzyjnie się synowie Bethoda. Drugiej tak niedobrej pary braci ze świecą by szukać: wielki, mięsisty, uśmiechnięty i błyskający złotem Scale Żelaznoręki i chudy jak włócznia, groźny jak burzowa chmura Czarny Calder.

– Dużo się mówi o lojalności – powiedział Dreszcz, gdy dwaj ludzie rządzący Północą od niemal dwudziestu lat zajmowali honorowe miejsca wysoko ponad kręgiem.

Koniczyna prychnął.

– Zważywszy, że we dwójkę przeżyliśmy łącznie pewnie z tuzin różnych panów i przyłożyliśmy rękę do upadku wielu z nich, śmiem twierdzić bez cienia zakłopotania, że lojalność jest przereklamowana.

– Trochę pomaga, kiedy znajdzie się ktoś naprawdę wart naszej lojalności.

Wiwaty i gniewne pomruki rozbrzmiały z przeciwnych stron, gdy stary, chudy człowiek o siwych włosach i ostrych rysach wspiął się na siedzisko naprzeciw Scale'a i Caldera.

– Mówisz o Wilczarzu?

Był cały szary: ubranie miał szare, włosy miał szare i twarz też miał szarą, jakby życie z niego wyciekło i została tylko wątpa skorupa, którą byle podmuch wiatru może ponieść w dal.

– Wygląda, jakby najlepszy czas miał już za sobą – dodał Koniczyna.

Dreszcz leniwie spojrział na Scale'a, zanim wrócił spojrzeniem do Wilczarza.

– Przynajmniej go miał – odparł. Umiał zamknąć obfitą treść w niewielu słowach.

– To prawda. – Koniczyna westchnął ciężko. – Mam dla niego wiele szacunku. Jedyne człowiek, który za mojego życia objął władzę na Północy i pozostał przyzwoity. Bo inni, to znaczy Bethod, Krwawa Dziewiątka, Czarny Dow, Czarny Calder... ech... tak między nami mówią... – Podrapał się po bliźnie i zniżył głos do szeptu: – Mogliby rywalizować o tytuł największego skurwiela, nie uważasz?

Dreszcz pokiwał w zadumie głową.

– Istna parada kutafonów.

– Tyle że jakoś tak wychodzi, że to kutafony wygrywają. A ja może jestem słaby, ale wolę stać po stronie zwycięzców, nawet jeśli po stronie przegranych ładniej pachnie.

– Powinieneś poznać jego córkę.

– Czyją? Wilczarza?

– Mhm. Rikke. Nie obiecuję, że będzie ładnie pachniała, ale warto z nią porozmawiać.

Dreszcz skinieniem głowy wskazał platformę, na którą od

tyłu wspięła się właśnie chuda dziewczyna, same łokcie i kolana. Wcisnęła się pomiędzy Wilczarza i bladą kobietę o zawziętej twarzy – niedawną panią gubernator Anglandu, jak domyślał się Koniczyna.

Odgarnęła opadające na twarz rudobrazowe włosy, odsłoniła te wielkie szare oczy... i Koniczyna wyzbył się resztek wątpliwości. To była ona. To ona sturlała mu się prosto pod nogi. To jej pozwolił czmychnąć w głąb lasu.

– Spotkaliśmy się kiedyś, w przelocie. Wydała mi się niepozorna.

– W takim razie źle ją oceniałeś.

Wyglądała niczego sobie, ale sprawiała przy tym wrażenie szurniętej – dzika, nerwowa, z krzyżem namalowanym na jednym oku, grubym złotym kolczykiem w nosie i kłębowiskiem łańcuchów i rzemyków na szyi przywodziła na myśl czeladniczkę góralskiej czarownicy, która nie doszła jeszcze do etapu rzucania prawdziwych zaklęć.

– Jesteś pewien?

– A wyglądam ci na człowieka skłonnego do urojeń?

Koniczyna zmierzył Dreszcza szybkim spojrzeniem od stóp do głów.

– Absolutnie nie. A ja dawno wyleczyłem się z przekonania, że zawsze mam rację.

– Im człowiek mądrzejszy, tym bardziej skory do dalszej nauki.

Dreszcz uśmiechnął się półgębkiem, patrząc na wymachującą rękami Rikke. Może był w tym uśmiechu cień dumy? Jedyne ślad uczuć, jaki okazał podczas całej rozmowy.

Na pewno warto mieć na oku kogoś, kto jest w stanie wykrzesać odrobinę ciepła z tej grubo ciosanej twarzy, pomyślał Koniczyna.

Tarczownicy zaczęli ustawiać się w krąg. Gapie napierali na nich z tyłu, walcząc o najlepsze miejsca do oglądania mordy.

– Daj znać, kiedy będziesz chciał pogadać, stary draniu. – Koniczyna podniósł tarczę i ruszył na poszukiwanie swojego miejsca w kręgu. – Zawsze chętnie słucham ludzi, którzy mówią,

jak można robić coś lepiej niż dotychczas.

\* \* \*

Rikke miała nadzieję, że trawiąca ją nienawiść, która z czasem zaczęła jej ciążyć nie na żarty, rozplynie się wreszcie na widok twarzy Stoura Zmierzchuna. Myślała, że kiedy spojrzy mu w oczy, przekona się, że wcale nie jest potworem, który snuł plany zamordowania jej, spalił ogródek jej ojca i pozabijał dobrych ludzi, tylko zwykłym człowiekiem, pełnym lęków i pragnień, i jej nienawiść się roztopi.

Jak to często bywa z nadziejami i nienawiścią, wyszło niezupełnie tak, jak sobie wyobrażała.

Przyszły król wszedł do kręgu dumnym krokiem przy wtórce ogłuszających wiwatów swoich stronników, oklaskiwany, wychwalany i poklepywany po plecach. Stał na środku, uśmiechając się z wyższością, jak gość weselny, który już poprzedniego wieczoru zaliczył pannę młodą.

– To jest Zmierzchun? – spytała półgłosem Finree dan Brock. Błada i sztywna siedziała obok Rikke i z trudem robiła dobrą minę do złej gry.

– Tak, to on.

Rikke zmrużyła oczy. Żałowała, że nie może przejrzeć go na wylot, znaleźć jakiejś wskazówki, jakiejś słabości, którą Leo mógłby wykorzystać. Żałowała, że nie widzi jego śmierci.

Ale długiego oka nie można otworzyć przemocą i widziała tylko ten przekłety uśmieszek, który doprowadzał ją do szału – tak jakby to Stour umiał zajrzeć w przyszłość i widział w niej same swoje triumfy. Odwrócił się w jej stronę, odsłonił w uśmiechu jeszcze po jednym dodatkowym zębem z każdej strony i nieśpiesznym krokiem podszedł bliżej.

– Więc to ty jesteś Rikke, tak?! – zawołał. Zmierzył ją od stóp do głów leniwym spojrzeniem wilgotnych oczu. W jego otwartych ustach było widać język. – Jesteś ładniejsza, niż się spodziewałem.



Odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem, z tą tylko różnicą, że usta miała zaciśnięte w pogardliwym grymasie.

– Za to ty jesteś prawie dokładnie tak paskudny, jak się spodziewałam.

– Podobno widzisz przyszłość. Widziałas już w niej, jak mi obciążasz?

Odpowiedziały mu szydercze śmiechy. Rikke zacisnęła pięści.

– Nie – odparła. – Widziałam tylko, jak przegrywasz w kręgu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wiem, że w tej sprawie kłamiesz, więc może łżesz także w drugiej.

Mrugnął do niej chytrze i odwrócił się. Skurwiel do niej mrugnął, a w niej nienawiść wezbrała jeszcze gorętszą falą niż wcześniej.

– Niepotrzebnie się tym martwisz! – Zerwała się na nogi, wygrażając mu zakrzywionym palcem. – Kiedy Leo złamie cię na pół, sam będziesz mógł sobie obciągnąć!

No, przynajmniej teraz trochę ludzi się roześmiało, z jej strony kręgu. Tarczownicy Stoura zmierzili ją wilczymi spojrzeniami. Rozpoznała wśród nich Gwoźdźcia: patrzył prosto na nią, marszcząc w zadumie jasne brwi. Kiedy zwinęła język w rurkę i splunęła w jego kierunku, uśmiechnął się i uklonił lekko.

– Spokojnie – mruknął jej ojciec i pociągnął ją za łokieć, żeby usiadła. – Gniewne słowa są dobre dla głupców i tchórzy. Stour może być jednym i drugim, za to ty nie jesteś ani jednym, ani drugim.

– Palant – burknęła. – Mrugać mu się zachciało. Dam go knurom do zerznięcia. Powieszę go, obwiążę kolczastymi pnączami i wytnę mu krwawy krzyż, a bebechy zapakuję do pudełka i wyślę jego ojcu. W ziołach, żeby niczego nie poczuł, dopóki nie otworzy.

Ojciec patrzył na nią z niedowierzaniem i wyraźną troską w oczach.

– No co? – Zgarbiła się. – Myślałeś, że nie umiem nienawidzić?

– Po prostu bądź ostrożna. Kiedy kogoś tak bardzo

nienawidzisz, oddajesz mu władzę nad sobą.

– Być może, ale ta władza idzie do błota razem z nim. – Własny głos brzmiał hardo w jej uszach. – Wielki Rozjemca unieważnia wszystkie długi.

Gwizdy i drwiny po ich stronie kręgu zostały zagłuszone przez donośne wiwaty i wśród ciżby pojawił się Leo w otoczeniu najbliższych druhów. Ojciec Rikke nachylił się do niej.

– A umiesz kochać, Rikke?

Spojrzała na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– Jestem stary, moja droga, ale nie ślepy – dodał.

Leo wzdrygnął się, gdy ściana tarcz zatrzęsnęła się za jego plecami, jak mógłby się wzdrygnąć więzień, za którym zamknęły się drzwi celi.

Powiedział, że ją kocha. Nie tyle mu nie wierzyła, ile raczej wątpiła, by był w stanie pokochać kogokolwiek bardziej niż samego siebie.

– Za niektóre rzeczy go kocham – przyznała. Nigdy nie widziała tak wyrzeźbionego brzucha, na przykład. – A za inne nie. – Nie знаła drugiego takiego zarozumialca.

– Możesz kogoś nienawidzić za różne rzeczy, a jednocześnie go kochać. Nie jest łatwo patrzeć, jak ktoś, kogo kochasz, staje w kręgu.

Zacisnęła pięści z taką siłą, że paznokcie wbiły jej się w dłonie.

– Jest łatwiej, kiedy bardziej nienawidzisz tego drugiego – powiedziała.

Zgiełk zaczął przycichać, gdy na krótko przyciętą trawę w kręgu wyszła Isern-i-Phail ze swoją długą włócznią w dłoni. Zapadła pełna napięcia cisza. Isern przesunęła grudkę chaggi pod dolną wargę i przemówiła:

– Jestem Isern-i-Phail! Mój tatko, Crummock-i-Phail, był sędzią w pojedynku Fenrisa Straszliwego z Krwawą Dziewiątką. To był sławny skurczybyk. – Śmiechy, wiwaty, potakujące okrzyki. – Naprawdę był sławny! I jako góral najlepiej nadawał się na neutralnego rozjemcę. Ja jestem równie sławna jak on. – Uniosła dumnie głowę i wskazała na siebie. – Chociaż z innych

powodów: mojej zimnej krwi i niezrównanej urody. – Głośniejsze śmiechy. – Dlatego padło na mnie, góralkę, żebym rozsądziła ten pojedynek. – Uśmiechnęła się do Stoura. – Muszę tylko z góry nadmienić, że tego piździelca szczerze nie cierpię i nie trzeba by mnie długo namawiać, żebym zabiła go własnymi rękami.

Śmiech widzów przyprawiał Rikke o jeszcze większe nerwy.

– Podziwiam twoją szczerość – powiedział Stour.

– Co podziwiasz, a czego nie, obchodzi mnie tyle, co mysi chuj, ale sędziowanie w pojedynku to święta rola, dowód wielkiego zaufania i tak dalej, i tak dalej, srutu-tutu. Ręcę, że rozsądzę tę rzecz uczciwie.

– Niepotrzebnie się martwisz – odparł Stour. – Kiedy stanę nad jego trupem, nie będzie czego rozsądzać. Daj tylko sygnał, że możemy zaczynać. Ja zajmę się resztą.

– Hola, hola, chłoptasiu! – zawołała Isern. – Księżyc każe wszystko załatwiać, jak należy. Dlatego zacniemy od prezentacji, ustalenia warunków i wyboru broni. Ale nie przejmujcie się, nie będę pompować waszych już nadętych imion bardziej niż to konieczne. A zatem tutaj, po mojej... – Zamyśliła się, spojrzała spode łba na Leo, na swoje ręce, na niebo... W końcu pstryknęła palcami. – Lewej! Po mojej lewej mamy Leo dan Brocka, syna Finree dan Brock, świeżo upieczonego lorda gubernatora Anglandu, nazywanego Młodym Lwem przez wzgląd na jego młody wiek i heroiczną opinię o sobie. Jeżeli jego umiejętności dorównują jego urodzie, czeka nas piękny pojedynek. – Włóczyńką wskazała Stoura. – Z tego wynika, że to jest moja prawa strona, a stoi tu, jak sami widzicie, Stour Zmierzchun, syn Czarnego Caldera, dziedzic łańcucha Bethoda, nazywany Wielkim Wilkiem przez wzgląd na... nie wiem... może ma najbardziej owłosione dupsko na całej Północy. Pokonał w kręgu Nieznajomego-u-Bram, ale wszyscy wiemy, że Nieznajomy nie był już wtedy w szczytowej formie. Może być?

Leo nie odpowiedział. Patrzył na Stoura takim wzrokiem, jakby stali sami w kręgu.

Stour wzruszył ramionami.

- Może być – odparł, nie przestając się uśmiechać.
- Ty skurwielu – wysyczała Rikke, ledwie rozchyliwszy wargi.
- Ty skurwielu!

Zgryzła grudkę chaggi z takim impetem, że rozbolała ją cała twarz. Siłą woli próbowała zmusić żołądek, żeby podszedł jej do gardła, a oko, żeby zapłonęło i pokazało jej ducha przyszłości. Nic z tego.

– Następna kwestia: o co ci dwaj durnie będą się zabijać?! – zakrzyknęła Isern. – Głównie chodzi o męską dumę, jak w każdym pojedynku, ale w tym wypadku w grę wchodzi dodatkowo żyzna i ciemna ziemia Północy. Zwycięzca zajmie połączoną nazywaną Protektoratem, rozciągającą się od Białej Strugi po Brosmę i zawierającą Uffrith. Jeżeli wygra Stour Zmierzchn, Protektorat przejdzie we władanie króla Scale'a. Jeżeli zaś zwycięży Leo dan Brock, Protektorat pozostanie w czułych uściskach Unii pod władzą Wilczarza. Wszyscy zadowoleni z takich warunków?

Cisza. Po stronie Rikke nikt nie wyglądał na zadowolonego z czegokolwiek.

- Wilczarz, wódz Uffrithu?! – zawołała Isern.
- Tak – odpowiedział znużonym głosem ojciec Rikke.
- Brock, lord gubernator Anglandu?!
- Tak – rzucił Leo.
- Scale Żelaznoręki, Król Północnych?!
- Tak – zadudnił Scale takim tonem, jakby to był już trzeci pojedynek, który ogląda tego ranka. Policzki zatrzęsły mu się od stłumionego beknięcia. – Przejdź do rzeczy, kobieto.
- Się robi, kupo sadła. – Isern wbiła włócznię w ziemię, aż zadudniło, i pstryknęła na Dreszcza. – Pożycz no mi swoją tarczę, przystojniaczku.

Dreszcz obejrzał się przez ramię, jakby myślał, że mówi do kogoś innego, ale po chwili rzucił jej tarczę. Isern złapała ją w locie i postawiła na kancie.

- Paski czy farba, Brock? – zapytała, chociaż na zdezelowanej tarczy Dreszcza ostały się zaledwie smętne resztki malowania.
- Farba – powiedział Leo.

Isern zakręciła tarczą. Wszyscy zaczęli krzyczeć i gwizdać. Siedząca obok Rikke lady Finree wstrzymała oddech i zasłoniła oczy.

– Wygra – powiedziała Rikke.

– Skąd wiesz?

Rikke ujęła zimną, bezwładną dłoń lady Finree i ścisnęła ją w geście pokrzepienia.

– Wygra – powtórzyła takim tonem, jakby stwierdzała fakt, chociaż wątpliwości rozsadzały jej czaszkę.

Może wcześniej mogła go przekonać, żeby odstąpił do pojedynku. Teraz było na to za późno.

Tarcza zaklekotała na ziemi.

– Paski – obwieściła Isern. – Wybieraj, Wielki Wilku.

Stour spojrział Rikke w oczy i wzruszył ramionami z taką obojętnością, jakby perspektywa przegranej w ogóle nie przeszła mu przez myśl.

– Niech on wybierze – odparł.

– Wybieraj, Młody Lwie – powiedziała Isern.

Leo pokręcił głową.

– Niech on wybierze.

– Mężczyźni i ta ich niechęć do zobowiązań! – Isern przewróciła oczami. – Walczycie tym, co przynieśliście. – Rzuciła tarczę Dreszczowi, wyrwała włócznię z ziemi i powiodła grotem dookoła, po tworzących krąg ludziach i tarczach, które ze zgrzytem zwarły się bokami, tworząc lity mur. – Nie wypuszczajcie ich, dopóki sprawa nie zostanie rozstrzygnięta. I nie wtrącajcie się bardziej, niż wypada. – Splunęła sokiem z chaggi, otarła podbródek i skinęła głową. – Zaczynajcie.

## Gdzie wykuwają się imiona

Leo słyszał kiedyś, że „najlepszą obroną jest atak”. Nie pamiętał, kto to powiedział, ale brzmiało to jak filozofia dobra dla człowieka odważnego; słowa, którymi warto kierować się w życiu. Dlatego postanowił być jak huragan, nie dać Stourowi chwili wytchnienia, skrawka przestrzeni, momentu do namysłu. Pokona tego zarozumiałego drania, odeśle go do błota. Potem ludzie będą wydawać uczty na cześć zwycięzcy i opiewać w pieśniach jego męstwo.

Ale nawet najlepsze plany często walą się w gruzy, gdy zadać im cios mieczem. Plan Leo przetrwał niewiele dłużej niż niosący się w powietrzu okrzyk Isern-i-Phail:

– Zaczynajcie!

Stour rzucił się na niego z tak niewiarygodną szybkością, że Leo nieporadnie i z najwyższym trudem zbił jego pierwsze pchnięcie w bok. Następujące zaraz potem ostre cięcie zmusiło go do przeniesienia ciężaru na nogę zakroczną. Miecz Barnivy zawibrował mu w dłoni.

Błysk uśmiechu Stoura, jasny blask stali – i Leo znów zatoczył się w tył. Sparował, zrobił unik, znów sparował; pośpieszny zgrzyt i trzask ostrzy niemal zupełnie ginął wśród ogłuszających krzyków żadnego krwi tłumu. Ledwie uchylił się przed zjadliwym cięciem, które byłoby mu odrąbało głowę. Zamiast dać się ponieść impetowi ciosu i odsłonić się na moment, Stour ze wzgardą cofnął się przed kontrą Leo i przypuścił kolejny atak. Wyglądało na to, że on również zna powiedzenie o obronie i ataku – i na dodatek jest lepszy we wprowadzaniu go w życie.

– Zabij go! – wrzasnął Antaup.

– Dajesz! – zawołał Jurand.

– Leo! – ryknął Glaward, potrząsając tarczą.

Stour znów napierał – trzy jego cięcia były tak szybkie, że Leo zupełnie instynktownie uniknął pierwszych dwóch, a przed trzecim uskoczył do tyłu i tylko na oślep machnął mieczem, żeby nie dopuścić przeciwnika zbyt blisko. To Stour był huraganem, a Leo listkiem miotanym przenień po całym kręgu.

Ależ on był szybki. Miał ciężki miecz, tradycyjną broń Północnych – szeroka klinga, solidny jelec, ciężka złota głowica – ale władał nim lekko i swobodnie jak styryjskim rapierem. Uderzał prawie bez zamachu. Prawie nie dawał się ponieść impetowi. Po mistrzowsku maskował swoje zamiary.

Nie licząc Bremera dan Gorsta, który nie bez powodu uchodził za najlepszego fechtmistrza epoki, Leo nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś władał mieczem z taką wprawą – i zarazem z taką zajadłością. Zimny dreszcz zwątpienia zaczął mu się pięć po kręgosłupie. Przywykł do otulającego go ciepłego kocyka pewności siebie i gdy nagle go stracił, ziąb był tym bardziej dotkliwy, że zupełnie niespodziewany.

Ale Leo słyszał kiedyś także, że „jajko można rozbić na wiele sposobów”. Nie był pewien, co to powiedzenie dokładnie oznacza, ale brzmiało to jak filozofia dobra dla rzemieślnika; słowa, którymi warto kierować się w życiu. Może Stour był szybszy, ale Leo z pewnością był silniejszy. Wystarczy poczekać, aż Zmierzchun się odsłoni, przyszpilić oślizłego łajdaka i zmiażdżyć go jak orzech na kowadle.

Stour wyprowadził następny sztych z zabójczą szybkością, ale Leo był na to przygotowany. Skręcił się w miejscu, zbił klingę na bok i tym razem, zamiast się cofnąć, natarł. Na twarzy Stoura odmalowało się miłe dla oka zaskoczenie. Leo ciął raz, drugi, wkładając w te ciosy cały swój strach i frustrację. Miecz w dłoni Zmierzchuna zadygotał.

Zgrzytnęła stal: Stour przyjął cięcie na swój miecz i powstrzymał je w połowie; rozedrgana klinga zawisała dosłownie na szerokość dłoni od czubka jego szpiczastego nosa. Szczerząc zęby, warczeli na siebie, siłowali się, próbując przepchnąć się nawzajem. Jelce chrzęściły, pięści walczących niemal stykały się knykciami, a oni sami przesuwali ciężko nogi

w poszukiwaniu równowagi i cienia przewagi. Zajadłe zwarcie trwało. Od strony otaczającego ich tłumu dobiegał bezrozumny grzmot, w którym nikt nie odróżniłby okrzyków zachęty od obelg.

Wąty płomyczek triumfu szybko zgasł, gdy Leo poczuł, że pomału, pomalutku przegrywa. Jeszcze bardziej wyszczerzył zęby, ryknął, splunął, ale Stour systematycznie spychał go w tył, aż w końcu wytrącił go z równowagi i zmusił do cofnięcia się o krok. Ich miecze rozdzieliły się z dźwięcznym szczękiem. Leo stęknął ciężko, a broń Stoura już cięła ze świstem powietrze. Zrobił desperacki unik, zatoczył się i zadyszany cofnął.

Północni ryknęli z aprobatą. Unijny tłum zamruczał z rozczarowaniem. Wielki Wilk zakręcił teatralnie mieczem i uśmiechnął się od ucha do ucha. Było oczywiste, że wszyscy wyciągają podobne wnioski.

Stour był lepszy.

Leo słyszał jednak kiedyś, że „dla chcącego nic trudnego”. Wtedy miał pewne wątpliwości co do sensowności tego powiedzonka, ale w tej chwili brzmiało jak filozofia dla człowieka w potrzebie. Słowa, którymi warto kierować się w życiu? Hmm... Skoro nie był w stanie pokonać Wielkiego Wilka siłą ani szybkością, to musiał go wziąć na przetrzymanie, zmęczyć go konsekwentną obroną, posępną determinacją, upartą wytrzymałością. Musiał stać się głęboko zakorzenionym drzewem, którego huragan nie zdoła obalić. Musiał zmęczyć skurczybyka.

Stour pchnął, ale nie przymierzył centralnie w korpus. Leo z łatwością obszedł jego miecz z boku i dostrzegł wyczekiwaną lukę w obronie przeciwnika. Ledwie jednak spróbował zaatakować, Stour przechylił się w bok i ciął z nadgarstka. Leo poczuł podmuch na twarzy, gdy ostrze rozpruło powietrze tuż przed jego nosem. Ciął zamasyście w odpowiedzi, ale Wielki Wilk odskoczył już tanecznym krokiem, nie przestając się uśmiechać.

Widzowie ryknęli i Leo przez chwilę myślał, że wiwatują na jego cześć, ale w tym samym momencie coś załaskotało go



w policzek: czubek miecza Stoura zaciął go w twarz, ale draśnięcie było tak szybkie i lekkie, że Leo nie od razu je zauważył. To widok krwi pobudził tłum do wiwatów. Jego krwi.

Cofnął się. Rozcięcie na policzku zaczęło swędzieć, potem pulsować. Zastanawiał się, czy zostawi brzydką bliznę; czy będzie raną, która da mu Imię. Kiedy jednak to lodowate zwątpienie zakradło się wyżej i sięgnęło gardła, zdał sobie sprawę, że najpierw musi przeżyć. Martwi nie dostawali Imion.

Uśmiech Stoura stał się o jeden ząb szerszy. O jeden ząb bardziej okrutny.

– Wykrwawię cię, chłoptasiu – powiedział Wielki Wilk.

\* \* \*

Koniczyna szarpnął się wstecz, gdy sztych miecza świsnął mu przed twarzą, zanim Brock wyhamował impet cięcia. Stour z twarzą wykrzywioną furią doskoczył do przeciwnika i pchnął dwa razy. Brock stęknął, odskoczył i odbił miecz Zmierzchuna tak daleko w bok, że ten przerył tarczę sąsiada Koniczyny.

Na pamięć poległych, ten zgiełk. Zgrzyt metalu, powarkiwanie walczących, potworna furia tłumy.

Na pamięć poległych, ten ścisk. Stłoczeni tarczownicy, zgrzyt rantów sąsiednich tarcz o jego tarczę, napór ramion na jego ramiona, gdy przepychali się i natężali siły. Krąg na przemian deformował się i odzyskiwał kształt w rytm pojedynku, buty miesiły błoto, tarczownicy spychali w tył gapiów, którzy zwabieni wonią krwi stale napierali.

Koniczyna powtarzał sobie, że szczerze nie cierpi tych pojedynków – toczonych przez głupców i przez głupców oglądanych. To było brutalne marnowanie co najmniej jednego życia, schlebianie temu, co w człowieku najgorsze. Prawda jednak była taka, że jakaś głęboko ukryta jego część wprost uwielbiała pojedynki, świst zaostrego metalu i rozlew gorącej krwi – częśćka Jonasa Stromiarza, która tkwiła w nim jak drzazga, której nigdy nie udało mu się do końca wydobyć.

Tylko jedna rzecz na świecie potrafiła zmusić serce do żwawszej pracy bardziej niż widok dwóch ludzi walczących na śmierć i życie – bycie jednym z nich. Na widok szarżującego Stoura Koniczyna odczuł wstydlivy przypływ podniecenia; czuł, że sam uśmiecha się od ucha do ucha, gdy Brock sparował i się cofnął. Brock na pewno był znakomitym szermierzem, ale przy Stourze wyglądał całkiem przeciętnie i z każdą chwilą to wrażenie się nasilało. Stour władał wielgachnym mieczem zręcznie jak szwaczka igłą: drobne ruchy nadgarstka, na pozór bez wysiłku, prawdziwe mistrzostwo. I kolejna nawałnica ciosów – z góry i z dołu, ostrzem i sztychem. Brock przesuwiał się, blokował, ale ostatnim cięciem Stour zdołał zahaczyć jego lewą rękę. Kropelki krwi prysnęły w tłum. Najprawdopodobniej mógł po prostu odrąbać Brockowi ramię, ale zasłynął jako Wielki Wilk także dlatego, że nie przegapił żadnej okazji do popisywania się, i teraz też uniósł nad głowę zboczony krwią miecz, żeby wywołać aplauz na widowni. Był nie tylko diabelnie dobrym fechtmistrzem, lecz także piekielnym pyszałkiem – i z przygnębiającą częstotliwością łączył te dwie cechy.

Brock – z policzkiem czerwonym od krwi po draśnięciu w twarz – zacisnął zęby i natarł nieustępliwie. Nie pozostawiał wątpliwości co do swojej odwagi, ale odwaga wcale nie jest najcenniejszą cnotą wojownika, bez względu na to, co na ten temat mówią pieśni. To szaleństwo, brak skrupułów i szybkość w zadawaniu ciosów – zatem dokładnie te cechy, które pielęgnował w sobie Stour – wygrywają pojedynki. Właśnie doskoczył do Brocka, kręcąc czerwonym mieczem potężnego młynka, i zepchnął zataczającego się przeciwnika na ścianę tarcz.

Koniczyna przyjął Młodego Lwa na tarczę, leciutko niczym dobrze wyściełany pierzem materac zamortyzował uderzenie i odepchnął go z powrotem w samą porę, żeby Brock zdołał zrobić unik, przechwycić uderzenie Zmierzchuna na tarczę i przy wtórze metalicznego zgrzytu zepchnąć je w bok.

Nie spodziewał się, że jego działanie zmieni wynik starcia. Zapowiadał się czarny dzień dla Unii, czarny dzień dla Leo dan

Brocka i wszystkich, którzy go kochali. Można by pomyśleć, że Jonas Koniczyna powinien być zadowolony – stał przecież po przeciwnej stronie, a triumf powinien stanowić dla wojownika sens życia.

Czasem tylko żałował, że brakuje mu jaj, by opowiedzieć się po właściwej stronie, nawet gdyby to miała być strona przegrywająca.

\* \* \*

Gdzieś niedaleko rozbrzmiał bęben, powoli, basowo. Rikke chętnie udusiłaby bębniarza.

Na pamięć poległych, to napięcie. Przeciągły ból w głębi gardła, coraz gorszy, coraz bardziej dokuczliwy w miarę jak ci dwaj krążyli czujnie wokół siebie, nieustępliwi jak psy, które zwietrzyły trop i wyczekują chwili słabości zwierzyny. W obolałych ustach czuła posmak wymiocin i strachu. Tarczownicy darli się wściekle, tupali, wykrzykiwali słowa nienawiści i otuchy.

Na pamięć poległych, ta bezradność. Miała ochotę krzyczeć, wałnąć w coś, wyrwać sobie kolczyk z nosa. Nikt, nawet największy optymista, nie mógł się łudzić, że Leo zwycięży w kręgu, a ona nic nie mogła na to poradzić.

Większość widzów traktowała pojedynek jak wielkie święto. Dzieci wspięły się na drzewo, skąd szeroko otwartymi oczami śledziły rozwój wypadków. Scale, zgrywający króla spasiony wieprz, na przemian zaśmiewał się do rozpuku i żłopał piwsko. Wielka góra sadła.

– Jak oni mogą się tak śmiać? – wyszeptała Finree.

– To nie oni stają oko w oko z Wielkim Rozjemcą – odparł ojciec Rikke. Twarz miał jak wyciosaną z szarego kamienia.

Jedyną rzeczą gorszą niż strach przed zwarem walczących była zgroza, jaka ogarniała Rikke, gdy do tego zwarem rzeczywiście dochodziło. Za każdym razem wstrząsało nią jak uderzenie pioruna, wzdrygała się przy każdym ciosie, przy

każdym błysku stali zaciskała pośladki. Trzymała się ławki kurczowo jak siodła na grzbiecie ujeżdżanego konia. Ścisnęła zimną dłoń Finree w swojej, gorącej, z taką siłą, że rozboleł ją nadgarstek. Zdawała sobie sprawę, że wystarczy jedno drgnienie miecza, by straciła kochanka, a wraz z nim dom i przyszłość. Ludzie są twardzi, potrafią ścierpieć wielki głód, chłód i rozczarowanie, zebrać niewiarygodne cięgi i odrodzić się po nich silniejsi. Ale ludzie bywają także krusi. Wystarczy kawałek zaostrego metalu, żeby posłać człowieka do błota. Jedno nieszczęśliwe zrzędzenie losu. Jedno nierozsądne szepnięcie.

Czy to była jej wina? Czy to przez nią doszło do pojedynku?

Z zapartym tchem patrzyła, jak Zmierzchun atakuje i w okamgnieniu zmienia kierunek natarcia. Stał zadźwiczony raz, drugi, Leo zripostował, ale był za wolny i Stour z łatwością uniknął jego miecza, sam za to ciął go w nogę. Leo się zachwiał.

– Nie.

Finree zadrżała. Rikke jeszcze mocniej ścisnęła jej dłoń – starała się być silna za nie obie, chociaż ledwie starczało jej siły dla siebie samej. Próbowwała wyszczerzyć zęby, skupić się na szyderyczym uśmiešku Stoura i przemienić strach i wyrzuty sumienia w gniew, w coś, co mogłaby wykorzystać.

Nie można zmusić długiego oka, żeby się otworzyło, tak jak nie można dobrymi chęciami wywołać przyływu morza, ale co szkodzi spróbować?

Oparła pięści na kolanach i pochyliła się. Powstrzymując się od mrugania, wpatrywała się w trawę, jakby mogła ją przeszyć wzrokiem na wylot i pod nią dostrzec przyszłość. Siłą woli spróbowała rozniecić żar w oku.

Może zobaczyła to, co chciała zobaczyć – polegli wiedzieli najlepiej, że w ostatnich dniach często jej się to zdarzało – ale przez króciuteńką chwilę dostrzegła w kręgu duchy, blade, migoczące, zaledwie zarysy postaci: Stour i Leo, obaj uzbrojeni w miecze i rozdarci na strzepy jak pajęczyna na wietrze, gdy prawdziwi, materialni ludzie przenikali przez nich na wylot.

Nie rozluźniając pięści, zacisnęła zęby z taką zaciekłością, że

mało jej nie popękało szkliwo. Patrzyła w krąg jak w oko cyklonu.

Zmusiła się, żeby zobaczyć.

\* \* \*

Stour się śmiał, rechotał tak, jakby każdy ich kontakt był prześmiesznym żartem.

Leo nie był ubawiony. Powtarzał sobie, że jest Młodym Lwem, lordem gubernatorem Anglandu, dumnym potomkiem dumnego rodu wojowników, który ma chwałę na wyciągnięcie ręki – prawda zaś była taka, że ledwie miał siłę kontratakować. Z każdym kolejnym wymachem miecz Barnivy ciążył mu coraz bardziej. Bał się, że jeśli zaatakuje, odsłoni się i wystawi na śmiertelny cios – ale bał się również, że nieustanna obrona może się zakończyć tylko w jeden sposób. W ogóle coraz bardziej się bał.

Stour ruszył naprzód i Leo nieporadnie się cofnął. Stour ruchem stopy i drgnieniem dłoni zamarkował fintę... i Leo czmychnął w podskokach. Było widać, że Zmierzchun nie chce po prostu wygrać, tylko się popisać. Dać nauczkę Unii i pokazać całej Północy, że Wielkiego Wilka należy się bać. Ominął sztychem zmęczoną zasłonę Leo; mógłby go nadziać na miecz jak na rożen, ale tylko kolnął go w brzuch: dziabnął, odskoczył i zaniósł się śmiechem.

Był Młodym Lwem, ale krwawił: krew na twarzy, krew na nodze, czerwone strużki na prawej dłoni, rękojeść miecza lepka od krwi. Kiedy słuchał opowieści o Krwawej Dziewiątce, myśl o nasączonym krwią kręgu była ekscytująca. Człowiek ekscytuje się o wiele mniej, gdy w grę wchodzi jego własna krew.

Był Młodym Lwem, ale się męczył. Dyszał i sapał, zimne powietrze drapało go w gardle, ale nie był w stanie zaczerpnąć głębiej tchu. Kolana mu się trzęsły, ręka traciła zwawość. Nie było już mowy o tym, żeby wziął Stoura na przetrzymanie. Musiał go zatem przechytrzyć. Kłopot w tym, że nigdy nie był

geniuszem.

Gdyby był, może w ogóle nie podjąłby wyzwania.

Tarcze trzymane przez przyjaciół obwisły lekko. Gławard przygryzł wargę. Jin skubał brodę. Antaup był niepokieszony. Jurand krzywił się, jakby sam odczuwał każdą ranę Leo. Mignęła mu matka: zmartwiała, blada, z szeroko otwartymi oczami. Obok siedział posępny Wilczarz, a między nimi Rikke – wpatrzona w krąg i skubiąca kolczyk w nosie.

„Walcz nieczysto”, powiedziała mu. „Nikt nie pamięta, jak wyglądał pojedynek; zapamiętuje się tylko zwycięzcę”.

Twarda filozofia. Słowa, którymi warto kierować się w życiu.

Stour zrobił zwód i Leo znów się cofnął, znów się potknął i tym razem upadł z większym impetem, niż to było konieczne. Wyciągnął do tyłu rękę, jakby chciał się podeprzeć, i wyrwał garść darni. Stour z uśmiechem napał, a wtedy Leo warknął ze złością, poderwał się na nogi i cisnął mu trawą w twarz, jednocześnie celując mieczem w szyję.

Wytrącony z równowagi, mrugający wściekle i plujący piaskiem Zmierzchun mimo wszystko zdołał sparować pchnięcie, ale Leo od razu przypuścił atak resztą sił. Grzmotnął go z byka w usta. Rozległ się cudowny trzask i Wielki Wilk zatoczył się wstecz, na tarcze swoich ludzi.

Przez chwilę wzrok miał niezborny, a krwawiące usta szeroko rozdziawione ze zdumienia. Leo wziął potężny wdech i zamachnął się mieczem znad głowy; ostrze świsnęło w powietrzu, ale ostatecznie werżnęło się tylko w tarcze w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał Zmierzchun. Leo omal nie upuścił wibrującego miecza.

Stour odskoczył z gracją, jeszcze raz splunął trawą i wyszczerzył zakrwawione zęby w uśmiechu.

– No... – powiedział. – To się nazywa pojedynek.

Skoczył w bok, błyskawicznie zmienił kierunek i przemknął obok Leo z drugiej strony, szybki jak wiatr i jak wiatr nieuchwytny. Leo nagle został sam i tylko stęknął bezradnie, gdy klinga Stoura wycięła mu na udzie lodowatą krechę, która po chwili zapłonęła żywym ogniem. Krew zaczęła wsiąkać

w nogawkę spodni. Ledwie trzymał się na nogach.

Nie był lwem, tylko przestraszonym chłopczykiem, który nie chce umierać.

Tyle tylko że było już za późno na słuchanie mamy.

\* \* \*

Brock był poważnie ranny: czerwone pręgi na twarzy po draśnięciu w policzek, spodnie ciemne wokół rany na udzie, dłoń cała czerwona od cięcia w rękę. „Nasączył krąg swoją krwią”, tak będą to opiewali skaldowie. Nie był to miły widok, ale nie było to też nic takiego, czego Koniczyna by przedtem nie widział; nic, czego by sam nie przeżył. Jeśli kogoś interesują miłe widoki, to nie powinien ich szukać w kręgu.

Stour był pewien zwycięstwa: szczyrzył zębiska jak wilk, paradował dumnie jak kogut rządzący na podwórku. Albo jak skończony palant. Zaśmiał się, rozłożył szeroko ręce i skinął zachęcająco w stronę publiki, która odpowiedziała okrzykami podziwu i zachwytu. Na niektórych aplauz działa jak mocne trunki: im więcej dostają, tym więcej potrzebują, aż w końcu nigdy nie mają dość.

Scale, który uwielbiał triumfalną atmosferę nie mniej niż jego bratanek, wymachiwał żelazną ręką w stronę kręgu, pokrzykując:

– Pobaw się z nim!

Podziw jednego kutafona dla drugiego.

Słowa Scale'a wywołały reakcję Brocka, który, powłócząc ciężko nogami, ruszył do ataku. Upływ krwi spowolnił ruchy Leo i kiedy nieporadnie zamachnął się mieczem, jego zamiary były oczywiste dla każdego w promieniu dziesięciu kroków. Stour z pogardliwym uśmiechem zbił cięcie i zamiast chlasnąć Brocka przez plecy, pozwolił mu ociężale przetoczyć się obok.

– Wykończ go, do diabła! – zniecierpliwił się Czarny Calder. Jego brat mógł się zachwycać popisami Stoura, ale on był nimi zniesmaczony.

Stour mógł wykończyć Brocka już z pięć razy, ale w tej chwili tak dobrze się nim bawił, że co rusz pozwalał mu się wyslizgnąć – tylko po to, żeby zaraz znów go zahaczyć. Koniczyna uznał jego postępowanie za co najmniej nierozważne: w kręgu nie podejmuje się zbędnego ryzyka i nie daje się przeciwnikowi niepotrzebnych szans – nie warto tego robić, zważywszy na stawkę pojedynku. Wystarczy drobny kaprys losu, żebyś wylądował w błocie – a los to nadzwyczaj kapryśna bestia.

Nikt nie wiedział o tym lepiej niż Koniczyna.

\* \* \*

Rikke miała zawroty głowy, wzrok jej się mącił, a żołądek podchodził do gardła, gdy z uporem wpatrywała się w środek kręgu. Rozgrzane lewe oko paliło ją od wewnątrz w czaszkę, a ona zmuszała je do jeszcze szerszego otwarcia i gapiała się, gapiała, gapiała.

Leo stał w kręgu niezdarnie przygięty do ziemi, skulony wokół rany w boku, zakrwawiony od stóp do głów. Stour wydawał się przy nim jeszcze szybszy i bardziej pewny siebie niż wcześniej: skakał, brykał, tańczył, niewiele brakowało, żeby zaczął posyłać widzom całusy.

Widziała wznoszące się nad tłumem duchy mieczy, włócznie i sztandarów targanych nieistniejącym wiatrem. Wczorajsza bitwa? A może jakaś bitwa z przyszłości? Na pamięć poległych, ale jej się chciało rzygać... Głowa jej pulsowała, zimny pot drażnił skórę i spływał po twarzy, ale nie ważyła się oderwać wzroku od kręgu. Nie ważyła się zamrużyć. Nie ważyła się przełamać zaklęcia.

W kręgu też były duchy, mieniły się i przesuwały – duchy Leo i Stoura, duchy dłoni, stóp i twarzy, duchy mieczy.

Cięty w brzuch Leo skrzywił się z bólu. To był ledwie pocałunek, nie żaden śmiertelny cios, płytkie cięcie, które ochlapało najbliższe tarcze krwią. Leo się potknął i osunął na kolana. Miecz wysliznął mu się z ręki i spadł w trawę.



– Nie... – wyszeptała lady Finree i zamknęła oczy. Łzy płynęły jej po policzkach.

Zmierzchnął stał na środku kręgu i obracał się powoli w miejscu: odwlekał chwilę triumfu, napawał się chwałą. Obejrzał się przez ramię na Rikke i mrugnął.

Na pamięć poległych, ale jej oko się rozplómiło. Jakby miało jej wypalić dziurę w czaszce.

Stour odwrócił się do niej tyłem. Podniósł rękę.

Zobaczyła jego miecz.

Zobaczyła go długim okiem.

I w ułamku sekundy, niczym woda tryskająca z pękającej tamy, zalało ją absolutne poznanie i zrozumienie tego miecza.

Zobaczyła rudę żelaza, z którego został wykuty, wydartą z zimnej ziemi, przetworzoną na stal w piecu plującym ogniem, rozpaloną do białości i przelaną do formy.

Zobaczyła, jak kowal wali w miecz młotem; przy każdym uderzeniu pomarańczowa poświata snopów iskier oświeślała mu twarz. Jego dzieci dęły w miechy. Jego matka, Drenna, wydmuchiwała z fajki kłęby chagowego dymu, oplatając rękojeść rzemieniem.

Zobaczyła, jak Stour dostaje miecz w prezencie na dziesiąte urodziny. Czarny Calder położył dłoń na ramieniu uśmiechniętego chłopca, mówiąc:

– Na wojnie liczy się zwycięstwo. Reszta jest dobra dla głupców, żeby mieli o czym śpiewać.

Zobaczyła, jak miecz tkwił w pochwie Wielkiego Wilka i jak został przez niego wyciągnięty na początku pojedynku, by ciąć i dźgać. Krąg był pełen świetlistych smug, które pozostawiały jego ruchy.

Zobaczyła wymierzone nim cięcie na wysokości szyi: potężny, efektowny cios zdolny ściąć człowiekowi głowę. Zobaczyła obnażone w triumfalnym grymasie zęby Stoura.

Wiedziała dokładnie, gdzie miecz się znajdzie, gdzie zawsze miał się znaleźć, ale w przeciwieństwie do tamtej sytuacji ze strzałą w mokrym od deszczu lesie ta świadomość nie napawała jej radością – bo wyżej, ponad mieczem Stoura, ujrzała

pęknięcie w niebie, za którym ziała czarna otchłań, czeluść bez dna, bez początku i końca, gdzie czekała wiedza nie o strzale i mieczu, lecz o wszystkim, wiedza tak ogromna i straszliwa, że jej najmniejszy okrucuch mógł zdruzgotać umysł.

Leo, cały czas na klęczkach, zakrwawiony i półprzytomny, zachwiał się i sięgnął po leżący w trawie miecz.

Rikke chwiała się razem z nim, pojękiwała, postękiwała, trzymała się za pulsującą bólem głowę. Niebo się otwierało, żeby ją wessać.

Stour się uśmiechnął i zaczął się odwracać.

Oko Rikke było jak wbity w jej czaszkę żarzący się węgielek.

Leo zaczął wstawać. Uniósł głowę na spotkanie mieniącego się ducha miecza Zmierzchuna.

Rikke zakryła dłońmi rozpaloną twarz i wrzasnęła ile sił w płucach w języku Unii:

– Padnij!

\* \* \*

Leo nie umiałby powiedzieć, dlaczego tak uważa, ale uznał, że to ważne, żeby umarł, stojąc.

Już prawie nic go nie bolało, był tylko odrętwiały. Słaby. Ciężki.

Ledwie miał siłę wstać.

Świat chybotął się jak galareta: ciemna ziemia, różowe niebo, pływająca masa malowanych tarcz, wykrzywionych twarzy i kłębiących się jak dym oddechów.

Dudniące mu w uszach bicie serca zagłuszało prawie wszystkie inne dźwięki, nie odróżniał już ryku tłumów od własnego oddechu. Razem z mieczem zebrał garść trawy. Zakrwawionej trawy. Zakrwawionego piasku.

W ustach czuł metaliczny posmak. W bitwie człowiek odkrywa, kim naprawdę jest. Zmusił się do wyprostowania nóg, skupił wzrok. Zachwiał się.

Mignął mu odwracający się Stour, błysnął jego krwawy

uśmiech. A potem ponad ogólny jazgot tłumu wzniosł się krzyk:

– Padnij!

Padł więc. Albo może po prostu upadł. Poczuł jeszcze, jak podmuch powietrza zmierzwił mu włosy, i ostatkiem sił ciął nisko. Nie było to jego najlepsze cięcie, oj nie: było słabe i nieporadne, ledwie utrzymał miecz w zbolałych palcach.

Ale czasem kiepskie cięcie wystarczy.

Jego miecz z młaśnięciem werżnął się głęboko w udo Stoura.

Zmierzchunowi oczy wyszły z orbit, a z rozdziawionych szeroko ust dobył się osobliwy, piskliwy krzyk, raczej zaskoczenia niż bólu. Zachwiał się na nogach i zrobił pół kroku. W ciszy, jaka nagle zapadła, wyraźnie dało się słyszeć jego potężny wdech... a potem znów krzyknął – tym razem bardziej z bólu niż zaskoczenia.

Leo wyszarpnął miecz. Stour znów się zachwiał, splunął krwią i wyprostował się na zdrowej nodze. Uniósł miecz, który zalśnił czerwienią w słońcu.

Leo z głuchym plaśnięciem złapał go za pięść, postąpił krok w przód i z gardłowym stęknięciem uderzył głowicą miecza w twarz. Głowa Zmierzchuna odskoczyła w tył i krzyk ucichł jak ucięty nożem. Krew wydawała się czarna na tle różowego zachodu słońca. Leo złapał za jelec miecza Zmierzchuna i wyrwał mu broń z bezwładnych palców, zanim ten runął na wznak.

Wielki Wilk grzmotnął o ziemię z głuchym łoskotem i szeroko rozrzuconymi ramionami. Przy każdym chrapliwym oddechu prychał krwią z rozbitego nosa. Stojący nad nim Leo osobliwym zrządzeniem losu trzymał oba ich miecze. Jak do tego doszło?

Tworzące krąg malowane tarcze bezwolnie osunęły się na ziemię, trzymający je ludzie porozdziawiali z niedowierzaniem usta, a i tak żaden z nich nie był bardziej wstrząśnięty niż sam Leo.

Tym razem tłum po jego stronie zareagował pierwszy, wiwaty zabrzmiały głośniejsz niż kiedykolwiek przedtem, szok przeszedł w oszołomiony zachwyty, a zachwyty w triumfalne uniesienie.

– Leo dan Brock!

– Młody Lew!

I najgłośniejszy okrzyk ze wszystkich:

– Zabij go!

Zmierzchn z pewnością zabiłby Leo, gdyby role się odwróciły i to Leo leżał przed nim bezbronny i bezradny. Zadałby mu najpowolniejszą, najbardziej bolesną i najbardziej żenującą śmierć, jaką tylko umiałby obmyślić. A potem wywrzeszczałby swój triumf z dachów Uffrithu i śmiałby się, słuchając, jak skaldowie śpiewają o jego zwycięstwie.

Stour próbował się odczołgać, ale gdy poruszył zranioną nogą, zdołał tylko jęknąć i parsknąć krwawymi bańkami z nosa. Znieruchomiał, kiedy sztychy obu mieczy zawisły mu tuż nad gardłem, i patrzył na Leo rozszerzonymi ze strachu oczami. Zakrwawione włosy kleiły mu się do twarzy.

Zatem nie był niewyciężony.

Krzyki znalazły rytm i śpiewną nutę:

– Zabij go! Zabij go! Zabij go! – Coraz głośniej i głośniej. Wydechy z dziesiątków ust kłębiły się jak dym w chłodnym powietrzu wieczoru. – Zabij go! Zabij go! Zabij go!

Głosy rozbrzmiewały coraz głośniej, a wtórował im szcęk broni, łoskot pięści o tarcze i łomot ciężko obutych stóp, od którego trzęsła się zmarznięta ziemia. Dudnienie zgrało się z biciem serca Leo, jakby to jego echo niosło się po całym ciele, od stóp do głów.

– Zabij go! – zawołał ponad krawędzią tarczy Gławard.

– Zabij go! – wrzasnął Antaup z twarzą wykrzywioną we wściekłym grymasie.

– Zabij skurwysyna! – ryknął Kipielnik Jin.

Leo zobaczył matkę: miała łzy w oczach, zasłaniała usta dłonią. Zobaczył Wilczarza, który z uśmiechem niedowierzania zastygł bez ruchu, na wpół siedząc, na wpół stojąc. Zobaczył stojącą pomiędzy nimi Rikke: trzymała się obiema rękami za twarz i łypała jednym okiem spomiędzy rozcapierzonych palców.

– Zabij go! Zabij go! Zabij go!

Leo wziął głęboki, lodowaty wdech i uniósł oba miecze – Barnivy i Stoura. Wzbierający w jego zdartym gardle pomruk przeszedł w pulsujący ryk, gdy jednocześnie dźgnął obiema klingami.

I wbił je z obu stron wykrzywionej twarzy Wielkiego Wilka.

– Stourze Zmierzchnie... – wymamrotał. Nawet mówienie kosztowało go wiele wysiłku, jakby każde słowo z osobna było wielkim głazem, który musi dźwignąć. – Daruję ci... życie.

Wściekle zakreśliło mu się w głowie. Przyklęknął na jedno kolano w kręgu wilgotnym od rosy i jego własnej krwi.

– Trochę mi się we łbie kręci – mruknął i przewrócił się na bok.

Poleży sobie chwilkę.

## Biedni płacą cenę

– Amnestia – powiedział Malmer. – Składamy broń. Oddajemy zakładników. Jesteśmy wolni.

Cisza. Wszyscy przetrawiali znaczenie tych słów. Było to znacznie więcej, niż oczekiwali jeszcze rankiem tego samego dnia – ale też o wiele mniej, niż marzyli przed kilkoma tygodniami.

Przez wyłamane drzwi złupionego magazynu zawiewało zimnem. Spotkanie było smętne, a uczestnicy nieliczni: piętnaścioro Destruktorów, każde odpowiedzialne za inną dzielnicę Valbecku, o ile ktokolwiek mógł być odpowiedzialny za chaotyczne śmietnisko, jakim stało się miasto; najbardziej wymizerowani, ale i najbardziej zawzięci, którzy wytrwali do samego końca. Chętnie nazwaliby się też najbardziej lojalnymi, ale może po prostu mieli najwięcej do stracenia.

Pleczysty odetchnął głęboko. Nie powinien był się w to mieszać, wiedział o tym wtedy i wiedział teraz, ale wmówił sobie, że może coś zmienić. I jak zwykle wyrznął twarzą w mur, święcie przekonany, że tym razem nie będzie bolało. Co rusz obiecywał sobie, że będzie nowym człowiekiem – i stale popełniał te same błędy.

– Bezwarunkowe ułaskawienie? – zapytała kobieta o poszarzałej, ściągniętej twarzy.

Czapla skinął głową, choć bez wielkiego przekonania.

– Tak nam obiecał Jego Wysokość.

– A co ten łajdak Pike miał do powiedzenia? – zainteresował się Sarlby.

– Nie był zachwycony – przyznała Vick – ale nie oponował.

– Ufacie Orso? – spytał Pleczysty.

– Lepiej nie opierać decyzji na zaufaniu – odparła Vick takim

tonem, jakby zaufanie było jakimś fantastycznym zwierzęciem, w którego istnienie wierzą tylko dzieci – tylko na tym, co dla wszystkich będzie najlepsze.

Westchnienie Malcolma zabrzmiało tak, jakby pochodziło z samego dna studni znużenia.

– Dziwne czasy nastały: rewolucjoniści pokładają wszystkie nadzieje w osobie następcy tronu. Orso wygląda na przyzwoitego człowieka, zważywszy na okoliczności. Robi znacznie lepsze wrażenie, niż mogliśmy oczekiwać.

– Trudno byłoby mieć oczekiwania niższe od naszych – zauważyła Vick, jak zwykle z marsową miną. Ależ ta kobieta umiała marszczyć brwi.

Malmer odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion.

– Wychodzi na to, że ufam mu bardziej niż innym członkom rodziny królewskiej – przyznał. – Z drugiej strony Risinauowi też ufałem i do czego nas to doprowadziło?

– Fakty są takie – wtrącił Czapla – że nie mamy wyboru. Kończy się nam jedzenie. Nie po to wznieciliśmy powstanie, żeby zagłodzić własnych ludzi.

– Czasem się zastanawiam, po co to zrobiliśmy.

Dwa miesiące temu znacznie liczniejsi uczestnicy takich spotkań wymieniali na wyścigi wszystkie krzywdy, za których naprawienie gotowi byliby oddać życie. Teraz nikt nie podał Malmerowi powodu. Ostatnio kierujące nimi motywy rozmyły się, straciły na wyrazistości; przypominały odległe kominy widziane przez dymny miejski opar – człowiek się zastanawiał, czy istnieją naprawdę, czy są tylko wytworem jego wyobraźni.

– W takim razie postanowione – podsumował Malmer. – Zawiadomcie wszystkich, którzy jeszcze słuchają. Schodzimy z barykad. Otwieramy miasto. Poddajemy się.

Jeden po drugim Destruktorzy kiwali głowami. Żałobne miny, jakby te skinienia kosztowały ich część siebie. Nikt jednak nie widział innego wyjścia. Powstanie się skończyło.

– A więc kapitulujemy – powiedział Sarlby. – To mi stoi ością w gardle.

Pleczysty klepnął go po ramieniu.

– Ciesz się, że ocalałeś gardło – odparł.

Na zewnątrz wciąż unosił się gryzący odór spalenizny, starych zgliszczy i nowej zgnilizny. Niesiony wiatrem popiół osiadał na gruzach i śmieciach niczym małe wydmy czarnego śniegu. Nieopodal stał wypalony szkielet tkalni: szerniałe dźwigary sterczały pod jasne niebo, w ścianach ziały czarne dziury wytluczonych okien.

– To miała być nasza Wielka Zmiana. – Malmer w zadumie pokręcił szpakowatą głową; Pleczysty byłby przysiągł, że przez ostatnie parę dni wyraźnie posiwiiał. – Katastrofa, kurwa. Katastrofa.

– Jedno wam powiem – zaperzył się Sarlby. – Na pewno nie będę oplakiwał właścicieli, którzy potracili swoje fabryki.

– A co powiesz o robotnikach, którzy w nich pracowali? – spytała Vick. – Przypuszczam, że bogacze, których inwestycje poszły z dymem, jakoś sobie poradzą. Co będzie z biedakami, którzy stracili wszystko?

– Myśleliśmy, że postępujemy słusznie. – Na steranej, pomarszczonej twarzy Malmera malowało się niedowierzanie. – Ba, byliśmy tego pewni.

– Nie tak łatwo odróżnić dobro od zła – wytknęła mu Vick. – Różnica najczęściej wynika z punktu widzenia.

– Taka jest smutna prawda – zgodził się z nią Pleczysty.

Malmer obejrzał się na spaloną tkalnię.

– Znowu to biedni zapłacą cenę.

Pleczysty przypomniał sobie splądrowaną Musselię, złupione slumsy obrócone w dymiącą perzynę, trupy na ulicach – i nietknięty pałac na wzgórzu, wysoko ponad całunem dymu. Poruszył zuchwą i splunął.

– Zawsze płacą biedni – powiedział.

\* \* \*

Tej nocy ludzie masowo opuszczali Valbeck. Długie kolumny pieszych wiły się wśród porzuconych barykad i po polach za



miastem. Było wśród nich trochę Destruktorów, którzy zamierzali złożyć broń i zdać się na łaskę amnestii, ale większość stanowili zwykli mieszkańcy zwabieni wieścią o jedzeniu.

Pierwsze na spotkanie rzeszy załęcznionych, brudnych, głodnych i wywłaszczonych wyszły uśmiechnięte kobiety. Rozdawały bochny chleba. Można by pomyśleć, że na wózkach straganiarskich mają nie chleb, lecz nadzieję w stanie czystym, tak wiele pociechy niosły uchodźcom. Parę dni wcześniej ludzie ci nie potrafiliby znaleźć słów dostatecznie ostrych, żeby opisać księcia Orso – a teraz wystarczył kawałek chleba w żołądku, by wprost prześcigali się w pochwałach dla niego. Pleczysty zachowywał się dokładnie tak samo jak cała reszta: ledwie zaleciał go niebiański zapach świeżego pieczywa, ślina napłynęła mu do ust z intensywnością ulewy. Widok uśmiechniętych Liddy i May, gdy zjadały swoje porcje, były nawet wspanialszym darem niż sam chleb. Ardee się nie uśmiechała. Pleczysty chyba nigdy nie widział jej uśmiechniętej i teraz też ze wzrokiem wbitym w ziemię żuła chleb i przestawiała nogę za nogą. W wychudzonej twarzy jej oczy wydawały się bardzo, bardzo duże i bardzo wilgotne.

Niedługo po tym, jak wspomnienie smaku chleba zatarło się w jego pamięci, na powrót stał się tym starym, zatroskanym zabójcą, którym był rano. Słońce opadło ku odległym lasom, nastał wieczorny chłód, kiedy stanęli przed oddziałem żołnierzy o obojętnych twarzach, którym mieli zdać broń. Po obu stronach traktu piętrzył się przypadkowo dobrany arsenał: stare piki, zardzewiałe miecze, rzeźnicze tasaki, ciesielskie siekiery.

– Jestem kuśnierzem – mruknął niepocieszony mężczyzna, gdy żołnierz oglądał komplet lśniących noży. – Jak mam pracować bez narzędzi?

– Chcesz coś dostać, musisz dać coś w zamian. Następny.

Pleczystemu zdanie broni nieprzyjemnie kojarzyło się z przyznaniem się do winy. Dlatego pozbył się całego oręża na długo przed opuszczeniem miasta i zrobił to bez szczególnego żalu. Nawet jeśli to ludzie zabijają ludzi, to przecież nie sposób

dźgnąć człowieka ostrzem, którego się nie ma.

– Ja nic nie mam – powiedział do oficera dowodzącego oddziałkiem i poprawił okulary, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest człowiekiem uczonym. – Nie wiedziałbym, co począć z mieczem.

Oficer zmierzył go takim spojrzeniem, jakby tak bezczelne kłamstwo było nie do przełknięcia dla nich obu, ale ostatecznie przepuścił go i ponaglił ruchem głowy.

Po kolejnej godzinie szurania stopami niebo zaczęło ciemnieć, a wraz z nim mroczniały nastroje. Poniosła się wieść, że dalej czeka inkwizycja i zadaje pytania, wyciąga ludzi z kolumny – wszystkich, którzy mieli do czynienia z Destruktorami. Konni żołnierze z pochodniami w pancernych pięściach patrolowali pola po obu stronach traktu. Niektórzy z uchodźców byli pełni dobrych myśli, inni spodziewali się, że księżę każe wszystkich powywieszać za zdradę stanu, ale nikt nie wyłamał się z szyku – szli jak jagnięta na rzeź. Zbijali się w coraz ciaśniejsze grupki i brnęli na spotkanie ponurego nieznanego.

– Nie podoba mi się to – wyszeptała Liddy.

Plecystemu też się nie podobało. Czy po tym, co zrobił w Valbecku, wcześniej u siebie na farmie, a jeszcze wcześniej w Styrii, naprawdę mógł mieć nadzieję, że uda mu się wyślizgać? Dziwne czasy nastały, jeśli człowiek pociesza się myślą, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Ze dwudziestu żołnierzy zebrało się w miejscu, gdzie trakt przechodził przez bramę w na wpół zburzonym murze. Towarzyszyło im drugie tyle praktyków w maskach, a nad wszystkim czuwał inkwizytor w czarnym płaszczu. Światło pochodni podkreślało rysy jego bladej, ściągniętej twarzy i upodabniało go do demona. Na oczach Pleczystego dwaj mężczyźni zostali wyłuskani z kolumny i odprowadzeni na bok. W tłumie rozszedł się osobliwy nerwowy jęk. Pleczysty odczuł nagłą potrzebę rzucenia się do ucieczki i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu najlepszej drogi.

– Uspokójcie się! – zawołał inkwizytor. – Jego Wysokość następca tronu obiecał wam bezwarunkową amnestię. My po

prostu musimy zadać parę pytań i uzyskać parę odpowiedzi, to wszystko. Nikomu nie stanie się krzywda, macie na to moje słowo, słowo superiora Pike'a, a także gwarancję samego księcia Orso. Kawalek stąd czeka na wszystkich zupa.

Czyli wybór był prosty: zupa albo śmierć. Najgorsze było to, że taka sytuacja odpowiadała Pleczystemu.

– Musimy im zaufać – mruknął. – Zaszliśmy za daleko.

– Moglibyśmy zawrócić. – Zmarszczki troski pocięły czoło Liddy.

– Zobaczą nas, pomyślą, że mamy coś do ukrycia. Może lepiej będzie, jak weźmiesz May i odsuniecie się trochę ode mnie.

Dawno powinny były się od niego odsunąć.

Ale May nie chciała o tym słyszeć.

– Nie! Nie rozdzielamy się! Jeżeli będziemy się trzymać razem, masz większą...

– Co jest, kurna?

Kiedy oni się spierali, Ardee wyłamała się z szyku i sztywnym krokiem ruszyła w stronę inkwizytora.

– Co ona robi?

Jeżeli ta bezużyteczna przybłąda niepotrzebnie ściągnie na nich uwagę inkwizycji, będzie po nich. Tyle że Pleczysty nic nie mógł zrobić: gdyby wyskoczył z kolumny i próbował ją złapać, tylko pogorszyłby sprawę.

Jeden z praktyków zastąpił jej drogę. W dłoniach ścisnął pałkę.

– Wracaj na swoje miejsce, dziewczyno.

– Nazywam się Savine dan Glokta! – zakrzyknęła Ardee dźwięcznym głosem, który w nieruchomym wieczornym powietrzu zdawał się nieść na całe mile wokół. – Jestem córką Jego Eminencji arcyrektora i domagam się bezzwłocznego spotkania z księciem Orso!

Zapadła cisza. Inkwizytor zmierzył Ardee podejrzliwym spojrzeniem. Praktycy zmierzyli ją podejrzliwym spojrzeniem. Wszyscy zmierzyli ją podejrzliwym spojrzeniem, Pleczysty również. Nie wierzył własnym uszom: po tym wszystkim, co dla niej zrobili, prowadziła ich prosto na szubienicę.

Ale w jej głosie pojawiła się jakaś nowa, nieznana mu wcześniej nuta: brzmiał czysto, płynnie, rozkazująco. Ardee przybrała też zupełnie inną pozę niż zwykle – szła wyprostowana, prężąc pierś, z dumnie uniesioną głową na długiej, szczupłej szyi. Nagle wydała się o pół głowy wyższa.

– Natychmiast! – warknęła do inkwizytora.

Jeszcze przez chwilę jej się przyglądał, zanim pochylił głowę w ukłonie.

– Naturalnie.

Praktyk z pałką był kompletnie osłupiały – na ile można to stwierdzić w przypadku człowieka noszącego maskę.

– Chcemy tylko...

– Jeżeli ta młoda dama istotnie jest tym, za kogo się podaje, to zasługuje na naszą bezzwłoczną pomoc. Jeżeli zaś jest kimś innym... to wkrótce się tego dowiemy. Świat wydaje się lepszy, gdy człowiek wierzy w zwykłą ludzką uczciwość.

Inkwizytor nadzwyczaj uprzejmym gestem podał Ardee rękę.

– Dziękuję, inkwizytorze – powiedziała. – Ci troje są ze mną.

Inkwizytor zmierzył Pleczystego podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie mogę robić wyjątku dla każdego, kto...

– Nie dla każdego – weszła mu w słowo Ardee, Savine, czy jak tam się nazywała. – To zrozumiałe. Tylko tych troje. Nalegam.

– W porządku. – Inkwizytor skinął na nich, żeby mu towarzyszyli.

Pleczysty spojrział na Liddy, ale co ona miała zrobić? Co którekolwiek z nich miało zrobić?

– Oby mówiła prawdę – burknął mu do ucha praktyk, ruszając za nimi drogą w gęstniejącym mroku.

– Jestem tak samo zaskoczony jak ty – odmruknął Pleczysty.

Mało nie przygryzł sobie języka, gdy szturchnięty przez praktyka w plecy potknął się i but utkwił mu w koleinie. Kusiło go, żeby zdzielić praktyka w łeb, ale naraziłby w ten sposób na śmierć nie tylko siebie, lecz także swoich bliskich. Ktoś, kto podejmuje każde rzucone mu wyzwanie, nie jest wcale wielkim człowiekiem, tylko zwykłym głupcem.

– Wiedziałaś? – syknął półgębkiem do May.

– Oczywiście, że wiedziałam. Sama to zaaranżowałam.

– Co takiego?!

Idąca z drugiej strony Liddy spojrzała na córkę z niedowierzaniem.

– Coś ty najlepszego zrobiła, May?

– To, co musiałam. – May patrzyła prosto przed siebie i tylko mięśnie szczęk drgały jej nerwowo. – Najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie zatroszczył się o tę rodzinę.

## Nowa kobieta

Savine przygryzała spierzchnięte wargi, obrywała nitki strzępiącego się rąbka paskudnej, przesadnie wykrochmalonej sukienki, którą jej dali, nerwowo skubała skórki przy połamanych paznokciach.

A dawniej tak bardzo dbała o dłonie... Nie raz i nie dwa z uznaniem komentowano ich wygląd. Teraz jednak choćby najmocniej obciągała rękawy, nie była w stanie ukryć strupów, pęknięć i odcisków. Wszystkie niedawne przeżycia odcisnęły się w skórze powykrzywianych palców.

Nie była już Ardee, zagubioną przybłądą, ale z pewnością nie była też Savine dan Gloktą, nieustraszoną, budzącą lęk i bezwzględną jak skorpion królową inwestorów. Dawniej własne odbicie przyciągało ją jak kwiat pszczołę. Dziś unikała luster, bojąc się tego, co mogłaby w nich zobaczyć. Na dobrą sprawę wszystkiego się dziś bała.

Wiedziała, że powinna odczuwać ogromną ulgę, skoro nie grozi jej już głód, radość po tym, jak wreszcie mogła się wykąpać, i bezbrzeżną wdzięczność za wszystkie nieprawdopodobne zrządzania losu, które doprowadziły do jej ocalenia. Zdawała sobie sprawę, że niewielu z tych, którzy utknęli w Valbecku, miało tyle szczęścia co ona.

Tymczasem jedynym towarzyszącym jej uczuciem było ustawiczne, bezgraniczne przerażenie. Czuła się bardziej jak zakładniczka niż uwolniona więźniarka. To była ta sama zgroza, która dręczyła ją w pierwszym dniu powstania, gdy tułała się po ogarniętych oblędem ulicach miasta – a nawet gorsza, bo wtedy ten strach miał przynajmniej sens, teraz zaś powinna przecież być bezpieczna.

Na dźwięk dobiegających z zewnątrz głosów okręciła się

w miejscu. Serce waliło jej jak młotem. Okruch instynktu wynurzył się z otchłani przeszłości i przypomniał jej, że powinna się dobrze prezentować – szanująca się dama zawsze powinna wyglądać tak, jakby goście zastali ją przy jakiejś niezmiernie ważnej czynności. Podniosła rękę, żeby poprawić perukę, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma na głowie tylko bezkształtną, pozbawioną wdzięku i koloru krótką czuprynę. Zamarła bez ruchu i zamiast przypominać pozującą do portretu piękność, upodobniła się raczej do przyłapanej w ciemnym przedpokoju włamywaczki. Wyłamywała sobie poznaczone strupami dłonie, gdy ktoś odgarnął płachtę i wszedł do namiotu.

Orso.

Złoto i czerwień jego munduru były wręcz absurdalnie intensywne. W Valbecku, zwłaszcza pod koniec, wszystko miało kolor ziemi. Orso przybrał chyba na wadze – a może po prostu tak bardzo przywykła do widoku głodujących ludzi, że zwykły, dobrze odżywiony mężczyzna nagle wydał jej się przedstawicielem innego gatunku. Na jej widok jego twarz przybrała niezwykle wyraz... Zgrozy? Litości? Niesmaku? Wzdrygnął się lekko i zasłonił oczy dłonią, jakby ten obraz sprawiał mu ból.

– To ty... – wyszeptał. – Losowi niech będą dzięki. – Ruszył w jej stronę, ale znieruchomiał niezręcznie w pół kroku. – Nic ci się nie stało?

– Nie.

Oboje wiedzieli, że kłamię, i to niezbyt wiarygodnie. Była zmasakrowana wewnątrz i zewnątrz. Została rozdarta i byle jak pozszywana z kawałków.

– Cieszę się. – Orso zmusił się do krzywego uśmiešku. – Dobrze wyglądasz.

Nie zdołała się powstrzymać od parsknięcia gorzkim śmiechem.

– Zawsze byłeś geniuszem kłamstwa, Orso, ale takiego łgarstwa nawet ty nie jesteś w stanie udźwignąć.

– Dla mnie jesteś piękna. – Wytrzymał jej spojrzenie. –

Obojętne, co sobie myślisz.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Czuła się jak żałosna dublerka kopniakiem wypędzona z za kulis na pustą scenę i ze zgrozą wpatrująca się w widownię. Nie знаła swoich kwestii. Ba, nie wiedziała nawet, w jakiej sztuce występuje.

Kiedy w końcu znów się odezwała, sama była wstrząśnięta, że mówi tak spokojnie:

– Towarzyszyło mi troje ludzi, rodzina. Bez nich...

– Są bezpieczni, zajęliśmy się nimi. Nie musisz się o nic martwić.

– O nic martwić – powtórzyła szeptem. Była jednym wielkim pękiem zmartwienia opakowanym w gównianą sukienkę. – Przykro mi, że... musiałeś tu przybyć – wykrztusiła. – Wiem, jak bardzo... chciałeś udać się na Północ.

– Kiedy doszły mnie słuchy, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie, nie zastanawiałem się długo. W ogóle się nie zastanawiałem. Zresztą ani twój ojciec, ani mój nie dali mi wyboru. Może to i lepiej, że zostawiłem Północ w rękach takich ludzi jak Leo dan Brock. Wszyscy się chyba zgodzimy, że żaden ze mnie żołnierz.

– Do twarzy ci w mundurze.

– Na polu bitwy mogę być cieleciem, ale kiedy przychodzi do noszenia mundurów, prawdziwy ze mnie tygrys.

Dawniej potrafiła mówić godzinami i w piękny sposób niczego nie powiedzieć. Teraz myśl o takiej konwersacji była dla niej odrażająca – jakby przerzucała się zdawkowymi uprzejmościami z kimś, kto w tym czasie obsrywa podłogę. Poczowała zgoła niedorzeczny przypływ gniewu. Dlaczego Orso nie przybył wcześniej? Dlaczego siedział na dupie i czekał nie wiadomo na co, tchórz zasrany? Miała ochotę wydrapać mu oczy.

Zamiast tego rzygała komplementami.

– Z mojego punktu widzenia całkiem dziarsko sobie poradziłeś.

– Więcej w tym fartu niż moich umiejętności.

– Wszyscy przeżyli. – Krew pryskająca na twarz strażnika,



któremu maszyna wciągnęła rękę w zgrzytające tryby. Savine musiała odkaslnąć i przełknąć kwas. – W każdym razie większość. Tak, większość.

– Ty przeżyłaś. To najważniejsze. Przykro mi, że tyle to trwało, zanim tu dotarłem. Zanim cię znalazłem. – Patrzył jej w oczy z natarczywością, której nie potrafiła w tej chwili znieść. – Zanim sobie uświadomiłem... co do ciebie czuję. Nie widzę możliwości, żeby... dalej było między nami tak samo jak wcześniej.

Omal nie roześmiała mu się w twarz.

– Oczywiście, że nie.

Jak cokolwiek mogło być takie samo jak wcześniej?

– Dlatego...

Był wręcz absurdalnie podenerwowany: księżę Orso, następca tronu, słynący z tego, że wszystko ma w nosie. Ilu kobietom sprawił zawód? Setkom, prawdopodobnie. Naprawdę miał mnóstwo czasu, żeby się czegoś nauczyć.

– Dlatego... – zaczął jeszcze raz.

Wziął głęboki wdech, jakby szykował się do jakiegoś aktu wielkiej odwagi.

Savine uniosła wyżej głowę, jakby chciała ułatwić zadanie katu.

Spojrzał na nią zawstydzony. Udręczony. Winny.

Jej cierpliwość się skończyła.

– No wykrztuś to wreszcie!

– Chcę, żebyś wyszła za mnie za mąż! – wypalił. – To znaczy... Kurczę! – Zachwiał się i niezręcznie przyklęknął na jedno kolano. – Nie tak to zaplanowałem, nie mam nawet pierścionka.

Patrzyła na niego z lodowatym niedowierzaniem.

– Co takiego?

Ujął jej zwiotczałą dłoń w obie swoje, gorące i trochę lepkie od potu.

– Wiem, to szaleństwo, ale... kocham cię. Musiało wydarzyć się coś takiego, żebym zdał sobie z tego sprawę, ale... Czekaj, wysłuchaj mnie.

Prawdę mówiąc, nie umiała znaleźć słów, którymi mogłaby

mu przerwać.

– Bez ciebie jestem gównem, każdy o tym wie. Za to przy tobie... przy tobie mam przynajmniej szansę stać się wartościowym człowiekiem. Nie przybyłem tu po to, żeby cię ocalić, bo to jakaś popierdolona nedorzecznosc! Przybyłem tu po to, żebyś ty ocaliła mnie. Wiem, że zupełnie nie nadaję się do tego, żeby zasiąść na tronie, ale ty... Do diabła, Savine, ty jesteś stworzona do bycia królową! Nikogo nie podziwiam tak, jak ciebie. Masz rozum, odwagi i ambicji za nas dwoje! Wyobraź sobie, co moglibyśmy razem zbudować... To znaczy wyobraź sobie, co ty mogłabyś zbudować, bo ja mógłbym ewentualnie ci się przyglądać. Królowa Savine.

Posłał jej ten swój chłopięcy, błagalny uśmiech.

– Królowa... – Z jej gardła dobyło się zduszone skrzeknięcie. Taki dźwięk mogłaby wydać gęś, której ktoś właśnie skręca kark. – ...Savine.

Mógł mieć każdą – ale wybrał właśnie ją, i to nie dla jej pieniędzy, wpływów, peruk, sukni i klejnotów. Wybrał nie jej ideę, lecz ją samą. W takim stanie. W takiej chwili. Nie chciał mieć w niej kochanki, lecz żonę. Królową.

– Ja... – wyszeptała. Głos jej się załamał, wydała z siebie tylko kwaśne beknięcie.

– Do diaska. – Wstał. – Nie musisz mi odpowiadać, nie musisz w ogóle o tym myśleć. – Zabrał jedną rękę, ale drugą wciąż jeszcze przytrzymał jej palce, jakby nie umiał się zmusić do zerwania kontaktu. – Nie powinienem był prosić. Dupek ze mnie... Nie śpiesz się, naprawdę...

Przybył jej na ratunek. Przyprowadził pięć tysięcy zbrojnych – wprawdzie przez nią opłaconych, ale jednak. Nigdy nie myślała o tym, że może potrzebować ratunku. Nigdy jej się nie śniło, że to on będzie jej wybawcą. Odnosiła takie wrażenie, jakby widziała go po raz pierwszy. Wiedziała, że może się z nim pośmiać, ale nigdy sobie nie wyobrażała, że kiedyś będzie mogła mu zaufać. Polegać na nim. Była przygotowana na odrzucenie i rozczarowanie, nie miała natomiast pojęcia, co zrobić z okazanym przez niego współczuciem i wsparciem.

– Kurczę. – Puścił jej palce. Dziwnie mrowiły ją od tego dotyku. – Jestem beznadziejny... Potrzebujesz czegoś? Jest coś, co mógłbym... Może chcesz pobyć sama? Mam wyjść?

Odwrócił się do wyjścia.

Złapała go za nadgarstek.

Drżał.

Ona też drżała.

A potem już go całowała.

Nie wyszło to szczególnie elegancko. Zaskoczony Orso zatoczył się do tyłu, wpadł na słup w środku namiotu i przez chwilę zanosilo się na to, że cała konstrukcja runie i przykryje ich trzepoczącym płótnem. Bolesnie zderzyli się podbródkami, potem nosami. Obróciła głowę lekko w bok, on zrobił to samo. A potem oboje równocześnie odwrócili się w drugą stronę.

Złapała jego głowę w obie ręce. Zgrzyt zębów, brzydkie stękanie, niegodne mlaski, wszystko nieporadne, zaciekle, pośpieszne, jakby mieli mało czasu. W niczym nie przypominało to schludnych rutynowych schadzek w biurze Sworbrecka, podchodów jak z dworskiego tańca, dostojnej gry, w której oboje trzymali karty przy orderach. Teraz wszystkie karty zostały wyłożone na stół i gra stała się śmiertelnie poważna. Serce dudniło jej w uszach tak samo jak w pierwszym dniu powstania.

Dostrzegła schowane za zasłoną łóżko, błysk mosiądzu w półmroku. Popchnęła Orso w jego stronę. Wpadł po drodze na piecyk, cały czas usiłując ją całować, omal się nie przewrócił, a potem jeszcze zaplątał się w zasłonę i Savine musiała ją zedrzeć. Ilu ludzi wiedziało o jej obecności? Ilu mogło się domyślać, co tu się dzieje?

Było jej to obojętne.

Wyrafinowane środki ostrożności. Starannie obmyślane alibi. Zmiany powozów. Zamknięte żaluzje w oknach u Sworbrecka. Wszystko po to, żeby nie dowiedział się ani jej ojciec, ani rodzice Orso. Żeby nie skończyła z królewskim bękartem w brzuchu. Zawsze była imponująco zorganizowana. Zniewalająco pragmatyczna. Romanse sumowały się i zgadzały w notesie Zuri jak przychody i rozchody w fabrycznych księgach

rachunkowych.

W tej chwili myślała tylko o tym, jak niewiele brakowało, żeby zginęła w Valbecku. Pobita na śmierć. Zagłodzona. Spalona żywcem. Rozszarpana przez własne maszyny. Dobre maniere, przyzwoitość, reputacja, zdrowy rozsądek... Nic się w tej chwili nie liczyło, nic poza tym, żeby zedrzyć z siebie tę workowatą szmatę i poczuć na skórze dotyk jego skóry. Miała mokrą twarz. Może płakała. Było jej to obojętne.

Odwróciła się, żeby dać mu dostęp do zapieć.

– Zdejmij to ze mnie.

– Staram się – mruknął, majstrując przy kołnierzu sukni. – Kurwa, no... Szlag!

Odgłos darcia szwów, stukot i klekot sypiących się na podłogę guzików i Savine oswobodziła ręce z rękawów. Obciągnęła sukienkę i wysliznęła się z niej jak wąż z wylinki. Odrzuciła ją kopniakiem na bok razem z tanimi halkami, aż zatrzepotała płócienna ściana namiotu.

W biurze Sworbrecka zdarzało się, że nie zdążyła nawet zdjąć kapelusika, a już było po wszystkim. Teraz stała przed Orso zupełnie naga, odsłonięta, bezbronna. Przytrzymał ją w tali, choć tylko muskał palcami jej skórę jakby ledwie ważył się ją tknąć. Wyraźnie słyszała jego oddech. Splotła palce z jego palcami i poprowadziła jego dłonie – dookoła, wyżej, na piersi, i w dół, między nogi. Przygryzła język aż do bólu.

W grafomańskich romansidłach matki, która udawała, że wcale ich nie czyta, książkę przybywał na ratunek bohaterce i w ostatniej chwili porywał ją z paszczy niebezpieczeństwa. Ona wtedy – żałośnie przewidywalnie – padała mu na łóżko, mdlejąc z wdzięczności. Savine zawsze traktowała te bzdury ze wzgardą, a teraz proszę: sama robiła dokładnie to samo.

Było jej to obojętne.

Znieruchomiał na chwilę. Jego urywany oddech łaskotał ją w ucho.

– Na pewno chcesz...

– Tak, kurwa, na pewno tego właśnie chcę.

Sięgnęła do tyłu, złapała go za włosy i przyciągnęła, żeby móc

go pocałować ponad swoim ramieniem, possać jego język, niezręcznie, łapczywie, miażdżąc wargi jemu i sobie. Drugą ręką zmagala się ze sprzączką u jego pasa, która wbijała jej się w plecy: szarpała ją, wykręcała, w końcu zdołała odpiąć. Sapnęła cicho, gdy rozchyliła mu spodnie, namacała kutasa i zaczęła go gładzić, boleśnie wykręciwszy sobie nadgarstek.

– Do diabła... – wysapał, mocując się z guzikami kurtki. – Szlag by trafił te przeklęte mundury...

Kiedy w końcu udało mu się zderzyć z siebie koszulę, Savine zamknęła oczy, napawając się ciepłem jego piersi na swoich plecach. Wyciągnął rękę do przodu, położył dłoń na jej żebrach, przycisnął ją mocno do siebie, skóra przy skórze. Drugą dłonią znów sięgnął między jej nogi. Zaczęła się o niego ocierać: w przód i w tył, w przód i w tył. Zadarła jedną nogę, nieco niezdarnie oparła kolano na łóżku, mało nie tracąc przy tym równowagi, prawie się przewróciła i musiała wolną ręką złapać się wezgłowia, ale drugą cały czas masowała jego fiuta, którego wilgotny czubek szturchał ją w pośladki.

Żadnych ambicji. Żadnej manipulacji. Żadnego roztrząsania tego, co było wczoraj i co wydarzy się jutro. Tylko jego zdyszane sapanie i jej jęki, zamknięte oczy i otwarte usta. Na miłość losu, brzmiała jak kot, który dopomina się, żeby go wpuścić do domu. I było jej to obojętne.

Dała się ponieść.

## Stracone sprawy

– Możesz odejść – powiedziała Vick.

Wzrok praktyka prześliznął się po więźniu – oczy miał chytre, okrutne, zmrużone. Vick zastanawiała się, czy praktyków specjalnie uczy się takich spojrzeń, czy też praktykami zostają tylko ludzie obdarzeni naturalną skłonnością do groźnych łypnięć. Pewnie po trochu jedno i drugie.

– Dam sobie z nim radę – dodała.

Więzień miał ręce skute za plecami, a poza tym był przykuty do krzesła. Worek na jego głowie wydymał się i opadał w rytmie oddechu.

Drzwi się zamknęły. Vick złapała worek za rozek i ściągnęła z głowy więźnia.

Malmer od razu przypadł jej do gustu, gdy tylko pierwszy raz się spotkali. Oczywiście nigdy się do tego nie przyznała, bo to była słabość, którą ktoś mógłby wykorzystać, ale autentycznie lubiła go i szanowała. W jej ocenie był naprawdę dobrym człowiekiem – na ile to w ogóle możliwe.

Dlatego zabolą ją, kiedy spojrzał na nią z urazą. Ale to było tylko spojrzenie, a ona już w przeszłości przyjmowała z uśmiechem kopniaki, ciosy kijem i cięcia noża, nawet zadawane przez ludzi, których polubiła. Zranione spojrzenie nie mogło wzruszyć jej determinacji, tak jak letni zefirek nie był w stanie poruszyć góry.

Tak sobie przynajmniej wmawiała.

– Jesteś jedną z nich – wyszeptał. Zamknął oczy i wolno pokręcił głową. – Nie pomyślałbym. Nigdy bym tak o tobie nie pomyślał.

– Taki mój fach – odparła i usiadła na krześle naprzeciwko.

– Jesteś w nim diabelnie dobra. Mam nadzieję, że jesteś

z siebie dumna.

– Na pewno się nie wstydzę. Ludzie, którzy nie umieją się wyzbyć brzemienia wstydu czy dumy, nie przetrwaliby w obozach nawet tygodnia.

– Czyli to o obozach to była prawda, tak?

– Tam zginęła moja rodzina. Cała.

– Jak możesz dziś pracować dla tych łajdaków? Po tym, przez co przeszłaś...

– Wszystko pokręciłeś. – Nachyliła się ku niemu. – Po tym, przez co przeszłam, jak mogłabym dla nich nie pracować?

Malmer się zgarbił.

– Obiecano nam amnestię. Czy to przynajmniej była prawda?

– Prawda, ale musiałeś się przecież spodziewać, że nie obejdzie się bez pytań. – Spojrzała mu prosto w oczy, wyczulona na każde ich drgnienie, każdy nerwowy tik w twarzy. Musiała wiedzieć, czy mówi prawdę. – Gdzie Risinau?

Westchnął ciężko.

– Nie wiem.

– A Sędzia?

– Nie wiem.

– Daj mi coś, co będę mogła im dać. Pomóż mi sobie pomóc.

– Myślisz, że nie wydałbym Sędzi, gdybym tylko mógł? – Parsknął niewesołym śmiechem. – Szurnięta wiedźma... Pierwszy bym wiwatował, kiedy by ją wieszali!

Dokładnie takich odpowiedzi spodziewała się Vick, ale nie mogła nie zapytać.

– Kim jest Tkacz?

– Tak nam się przedstawił Risinau przy pierwszym spotkaniu.

– Kiedy to było?

– Zostałem wtedy aresztowany za agitację... Pięć lat temu, może sześć. Zebraliśmy się, żeby upomnieć się o uczciwe płace, nic więcej, ale wszystko skupiło się na mnie. Najwyraźniej mam do tego talent. Risinau do mnie przyszedł, do takiego pokoju jak ten. Powiedział, że rozumie nasz punkt widzenia. Że chce pomóc. Zadać cios w imieniu szarego człowieka, tak właśnie mówił. Wprowadzić Wielką Zmianę. – Malmer się skrzywił. –

A ja chyba uwierzyłem w to, w co chciałem uwierzyć. Najwyraźniej do tego też mam talent.

– Jak większość z nas. Wiesz, co sobie myślę?

– Gdybym wiedział, może nie siedziałbym na tym krześle.

– Risinau był głupcem. Nawet jeśli udało mu się zarządzać chaosem po wybuchu powstania, nie wierzę, żeby to on je przygotował. – Vick przysunęła się nieco bliżej, jakby zamierzała sama podzielić się sekretem z Malmerem, a nie wyciągnąć coś od niego. Nic tak nie skłania ludzi do zaufania ci jak udawanie, że ty im ufasz. – Mnie powiedział, że imię Tkacza zapożyczył od kogoś innego, kogoś, kto pchnął go na tę ścieżkę.

Zdawała sobie sprawę, że to wąta poszlaka, nie wystarczyłaby, żeby przekonać Jego Eminencję o istnieniu głębiej zakonspirowanego spisku, ale ona nigdy nie umiała porzucić niewyjaśnionego wątku.

– Nie jesteś nic winien Risinauowi. Wykorzystał was wszystkich. Cios zadany w imieniu szarego człowieka? Błagam, nie rozśmieszaj mnie. Kim jest Tkacz?

Malmer z marsową miną wpatrywał się w blat stołu, tak jakby mu dała do myślenia. Jakby przesiewał przeszłość i analizował inne możliwości i inne skutki. W końcu zamrugnął, stęknął i wyprostował się, jakby nagle udało mu się dopasować wszystkie elementy układanki.

– Na pierwszym dużym spotkaniu, na które poszedłem, był taki człowiek – zaczął. – Risinau traktował go z wielkim szacunkiem, ze czcią nawet. Jak kapłana, na którego nabożeństwach pojawia się sam bóg. Kiedy przemawiał, co rusz na niego wskazywał, nazywał go fundatorem uczyty, powodem, dla którego się zebraliśmy. Tamten w ogóle się nie odzywał. Tylko patrzył.

– Kto to był? – warknęła nieustępliwie Vick. Czuła niemal smak odpowiedzi zawieszanej tuż przed nią na haczyku.

– Nie słyszałem jego imienia. Nigdy nawet nie widziałem jego twarzy, ale...

Szczęknięta naciśnięta klamka. Vick okręciła się na pięcie, gotowa zrugać natrętnego praktyka i kazać mu się wynosić, ale



słowa nie zdążyły dobrać się z jej ust.

W progu stał superior Pike z pozbawioną wyrazu poparzoną twarzą. Dwaj towarzyszący mu praktycy łypali sponad masek z jeszcze większym okrucieństwem niż zazwyczaj.

– Proszę, proszę... – zaszeleścił szeptem Pike i wszedł do wąskiego pokoiku. – Jak tu przytulnie.

Vick zerwała się na równe nogi, aż krzesło zgrzytnęło na kafelkach.

– Superiorze Pike, to dla mnie zaszczyt.

– To ja jestem zaszczycony. W Valbecku spisała się pani doskonale, inkwizytorko. Dyskretna i śmiała zarazem, przebiegła i odważna. Gdyby nie pani, powstanie mogłoby znaleźć znacznie bardziej krwawe zakończenie. Ale właściwie nie powinienem być zaskoczony. Jego Eminencja jak nikt inny umie dobrać odpowiednich ludzi do odpowiednich zadań.

Vick skłoniła się skromnie.

– Jest pan nazbyt łaskawy, superiorze.

Wzrok Pike'a spoczął na Malmerze.

– Niewielu by się z panią zgodziło w tej kwestii.

– To jeden z przywódców powstania – wyjaśniła Vick. – Wypytywałam go właśnie o jego przyczyny i inspiracje.

– Myślałem, że odpowiedzialny za to jest nasz kolega po fachu, Risinau, który zszedł na złą drogę.

– Być może – odparła Vick i na tym poprzestała. Nigdy nie należy używać więcej słów niż to konieczne.

– Z przyjemnością popatrzyłbym, jak pani pracuje; niewiele jest ludzi, od których mógłbym się czegoś nauczyć o technikach przesłuchania. – Pike westchnął smutno. – Jednakże Jego Eminencja nakazuje pani bezzwłocznie wracać do Adui. Chce pani osobiście pogratulować.

– To naprawdę żaden kłopot dla...

– Proszę się nacieszyć tym krótkim urlopem. – Pike położył dłoń na ramieniu Vick. Gest był niezmiernie delikatny, ale i tak przyprawił ją o nieprzyjemne mrowienie. – Jak nikt inny zasłużyła pani na odpoczynek. Ja zaś odkryję wszystko, co jest do odkrycia.

Jeden z praktyków postawił na stole ciężką walizeczkę, w której metalicznie zagrzechotały narzędzia.

– Może mi pani zaufać – dodał Pike.

Vick przeniosła wzrok na Malmera. Pewnego razu w obozach, gdy wlekli kłody drewna przez zamarzniete jezioro, jeden ze skazańców wpadł pod lód. Dwóch innych podczołgało się do dziury, żeby go wyłowić, ale sami również utonęli.

Jeśli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się rozpoznawać przegrane sprawy, żeby się w nie nie angażować. Odsunąć, zanim pociągną cię na dno.

Odwróciła się do drzwi.

– Powinniśmy kiedyś porozmawiać. – Pike należał do ludzi, którzy mają przykry zwyczaj dyrygowania innymi tylko dlatego, że mają do tego prawo.

– O czym, superiorze?

– W inkwizycji jest wielu ludzi, którzy mają za sobą pobyt w obozach na północy Anglandu. Większość z nich pełniła tam role strażników. – Pike przysunął się bliżej i zniżył głos; gdy jego oddech owionął Vick, włoski zjeżyły jej się na karku. – Ci nieliczni spośród nas, którzy spędzali tam czas po drugiej stronie krat, powinni trzymać się razem. Powinniśmy przypominać sobie nawzajem... przyswojone tam lekcje.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

– Nigdy o nich nie zapominam – odparła.

Malmer szeroko otwartymi oczami śledził ruchy praktyka, który zaczął wyjmować narzędzia z walizeczki i układać je w schludny rząd przy krawędzi stołu. Vick naprawdę go polubiła i ta scena bardzo jej się nie podobała, ale trzeba umieć rozpoznawać przegrane sprawy, żeby się w nie nie angażować.

Przygarbiona podeszła do drzwi.

– Przejdźmy do rzeczy. Pan... Malmer, zgadza się? Mówił pan, zdaje się, coś o... Tkaczu?

Drzwi zamknęły się ze szcękaniem.

## Nowy mężczyzna

Orso zamrugał i otworzył oczy.

Białe światło. Szelest tarmoszonego wiatrem płótna.

Chwilę trwało, zanim sobie przypomniał, gdzie jest. Valbeck. Ale było coś jeszcze, jakiś powód do radości...

Powstanie dobiegło końca i...

Savine!

Przeturlał się ostrożnie na drugi bok, bojąc się spojrzeć, zdjęty przerażeniem na myśl, że wszystko mu się przyśniło i jest w łóżku sam.

Ale nie, była tam, leżała obok niego z zamkniętymi oczami i leciutko rozchylonymi ustami. Ostro zarysowane obojczyki łagodnie unosiły się i opadały w rytmie jej oddechu.

Wzbierające łzy zakłuły go w oczy i musiał mocno zacisnąć powieki. Była bezpieczna. Była przy nim. Uśmiech wypłynął mu na twarz.

Oświadczył się. Naprawdę to zrobił. Owszem, ściśle rzecz biorąc, nie powiedziała mu „tak”, ale zaciągnięcie go do łóżka z pewnością było bardzo dalekie od „nie”. Kiedy musiał wybrać buty do noszenia w ciągu dnia, trzy razy zmieniał zdanie, a i tak do wieczora targaly nim wątpliwości. A tu – najważniejsza decyzja w życiu i ani krzty zwątpienia. Savine była tą jedyną, tą, której pragnął i potrzebował. Zawsze nią była.

Przysunął się do niej. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej twarzy.

Chciał ją obudzić. Przytulić. Zerznąć jeszcze raz naturalnie też, ale chodziło o coś znacznie więcej. To była miłość, nie żądza. No, w każdym razie było to jedno i drugie. Chciał jej opowiedzieć o swoich nadziejach – dla nich dwojga i dla całego kraju. O wielkim dobru, jakiego mogliby razem dokonać.

Zawahał się, jego palce zawisły tuż nad policzkiem Savine. Czuł ciepło jej oddechu na wnętrzu swojej dłoni.

Wyglądała tak spokojnie... Obudzenie jej byłoby przejawem egoizmu. Chociaż raz w życiu przedłoży czyjeś dobro ponad własne. Stanie się dla niej opoką, zamiast brzemieniem rozczarowania, bezwolnie wleczonym od porażki do porażki.

Cofnął rękę.

Nie, nie pójdzie na łatwiznę. Nie będzie zgrywał bohatera, tylko zrobi, co do niego należy, i stanie się bohaterem. Najostrożniej, jak się dało, wymknął się z łóżka, wyłuskał swoje spodnie i przytrzymując sprzączkę, żeby nie zadźwięczała, naciągnął je. Niedbałym gestem wepchnął poranną stójkę za pasek, gdzie w swoim czasie spokojnie sobie zwiotczeje. Dziś nie będzie mu potrzebna. Dzisiaj da Savine przestrzeń. Da jej wszystko, czego będzie potrzebowała. Pomoże jej uleczyć się z ran.

Z uśmiechem na twarzy narzucił na ramiona szlafrok z suljuckiego jedwabiu. Przybierał tysiące ról – i w tysiącach ponosił porażki, często dość spektakularne. Jedną z tych, których jeszcze nie próbował, była rola męża, w której zamierzał odnieść oszałamiający sukces. Nie przepuści takiej okazji. Nie tym razem.

Na chwilę przystanął jeszcze przy zasłonie oddzielającej sypialnię od dziennej części namiotu i obejrzał się. Przytknął palce do ust i niewiele brakowało, żeby przesłał Savine całusa, ale powstrzymał się, gdy dotarło do niego, jakie to niedorzeczne. A potem i tak to zrobił, do licha, i opuścił zasłonę za sobą.

Był taki czas – nie dalej jak wczoraj, prawdę mówiąc – że świt zastałby go grzebiącego wśród rozrzuconych przy łóżku butelek w poszukiwaniu takiej, z której dałoby się jeszcze coś wysączyć. Ale tamten człowiek zniknął i miał nigdy nie wrócić. Teraz Orso miał ochotę na herbatę, poranny napój przedsiębiorczych ludzi sukcesu!

– Hildi! – zawołał mniej więcej w stronę wejścia. – Trzeba rozpalić w piecyku!

Zaczął być z siebie bardzo zadowolony i przypuszczał, że

tym razem wyjątkowo ma ku temu dobry powód.

Owszem, najtrudniejszą robotę odwaliła znakomita podwójna agentka arcylectora Glokty, Orso jednak był zdania, że rozdany przez nią asami rozegrał znakomitą partię. Podjął niełatwą decyzję o zwłoce i ostrożności. Poprowadził negocjacje z iście królewskim majestatem. Okazał łaskawość, powściągliwość i trzeźwość osądu. Ocalił wiele ludzkich żywotów.

Orso Miłosierny – czy tak właśnie nazwą go historycy, z podziwem patrząc wstecz na jego dokonania? Brzmiało to niezgorzej, z pewnością znacznie lepiej niż inne nadawane mu przez gawieź przydomki.

Powstanie było wstrząsem, bez dwóch zdań, ale może ostatecznie wyniknie zeń coś dobrego. Może okaże się przełomem dla Orso, który już nigdy nie zawiedzie ani świata, ani samego siebie. Z Savine u boku może zrobić wszystko. Może być, kim zechce.

Przechadzał się po namiocie, a takie i podobne myśli wprost kłębiły mu się w głowie. Dawniej pobudka była dla niego trudnym do zniesienia wysiłkiem; teraz wprost nie mógł się doczekać, kiedy zacznie się nowy dzień.

Powinien zrozumieć, co się naprawdę dzieje – nie tylko za kulisami władzy, ale też wśród zwykłych ludzi. Będzie musiał porozmawiać z tą Teufel, wygląda na taką, która wie, co w trawie piszczy. A po powrocie do Aduy spotka się z członkami Zamkniętej Rady i pomówi z nimi na tematy polityczne – tylko tym razem robi to, jak należy, według planu. Dowie się, jak wprowadzić zmiany; jak uwolnić kraj od długów i rozpocząć jego budowę; jak się pozbyć tych krążących nad głową sępów – Valinta i Balka; jak rozdystrybuować bogactwo. Po co komu postęp, z którego korzystają tylko nieliczni? Dopilnuje, żeby takie powstanie nigdy więcej się nie powtórzyło. I tym razem na pewno nie będzie nikogo za nic przepraszał. Mowy nie ma! Czy Savine przepraszałyby za swoje zachowanie? Nigdy!

Hildi gwałtownym gestem odgarnęła płachtę namiotu i przygarbiona weszła do środka, zostawiając błotniste ślady na

podłódze.

– Dzień dobry, Hildi!

Był zachwycony jej widokiem, ale raczej bez wzajemności. Z ponurą miną, nie patrząc w jego stronę, przysunęła kosz z drewnem do piecyka.

– Piękny dzionek mamy, nieprawdaż?

Przy matce wyczuł się na różne rodzaje karcącej ciszy jak ogar na woń zwierzyny: milczenie Hildi wyglądało bardzo poważnie. Otworzyła piecyk z impetem, aż drzwiczki grzmotnęły o ściankę, i zaczęła pchać polana do środka w taki sposób, jakby dźgała sztyletami znienawidzonego wroga.

– Coś cię dręczy?

– Nie, Wasza Wysokość. – Głos Hildi niemal się załamał pod ciężarem sarkazmu. – Skądże.

– A jednak... Wyczuwam u ciebie jakąś osobliwą niechęć. Żale i urazy są jak pijacka melina, Hildi. Wietrzenie zawsze im dobrze robi.

Kiedy się do niego odwróciła, był wstrząśnięty malującą się na jej twarzy nieskrywaną wrogością.

– Broniałam cię, kiedy się z ciebie śmiali! Stawałam w twojej obronie!

Oślupiały Orso nie wiedział, co powiedzieć.

– Ja... no... doceniam twoją... lojalność...

– Wiedziałeś, że tak się stanie! Wiedziałeś, kurwa!

Z trudem przełknął ślinę. Strach przesączał mu się powoli w głąb gardła.

– Że... jak się stanie?

Drżącą ręką wskazała wyjście z namiotu. Dobiegające z zewnątrz stukanie młotków i podniesione głosy nagle zabrzmiały złowieszczo.

– Tak!

Otulił się szlafrokiem, zanurkował pod płachtą i wyszedł z namiotu. Owionęło go rześkie powietrze poranka.

Kiedy jego wzrok oswoił się z dziennym światłem, na pierwszy rzut oka nie zobaczył niczego niezwykłego. Oficerowie ze smakiem zajadali śniadanie, żołnierze grzali ręce nad

ogniskiem, inni zwijali namiot i przygotowywali się do wymarszu do Adui. Kawalek dalej kował kuł żelazo. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnej masakry, zarazy ani głodu, za które Orso mógłby być odpowiedzialny...

Zamarł. Przy trakcie do Valbecku stał słup, wysoki niemal jak okrętowy maszt. Od jego szczytu odchodziła w bok poprzeczka, z końca której zwieszała się cylindryczna klatka. W klatce tkwił trup ze zwieszonymi bezwładnie nogami. Pierwsze zaciekawione wrony przysiadły już na gałęziach pobliskiego drzewa.

– Wasza Wysokość! – Jakiś oficer zasalutował z zapalem.

Orso nie miał dość animuszu, żeby zareagować. Wolałby się nie zbliżać do szubienicy z klatką, ale nie miał wyboru. Szedł boso, lodowate obozowe błoto ziębiło mu stopy.

Dwóch praktyków przytrzymało słup w pionie, trzeci wielgachnym drewnianym młotem ubijał ziemię wokół niego, czwarty skrupulatnie przybijał podpory. Za nimi stał duży wóz, na którym leżało więcej takich słupów – dwadzieścia? Trzydzieści? Stojący obok superior Pike marszczył brwi, patrzył na mapę i pokazywał coś na niej woźnicy.

– Och, nie. – Z każdym krokiem wnętrzości Orso stawały się coraz cięższe, jakby lada chwila miały się oderwać od reszty ciała i wypaść mu przez odbyt. – Nie, nie, nie...

Klatka zaskrzypiała, obracając się powoli w jego kierunku. Widział już teraz jej mieszkańca, makabrycznie obwisłą twarz pod splątaną grzywą siwych włosów. Malmer. Przywódca Destruktorów. Człowiek, któremu Orso obiecał amnestię.

– Co wy tu, kurwa, robicie?! – zawołał w pustkę.

Głupie pytanie, odpowiedź nie mogła być bardziej oczywista. O to zresztą chodziło – żeby była jak najbardziej oczywista.

– Wieszamy dwustu prowodyrów buntu przy trakcie do Valbecku, w ćwierćmilowych odstępach – wyjaśnił Pike.

Przemówił tak beznamietnie, jakby rozpaczliwy wrzask Orso był zwykłą prośbą o informację, wyrażoną bez cienia emocji. Jakby najważniejsze było precyzyjne rozmieszczenie trupów, a nie sam fakt ich istnienia.

– No to... przestańcie, do diabła! – zapienił się Orso. Fakt, że musiał podtrzymywać szlafrok jak dama suknię, żeby go nie ubłocić, nieco ujmował mu królewskiego majestatu. – Przestańcie, kurwa!

Jeden z praktyków zamachnął się młotkiem, ale zamarł w pół ruchu i spojrzał pytająco na superiora.

– Przykro mi, Wasza Wysokość, ale to wykluczone – odparł Pike.

Skinieniem głowy dał praktykowi znak, że może kontynuować, po czym wyjął poważnie wyglądający dokument, opatrzony u dołu licznymi podpisami i ogromną czerwono-złotą pieczęcią, w której Orso od razu rozpoznał pieczęć ojca.

– Rozkazy Jego Eminencji arcylektora, który uzyskał w tej kwestii poparcie wszystkich dwunastu członków Zamkniętej Rady, są jednoznaczne – ciągnął superior. – Zresztą przerwanie procedury w tej chwili niczego by nie zmieniło. Dwustu zdrajców przyznało się już do winy, egzekucje wykonano... Pozostaje tylko wystawić ich na widok publiczny.

– Bez procesu?! – Głos Orso stał się nieprzyjemnie piskliwy, niemal histeryczny. Orso spróbował nad nim zapanować i zupełnie mu się to nie udało. – Bez procesu? Bez...

Pike zwrócił ku niemu pozbawione rzęs i wyzute z uczuć oczy.

– Ojciec Waszej Wysokości udzielił inkwizycji nadzwyczajnych uprawnień do przesłuchania i osądzenia sprawców, a także do ich natychmiastowej egzekucji. Jego edykt ma wagę większą niż uczucia Waszej Wysokości, moje czy czyjekolwiek inne.

– Ja zaś obawiam się, że nigdy nie było realnej alternatywy. – Yoru Sulfur leżał na wozie, z ręką podłożoną pod głowę, zupełnie swobodny w towarzystwie szubienicznych słupów.

Wyjątkowo ścisła dieta najwyraźniej dopuszczała spożywanie owoców, bo w wolnej ręce trzymał nadgryzione jabłko. Uwagę Orso zwróciły jego różnokolorowe oczy, którymi patrzył spokojnie na szubienicę: jedno zielone, drugie niebieskie.

– Widziałem wiele takich przypadków i możecie mi wierzyć –



ciągnął Sulfur – że sprawiedliwość musi w takich sytuacjach uderzać jak piorun: szybko i bezlitośnie.

– Pioruny rzadko trafiają tych, którzy na to zasługują – wychrypiał Orso.

– A kto wśród nas jest całkiem bez winy? – Sulfur odgryzł kolejny kęs jabłka i zaczął żuć w zadumie. – Naprawdę Wasza Wysokość myśli, że mogliście puścić Destruktorów wolno? Rozproszyliby się i roznieśli zamęt po całej Unii. Wzniecaliby kolejne bunty, a w świat poszłaby wieść, że morderstwa, zamieszki i zdrada stanu to drobiazgi, na które nie warto zwracać uwagi i za które z pewnością nie warto karać.

– Obiecałem im amnestię – burknął Orso. Jego głos słabł z każdą kolejną sylabą.

– Wasza Wysokość powiedział to, co było konieczne, by położyć kres temu niefortunnemu epizodowi i ustabilizować sytuację. Mój mistrz zawsze powtarza, że stabilna Unia to stabilny świat.

– Zdrajcy nie mogą się domagać, by Wasza Wysokość dotrzymał słowa – dodał Pike.

Orso spojrział na błoto pod nogami i skrzywił się. Nagle zdał sobie sprawę, że fiut uwiązał mu boleśnie pod paskiem. Dyskretnie sięgnął przez szlafrok i uwolnił zwiotczały, całkowicie już wyzbyty porannego majestatu organ. Argumenty Sulfura były trudne do odparcia. Rządzenie dużym krajem nagle okazywało się znacznie bardziej skomplikowane niż zaledwie chwilę wcześniej w zaciszu namiotu. Zresztą, co mógł teraz zrobić? Odczynić egzekucje? Jego bezużyteczny gniew z wolna wygasał, ustępując miejsca równie bezużytecznym wyrzutom sumienia.

– Co ludzie o mnie pomyślą? – wyszeptał.

– Pomyślą, że podobnie jak Harold, Casamir i inni wielcy królowie sprzed wieków jest Wasza Wysokość człowiekiem, który robi to, co zrobić trzeba! – Sulfur pogroził Orso palcem, oskubując zębami ogryzek jabłka. – Miłosierdzie jest godne pochwały u maluczkich, ale królom raczej nie pomaga utrzymać się u władzy.

– Może mnie Wasza Wysokość znów wykorzystać jako czarny charakter – podsunął Pike. – Pogodziłem się już z tym, że jestem poniekąd zaszufiadkowany. – Ukłonił się sztywno. – A teraz proszę Waszą Wysokość o wybaczenie, ale mam huk roboty. Proszę czym prędzej wracać do Adui; ojciec na pewno chętnie pogratuluje Waszej Wysokości.

Z jabłka został sam ogonek. Sulfur pstryknął nim na ziemię i wyciągnął się wygodnie wśród szubienicznych słupów, z ręką pod głową.

– Ojciec na pewno jest dumny z Waszej Wysokości – powiedział. – Mój mistrz również.

Ojciec jest dumny. Mistrz tego błazna również.

Jedna nogawka spodni Malmera podwinęła się, odsłaniając łydkę: siwe włosy na tle bladej skóry poruszały się lekko na wietrze. Jedno oko miał zamknięte, ale drugie wyglądało, jakby zerkał w stronę Orso. Powiadano, że martwi nie mają swojego zdania, ale ten konkretny trup miał chyba wyrobioną opinię na temat księcia – i była to opinia raczej niepochlebna. Niemal tak samo niepochlebna jak opinia samego Orso.

– Nie tak wyobrażaliśmy sobie zakończenie tej przygody. – Tunny podszedł do Orso z filiżanką parującej herbaty w ręce. – Ale przynajmniej się zakończyła.

Orso nie był pewien, czy kiedykolwiek bardziej nie cierpiał Tunny'ego niż w tej chwili.

– Dlaczego mnie nie zawołałeś? – zapytał chrypliwym głosem.

– Miałem wrażenie, że jesteś zajęty. – Tunny odkaszlnął znacząco. – Zresztą... co by to zmieniło?

– Mógłbym... mógłbym... – Orso desperacko szukał właściwych słów. – Mógłbym to powstrzymać.

Tunny podał mu filiżankę i ojcowskim gestem poklepał go po ramieniu.

– Nie – powiedział – nie mógłbyś.

Orso miał ochotę chlusnąć mu herbatą w twarz, ale w ustach okropnie mu zaschło, więc zamiast tego po prostu się jej napił. Szubienica zaskrzypiała. Klatka z Malmerem się obróciła.

Orso Miłosierny – czy tak właśnie nazwą go historycy,

z podziwem patrząc wstecz na jego dokonania?  
Nie wydało mu się to prawdopodobne.

## Podobni

– Jak się czujesz?

Leo wyprostował zranioną nogę i się skrzywił.

– Wciąż trochę boli.

– Mogło być o wiele gorzej.

Skrzywił się ponownie, przycisnąwszy dłoń do ran w boku.

– Z pewnością.

Matka wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

– Obawiam się, że zostaną blizny, Leo.

– Wojownik powinien mieć blizny, nie uważasz? Na Północy od takich ran biorą się Imiona.

– Przez ostatnie kilka dni dostatecznie blisko poznaliśmy obyczaje Północnych. Wystarczy.

– Na jakiś czas na pewno. – Leo westchnął przeciągle. – Rikke nie przyszła mnie odwiedzić.

– Nie była zadowolona z wyniku pojedynku.

– Wolałaby, żebym zginął?

– Wolałaby, żeby zginął Zmierzchun. Wypowiedziała się w tej kwestii nadzwyczaj jasno.

– Ona we wszystkich kwestiach się tak wypowiada – burknął Leo. Rikke mogła sprawiać wrażenie niewyczerpanej krynicy śmiechu, ale zaczynał się uczyć, że w głębi skrywa bezdenną studnię dawnych uraz. – A ty co o tym myślisz?

– Myślę, że ocaliłeś Zmierzchuna, bo masz wielkie serce.

– I mały mózg. To chciałaś powiedzieć?

– Stolicus powiedział, że zabicie wroga przynosi ulgę, ale to zaprzyjaźnienie się z nim jest powodem do świętowania. – Spojrzała mu w oczy w ten charakterystyczny sposób, jak zawsze, kiedy chciała, żeby przyswoił sobie jakąś lekcję. – Gdyby udało ci się zaprzyjaźnić z Wielkim Wilkiem... stworzyć sojusz

z Północą... – Zawiesiła głos.

Leo zamrugał z niedowierzaniem.

– Ty nawet w takiej chwili obmyślasz następny ruch.

– Biegacz, który nie zaplanuje następnego kroku, przewróci się.

– Skoro Rikke ma mi za złe, że oszczędziłem Zmierzchuna, jak zareaguje, kiedy się z nim zaprzyjaźnię?

– Jeżeli chcesz być dobrym lordem gubernatorem, to ani jej uczucia, ani moje, ani nawet twoje nie mogą decydować o twoich posunięciach politycznych. Musisz robić to, co najlepsze dla większości. Chcesz być dobrym lordem gubernatorem, Leo?

– Wiesz, że tak.

– Unia wojuje z Północą, odkąd Casamir zajął Angland. Z krótkimi przerwami. Nie pokonamy Północnych mieczami, Leo, to nie jest sposób na osiągnięcie ostatecznego zwycięstwa. Zawsze będziemy musieli ich powstrzymywać przed najazdem.

– Matka mówiła teraz bardzo cicho. – Chyba że ich do nas zaprosimy.

– To teraz mam być... rozjemcą?

– Jesteś wojownikiem, tak jak twój ojciec, ale tym, co odróżnia wielkich żołnierzy od zwykłych zabójców, jest umiejętność dostrzeżenia, kiedy należy zaprzestać walki.

Krzywiąc się z bólu w boku, brzuchu i udzie, Leo spuścił nogi z łóżka na zimną posadzkę.

– Muszę przyznać – powiedział – że chwilowo nie wyrywam się do walki.

– Mimo to wątpię, żeby dało się długo powstrzymywać cię przed sięgnięciem po miecz. – Matka z kąśliwym uśmiechem wyjęła z rękawa złożony arkusz papieru. – Przeszedł do ciebie list. Od króla. Albo przynajmniej od lorda szambelana.

– Nie mów mi, niech zgadnę: w końcu dostaniemy posiłki?

– Wiedzą już, że nie muszą tego robić. Dlatego, co zrozumiałe, wychwalają twoje męstwo.

– Ich pochwały na pewno będą jak balsam na moje rany.

– Mają dla ciebie coś więcej. – Matka zajrzała do listu. –

Zapraszają cię do Adui na triumfalną paradę, która uczci twoje zwycięstwo nad Północnymi. Podejrzewam, że Zamknięta Rada chce, by król i jego syn mogli się trochę popławić w blasku twojej chwały.

Leo podrapał się po obandażowanym barku. Na pamięć poległych, ależ to rozcięcie piekło!

– To tobie należy się parada – powiedział.

– Za co? Za nieustanny odwrót? – Nakryła jego dłoń swoją. – To ty walczyłeś. To ty wygrałeś. To ty zasługujesz na nagrodę. – Zawiesiła głos i spojrzała synowi w oczy. – Jestem z ciebie dumna.

Te słowa były jak kolejne cięcie miecza: zamknął oczy, łzy zakłuły go pod powiekami.

Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chciał je usłyszeć.

\* \* \*

Nie było łatwo.

Szedł o lasce. Każdy krok wymagał wysiłku, każdy sprawiał ból. Rozsiani po całej dolinie Północni prześcigali się w rzucaniu mu groźnych spojrzeń. Ktoś ostrzył miecz: miarowe zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt wydawało się wymierzone wprost w jego szargane nerwy.

– Mam wrażenie, że nas nie lubią – mruknął Jurand, prawie nie otwierając ust.

– A ja mam wrażenie, że oni nikogo nie lubią – szepnął Gławard.

– Nie muszą nas lubić, byleby nas nie zabili – powiedział Leo.

Zaczął dochodzić do wniosku, że to jednak nie był najlepszy pomysł – ale nie byłby to pierwszy kiepski pomysł w jego życiu. Starał się iść z podniesioną głową i takim wyrazem twarzy, jakby w każdej chwili był gotowy stoczyć kolejny pojedynek.

Nie było łatwo, ale gdyby zmienianie świata było łatwe,

wszyscy by się tym zajmowali.

Na dnie doliny, nad brzegiem leniwie płynącego strumienia, stał dom. Z przysadzistego komina snuł się dym. Przez niskie drzwi wyszedł właśnie mężczyzna o stalowoszarych włosach i stalowo marsowej minie. Leo go rozpoznał, widział go w kręgu: Czarny Calder, ojciec Stoura Zmierzchuna, brat Scale'a Żelaznorękiego. Faktyczny władca Północy.

– Odważny jesteś, Leo dan Brocku, że ośmielasz się tu przychodzić. – Calder zmrużył oczy jak kot obserwujący wyjątkowo nierozważną myszkę. – Bardzo odważny albo bardzo głupi.

Leo zaryzykował i posłał mu ujmujący uśmiech.

– Nie można być jednocześnie odważnym i głupim?

Jego uśmiech nie ujął Czarnego Caldera.

– Z doświadczenia wiem, że odwaga i głupota często idą w parze. Przyszedłeś szydzić z mojego syna?

– Przyszedłem się z nim zaprzyjaźnić.

Czarny Calder uniósł brwi.

– To jeszcze odważniejsze, niż myślałem. Cóż, skoro chcesz wsadzić głowę w paszczę wilka, kimże jestem, żeby ci w tym przeszkadzać?

– W takim razie został nam tylko jeden drobiazg.

– Mianowicie?

Skinieniem głowy Leo wskazał popatrujących na niego spode łba wojowników.

– Twoi ludzie nie mają czego szukać na ziemiach należących do Wilczarza, zwłaszcza kiedy robią takie wojownicze miny. Każ im wracać do domów, do rodzin. Niech sobie przypomną, jak się uśmiechać.

Czarny Calder zmierzył go przeciągłym spojrzeniem, prychnął i odparł:

– Porażka popsowała im humor.

Odszedł.

– Zaczekajcie tutaj – zwrócił się Leo do przyjaciół.

Chętnie zabrałby ich ze sobą, ale niektóre sprawy człowiek musi załatwić w pojedynkę.

Wnętrze chaty nie różniło się zbyt od izby, w której przeleżał ostatnie dni: gryząca woń ziół uzdrawiających i starego potu, dławiące ciepło zbyt mocno płonącego ognia, jedno łóżko, jedno krzesło, w kącie zrzucony na stos wysłużony ekwipunek wojenny – przypomnienie, że leżący tu człowiek był kiedyś wojownikiem, i uparte naleganie, że w przyszłości znów nim będzie.

– Proszę, proszę, Młody Lew wpadł z wizytą. – Stour Zmierzchun leżał w ciemnym kącie, z obandażowaną nogą opartą na zrolowanych kocach, i krzywił się w imponującym szyderczym grymasie, jakby chciał w ten sposób odwrócić uwagę od sińców pod oczami i strupa pod opuchniętym nosem. – Ostatnim skurwielem, jakiego spodziewałbym się zobaczyć przy swoim łożu bóleści, jest skurwiele, który mnie do niego wpakował.

Leo odwiesił laskę na oparcie krzesła i usiadł ciężko.

– Wielki wojownik zawsze próbuje czymś zaskoczyć przeciwnika.

– Dobrze znasz mowę Północnych.

– Mieszkałem przez rok w Uffricie, u Wilczarza.

Oczy Stoura błysnęły w półmroku jak ślepie wilka w mrokach lasu.

– Podobno pukasz tę jego cherlawą córcię.

Leo nie spuścił wzroku.

– Owszem. Chyba że jestem akurat zajęty nadziewaniem na miecz cherlawego syna Czarnego Caldera.

Gniew jeszcze wyraźniej odmalował się na twarzy Stoura.

– Ten twój przeklęty miecz... Mówią, że nie wiadomo, czy jeszcze będę kiedykolwiek chodził.

Leo był zbyt obolały, żeby mu współczuć.

– Bierzesz mnie za kogoś, kogo mogłoby to interesować – odparł – a ja mam to w dupie. Nie jestem pielęgniarką ani dyplomata, tylko wojownikiem, jak ty.

– Nie jesteś ani trochę taki jak ja. – Stour poprawił się na sienniku, poruszył nogą i skrzywił się z bólu. – Dziesięć razy mogłem cię odesłać do błota.



– Mogłeś.  
– Byłem o wiele lepszym szermierzem.  
– Byłeś.  
– Gdybym się nie popisывwał...  
– Ale się popisывałeś, zlekceważyłeś mnie i przegrałeś, durna pało. – Leo musiał przyznać, że te słowa sprawiły mu frajdę. – I teraz zawdzięczasz mi życie.

Stour zacisnął pięści, jakby zamierzał go uderzyć, ale obaj zdawali sobie sprawę, że kiedy człowiek leży na plecach, trudno zadać mocny cios. Osunął się na siennik i odwrócił wzrok jak wilk, który – pokonany przez drugiego wilka – kryje się w gąszczu podszytu.

– Dostałem nauczkę – przyznał i znów spojrzał w oczy Leo. – Następnym razem nie dam ci takiej szansy.

– Nie będzie żadnego następnego razu, nawet jeśli wstaniesz z tego łóżka. Nie ty jeden się czegoś nauczyłeś.

– To po co przyszedłeś?

– Moja matka mawia, że chłopcy lamentują nad tym, co się stało, a mężczyźni decydują o tym, co będzie.

– Zawsze słuchasz matki?

– Narzekam na nią, ale owszem, słucham jej. – Nie był przecież dyplomata; jeżeli miał tu zatriumfować, to tylko dzięki brutalnej szczerości. – To bardzo mądra kobieta.

– Jakbym słyсzał swojego ojca...

– To podobno bardzo mądry człowiek.

– Stale mi to powtarza. No dobrze, spójrzmy więc w przyszłość. Co w niej widzisz, Młody Lwie?

Właśnie: co? Leo wziął głęboki wdech.

– Krwawa Dziewiątka wygrał w kręgu dziesięć pojedynków, ale swoich najważniejszych przeciwników oszczędził: Rudda Trójdrzewca, Czarnego Dowa, Hardinga Ponuraka.

– Znam te imiona.

– Oszczędził ich, żeby mu służyli.

Stour skrzywił się gniewnie.

– Mam ci służyć?

– Wielki Wilk w roli domowej przytulanki? – Widząc, jak

Stour się wścieka, Leo z przyjemnością przeciągnął chwilę triumfu, zanim podjął przerwany wątek: – Nie potrzebuję takiego służącego. Chcę mieć w tobie przyjaciela.

Stour prychnął z niedowierzaniem, napuszony z dumy i emanujący pogardą. Mimo porażki jego pycha i pogarda nie osłabły ani na jotę.

– Kogo?!

– Moim zdaniem ty i ja pragniemy tego samego.

– Niby czego, kurwa?

– Chwały! – warknął Leo. Jego głos odbił się głośnym echem od ścian. Stour aż się wzdrygnął. – Chcesz, żeby ludzie wypowiadali twoje imię z lękiem. Z nabożną czcią. Z dumą. Chcesz je słyszeć w pieśniach wymieniane jednym tchem obok Krwawej Dziewiątki, Whirruna z Bligh i innych wielkich wojowników! Pragniesz sławy. – Podsunął zaciśniętą pięść Stourowi pod nos. – Sławy w kręgu i sławy na polu bitwy. Chcesz stawiać czoło wielkim przeciwnikom i odsyłać skurwieli do błota. Chcesz zwyciężać! – Ostatnie słowo wykrzyczał jak okrzyk bojowy. Twarz Stoura drgnęła jak mogłaby drgnąć twarz skąpca na widok błysku złota. – A wiesz, skąd o tym wiem? – Leo się uśmiechnął, a przynajmniej wyszczerzył zęby. – Bo ja chcę tego samego.

Zapadła cisza, którą zmącił tylko szmer polana osuwającego się w palenisku. Stour zamyślił się, nie spuszczając Leo z oka. Dwaj młodzi, przystojni bohaterowie u szczytu sił. Lord gubernator i następca tronu gotowi wychynąć z rzucanego przez rodziców długiego cienia. Dwóch czempionów, ludzi czynu, wsławionych wielkimi wiktoriaми, gotowych odziedziczyć świat i przekuć go na swoją modłę.

– Może jednak faktycznie się rozumiemy – przyznał półgłosem Stour.

– Jesteśmy skazani na bycie sąsiadami. – Leo przysunął się do łóżka. – Możemy się wykrwawiać w sąsiedzkich potyczkach i przez całe życie oglądać się przez ramię w oczekiwaniu na pchnięcie nożem w plecy, tak jak przez lata czynili to nasi arcymądrzy rodzice. Albo możemy wykorzystać fakt, że

jesteśmy dorośli, i wymyślić coś nowego. Krąg Świata jest ogromny, wrogów nam nie braknie. Może byłoby lepiej, gdybyśmy razem stawiali im czoło.

– Śliczny obrazek – przyznał Wielki Wilk z błyskiem w oku.

Leo zaczął się zastanawiać, czy zamysłonemu Stourowi można zaufać bardziej niż temu zwykłemu, rozjuszonemu.

– Naprawdę myślisz, że wilk i lew mogą się podzielić posiłkiem? – zapytał Stour.

– Jeśli mięsa jest dość... Czemu nie?

Na twarz Stoura powoli wypłynął uśmiech.

– Przypieczętuźmy to uściskiem dłoni, Młody Lwie – powiedział i wyciągnął rękę.

Leo przeszło przez myśl, że naprawdę wkłada głowę w paszczę wilka, ale zaszedł tak daleko, że nie było już odwrotu. Wstał więc, krzywiąc się, i również wyciągnął rękę.

Stęknął, gdy palce Stoura zacisnęły się na jego palcach i szarpnęły nim w przód. Ostrze bólu przeszło jego zraniony bok, a on znieruchomiał pochylony nad leżącym Stourem, z przytkniętym do szyi ostrzem sztyletu.

– Wejść do wilczego leża, żeby pogadać o przyjaźni? – Stour zacmokał z dezaprobatą. – Nie za mądre.

– Nikt mi nigdy nie zarzucał przesadnej mądrości – odparł Leo. – Próbowaliśmy być wrogami. – Sięgnął obok sztyletu i dotknął obandażowanej twarzy Stoura. – Sam widzisz, jak na tym wyszliśmy.

Wielki Wilk wyszczerzył zęby i ostrze mocniej przycisnęło się do szyi Leo, który wyraźnie wyczuwał napięcie w zaciśniętej na sztylcie dłoni.

– Podobasz mi się, Brock. Może faktycznie jesteśmy do siebie podobni. – Gniewny grymas przeszedł w uśmiech i Stour z rozmachem wbił sztylet w ścianę, co Leo przyjął z niejaką ulgą. – Młody Lew i Wielki Wilk, ręka w rękę. – Jeszcze mocniej ścisnął dłoń Leo i spojrzał na niego znacząco. – Przed takim sojuszem będzie drżał cały świat.

## Pusty kufer

Silny wiatr zrywał zbrązowiałe liście z drzew, ścigał je po zboczu wzgórza i zwiewał Rikke włosy na twarz. Stała i patrzyła na kuśtykającego Leo, który zbliżał się do niej w towarzystwie Juranda i Gławarda. Była wściekła.

Od czasu pojedynku wszystko się w niej gotowało i nie radziła sobie z tym najlepiej. Trzy razy podchodziła pod chatę, w której leżał ranny Leo, i trzy razy kończyło się na tym, że odchodziła na paluszkach, nie wszedłszy do środka. Chciała go zobaczyć – i zarazem wcale tego nie chciała. Miała nadzieję, że jej milczenie przemówi niczym grzmot, ale niektórzy mężczyźni są celowo głusi.

Idąc, mocno wspierał się na lasce i szczyrzył zęby w grymasie bólu. Na ten widok jej wściekłość została lekko przygaszona wyrzutami sumienia. Było nie było, walczył w imieniu ich wszystkich. Uwierzył jej na słowo, że wygra, i położył na szali swoje życie. Kiedy teraz się potknął, omal nie rzuciła mu się odruchowo na pomoc, ale w tej samej chwili podniósł wzrok, zobaczył ją i dopiero teraz jego twarz przyjęła zboląły widok. Tak jakby spodziewał się po niej, że potraktuje go jeszcze gorzej niż jego wrogowie.

Przynajmniej w tej jednej kwestii wykazał się niezwykłą przenikliwością.

– Ja ci pokażę zboląłego – mruknęła przez zęby.

Nie poprawiał jej humoru fakt, że od pojedynku stale widziała duchy: widmowe sylwetki na obrzeżach pola widzenia, mgliste powidoki snujące się za twarzami żywych – ludzi tworzących krąg, wojowników walczących i ginących w bitwie... Za którymś razem mignął jej jakiś facet srający w krzakach. Nie dostrzegła w tym żadnej prawidłowości, żadnego sensu. Lewe

oko wciąż ją paliło, nerwy miała zdarte do żywego, w żołądku stale jej się gotowało. Kiedy tego ranka wstała, aż wrzasnęła ze zgrozy, gdy, obejrzawszy się, zobaczyła samą siebie śpiącą smacznie na sienniku. Wzdrygała się na każde wspomnienie tamtego rozdarcia w niebie, miała ciarki na myśl o ziejącej za nim czarnej otchłani, która skrywała wszechwiedzę.

Może jednak można siłą otworzyć długie oko, ale zamknąć je? Niekoniecznie.

– Rikke. – Leo spróbował posłać jej przepełniony poczuciem winy uśmiech, co nikomu nie wyszło na dobre. – Miło cię...

– Podobno uciąłeś sobie pogawędkę ze Stourem Zmierzchunem. Antaup mi powiedział.

Skrzywił się.

– Miał nic nie mówić.

– Czyli problem polega nie na tym, że to zrobiłeś, tylko na tym, że Antaup cię wsypał? Powiedz przynajmniej, że tym razem zabiłeś tego skurwysyna!

Leo westchnął, jakby rozmowa z nią była naprawdę niełatwym zadaniem.

– Osobiście uważam, że dość już zabijania – odparł. – Ty nie?

– Jakoś bym zniosła jeszcze jeden grób wykopany dla właściwego człowieka.

– Może ja już sobie... – Gławard pomalutku zaczynał się wycofywać. Jak na takiego wielkiego faceta, zupełnie nie miał jaj. – Lepiej chyba będzie... tak, zdecydowanie lepiej...

Jurand stał z wyciągniętą ręką, jakby był gotowy podtrzymać Leo, gdyby ten miał się przewrócić, i patrzył na Rikke spode łba.

– Chcesz, żebym został? – zapytał.

– Nie – powiedział Leo takim tonem, jakby w rzeczywistości chciał. – Dogonię was.

Jurand wycofał się bez przekonania. Sądząc ze spojrzenia, jakim obrzucił Rikke, można by pomyśleć, że w tej trójce to on i Leo są parą.

Rikke zamierzała być stanowcza, ale uczciwa, tak jak zawsze zalecał jej ojciec. Zanim jednak Jurand zdążył się oddalić poza zasięg słuchu, zrobiła Leo awanturę.

– A o czym to gwarzyliście sobie z tym łajdakiem i mordercą?

– O przyszłości – odparł z westchnieniem. – Czy nam się to podoba, czy nie, Stour zostanie Królem Północnych. Lepiej z nim rozmawiać niż walczyć...

– Ach tak? W takim razie dziwię się, że u niego nie zostałeś: mógłbyś go trzymać za rączkę, kiedy będzie wracał do zdrowia, i pośmialibyście się razem z opowieści o tym, jak spalił dom mojego ojca, ścigał mnie po lesie i zabijał naszych przyjaciół!

Leo skulił się, jakby wyszedł z domu wprost w nawałnicę.

– Ja nie przechodzę na drugą stronę, Rikke. Próbuję tylko przerzucić most.

– To widać. Most, po którym te skurwysyny będą mogły wygodnie przemaszerować!

– Zabicie wroga przynosi ulgę – zadeklamował pompatycznie Leo – ale to zaprzyjaźnienie się z nim jest powodem do świętowania.

– Z wrogiem zaprzyjaźniasz się dopiero wtedy, kiedy przyrzucisz go warstwą błota! Nie wcześniej! Myślisz, że Czarny Calder tak po prostu nam odpuści? Chce mieć całą Północ dla siebie i nie spocznie, dopóki jej nie zagarnie. A ty tylko zaostrzyłeś jego apetyt.

Leo zrobił tę charakterystyczną minę nadęsanego dziecka, którą często przybierał w obecności matki. Rikke z każdym dniem coraz bardziej współczuła lady Finree.

– Dziedzic tronu Północy zawdzięcza mi życie. Zaciągnął u mnie dług honorowy, to cenna rzecz...

– Na pamięć poległych! – zachnęła się Rikke. – Naprawdę myślisz, że ktoś taki jak Stour Zmierzchun przejmuje się długami honorowymi? Zwróci się przeciwko tobie szybko jak wąż. Obiecałeś mi, że go zabijesz, Leo. Obiecałeś.

– Nie tak łatwo zabić człowieka! Nie kiedy leży przed tobą bezbronny, zdany na twoją litość.

– No popatrz, a ja myślałam, że to idealny moment.

– Co ty wiesz... Walczących w kręgu łączy braterstwo! Święta więź. Ty tego nie zrozumiesz.

– Dlatego, że mam pizdę, czy dlatego, że mam mózg?

– Moja matka może mnie traktować jak dziecko, ale przynajmniej jestem jej dzieckiem. Ale teraz jestem także lordem gubernatorem! – W głosie Leo gniew mieszał się z płaczącym błaganiem, jakby jednocześnie próbował przekonać Rikke i samego siebie. – Muszę podejmować decyzje.

– I dlatego pierwszą twoją decyzją było złamanie danego mi słowa?!

Zaskoczyło go to, jak bardzo się zezłościła. Prawdę mówiąc, sama też była tym trochę zaskoczona.

– Nie miałem pojęcia, że potrafisz być taka... bezwzględna.

– No tak, Bezwzględna Rikke, postrach Północy. Wygląda na to, że żaden z mężczyzn w moim życiu nie zna mnie tak dobrze, jak im się wydaje. A prawda jest taka, że kiedy jesteś miły, niczego nie osiągniesz. Musisz utwardzić serce na kamień, Leo. Powinieneś był go zabić.

– Być może. – Uniósł dumnie głowę. – Ale to ja wygrałem i to do mnie należała decyzja, co z nim zrobić.

Na pamięć poległych, czy naprawdę musiało się to tak potoczyć? Z ogólnej błogości i nielicznych drobnych zgrzytów został jeden wielki zgrzyt, a wszelką błogość diabli wzięli. Cóż, najwidoczniej ładnie wyrzeźbiony brzuch to za mało. Seria wściekłych tików wstrząsnęła policzkiem Rikke. Była zła, że nie potrafi zapanować nad własną twarzą.

– Ty arogancki kutafonie! – warknęła. – Byłeś lekkomyślny, głupi i wyraźnie gorszy od Stoura! Wygrałeś tylko dlatego, że on okazał się jeszcze bardziej nadętym durniem od ciebie i koniecznie musiał się popisać przed tłumem! Wygrałeś dzięki temu, że długim okiem zobaczyłam, co za chwilę zrobi, i cię ostrzegłam!

Poobijana, obandażowana twarz Leo ani drgnęła, a gdy Rikke zabrakło słów, którymi mogłaby go zranić, i w końcu ucichła, zrobił jeden mały krok w jej stronę. Nie złościł się ani nie smucił.

– Sama mi powiedziałaś, że nikt nie pamięta, jak wyglądał pojedynek, bo zapamiętuje się tylko zwycięzcę. Zwyciężyłem. Nikogo nie obchodzi, jak do tego doszło.

Mijając ją, otarł się o jej ramię – nie odepchnął jej z drogi, ale

niewiele brakowało.

Zaledwie dzień czy dwa wcześniej mówił, że ją kocha. Wyglądało na to, że równie łatwo otrząsa się z miłości jak ze składanych obietnic.

Zostawił ją na stoku wzgórze, smaganą przez wiatr. Wszystko się w niej gotowało.

\* \* \*

– Jebany Leo dan Brock! – wrzasnęła na wypadek, gdyby ktoś jeszcze nie zrozumiał. – Tępy pyszałek!

Isern w zadumie skubała zawieszony na rzemyku na szyi paliczki.

– Wyczuwam, że między wami, młodymi kochankami, coś zaszło – powiedziała.

– Masz niezwykły dar wyczuwania takich rzeczy – mruknął ojciec Rikke.

– To jeden wielki purchel próżności! – wściekała się Rikke, rozcierając oko. Nadal bolało. Nadal paliło.

– Masz problem – powiedział ojciec. Jego twarz przybrała ten kojący wyraz, który niezawodnie działał Rikke na nerwy. – Wiesz, co nim jest?

– Wiem! Pieprzony Leo dan Brock, łgarz i wiarołomca!

– Zbyt często stawiasz ludzi na tak wysokim piedestale, że nie mają innego wyjścia, jak tylko cię rozczarować...

– Otóż to – zawtórowała Wilczarzowi Isern. – Niepokoi mnie ta nabożna cześć, jaką mnie darzy ta dziewczyna.

– ...a wtedy spadają naprawdę z wysoka.

– Wcale nie! – zaperzyła się Rikke. Spróbowała przetrwać słowa ojca, ale szybko straciła cierpliwość do tego zajęcia. – Gówny prawda!

– Zawsze powtarzałaś, że Leo w pierwszej kolejności myśli o sobie – przypomniała jej Isern. – A także w drugiej, trzeciej i ostatniej.

– I co, uważasz, że to jest w porządku?



– Uważam, że to fatalna wada u kochanka, ale od początku zdawałaś sobie z niej sprawę. Widzisz, jeżeli zbudujesz łódkę z sera, to gdy łódka zatonie, nie możesz mieć pretensji do niebios. Powszechnie wiadomo, że ser nie nadaje się do budowy łodzi.

– Powinnaś domagać się tylko takich obietnic, o których dotrzymanie możesz być spokojna – dodał ojciec. – Poza tym krąg to krąg. – Wzruszył ramionami. – Rządzi się swoimi prawami. Albo postarasz się dostrzec jasną stronę życia, albo spędzisz życie w ciemnościach.

Rikke zgrzytnęła zębami. Ci dwoje jak zwykle mieli w wielu kwestiach słuszność, ale w tej chwili to, co słuszne, niezbyt ją interesowało.

– To znaczy, że jak mnie ktoś kopnie w tyłek, mam mu być wdzięczna, że nie kopnął mnie w zęby? O to chodzi?

– Odzyskaliśmy nasze ziemie, Rikke. Nasze miasto. Nasz dom. Nasz ogródek... – Ojciec uśmiechnął się półgębkiem i zapatrzył w dal. – Na pewno czeka nas mnóstwo pracy, ale...

– Jak sądzisz, jak długo to przetrwa? – Rikke nie była zachwycona perspektywą przycinania róż. – Myślisz, że Czarny Calder tak po prostu odrzuci marzenia ojca? Że jego ambicje wylądują na śmietniku obok rybich skórek? Zachłanny skurwiel nigdzie się nie wybiera i wróci, gdy tylko na chwilę się odwrócimy.

Jej ojciec jak zwykle nie dał się sprowokować do gniewu i trwał w swojej cichej rezygnacji.

– Nic nie trwa wiecznie, Rikke. Żaden pokój, żadna wojna. Jedyne, co możesz zrobić, to jak najlepiej wykorzystać dany ci czas.

– To ma być nasza odpowiedź? Jak najlepiej wykorzystać dany nam czas? Takie mądre słowa napawają mnie dumą.

Zdołała wywołać tylko tęskny grymas na jego twarzy.

– Chciałbym mieć dla ciebie słowa prawdziwej mądrości. Żałuję, że nie znam wszystkich odpowiedzi.

Nagle poczuła wyrzuty sumienia – często jej się to ostatnio zdarzało, kiedy akurat się na coś nie wściekała. Miotła się od

jednej skrajności do drugiej, niby jakaś przeklęta dziecięca huśtawka, która boleśnie wali człowieka po tyłku.

– Przepraszam – burknęła. – Przekazałeś mi wiele mądrości i udzieliłeś większej liczby odpowiedzi, niż dziecko ma prawo się domagać. Nie przejmuj się mną – powiedziała, ale nie oparła się pokusie mruknięcia na koniec: – Nikt się mną nie przejmuje.

– Twój wiarołomny, lecz nadzwyczaj proporcjonalnie zbudowany problem w postaci lorda gubernatora właśnie sam się rozwiązuje. – Isern odchyliła się w tył na krześle, położyła jedną nogę na stole i zaczęła toczyć w palcach kuleczkę z chaggi. – Wraca do Unii, gdzie nadęci durnie, którzy nie raczyli kiwnąć palcem, żeby przyjść mu z pomocą, nazwą go największym wojownikiem od czasów Euza i będą mu słodko pierdzieć do ucha, aż łeb mu spuchnie i przestanie się mieścić w drzwiach.

– Hmm... – Rikke zwinnym gestem podprowadziła jej grudkę chaggi, zanim Isern zdążyła ją włożyć do ust. – Też mi rozwiązanie, psiamać.

– Myślałam, że go nienawidzisz?

– Bo nienawidzę.

– I mimo to chciałabyś, żeby nie wyjeżdżał? – Isern już toczyła nową kuleczkę dla siebie.

Rikke oparła łokcie na stole, podparła brodę dłońmi i sapnęła smutno.

– Właśnie.

Jej ojciec wyłuskał drugą kulkę chaggi z palców Isern i wziął ją do ust.

– To się dobrze składa – powiedział – bo jedziesz razem z nim.

Rikke podniosła wzrok.

– Niby dokąd?

– Do Adui.

– Ale ja muszę wracać z tobą do Uffrithu, zająć się ogródkiem...

Nigdy nie miała cierpliwości do grzebania w ziemi, a ostatnio miała jej jeszcze mniej niż zazwyczaj.

– Isern i Dreszcz pojedą z tobą. Będą pilnować, żebyś nie napytała sobie biedy.

– A może właśnie, żeby sobie napytała? – mruknęła Isern, popatrując na nich oboje i tocząc następną kuleczkę.

– Będziesz mogła wylać odrobinę napitku nad grobem mojego starego druha Ponuraka. – Ojciec Rikke uśmiechnął się lekko. – Nie ma sensu nic mówić, nie przepadał za słowami. W Adui będą się działy ważne rzeczy, musimy mieć tam swojego przedstawiciela. Po bitwie pod Osrungiem obiecano nam sześć miejsc w Otwartej Radzie. Nic z tego nie wyszło.

– Obietnice są jak kwiaty. – Isern szeroko rozpostarła ramiona. – Chętnie rozdawane, ale z natury nietrwałe.

– Jeżeli Leo się za nami wstawi, może tym razem nam się uda.

Rikke ze skwaszoną miną przepchnęła grudkę chaggi z jednej strony ust na drugą.

– Niespecjalnie udało mi się wpłynąć na Leo, żeby mnie posłuchał.

– Próbuje dalej, może z czasem będzie lepiej. Poza tym dobrze ci zrobi, jak zobaczysz kawałek świata. Bo możesz mi wierzyć albo nie, ale na lasach świat się nie kończy.

– Adua – mruknęła Rikke. – Miasto Białych Wież.

Dużo słyszała o Adui, ale nigdy jej nie kusiło, żeby się tam wybrać. Rok w Ostenhormie był wystarczająco ciężki.

– Obiecay mi coś – powiedział ojciec.

– Cokolwiek zechcesz.

– Odpuść.

– Ale co?

– Puść w niepamięć wasnie, zapomnij urazy, nie myśl o wrogach. Posłuchaj człowieka, który ma w tych kwestiach bogate, choć gorzkie doświadczenie. Zemsta jest jak pusty kufer, który dźwigasz z własnej woli. Przez całe życie uginasz się pod jego ciężarem, bo każda rozliczona krzywda wysiewa ziarna dwóch nowych.

– Czyli co, powinnam zapomnieć o tym, co mówili? O tym, co zrobili?

– Nie da się zapomnieć. Jestem osaczony przez wspomnienia.

– Ojciec machnął ręką w taki sposób, jakby w półmroku krył się niewidzialny tłum. – Ze wszystkich stron oblegają mnie krzywdy

i urazy, tłoczą się przyjaciele, wrogowie i ci, którzy byli jednym i drugim po trochu. Są aż za bardzo długowieczni. Wspomnień nie wybierasz, ale możesz wybrać, co z nimi zrobisz. I przychodzi taki czas, że... musisz je odrzucić. – Uśmiechnął się smutno wpatrzony w blat stołu. – Żeby wrócić do błota bez zbędnego bagażu.

– Nie mów tak. – Rikke nakryła jego dłoń swoją. Czowała się tak, jakby znalazła się na wzburzonym morzu, a on był jedyną gwiazdą, podług której mogła nawigować. – Daleko ci jeszcze do błota.

– Wszyscy jesteśmy o włos od tego, żeby do niego wrócić, córeczko. Przez cały czas. W moim wieku człowiek musi być przygotowany.

Rikke zdała sobie sprawę, że wcześniej dała się ponieść rozgoryczeniu. Nachyliła się teraz do ojca, objęła go, uściskała mocno i wsparła brodę na jego łysiejącej głowie.

– Odrzucę je – powiedziała. – Obiecuję.

Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że zapominanie idzie jej wyjątkowo opornie.

Isern uderzyła się pięścią w pierś i poruszyła bezgłośnie ustami:

– Kamień.

## Jak deszcz

– Jesteśmy w domu – powiedziała Savine, gdy powóz zatrzymał się z szarpnięciem.

Pleczysty pierwszy raz jechał powozem i musiał przyznać, że było to wstrząsające doświadczenie dla jego kości. Zaczynał sobie uświadamiać, że podobnie jest z większością luksusów: większe znaczenie ma to, jak człowiek wygląda, niż co przy tej okazji czuje.

Rezydencja Savine prezentowałaby się imponująco nawet jako twierdza, a co dopiero zwykły dom: ogromny blok jasnego kamienia i całe akry ciemnych okien wychodzących na Drogę Królów ponad rozpłomionym kolorami jesieni ogrodem. Wielki portyk z potężnymi kolumnami przywodził na myśl świątynię ze Starego Cesarstwa. W narożniku murów wznosiła się wieża z blankami i pionowymi otworami strzelniczymi. Po bokach szerokich marmurowych schodów stali dwaj strażnicy zbrojni w ceremonialne halabardy i nieruchomi jak posągi.

Pleczysty zerknął na Liddy i z wysiłkiem przełknął ślinę. Odpowiedziała mu spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Lokaje pomogli im wysiąść – lokaje w szmaragdowych marynarkach z powiewającymi koronkowymi mankietami i wypolerowanych do połysku butach. Kiedy jeden z nich podsunął May dłoń w nieskazitelnie białej rękawiczce, spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby się bała, że jej palce pobrudzą tę biel.

– Ci przekłeci lokaje wyglądają jak lordowie – mruknął Pleczysty.

– Jeden z nich jest prawdziwym lordem – rzuciła przez ramię Savine.

– Że co?!

– Spokojnie, tylko żartowałam. Możecie się odprężyć. Od dziś to jest wasz dom.

Łatwo jej było tak powiedzieć, bo właśnie przekraczała próg swojego domu. Pleczysty czuł się tak, jakby wkładał głowę w paszczę smoka – chociaż niewiele smoków mogłoby się poszczycić paszczą tak ogromną jak te gigantyczne drzwi wejściowe.

– Powiem ci, że nie jestem przesadnie odprężony – mruknął do Liddy, wchodząc po schodach.

– Wolałbyś celę w Domu Pytań, mój panie? – wycedziła, uśmiechając się bez przekonania do jednego ze strażników. – Albo szubienicę przy trakcie do Valbecku?

Odkasznął.

– Co racja, to racja – przyznał.

– W takim razie stul dziób i bądź wdzięczny.

– To zawsze jest dobra rada.

W holu wejściowym, wśród lśniących połączeń rzadkich gatunków drewna i kolorowych marmurów sprowadzonych z miejsc, których nazw Pleczysty najprawdopodobniej nie potrafiłby wymówić, pomieściłby się cały rząd szeregowców z valbeckich slumsów. Obciągnął wystrzępione mankiety i wyświechtany kołnierzyk w żalostnej próbie przydania sobie odrobiny schludności.

Czekała na nich wysoka, ciemnoskóra, elegancko odziana dama. Smoliście czarne włosy nosiła wysoko upięte, dłonie splotła przed sobą.

– Lady Savine...

Savine podeszła i objęła ją serdecznie.

– Cieszę się, że cię widzę, Zuri. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Ciemnoskóra kobieta przez chwilę stała nieruchomo, zupełnie zaskoczona, zanim podniosła rękę i odpowiedziała uściskiem na uścisk Savine.

– Ogromnie mi przykro, że cię zawiodłam, pani. Cały czas się zastanawiam... gdybym była przy tobie...

– Cieszę się, że cię nie było. Nic nie można było zrobić. Nie mówmy więcej o tym, niech wszystko... będzie jak dawniej.

Savine uśmiechnęła się niepewnie, bez przekonania, jakby łatwiej było coś takiego powiedzieć niż zrobić. Pleczysty doskonale ją rozumiał.

– Udało ci się pomóc braciom? – zapytała.

– Dzięki tobie, pani. Przywiozłam ich ze sobą. – Na dany przez Zuri znak dwóch mężczyzn podeszło bliżej: byli tak samo ciemnoskórzy jak ona, ale poza tym zupełnie różni. – To jest Haroon.

Haroon był szeroki jak drzwi, łysy, brodaty i poważny jak przedsiębiorca pogrzebowy. Przytknął dwa palce do szerokiego czoła i odezwał się najgłębszym basem, jaki Pleczysty w życiu słyszał:

– Dziękujemy Bogu za twój bezpieczny powrót, pani.

– A to Rabik.

Rabik był drobny i niewiele starszy od May. Oczy mu błyszczały, lśniące czarne włosy opadały na kołnierz. Zgiął się w szybkim ukłonie i uśmiechnął ze swobodą, odsłaniając mnóstwo zębów.

– Tobie zaś, pani, dziękujemy za schronienie przed chaosem na Południu.

– Cieszę się, że możemy was gościć – odparła Savine.

– Oczywiście matka chce cię widzieć, pani – odezwała się znowu Zuri. – Musimy też porozmawiać o interesach, ale domyślam się, że wolałabyś się najpierw wykąpać.

Savine przymknęła oczy, z jej piersi wydarło się urywane westchnienie.

– Na miłość losu, jak ja się za tobą stęskniłam... Kąpiel, matka, interesy: w tej kolejności.

– Przyjdę, żeby pomóc ci się ubrać, pani, gdy tylko nasi nowi przyjaciele się rozgoszczą. Pozwoliłam sobie... nająć nową dziewczynę od makijażu.

– Naturalnie. – Savine przełknęła ślinę. – Załatwisz mi trochę perłowego proszku, Zuri? Potrzebuję... czegoś mocniejszego.

– Już na ciebie czeka, pani. – Zuri ścisnęła jej dłoń.

Pleczysty odprowadził wzrokiem Savine, która weszła na schody – dostatecznie szerokie, żeby dało się na nie wjechać

powozem. Jego uwagę przykuł kandelabr, ba, niemal oślepił go swoim blaskiem: odwrócona do góry nogami góra visseryńskiego szkła i dziesiątki świec, porządnych, woskowych świec po dziesięć miedziaków sztuka. Ciekawe, pomyślał, ile kosztował. I ile kosztuje jego zapalenie co wieczór.

– Państwo Pleczyści, jak się domyślam.

Zuri przyglądała mu się, ale jej spojrzenie nie było już serdeczne, raczej ostrożne i nieprzejednane. Pleczysty nie miał do niej o to pretensji, a ponieważ i on, i Liddy zapomnieli języka w gębie, obowiązek reprezentowania rodziny spoczął na barkach May. Coraz częściej się to zdarzało.

– Ja nazywam się May – powiedziała – a to moi rodzice: Liddy i Gunnar. – Zuchwałym gestem uniosła lekko głowę. Ten widok napełnił Pleczystego szczególną dumą. – Opiekowaliśmy się panią Savine w Valbecku. Dbaliśmy o jej bezpieczeństwo.

– Zarówno ona sama, jak i jej rodzice będą wam za to bezgranicznie wdzięczni, a każdy, kto wyświadcza tej rodzinie przysługę, zostaje wynagrodzony po trzykroć. Domyślam się, że dołączycie do służby pani Savine?

– Chcielibyśmy – przyznała Liddy.

– To będzie ciężka praca. U pani Savine nie ma czasu na próżniactwo.

– Nigdy nie bałam się ciężkiej pracy – zapewniła May.

– Prorok powiada, że to najlepsza droga do nieba – odparła Zuri.

Uśmiechnęła się przy tym osobliwie, jakby wcale nie była aż tak pobożna, jak mogłoby to wynikać z jej słów, po czym zaprowadziła ich w głąb korytarza, który nie miał końca. Żadnych lśniących marmurów, tylko bielone tynki i gołe deski, ale wszystko schludne, czyste, pachnące mydłem. Nawet tutaj Pleczysty czuł się odrobinę nie na miejscu. Dwie dziewczyny z naręczami prania zerknęły na nich nerwowo, jakby byli zwierzętami, które wyrwały się z klatki. Może naprawdę byli.

– Ile tu jest służby? – zainteresowała się May.

– W tym domu? Dziewiętnaście osób, plus tuzin straży.

Wytrzeszczone oczy Liddy zrobiły się chyba niewiele



mniejsze od oczu Pleczystego.

– A ile ona ma domów?

– Znajdujemy się w miejskiej rezydencji ojca pani Savine, Jego Eminencji arcybiskupa. Pani Savine często spędza tu wolny czas, którego jednak ma niewiele. – Zuri zerknęła na zegarek, zawieszony na łańcuszku na szyi, i nieco przyśpieszyła kroku. – Oprócz tego ma jeszcze pięć własnych domów. Jeden znajduje się w Adui: urządza w nim zebrania Towarzystwa Słonecznego i inne spotkania towarzyskie. Drugi jest w Kelnie, trzeci w Anglandzie, czwarty w Zachodnim Porcie. Piątym jest mały zameczek na wsi niedaleko Starnlendu. – Nachyliła się i konfidentycznie zniżyła głos: – O ile mi wiadomo, tego w Zachodnim Porcie nigdy jeszcze nie odwiedziła.

– Mały zameczek – pisnęła May ojcu do ucha.

Minęli kuchnię, w której jedna kobieta wyrabiała ciasto, a druga kroїła rybę.

– Ilu ludzi zatrudnia pani Savine? – spytała Liddy.

– Jej osobista służba, wliczając w to was, moich braci i nową pokojówkę, liczy łącznie trzydzieści cztery osoby. Natomiast w należących do niej przedsiębiorstwach pracują... setki. Może nawet tysiące.

– W jakiej branży działa? – zachrypiął Pleczysty, gdy zaczęli wchodzić po długich schodach.

– Łatwiej byłoby powiedzieć, w jakiej nie działa. Jakie macie doświadczenie zawodowe?

– Umiem szyć – odparła Liddy. – Przez pewien czas byłam pomocnicą krawcowej. Umiem pracować, trochę gotować...

– U pani Savine zawsze znajdzie się praca dla kogoś biegłego w posługiwaniu się igłą z nitką. Jej garderoba zapewniłaby zatrudnienie legionowi szwaczek.

Zuri przekręciła klucz w zamku i wprowadziła ich do pokoju tonącego w powodzi światła. Za trzema ogromnymi oknami szeptały kołysane wiatrem drzewa, z których powoli opadały żółte liście. Za następnymi drzwiami – były otwarte – Pleczysty dostrzegł duże, stare łóżko. Przyszło mu do głowy, że Zuri każe im tu posprzątać, kiedy wręczyła mu klucz, mówiąc:

– Na razie możecie zamieszkać tutaj. Później znajdziemy wam coś lepszego.

– Lepszego? – powtórzył półgłosem, patrząc na wazon świeżych kwiatów na pięknym starym stole.

Ponieważ zawsze uważał się za pechowca, teraz zaczął się zastanawiać, czym tak nagle zasłużył sobie na taki ogrom szczęścia. Dlaczego stał tutaj, w pachnących czystością pokojach, kiedy przy trakcie do Valbecku wrony ogryzały trupy ludzi lepszych od niego? Doszedł do wniosku, że życie człowieka nie ma nic wspólnego z tym, na co zasłużył, a na co nie, tylko po prostu na niego spada, jak deszcz.

– A w jakiej roli widziałby pan siebie, panie Pleczysty?

Poprawił okulary i z namysłem pokręcił głową.

– W takim domu? W żadnej. Pracowałem w browarze, pani.

– Nie musi pan mnie tak tytułować – wtrąciła z uśmiechem Zuri. – Jestem tylko towarzyszką pani Savine.

– Myślałam, że się przyjaźnicie – wtrąciła May.

– Bo tak jest. Gdyby jednak zdarzyło się nam zapomnieć, że przy okazji jestem jej służącą, a ona moją panią, nasza przyjaźń długo by nie przetrwała. – Zuri wróciła spojrzeniem do Pleczystego. – Co jeszcze?

– Pochodzę z pasterskiej rodziny.

To jej zupełnie nie zainteresowało, a i on sam musiał przyznać, że stało mu się to obojętne. Jakby ta pasterska przeszłość była odległa o tysiąc lat.

– Służyłem też w wojsku... jakiś czas...

Wzrok Zuri spoczął na tatuażach na wierzchu jego dłoni.

– Walczył pan?

Niewiele uchodziło jej uwagi. Pleczysty z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Zdarzało się. W Styrii.

– Niczego się pan tam nie nauczył?

– Niczego, co mogłoby się przydać w służbie damy.

Zuri roześmiała się i odwróciła ku drzwiom. W jej śmiechu wyraźnie dało się wyczuć napięcie.

– Zdziwiłby się pan, zaręczam.

## Z matką, przy kieliszku

Savine miała nadzieję, że kiedy znów znajdzie się w domu, wśród znajomych przedmiotów i sprzętów, wykąpana, wypchniona i bezpiecznie zakuta w pancerz gorsetu, na powrót stanie się sobą – a może nawet kimś więcej, bo przecież przeciwności losu kształtują charakter. Będzie głęboko zakorzenionym drzewem, które podczas burzy gnie się, ale nie daje się złamać. Będzie mieczem, który hartował się w ogniu, i tak dalej, i tak dalej, pitu, pitu, pitu.

Tymczasem była jak złamany patyk. Jak podłe żeliwo, z którego po roztopieniu został szlam. Nie zostawiła Valbecku za sobą, nie należał do jej przeszłości: był tu, teraz, wszędzie wokół niej. Podskakiwała na każdy szept, bała się każdego cienia, jakby nadal ukrywała się w kącie parnego pokoiku May, a na ulicach grasowały gangi. Kiedy wybielała piegi na nosie do stanu bladej doskonałości, czuła się tak, jakby wnętrzości wylewały jej się z rozprutego brzucha na podłogę. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć niewymuszonej pewności siebie, która dawniej była jej znakiem rozpoznawczym. Była oszustką, przebierańcem, obcą osobą we własnym życiu.

– Matko!

– Savine! Losowi niech będą dzięki, że jesteś cała i zdrowa!

– Dzięki należą się Pleczystym. Bez nich nie dałabym rady.

– Spodziewałam się, że od razu po przyjeździe przyjdiesz do mnie.

Na twarzy matki malował się znajomy grymas krytycznego nadąsania. Ona również, jak Savine, chciała udawać, że wszystko jest jak dawniej.

– Chciałam się najpierw odświeżyć. Czułam się tak, jakbym nie myła się od miesięcy.

Nadal zresztą nie czuła się czysta: bez względu na to, jak ostro się szorowała, niewytłumaczalny lęk czepiał się jej uparcie jak lepka druga skóra.

– Tak się o ciebie martwiliśmy... – Matka przytrzymała ją na odległość wyciągniętych rąk, żeby lepiej się jej przyjrzeć: właścicielka oceniająca szkody wyrządzone przez ogień w spalonym domu. – Biedactwo, jakaś ty chuda.

– Jedzenie... było niesmaczne. A potem nie było go w ogóle. – Savine parsknęła piskliwym śmiechem, chociaż nie było w tym niczego zabawnego. – Jedliśmy obierki z jarzyn. To wprost nie do wiary, jak szybko człowiek się uczy cieszyć z tego, że je dostał. Nasza sąsiadka próbowała gotować zupę na kleju do tapet. Nie wyszło to najlepiej. – Wzdrygnęła się. – Masz coś do picia? Potrzebuję... czegoś mocniejszego.

Wolałaby, żeby matka ją po prostu przytuliła, ale ponieważ między nimi było, jak było, zamiast tego musiała się napić.

– Dobrze wiesz, że nigdy nie odmawiam drinka z rana. – Matka otworzyła barek i zaczęła polewać. – Łagodzi trudy wyboistej drogi do popołudnia.

Podawała kieliszek Savine, która wychyliła go jednym haustem i od razu oddała.

Matka uniosła brew.

– Widzę, że naprawdę potrzebujesz tego złagodzenia.

– To było... – Łzy napłynęły Savine do oczu, gdy próbowała ująć wspomnienia w słowa. Czołganie się wśród chrzęstu maszynerii. Ucieczka przez obłąkane miasto. Kulenie się w cuchnącej ciemności. – To było...

– Teraz jesteś bezpieczna. – Matka podsunęła jej ponownie napełniony kieliszek.

Savine wyrwała się ze slumsów Valbecku i pociągnęła łyk trunku. Prawdę mówiąc, wolałaby żłopać prosto z karafki.

– Gdzie ojciec?

– Pracuje. Chociaż podejrzewam, że po prostu nie potrafiłby ci spojrzeć teraz w oczy. – Matka usiadła wśród szelestu spódnic, otarła strużkę wina ściekającą po zewnętrznej ściance jej kieliszka i oblizwała palec. – Potrafi bez mrugnięcia okiem zesłać

setkę więźniów do Anglandu, żeby tam zamarzli, ale kiedy zawiedzie twoje zaufanie, nie jest w stanie wstać z łóżka. Na pewno wkrótce do nas dołączy. Będzie chciał sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. – Zmierzyła córkę badawczym spojrzeniem ponad krawędzią kieliszka. – A jest wszystko w porządku?

– Oczywiście. – Chłupot kubła w czarnej wodzie, gryzący odór spalenizny w nozdrzach. – Chociaż... – Zgrzyt łańcucha pod ciężarem ciała fabrykanta powieszzonego w jego własnej tkalni. – Może trochę potrwać... – To uczucie, gdy jej mieczyk przeszył ciało tamtego człowieka. Prawie nie napotkał oporu. I ten wyraz jego twarzy. To zaskoczenie. – Potrzebuję trochę czasu... – Zgrzyt, chrzęst, trzask i krzyk, gdy ręka strażnika została wciągnięta w tryby. – Żeby się przystosować.

Opróżniła kieliszek. Znów otrząsnęła się z Valbecku i jeszcze raz przywołała wymuszony uśmiech na twarz.

– Mam... nowiny, matko.

– Ważniejsze niż ta, że żyjesz?

– Pod pewnymi względami tak.

Królowa Terez na pewno by tak uznała.

– Czy to coś złego? – Jej matka się skrzywiła.

– Nie, nie, to dobra wiadomość. – Tak przynajmniej myślała. – Nawet bardzo dobra. – Taką miała nadzieję. – Otrzymałam... propozycję małżeństwa.

– Znowu? Która to już?

– Tę zamierzam przyjąć.

Jaki inny mężczyzna mógłby być dla niej lepszy? Który mógłby jej zaoferować coś więcej?

Matka wytrzeszczyła oczy.

– A niech mnie wszyscy diabli... – Jednym haustem dopiła trunek. – Jesteś pewna? Zważywszy na to, co ostatnio przeszłaś...

– Tak, jestem pewna. – Była to jedyna rzecz, której naprawdę była pewna. – Moje ostatnie przeżycia tylko mnie w tym utwierdziły.

Orso był jedyną sensowną rzeczą w jej życiu. Im prędzej znów znajdzie się w jego ramionach, tym lepiej.

– Nie jestem przypadkiem za młoda, żeby mieć zamężną córkę? – Matka parsknęła śmiechem, podeszła do stołu i odkorkowała karafkę. – W takim razie... Mów, kto jest tym najszczęśliwszym skurczybykiem w całej Unii?

– Widzisz, w tym właśnie sęk. On jest...

– Czyżbyś zadurzyła się w kimś nieodpowiednim, Savine? – Wino zabułgotało w kieliszku. – Małżeństwo z osobą o niższym statusie nie jest najgorszą rzeczą, jaka może się człowiekowi przydarzyć w życiu, zapytaj swojego ojca...

– To księżę Orso!

Matka gwałtownie podniosła na nią wzrok i chociaż na chwilę zapomniała o trzymanym w dłoni kieliszku. Savine musiała przyznać, że jej wyznanie brzmi absurdalnie, niczym skrajnie nieprawdopodobny wyimek z jakiejś skrajnie nieprawdopodobnej fantazji. Odkaszlęła, wbiła wzrok w podłogę i jękając się, mówiła dalej:

– Wygląda na to, że... w przyszłości... zostanę królową Unii.

Musiała przyznać, że były to słowa miłe dla ucha. Być może oplatający jej wnętrzości wąż ambicji wcale nie zdechł podczas powstania, tylko po prostu je przespał, a teraz zwęszył wielką władzę i obudził się dwakroć bardziej głodny niż dawniej.

Tymczasem twarz jej matki przybrała wyjątkowo osobliwy wyraz. Z pewnością nie było na niej radości, nie było też zaskoczenia... Tak, to musiała być zgroza. Nic innego. Kieliszek zagrzechotał o blat, kiedy go odstawiła, jakby nie była w stanie dłużej dźwigać jego ciężaru.

– Powiedz, że żartujesz, Savine.

– Nie żartuję. Oświadczył mi się. Oczywiście szanująca się dama nie udziela odpowiedzi od razu, ale zamierzam się zgodzić...

– Nie! Savine, nie! On... zupełnie nie jest w twoim typie! To utracjusz. Niesławny nicpoń. Do tego pijak.

Ten pokaz hipokryzji odebrał Savine mowę. Matka złapała ją za rękę powyżej łokci, kurczowo zaciskając palce.

– Nie możesz za niego wyjść! Jemu chodzi tylko o twoje pieniądze, a tobie o jego pozycję. To nie jest fundament dla

małżeństwa, na pewno to rozumiesz...

Wykład o fundamentach małżeństwa? Z jej ust? Savine wyrwała się z uścisku.

– Nie chodzi o pieniądze ani pozycję. Wiem, że wszyscy mają go za głupca, ale się mylą. Będzie świetnym królem, jestem o tym przekonana. I cudownym mężem. Jestem pewna. Był przy mnie. Kiedy naprawdę go potrzebowałam, przeniósł dla mnie góry. Ludzie myślą, że brak mu charakteru, ale nie mają racji. Jestem tym, czego potrzebuje, tak jak on jest tym, czego ja potrzebuję. Mimo że do niedawna nie zdawałam sobie z tego sprawy. – Przy nim mogła czuć się bezpieczna, mogła stać się lepszym człowiekiem, tak jak to sobie obiecała. Przy nim mogła zapomnieć o potwornościach Valbecku i spojrzeć w przyszłość. Zachichotała po dziewczęcemu, zupełnie nie w swoim stylu. – Jesteśmy zakochani. – Na miłość losu, miała ochotę tańczyć po pokoju jak dziecko i wyśpiewywać swoją miłość. – Jesteśmy zakochani!

Zamiast ruszyć w tany, jej matka zbieleła jak ściana, osunęła się na krzesło i podniosła dłoń do ust.

– Co ja zrobiłam? – wyszeptała.

– Matko... Przerażasz mnie.

– Nie możesz wyjść za księcia Orso.

Savine przykucnęła przed nią i ujęła jej dłonie w swoje. Były zimne. Dłonie trupa.

– O nic się nie martw, Orso porozmawia z królową, porozmawia z królem... Od lat chcieli, żeby się ożenił, więc teraz z ulgą przyjmą wieść, że żeni się z żywym człowiekiem! A jeśli nie, to on ich przekona. Znam go. Ufam mu. Na pewno się...

– Nie możesz wyjść za księcia Orso.

– Wiem, że ma fatalną reputację, ale jest zupełnie inny, niż ludzie mówią. Kochamy się. Ma dobre serce. – Dobre serce? Paplała od rzeczy, ale nie potrafiła się powstrzymać. Z nerwów mówiła coraz szybciej i szybciej. – A ja mam dość rozsądku za nas oboje. My się naprawdę kochamy. Pomyśl, ile dobra będę mogła działać, jeśli tylko...

– Ty mnie nie słuchasz, Savine.

Matka podniosła na nią wzrok. Oczy miała wilgotne od łez, ale spojrzenie niezłomne. Nieprzejednane. Savine rzadko ją taką widywała.

– Nie możesz... wyjść za mąż... za księcia Orso – powtórzyła, cedząc słowa z surową precyzją.

– Co przede mną ukrywasz, matko?

Matka zacisnęła kurczowo powieki. Łza – czarna od tuszu – spłynęła jej po policzku.

– Orso jest twoim bratem.

– Jest moim... – Savine wybałuszyła oczy. Oblał ją zimny pot. – Czym jest?

Matka otworzyła zaczerwienione oczy. Teraz wydawała się zupełnie spokojna. Na chwilę zabrała rękę, a potem chwyciła dłoń Savine w swoje i mocno je ścisnęła.

– Zanim król... został królem... zanim ktokolwiek się spodziewał, że zostanie królem... coś nas... łączyło.

– Jak to coś was łączyło? – wyszeptała Savine.

Król zawsze traktował ją trochę dziwnie. Był taki... zaciekawiony. Taki zatroskany.

– Byliśmy kochankami. – Matka wzruszyła bezradnie ramionami. – A potem wszyscy się dowiedzieli, że jest bękartem króla Guslava, i kiedy sam został wybrany na króla, wybór żony podyktowały mu względy polityczne. Tyle że ja... byłam już w ciąży.

Savine nie mogła nabrać tchu. Kiedy ostatni raz widziała króla, na spotkaniu Towarzystwa Słonecznego, spojrzał na nią tak... tak smutno.

– To były niebezpieczne czasy – podjęła matka. – Gurkhulczycy najechali nasz kraj, lord Brock zbuntował się przeciw koronie, przyszłość monarchii zawisała na włosku. Żeby mnie chronić... i żeby chronić ciebie, twój ojciec... – matka skrzywiła się: to słowo nie pasowało już do arcylectora – ...zapropozował, że się ze mną ożeni.

Z zakłopotaniem przygryzła wargę, jak mała dziewczynka przyłapaną na kradzieży ciasteczek.

– Jestem królewskim bękartem? – Savine wyrwała rękę



z matczynego uścisku.

– Savine...

– Jestem pierdolonym królewskim bękartem, a mój ojciec wcale nie jest moim ojcem?

Wstała chwiejnie i zatoczyła się jak spoliczkowana.

– Proszę, wysłuchaj mnie...

Savine przycisnęła palce do skroni. Cała głowa jej pulsowała. Zdarła perukę i rzuciła ją w kąt.

– Jestem królewskim bękartem, mój ojciec nie jest moim ojcem, a ja ojebałam lachę własnemu bratu?! – wrzasnęła.

– Ciszej – syknęła matka, podrywając się z krzesła. – Nie podnoś głosu.

– Nie podnoś głosu, kurwa?! – Savine złapała się za szyję. – Porzygam się.

I rzeczywiście, niewiele brakowało: zgięła się w pół i tylko cudem zdołała powstrzymać gryzące, zalatujące winem łaskotanie w gardle.

– Przykro mi – mruknęła matka, poklepując ją po plecach, jakby to mogło cokolwiek pomóc. – Okropnie mi przykro. – Ujęła twarz córki w dłonie i odwróciła ją ku sobie. – Nikomu nie możesz powiedzieć. Nikomu. Zwłaszcza Orso.

– Coś muszę mu powiedzieć – szepnęła Savine.

– Po prostu powiedz „nie”. To będzie musiało wystarczyć.

## Z matką, przy kieliszku

– Kiedy ruszamy na Północ? – zapytał Żółtko.

Tunny spojrzał na niego z góry jak na stonogę, która przewróciła się na grzbiet i nie potrafiła obrócić się z powrotem.

– Nie słyszałeś?

Twarz Żółtka przybrała nijaki wyraz. Jego ulubiony.

– Nie słyszałem o czym?

Forest wypuścił nozdrzami dwie idealne strużki dymu. Równie wyśmienicie radził sobie z paleniem, jak z noszeniem futrzanej czapy i organizacją wojska.

– Nasz nowy lord gubernator Anglandu, Leo dan Brock, wygrał pojedynek ze Stourem Zmierzchnem, synem Czarnego Caldera, następcą tronu Północy i, jak twierdzą ludzie, przerażającym przeciwnikiem.

– Prawdziwy męski pojedynek, w północnym stylu! – Orso uderzył pięścią w stół. – Mężczyzna przeciwko mężczyźnie w kręgu złożonym z mężczyzn, krew na śniegu i cały ten kram. Można się domyślać, że krew też była mężczyzn.

– Chyba trochę za daleko na południe, żeby o tej porze roku leżał śnieg – wtrącił Tunny. – Ale nie za daleko na krew.

– Powiedzcie mi, że przy okazji roztrzaskano łeb temu przekłętemu durniowi – powiedział Żółtko.

– Mówi się, że odniósł widowiskowe rany – burknął Orso – ale jego czaszka pozostała nietknięta.

– Naprawdę nie ma sprawiedliwości na tym świecie – dodał Tunny.

– A to jakieś zaskoczenie?

– Z niewiadomych powodów nigdy nie tracę nadziei.

– To koniec wojny na Północy – powiedział Forest. – Uffrith wrócił do rąk Wilczarza i do Protektoratu, tak jak to było

wcześniej.

– Może odrobinę przypalony.

– Czyli co, Młody Lew zgarnął całą chwałę dla siebie? – jęknął Żółtko.

– Do niektórych chwała po prostu lgnie. – Orso zerknął na swoje ręce i obrócił je w zamyśleniu. – A z innych spływa.

– Jak woda po kaczcze – dorzuciła Hildi ze swojego miejsca na ławie.

– Zawsze odpychałem od siebie chwałę – zauważył Tunny – i niczego nie żałuję.

– Niczego nie żałujesz? – powiedział Orso. – A co powiesz o dwóch setkach ludzi, których zostawiliśmy na szubienicach przy drodze do Valbecku?

– To nie moja wina.

– Ani nie wina Waszej Wysokości – dodał Forest.

– Podejrzewam, że w pewnym kręgu przypisze mi się całkiem sporo winy.

Tunny wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że bogacze lubią cię jak nigdy dotąd. – To prawda, kulturalny tłum dobrze ubranych sympatyków księcia zebrał się u bram Adui, żeby go powitać. – I mogą wyrazić swoją miłość w policzalny sposób.

– Fakt – wtrącił Żółtko. – W końcu ile jest warta miłość biedaków?

– W rzeczy samej – powiedział Orso. – Wszyscy najlepsi królowie żywili skrajną pogardę wobec większości swoich poddanych.

Chciał, żeby jego sarkastyczna uwaga wypadła miażdżąco, ale Żółtko zdołał i to przegapić.

– Otóż to. To właśnie mówię.

\* \* \*

Królowa przysiadła sztywno na jednym ze swoich niewygodnych złoconych krzeseł pośrodku rozległego salonu.

W kącie czwórka uśmiechniętych promiennie muzyków rzępoliła kojącą melodię.

– Orso! Bohaterski zwycięzca! – Wstała, żeby go powitać, co było niemal bezprecedensowym zaszczytem, ucałowała go chłodno w policzek, a potem równie chłodno poklepała go w to samo miejsce. – Nigdy nie byłam z ciebie równie dumna.

– Obawiam się, że w tej kwestii nie umieściłem poprzeczki zbyt wysoko.

– Mimo wszystko.

Orso podszedł prosto do karafki i wyjął korek. Właściwie nie potrafił zrozumieć, po co w ogóle zamykać karafkę korkiem.

– Mimo to czuję, że nie mogę konkurować ze zwycięstwami Młodego Lwa.

Królowa Terez rozdęła władczo nozdrza.

– Wygrałeś, nie dobywając nawet miecza. Twój dziadek zawsze mawiał, że to najlepszy rodzaj triumfu. On też byłby z ciebie dumny.

Jeśli wierzyć przekazom historycznym, dziadek Orso i jego imiennik, wielki książę Orso z Talinsu, tyran Styrii, był darzony powszechną pogardą. Należało jednak pamiętać, że został pokonany, zdetronizowany i zamordowany, a tacy ludzie zwykle nie zapisują się dobrze w pamięci następnych pokoleń.

– Przechytryłem paru wieśniaków, skłaniając ich do złożenia broni, a potem ich powiesiłem – odpowiedział, nalewając sobie trunek. – Tak to opiszą książki historyczne.

– W książkach historycznych znajdzie się to, co każesz napisać historykom. Będziesz królem, Orso. Nie możesz myśleć o nielicznych, musisz brać pod uwagę interes ogółu. Mam nadzieję, że ten epizod przynajmniej na jakiś czas ugasił twoje pragnienie chwały.

– Myślę, że ugasił je raz na zawsze. Właściwie... Zastanawiałem się nad swoimi obowiązkami dynastycznymi. Nad małżeństwem, rozumiesz.

Królowa obróciła gwałtownie głowę w jego stronę, jak sokół, który spostrzegł nornika w paprociach.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

Pstryknęła palcami.

– Najstarsza córka księcia Nicante lada moment osiągnie pełnoletność, a jej rodzina jest wręcz nieprzyzwoicie płodna. Podobno ma cudownie łagodny temperament...

Orso się zaśmiał.

– Nie jestem pewien, czy łagodność jest w moim guście.

– Czyli masz jakieś preferencje?

– Owszem.

Prawdę mówiąc, istniała dla niego tylko jedna kobieta, reszta się nie liczyła. Kiedy tylko ujrzał ją w swoim namiocie, wiedział, że jest beznadziejnie zakochany. Ta godność. Ten heroizm. Ta nieustraszoność, mimo wszystkiego, przez co przeszła. Nie potrzebowała klejnotów, pudrów, peruk. Była piękna i bez nich. Wiedział, że na nią nie zasłużył, ale pragnął na nią zasłużyć i jeśli będzie ciężko pracował, to może kiedyś rzeczywiście zasłuży. Czy coś w tym guście. Na zewnątrz panowała paskudna pogoda, deszcz uderzał o wielkie okna, podmuchy wiatru rozrzucały brązowe liście po pałacowych ogrodach, ale kiedy Orso myślał o Savine, to zupełnie jakby słońce wychodziło zza chmur i oblewało go swoim ciepłem.

Matka spostrzegła jego błogi uśmiech i zmrużyła oczy.

– Dlaczego mam przeczucie, że już masz na myśli konkretną damę?

– Dlatego że nie myślę o niczym poza tą konkretną damą.

Królowa nie będzie zachwycona. Jednakże nadchodzi taka chwila w życiu każdego mężczyzny, kiedy musi odsunąć na bok zdanie matki. Wziął głęboki wdech i pochylił się na krześle.

– Matko...

Przerwało mu pukanie do drzwi, które zaraz uchyliły się i w szparze pojawiła się głowa Hildi. Po omacku zdjęła czapkę, odsłaniając jasne włosy – z jakiegoś powodu ścięte tak krótko, że został z nich tylko meszek na czaszce.

– Mam wiadomość, na którą Wasza Wysokość czekał.

Pokazała list, złożoną kartkę papieru z białą pieczęcią. Taki drobiazg, a skrywał wszystkie marzenia Orso.

– Tak, tak! – warknął, prawie zrywając się w podnieceniu z krzesła. – Wejdz, no wejdzże!

Miał wrażenie, że Hildi przez całą wieczność drepcze nerwowo przez rozległą połąć lśniącej posadzki. Potem jeszcze przystanąła, żeby chwycić dygnąć przed królową.

– Wasza Wysokość...

– Mniejsza z tym! – warknął Orso, wyrywając jej list z ręki.

Nie pamiętał, żeby do czegośkolwiek tak się rwał w swoim życiu. Zmagał się chwilę z pieczęcią, dłonie miał niezręczne, jakby nosił rękawiczki z jednym palcem, w końcu z pośpiechu rozerwał papier. Serce biło mu jak szalone. Z nerwów wzrok mu się mglił. List był krótki, więc to musiała być zgoda. To na pewno była zgoda. Co innego mogła napisać?

Zamknął oczy, skupił się na kojącej muzyce, odetchnął głęboko, wziął się w garść i przeczytał:

*Moja odpowiedź musi być odmowna. Proszę, żebyś się więcej ze mną nie kontaktował. Nigdy więcej.*

*Savine.*

To było wszystko.

W pierwszej chwili był tak zaszokowany, że nie uwierzył. Czy mogła go odrzucić? Jak mogła go odrzucić? Był taki przekonany, że oboje chcą tego samego.

Przeczytał list ponownie. A potem po raz trzeci.

„Moja odpowiedź musi być odmowna”.

I teraz przeszyła go rozpalona do białości furia. Czy musiała załatwić to w tak brutalny sposób? Tak bezlitosny? Listem? Jedną linijką? Zaoferował jej wszystko, co miał, wszystko, czym był, a ona skopała go po brzuchu, wypruła mu flaki i podeptała mu fiuta.

Zmiał list drżącą dłonią.

– Złe wiadomości? – zapytała matka.

– Nic, czym należałoby się martwić. – Jakimś cudem zdołał odpowiedzieć swoim typowym, znudzonym tonem.

I teraz zalało go lodowate uczucie straty. Tak po prostu

wszystkie jego marzenia obróciły się w pył. Ten list nie zostawiał żadnej nadziei. Żadnego miejsca na nakłanianie nawet przez tak wprawnego w nakłanianiu ludzi człowieka jak on. „Proszę, żebyś się więcej ze mną nie kontaktował. Nigdy więcej”. Nie będzie drugiej kobiety, która zrozumie go tak dobrze jak ona. Nie będzie drugiej takiej kobiety jak ona. Nigdy dotąd nie wydawała się równie oszałamiająco ponętna jak teraz, kiedy nie mógł już jej mieć.

– Czy książę odpowie? – zapytała Hildi, marszcząc czoło.

– Nie – wykrztusił. – Nie będzie odpowiedzi.

Jak mógł na coś takiego odpowiedzieć?

Teraz napłynęła powoli wzbierająca nienawiść do siebie, wezbrana powódź najgłębszej odrazy. To przynajmniej było coś znajomego. Kiedy plugawe wody zamknęły się nad jego głową, nawet nie stawiał oporu. Bo i po co? Był taki pewien, że właśnie tego chce, że prawie nie zastanawiał się nad jej pragnieniami. Wszyscy przecież powtarzali, że jest niesłychanym egocentrykiem: żadna niespodzianka, że ogół miał rację. Dlaczego kobieta taka jak ona miałaby chcieć takiego mężczyznę jak on? Dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby go chcieć? Pomijając koronę, parę kiepskich żartów i gównianą reputację, co mógł jeszcze zaoferować?

– Musimy zaplanować dla ciebie ogromną uroczystość! – Oczy jego matki zabłysły na myśl, że wreszcie pokaże światu, że od początku miała rację. – Cały kraj będzie świadkiem rehabilitacji naszej rodziny. Już ja tego dopilnuję.

Orso pogrążył się w bagnie depresji. Savine była nadciągającym świtem, lecz w tej chwili słońce zgasło i książę zatonął w wiecznej ciemności. Patrzył, jak za oknem deszcz staje się coraz bardziej ulewny. Stracił nie tylko ją, ale i lepszego człowieka, jakim mógł się przy niej stać, lepszą Unię, jaką mogli razem wykuć. Poczł, jak wędnie, roztapia się na krześle i garbi. Ledwie miał siłę, żeby podnieść głowę. Ledwie miał siłę, żeby oddychać.

Spróbował być kimś – ale zaczął za późno i nie dość się przyłożył. Skutkiem było dwieście trupów na szubienicach przy

drodze do Valbecku i zdawkowy list z odmową.

– A potem zaplanujemy ślub. Kiedy tylko znajdziemy kogoś w twoim guście.

Po co zadawał sobie trud? Po co czymkolwiek zawracał sobie głowę?

Opróżnił kieliszek. Najlepsze ospryjskie wino, a smakowało jak trociny.

Orso westchnął ciężko. Nawet to westchnienie sprawiło mu ból.

Chciało mu się płakać.

– Nalej mi jeszcze, dobrze? – mruknął.



# Pytania

– To ja – powiedział Łój z typowym dla siebie talentem do oznajmiania oczywistości.

Vick wiedziała, że to on. Niewiele osób ją odwiedzało.

Złapała go za ramię i przepuściła obok siebie do wąskiego przedpokoju. Niewiele było tam miejsca, ale po Valbecku Vick była jeszcze bardziej wymizerowana niż zwykle, a Łój zawsze był chudy jak szczapa. Rozejrzała się po słabo oświetlonym zewnętrznym dziedzińcu: nawyk z czasów obozów, który nadal podtrzymywała. Nikt nie patrzył. Słysząc było jedynie kapanie z zepsutej rynny wysoko w górze.

– U ciebie wszystko w porządku? – zapytała Łoja, zamykając ramieniem drzwi i zasuwając obie ciężkie zasuwki.

– To ty ugrzęzłaś w mieście – odparł.

– O mnie się nie martw.

– Pewnie – powiedział, uśmiechając się smutno do własnych butów. – Jesteś wyrzeźbiona z drewna. Nic cię nie rusza.

Z każdym spotkaniem coraz bardziej przypominał jej brata. A może to jej wspomnienia się zmieniały i upodabniały brata do Łoja. Może dzięki temu tym razem zdołałaby go uratować. Czy to nie żałosne? Pamięć może cię zdradzić, wiedziała to setki razy. Okrawa wspomnienia tak długo, aż zaczną ci lepiej pasować. Cały czas trzeba się mieć na baczności. Pilnować się przed wszystkimi. Przed samym sobą.

Odwróciła się, pilnując, żeby Łój nie wychwycił żadnej wskazówki na temat jej myśli. Okaż im słabość, a znajdą sposób, żeby ją wykorzystać.

– Widujesz siostrę? – spytała, prowadząc go z ciasnego przedpokoju do ciasnej jadalni.

– Widziałem się z nią.

– Dobrze się miewa?

Łój skinął głową w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Tak, ale nie dzięki tobie”. A może to tylko ona tak pomyślała. Odciągnęła stopą krzesło i Łój na nim usiadł. Udało mu się przy tym nie potrącić planszy do kwadratów, co nawet przy jego chudości nie było łatwe.

– Co to takiego?

Z dziwnym rozdrażnieniem zdała sobie sprawę, że Łój patrzy na należącą niegdyś do Sibalta książkę *Żywot Daba Słodkiego*, otwartą na stronie, na której zawsze się otwierała: na sztychu przedstawiającym samotnego jeźdźca patrzącego na bezkres traw pod bezkresem nieba.

Fakt, że ktoś inny ogląda tę ilustrację, był zdecydowanie nieprzyjemny. Jakby ktoś zaglądał jej do głowy, zgłębiał jej sekretne marzenia.

– To Daleka Kraina – powiedziała cicho.

– Ładna.

Powinna była wyrzucić tę przekłętą książkę. Wyciągnęła rękę i ją zatrzasnęła.

– To zmyślony rysunek w książce pełnej kłamstw. – Rzuciła ją na zakurzony parapet.

Łój skurczył się, chowając głowę w ramionach.

– Pewnie tak.

Zrobiło jej się wtedy trochę przykro, że tak na niego warknęła.

– Zjesz coś? – burknęła.

Tak się człowiek powinien zachować, mając gościa. Nawet takiego, który nie przyszedł z własnej woli.

– A co masz?

Zastanowiła się.

– Nic.

– To poproszę podwójną miarkę. – Łój rozejrzał się po wąskim, pustym mieszkaniu, po ścianach z plamami od wilgoci, po brudnych oknach. – To dla czegoś takiego to robisz?

– Co?

– Wszystko.

Uniósł ręce i opuścił je smętnym gestem. W gruncie rzeczy miał trochę racji, mieszkanie nie prezentowało się zbyt imponująco. Vick przebywała tu tylko wtedy, gdy nie miała dokąd pójść.

– Byłbyś szczęśliwszy, gdybym żyła jak królowa?

– Przynajmniej bym to rozumiał. – Pochylił się ku niej ponad wąskim stołem. Gdyby pochyliła się tak samo, zderzyliby się głowami. – Powiesili dwustu ludzi, wiesz? Z powodu tego, co zrobiliśmy.

– Dwustu zdrajców. – Wskazującym palcem dźgnęła blat stołu. – Z powodu tego, co oni zrobili. Ilu ludzi zginęło w czasie tego idiotycznego powstania? Nie oszukuj się, że ktoś w tym sporze miał rację, a ktoś inny jej nie miał. Wybraliśmy jedyną właściwą drogę. Możesz żałować, ile zechcesz. Ja nie zamierzam! – Zdała sobie sprawę, że Łój odchylił się na krzesło, a ona pochyła się i prawie krzyczy. Zniżyła głos. Nie chciała, żeby brzmiało to jak zaciekle zaprzeczanie, a bardziej jak stwierdzenie faktu. – Ja nie zamierzam. Masz.

Wyjęła z kieszeni monetę i z brzękiem położyła ją między nimi na stole. Głowa Jezala I patrzyła chmurnie ze świeżo wybitych złotych dwudziestu marek.

– Za co to?

– Dobrze się sprawiłeś w Valbecku. Szybko działałeś. Wykazałeś się inicjatywą.

– Po prostu zrobiłem to, co mi kazałaś.

– I dobrze się przy tym spisałeś.

Wpatrywał się w złotą monetę.

– Nie mogę powiedzieć, żebym czuł się szczególnie dumny z siebie.

– Mnie interesuje to, co robisz; jak się z tym czujesz, to już twoja sprawa. Możesz nie brać tej monety, jeśli to cię tak boli.

Przełknął ślinę, jego ostro zarysowana grdyka poruszyła się gwałtownie. Wyciągnął rękę i zgarnął monetę ze stołu.

Wiedziała, że to robi. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Ależ był podobny do jej brata.

– Nie wszyscy jesteśmy wyrzeźbieni z drewna – burknął.

– Kwestia czasu – odparła. – Też taki będziesz.

\* \* \*

– Inkwizytorka Teufel! – Głokta uśmiechnął się, jakby jej wizyta była cudowną niespodzianką, a nie spotkaniem, którego zażądał i którego ona nie mogła odmówić. Poklepał ławkę obok siebie. – Proszę siadać.

Siadanie blisko innych ludzi zawsze ją krępowało, ale przecież w obozach sypiała obok nieznanym. Leżeli upakowani ciasno na cuchnącej słomie jak prosiaki z jednego miotu. Lepsze to niż zamarznąć.

Lepsze to niż obrazić Jego Eminencję.

Usiadła, patrząc na park, i opatulila się płaszczem. Był słoneczny, rześki dzień, od czasu do czasu podmuchy wiatru sprawiały, że powierzchnia jeziora marszczyła się i z drzew spadały tumany liści, które wirowały wokół czarnych butów czujnych praktyków.

– Miałem zwyczaj spędzać kiedyś mnóstwo czasu na tej właśnie ławce. – Głokta mrużył oczy oślepienie jesiennym słońcem. – Po prostu patrzyłem na wodę. Moi medycy twierdzą, że powinienem spędzać więcej czasu na słońcu.

– To bardzo... kojące miejsce – powiedziała Vick. Rozmówki towarzyskie nigdy nie były jej mocną stroną.

– Tak jakby którekolwiek z nas miało czas na odpoczynek, zanim spocznie w grobie. – Głokta posłał jej swój posępny uśmiech. – Doskonale się pani spisała w Valbecku. Wykazała się pani przytomnością umysłu, odwagą i lojalnością. Superior Pike był pod wrażeniem, a niełatwo zrobić na nim wrażenie.

Uwagi Vick nie umknął fakt, że arcylektor komplementuje ją w taki sam sposób, w jaki ona dopiero co pochwaliła Łoja. Niektórych ludzi łapiasz na haczyk poprzez przekonanie ich, że cię potrzebują, ale często lepiej jest zasugerować, że to ty ich potrzebujesz. Ludzie chcą mieć dobre zdanie na swój temat. Chcą się czuć potrzebni.

Vick zastanawiała się, czy już dała się złapać. Dawno temu.

Skwitowała to prostym:

– Dziękuję, Eminencjo.

– Coraz bardziej na pani polegam. Czuję, że jest pani jedyną osobą, której mogę całkowicie zaufać.

Zastanawiała się, ilu innym ludziom arcylektor wstawiał tę samą gadkę. Myśl, że mógłby komukolwiek całkowicie zaufać, była jak przesłodzony deser, ale postanowiła tego nie komentować. Niech oboje wierzą, że oboje w to wierzą.

– Zasłużyła pani na nagrodę – dodał. – Czy czegoś pani potrzeba?

Vick nie lubiła nagród. Nawet zasłużonych. Za bardzo przypominały dług, które, być może, przyjdzie jej kiedyś spłacić. Przeszło jej przez myśl, żeby odpowiedzieć „Chcę tylko służyć”, albo rzucić jakąś inną patriotyczną bzdurę, ale to też byłoby jak przesłodzenie deseru. Odpowiedziała więc jedynie:

– Nie.

– Proszę mi chociaż pozwolić znaleźć pani lepsze lokum.

– A co złego jest w obecnym?

– Doskonale wiem, co w nim złego. Sam tam kiedyś mieszkałem, kiedy służyłem mojemu poprzednikowi, arcylektorowi Sultowi.

– Mnie wystarcza.

– Wystarczało i mnie, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zamieszkać w lepszym miejscu. Są ludzie, którzy dostają znacznie więcej, choć robią o wiele mniej.

– To ich sprawa.

Uśmiechnął się, jakby doskonale wiedział, co Vick sobie myśli. Jakby wręcz się tego spodziewał.

– Może czuje pani, że jeśli nie przyjmie nagrody za swoją pracę, to będzie tak, jakby jej pani nie wykonała? Przecież oboje wiemy, że wykonała pani swoje zadanie.

– Przeniosę się do nowego lokum, kiedy moja praca naprawdę będzie skończona, Eminencjo. – Obserwowała ogrodnika grabiącego liście i wrzucającego je na taczki. Niewdzięczne zadanie, bo każdy podmuch zwiewał kolejne

liście na już oczyszczoną ścieżkę. – Sprawy w Valbecku mogły się potoczyć o wiele lepiej. Risinau uciekł. Sędzia również. On może okazać się niebezpieczny, ona z całą pewnością jest niebezpieczna. Wielu innych opuściło miasto przed przybyciem księcia, a ja wątpię, żeby skutki powstania zniechęciły ich do tej ich Wielkiej Zmiany.

– Ja również. Destruktorzy zostali... zniszczeni... tylko na pewien czas.

– Risinau to spasiony marzyciel. Wątpię, żeby sam przygotował powstanie.

– Jestem skłonny się zgodzić. – Arcylektor obrzucił park spojrzeniem zmrużonych oczu i z ostrożności zniżył nieco głos. – Zaczynam jednak podejrzewać, że korzenie naszego problemu mogą znajdować się na drugim końcu drabiny społecznej.

Przeniósł znacząco spojrzenie w bok, na złoconą kopułę Rotundy Lordów błyszczącą ponad drzewami.

– Arystokraci?

– Obciążeni wysokimi podatkami z powodu królewskich wojen w Styrii. – Głokta prawie nie poruszał wąskimi wargami, gdy mówił. – Domagali się reform, rekompensat, zajęli znaczne połacie wspólnych ziem, wielu z nich nieźle wypchało sobie kieszenie. Mimo to Otwarta Rada podpisała niedawno list protestacyjny do króla.

– Na co się skarżą?

– Na to co zwykle. Mają za mało władzy. Za mało pieniędzy.

– A czego zażądali?

– Tego co zwykle. Więcej pieniędzy. Więcej władzy.

– Podejrzewa pan sygnatariuszy tego listu?

– Zdecydowanie. – Głokta sięgnął chusteczką, żeby osuszyć łzawiące oko. – Ale jeszcze bardziej podejrzewam tych, którzy go nie podpisali.

– Nazwiska, Wasza Eminencjo?

– Brocków mogę wyłączyć, bo byli dość zajęci na Północy. Jednakże młodzi lordowie Heugen, Barezin i nade wszystko Isher zdecydowanie za dużo się uśmiechają. Przegrali, kiedy wybierano króla, w każdym razie przegrali wówczas ich

ojcowie. Chowają największe urazy, a w ogóle się nie skarżą.

– Myśli pan, że jeden z nich może stać za powstaniem?

– W naturze mężczyzn, zwłaszcza ambitnych, jest niezadowolenie. Zadowoleni mnie niepokoją. W szczególności Isher jest cwany. Był zaangażowany w stworzenie tych nowych zasad dotyczących podziału ziem i nadzwyczajnie się na tym wzbogacił.

– Kłopoty na obu końcach drabiny społecznej – mruknęła Vick. – Niespokojne czasy.

Glokta patrzył na ogrodnika usiłującego uprzętnąć trawnik, którego nie dało się uprzętnąć.

– Jak zawsze.

# Cywilizacja

Pokład skrzypiał pod stopami Rikke, żagle trzepotały na wietrze, rozwrzeszczane morskie ptaki krążyły w słonym powietrzu.

– Na pamięć poległych! – mruknęła.

Miasto było rozległym półkolem kremowej barwy, rozciągającym się wzdłuż szaro-zielonej, smaganej wiatrem zatoki: masa murów, mostów i niekończących się budynków zeskorupiałych razem jak pąkle widoczne podczas odpływu, wśród nich słabo połyskujące rzeki i kanały. Ponad nimi wznosiły się wieże i ogromne, wysokie jak wieże kominy, z których brązowy dym rozmazywał się na niebie.

Słyszała, że miasto jest wielkie. Wszyscy to powtarzali. Gdy ktoś wybrał się do Adui, to wracał do domu, drapiąc się po głowie i powtarzając „To wielkie miasto”, ale nigdy nie spodziewała się, że będzie aż tak wielkie. Zmieściłoby się w nim sto Uffrithów i jeszcze zostałyby miejsce na sto Carleonów. Nie była w stanie ogarnąć tej skali, liczby budynków, statków, ludzi rojących się jak mrówki na mrowisku. Na tysiącach mrowisk. Na samą myśl o tym w głowie jej się kręciło. A właściwie kręciło jej się jeszcze bardziej. Spojrzała na pokład i rozmasowała skronie. I bez tego czuła się dostatecznie nieważna.

– Na pamięć poległych... – mruknęła znowu, wydymając policzki.

– Adua – powiedział stojący obok niej krępy mężczyzna o krzaczastych brwiach, krótkiej siwej brodzie i łysej głowie, która wyglądała jak wykuta z żelaza na kowadle: cała składała się z płaszczyzn i gruzłów. – Środek świata. Poeci nazywają ją Miastem Białych Wież, chociaż ostatnimi czasy wieże są raczej szaro-brązowe. Z daleka wygląda pięknie, prawda? – Pochylił



się. – Uwierz mi, z bliska cuchnie.

– Jak większość rzeczy – mruknęła Rikke, patrząc chmurnie na Leo.

Młody Lew szczyrzył zęby, patrząc pod wiatr. Stał w towarzystwie beztroskich przyjaciół: przekłete młode chłopaki, przekłeci młodzi bohaterowie, przekłete młode durne pały.

Rikke zlizwała sok chaggi z dziąseł i splunęła nim we wzburzoną wodę.

Myślała o wszystkim, co mogła mu powiedzieć, o perełkach mądrości, jakich nigdy nie usłyszy od tych idiotów. Zginąłby w kręgu, gdyby nie jej długie oko, a traktował ją tak, jakby się jej wstydział.

Pracowała nad tym, żeby rozgniewać się należycie, wtedy jednak Leo odchylił głowę i roześmiał się – otwarcie, szczerze i serdecznie, jak to on, i Rikke ogarnął jedynie smutek, że się pokłócili, zazdrość, że nie śmieje się teraz razem z nią, a także rozczarowanie nim, sobą i całym światem. Prawda była taka, że diabelnie za nim tęskniła, ale prędzej ją szlag trafi, niż będzie go przepraszać. To on powinien ją przeprosić, i to na kolanach. Tylko jak można nienawidzić mężczyzny z tyłkiem jak...

Zerknęła w jej stronę. Odwróciła wzrok. Gdyby przyłapała ją na tym, że się na niego gapi, to w pewnym sensie zdobyłby punkt. Niestety odwrócenie wzroku od Leo oznaczało, że spojrzała na łysego łajdaka, który przyglądał jej się tak, jakby wydała mu się całkiem interesująca.

– A kim ty właściwie jesteś? – spytała. Niezbyt grzecznie, ale nieudany romans, nieustannie piekące i szczypiące oko oraz tydzień albo dwa choroby morskiej pozbawiły ją cierpliwości.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. To był wygłodniały uśmiech lisa w kurniku.

– Nazywam się Bayaz.

– Jak Pierwszy Wśród Magów?

– Właśnie tak. To ja.

Rikke zamrugnęła. Może powinna mu przyłożyć za kłamanie. Jednak dostrzegła w jego błyszczących zielonych oczach coś, co

sprawiło, że mu uwierzyła.

– No proszę...

– A ty jesteś Rikke. Córka Wilczarza. – Popatrzyła na niego, a on odpowiedział uśmiechem. – Wiedza to korzeń władzy. W moim fachu trzeba wiedzieć, kto jest kim.

– Czym się zajmujesz?

Pochylił się do niej i niemal wysyczał to słowo:

– Wszystkim.

– Spory zakres odpowiedzialności.

– Czasem, muszę przyznać, myślę sobie, że należało mierzyć nieco niżej.

– Nie powinienes mieć kostura?

– Zostawiłem go w domu. Bez względu na to, jak duży kufer się weźmie, kostur nigdy się w nim nie mieści. A magia, jak wiesz, raczej... – zmrużył oczy w zamyśleniu, patrząc na miasto – ...wyszła ostatnio z mody.

– Mów za siebie – odparła. Przesunęła grudkę chaggi w ustach. – Ja zostałam pobłogosławiona długim okiem.

Przelotnie ujrzała ledwie widoczne widmo tonącego statku, maszty chylące się do przodu, kiedy zanurzał się w sztormowym morzu. Odchrząknęła, starając się ze wszystkich sił ignorować spadających w słone fale żeglarzy.

– Albo przekłeta – dodała.

– Fascynujące. Co widziałaś?

– Głównie frustrujące migawki. Duchy i cienie. Strzałę i miecz. Czarną czeluść w niebie zawierającą poznanie wszystkiego. Wilka pożerającego słońce i lwa pożerającego wilka, a potem jagnię pożerające lwa i wreszcie sowę pożerającą jagnię.

– Co to zwiastuje?

– Za chuja nie wiem.

– A co widzisz, kiedy patrzysz na mnie?

Zmarszczyła czoło, zerkając z ukosa.

– Człowieka, który mógłby częściej mówić prawdę i jeść mniej słodczy.

– No tak. – Oparł szeroką dłoń na brzuchu. – To ci dopiero

odkrycie.

Rikke uśmiechnęła się szeroko. Musiała przyznać, że zaczyna go lubić, nawet jeśli nie miała pojęcia, czy wierzy choćby w jedno jego słowo.

– Co sprowadza Pierwszego Wśród Magów do Adui?

– Stanowczo zbyt długo bawiłem na zachodzie świata, zajęty kłopotami natury rodzinnej. Moje nierozsądne rodzeństwo uwikłało się w przeszłość i pozostaje ślepe na przyszłość. Lubię jednak zaglądać do Adui, gdy tylko nadarzy się okazja. Próbuję się upewnić, że nikt nie niszczy tego, co zbudowałem. – Mrużąc oczy, patrzył na zatokę pełną statków najróżniejszych kształtów, rozmiarów i przeznaczenia. – Ludzka zdolność do szkodzenia sobie nie przestaje mnie zdumiewać. Ludzie uwielbiają znajdować sobie własną ścieżkę, nawet kiedy ewidentnie prowadzi na skraj urwiska. A Unia ma wielu wrogów.

Rikke uniosła brwi, patrząc na nieskończone miasto.

– Kto byłby na tyle głupi, żeby walczyć z czymś takim?

– Gurkhulczycy, zanim cesarstwo runęło jak niedosuszona beza. Bethod, wbrew moim radom. A potem Czarny Dow, znów wbrew moim radom. I Czarny Calder. Wbrew moim radom.

– Wygląda na to, że twoje rady nie są tak popularne, jak byś chciał – powiedziała Rikke, zerkając z ukosa na Bayaza.

Westchnął ciężko, rozczarowany jak guwernantka w Ostenhormie, kiedy próbowała wpoić Rikke dobre maniery.

– Ludziom trzeba czasem pozwalać na popełnianie błędów.

Ośloniła oczy przed pyłem wodnym, kiedy przecinali szaleńczy chaos statków i zbliżali się do rojnego portu. Słyszała odległy zgiełk nawoływań, turkot wozów i łoskot towarów na nabrzeżu.

– Ilu ludzi tu mieszka? – spytała szeptem.

– Tysiące. – Pierwszy Wśród Magów wzruszył ramionami. – Teraz może nawet miliony. Budują coraz wyżej i rozdymają miasto z każdym dniem. Adua przyćmiewa nawet dawne wspaniałe miasta swoją wielkością, jeśli nie splendorem. Żyją tu ludzie ze wszystkich zakątków Kręgu Świata. Ciemnoskórzy Kantycy, którzy uciekli przed chaosem panującym w Gurkhulu,

bladoskórzy Północni szukający pracy, ludzie ze Starego Cesarstwa pragnący zacząć od nowa, poszukiwacze przygód z nowego królestwa Styrii, kupcy z Tysiąca Wysp, ludzie z Suljuku i Thondu, gdzie czci się słońce. Więcej ich jest, niż można zliczyć: żyją, umierają, pracują, mnożą się, wspinają po drabinie, włączają jeden na drugiego. – Bayaz rozłożył szeroko ramiona, żeby objąć monstrualne, piękne, nieskończone miasto. – Witaj w cywilizacji!

\* \* \*

Jurand wpatrywał się w Aduę, mrużąc oczy oślepiane wodnym pyłem.

– Na miłość losu, ależ to miasto się rozrosło.

– Ogromnie – przytaknął Leo.

A jednak z jakiegoś powodu wydawało się mniejsze, niż kiedy ostatnio je odwiedzał. Wtedy był tylko wychowanym na wsi młodym synem lorda gubernatora. Dzisiaj wracał tu jako sam lord gubernator, który pokonał wielkiego wojownika, ocalił Protektorat i w pojedynkę zapewnił słynne zwycięstwo królowi.

Bez wątpienia Adua się rozrosła, ale on urósł jeszcze bardziej.

Złapał się na tym, że zerka w bok, tam gdzie zawsze zerkał, wbrew rozsądkowi. W stronę Rikke. Gdyby stała obok niego, mógłby wskazać jej wszystkie charakterystyczne budowle miasta: Mury Casamira i Arnaulta, Dom Stwórcy, kopułę Rotundy Lordów, Trzy Farmy z pióropuszcami dymów buchających z nowych fabryk. Mogliby razem się tym cieszyć, gdyby nie była taką nadąsaną, upartą jędzą. O mały włos nie zginął dla niej w kręgu, a ona traktowała go jak zdrajcę.

Usiłował żywić wobec niej pełne gorczy oburzenie, ale kiedy ją dostrzegł, wymachując rękami jak wariatka podczas rozmowy z jakimś łysym jegomościem, poczuł tylko smutek i wyrzuty sumienia, jakby zboczył z właściwej ścieżki i nie potrafił na nią wrócić. Prawda była taka, że diabelnie za nią tęsknił. Jeszcze nie tak dawno temu powiedziałby, że ją kocha,

i przynajmniej w połowie mówiłby szczerze. Jednak prędzej go szlag trafi, niż ją przeprosi. To ona powinna błagać o wybaczenie...

Zerknęła w jego stronę i ledwie zdążył odwrócić wzrok. Gdyby zobaczyła, że się na nią gapi, uznałaby to za małostkowe zwycięstwo. Wszystko w niej było takie małostkowe. Dlaczego nie mogła mu po prostu wybaczyć, żeby znowu mogło być po staremu?

– Wygląda na to, że wysłali komitet powitalny – powiedział Gławard, wskazując zatłoczone nabrzeże.

Leo ożywił się na te słowa. Przyzwoity tłum zebrał się na kei pod zielonym sztandarem ze złotym słońcem Unii i drugim, ze skrzyżowanymi młotami Anglandu. Uzbrojeni mężczyźni stali w idealnie równym szeregu, odziani w fioletowe peleryny korpusu rycerskiego. Gwardia honorowa przysłana przez samego króla! Na czele stał mężczyzna o króciutko obciętych siwych włosach, monstrualnie szerokich ramionach i jeszcze bardziej monstrualnej szyi.

Jurand wychylił się niebezpiecznie za burtę, żeby lepiej zobaczyć.

– Czy to jest... Bremer dan Gorst?

Leo zmrużył oczy, patrząc w tym samym kierunku, kiedy statek zbliżył się do portu, kapitan zaczął wykrzykiwać komendy, a załoga rzuciła się je wypełniać.

– Wiesz co... – powiedział i jeszcze bardziej się ożywił. – Myślę, że tak!

Kiedy trap uderzył ze zgrzytem o nabrzeże, Leo dopilnował, żeby nikt nie wyprzedził go przy zejściu na ląd. Nadal poruszał się o lasce, choćby po to, żeby przypomnieć wszystkim o heroicznie odniesionych ranach dla szlachetnej sprawy.

Mężczyzna z różową łysiną i ciężkim urzędowym łańcuchem na szyi ruszył w jego stronę. Jeden słabo zarysowany podbródek najwyraźniej mu nie wystarczał, bo zdecydował się zapuścić ich jeszcze kilka, rozlewających się na obsyty futrem kołnierz.

– Wasza Łaskawość, jestem lord szambelan Hoff, syn lorda szambelana Hoffa.

Zamilkł, jakby spodziewał się huraganu śmiechu. Śmiech się nie rozległ. Niewątpliwie istnienie biurokratów było taką samą przykrą koniecznością jak istnienie latryn, ale Leo nie musiał ich lubić. Zwłaszcza kiedy biurokracja stawała się rodzinnym interesem.

– A to jest...

– Bremer dan Gorst!

Teraz, rzecz jasna, będzie regularnie spotykał ważnych ludzi, ale poznanie bohatera z dzieciństwa było czymś szczególnym. Leo godzinami słuchał opowieści ojca o wyczynach tego człowieka podczas bitwy pod Osrungiem i chłonał łapczywie każde słowa. Słuchał, jak Gorst w pojedynkę przechylił szalę w walce na moście i przypuścił ostateczny atak na Bohaterów, wyrąbując sobie drogę wśród Północnych jak rzeźnik przez stado owiec.

– Widziałem cię kiedyś w pokazowej walce z trzema przeciwnikami jednocześnie – dodał.

Odsunął na bok lorda szambelana, żeby złapać rękę Bremera dan Gorsta, i przeżył paskudną niespodziankę. Ojciec zawsze mawiał, że można wiele się dowiedzieć o mężczyźnie na podstawie jego uścisku dłoni, a ręka Gorsta była szokująco wiotka i lepka.

– Nie doradzałbym czegoś takiego na polu bitwy. – Głos Gorsta był jeszcze bardziej zaskakujący niż uścisk jego dłoni.

Leo nie mógł uwierzyć, że tak potężna szyja może produkować tak kobiecy głosik.

– Obiło mi się o uszy, że jesteście spokrewnieni... – zagaił, kiedy dosiadali koni. – Kuzynowie piątego stopnia czy coś takiego.

Rzucił laskę Jurandowi. Niech go szlag trafi, jeśli pozwoli sobie wyglądać jak kaleka. Uparł się, żeby wciągnąć go na siodło mimo bólu w nodze, brzuchu, boku i ramieniu.

– Jak się miewa... twoja matka? – zabrzmiał osobliwy pisk Gorsta.

– Dobrze – odpowiedział zaskoczony Leo. – Cieszy się, że wojna się skończyła. Dowodziła, kiedy Północni zaatakowali. –

Pomyślał, w jakim świetle go to stawia. – Udzielała mi doskonałych rad.

– Zawsze miała nadzwyczaj przenikliwy umysł.

– Wiedziałem już wcześniej, że w Osrungu uratowałeś życie mojemu ojcu, uwielbiał o tym opowiadać. Nie miałem jednak pojęcia, że znasz moją matkę.

Gorst miał zboląłą minę.

– Byliśmy kiedyś... dobrymi przyjaciółmi.

– Rozumiem... – Leo wystarczająco już namartwił się uczuciami matki. Zmienił raptownie temat. – Chciałbym potrenować z tobą podczas pobytu w Adui, ale... obawiam się, że nie jestem w formie. Może mógłbym popatrzeć?

– Niestety, Wasza Łaskawość będzie bardzo zajęty. – Lord szambelan nieproszony wtrącił się do rozmowy. – Jego Wysokość niecierpliwie wyczekuje chwili, w której będzie mógł powitać Waszą Łaskawość.

– Cóż... oczywiście jestem do dyspozycji Jego Wysokości. – Leo szturchnął konia i ruszył stępa za dwoma chorążymi.

– Jak my wszyscy, Wasza Łaskawość. Jednakże w pierwszej kolejności to arcyilektor pragnie porozmawiać o pańskim triumfie.

– Od kiedy to inkwizycja organizuje parady?

Lord szambelan odchrząknął.

– Wasza Łaskawość przekona się, że w Adui niewiele się dzieje bez aprobaty arcyilektora Glokty.

\* \* \*

Jeden ze sztandarów niesionych przed wspaniałą kolumną wojska Młodego Lwa zaplątał się o sznur do prania, więc wszyscy musieli siedzieć w swoich pięknych siodłach i czekać, aż uda się go wyplątać. Leo był ledwie widoczny pośród stada przypochlebnych dupolizów. Nawet Jurand i Gławard zostali zepchnięci daleko w tył i z każdym zakrętem zostawali coraz dalej. Wyglądało na to, że nieszczerze uwielbienie nieznajomych

znaczy dla Leo więcej niż jego przyjaciele, rodzina czy ukochana. O ile Rikke nadal była jego ukochaną. O ile kiedykolwiek nią była.

Uniosła brwi, kiedy cała kolumna ciemnoskórych żołnierzy wymaszerowała z bocznej ulicy, niosąc złożone sztandary i opuszczone włócznie. Dopiero kiedy wóz przejechał przez nich na wylot, zdała sobie sprawę, że wcale ich tam nie było.

– Na pamięć poległych. – Przyłożyła rękę do lewego oka, rozpalonego, piekącego i bolącego tak, że wrażenie promieniowało aż do zębów.

– Nadal widzisz różne rzeczy? – mruknęła Isern, poruszając zuchwą i wesoło pogryzając chaggę. – Uznaj to za dowód, że księżyc cię wyróżnił, i ciesz się.

Rikke zatęskniła za czasami, kiedy ludzie uważali ją po prostu za wariatkę.

– Jeśli to jest wyróżnienie, to wolę żyć zwyczajnie.

– Cóż, wszyscy pragniemy tego, czego nie mamy.

– To wszystko? Myślałam, że jesteś tu po to, żeby mi pomóc z długim okiem.

– Powiedziałam, że zbadam, czy je masz, i obiecałam, że pomogę ci je otworzyć. Dla wszystkich, którzy byli obecni przy tamtej bitwie albo pojedynku, jest oczywiste, że twoje długie oko ma się dobrze i jest szeroko otwarte. – Isern wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Nigdy nie obiecywałam, że pomogę ci to diabelstwo zamknąć.

– Cudnie, kurwa, cudnie – mruknęła Rikke.

Ponagliła konia, żeby znaleźć trochę więcej przestrzeni, ale w tym przeklętym miejscu nie było to łatwe.

Na pamięć poległych, to powietrze. Duszne, lepkie i przesycone dziwnymi zapachami. Czowała drapanie w gardle i pieczenie w oczach, jakby gdzieś daleko szalał pożar. I ten hałas. Gwar tuzina języków, których nie знаła, nagabujących, wykrzykujących, kłócących się; wszyscy gdzieś się przepychali, jakby nieustannie byli już spóźnieni. Młoty podzwaniały, koła turkotały, ognie płonęły i było tego tyle, że dźwięki zlewały się w basowe dudnienie i buczenie w tle, od którego drżała ziemia.



Jakby samo miasto żyło, udręczone i rozgniewane, i desperacko pragnęło otrząsnąć się z tej plagi ludzkich wszy.

– Cały ten postęp – powiedział Bayaz, zerkając z aprobatą na rozległe place budowy po obu stronach drogi: niebosiężne dźwigi, pajęczyny lin i rusztowań, roje krzyczących robotników.

– Nie uwierzyłabyś, ile się zmieniło w tak krótkim czasie. Ta dzielnica nazywa się Trzy Farmy. Pamiętam czasy, kiedy to naprawdę były trzy farmy, i to położone daleko poza miejskimi murami! Miasto rozsadziło mury, postawiono nowe i te także zostały rozsadzone, a Trzy Farmy zostały tak zabudowane fabrykami, że ledwie zachował się tam kawałek trawy. Teraz wszystko jest tu z żelaza i kamienia.

Rikke patrzyła, jak jeden z koni przed nimi podnosi ogon i zostawia po sobie kilka kupek łajna. Gnój nadal zalegał na ulicach.

– Z żelaza i kamienia... – powtórzyła. – To dobrze?

Bayaz parsknął, jakby cała idea dobra była marnowaniem jego cennego czasu.

– To rzecz równie nieunikniona jak przypływ morza. Złoty przypływ przemysłu i handlu. Nic nie ogranicza tego, co można kupić i sprzedać. Ba, dopiero co minęliśmy sklepik, w którym sprzedawano jedynie mydło. Cały sklep. Z mydłem! Kiedy będziesz w moim wieku, nauczysz się płynąć z prądem.

– Hmm... Spodziewałabym się, że słynny czarnoksiężnik będzie jechał na przedzie, z waźniakami, a nie ugrzęźnie na tyłach wśród pospólstwa.

Bayaz się uśmiechnął. Pierwszy Wśród Magów był łajdakiem, którego niełatwo zirytować.

– Galion płynie na przedzie statku. Odważnie stawia czoło wiatrowi i falom, ryzykuje i zbiera chwałę. Jednakże to niezauważony przez nikogo ukryty na tyłach jegomość stoi u steru. – Uśmiechnął się w stronę przodu kolumny. – Żaden dowódca wart tego miana nie dowodzi z pierwszego szeregu.

– Oto słowa, którymi warto kierować się w życiu – mruknęła Rikke.

– Obawiam się, że na razie to ostatnia mądrość, jaką mogę

z tobą podzielić.

To powiedziawszy, Bayaz zatrzymał konia u stóp wspaniałych frontowych schodów ogromnego gmachu będącego połączeniem fortecy ze świątynią, z wysokimi filarami od frontu, bogato zdobionego rzeźbioną kamieniarką i zaopatrzonego w nadzwyczaj skromną liczbę okien.

– Co to za miejsce?

Niezbyt podobał jej się wygląd tego budynku. Mnóstwo poważnych ludzi wchodziło do niego i z niego wychodziło, omijając dobrze ubranego jegomościa z dokumentami zwieszającymi się w bezwładnej ręce i przedziwnym, przerażonym wyrazem twarzy.

– Szkoła czarnoksiężników? – spytała.

– Niezupełnie – odpowiedział Pierwszy Wśród Magów. – To bank.

– Pan Bayaz? – Całkiem zwyczajnie wyglądający mężczyzna podszedł i złapał uzdę konia czarnoksiężnika.

– Ach! To Yoru Sulfur, członek zakonu magów.

– Jestem Rikke – odpowiedziała. – Jak...

– A tak, tak, wiem – odparł z uśmiechem Sulfur – córka Wilczarza. Pobłogosławiona długim okiem.

Rikke ogarnęła po części satysfakcja, a po części podejrzliwość, że jej legenda tak bardzo ją wyprzedziła.

– Albo nim przekłeta.

– Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać później – powiedział Bayaz. – Młode kobiety z długim okiem to doprawdy rzadkość w ostatnich czasach.

– Niemal taka sama jak magowie – burknęła Rikke.

Sulfur uśmiechnął się szerzej, nie odrywając oczu od jej twarzy. Zdała sobie sprawę, że mają różne kolory – jedno było niebieskie, drugie zielone.

– My, relikty epoki magii, powinniśmy trzymać się razem.

– Nie widzę przeciwwskazań. Nie otacza mnie tłum wielbicieli.

– Na razie. – Bayaz zmrużył oczy, patrząc na nią raz jeszcze. Jak rzeźnik taksujący wzrokiem stado, który rozważa, co

oferować za nie pasterzowi. – Ale kto może powiedzieć, co przyniesie przyszłość?

– Rzeczywiście – mruknęła Rikke, odprowadzając wzrokiem wchodzących po schodach Bayaza i jego pomagiera o kręconych włosach. – To byłaby nie lada sztuczka.

Siedzący w siodle Dreszcz obracał pierścionek noszony na małym palcu i piorunował bank wzrokiem. Minę miał wyjątkowo pochmurną, nawet jak na niego.

– Co cię gryzie? – spytała Rikke.

Odwrócił się i splunął.

– Nigdy nie ufaj bankom.

\* \* \*

Mężczyzna, którego nazywano Kulasem, naczelny królewski oprawca, arcylektor Glokta, garbił się za ogromnym biurkiem zavalonym dokumentami. Marszczył czoło, gdy jeden po drugim podpisywał kolejne papiery – pewnie wyroki śmierci, wyobrażał sobie Leo. Bezkrwawe egzekucje wykonywane ruchem pióra.

Jego Eminencja kazał mu obraźliwie długo czekać, zanim wreszcie podniósł głowę, skrzywił się, pochylił, upuścił pióro do kałamarza i się uśmiechnął. Na wychudłej, woskowatej, wymizerowanej twarzy pożłobionej głębokimi zmarszczkami, gdzie w miejscu przednich zębów ziała pustka, uśmiech był równie boleśnie niepokojący, jak noga wygięta w kolanie w niewłaściwą stronę. Jeśli wewnętrzne zepsucie wyrażało się w zewnętrznej brzydocie – a Leo był przekonany, że tak właśnie jest – to arcylektor był gorszy od najgorszych rzeczy, jakie o nim mówiono. A mówiono niemało.

Arcylektor wyciągnął rękę.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Łaskawość, z trudem się podnoszę.

– Oczywiście. – Leo pokuśtykał do biurka, opierając się ciężko na lasce. – Sam nie jestem w tej chwili zbyt zrywny.

– Pan, jak ufam, dojdzie do siebie. – Obrzydliwy uśmiech Głokty stał się jeszcze szerszy. – W moim wypadku obawiam się, że nie ma już żadnej nadziei.

Wyglądał tak, jakby silniejszy wiatr mógł go podrzeć na strzępy, ale jego koścista dłoń o prawie przezroczystej skórze pokrytej wątrobowymi plamami miała daleko silniejszy chwyt niż wielkie łapsko Bremera dan Gorsta. Ojciec Leo zawsze mawiał, że można wiele się dowiedzieć o mężczyźnie na podstawie jego uścisku dłoni: chwyt tego starego kaleki był jak kowalskie kleszcze.

– Muszę pogratulować panu zwycięstwa – powiedział Głokta po tym, jak przyglądał się Leo przez dłuższą chwilę. – Wyświadczył pan koronie ogromną przysługę.

– Dziękuję, Eminencjo. – Któż miałby temu zaprzeczyć? – Nie dokonałem jednak tego sam. Mnóstwo dobrych ludzi zginęło. Wielu dobrych przyjaciół... nie żyje. A skarbiec Anglandu poniósł wielkie koszty. – Leo wyciągnął otrzymany od matki ciężki zwój. – Rada prowincji poprosiła, bym przedstawił doradcom Jego Wysokości rozliczenie kampanii. Zważywszy, że korona w żaden sposób nie pomogła nam podczas wojny, rada spodziewa się, ba, wręcz domaga się wsparcia finansowego po jej zakończeniu.

Leo ćwiczył tę mowę podczas podróży i był raczej zadowolony z tego, jak wypadła. Poradzi sobie z kwestiami biurokratycznymi nie gorzej od innych. Głokta jednak zerknął na zwój takim wzrokiem, jakby podsunęto mu końskie łajno, i podniósł wzrok na Leo.

– Za trzy dni będziemy świętować pańskie zwycięstwo triumfalną paradą, w której weźmie udział około czterech tysięcy żołnierzy, a także zagraniczni dygnitarze i członkowie obu Rad, Zamkniętej i Otwartej. Pochód zacznie się w pałacu, przejdzie przez miasto wokół murów Arnaulta i powróci na plac Marszałków. Tam Jego Wysokość wygłosi przemówienie do czołowych obywateli Unii i wręczy panu pamiątkowy miecz.

Leo nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– To brzmi... cudownie.

Jak coś żywcem wyjętego z chłopięcych marzeń.

– Książę Orso będzie panu towarzyszył – dodał Glokta.

– Słucham? – zdumiał się Leo i natychmiast zrzędł mu uśmiech.

Powieka arcylektora zatrzepotała i łza spłynęła mu po policzku. Otarł ją delikatnie palcem.

– Jego Wysokość sam niedawno odniósł wielkie zwycięstwo, zdławił powstanie w Valbecku...

– Powiesił paru wieśniaków. – Leo przez cały dzień był tak bardzo z siebie zadowolony, że ten nagły szok był podwójnym rozczarowaniem. – Trudno to porównywać!

– Istotnie, trudno – przyznał Glokta. – Jakkolwiek by na to patrzeć, on jest następcą tronu, a pan wnukiem zdrajcy. To z jego strony bardzo wspaniałomyślne, że dzieli się z panem swoją chwałą.

Leo poczuł mrowienie w twarzy, jakby go spoliczkowano. Bo rzeczywiście to był policzek, tyle że wymierzony w jego dumę, o wiele wrażliwszą niż jego ciało.

– Pokonałem Stoura Zmierzchuna w pojedynku! Darowałem mu życie!

– W zamian za co?

– Za to, że jego ojciec i stryj opuszczą nasze ziemie, a Protektorat Wilczarza przetrwa i będzie dalej strzegł Anglandu!

– Żadnych więcej ustępstw? – spytał Glokta, a jego oczy zabłyśły w głębokich, podkrążonych oczodołach. – Żadnych dalszych zapewnień?

Leo zdumiał się zaskoczony.

– No... Północnych obowiązuje kodeks honorowy.

– Nawet gdyby tak było, to pan nie pochodzi z Północy.

– Kodeks obowiązuje wszystkich wojowników! Gdziekolwiek się urodzili! A ja wychowałem się wśród Północnych! – Leo wykrzywił usta, obrzucając kalekę spojrzeniem od stóp do głów. – Pan tego nie zrozumie.

– Nie? A jak pan myśli, w jaki sposób zostałem okaleczony? Obawiam się, że kodeks honorowy nie jest wart papieru, na

którym go spisano. Mógł pan wziąć Stoura jako zakładnika. Mógł go pan dostarczyć królowi, żeby zapewnić nam dobre zachowanie Scale'a Żelaznorękiego w przyszłości. A tak zdobył pan jedynie jego słowo.

Leo nie był pewien, czy jest bardziej rozgniewany z powodu tego, że Glokta ewidentnie się myli, czy też dlatego że sam zaczął się zastanawiać, czy arcylektor nie ma jednak racji. Może w tych biurokratycznych sprawach chodziło o coś więcej, niż myślał.

– Wygrałem. – W jego głosie pojawiła się jękliwa nuta, tak samo jak wtedy, gdy skarżył się matce. – Pokonałem całą przekłętą Północ! I to bez ani jednego żołnierza z Adui. Ryzykowałem życie...

– Nie tylko własne życie, które może pan swobodnie narażać, lecz także interesy Unii, czego panu zdecydowanie robić nie wolno. Jestem skłonny okazać panu wspaniałomyślność, ale niektórzy nazwaliby to lekkomyślnością.

– Ale... – Leo nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Zdobyłem sobie przyjaciela w przyszłym Królu Północnych! Jestem żołnierzem, a nie, kurwa, dyplomatą!

– Musi pan być jednym i drugim. – Glokta był nieprzejednany. – Jest pan teraz lordem gubernatorem. Jednym z największych ludzi w Unii. Jednym z najważniejszych sług Jego Wysokości. Nie może już pan myśleć swoim mieczem. Wasza Łaskawość to rozumie?

Leo usiadł i zagapił się w przestrzeń, oniemiały wobec tego braku szacunku, tej niesprawiedliwości i skrajnej niewdzięczności. Daleko mu było do sympatii dla członków Zamkniętej Rady, kiedy przybył do Adui, ale wystarczyła jedna rozmowa z tym pokancerowanym gryzipiórką, żeby zaczęły budzić w nim najgłębszy wstręt.

– Kurwa, no... – szepnął w mowie Północnych. – Na pamięć poległych.

Arcylektor albo uznał to za wyraz zgody, albo po prostu udał, że tak zrobił.

– O ile mi wiadomo, teraz pragnąłby porozmawiać z panem lord kanclerz. Ostatnie rozliczenia podatków z Anglandu budzą

pewne wątpliwości. Lepiej nie kazać mu czekać. – Skinął na zwój i dopiero wtedy Leo zdał sobie sprawę, że cały czas ściska go w zaciśniętej pięści. – Może powinien pan jemu przedstawić swoje długi wojenne. – Wziął pióro i zsunął ze stosu kolejny dokument. – Najwyraźniej lord gubernator musi być wojownikiem, dyplomatą i na dodatek księgowym.

# Talent

Pleczysty nacisnął klamkę, otworzył drzwi powozu i z szacunkiem odsunął się na bok.

Savine spojrzała na niego, unosząc znacząco brew.

– No i?

– A tak. – Podał jej rękę. – Ehm... moja pani.

Pomógł jej wysiąść. Rabik szczyrzył zęby, siedząc na koźle, wniebowzięty nieporadnością Pleczystego.

Pleczysty uznał więc, że właśnie został stangretem. W końcu nosił liberię, jasnozieloną kurtkę z mosiężnymi guzikami, ładniejszą od mundurów, jakie większość oficerów nosiła w Styrii. I błyszczące nowe buty, które jednak trochę go piły. Czułby się jak skończony głupiec w tym paradnym stroju, gdyby nie było oczywiste, że wszyscy w promieniu stu kroków – nie wyłączając jego samego – będą się gapić wyłącznie na Savine.

Nadal nie mógł uwierzyć, że ta piękna, władcza kobieta to ta sama bezradna dziewczyna w łachmanach, która ukrywała się w pokoju jego córki. W tej chwili można było odnieść wrażenie, że wywodzi się z innego gatunku niż reszta żałosnego rodzaju ludzkiego. Jej toaleta – będąca arcydziełem w równym stopniu inżynierii, jak i krawiectwa – nadawała jej kształty, jakich nie miała żadna ludzka istota. Savine poruszała się z gracją linoskoczka, a zarazem wydawała się absolutnie nie do zatrzymania, jak galion na okręcie wojennym. Prostaczkowie stali i gapili się na nią, jakby jedna z boginek losu spadła z nieba i wybrała się na przechadzkę na plac budowy.

– Mam tu zostać? – mruknął Pleczysty.

Pomógł wysiąść Zuri, która, zręczna jak tancerka, bynajmniej tego nie potrzebowała. To pewnie ona powinna pomagać jemu.

– Nie, nie. – Trudno mu było uchwycić znaczenie jej



uśmiechu. – Byłoby miło, gdybyś nam towarzyszył.

W starych murach miejskich ział ogromny wyłom. Za rozchwierutaną masą rusztowań widać było sterty gruzu i dwa niebosiężne dźwigi. Wyburzono także kilka rzędów domów, na miejscu których powstawał teraz potężny rów. Mijały ich grupy półnagich mężczyzn z kilofami i łopatami, głośno tupiąc w rytm pomurukiwanych przez zaciśnięte zęby robotniczych przyśpiewek. Kobiety w brudnych sukienkach, z włosami klejącymi się do twarzy, ześlizgiwały się z brzegu i wdrapywały nań z powrotem z zawieszonymi na nosidłach wiadrami pełnymi błota. Na dnie wielkich wykopów roilo się od dzieci, uwalanych na szaro od stóp do głów. Bosymi stopami udeptywały glinę na ścianach rowu.

– Co to jest? – mruknął Pleczysty.

– To będzie kanał – wyjaśniła Zuri – którym towary będą wpływać do serca miasta. A także, rzecz jasna, z niego wypływać.

– Jakże udziały ma w nim pani Savine?

– Jedną piątą. A przynajmniej tyle powinna mieć. Jesteśmy tu, żeby tego dopilnować.

Przy wtórze stukotu obcasów weszli po schodach i przeszli przez szpaler urzędników. Skromne wnętrza kantorka niemal w całości wypełniali wielgachny, pulchny mężczyzna o rzadkich siwych włosach zaczesanych w poprzek łysiny oraz przyduże biurko pokryte zieloną skórą. Mężczyzna musiał się niebezpiecznie mocno pochylić nad biurkiem, żeby ucisnąć rękę Savine. Guziki jego kamizelki zostały przy tym poddane ciężkiej próbie.

– Witam, panie Kort – powiedziała Savine, kiedy Pleczysty zamknął drzwi.

– Pani Savine, ogromnie się cieszę, widząc panią w dobrym zdrowiu. – Kort posłał Pleczystemu nieco zatroskany uśmiech. Pleczysty go nie odwzajemnił. Zaczynał wyczuwać, że nie zabrano go tutaj po to, żeby się uśmiechał. – Wszyscy... bardzo się martwiliśmy.

– To ogromnie wzruszające – odparła Savine, pociągając po

kolei za palce rękawiczki, podczas gdy Zuri szybkim ruchem wyciągnęła długą jak sztylet szpilkę przytrzymującą jej kapelusz. – Jednak w interesach nie ma miejsca na sentymenty.

Zuri delikatnie obróciła kapelusik i zdjęła go z peruki Savine, która musiała kosztować więcej, niż Pleczysty był w stanie zarobić przez rok.

– Z wielką przyjemnością dostrzegam postępy prac nad kanałem.

Kort skrzywił się, zawahał i wreszcie pochylił, splatając dłonie.

– Nie da się tego wyrazić w łagodny sposób...

– To proszę wybrać brutalny, nie jestem ze szkła.

– Niestety, pani Savine, zostałem zobowiązany do... zawarcia nowego układu.

– A kto okazał się taki... układny?

– Pani Selest dan Heugen.

Wyraz twarzy Savine nie zmienił się ani na jotę, ale Pleczysty miał przeczucie, że sporo ją to kosztowało.

– Jej kuzyn był uprzejmy załatwić pewne pozwolenia...

– Zawarliśmy umowę, panie Kort.

– Owszem, ale... pani tu nie było, żeby jej dopełnić. Na szczęście lady Selest przejęła inicjatywę.

Savine się uśmiechnęła.

– I pan myśli, że może tak po prostu, bez pytania, pozwolić jej mnie zastąpić?

Kort poprawił się nerwowo na krześle.

– Dom bankowy Valint i Balk był uprzejmy wesprzeć ją finansowo, ona zaś z kolei wsparła mnie. Pani Savine, naprawdę nie miałem wyboru...

– Przez ostatni miesiąc żyłam jak pies. – Savine nadal się uśmiechała, ale teraz kryło się w tym uśmiechu coś oschłego. Coś bardzo ostrego. – I nie jest to przenośnia. Umierałam z głodu. Byłam brudna. Kryłam się w zakamarkach w obawie o swoje życie. To zmieniło moje spojrzenie na świat. Zrozumiałam, jak bardzo krusi jesteśmy my wszyscy. A potem zaangażowałam się w... romans, powiedzmy, romans, który

zakończył się w sposób dla mnie niesatysfakcjonujący. Absolutnie niesatysfakcjonujący.

– Z całego serca pani współczuję...

– Pańskie współczucie jest dla mnie głównie warte. – Savine podniosła drobinkę kurzu z rękawa i roztarła ją między palcem wskazującym i kciukiem. – To na pańskim kanale mi zależy. Na tym, co uzgodniliśmy. Nie chcę ani mniej, ani więcej.

– Cóż mogę rzec? – Kort rozłożył zakończone wielkimi dłońmi ręce. – Mój kanał nie jest już na sprzedaż.

W uśmiechu Savine było tyle ciepła, co w szczerzącej zęby nagiej czaszce. Ściągną wystąpiły jej na szyi, gdy wycedziła przez zęby:

– Rzecz w tym, że w interesach jest wiele z teatru. Tu chodzi o wiarę, jaką ludzie w panu pokładają. A wiara jest krucha. Na pewno oboje widzieliśmy to setki razy. W jednej chwili wydaje się odlana z żelaza, a w drugiej kruszy się jak piach. Nieszczęśliwe wypadki, jakie spotkały mnie w Valbecku, do głębi wstrząsnęły wiarą, jaką we mnie pokładano. Ludzie mnie obserwują. Oceniają.

– Pani Savine, zapewniam...

– Niech pan sobie daruje. Próbuję tylko wytłumaczyć panu, że bez względu na to, kim są pańscy sponsorzy, nie stać mnie na luksus, jakim byłoby pogodzenie się z faktem, że zostałam wydymana przez pana i Selest dan Heugen.

Zerknęła na Pleczystego, który pochwycił jej spojrzenie.

„Służba u dostojnej damy... Przynajmniej nie będzie żadnych kłopotów, prawda?” – zagadnęła go Liddy.

„Oczywiście”, odparł wtedy z uśmiechem. „Żadnych kłopotów”.

Teraz się nie uśmiechał.

Doskonale wiedział, czego chce Savine. Widział już ten wyraz oczu u mężczyzn, z którymi walczył ramię w ramię. U mężczyzn, na których trzeba było mieć baczenie. U mężczyzn, którzy budzili niepokój. Wiedział, że sam też ma taki sam wyraz oczu: szaleńczą radość, że w końcu do tego doszło.

Nie rozumiał interesów, umów ani kanałów. Rozumiał jednak

to spojrzenie. Aż za dobrze.

Dlatego złapał za krawędź biurka Korta i usunął je ze swojej drogi. Nie mógł go po prostu przesunąć, więc uniósł jedną stronę. Dokumenty, bibeloty, ozdobny nóż do listów – wszystko zsunęło się z zielonej skóry, kiedy biurko przechyliło się jak tonący statek, przez co Kort na krześle wydał się dziwnie odsłonięty. Wytrzeszczył oczy i ze strachu zacisnął pulchne kolana.

Pleczysty zdjął okulary, złożył je i schował do kieszeni kurtki. Biuro nagle rozmazało mu się przed oczami. Luźna deska zatrzeszczała pod jego nowym butem.

– Straciłam wiele rzeczy w Valbecku, panie Kort. – Głos Savine dobiegł jakby z wielkiej dali. – Kilka inwestycji, paru wspólników, przesłiczny pas do miecza i irytującą, lecz niezwykle kompetentną pokojówkę. Straciłam także cierpliwość.

Pleczysty podszedł do Korta tak blisko, że ich kolana się zetknęły. Kiedy pochylił się i oparł ręce na podłokietnikach krzesła, ich nosy dzieliło raptem kilka centymetrów. Znajdowali się dostatecznie blisko siebie, żeby na rozmytej twarzy Korta odmalowało się skrajne przerażenie.

– Jestem z pana niezadowolona – oznajmiła Savine – a jestem w nastroju do niszczenia rzeczy, z których nie jestem zadowolona. Niszczenia w takim stopniu, że nie da się już ich naprawić.

Pleczysty chwycił krzesło z taką siłą, że każda spoina w meblu aż jęknęła. Oddychał przez nos jak byk. Byk Pleczysty – tak go kiedyś przezywano. Zachowywał się tak, jakby ledwie nad sobą panował. Całkiem możliwe, że tak właśnie było.

– Nasza umowa nadal obowiązuje! – pisnął Kort, odwracając głowę i zaciskając kurczowo powieki. – Oczywiście, że obowiązuje! Jakże mogłoby być inaczej?

– Ach, to wyśmienita nowina!

Promienny ton Savine podziałał na Pleczystego tak, jakby ktoś cofnął dłoń zaciskającą mu się na gardle.

– To pani jest moim wymarzonym wspólnikiem w interesach, nikt inny! – bełkotał bez ładu i składu Kort. – Nasza umowa jest

jak wykuta z żelaza, zupełnie jak mój most...

– Pański most?

Kiedy Pleczysty zakładał okulary i zahaczał je o uszy, Kort posłał mu rozpaczliwy, drżący uśmiech.

– Nasz most.

– Cudownie. – Savine naciągnęła jedną rękawiczkę, a Zuri precyzyjnym ruchem założyła jej kapelusz na głowę i wsunęła szpilkę na miejsce. – Nie chciałabym przysyłać do pana samego pana Pleczystego. Kto wie, do czego mogłoby dojść, gdyby zabrakło mojego kojącego wpływu?

Pleczysty zamknął za sobą drzwi do biura; rozległ się cichy szcęk zamka. Dopiero kiedy zdjął dłoń z klamki, zdał sobie sprawę, że ręka mu się trzęsie.

Zuri pochyliła się ku jednemu z urzędników.

– Pan Kort potrzebuje pomocy przy ustawieniu biurka na miejsce.

Pleczysty miał wrażenie, że na zewnątrz jest za jasno, kiedy wśród zgiełku i gorączkowej krzątaniny szedł za Savine do powozu.

– Nie jestem stangretem, prawda? – mruknął.

– Wiele z tego, co robię, sprowadza się do dostrzegania u ludzi różnych talentów – odparła Savine, patrząc na trudzących się w wykopie robotników. – Twój talent zwrócił moją uwagę w tej samej chwili, w której uratowałeś mnie przed tamtymi ludźmi na barykadzie w Valbecku. Zatrudnienie cię w charakterze stangreta byłoby jak zatrudnienie wielkiego artysty do bielienia chałup. Ale czy nie czujesz się z tym lepiej? – Pochyliła się mocno ku niemu i szepnęła: – Bo ja z pewnością tak.

I odeszła posuwistym krokiem do powozu, jakby cały świat do niej należał.

– Ma pan do tego dar, panie Pleczysty.

Zuri wcisnęła mu coś w dłoń. Złotą monetę. Dwadzieścia marek. Więcej, niż dostawał za miesiąc pracy w browarze w Valbecku. Więcej, niż dostał za szturm w Musselii.

Spojrzał na Zuri.

– Wierzysz w boga, prawda?

– O tak. Zdecydowanie.

– Myślałem, że jest stanowczo przeciwny przemocy, zgadza się?

Uśmiechnęła się, zamknęła jego dłoń wokół monety, a potem poklepała ją czule.

– Gdyby był tak zdecydowanie jej przeciwny, to po co tworzyłby takich ludzi jak pan?

# Rozrywki

Leo czuł się nieco wyobcowany na własnym przyjęciu.

Urządzono je w Sali Lustrzanej, najbardziej niezwyklej komnacie w pałacu pełnym niesamowitych komnat. Posrebrzane visseryńskie szkło pokrywało każdą ścianę, żeby szeregi najbogatszych, najlepiej urodzonych i najpiękniejszych obywateli Unii wybiegały w każdym kierunku aż po mglistą dal.

Prezentacje ciągnęły się w nieskończoność. Musiał ścisnąć wilgotne dłonie i całować upudrowane policzki, aż usta mu spierzchły, a palce poobcierały się do krwi. Potop gratulacji, wyrazów podziwu i najlepszych życzeń. Atak długich nazwisk i doniosłych tytułów, rzadko słyszanych i natychmiast zapominanych.

Ambasador Tego czy Owego. Nadsekretnarz do Spraw Jakichś Tam. Siostrzenica lorda Jak-Mu-Tam. Jakiś stary, łysy zadufek, być może nazwany przez kogoś Pierwszym Wśród Magów, który wybełkotał jakiś magiczny nonsens na temat tego, że pokonanie żerców w kręgu solonego żelaza jest jak walka ze Stourem Zmierzchnem w kręgu trawy. Leo przypuszczał, że miał to być żart, który jednak wypadł niezbyt zabawnie. Policzki go bolały od odwzajemniania promiennych uśmiechów i obietnic nieustającej przyjaźni, która kończyła się przy następnym wdechu.

Tego właśnie chciał, prawda? Żeby łasili się do niego najwięksi ludzie w królestwie. Jednakże z bliska wyglądało to okropnie... fałszywie. O wiele bardziej wolałaby siedzieć w stodole z Wilczarzem, z jego wojownikami i swoimi przyjaciółmi. Dostrzegł Juranda stojącego samotnie na drugim końcu sali i złapał się na tym, że się uśmiecha. Zrobił krok w jego stronę, ale ktoś stanął mu na drodze.

– To oburzające, jeśli chce pan znać moje zdanie – mruknął wysoki mężczyzna. Był najwyżej dziesięć lat starszy od Leo, ale starannie zaczesane włosy miał już białe jak śnieg.

– Co takiego? – spytał Leo, który nigdy nie potrafił się oprzeć przynęcie.

– Że musi pan dzielić się swoim triumfem z następcą tronu. Przelewał pan własną krew dla kraju. A co zrobił ten półkrwi Styryjczyk? Powiesił paru wieśniaków?

Zupełnie jakby siwowłosy jegomość zajrzał do głowy Leo i wyczytał jej zawartość.

– Pewnie właśnie po to mamy rodzinę królewską: żeby przypisywała sobie cudze osiągnięcia – mruknął Leo.

– Jestem Fedor dan Isher. – Jeśli można było poznać mężczyznę po uścisku dłoni, to Isher był człowiekiem zdecydowanym, chłodnym i ostrożnym. – A to moi towarzysze z Otwartej Rady, lordowie Barezin... – Krępy mężczyzna o różowych policzkach i chłopięcej szopie jasnych włosów, wciśnięty w obwieszony galowymi sznurami mundur. – I Heugen. – Drobnny przystojniak o błyszczących, małych oczkach i wypielegnowanym wąsiku nad nadąsanymi wargami.

– Miło mi panów poznać.

Przyjemnie było wreszcie usłyszeć nazwiska, które obiły się wcześniej Leo o uszy. Były to głowy trzech najpotężniejszych arystokratycznych rodów w Midderlandzie, ludzie zasiadający obok niego w pierwszym rządzie w Rotundzie Lordów.

– Mój ojciec dobrze znał pańskiego ojca. – Obwisłe policzki Barezina trzęsły się z emocji. – Wspaniały człowiek, zawsze tak o nim mówił, doskonały kompan, uosobienie szlachetnych cnót! Byli bliskimi przyjaciółmi.

O ile Leo sobie przypominał, jego ojciec zawsze opisywał Otwartą Radę jako gniazdo żmij. To było jednak nowe pokolenie, a on uznał, że przyjaciół nigdy dość.

– Wszyscy pragniemy podziękować panu za wielkie zasługi dla Unii – buczał monotonna Isher.

– To hańba, że musiał pan zająć się tym w pojedynkę – pienił się Barezin. – Wstyd, coś okropnego!



– Nowe prawo uniemożliwia nam utrzymywanie własnych stałych armii. – Heugen mówił miarowo, wysławiał się precyzyjnie i nieustannie kręcił głową, jakby nic nie dorastało do jego wysokich standardów. – Gdyby nie to, rzucilibyśmy się panu na pomoc.

– Jest pan nazbyt uprzejmy – powiedział Leo.

Chociaż prawdziwa pomoc byłaby jeszcze bardziej uprzejma.

– Nasze odwieczne prawa i przywileje są nieustannie atakowane – przejął inicjatywę Isher, zniżając głos – przez Kulasa i jego kamratów.

Heugen kiwał głową jak kurczak dziobiący ziarno.

– A Zamknięta Rada to...

– ...banda biurokratycznych dupków – wypalił Leo. Nie mógł się powstrzymać. – Jaki tupet ma ten łajdak Głokta! I jeszcze ten kanclerz! Maglują mnie z powodu dodatkowych podatków, podczas gdy my przelewaliśmy krew, wykrwawialiśmy się, żeby wygrać dla nich wojnę! Dobrzy ludzie oddali życie! Lud w Anglandzie... – już miał powiedzieć, że lud zapieni się wściekłości, kiedy zdał sobie sprawę, jak głośno mówi, więc zmienił zakończenie zdania: – ...będzie bardzo niezadowolony.

Jednakże Isher był wyraźnie zachwycony jego słowami.

– Otwarta Rada musi stanowić zjednoczony front. Zwłaszcza po tym, jak doszło do niepokojów wśród niższych stanów.

– Pańskie miejsce jest wśród nas – powiedział Barezin.

– Jako naszego najważniejszego przedstawiciela – dodał Heugen.

– Naszego czempiona – uzupełnił Isher, leniwie zaciskając pięść. – Takiego, jakim był pański dziadek.

– Serio? – zapytał Leo, nabierając podejrzliwości wobec tych zgodnych pochlebstw. – Podobno był zdrajcą.

Isher nie dał się tym zbyć. Pochylił się i mruknął:

– A ja twierdzę, że był patriotą. Po prostu dał się zastraszyć Bayazowi.

Skinął głową w stronę łysego mężczyzny pogrążonego w cichej rozmowie z lordem kanclerzem Gorodetsem, rzeczywiście sprawiającego wrażenie zastraszonego.

– To jest Bayaz? – zdziwił się Leo.

Isher wykrzywił usta.

– Podczas ostatniej wojny obiecał moim wujom, że jeden zostanie szambelanem, a drugi kanclerzem, a kiedy już miał koronę w kieszeni, zostawił ich na lodzie.

– Lojalność to cecha godna podziwu – powiedział Barezin. – Godna podziwu. Ale musi dotyczyć obu stron.

– Wierność wobec skorumpowanego reżimu zaś – dodał Heugen – to głupota. Gorzej, to tchórzostwo. Gorzej nawet! To zdrada.

Leo był przekonany, że pogubił się w logice tego wyводу.

– Ehm... tak?

– My, gwiazdy przewodnie Otwartej Rady, naprawdę powinniśmy się spotkać – nalegał Barezin.

– Żeby omówić poparcie dla naszych wspólnych interesów – dodał Heugen.

– Gdyby znalazł się między nami prawdziwy bohater, to całkowicie zmieniliby postać rzeczy – powiedział Isher.

– Z pewnością wiele zmieniliby dla mnie.

Leo odwrócił się i zobaczył stojącą tuż obok uderzająco piękną rudowłosą kobietę.

– Panowie lordowie doprawdy nie powinni zagarniać naszego męża opatrnościowego tylko dla siebie. A skoro zabrakło wam manier, żeby mnie przedstawić... – Prawdę mówiąc, nie dała im szansy, żeby ją przedstawili, i ewidentnie potrafiła zająć się tym sama. – Selest dan Heugen. – Wyciągnęła rękę.

– Jestem oczarowany – powiedział Leo, pochylając się, żeby ucałować jej dłoń. I naprawdę był oczarowany. – Jakość towarzystwa wyraźnie wzrosła – dodał.

Zaśmiała się srebrzyście i machnęła wachlarzem. Leo się uśmiechnął, a wtedy powachlowała i jego, więc również się roześmiał. Isher, Barezin i Heugen zniknęli, pomrukując niechętnie, że będą musieli wrócić do tej rozmowy, ale Leo już nie zwracał na nich uwagi.

Selest. To imię ładnie brzmiało. Zachowywała się tak, jakby każde jego słowo było rozkoszną niespodzianką, która zapiera

jej dech w piersi.

– Podoba się panu nasze miasto?

– O wiele bardziej, odkąd pani do nas podeszła.

– Ach, Wasza Łaskawość, zaczynam podejrzewać, że mi pan pochlebia. – Musnęła jego nadgarstek palcami w sposób, który nie mógł być przypadkowy. Czy aby na pewno? Pochyliła się ku niemu i odezwała się nieco chrapliwie: – Naprawdę powinien pan obejrzeć moją nową manufakturę, póki jest pan w Adui.

Tak jakby zwiedzanie manufaktur było zakazaną rozkoszą. Spojrzała mu w oczy ponad wachlarzem z piór w taki sposób, że zaczął się zastanawiać, czy zaproponuje mu wycieczkę także po innych zakamarkach.

– Co tam pani... – Jego głos zabrzmiał piskliwie, jakby należał do Bremera dan Gorsta. Leo musiał odchrząknąć i spróbować raz jeszcze. – Co tam pani wytwarza?

– Pieniądze. – Zachichotała znowu. – Cóż by innego?

\* \* \*

Jadąc przez Aduę we wspaniałej procesji, Rikke miała wrażenie, że nie mogłaby się czuć bardziej nie na miejscu. Teraz odkrywała, że się myliła.

Zupełnie jakby urządzili konkurs na obmyślanie okoliczności, w których czułaby się potwornie mała, nerwowa i brzydka, a ona teraz przeżywała urzeczywistnienie zwycięskiego pomysłu. Dla dopełnienia tej makabry powinna jeszcze dostać napadu i zesrać się na tej nieskazitelnej posadzce.

Wszyscy byli tacy czyści. Wszyscy tak pięknie pachnieli. Wszyscy mieli takie błyszczące buty. Na wszystkich twarzach widniały drobne uśmiešky noszone jak maski, tak że człowiek nie miał pojęcia, co ci ludzie naprawdę myślą. Mówili szeptem, jakby wszystko było sekretem przeznaczonym tylko dla wybranych uszu – i z całą pewnością nie były to jej uszy. Przynajmniej długie oko dało jej na razie spokój. Jedynymi duchami obecnymi na przyjęciu były jej własne niezręczne

odbicia: krzywiły się na nią z lustrzanych ścian komnaty, zblazowane i niezadowolone.

Miała wrażenie, że własna skóra na nią nie pasuje, nie mówiąc już o ubraniu. Żałowała, że nie ma odrobiny chaggi, ale nie wzięła jej ze sobą, bo uznała, że to nie miejsce na żucie chaggi. I rzeczywiście nie wyglądało to na takie miejsce. Gdzie by splunęła sokiem, na czyjeś plecy? W całej rozległej sali znała tylko garstkę ludzi. Bayaza trudno było nazwać przyjacielem; zresztą był odziany równie elegancko jak wszyscy inni i przemykał przez tłum, błyskając łysą czaszką i dzieląc się szeptanym sekrecikami, jakby był u siebie. Jurand stał sam, najwyraźniej tęskniąc do towarzystwa Leo jeszcze bardziej niż ona. A Młody Lew nieustannie brylował w samym środeczku gromady nowych wspaniałych przyjaciół, którzy niewątpliwie wbiją mu nóż w plecy, kiedy się tylko od nich odwróci.

Jakby tego jeszcze było mało, podeszła do niego jakaś kobieta, blada i nieziemsko piękna kobieta o włosach czerwieńszych, niż pozwala na to natura, upiętych złotymi grzebieniami i opadających puklami na jej nagie, piegowate ramiona. Wydawało się, że jej piersi mogą w każdej chwili wyskoczyć z dekoltu, ale jakby za sprawą jakiegoś czaru rzuconego na suknię ani razu do tego nie doszło. Co najwyraźniej nie uszło uwagi Leo, który co rusz zerkał w tę stronę, jakby skryła w dekolcie sekret stworzenia świata. Nosiła naszyjnik z błyszczących czerwonych kamieni i bransoletkę od kompletu. Gorset miała wyszywany połyskliwymi kryształami, którymi obszyto także – na pamięć poległych! – jej trzewiki.

A Rikke nosiła w nosie kółko, niczym narowisty byk.

Dobrze to podsumowywało różnicę między nimi. Chętnie by się pozbyła tego zasranego kolczyka, ale nie dałaby rady zrobić tego inaczej, niż wrywając sobie przy okazji połowę nosa. Wątpiła zresztą, żeby nawet wtedy zwróciła czyjąkolwiek uwagę. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak grać w tę zawiłą grę wachlarzy, rzęs, aluzji rzucanych przez ramię oraz cycków, które nie były na wierzchu, chociaż niewiele im do tego brakowało – nie mówiąc o tym, że brakło jej do tego stosownego

wyposażenia.

Siorbnęła jeszcze trochę cienkuszka, który jej podano. Wino było niezbyt smaczne, ale przynajmniej już zaczynało działać: koniuszki jej uszu zrobiły się gorące, a ona sama jeszcze głębiej pograżyła się w pełnym zazdrości przygnębieniu. Mówi się, że napitek rozwesela, ale tak naprawdę rozwesela tylko tych, którzy i bez niego są weseli. Nikt nie mówi o tym, że nieszczęśliwych spychają w jeszcze głębszą rozpacz.

Odbiło jej się nieprzyjemną słodyczą. Przesunęła językiem po zębach.

– Mężczyźni – mruknęła bezradnie.

– Mowa – rzucił ktoś obok niej. – Nie sposób im przemówić do rozsądku.

Na pamięć poległych, ta kobieta była jeszcze piękniejsza od tamtej. Jej skóra połyskiwała, jakby nie była stworzona z mięsa, tylko z jakiegoś magicznego stopu ciała i srebra. Każdy jej gest był precyzyjnie wykończony aż po koniuszki długich palców, jakby stanowił część tańca, ćwiczonego bez końca do osiągnięcia absolutnej perfekcji.

– W mordę – szepnęła Rikke, nie potrafiąc się powstrzymać. Obrzuciła kobietę spojrzeniem od stóp do głów. – Postarałaś się.

– Szczerze mówiąc, większość pracy wykonały moje pokojówki. Ja musiałam tylko stać.

– Pokojówki? Ilu ich potrzebujesz?

– Wystarczą cztery, jeśli znają się na rzeczy. Bardzo mi się podoba twoja koszula. Wygląda na wygodną. Żałuję, że sama takiej nie noszę.

– To czemu takiej nie włożyłaś?

– Ponieważ istnieje milion różnych reguł, których musi przestrzegać szanująca się dama z socjety. Nikt ci nie powie, jakie to zasady, ale kary za ich złamanie bywają surowe.

– Strasznie to upierdliwe.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

– Przyznaję, że nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać.

– Rikke skubnęła swoją koszulę. Kleiła jej się pod pachami od żaru wywołanego przez wszystkich tych ludzi okłamujących się

nawzajem. – Mam też nowe buty. Uczesałam nawet włosy. – Nerwowo odsunęła zabłąkane splątane pasmo za ucho. – Niestety przez kilka tygodni sypiałam po lasach i teraz nie da się nad nimi zapanować. Jak to robisz, że twoje są... właśnie takie?

Kobieta pochyliła się do niej.

– To peruka.

– Serio? – Rikke zagapiła się na błyszczące warkocze zwinięte i upięte jak gniazdo ze złotych nici. – Wygląda zupełnie jak włosy... tylko bardziej.

– Bo to są włosy, tylko że nie moje.

– A co jest z twoimi nie tak? Nie rosną?

– Ścięłam je.

– Znaczą twoje pokojówki je ścięły.

– Owszem. Większość kobiet tutaj nosi peruki. Taka moda.

Wypowiedziała słowo „moda” takim tonem, jakby wyjaśniało wszelkie szaleństwo.

– I wszyscy o tym wiedzą?

– Wszyscy.

– To dlaczego szepczemy? – spytała szeptem Rikke.

– Bo... wszyscy o tym wiedzą, ale nikt się do tego nie przyznaje.

– Czyli... golicie głowy, żeby nosić czapki z cudzych włosów, a potem kłamię na ten temat? – Rikke wydeła policzki. – Od razu nabieram dystansu do moich zmartwień.

– Nie wszyscy z nas mają dość odwagi, żeby pozwolić sobie na szczerłość.

– Nie wszyscy z nas mają dość rozumu, żeby kłamać.

Kobieta zmrużyła oczy, patrząc na Rikke.

– Wątpię, żeby brakowało ci rozumu.

Rikke spojrzała na nią w ten sam sposób.

– Wątpię, żeby brakowało ci odwagi.

Kobieta wzdrygnęła się nieco, jakby Rikke dotknęła jakiegoś bolesnego miejsca, i zmieniła temat:

– Bardzo mi się podoba także twój naszyjnik.

Rikke spuściła głowę, prawie dotykając podbródkiem piersi, żeby zerknąć na kłęb amuletów, jakie zebrała przez lata.

Niektóre były gurkhulskie, inne pochodziły z Północy, było tam też parę zębów szamanów i inne drobiazgi. Zawsze uważała, że szczęścia nigdy dość. A teraz wyglądało to jak zbierania starych śmieci. Zahaczyła kciukiem o mocno pogryziony kołek.

– To do zagryzania, kiedy mam napad. Stąd ślady zębów.

Kobieta uniosła brwi.

– Piękne i w dodatku praktyczne.

– A to runy. Wyrzeźbiła je moja przyjaciółka Isern-i-Phail. Mają zapewnić mi bezpieczeństwo. Mam je od roku, ale wątpię, żeby działały.

– Mimo wszystko są śliczne. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Wydawało się, że mówi całkiem szczerze, i na swój sposób była życzliwa.

– Proszę. – Rikke zdjęła runy z szyi i delikatnie włożyła je kobiecie przez głowę. – Może w twoim przypadku lepiej się sprawdzą.

\* \* \*

– Dziękuję – powiedział Savine i tym razem mówiła całkiem szczerze.

Ten prosty, szczerzy gest zupełnie ją rozbroił. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz ktoś coś jej dał, nie oczekując w zamian czegoś dwakroć cenniejszego.

– Mogę sprawić sobie nowe – odpowiedziała Północna, machnąwszy ręką. – Na tobie lepiej wyglądają. Masz do tego odpowiednie ramiona.

– To od fechtunku.

– Znaczą, walki mieczem?

– To świetne ćwiczenie. Dzięki niemu skupiam się na... – Urwała zaskoczona nagłym wspomnieniem jej klingi wbijającej się między żebra mężczyzny w rynsztoku w Valbecku. I odgłosu, jaki z siebie wydał, kiedy próbowała wyrwać ostrze. Musiała otrząsnąć się z paskudnego dreszczu. – Chociaż może zabawa

bronią białą to kiepski pomysł.

– Może spróbuję z toporem. Tam, skąd pochodzę, topory nigdy nie wychodzą z mody.

– Też tak słyszałam.

Uśmiechnęły się do siebie.

Savine wmawiała sobie, że prostoduszność tej dziewczyny jest urocza. Prawda jednak jak zwykle była bardziej niepiękna: Savine nie ufała sobie na tyle, żeby porozmawiać z kimś ważniejszym.

Za każdym razem, kiedy ktoś składał jej nieszczerze wyrazy współczucia z powodu jej ciężkich przeżyć albo bez przekonania wyrażał ulgę na wieść o jej bezpiecznym powrocie, miała ochotę przewrócić tę osobę na ziemię i wbić jej obcas prosto w oko. Przez cały dzień wciągała perłowy proszek. Szczyptę o świcie, żeby przegnać koszmary. Potem szczyptę przy śniadaniu, żeby utrzymać się na powierzchni. Może jeszcze parę szczypt przed obiadem. Tyle że, zamiast jak zawsze pomóc jej zachować przenikliwość, perłowy proszek sprawił, że stała się niespokojna, okrutna i dziwnie lekkomyślna.

– Proszę – powiedziała, rozpinając naszyjnik. Czerwone złoto z Suljuku i najbardziej olśniewające ciemne szmaragdy z Thondu, pięknie oprawione przez jej człowieka w Ostrii za cenę, która sprawiła, że nawet ona uniosła brwi. Założyła naszyjnik dziewczynie na szyję i go zapięła. – Zamieńmy się.

Dziewczyna spojrzała na klejnoty tonące w masie paciorków, amuletów i talizmanów i wybałuszyła oczy jeszcze bardziej niż zwykle.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Mogę sprawić sobie nowy – odpowiedziała Savine, machnąwszy ręką. – Na tobie lepiej wygląda. Masz do tego odpowiednią pierś.

– Będzie wyglądał jak złoty pierścień na bobku. – Dziewczyna spojrzała na pierś Savine. – Poza tym jesteś dwa razy większa ode mnie.

– Mam połowę tego co ty i bardzo drogi gorset. – Savine wyciągnęła ręce, odgarnęła zaniedbane kasztanowe włosy



z twarzy dziewczyny i przyjrzała jej się. Była to z pewnością beczelność z jej strony, ale taki właśnie miała nastrój. – Naprawdę masz nadzwyczajne naturalne atuty.

– Że niby co? – Dziewczyna nieco się przestraszyła.

Savine oparła palec pod jej podbródkiem, żeby przechylić jej twarz do światła.

– Piękne, wyraziste kości. Doskonałe zęby. I te oczy, rzecz jasna. – Ogromne, jasne i niesłychanie wyraziste. – Nigdy nie widziałam podobnych oczu.

Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby to była bolesna kwestia.

– Nie jestem pewna, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo...

– Znam kobiety, które zabiłyby dla takich oczu. Dosłownie. Godzina z moimi pokojówkami wystarczyłaby, żeby każda osoba tutaj ślinała się na twój widok.

Na pożegnanie poklepała dziewczynę po twarzy i puściła ją. Inni goście niczego nie zauważyli. Zmarszczyła brwi.

– To tylko pokazuje, jakie to idiotyczne kłamstwo – dodała. – Jakim popierdolonym, idiotycznym kłamstwem jest to wszystko. – Zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te ostatnie słowa z niespodziewanym gniewem i rozgoryczeniem. – Wybacz mi, proszę. Zachowałam się bardzo niegrzecznie.

– Jeśli o mnie chodzi, zachowałam się cudownie. – Dziewczyna spojrzała na naszyjnik i zarumieniła się, co tylko dodało jej urody. – Gdyby mój ojciec zobaczył mnie w czymś takim, to chyba by się zesrał.

– Nie wiem, co pomyślałby mój ojciec, ale wiem, że regularnie robi pod siebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– Jesteś w porządku, wiesz?

Savine nagle zebrało się na płacz. Rozejrzała się po Sali Lustrzanej, mrugając, żeby pozbyć się łez. Jakiś łysy dziadyga, którego nie mogła do końca skojarzyć, patrzył wprost na nią jak rzeźnik na bydło na targu. Rozłożyła wachlarz, jakby mogła się za nim schować.

– Nie – mruknęła. – Nie jestem.

Musiała powstrzymać wzdrygnięcie się na widok opartego o filar Orso. Wyglądał na pijanego i przygnębionego, a ona czuła się tak, jakby miała wbity w gardło hak i każde spojrzenie na Orso powodowało bolesne szarpnięcie za ten hak. Wstydziła się do tego przyznać, ale nadal go pragnęła. I z pewnością nadal chciała być królową. Pragnęła podejść do niego, włożyć dłoń w jego rękę i powiedzieć „tak”, pocałować go, objąć i patrzeć, jak uśmiech wypływa mu na twarz...

Miałyby poślubić własnego brata.

Ta myśl budziła w niej odrazę – chociaż nie większą niż wszystko inne w tej chwili. Drżała na całym ciele. Wzięła głęboki wdech. Książę był dla niej na zawsze stracony, osoba, którą ona była przy nim, także przepadła na zawsze, a ona nie mogła mu nawet wyjawić powodów. Na pewno nią gardził. Prawie tak bardzo, jak ona sama sobą gardziła.

– Lady Savine?

Ku swojej zgrozie zobaczyła, że stoi obok niej sam król z tym udręczonym, zafascynowanym wyrazem twarzy, jaki zawsze przybierał w jej obecności.

– Wasza Wysokość. – Dygnęła odruchowo.

Twarz jej nagle zapłonęła. Kątem oka widziała, jak Północna próbuje niezręcznie ją naśladować, ale – ubrana w spodnie – nie miała wielkich szans.

– Ogromnie podobała mi się wizyta w Towarzystwie Słonecznym – plół trzy po trzy król. Ledwie go słyszała, tak głośno krew dudniła jej w uszach. – Jestem pod wielkim wrażeniem tego, czego dokonaliście pani i pan Curnsbick. Przemysł, innowacje, postęp. Jestem taki dumny, że mam takich... poddanych jak pani, młoda dama wytyczająca drogę ku przyszłości... I tak dalej.

– Proszę o wybaczenie – wykrztusiła szeptem i odwróciła się tak szybko, że prawie się potknęła. Zrobiła dwa chwiejne kroki; kolana się pod nią uginały.

– Jestem Rikke – usłyszała, jak za jej plecami dziewczyna z Północy przedstawia się królowi. – Jak...

– Córka Wilczarza, ależ oczywiście! Był dobrym przyjacielem

mojego dobrego przyjaciela Logena Dziewięciopalcego.

– Hmm, trzeba być realistą.

– W rzeczy samej!

– A skoro o tym mowa, ojciec wspomniał, że obiecano nam sześć miejsc w Otwartej Radzie...

Savine na próżno szarpała gorset, mając nadzieję na głębszy oddech. Czowała, że zapada się pod ziemię. Była pewna, że zaraz z jej ust fontanna wymiocin tryśnie na całą tę śmietankę towarzyską i powstrzymał ją tylko nagły, otrzeźwiający atak zimnej furii. Zamroził jej wyrzuty sumienia i strach. Znowu była zimna jak lód.

Selest dan Heugen, to szczwana suka, stała nie dalej niż dwadzieścia kroków od niej i korzystając z każdej broni w swoim arsenale, emablowała Leo dan Brocka. Wachlowała się przy tym, jakby się paliła.

Myślała, że zajmie podstępem miejsce Savine? Ukradnie jej kanał, jej kontakty, jej zyski? To właśnie zrobiłaby Savine na miejscu tego bezguścia, ale to tylko kolejny powód, żeby kazać jej za to zapłacić.

Selest zauważyła, jak Savine zbliża się do niej, niesiona przez salę na fali straszliwej furii, i pośpiesznie zastąpiła jej drogę.

– Lady Savine! Wszyscy ogromnie się cieszymy, że wróciła pani do nas cała i zdrowa.

– Prawdziwy z pani skarb, lady Selest.

– Musiała pani przejść prawdziwą udrękę.

Pokusa, żeby ją ugryźć, była wręcz obezwładniająca, ale Savine tylko wzruszyła ramionami.

– Nie byłam jedyną, która ucierpiała.

Selest była ładna, sprytna i bogata, ale nazbyt często posługiwała się piersią i uśmiechem. Uśmiechaj się cały czas, a ludziom zaczniesz robić niedobrze, jakby kucharz serwował tylko bezy. Niech twój uśmiech będzie rzadkim smakołykiem, a ludzie będą niecierpliwie wyczekiwali następnego.

Savine odśloniła przed Brockiem tylko kącik uśmiechniętych ust. Resztę zakrywał wachlarz.

– Jestem Leo – przedstawił się z wyraźnym, ostrym

anglandzkim akcentem.

– Ależ naturalnie – odpowiedziała.

Głos Selest ociekał jadem:

– Lady Savine była w Valbecku.

Jakby Valbeck był jakimś straszliwym sekretem. Myślała, że w ten sposób zrujnuje reputację Savine, tymczasem uzyskała efekt wręcz przeciwny: właśnie dzięki tym słowom Savine zamierzała się wydać tym bardziej fascynująca.

– To prawda – przyznała. Odwróciła się lekko w bok i zagryzła usta, jakby naszły ją potworne wspomnienia.

Brock zamrugał.

– Podczas powstania?

– Wizytowałam fabrykę, której jestem... byłam współwłaścicielką, kiedy wybuchły zamieszki. – Odczekała, żeby słowa zawisły między nimi na dłuższą chwilę, zanim wreszcie spojrzała mu w oczy. Jakby nie każdemu była gotowa o tym powiedzieć, ale przed nim nie potrafiła ukryć prawdy. – Robotnicy zwrócili się przeciwko nam, setki robotników. Ze wstydem przyznaję, że zamknęłam się w kantorku. Słyszałam, jak obezwładnili strażników, a potem dopadli mojego współnika.

Brock wpatrywał się w nią z lekko rozchyłonymi ustami.

– Na pamięć poległych...

Na twarzy Selest dostrzegła coś cudownego: przelotny wyraz zwątpienia, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że jej banalne bzdurki nie są w stanie konkurować z czymś takim.

– Znalazłam luźną deskę, połamalam paznokcie, próbując ją wyrwać. Musiałam przeczołgać się wśród maszynerii, żeby uciec, kiedy oni rozwalali drzwi nade mną.

Brock słuchał jak zaczarowany.

– To musiało wymagać nie lada odwagi.

– W moim przypadku raczej szczęścia i tchórzostwa. Widziałam, jak jeden ze strażników wpadł w tryby maszynerii. Został rozerwany na strzępy.

Selest puszyła się i wachlowała, próbując odzyskać uwagę Brocka, ale wszystko na próżno. Bywa, że ładne kłamstewka

wygrywają, ale czasem brzydka prawda sięga głębiej. Savine mówiła dalej, wyobrażając sobie, że każde słowo to policzek dla Selest.

– Czołgałam się przez podziemia budynku aż do rzeki i precisnęłam się między murem a kołem wodnym. Znalazłam wyrzucony na brzeg brudny płaszcz, przebrałam się za żebraczkę i uciekałam. Miasto pogrążyło się w odmętach szaleństwa. Gangi wszystko demolowały, wszędzie maszerowały kolumny więźniów, fabrykantów wieszano na żurawiach... Chciałabym móc powiedzieć, że pomogłam komuś, ale myślałam tylko o sobie. Szczerze mówiąc, w ogóle nie myślałam.

– Nikt pani nie wini – powiedział Brock.

– Ścigano mnie w slumsach. Uciekałam przez czynszówki, gdzie palacze plew leżą po dwunastu w jednym pokoju. Przez gnój w świńskich zagrodach. Dwóch mężczyzn dopadło mnie w ślepym zaułku...

Przypomniała sobie tamtą chwilę. Ich twarze. Teraz mogła wykorzystać swoją zgrozę. Nawet Selest słuchała zafascynowana. Wachlarz zwił bezwładnie w jej dłoni.

– I co... się stało? – szepnął Brock, jakby się bał odpowiedzi.

– Miałam ze sobą miecz. Paradny mieczyk... ale ostry.

Zapadło milczenie, które Savine przeciągnęła tak długo, aż stało się to krępujące. Taka papla jak Selest nigdy nie zrozumie, że dramatyzm nie wynika z liczby słów, ale z ciszy pomiędzy nimi.

– Zabiłam ich. Chyba obu. Właściwie to nie była nawet moja decyzja, po prostu... stało się. – Odetchnęła, lecz ścisnęło ją w gardle. Głos jej drżał. – Nie zostawili mi wyboru, a mimo to... nadal o tym myślę. Cały czas wracam do tego we wspomnieniach.

– Zrobiła pani to, co trzeba było – szepnął Brock.

– To wcale nie sprawia, że łatwiej mi się z tym żyje.

– Ale teraz już pani wróciła do nas i ja ze swojej strony... – wtrąciła Selest lekko łamiącym się głosem.

– Jak się pani wydostała z miasta? – zapytał Brock, jakby Selest w ogóle tam nie było.

– Natknęłam się na paru przyzwoitych ludzi, którzy... mnie przygarnęli. Pomogli mi przetrwać, dopóki księżę Orso nie uratował miasta.

Selest dan Heugen wiedziała, że przegrała. Z trzaskiem rozłożyła wachlarz i odpłynęła posuwistym krokiem. Dreszcz zadowolenia ze zwycięstwa był najbliższym odpowiednikiem przyjemności, jaki ostatnio przydarzył się Savine. Możliwe, że nigdy nie zostanie królową Unii, ale nadal władała niepodzielnie salą balową.

– I oto jestem tutaj.

– To doprawdy... niezwykła historia – przyznał Brock.

– Śmiem twierdzić, że to i tak nic w porównaniu z panem, który w kręgu tarcz stawiał czoło przerażającemu wojownikowi.

– Pani ciężka próba trwała wiele dni, moja rozegrała się w kilka chwil. – Pochylił się, jakby zdradzał jej wielki sekret. – Tak między nami, Stour Zmierzchun jest lepszym szermierzem ode mnie. – Przesunął palcem po długim strupie pod okiem, a Savine ze wstydliwym podnieceniem zdała sobie sprawę, że musi to być ślad po ranie zadanej mieczem. – Mógł mnie zabić dziesięć razy, a tak... Wystarczyło, że pożyłem dostatecznie długo, by pokonała go jego własna arogancja.

Savine uniosła kieliszek.

– A zatem... Za tych, którzy przetrwali.

– To jest toast, który mogę spełnić. – Leo miał piękny uśmiech. Otwarty, szczery, odsłaniający piękne zęby. Chociaż Savine wygrała już tę bitwę, złapała się na tym, że nadal z nim rozmawia. Co jeszcze dziwniejsze, naprawdę dobrze się przy tym bawiła. – Nazywa się pani Savine?

– Tak, Savine dan Glokta.

Różne rzeczy można było powiedzieć o tym nazwisku, ale zawsze wywoływało jakąś reakcję. Brock zakaszczał i prawie się zakrztusił. Naprawdę nie potrafił grać.

– Domyślam się, że poznał pan mojego ojca?

– Mogę tylko powiedzieć, że wdała się pani w matkę, która musiała być prawdziwą pięknoscią.

Wytrawnym gestem skinęła głową.

– Nieźle pan wybrnął, zważywszy na okoliczności.

Chciała jedynie zniszczyć Selest dan Heugen, która w tej chwili wachlowała się jak szalona obok niczego nieświadomego lorda Ishera, ale po tym zwycięstwie perłowy proszek i wino znów dały znać o sobie i Savine odkryła, że jej zdobycz jest nadzwyczaj przystojnym mężczyzną. Naprawdę miał w sobie coś z lwa – te długie włosy w piaskowym odcieniu, ta krótko przycięta, równie jasna broda, ta niewymuszona pewność siebie i siła, którą emanował. Z bliźniącą się raną na twarzy wyglądał jak bohater pompatycznej opowieści, męski, popularny, potężny. Rzeczywiście młody lord gubernator Anglandu był w tej chwili najlepszym kawalerem do wzięcia w Unii – pomijając, rzecz jasna, następcę tronu, księcia Orso, którego Savine niestety musiała pominąć.

– To musi być trudne, być sławnym bohaterem.

Każdy przecież chce, żeby mu współczuć, nawet jeśli na to nie zasłużył.

– Przyznaję, że chwilę trwało, zanim do tego przywykłem.

– Trudno pewnie odróżnić szczerą podziw od pustych pochwał. Mimo tak licznych otoczenia musi się pan czuć samotny. – Westchnęła teatralnie. – I każdy próbuje pana wykorzystać.

– Podczas gdy pani ma na względzie jedynie moje dobro?

– Nie będę obrażać pańskiej inteligencji, sugerując coś takiego, ale może zdołamy pomóc sobie wzajemnie.

Uśmiechnęła się do niego. Czemu nie? Jego szczerść i swoboda w zachowaniu stanowiły przeciwieństwo sposobu bycia Orso. Nie stanowił zagadki do rozwiązania. Jego słowa ledwie miały jedno znaczenie, o dwóch można było najwyżej pomarzyć. Czasem śliczny głuptas jest dokładnie tym, czego potrzeba kobiecie.

Zmęczyło ją bycie sprytną. Chciała być lekkomyślna. Chciała kogoś zranić. Siebie.

– Jest pewne miejsce w mieście, które koniecznie powinien pan odwiedzić, skoro już tu pan jest.

– Naprawdę?

– Biuro mojego przyjaciela. Pisarza. Spilliona Sworbrecka. Brock nie krył zawodu.

– Nieszczerze ze mnie zapalony... czytelnik...

– Ani ze mnie, jeśli mam być szczerą. Sworbrecka nie ma w mieście, wyjechał do Bliskiej Krainy w poszukiwaniu informacji do swoich książek. – Bardzo delikatnie dotknęła piersi Leo wachlarzem, patrząc na niego spod rzęs. Potrzebowała... odrobiny rozrywki. – Za to ja tam będę.

Brock odchrząknął.

– Jutro?

– Teraz. Jutro mogę zmienić zdanie.

Pewnie robiła z siebie idiotkę. Pewnie wywoła skandal.

Z drugiej strony na pewno mniejszy, niż gdyby wyszła za własnego brata.

\* \* \*

Orso stał i pił.

A ściśle rzecz biorąc, stał, pił i patrzył na Savine. Początkowo dyskretnie, ale z każdym kolejnym kieliszkiem coraz mniej ukradkowo. Już samo patrzenie na nią było torturą. A patrzenie na nią obok tego prostaka z kwadratową szczęką, Leo dan Brocka, było potrójną męką. Jednakże z jakiegoś powodu nie potrafił przestać się zadrećcać.

Domyślał się, że pomiędzy nimi tańczą ludzie, dzielił ich cały parkiet skrzących się, wirujących postaci, które jednak dla pijanego księcia były tylko rozmazaną plamą. Widział jedynie Savine i Młodego Lwa. Roześmianych. Kiedyś myślał, że tylko on jest na tyle zabawny, żeby ją tak rozśmieszyć. Okazuje się, że potrafiła się śmiać nawet przy całkiem niezabawnych ludziach.

To, że go odrzuciła, nie było wielką niespodzianką. Jednak to, że – wszystko na to wskazywało – zaledwie kilka dni po odrzuceniu jego oświadczyn zacznie zastawiać sidła na następnego mężczyznę, i to takiego, którego powszechnie uważano za jego rywala? To zabolalo.



Dopił wino i porwał z tacy kolejny kieliszek. Kogo próbował oszukać? To wszystko bolało. Był jedną wielką raną, która nigdy się nie zagoi.

– A oto mój syn, następca tronu, księżę Orso.

Orso odwrócił się i zobaczył króla w towarzystwie mocno zbudowanego starszego mężczyzny. Był łysy jak jajko i miał krótką siwą brodę.

– To Bayaz – wyjaśnił król z wielkim namaszczeniem – Pierwszy Wśród Magów!

Tylko trochę przypominał swój wspaniały posąg przy Drodze Królów. Zamiast kostura trzymał wypolerowaną laskę zdobioną mosiądzem i kryształem. Zamiast emanować niezgłębioną mądrością, miał na twarzy wyraz zachłannego zadowolenia z siebie. Zamiast tajemniczych szat nosił ubranie nowoczesnego człowieka interesów – i nie było ono tanie, pochodziło wprost spod igły doskonałego krawca.

Orso pociągnął nosem.

– Wyglądasz bardziej jak bankier niż czarnoksiężnik.

– Człowiek musi się dopasować do swoich czasów – odparł Bayaz. Uniósł laskę i z podziwem spojrzął na mieniącą się w świetle kryształową gałkę. – Mój mistrz zwykł mawiać, że wiedza to korzeń mocy, ale podejrzewam, że w dzisiejszych czasach wszelka moc ma złoty korzeń. Właściwie to już raz się spotkaliśmy, chociaż Wasza Wysokość miał wtedy nie więcej niż cztery dni.

– Prawie się od tego czasu nie zmienił! – Król zaśmiał się fałszywie.

– Przykro mi, ale ledwie pamiętam cokolwiek, co zdarzyło się dawniej niż godzinę temu – oznajmił Orso. – Reszta nieco mi się zaciera.

– Żałuję, że nie mogłem bywać tu częściej – powiedział Bayaz – ale zawsze są jakieś naglące problemy, które wymagają rozwikłania. Gdy tylko uda mi się doprowadzić do zawieszenia broni z moim nieznośnym bratem na południu, rodzeństwo na zachodzie postanawia... narozrabiać.

– Rodzina, co? – burknął Orso i skinął kieliszkiem w stronę

króla, który z każdym kolejnym słowem był coraz bardziej skrępowany.

– Ziarna z przeszłości rodzą owoce w teraźniejszości – mruknął Bayaz. – Tym bardziej rany z przeszłości. Nie można nawet na godzinę odwrócić się plecami do Północy, żeby nie wybuchła chociaż jedna wojna. Ani chwili pokoju. Mimo wszystko mam nadzieję, że pod moją nieobecność mój niegdyś uczeń Yoru Sulfur okazał się użyteczny.

– Ogromnie – wyrwał się z zachwytem król. – A gdybym teraz mógł...

– Ogromnie – powtórzył Orso i jego gniew przebił się przez pijackie opary. – W rzeczy samej bardzo się nam przysłużył, wieszając dwustu niewinnych ludzi. Ludzi, którym obiecałem ułaskawienie!

– Zachowuj się, Orso – warknął król przez zaciśnięte zęby.

Zawsze ciążyły mu troski, ale Orso jeszcze nigdy nie widział go naprawdę przestraszonego. Czego król Unii mógł się bać we własnym pałacu? A jednak teraz był autentycznie przerażony, cała krew odpłynęła mu z twarzy, a czoło pokryła warstewka potu.

– Niech się chłopak zabawi – odparł łagodnie Bayaz. – Wszyscy kiedyś byliśmy młodzi, prawda? Nawet jeśli, tak jak w moim przypadku, było to naprawdę bardzo dawno temu. W swoim czasie naucz się, jak świat naprawdę działa. Tak samo jak ty się nauczyłeś.

I z uśmiechem na ustach Pierwszy Wśród Magów się odwrócił.

– Nie powinienesz pobłażać temu staremu głupcowi – burknął Orso.

– Ciebie przy tym nie było. – Palce króla wbiły mu się boleśnie w nadgarstek. – Kiedy nadeszli żercy. Nie widziałeś... do czego jest zdolny. – Jego oczy miały przedziwny, udręczony wyraz. – Musisz mi przyrzec, że nigdy mu się nie przeciwstawisz.

Orso spróbował wyrwać rękę.

– Co ty wygadujesz...

– Musisz mi przyrzec!

– Proszę na słówko, Wasza Wysokość! – zawołał Bayaz.

Król rzucił synowi jedno pośpieszne spojrzenie przez ramię i poszedł za magiem jak pies przywołany do nogi właściciela.

Orso wypił kolejny łyk wina, a potem odwrócił się do Savine, która nadal śmiała się z Młodym Lwem.

Powinien być na nią wściekły, ale nie potrafił jej nienawidzić, tak samo jak pijak nie potrafił nienawidzić butelki. Mógłby wściec się na Leo dan Brocka, ale on nie zrobił niczego złego. Był potwornie próżny, ale miał ku temu powód. Był również cudownie męskim i płytkim łajdakiem. Robił dokładnie to, co Orso robiłby na jego miejscu, tylko wyglądał przy tym jak bohater.

Jedyną osobą w tym trójkącie załości, na którą miał powód się wściekać, był on sam. W jakiś sposób wszystko zaprzepaścił. Za bardzo się ociągał albo za bardzo pośpieszył, za bardzo naciskał albo za bardzo wahał, coś zrobił za bardzo. Wiedział, że większość ludzi bezgranicznie nim gardzi, ale ona z jakiegoś powodu nim nie pogardzała, mimo że była najmądrzejszą, najodważniejszą i najpiękniejszą kobietą na świecie. Uwierzył, że go kocha.

Tyle że to była jeszcze jedna sztuczka. Figiel, który sam sobie spletał.

– Kobiety – mruknął bezradnie.

– Mowa – rozległ się głos obok niego. – Suki zasrane, jedna w drugą.

To była ta dziewczyna z Północy. Córka Wilczarza, Rikke. Widział ją z daleka i uznał, że wygląda interesująco z tymi niesfornymi włosami, niespokojnymi gestami i całkowitym brakiem dobrego wychowania. Z bliska prezentowała się jeszcze ciekawiej. Z jakiegoś powodu nosiła gruby złoty kolczyk w nosie i smugi ciemnej farby na piegowatej twarzy. Spod ogromnej masy pobrzękujących wisiorów i talizmanów, wśród których znajdował się naprawdę piękny i zupełnie nieprzystający do reszty naszyjnik ze szmaragdów, ledwie wyzierał nęcący rowek między piersiami. Jednak najciekawsze były jej oczy – wielkie, jasne, przenikliwe. Miało się wrażenie, że przeszywa go nimi na

wskroś i wcale nie odrzuca jej to, co dostrzega w jego wnętrzu.

Co było bardzo miłe, bo jego z pewnością odrzucało własne wnętrze.

Do diabła, ależ się wstawił.

– Czy to będzie z mojej strony niewłaściwe... – wybełkotał, kalecząc słowa i w ogóle się tym nie przejmując – ...jeśli powiem, że uważam cię za fascynującą?

– Ani trochę. – Pociągnęła wyniosłe nosem, aż złoty kolczyk zadygotał. – Jesteś mężczyzną i nic na to nie poradzisz.

Chociaż przez całe życie silił się, żeby odgrywać rolę tragicznego bohatera, teraz nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Zwracano mi już na to uwagę.

Nigdy nie umiał ocenić, czego naprawdę potrzebuje, ale tym razem mógł właśnie potrzebować kobiety, która pod żadnym względem nie przypomina Savine. I proszę, jakby za sprawą czarów...

– Czasem myślę, że nikt w tym mieście nie potrafi mówić prawdy ciągiem dłużej niż przez trzy oddechy. – Machnął kieliszkiem w stronę zgromadzonych i wylał nieco wina na posadzkę. – Ty jednak robisz wrażenie... szczerzej.

– I bardzo zabawnej.

– I bardzo zabawnej.

– Kim, u diabła, są ci łajdacy?

– Cóż... On jest pałacowym zegarmistrzem. Ona jest znaną aktorką. Ten łysy idiota to podobno legendarny czarnoksiężnik. Powiedziano mi również, że ta kobieta to styryjski szpieg, jeden z tych, w przypadku których udajemy, że nic o nich nie wiemy.

Rikke westchnęła.

– Jestem jak rozeźlony kurczak, który próbuje ukryć się wśród łabędzi.

– Tak się składa, że próbowałem łabędzi. Gdy już pozbyć się piór, zostaje naprawdę przeciętne mięso. – Może i nie nosiła stroju damy, ale pod tymi ubraniami niewątpliwie kryły się kobiece kształty, które wydawały mu się zupełnie bez zarzutu. – Zaś dobry kurczak...

- Prawdziwy z ciebie smakosz, co?
- Na to również zwracano mi uwagę.
- Podobno masz to wszystko odziedziczyć.
- Smutny fakt.

Wydeła policzki, rozglądając się po Sali Lustrzanej.

– Całe to bogactwo i pochlebstwa... To musi być... prawdziwe przekleństwo.

– Przez które wyrosłem na beznadziejnego kutafona.  
– Z takim argumentem nie sposób się kłócić.  
– Podobno jesteś wiedźmą, która widzi przyszłość.  
– Wiedźmą nie. A przyszłość? Czasami. – Skrzywiła się i przycisnęła dłoń do lewego oka, jakby ją zabolalo. – Ostatnio trochę za często.

– Po co ten kolczyk?

– Trzyma mnie uwiązaną do ziemi.

– Bez niego byś odleciała?

– Mam skłonność do napadów. – Zastanowiła się, po czym parsknęła takim śmiechem, że aż się obsmarkala. – I srania pod siebie – dodała, ocierając wargę. – Podobno zaliczyłeś pięć tysięcy dziwek?

– Zdziwiłbym się, gdyby było ich więcej niż cztery tysiące dziewięćset.

– Hmm...

Obrzuciła go przeciągłym, leniwym i zupełnie bezwstydnym spojrzeniem od stóp do głów. Spojrzeniem, co do którego znaczenia nie miałyby wątpliwości nikt w promieniu trzydziestu kroków. Spojrzeniem, pod którym nieco się zawstydził i nieco bardziej podniecił.

– Nauczyły cię czegoś?

Zdał sobie sprawę, że nawet nie zerknął na Savine, odkąd zaczęli rozmawiać. Spojrzał teraz. Poczul przykre ukłucie straty, gdy dotknęła wachlarzem piersi szeroko uśmiechniętego Leo dan Brocka.

– Byłam z nim kiedyś – mruknęła Rikke.

Ona też na nich patrzyła i także robiła wrażenie więcej niż tylko odrobinę skwaszonej.

– Ciekawe – powiedział Orso. – A ja z nią.

– To ci nie przeszkadza? Grać drugie skrzypce przy Młodym Lwie?

– Przyznaję, że trochę mnie to drażni, ale przywykłem do tego, że jestem absolutnie najgorszy. – Dopił kieliszek i rzucił go z brzękiem na stół. – Drugie miejsce to i tak wielki awans. – Podsunął jej ramię. – Może mógłbym ci towarzyszyć podczas spaceru po pałacowych ogrodach?

Skierowała na niego czarowne szare oczy.

– Pod warunkiem, że spacer skończy się w sypialni.

## Co nieco na temat odwagi

Ziąb skubał Leo w uszy, kiedy szli ciemnymi ulicami, ale dużo silniejszy ogień podniecenia płonął w jego wnętrzu. Jurand sprawiał wrażenie równie chętnego jak on. Szelmowskie iskierki płonęły w jego oczach. Ładny rumieniec zaczerwienił mu policzki.

– Dokąd idziemy? – mruknął, kładąc rękę na ramieniu Leo. Mówił lekko piskliwym głosem.

– Gdzieś z dala od ciekawskich oczu, jak przypuszczam. – Leo szturchnął go łokciem w żebra. – Nie chcielibyśmy wywołać skandalu, co?

– Szczerze mówiąc – odparł Jurand, uśmiechając się kącikiem ust – mam to w nosie.

Leo go nie słuchał. Zobaczył tabliczkę z nazwą ulicy. Zobaczył numer domu.

– To tutaj – szepnął. Jego oddech uniósł się obłoczkiem w chłodną noc.

To był wysoki szeregowiec, lekko osmolony, taki sam jak tuzin innych domów przy ulicy, która wyglądała tak samo jak tuzin innych ulic, jakie minęli w drodze z Agriontu. Niezbyt ekscytujący. Jednakże w szparze między okiennicami w oknie na piętrze płonęło światło i Leo nie mógł spokojnie ustać w miejscu, rwał się do przodu jak w dniu bitwy, gdy spojrzął na most i zamierzał dać rozkaz do ataku.

– Dzięki, że mnie tu doprowadziłeś – powiedział. – Dobry z ciebie przyjaciel. Najlepszy. Zobaczymy się jutro. Na paradzie.

Kiedy uśmiechnął się i odwrócił, twarz Juranda przybrała przedziwny wyraz. Wstrząśnięty. Skonsternowany. Rozczarowany.

– Z kim się spotykasz? – szepnął.

– Z córką arcylektora. Savine. – Leo przeszedł dreszcz, kiedy wypowiedział to imię. Zniżył głos. – Pewnie lepiej będzie, jeśli nikomu o tym nie wspomnisz.

– Tak. – Jurand zamknął oczy i zaśmiał się cicho, z niedowierzaniem. – Masz rację. Oczywiście.

– Rozchmurz się. – Leo objął go za ramiona, patrząc na budynek i jedno oświetlone okno. – Czekają na nas mnóstwo dam.

Chociaż nie wyobrażał sobie żadnej, która mogłaby się choć zbliżyć do klasy Savine dan Głokty.

– Mnóstwo dam – powtórzył ponuro Jurand. – Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

– Czasem lepiej nie wiedzieć.

Leo oddał Jurandowi laskę, szturchnął go w brzuch na pożegnanie i przeszedł przez ulicę, starając się nie okazywać bólu. W końcu nie bez powodu nazywano go Młodym Lwem. Wiedział co nieco na temat odwagi – sekret polegał na tym, żeby odrzucić ideę decydowania o czymkolwiek i po prostu działać. Uniósł pięść i zapukał cztery razy, przywołując na twarz pewny siebie, uwodzicielski uśmiezek, jaki – tak sobie przynajmniej wyobrażał – cechował wszystkich największych kochanków w dziejach.

Mina natychmiast mu zrzędała, gdy drzwi się otworzyły. Stała w nich ciemnoskóra kobieta, którą widział pierwszy raz w życiu.

– Ojej... Spodziewałem się...

– Pan musi być Młodym Lwem – powiedziała we wspólnej mowie, chyba z mniej wyraźnym obcym akcentem niż ten, którego używał Leo.

– Niektórzy tak mnie nazywają...

Kłapnęła na niego zębami i wydała pomruk zaskakująco podobny do lwiego. Zaskoczony Leo szarpnął się w tył, skrzywił się z bólu, gdy przeniósł ciężar ciała na zranioną nogę, i spróbował to zamaskować fałszywym śmiechem. Kobieta wpuściła go i oparła się o drzwi, które zamknęły się za nim.

– Pani Savine czeka na górze.

– Na górze. Oczywiście. – Złapał się na tym, że się czerwieni, czego pewnie nie robili najwięksi kochankowie w dziejach. –



Znaczy nie, nie to miałem na myśli... Marny ze mnie mówca.

– Niewątpliwe Bóg obdarzył pana innymi talentami.

Odwróciła się z dyskretnym uśmiechem.

Dłużyła mu się wspinaczka ciemnymi schodami. Serce było mu tak głośno, że dałoby się je usłyszeć na ulicy. Oświetlona szpara pod czarnymi drzwiami znajdowała się coraz bliżej i wiele obiecywała, ale w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Wcale by się nie zdziwił, gdyby za drzwiami czekała na niego Savine z naładowaną kuszą. Albo Savine, naga, wyciągnięta na tygryziej skórze. Albo jedno i drugie, skoro już o tym mowa.

Zatrzymał się przed drzwiami, próbując złapać oddech, ale ten nie dał się pochwycić. Na zewnątrz było za zimno, w środku za gorąco. Już miał zapukać, kiedy zdał sobie sprawę, że okaże większą pewność siebie, po prostu przechodząc przez próg: przecież nie bez powodu nazywano go Młodym Lwem. Zuchwałę szarżę to jego popisowy numer. Położył dłoń na klamce, zamarł podenerwowany, a potem nieco zbyt żwawo wparował do pokoju.

Savine stała i nalewała wino w świetle lampy w pozie tak precyzyjnie dobranej, jakby pozowała do portretu. Nawet się nie wzdrygnęła, kiedy drzwi się otworzyły, nie odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, uniosła tylko kieliszek do światła, marszcząc lekko brwi, gdy badała kolor wina.

– Zatem dotarłeś tutaj? – spytała, odwracając się do niego.

– Tak.

Szukał po omacku czegoś błyskotliwego, co mógłby dodać, ale w kredensie ziało pustką. Wyglądała jeszcze bardziej perfekcyjnie, niż to zapamiętał. Jej kształty na tle lampy były wręcz niewiarygodnie... jakie? Gdzie bardziej mogły człowieka zawieść słowa, jeśli nie w gabinecie pisarza, do licha?

Rozejrzał się w poszukiwaniu natchnienia. Półki uginały się pod książkami, wyłożone skórą biurko było zavalone papierzyskami. W kącie stało coś, co mogło być prasą drukarską – najpaskudniejsza rzecz, jaką Leo widział w swoim życiu, same żelazne przekładnie i dźwignie; w rozwartych szczękach leżał

poczerniały wałek i jedna wydrukowana strona.

– Najnowszy stek bzdur Sworbrecka – wyjaśniła Savine. – Ale nie po to przyszedłeś, żeby słuchać o przygodach innych ludzi.

– A po co? – spytał, zamykając drzwi. Po części silił się na żart, po części zaś naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź.

– Żeby samemu przeżyć przygodę.

Podawała mu kieliszek.

Sprawiała wrażenie absolutnie opanowanej i spokojnej, jakby bez reszty panowała nad sytuacją, ale kiedy podeszła, Leo dostrzegł błysk w jej oczach – sugestię głodu, gniewu albo może nawet szaleństwa, która go podnieciła i odrobinę przestraszyła. A może na odwrót. Odruchowo cofnął się i przycisnął niezgrabnie do biurka. Rzeźbiona krawędź mebla wbijała mu się w tyłek.

Na pamięć poległych, nawet największy tępak w Adui – a Leo nie byłby w tej konkurencji bez szans – nie mógł mieć żadnych wątpliwości, o co chodzi Savine. Pewnie nigdy nie było co do tego żadnych wątpliwości, ale z jakiegoś powodu Leo wmówił sobie, że może naprawdę chciała mu pokazać gabinet pisarza: tutaj są pióra, tu atrament, a teraz możemy wrócić każde do własnego łóżka i dobrze się wyspać, zupełnie nie martwiąc się tym, czy jest się dobrym kochankiem.

Gdyby ktokolwiek go o to zapytał, zawsze odpowiedziałby, że uwielbia damy. Był jednak taki czas, kiedy martwił się, że kobiety nie... nie podniecają go w takim stopniu, w jakim powinny. W jakim działają na innych mężczyzn. Okazało się, że problem sprowadza się do znalezienia właściwej kobiety. Rikke była łatwą towarzyszką, była jak jeden z chłopaków. Savine nie mogła być jej większym przeciwieństwem. Nigdy nie spotkał kobiety bardziej... kobiecej.

– Denerwujesz się? – spytała.

– Nie – skłamał.

Głos mu się lekko załamał i Savine się uśmiechnęła.

To był okrutny uśmieszek, jakby go na czymś przyłapała. Bo przecież tak było. Nigdy nie potrafił kłamać.

Prawdę mówiąc, Leo nigdy nie czuł się zbyt swobodnie

w towarzystwie kobiet. Może jednak swoboda to ostatnia rzecz, o jaką chodzi w romansie. Może powinien towarzyszyć mu niepokój. A każda chwila z Savine była równie podniecająca i niebezpieczna jak wejście do kręgu z Wielkim Wilkiem.

– Ja... chyba nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

– Ależ oczywiście. – Wlała sobie wino do ust swobodnym gestem, delikatne mięśnie szyi zadrżały, gdy przełykała. – Jestem jedyna w swoim rodzaju.

Odstawiła z impetem kieliszek na biurko. Zadygotał na nóżce, ale za sprawą jakiejś magii ustał. Podeszła bliżej, jej blada pierś falowała, delikatna skóra jarzyła się w świetle lampy i...

Nosiła naszyjnik, który nie pasował do jej nieskazitelnego stroju. Poskręcany rzemyk ze zgrubnie porzeźbionymi kościanymi tabliczkami, w sam raz w stylu amuletów, którymi obwieszała się Rikke.

Mimo wina i podniecenia Leo poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

– Skąd masz te runy?

– Z Północy – odpowiedziała wymijająco, patrząc na jego usta.

– Co znaczą?

Nie robił niczego złego, prawda? Rikke wyraziła się zupełnie jasno, że nie chce niczego więcej niż...

Savine ujęła go za podbródek z siłą, której nie sposób było się oprzeć.

– A kogo to obchodzi?

Jej kciuk przesunął się po jego policzku, zmrużyła oczy, wpatrując się w jego twarz, koniuszek języka wysunął się spomiędzy warg, kiedy natrafiła na świeżą bliznę i dotknęła jej delikatnie. Trochę go to załaskotało, trochę zabolęło.

– To robota Stoura Zmierzchuna?

– Zostawił jeszcze parę innych pamiątek.

– Boli?

– Tylko kiedy nacisnąć... Auć!

Celowo nacisnęła ranę, na chwilę odsłaniając drapieźnie zęby, a Leo wzdrygnął się i jeszcze bardziej niewygodnie wykręcił nad biurkiem.

Ledwie mógł uwierzyć, jaka jest drobna, jaka smukła, jak drżą jej ścięgna w odsłoniętym ramieniu. Ledwie śmiał jej dotknąć, żeby nie pękła w jego rękach. Okazała się jednak silniejsza, niż się spodziewał. O wiele silniejsza. O wiele cieplejsza. Poczul jej zapach, głównie aromat letniej łąki, ale z czymś zwierzęcym w tle. Może i był bardziej przestraszony niż podniecony, ale bez wątpienia jego fiut zareagował zupełnie odwrotnie.

Ścisnęło go w gardle, ledwie był w stanie mówić. Zaczął się zastanawiać, o ile jest od niego starsza. Pięć lat? Dziesięć? O ile bardziej doświadczona...

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł...

– Jestem pewna, że to fatalny pomysł. Na tym polega jego urok. – Otworzyła małe puzderko, wzięła w palce szczyptę czegoś i uniosła dłoń do jego twarzy. Nawet to robiła z wdziękiem. – Proszę.

– Co to?

– Perłowy proszek.

– Artyści to biorą, żeby zwiększyć wrażliwość?

– Co działa na nich, działa też na resztę ludzi. Artyści nie są wcale tacy wyjątkowi, jak lubią o sobie myśleć. Po prostu to wciągnij.

– Nie jestem pewien...

– Myślałam, że przyszedłeś szukać przygody?

Przytknęła szczyptę proszku do jednego jego nozdrza, a drugie zacisnęła opuszką palca. Nie miał innego wyjścia, jak wciągnąć proszek. Czas dokonywania wyborów został na zewnątrz, na ulicy.

– Ach, na pamięć poległych! – Ogień zapłonął mu w głębi gardła, uniósł się do uszu, spłynął na zęby i przywołał pod powieki łzy. Wrażenie było makabryczne. – Kto by chciał...

– I na drugą dziurkę – wyszeptwała.

Odwróciła mu głowę i prawie wepchnęła palec do drugiego nozdrza. Nawet się nie zorientował, że rozpięła mu pas z mieczem, dopóki broń nie brzęknęła o podłogę. Był rozbrojony pod każdym względem.

Niech to diabli, ależ miał ochotę kichnąć. Stał przez chwilę z zamkniętymi oczami, próbując się powstrzymać. Kiedy wiercenie w nosie ustało, stwierdził, że Savine go całuje, delikatnie skubie jego wargi. Potem obróciła jego twarz w bok i zaczęła lizać, ssać i kąsać.

Przycisnął ją, ale nie mógł jej naprawdę poczuć, była jak forteca w swoim gorsecie sztywnym niczym zbroja. Palenie w gardle zniknęło, w głowie przyjemnie mu się zakręciło. Poruszał ustami mechanicznie, niezgrabnie, jak odrętwiały. Usta go mrowiły. Czuł smak wina na jej języku.

Bez względu na to, czy to ona tak zadziałała, wino czy używka artystów – Leo nie miał pojęcia, która z tych rzeczy okazała się kluczowa – poczuł się śmielszy. Dzikszy. Do diaska, był w końcu Młodym Lwem czy nie? Przyszedł tu w poszukiwaniu przygody! Był jednym z największych kochanków w dziejach świata, do diabła!

Ryknął jak lew i złapał ją za twarz, podsunął kciuk pod zuchwę, drugą ręką mocno chwycił ramię sukni, obrócił dłoń, wbił kostki w jej ramię. Z ust Savine wyrwał się stłumiony okrzyk. Obrócił ją i teraz to ona przyciskała się do brzegu biurka. Zahaczył nogą o miecz i się zachwiał; Savine odkopnęła broń na bok szpiczastym pantoflem. Ostrze na wpół wysunęło się z pochwy i wylądowało pod lwimi łapami prasy drukarskiej.

Twarz już go nie bolała. Ani trochę. Ledwie cokolwiek czuł od szyi w górę, ale za to dwa razy więcej od pasa w dół.

Savine jęknęła gardłowo, wykrzywiła usta w czymś pomiędzy uśmiechem a grymasem i skubnęła go zębami. Szarpnęła za pasek, rozpięła go, spodnie zsunęły się i opadły wokół butów Leo. Poczuł chłodny powiew na tyłku. Jej dłoń była jeszcze zimniejsza.

Wszelkie myśli o odmowie dawno zniknęły. Właściwie zniknęły wszelkie myśli w ogóle.

Zręcznie wspięła się na biurko, prawie jakby miała w tym dużą wprawę. Zaszleściła podkasana suknia. Savine pociągnęła go za sobą, wplotła dłoń w jego włosy i szarpnęła.

To było prawie bolesne, ale nie do końca.

# Namiastki

– Na pamięć poległych! – jęknęła Rikke.

Oparła się na łokciach, spróbowała zdmuchnąć splątane włosy z twarzy, ale bez powodzenia. Musiała odgarnąć je palcami. Zacisnęła powieki, gdy światło ją oślepiło, a potem powolutku uchyliła jedno oko.

Leżała z prześcieradłem zaplątanym wokół bioder, z jedną nogą na wierzchu; wiedziała, że to jej noga, bo mogła poruszyć palcami. Była golusienka, jeśli nie liczyć koszuli, którą miała zmiętą wokół nadgarstka – reszta leżała rozpostarta na łóżku jak symbolizująca kapitulację biała flaga.

Zmarszczyła brwi, spojrzała ponad koszulą na okno, a potem poderwała się i rozejrzała.

Do diabła, co to było za miejsce?

Komnata była wielka jak dwór wodza Północnych. Przy ogromnych oknach falowały ogromne połacie kolorowych kotar, odległe sklepienie zdobiły pozłacane listki, wszystkie meble były wypolerowane na tak wysoki połysk, że aż oślepiały, a drzwi – wysokie jak dla olbrzymów – miały okrągłą gałkę w kształcie słońca Unii.

Gałka się obróciła i drzwi otworzyły się z dygotem, jakby ktoś je kopnął.

Ktoś wszedł, balansując na jednej dłoni srebrną tacą, po której przedmioty ślizgały się niebezpiecznie. Mężczyzna miał na sobie szkarłatną kurtkę z bogatym złotym zdobieniem. Kurtka była rozpięta i spod spodu przezierał pasek bladej, lekko owłosionej piersi i brzucha. Odwrócił się powoli w stronę łóżka, ze wszystkich sił koncentrując się na utrzymaniu tacy w równowadze.

Mężczyzną był następca tronu, ksiązę Orso.

– O rety. – Rikke poczuła, jak jej brwi unoszą się bardzo wysoko, a potem nagle przypomniała jej się ostatnia część minionej nocy. – O rety...

Już miała się przykryć, ale teraz straciło to na znaczeniu, więc po prostu padła na plecy z wyciągniętymi rękami.

– Nie śpisz – powiedział książę, uśmiechając się szeroko.

– Skoro tak mówisz... – wychrypiała. – Ile wypiałam?

– Chyba wszystko. – Z dumą odstawił tacę na łóżko obok niej.

– Przyniosłem ci jajko.

Uniosła odrobinę podbródek, żeby zerknąć. Jej trzewia, które nie uspokoiły się jeszcze od czasu pojedynku Leo, teraz jeszcze bardziej się burzyły.

– Świetna robota. Sam je zniosłeś?

– Jaki miałoby sens bycie następcą tronu, gdybym sam musiał odwalać całą ciężką robotę? Ale popatrz, przeniosłem je od drzwi do łóżka. – Wskazał przebytą ścieżkę. – Jak sama zauważyłaś zeszłej nocy, ruchanko z księciem to nieszczerólnie wyróżnienie, nawet jeśli naprawdę niekiepsko sobie z tym poradziłaś.

Wzruszyła skromnie ramionami.

– Po prostu mam talent, cóż mogę powiedzieć?

– Jednak fakt, że tenże książę przynosi ci śniadanie do łóżka, to już prawdziwe wyróżnienie.

Musiała przyznać, że czuje się trochę zaszczycona. Nie była pewna, czy kiedykolwiek ktoś jej przyniósł śniadanie do łóżka. Leo z pewnością nie zawracał sobie tym głowy. Przez jego grubą czaszkę nigdy nie przebiła się myśl, że mogą istnieć na świecie inne potrzeby niż jego własne. Zastanawiała się, gdzie się teraz Leo podziewa – najpewniej był z tą obrzydliwie piękną kobietą, której Rikke nie potrafiła nawet nienawidzić po tym, jak otrzymała od niej absurdalnie hojny dar w postaci zielonych klejnotów, które właśnie błyszczały na jej piersi.

– Co to? – spytała, podnosząc z tacy zmięty arkusz papieru.

Nie знаła się na druku, ale uznała, że ten wyglądał kiepsko.

– Arkusz nowin. Można się z niego dowiedzieć, co się dzieje. – Orso zastanowił się nad swoimi słowami. – Nie, inaczej: on ci

mówi, co masz myśleć na temat tego, co się dzieje. – Jeszcze raz się zamyślił. – Najlepsze z nich tylko potwierdzają to, czego już wcześniej człowiek się domyślał.

– Hmm.

Na pierwszej stronie widniał rozmazany sztych przedstawiający Leo dosiadającego konia; był jeszcze bardziej napuszony niż zwykle. Z pół strony poświęcono dokładnym wyjaśnieniom, jak przycina brodę. Dalej pisano o zniszczeniach dokonywanych przez Destruktorów, niepokojach na Południu, rywalizacji w Styrii, parę słów o tym, jak imigranci zniszczyli wizerunek jednej z dzielnic, i o tym, jak to za rządów króla Casamira wszystko było lepsze...

Prychnęła z niedowierzaniem.

– Posłuchaj tego pieprzenia: „Widziano Jego Wysokość, jak opuszczał przyjęcie w towarzystwie pięknej i tajemniczej Wiedźmy z Północy...”.

– O, to dopiero jest słabo napisana rzecz. – Mówiąc to, Orso pochylał się stopniowo ku niej, wpatrując się żarliwie w jej twarz. – Powinni napisać pięknej, tajemniczej, kształtnej, cwanej, utalentowanej, nadzwyczaj zabawnej...

Cisnęła papierami przez komnatę, uśmiechnęła się szeroko i złapała go za ucho. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta. Pocałunek był kwaśny i na dobrą sprawę obrzydliwy, ale gdyby człowiek zawsze powstrzymywał się do chwili, kiedy wszystko jest idealnie, to ile wspaniałych pocałunków by przegapił?

– Nie jesteś taki, jak się spodziewałam – przyznała, odrywając się od Orso.

– Na żywo jestem jeszcze przystojniejszy, prawda?

– Przystojnego się spodziewałam, ale nie tak sympatycznego.

– Sympatycznego? – Spojrzał na nią dziwnie. – To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek ktoś powiedział na mój temat. – Zerknął na sufit. – Teraz zastanawiam się, czy to nie jest jedyna miła rzecz, jaką kiedykolwiek o mnie powiedziano. Mógłbym ci pokazać miasto! – Wyskoczył z łóżka z entuzjazmem, od którego Rikke rozboleła głowa. – Aduę!



Miasto Białych Wież! Sama wiesz, że to centrum świata.

– Tak słyszałam.

– Teatr! Mogę kazać opróżnić teatr i zaaranżować prywatne przedstawienie tylko dla nas dwojga.

– Ludzie odgrywający durne historyjki? Magia, wojny i romanse? To raczej nie dla mnie.

– W takim razie karty. Grasz w karty?

– To by chyba nie było uczciwe. Mam długie oko, zapomniałeś?

Wytrzeszczył oczy jak chłopiec, który właśnie odkrył nową pyszną zabawę.

– Tym lepiej! Wreszcie mógłbym zetrzeć ten uśmiezek z gęby Tunny'ego przy karcianym stoliku!

– Myślałem, że masz dzisiaj poprowadzić triumfalny pochód? Orso się skrzywił.

– Nie zasługuję na paradę. Chyba że miałyby mnie stratować. Padł na plecy, wpatrując się w złożone liście na suficie.

– Nie stłumiłeś przypadkiem jakiegoś powstania?

– Ach tak, bohaterski księżę. Namówił paru robotników, żeby się poddali.

– To już powód do świętowania. Ocaliłeś ludziom życie, nie?

– Tak. – Odwrócił się do niej. – A potem wszyscy zawiśli na szubienicy.

Rikke sama spojrzała w sufit.

– Aha.

– Nie przeze mnie. Ale też nie zapobiegłem temu. Niezły ze mnie bohater, co?

– Mówiono mi, że przywódca musi umieć utwardzić serce na kamień. – Rikke usiadła i wyjęła jajko z kieliszka. – Przynajmniej wiesz, kim jesteś. – Odgryzła czubek.

– Nie jestem Młodym Lwem. W tej kwestii chyba oboje możemy się zgodzić.

– Dzięki niech będą poległym. – Uśmiechnęła się szeroko, pokazując przy okazji kawałki pogryzionego jajka w ustach. – Ten facet to wybitny kutafon.

Księżę odpowiedział uśmiechem.

– Wiesz, chyba nigdy w życiu nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

– A spotkałeś ich bardzo dużo.

– Szczerze mówiąc, moja reputacja jest ogromnie przesadzona.

– Ogromnie przesadzona, powiadasz? Może przypominasz Leo dan Brocka bardziej, niż myślisz.

Pochyliła się, żeby wziąć kawałek chleba z tacy, gdy wtem szcześnie bezceremonialnie otwierane drzwi.

– Wielkie nieba, Orso – rozległ się głos kogoś, kto mówił z dziwnym, obcym akcentem. – Nie mów mi, że nadal...

Przepyszenie ubrana kobieta weszła posuwistym krokiem do komnaty, majestatyczna jak statek pod pełnymi żaglami, i spojrzała z góry na łóżko. Rikke nie potrzebowała dużo czasu, żeby zdać sobie sprawę, że ma przed sobą matkę Orso, Jej Wysokość Królową Unii. Pisnęła bezradnie. Może wyszłoby to lepiej, gdyby nie miała kawałka chleba w otwartych ustach, ale szczerze mówiąc, wątpiła w to.

– Kim jest ta... osoba? – zapytała królowa.

– Ehm... to Rikke. Piękna i tajemnicza Wiedźma z Północy! – Orso wysilił się na teatralny gest, jakby prezentował dziewczynę w sali tronowej, a nie w swoim łóżku, a Rikke zakaszła i prawie parsknęła chlebem przez nos. – Jest emisariuszką Protektoratu.

Rikke nie była pewna, czy dzięki niej Protektorat prezentował się lepiej, czy gorzej. Wyjęła chleb z ust, zamknęła je, a potem ujęła w dwa place prześcieradło i stopniowo podciągnęła je, żeby zasłonić piersi.

Królowa uniosła idealną brew.

– Kiedy chodzi o nawiązanie bliskich stosunków dyplomatycznych z przyszłym królem Unii, nie można jej zarzucić braku zaangażowania.

Rikke odchrząknęła.

– To dla nas kluczowy sojusz.

Orso zdławił śmiech. Jego matka nie. A Rikke miała ochotę tak długo podciągać prześcieradło, aż zasłoni nim głowę.

– Powiedz mi, że to nie jest dziewczyna, którą zamierzasz poślubić?

Rikke spojrzała na niego.

– Zamierzasz...

– Nie! – Orso zrobił zbolaną minę. – To było... nieporozumienie.

Królowa westchnęła ciężko.

– To chyba świadczy o skali mojej desperacji, że naprawdę byłam gotowa powitać ją w naszej rodzinie.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zamek szczęknął precyzyjnie.

Rikke wydeła policzki.

– Na pamięć poległych... Twoja matka mogłaby jednym spojrzeniem skwasić mleko.

– Myślę, że jej się spodobałaś. To ogromny komplement. W kwestii nagich kobiet jest prawdziwą koneserką.

– Lepiej się ubiorę. – Rikke usiadła na łóżku, rozglądając się za spodniami. – Na wypadek gdyby w następnej kolejności zjawił się tu twój ojciec.

– Domyślam się, że ubieranie się nie zajmuje ci zbyt wiele czasu?

Rikke spojrzała po sobie.

– Wskoczę tylko w buty i właściwie jestem gotowa.

– Cudownie. – Orso też obrzucił ją wzrokiem i cień uśmiechu zagościł na jego ustach. Musnął palcem jej szyję, a potem przesunął go w dół, aż zahaczył o rąbek prześcieradła i zaczął je zsuwać. – Może zdążymy znaleźć chwilę na krótką rundkę rozmów dyplomatycznych przed paradą.

– Cóż... Przysłano mnie, żebym naprawiła stosunki z Unią.

Skopała tacę z łóżka, aż ta brzęknęła na podłodze, splunęła w ślad za nią resztką jajka, złapała w garść kurtkę Orso i wciągnęła go na siebie.

## Nie szczędząc wydatków

– Przekłęci ludzie! – ryknął Leo, przekrzykując wiwaty.

– Mnóstwo ich! – odkrzyknął Orso.

Tłoczyli się wzdłuż każdej ulicy, na każdym dachu i w każdym oknie. Ulice zamieniły się w kaniony z masy ludzkiej, place w morza ludzkich twarzy. Kiedy Leo już myślał, że więcej ich nie może być na świecie, otwierały się przed nimi kolejne aleje, w których uśmiechy ciągnęły się w dal bez końca. Ranny bok bolał go od jazdy konnej, ranna ręka od machania, ranna twarz od uśmiechów.

– Zgarniasz ich z tyłów i przeganasz przed nas bocznymi ulicami czy co?

– Zważywszy że paradę zorganizowała moja matka – odrzekł Orso – wcale bym się nie dziwił.

Sama parada musiała się składać z kilku tysięcy ludzi. Na przedzie jechali magnaci z Otwartej Rady obwieszeni galonami i medalami. Lord Isher z aprobatą skinął do Leo głową, gdy ten obejrzał się przez ramię. Barezin pomachał mu z zapalem pięścią. Heugen zasalutował zadowolony z siebie.

Dalej jechała pomniejsza arystokracja, oficerowie armii i odziani w futra biurokraci. Między nimi a błyszczącymi szeregami maszerujących żołnierzy upchnięto grupkę ambasadorów i zagranicznych notabli; wielość odcieni ich skóry i barwność narodowych strojów była wprost onieśmielająca.

Leo poczuł drobne wyrzuty sumienia, gdy zdał sobie sprawę, że pewnie pośród nich znajduje się Rikke. Zastanawiał się, co robiła wieczorem po balu. Pewnie siedziała samotnie w ciemności i obmyślała zemstę na nim. Skierował szybko spojrzenie przed siebie, ku wspinałemu sztandarowi, który powiewał na czele kolumny: biały koń wspięty na tle złotego

słońca. Na sam jego widok żarzące się w Leo węgielki patriotycznej gorączki zapłonęły z nową siłą. Oto pamiątka po lepszych czasach, kiedy Unią władali prawi wojownicy, a nie kalekie liczykrupy.

– Sztandar Niezłomnego – mruknął z nabożnym podziwem.

Orso skinął głową.

– Dokładnie ten sam, który powiewał nad zwycięskimi armiami Casamira.

– Bez niego w ogóle nie byłoby Anglandu. To dopiero był wspaniały król.

– W rzeczy samej. – Księżę westchnął. – Człowiek zdaje sobie wtedy sprawę, jak potwornie podupadła monarchia.

– Nie to miałem...

– Nie przejmuj się – przerwał mu Orso ze smutnym uśmiechem. W ogóle był dziwnie smutny, zważywszy że fetę urządzono specjalnie na jego cześć. – Nikt nie ma gorszego zdania na temat naszej królewskiej rodziny niż ja, a konkurencja jest naprawdę zaciekle. Aż człowiek się zastanawia... Czy Casamir, Harod i pozostali byli naprawdę tak wielkimi ludźmi, jak maluje ich historia? Czy też byli po prostu przeciętniakami z przeszłości, rozdętymi do postaci dzisiejszych potężnych bohaterów przez wieki przypisywania im cudzych zasług? – Wskazał tłumy. – W końcu oni są tutaj dla ciebie. To ty pokonałeś Stoura Zmierzchuna. Mężczyźni zapuszczają brody takie jak twoja. Noszą miecze takie jak ty. Wydaje mi się, że napisano już sztukę opiewającą wasz pojedynek.

– Dobrą?

– Na pewno mniej porywającą od oryginału.

Leo musiał przyznać, że polubił księcia. Spodziewał się, że Orso będzie przywiędłym dandysem – i rzeczywiście, nikt by go nie nazwał uwielbianym kompanem i towarzyszem broni, ale bez wątpienia był piekielnie przystojnym facetem, który okazał się przy tym życzliwy i wielkoduszny. Trudno go było nienawidzić. Leo się uczył, że ludzie i ich reputacja rzadko mają ze sobą coś wspólnego. Jak na ironię złapał się na tym, że dołącza do wysiłków arcylektora w rozdmuchaniu osiągnięć

Orso.

– Wyzwoliłeś Valbeck, Wasza Wysokość. Zdusiłeś rebelię.

– Otoczyłem miasto i zjadłem świetne śniadanie, omówiłem warunki kapitulacji i zjadłem bardzo smaczny obiad, przyjąłem kapitulację i zjadłem wyśmienitą kolację, a potem, kiedy wstałem rano, odkryłem, że większość moich więźniów została już powieszona. Pewnie to moja wina, że tak późno wstaję.

– Jesteś jednak następcą tronu...

– Moi rodzice mogą nie zgadzać się w żadnej innej kwestii poza tą jedną. Tyle że bycie następcą tronu nie wymaga żadnego wysiłku. Uwierz mi, wiem, co mówię. Ty zaś narażałeś własne życie. – Wskazał bliznę na twarzy Leo. – Oto szkarłatny dowód twojej odwagi! Ja najpoważniejszą ranę odniosłem, kiedy kompletnie zalany wstawałem z łóżka i uderzyłem o coś głową. Krwawiłem całkiem widowiskowo, ale, szczerze mówiąc, chwała, jaka temu towarzyszyła, okazała się minimalna.

Wzrok Leo przyciągnęła grupka ciemnoskórych żebraków w tłumie.

– Mnóstwo tu brązowych twarzy – powiedział, marszcząc czoło.

– Niepokoje na Południu. Uchodźcy przelewają się przez Kręgomorze w poszukiwaniu nowego życia.

– Trzydzieści lat temu toczyliśmy wojnę z Gurkhulem, prawda? Jesteś pewien, że można im ufać?

– Podejrzewam, że niektórym tak, innym nie. Tak jak Północnym. Tak jak wszystkim innym. Poza tym nie wszyscy są z Gurkhulu.

– A skąd?

– Z całego Południa – odpowiedział Orso. – Z Kadiru, Taurishu, Yashtavitu, Dagoski. Dziesiątki języków. Dziesiątki kultur. A zdecydowali się przybyć tutaj. To budzi w człowieku dumę, nie uważasz?

– Skoro tak mówisz. – Leo nic nie wiedział na temat tych miejsc i nie chciał, żeby Unia stała się jednym z nich. Nie budziło w nim dumy rozwadnianie charakteru ojczyzny. – Nie martwisz

się, że mogą być wśród nich... – Poczuł, że musi zniżyć głos. – Żercy?

– Nie jestem pewien, czy czarownicy-kanibale należą do naszych najbardziej palących problemów.

– Niektórzy z nich potrafią kraść ludziom twarze. Tak słyszałem. – Leo obrócił się, żeby jeszcze raz chmurnie spojrzeć na południowców. – Mogą się podszyć pod dowolną osobę.

– To czy blada twarz nie byłaby lepszą przykrywką niż ciemna?

Leo zmarszczył brwi. Nie pomyślał o tym.

– Po prostu... już nie mam poczucia, że Unia to Unia.

– Bez wątpienia największą siłę Unii zawsze stanowiła jej różnorodność. Dlatego właśnie nazywała się Unią.

– Rozumiem – mruknął Leo.

Orso mógł tak myśleć, sam był styryjskim kundlem półkrwi.

Coś spadło Leo na kolana. Kwiat. Spojrzał w okno na piętrze i zobaczył tam grupkę uśmiechniętych dziewcząt rzucających kwiaty. Uśmiechnął się do nich szeroko i posłał im całusa. Miał wrażenie, że tak nakazuje przyzwoitość.

– Adua najwyraźniej cieszy się z twojej obecności – powiedział Orso. – A jak tobie podoba się pobyt w naszym mieście?

– Nie mogę powiedzieć, żebym polubił tutejszą atmosferę. Układy polityczne też robią wrażenie mętnych. Skoro Zamknięta Rada nie pomogła w prowadzeniu wojny, to miałem nadzieję, że pomoże chociaż opłacić jej koszty.

– Z doświadczenia wiem, że łatwiej otworzyć wrota piekieł niż królewską sakiewkę.

– Prawdziwa strata mojego czasu, ale z drugiej strony... Poznałem kobietę. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona.

Orso zaśmiał się ostro.

– Ciekawe. Ja również.

– Piękna. Bystra. Ostra jak sztylet i zaciekle jak tygrys.

Znowu rozległ się śmiech księcia.

– Ciekawe. Mogę powiedzieć to samo.

– Ale także bardzo opanowana, bardzo elegancka... Dama

w każdym calu.

Orso roześmiał się jeszcze głośniej.

– Tu się różnimy. Czy twoje ucieleśnienie kobiecości ma jakieś imię?

Leo odchrząknął.

– Chyba nie powinienem mówić.

– Zatem poznałeś ją... nieco bliżej?

– Zabrała mnie... – Nie, to wypadło słabo. – Powiem tylko, że spotkałem się z nią w gabinecie pewnego pisarza. – Twarz księcia drgnęła nieprzyjemnie. Możliwe, że jeszcze mniej lubił książki niż Leo. – Ale... nie zaprosiła mnie tam na wspólne czytanie, rozumiesz.

– Chyba mogę się domyślić.

Głos Orso był nieco zduszony, ale Leo nigdy nie był najlepszy w odgadywaniu ukrytego znaczenia ludzkich reakcji. Był prostolinijnym człowiekiem. Dlatego mówił dalej. Prosto z mostu. Tak to się mówi?

– Namiętna noc... z piękną i tajemniczą kobietą, starszą ode mnie...

– To z pewnością marzenie każdego młodego mężczyzny – wychrypiał Orso.

– Tyle że... – Leo nie był pewien, czy powinien powiedzieć coś więcej. Ale przecież Orso był światowcem. Słyszał z tego. Może pomoże mu coś zrozumieć? – Gdyby sprawa się wydała, ludzie pomyśleliby, że ją wykorzystałem, ale... mam przeczucie, że to ona wykorzystała mnie.

– Wszyscy chcemy być pożądanymi – warknął Orso, wbijając wzrok przed siebie.

– Sposób, w jaki na mnie patrzyła... – Jakby był jej następnym posiłkiem. – Sposób, w jaki mnie dotykała... – Bez cienia delikatności, bez wahania. – Sposób, w jaki do mnie mówiła... – Wiedziała, czego chce, i nie przejmowała się tym, czego on może chcieć. Na samą myśl o tym sztywniał w spodniach. – Zupełnie jakby...

Wytrzeszczył oczy. Do diabła, dokładnie tak mówiła do niego matka! Na tę myśl wszystko opadło mu w spodniach szybciej,



niż przed chwilą się uniosło. Czy to możliwe, że... w głębi ducha... lubił, żeby tak do niego mówiono?

– Wiesz co? – zagadnął go Orso, patrząc na swojego rumaka. – Naprawdę nie powinienem tu być.

– Jak to?

– Ty na to zasługujesz. Ja nie.

Orso poklepał Leo po ręce i nie czekając na odpowiedź, skreślił w bok i zaczął zostawać w tyle.

Do tej pory w aplauzie wybrzmiewała fałszywa nuta. Czasem niosło się buczenie, kpiące nawoływania „Młode Jagnię”, a nawet wprost okrzyki „Morderca!”. Kiedy jednak Orso odłączył się od Leo, zabrał ze sobą wszelką krytykę i gdy Leo sam przewodził paradzie, jadąc pod sztandarem Niezłomnego jak mógłby jechać sam Casamir, wiwaty stały się dwa razy głośniejsze. Płatki kwiatów spadały deszczem. Urwisy wskazywały go palcami, wytrzeszczając oczy w brudnych buziach. Oto jedzie Młody Lew, zbawca Unii!

Leo się uśmiechał. Trudno było się powstrzymać. W końcu Orso miał rację. Zasłużył na chwałę.

Ilu ludzi może powiedzieć, że w pojedynkę wygrało wojnę?

\* \* \*

Wszyscy wiwatowali na cześć Leo dan Brocka, jadącego samotnie na czele parady, słynnego bohatera od stóp do głów. Wiwaty znacząco cichły, gdy przejeżdżali wielcy mężowie z Otwartej Rady.

– Pierdolony Isher – warknął Pleczysty na widok Ishera z wysoko uniesionym podbródkiem, odzianego we wspaniałą złotą pelerynę opadającą na zad konia. – Ukradł naszą ziemię. Wygląda na to, że dobrze na tym wyszedł, skur...

– Odpuść. – Liddy delikatnie położyła dłoń na jego ręce. Delikatnie, lecz stanowczo. – Twój gniew jego nie zrani, a nam może zaszkodzić.

– Mhm – zgodził się Pleczysty, z trudem biorąc wdech. – Masz

rację.

Już dość im zaszkodził.

Odziani w futra notable jechali za lordami, próbując skraść dla siebie część chwały, której nie zdobyli na wojnie. Następni podążali oficerowie. Pleczysty odwrócił się i splunął. Po tym, co przeszedł w Styrii, nie cierpiał tych łajdaków tak samo jak lordów.

– Tam jest Orso! – zawołało dziecko siedzące u kogoś na barana.

– Co on robi tak daleko z tyłu?

– Wstydzi się pokazać gębę obok prawdziwego bohatera – warknął ktoś inny.

Pleczysty też go zauważył. Księżę dosiadał wspaniałego myszatego rumaka ze spokojem i swobodą człowieka, który nie wie, co to poczucie winy, i z dziwnym uśmiechem na ustach gawędził z jakimś starszym żołnierzem we wspaniałej futrzanej czapie.

– Hańba! – ryknął ktoś. – Na pohybel księciu!

Wysoki mężczyzna z gęstą czarną brodą stanął na palcach i krzyczał ponad głowami tych, którzy stali przed nim. Ludzi patrzyli na niego chmurnie, ale w jego oczach płonęło szaleństwo. Nie cofnął się ani o krok.

– Morderca!

Liddy pokręciła głową.

– Przeklęty głupiec, tylko narobi nam kłopotów.

– Ale ma rację – mruknął Pleczysty. – Orso to przeklęty morderca.

– Valbeck niczego cię nie nauczył? Można mieć rację i mimo to zachować ją dla siebie.

– Powiesił dwustu dobrych ludzi – warknął Pleczysty. – Jako zdrajców.

– Byli zdrajcami – zauważyła May, zaciskając zęby. – Taka prawda.

Te słowa nie przypadły Pleczystemu do gustu, zwłaszcza gdy padły z ust jego własnej córki.

– Moglibyśmy podyskutować na ten temat. – Chociaż

dyskusowanie z May zwykle prowadziło go donikąd. – Prawda jest taka, że Leo dan Brock walczył na wojnie, a Orso tylko siedział w namiocie i kłamał.

– W takim razie wiwatujmy na cześć Leo dan Brocka – mruknęła Liddy – i nie mieszajmy do tego Jego Wysokości. Nie masz pojęcia, kto nas może słuchać. Inkwizycja jest wszędzie.

Ten brodaty łajdak w ogóle się tym nie przejmował.

– Sram na Młode Jagnię! – zadudnił, przykładając zwinięte dłonie do ust.

Orso posłał mu blady, znudzony uśmiech i lekko się uklonił. Odpowiedziało mu parę wybuchów śmiechu, dzięki którym – co Pleczysty musiał uczciwie przyznać – z tłumu uszło nieco jadu.

Chwilę potem coś uderzyło go w ramię i trzech odzianych na czarno mężczyzn przepchnęło się przez ciżbę. Na ich widok brodaty krzykacz odwrócił się, ale dwóch innych nadchodziło już z drugiej strony. Tłum rozstał się jak przed ofiarą zarazy, gdy praktycy złapali brodacza, pchnęli na ziemię i zaczęli mu zakładać na głowę poplamiony worek.

– Nie! – szepnęła natarczywie Liddy.

Dopiero wtedy Pleczysty zauważył jej rękę na swoim ramieniu. A nawet obie ręce: odciągała go ze wszystkich sił.

– Nie chcemy kłopotów!

Nagle zdał sobie sprawę, że napina wszystkie mięśnie, zaciska pięści tak, że mu drżą, i wykrzywia usta.

– Nie waż się spieprzyć nam życia! – May stanęła przed nim i pogroziła mu palcem. – Nie teraz, kiedy wreszcie nam się układa! – W jej oczach błyszczały łzy. – Nie waż się!

Odetchnął głęboko i z drzeniem wypuścił powietrze z płuc. Patrzył, jak trzech praktyków siłą prowadzi biednego głupca przez tłum. To mógłby być on, wleczony do Domu Pytań. To byłby on, powieszony przy drodze do Valbecku, gdyby nie May i największy łut szczęścia, jaki mógł się przytrafić niegodnemu tego człowiekowi.

– Dobrze, May. – Poczul łzy w oczach. Żeby je otrzeć, zsunął okulary z nosa. – Przepraszam.

– Obiecałeś – syknęła Liddy, ciągnąc go w stronę

maszerujących ludzi i koni, w stronę sztandarów i lśniącej stali.

– Obiecałeś, że nie będziesz szukał kłopotów.

– Żadnych kłopotów. – Pleczysty objął żonę i córkę i mocno je przytulił. – Obiecuję.

Mimo to zaciskał pięści tak mocno, że aż go bolały.

\* \* \*

Savine zawsze uwielbiała wielkie wydarzenia. Im większy tłum, tym więcej okazji, żeby nieznanym zamienić w znajomych, znajomych w przyjaciół, a przyjaciół w zyski. Zawsze wtedy pojawiała się szansa, żeby ktoś ją zauważył i darzył podziwem, to zaś zapewniało władzę – a władza to góra, z której człowiek nieustannie się zsuwa; góra, na którą wciąż trzeba się wdrapywać, drapać pazurami, nieustannie się trudzić, żeby się nie osunąć, nie mówiąc już o wspięciu się wyżej; góra nie z kamienia, lecz z wijących się, mozolących i chwytających się innych ciał ludzi.

A żadne wydarzenie nie mogło być wspanialsze od tej parady. Ogłoszono dzień wolny dla wszystkich pracujących ludzi w Adui, piece zostały wygaszone, opary się rozproszyły i jesienne słońce świeciło jasno nad świętującymi tłumami. Nieliczni wielcy i dobrzy, którzy nie dołączyli do słynnych zwycięzców podczas parady, zebrali się – wraz z całym mrowiem maluczkich i złych – tutaj, na końcu przemarszu, na placu Marszałków.

Savine stała w samym jego środku, na jednym z krańców spowitej w purpurę królewskiej łoży, w towarzystwie większości Zamkniętej Rady, legionu przypochlebnych lokajów i surowych żołnierzy korpusu rycerskiego, a także, ma się rozumieć, Ich Wysokości Króla i Królowej Unii. Królowa Terez, boleśnie wyprostowana na samym szczycie trybuny, od czasu do czasu zaszczycła tłum pogardliwym machnięciem ręki – niekwestionowana pani wszystkiego, co znalazło się w zasięgu jej wzroku. Chociaż raz Savine nie musiała się starać, żeby

odczuć zazdrość. To mogło być jej miejsce. To powinno być jej miejsce. Prawie było.

Król zerknął w bok i przelotnie napotkał jej wzrok: to samo smutne, tęskne spojrzenie. Wbiła wzrok w czubki pięknych pantofli. Nie miała pojęcia, dlaczego czuje się zakłopotana: to nie ona dymała jej matkę, to nie ona ją potem porzuciła – a jednak to jej twarz płonęła rumieńcem.

Zawsze uwielbiała wielkie wydarzenia, ale dzisiaj nienawidziła wszystkich i wszystkiego, a siebie najbardziej. Brakowało jej Orso jak odciętej ręki. Przychodziła jej do głowy jakaś uwaga, którą tylko on by zrozumiał, wtedy odwracała się z uśmiechem do Zuri, żeby ta zaaranżowała im spotkanie... i ckliwe ukłucie straty przeszywało ją na nowo.

Leo dan Brock stanowił miłą odmianę. Od szyi w dół był wprost niesamowity. Kiedy rozpięła mu koszulę, przez chwilę tylko patrzyła – jakby skłonny do przesady artysta wyrzeźbił go z marmuru w cielistym odcieniu. W pewnym momencie Leo podniósł ją z taką łatwością, jakby już nigdy więcej nie miała dotknąć ziemi...

Jednakże o tym, kto jest prawdziwym mężczyzną, a nie, ostatecznie decyduje to, co znajduje się powyżej szyi. Kiedy zażartowała, Orso w lot chwycił żart, rozkładał go na części pierwsze, rozwijał i odrzucał jej w rozkosznie przekształconej formie. A Leo rzadko zdawał sobie sprawę, że żart w ogóle padł. Był jak ten wynalazek, o którym często paplał Curnsbick – wóz na szynach: w rozmowie poruszał się tylko w jednym kierunku, i to niezbyt szybko.

Potrzebowała czegoś. Pochyliła się, jakby chciała poprawić but, i wysunęła srebrne puzderko z rękawa. Tylko szczypta dla ukojenia nerwów. Ta pierwsza szczypta – która była tak naprawdę piątą tego ranka – nie zadziałała, wzięła więc drugą, większą. Szanująca się dama zawsze doprowadzą sprawę do końca.

Wyprostowała się gwałtownie i prawie przewróciła, tak potężną falą krew napłynęła jej do głowy. Miała wrażenie, że oczy wyskoczą jej z czaszki. Kiedy odzyskała ostrość widzenia,

zdała sobie sprawę, że Zuri trzyma ją mocno za łokieć.

– Czego? – warknęła Savine, wyrrywając rękę. Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. – Przepraszam. Naprawdę. Bez ciebie byłabym zgubiona.

– Lady Savine...

Zuri rozejrzała się ostrożnie po królewskiej loży. Kłopoty Savine najwyraźniej nie przeszły niezauważone. Zastrane sępy... Zawsze się gapią w nadziei na świeże mięso, na które mogłyby się rzucić.

– Zachowujesz się, jakbyś nie była sobą, pani.

– A kim właściwie jestem? Powiedz mi, proszę.

Niewiele brakowało, żeby wrzasnęła na cały głos. Krew pulsowała jej w skroniach.

Otarła obolały nos i zamknęła oczy.

– Przepraszam, Zuri. Na ciebie naprawdę nie powinnam się wydzierać.

– Chcesz stąd wyjść, pani?

– I przegapić te wszystkie pierdolety?

Savine machnięciem ręki wskazała tłum na placu i stwierdziła, że dwa palce rękawiczki ma ubrudzone perłowym proszkiem. Spróbowała strząsnąć go drugą ręką. Bez powodzenia.

– Lepkie paluszki? – mruknął półgębkiem jej ojciec.

Który, rzecz jasna, wcale nie był jej ojcem. Arcylektor Glokta nie był z nią w ogóle spokrewniony.

– Nic, czym musiałbyś się martwić – warknęła.

– A jednak się martwię.

Cały czas patrzył na tłum. Wiwaty w oddali przybierały na sile, radosna parada zbliżała się ulicami Agriontu... Arcylektor przywołał ją skinieniem palca.

– Mogę zapytać, co robiłaś z Brockiem?

– Wiesz o tym?

– Podejrzewam, że połowa Adui o tym wie.

– Na pewno nie potrzebuję twoich kazań o moralności – burknęła.

Nagle – nieproszone i zgoła niestosowne w takiej chwili –

wróciły do niej wspomnienia.

Tamta ciemnowłosa dziewczynka, odblask płomieni w jej załzawionych oczach, błagalne spojrzenie w brudnym zaułku w Valbecku. Proszę, proszę, proszę, i tak w kółko. Miażdzący strach i smród spalenizny.

Jej ubranie było za ciasne, zdecydowanie za ciasne. Dusila się. Wierciła się i miotła, spanikowana, spocona, na próżno szarpała sznurówki gorsetu – wiedziała przecież, że nie da się ich poluzować. Tak samo jak więzień nie zdołałby otworzyć kajdan paznokciem.

Ojciec spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

– Co w ciebie wstąpiło?

– We mnie? – Gniew znowu w niej zapłonął, kiedy złapała się podłokietnika jego fotela, pochyliła się i syknęła mu do ucha: – Wiesz, co powiedziała mi twoja żona?

– Oczywiście, że wiem. Masz mnie za idiotę?

Parsknęła gorzkim śmiechem i omal się przy tym nie obsmarkała.

– Skądże. To ty i matka potraktowaliście mnie jak idiotkę.

Seria nerwowych tików targnęła lewą stroną jego twarzy, powieka mu zatrzepotała.

– Twoja matka była młoda i samotna, popełniła błąd. Od tamtej chwili myślała tylko o tym, co dla ciebie najlepsze.

– O tym i o opróżnianiu butelki... Auć!

Ojciec złapał ją za rękę i przyciągnął.

– Odłóż na bok swoje urazy – wycedził przez zaciśnięte wargi.

– To poważna sprawa.

– Urazy? – szepnęła. – Urazy?! Jestem jednym wielkim kłamstwem, nie pojmujesz tego?!

Kilka osób najwyraźniej wychwyciło gniewny ton w ich rozmowie, zaciekawione twarze zwróciły się w ich stronę, zwłaszcza jedna, twarz Pierwszego Wśród Magów, który stał obok króla odziany – na użytek gawiedzi – w bardziej tajemnicze szaty niż zazwyczaj. Uśmiechnął się znacząco i skinął do niej głową.

Arcylektor tego nie przegapił. Prawie nie poruszał ustami, ale

widziała jak pracują mięśnie na jego skroni.

– Zwrócił się do ciebie?

– Kto?

– Bayaz – syknął i zacisnął dłoń na jej nadgarstku, aż zaboląło.

– Nigdy z nim nie rozmawiałam. – Nachmurzyła się. – Chociaż... W Towarzystwie Słonecznym był człowiek, który podawał się za maga. Tak naprawdę wcale na takiego nie wyglądał.

Ściągnęła na szyi ojca poruszyły się, gdy przełknął ślinę.

– Sulfur?

– Wygadywał jakieś bzdury o zmianie świata, o szukaniu nowych przyjaciół...

– O cokolwiek poproszą, cokolwiek zaproponują, masz im odmówić, rozumiesz? – Patrzył jej teraz prosto w oczy. Chyba nigdy w życiu nie widziała, żeby tak się bał. – Odmów im i natychmiast przyjdź do mnie.

– A co, u diabła, ma do tego wszystkiego Bayaz...?

– Wszystko! – Złapał ją jeszcze mocniej i przyciągnął jeszcze bliżej. – Wątpię, żebyś doceniała powagę swojej sytuacji. Może i jesteś bękartem, ale jesteś także najstarszym dzieckiem króla. Z tego powodu jesteś nadzwyczaj cenna, a zarazem narażona na ataki. A teraz weź się w garść. Te dąsy ci nie przystoją.

Puścił ją, otarł łzę z lewego oka i zaczął uprzejmie okłaskiwać wjeżdżającego na plac uśmiechniętego od ucha do ucha Leo dan Brocka. Wiwaty podwójnie przybrały na sile.

Savine powoli wyprostowała się, rozcierając sine ślady na nadgarstku pozostawione przez palce ojca. Chciała mu przywalić w te bezzębne usta. Chciała wykrzyzczyć prawdę królowi prosto w twarz, ile sił w płucach. Chciała przynajmniej wybiec wściekła z loży.

Ale w ten sposób tylko zwróciłyby na siebie uwagę – a przecież nikt nie mógł się dowiedzieć. Ojciec miał w tej kwestii rację. To znaczy miałyby rację, gdyby faktycznie był jej ojcem. Bayaz nadal się do niej uśmiechał. Był mniej majestatyczny niż posąg, który stał niedaleko stąd przy Drodze Królów, za to o wiele bardziej zadowolony z siebie.



Pozostało jej tylko odwrócić się w stronę placu, wyprostować, unieść brodę, przywołać na twarz najbardziej mdły uśmiech świata i klaskać.

I gotować się w środku jak czajnik.

\* \* \*

Orso usłyszał dobiegające z przodu wiwaty, kiedy parada dotarła do placu Marszałków. Słyszał, jak tłum skanduje „Leo! Leo!” i „Młody Lew!”. Mężny łajdak z pewnością doskonale odgrywał rolę bohatera. O wiele lepiej, niż on potrafiłby to zrobić.

Musiał przyznać, że jest mile zaskoczony nowym lordem gubernatorem Anglandu. Spodziewał się pozbawionego poczucia humoru zbira – i poniekąd miał rację: Brock żywił typowe dla prowincjusza uprzedzenia, ale okazał się raczej przyjemnie szczery i wielkoduszny. Trudno go było nienawidzić. Nieszczęsny drań nie miał pojęcia, że opowiadając o Savine, wbija księciu gwoździe w czaszkę. Nie miał pojęcia o mnóstwie rzeczy. Savine wycisnie nieszczęsnego głupca jak cytrynę i zostawi usychający z miłości zewłok. W żadnym razie nie byłby to dla niej pierwszy raz, ale wystarczyła myśl o niej z innym mężczyzną, żeby Orso miał ochotę wyrzygać sobie oczy.

A potem dostrzegł Rikke i złapał się na tym, że wbrew sobie się uśmiecha.

Garbiła się w siodle i mrużyła gniewnie oczy przed słońcem, jakby jego światło brała za osobistą zniewagę. Nie był pewien, czy od chwili wstania z łóżka zmieniła choć jeden element garderoby. W nienagannie wypielegnowanym, odzianym w najlepsze stroje i pięknie ozdobionym towarzystwie jej całkowity brak wysiłku wydał mu się osobiście atrakcyjny.

Przedtem chciał się ożenić z najlepiej ubraną kobietą w Kręgu Świata – i jak to się skończyło?

– Wasza Wysokość – mruknęła Rikke, kiedy do niej podjechał.

– Wasza... – Orso zmarszczył czoło. – Jak należy się zwracać

do emisariuszki Protektoratu?

– Rikke?

– Nie przepadasz za protokołem, co?

– Z upodobaniem po nim depczemy. Co robisz tutaj, na tyłach pochodu? Ulice nie są dość szerokie dla dwóch głów tak nadętych jak twoja i Leo dan Brocka?

– Właściwe to go nawet polubiłem. – Orso wzruszył ramionami. – W każdym razie podoba mi się znacznie bardziej niż ja sam sobie. I myślę, że chociaż raz zgrałem się z opinią publiczną. – Ci z widzów, którzy w ogóle spoglądali w stronę Orso, patrzyli przeważnie z nienawiścią. – Ale bez wątplenia zasłużyłem sobie na to.

– Nielubiany w domu przybyłeś tutaj, żeby wykuwać zamorskie sojusze. Nie jesteś tak zapatrzonym w siebie rozpustnikiem, jakiego się spodziewałam.

– Obawiam się, że jestem jeszcze gorszy. – Pochylił się ku niej i zniżył głos. – Tylko nad jednym sojuszem chcę pracować, a mianowicie między moją kuśką i twoją...

Dostrzegł mężczyznę jadącego tuż za Rikke: potężny Północny z najpotworniejszą blizną, jaką księżę widział w życiu, w środku której błyszczała kula jasnego metalu. Drugie oko wpatrywało się w Orso z takim wyrazem, jakby mogło mu zmrozić krew w żyłach – chociaż pewnie trudno bez słów wyrazić ciepłe uczucia, kiedy człowiek wygląda jak koszmar mordercy.

Orso przełknął ślinę.

– Twój przyjaciel ma metalowe oko.

– To Caul Dreszcz, nie bez powodu uważany za najbardziej przerażającego człowieka na Północy.

– Jest... twoim ochroniarzem?

Rikke wzruszyła kościstymi ramionami.

– Po prostu przyjacielem. Ale chyba spełnia i tę drugą rolę.

– A ta kobieta?

Kobieta wpatrywała się w Orso jeszcze bardziej natarczywie niż Dreszcz. Jedną rękę miała niebieską od tatuaży, twarz jak wykutą z kamienia i bez przerwy poruszała żuchwą, jakby coś żuła. Nie odrywając od niego oczu, odwróciła lekko głowę

i splunęła soczyście.

– To Isern-i-Phail, podobno najmądrzejsza pośród góralek. Zna wszystkie stare tradycje, lepiej nawet niż jej tatko. Pomaga mi otworzyć długie oko i utwardzić serce na kamień. Z różnym skutkiem.

– Czyli jest... twoją nauczycielką?

Rikke znowu wzruszyła ramionami.

– Po prostu przyjaciółką. Ale chyba spełnia i tę drugą rolę.

– Jak na taką niefrasobliwą kobietę masz zatrwazającą świtę.

– Nie martw się, ty jesteś bezpieczny. – Pochyliła się bliżej. –

Dopóki mnie nie rozczarujesz.

– Och, ja wszystkich rozczarowuję.

Uśmiechnął się do niej szeroko, a ona odwzajemniła mu się tym samym. Jej uśmiech był tak cudownie bezpretensjonalny i szczerzy, że Orso poczuł pewne zadowolenie z siebie, bo miał w nim swój udział. Wcześniej oświadczył się największej manipulantce w Kręgu Świata – i jak to się skończyło?

\* \* \*

Nie szczędzono wydatków. Plac Marszałków został zamieniony w arenę, tak jak działo się to przy okazji letniego turnieju. Rozradowany tłum wypełnił rzędy ławek. Budynek ozdobiono flagami ze słońcem Unii i skrzyżowanymi młotami Anglandu. Wszyscy wystroili się odświętnie, chociaż jakoś strojów różniła się zależnie od tego, w którym miejscu placu się człowiek znalazł. Na jednym jego krańcu pyszniły się klejnoty i jedwabie, na drugim dominowały znoszone kurtki i kaftany, przybrane – u największych szczęściarzy – ozdobną wstążką albo dwiema.

Uczucia jednak są za darmo, dlatego nie brakowało emocji, kiedy tuż obok defilowały lśniące szeregi. Dominował przepojony zazdrością podziw – żebracy odczuwali go wobec pospólstwa, pospólstwo wobec arystokracji, arystokracja wobec rodziny królewskiej. Wszyscy wyciągali szyje, patrząc na to, czego nie mają. Panował bojowy entuzjizm – głównie wśród

tych, którzy nigdy w życiu nie dobyli miecza, bo ci, którzy regularnie nim machali, wiedzieli swoje. W powietrzu wyczuwało się też patriotyczny zapach (było go dość, żeby zatopić wyspę pełną cudzoziemskich szumowin) oraz szlachetny zachwyty, że Unia rodzi najlepszych na świecie młodych łotrów. Towarzyszyła temu obywatelska duma mieszkańców Adui, Miasta Białych Wież, bo nikt nie oddychał tak gęstymi wyziewami jak oni, nie pił równie brudnej wody i nie płacił tak dużo za niezwykle skromne pokoiki.

Kiedy przychodziło do wykarmienia ludzi albo zapewnienia im dachu nad głową lepszego niż buda dla psa, rząd zawsze musiał się zmagać z surowymi ograniczeniami wydatków. Kiedy jednak chodziło o królewski triumf, Zamknięta Rada nieodmiennie znajdowała fundusze. Ktoś, kto głodował w obozach, kto kłamstwem trafiał do serc i łóżek dobrych ludzi, kto zwodził i torturował, żeby zdradzić sprawę, w którą wierzył połowicznie, na rzecz tej, w którą nie wierzył w ogóle, mógłby odczuwać pewne rozgoryczenie na widok takiej masy wyrzuconych pieniędzy.

Vick miała jednak twarde serce i z pewnością jeszcze twardszą głowę. A przynajmniej tak sobie wmawiała.

– Wszędzie cię szukałem.

Łój stał tuż obok niej. Nie musiał się przepychać przez tłum: był tak chudy, że przemykał pomiędzy ludźmi jak wiatr pod drzwiami. Przeprowadził dziewczynę w odświętym czepku, o którym nawet Vick – chociaż nigdy w życiu nie nosiła czepka – wiedziała, że wyszedł z mody jakieś sto lat temu.

– To moja siostra.

Vick się zdumiała.

– Ta, która...

– Mam tylko jedną siostrę.

Nie sposób było orzec, ile dziewczyna ma lat. Kiedy dzieci nie odżywiają się należycie, czasem wyglądają na znacznie młodsze, niż są w rzeczywistości, czasem na znacznie starsze, a czasem jedno i drugie naraz. Jej oczy, tak samo wielkie jak u brata, w szczuplejszej twarzy wydawały się jeszcze większe, jak

u tragicznej żaby. W wilgotnych kącikach tych oczu Vick dostrzegła swoje surowe, zniekształcone odbicie i ten widok też niezbyt jej się podobał.

– No, śmiało – powiedział Łój, szturchając siostrę łokciem.

Dziewczyna przełknęła ślinę, jakby wyciągała słowa z jakichś przepastnych głębin.

– Chciałam tylko... podziękować. Mam dobre miejsce do mieszkania. Czyste. I karmią mnie. Mogę jeść, ile tylko dam radę. Chociaż ja to w ogóle mało jem. Bo wiesz, nasi rodzice umarli. Nikt się nigdy o nas nie troszczył.

Vick była twarda. Potwierdziłby to każdy, kto próbował zaleźć jej za skórę w obozach; każdy, kogo później sama wysłała do obozów; każdy pechowiec, który wszedł jej w drogę. Tak, była twarda. Ale to zabolalo: dziewczyna, która dziękowała za to, że jest zakładniczką. Dziękowała za to, że Vick posłużyła się nią, żeby zmusić jej brata do zdradzenia przyjaciół.

– Co ci powiedział Łój? – mruknęła Vick.

– Nic, naprawdę! – Zaniepokoila się, że ściągnie na brata kłopoty. – Tylko tyle, że pracował dla ciebie i dlatego zaopiekowałaś się mną, kiedy on był zajęty. – Podniosła z lękiem głowę. – Zrobił już swoje?

– Ta praca nigdy nie ma końca – odpowiedziała Vick i dziewczyna natychmiast się ożywiła.

Może Vick powinna się cieszyć, że ktoś się cieszy z perspektywy pracy, ale nigdy tak do końca nie rozumiała, na czym polega radość. Być może, kiedyś przydarzyła jej się radosna chwila, a ona po prostu tego nie zauważyła.

Rozległy się ogłuszające fanfary, stuknęły setki obcasów, żołnierze stanęli na swoich miejscach i parada dobiegła końca. Przez chwilę panował całkowity bezruch. A potem wstał ktoś spomiędzy wielkich mężów z Zamkniętej Rady, ktoś siedzący u boku króla, i słońce zaśniło na tajemnych symbolach wyszytych na połyskliwych szatach.

Bayaz, Pierwszy Wśród Magów.

– Szlachetni panowie i damy! Żołnierze! Dumni obywatele Unii! Znajdujemy się w miejscu wielkiego triumfu!

Z uśmiechem spojrzął na plac Marszałków. Plac, na którym wciąż trwała mozolna przebudowa po tym, jak przed niespełna trzydziestu laty zrównał go z ziemią. Mówiło się, że po ukończeniu plac będzie piękniejszy niż dotąd – ale wszystko albo kiedyś będzie lepsze, albo było lepsze już dawno temu. Żaden polityk donikąd nie zaszedł, mówiąc ludziom, że sytuacja jest dobra w obecnym kształcie.

– Tutaj najlepsi, jakich mogli przysłać Gurkhulczycy, zostali całkowicie zmiążdżeni! – Bayaz potrząsnął mięsistą pięścią, wywołując patriotyczny pomruk, jak dyrygent dający znak perkusji. – Tutaj ich wielki cesarz został całkowicie pokonany. Tutaj Prorok Khalul został upokorzony, a jego przekłeta armia żerców odesłana z powrotem do piekła, gdzie jest jej miejsce. Mówiono nam, że armia cesarza jest nieprzeliczona, a dzieci Proroka są niezniszczalne. A jednak Unia zwyciężyła! Ja zwyciężyłem. Siły przesądów i barbarzyństwa zostały pokonane i otworzyła się brama do nowej epoki postępu i dobrobytu.

Szeroki uśmiech Bayaza był doskonale widoczny dla wszystkich na całej arenie. Nie ulegało wątpliwości, że Pierwszy Wśród Magów – tak samo jak każdy inny stary człowiek – uwielbia się chełpić swoimi dawnymi dokonaniem.

– Mnie się wydaje... bo nie trzeba nikomu przypominać, że jestem bardzo stary... że to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj. Jednakże młodzi bohaterowie o błyszczących oczach, którzy walczyli tu z Gurkhulczykami, dorobili się już siwych bród. – Położył ciężką rękę na ramieniu króla Jezala, który sprawiał wrażenie bardziej zaniepokojonego niż ucieszonego tym wyróżnieniem. – Stronice historii obracają się, jedno pokolenie ustępuje następnemu i dzisiaj możemy świętować nie jedno, ale dwa nowe wielkie zwycięstwa Unii! Na Północy, na jałowych ziemiach Anglandu, lord gubernator Brock pokonał wroga zewnętrznego! – Rozległy się wiwaty, jakieś dziecko posadzone na czyś ramionach wymachiwało szaleńczo małą chorągiewką Unii. – Tutaj zaś, w Midderlandzie, pod murami Valbecku, książę Orso zdławił rebelię wewnętrzną!

Wiwaty na cześć Orso były cichsze, zwłaszcza na tym końcu

placu, a te, które jednak się rozległy, były przesadzone w sposób, który wskazywał, że wypływały raczej z sakiewki niż z serca. Książę miał niewielu przyjaciół wśród arystokracji, a jeszcze mniej wśród pospólstwa. Sądząc po jego minie, świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

– Współczuję Orso. – Łój westchnął ckliwie. Chłopak miał talent do ckliwości. – To nie jego wina, że ci ludzie zostali powieszani.

– Chyba nie – zgodziła się Vick. Na pewno była nie mniej winna od księcia. – To ciekawe, że nędzarz współczuje następcy tronu.

– Litość nic nie kosztuje, prawda?

– Zdziwiłbyś się.

– Widziałem wiele bitew! – zawołał Bayaz, kiedy wiwaty ucichły. – Wiele wygranych bitew. Jednakże nigdy dotąd nie byłem równie dumny ze zwycięzców. Nigdy nie miałem większych nadziei co do ich przyszłości. My, starsze pokolenie, zrobimy, co w naszej mocy. Będziemy doradzać. Informować. Dzielić się doświadczeniem, za które zapłaciliśmy wysoką cenę. Ale przyszłość należy do młodych. Takich młodych, jak ci dwaj... – Rozłożył szeroko ręce: jedną wskazał mężczyznę zwanego Młodym Lwem, drugą tego, którego zaczęto nazywać Młodym Jagnięciem. – Czuję, że przyszłość nie mogła spocząć w pewniejszych rękach.

Znowu rozległy się oklaski i wiwaty, ale także gniewne pomruki pośród biedaków otaczających Vick. Lord Isher szturchnął konia i podjechał do Leo dan Brocka, mrucząc coś pod nosem, po czym obaj z pochmurnymi minami spojrzeli w stronę królewskiej łoży.

Kłopoty na obu końcach drabiny społecznej. Kłopoty czaiły się wszędzie. Vick zmarszczyła brwi i spojrzała najpierw na księcia Orso, a potem na dziewczynę z Północy o włosach jak ptasie gniazdo zdmuchnięte z drzewa. Dziewczyna z przedziwnym wyrazem twarzy wpatrywała się we własną rękę i – jeśli wzrok Vick nie mylił – wyraźnie dygotała. Zgramoliła się jak pijana z konia, wzięła do ręki coś

zawieszono na rzemieniu na szyi i włożyła to do ust.

– Co w nią wstąpiło? – spytał Łój.

– Nie mam pojęcia.

Dziewczyna z Północy runęła jak ścięte drzewo. Upadła na plecy.

\* \* \*

– Rikke!

Z wysiłkiem uchyliła powiekę.

Przyprawiające o mdłości dżgnięcie blasku.

– Nic ci nie jest? – Szczерze zatroskany Orso jedną ręką podtrzymał jej głowę.

Językiem wypchnęła z ust ośliniony kołek i wychrypiła jedyne słowo, jakie przyszło jej do głowy:

– Kurwa...

– Zuch dziewczynka! – Isern przykucnęła obok niej z drugiej strony, szczerząc w uśmiechu dziurawe uzębienie. Naszyjnik z runów i kości palców dyndał jej na szyi. W żaden sposób nie próbowała pomóc Rikke. – Co widziałaś?

Rikke ociężale podniosła jedną rękę i złapała się za głowę. Miała wrażenie, że jeśli nie chwyci jej mocno w dłonie, czaszka gotowa jej eksplodować. Pod powiekami wciąż jeszcze skwierczały jasne kształty, jak po spojrzeniu prosto w płomień świecy w ciemnym pokoju.

– Widziałam rozbrykanego białego konia na szczycie zrujnowanej wieży. – Duszący dym, smród spalenizny. – Widziałam, jak otwierają się ogromne drzwi; po drugiej stronie był pusty pokój. – Puste półki, kurz, nic poza tym. – Widziałam... – Nagle ogarnął ją strach. – Widziałam martwego starego wodza.

Przycisnęła rękę do lewego oka. Nadal wydawało się gorące. Paliło jak ogień.

– Kto to był?

– Stary wódz, martwy, w wysokiej sali rozjaśnianej światłem świec. Zebrani wokół ciała ludzie patrzyli na nie z góry,



zastanawiali się, co mogą dla siebie wyszarpać. Jakby byli psami, a stary wódz mięsem. – Strach się nasilał. Rikke coraz bardziej wytrzeszczała oczy. – Muszę wracać do domu.

– Myślisz, że to był twój tatko? – zapytała Isern.

– Któż by inny?

Dreszcz krzywił się okrutnie, słońce lśniło w jego metalowym oku.

– Jeśli to on... Nie sposób orzec, kto przejmie władzę w Uffricie.

Rikke się skrzywiła. Pulsujący ból rozsadzał jej czaszkę.

– W miejscu ich twarzy były tylko cienie, ale wiem, co widziałam!

– Jesteś pewna? – zapytał Orso.

– Tak. – Jęknęła, unosząc się na łokciu. – Muszę wracać na Północ. Im szybciej... – Zdała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą, a w tej chwili „wszyscy” oznaczało prawdziwe mrowie ludzi. Zmarszczyła nos podrażniony przykrą wonią. – Na pamięć poległych...

## Łajdak w moim typie

– Jak noga?

Scale roześmiał się i klepnął bratanka w zranione udo, aż Stour się skrzywił.

– Lepiej niż wcześniej – odparł i wyciągnął nogę pod stołem.

– Masz szczęście, chłopcze. – Scale pociągnął kolejny łyk z kufła, piwo pociekło mu po brodzie. Koniczyna spodziewałaby się, że mężczyzna, który pije tyle co on, będzie lepiej sobie z tym radził, ale sukinsyn ciągle rozlewał trunki. – Młody Lew mógł cię zabić.

– Fakt. – Stour nachmurzył się, patrząc na podłogę. Pod oczami wciąż miał zażółcenia po niedawnych siniakach. – Ja bym go zabił, gdyby sprawy inaczej się potoczyły.

– Co prawda, to prawda. – Scale znów się zaśmiał i skinieniem ręki zażyczył sobie dolewkę.

Jego starzy kompani emanowali osobliwym zadowoleniem z siebie, a młodzi towarzysze Stoura czymś w rodzaju urazy – kiedy ich wódz przegrał, wszyscy stracili kawałeczek siebie, a w każdym razie kawałeczek osobistej dumy. Koniczyna od dawna już uważał, że duma jest wyłącznie zawadą, ale niektórzy nadal kochali ją bardziej od złota.

– Król jest przedziwnie zadowolony z przegranej swojego czempiona – zauważyła Cudna, prawie nie poruszając ustami.

– Mhm – zgodził się Koniczyna. – Może dlatego, że może mu teraz do woli grozić palcem, przynudzać o tym, jak to pycha rozpiera młodych, i do znudzenia truć o wszystkim, czego się nauczył podczas długich lat opróżniania kufli piwa.

– A przecież śpieszno mu było do tego pojedynku nie mniej niż samemu Stourowi.

– Tacy są królowie. Gównianie pomysły są zawsze cudze.

Stour rozcierał bolącą nogę. W tej chwili bardziej przypominał oswojonego szczeniaka niż Wielkiego Wilka. Zadumany. Wręcz przygaszony.

– Zważ jednak – dodał Koniczyna – że wygląda na to, że porażka może wreszcie nauczyła czegoś naszego przyszłego króla.

– To ci się podoba, co?

– Ludzie mawiają, że porażka jest najlepszą nauczycielką.

Cudna skinęła głową, wodząc wzrokiem po sali spod szpakowatych brwi.

– Zatem to koniec wojny.

– Na to wygląda. Mnóstwo ludzi zginęło, niewiele się zmieniło.

– Jak to na wojnie. Zawsze najlepiej wychodzą na niej ci najgorsi. Zresztą na pewno niedługo wybuchnie jakaś nowa.

– Nie zdziwiłbym się.

– Co tymczasem planujesz? Wracasz do uczenia fechtunku?

– Nie przychodzi mi do głowy nic innego, do czego bym się nadawał i co mógłbym robić na siedząco. A ty?

Cudna zmarszczyła brwi, spojrzała na Stoura i westchnęła ciężko.

– Cieszę się, że już nie muszę się opiekować tym łajdakiem. A co dalej... Obojętne.

– Mogłabyś dołączyć do mnie.

– Uczyć chłopców walki?

– Moim zdaniem masz więcej mądrości do przekazania niż większość ludzi.

Prychnęła.

– Na pewno więcej niż ty.

– Sama widzisz. Jak w każdej dobrej spółce uzupełniamy się. Jedno nadrabia niedoskonałości drugiego. Ty możesz przekazywać mądrość, a ja będę siedział w cieniu.

Koniczyna napił się ze swojego kufla i uśmiechnął od ucha do ucha na myśl o tym, jak będzie siedział oparty o ulubione drzewo. O szorstkiej korze pod plecami. O stukocie ćwiczebnych kijów na łące.

– Ty mówisz poważnie – skonstatowała Cudna, mrużąc oczy.

– No wiesz... nie mówię niepoważnie. Jeśli znów zostanę sam z tą robotą, to bardziej dlatego, że mam pecha, niż dlatego, że tak bym chciał.

– A także dlatego, że masz zwyczaj zabijać swoich przyjaciół.

– Taka jest Północ – mruknął Koniczyna. – Kto tu nie zabił przyjaciela albo dwóch?

Uśmiechnęli się do siebie szeroko i stuknęli się kuflami.

Kilka krzeseł dalej Stour patrzył smętnie w swoje piwo, jakby na dnie kufła kryła się jakaś zagadka.

– Nigdy dotąd nie przegrałem. Przy żadnej okazji.

– Wygrałbyś, gdyby nie ta jebana wiedźma! – warknął Greenway z taką goryczą, jakby sam przegrał. – To jej pierdolone długie oko, czy jak to się nazywa. To było, kurwa, zwykle oszustwo. Im wszystkim należałoby wyciąć krwawy krzyż.

– Nie ma zakazu pokrzykiwania, prawda? – odezwał się cicho Stour z zadumaną miną, jakiej Koniczyna jeszcze nigdy u niego nie widział. – Pewnie wyświadczyła mi przysługę. Dzięki tej przegranej... Nauczyłem się postrzegać pewne sprawy w nowy sposób. Jakbym przyłożył kolorowe szkiełko do oka i zobaczył świat w nowych barwach albo... Nie! Jakbym właśnie odsunął przed oka takie szkiełko i zobaczył świat takim, jaki jest naprawdę!

Scale spojrział na bratanka z niedowierzaniem. Nie on jeden. Koniczynie ledwie starczyło miejsca na czole, tak wysoko uniósł brwi.

– Może jesteś podobny do swojego ojca bardziej, niż myślałem – przyznał król. – Wiedziałem, że dobry z ciebie wojownik, ale nigdy nie brałem cię za myśliciela.

– Ani ja – odparł Stour z błyskiem w wilgotnych oczach. – Ale kiedy leżysz ranny, to co ci innego zostaje, jak myśleć? Zdałem sobie sprawę z pewnych rzeczy. Młody Lew nie posłał mnie do błota, ale wszyscy prędzej czy później tam trafimy.

– To prawda, bratanku, Wielki Rozjemca czeka na nas wszystkich.

– Zdałem sobie sprawę – Stour zapatrzył się na swoją dłoń i zacisnął ją w pięść – że człowiek ma tylko jedno życie, żeby wyrobić sobie imię, i że jedno życie może na to nie wystarczyć.

– To prawda, bratanku. Nikt nie sprezentuje ci miejsca w pieśniach. Musisz sam je sobie wziąć.

– Zdałem sobie sprawę – Stour uderzył pięścią w stół – że człowiek nie może czekać, żeby wziąć to, co do niego należy.

Scale uśmiechnął się do niego i unióśł kufel.

– Co prawda, to prawda, bra...

Słowo urwało się w połowie, przeszło w odrażający charkot i król zwymiotował krwią i piwem.

Koniczyna ze zdumieniem stwierdził, że Stour wbił stryjowi nóż w szyję.

Rozległ się szcęk, coś obryzgało Koniczynie twarz. Siedzącemu obok niego staremu wojownikowi ktoś rozplątał toporem głowę aż po nasadę nosa.

Inny został popchnięty na stół, na którym następnie obcięto mu głowę. Potrzebne były do tego dwa cięcia.

Inny miotał się, zrzucając ze stołu mięsiwo i kufle i rozlewając piwo, kiedy Greenway podrzynał mu gardło.

Inny, zaplątany w futrzany płaszcz, miotał przekleństwa i wymachiwał na oślep nożem do mięsa, zanim ktoś wbił mu miecz w brzuch. Jeszcze chwilę kłął i pluł krwią w brodę, a potem maczuga wybiła mu dziurę w potylicy.

Jedna ze służących króla została obalona na podłogę, druga przyciskała dzban do piersi, jakby mogła się za nim schować. Scale padł na stół z wytrzeszczonymi oczami i wywieszonym językiem. Nosem wydmuchiwał czerwone bąbelki, krwawe piwo ściekało z blatu z cichym kap, kap, kap.

Jeden z jego starych wojowników czołgał się pod stołem, warczał, pełził, próbował zdrową ręką dosięgnąć upuszczonego miecza. Wyciągał się i wyciągał ile sił, tak jakby przesunięcie palcami po tym małym skrawku kamiennej posadzki, dzielącym go od głowicy broni, było najważniejszą rzeczą na świecie. Jeden z chłopaków Stoura przeskoczył nad stołem i uderzył stopą w jego kark – raz, drugi, trzeci, aż chrupnęły kości.

Stare pizdusie w kilka chwil wróciły do błota. Młode stały nad nimi z uśmiechami na obryzganych krwią twarzach.

Koniczyna odchrząknął, ostrożnie odstawił kufel, odsunął krzesło i wstał. Zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w ręce kość z niedojedzonymi resztkami mięsa, rzucił ją więc na stół i otarł palce z tłuszczu.

Dziwnie się czuł. Był zupełnie spokojny. Wyciągnięciu z głowy starego wojownika topora towarzyszyło głośne mlaśnięcie. Ludzie Stoura odwrócili się do Koniczyny z czerwonymi mieczami w rękach. Cudna zwróciła się w ich stronę, przykucnęła w gotowości do walki, dobyła miecza i wyszczerzyła zęby.

– Spokój! – zawołał Stour. – Spokój mi tu! – Usiadł. Wilczy uśmiech na jego posiniaczonej twarzy był szerszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Przewidziałeś to, Koniczyna?

– Nie wszyscy mamy długie oko.

Mimo że Koniczyna wysoko sobie cenił swój spryt, okazał się równie ślepy jak Scale. Wiedział jednak, że gdyby Stour życzył sobie jego śmierci, to już leżałby martwy, razem z pozostałymi. Dlatego stał i czekał, żeby się przekonać, w którą stronę powieje wiatr.

– Udajesz głupola. – Stour upił łyczek z kufła i oblizwał usta. – Ale jesteś też sprytny. Cwany gapa, hmm? Zawsze uważałem, że twoje lekcje to bzdury tchórza, ale jak teraz na to patrzę, to widzę, że od początku miałeś rację. – Zakrwawionym sztyletem wskazał Koniczynę. – Na przykład to, co powiedziałeś na temat noży i mieczy. Przez dwadzieścia lat codziennie rano i wieczorem ćwiczyłem walkę mieczem, a najwięcej przyniósł mi cios zadany nożem. Chciałbym, żebyś przy mnie został. Może być, że wiesz jeszcze coś, czego mógłbyś mnie nauczyć. Musiałbyś jednak... udowodnić swoją dobrą wolę. – Spojrzał z ukosa na Cudną. – Zabij ją.

Odwróciła się do Koniczyny z szeroko otwartymi oczami.

– Koni...

Sprawiała wrażenie ogromnie zdumionej, kiedy złapał ją w objęcia, lewą ręką zablokował jej dłoń z mieczem, a prawą

zadał jej cios prosto w serce. Gorąca krew trysnęła mu na pięść, spłynęła po ręce i obryzgała podłogę.

Trzeba umieć wybrać właściwy moment. Zawsze tak mówił, powtarzał to wszystkim, którzy chcieli słuchać. Musisz go rozpoznać, gdy nadejdzie, i wykorzystać, nie przejmując się przeszłością i nie martwiąc o przyszłość.

Trzymał ją w ramionach, gdy umierała. Nie trwało to długo. Wmawiał sobie, że chciałby, żeby i jego ktoś tak objął, gdy będzie wracał do błota, ale tak naprawdę to po prostu chciał ją przytulić. Potrzebował tego. Co ona czuła w związku z tym – nie wiadomo. Uczucia zmarłego ważą mniej niż piórko.

Nie było ostatnich słów. Tylko cichy jęk. Koniczyna położył ją na ziemi w rozlewającej się coraz szerzej kałuży jej własnej krwi. Oczy Cudnej wpatrywały się z rozczarowaniem w pajęczyny między belkami stropowymi.

– Ja pierdołę – mruknął Stour. – Nie zastanawiałeś się długo.

– Nie musiałem.

Koniczyna widział mnóstwo trupów, sam trochę ich sprokurował, ale nie potrafił myśleć o Cudnej jak o martwej. W każdej chwili mogła wstać, zbyć to wszystko śmiechem, skwitować żartem. Jednym uniesieniem brwi utrzczyć mu nosa.

– To było bezduszne. – Greenway pokręcił głową. Inny z młodziaków zagwizdał przeciągle przez zęby. – Naprawdę bezduszne.

– Człowiek musi ugiąć się przed wiatrem. – Uśmiech Wielkiego Wilka był szeroki jak nigdy dotąd. – Łajdak z ciebie, Koniczyna. Ale łajdak w moim typie.

Łajdak w jego typie. Oto dokąd doprowadził Koniczynę cały jego spryt.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wbiegli uzbrojeni ludzie – z pomalowanymi tarczami, mieczami, włóczniami i toporami w gotowości. Czarny Calder wszedł za nimi i obrzucił krwawą jatkę spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

– Ojczy! – zawołał Stour, dolewając sobie trochę piwa. Podniósł kufel. – Napijesz się?

Wypił do dna i postawił kufel w kałuży królewskiej krwi.

– Coś ty zrobił? – szepnął Calder.

– Postanowiłem nie czekać dłużej.

Złapał Scale'a za ucho, uniósł jego gruby łeb ponad blat i ściągnął mu łańcuch z szyi. Zawieszony na nim diament był czerwony od krwi. Greenway zarechotał, pozostali uśmiechnęli się szeroko zadowoleni z wyniku potyczki.

Koniczna nie pomyślał, że kiedykolwiek zobaczy, jak Czarnemu Calderowi zabrakło słów. Calder spojrział na ciało Cudnej, potem na Koniczynę, wreszcie na syna i zacisnął pięści.

– Mamy sojuszników, którzy tego nie zdzierzą! Część ludzi nie pozostanie nam wierna!

– Nie słyszałeś? – zapytał Stour. – Zdobyłem sobie przyjaciela w Młodym Lwie! Nie znajdziesz silniejszego sojusznika od Unii. Jeśli jednak ludzie chcą być wierni mojemu stryjowi, to bardzo proszę. – Wyszczrzył zęby i wytrzeszczył wilgotne oczy. – Wróć, kurwy, do błota razem z nim! – Stour założył na szyję łańcuch, czerwone ogniwa ułożyły się krzywo i pobrudziły krwią jego białą koszulę. – Będą musieli się nauczyć, że czasy się zmieniają. Ty też będziesz musiał to zrozumieć. To ja jestem teraz Królem Północnych.

Twarz Czarnego Caldera pobladła jak mleko, ale cóż miał zrobić? Zabić syna za to, że zabił jego brata? Stour był przyszłością Północy. Od zawsze. A skoro ci wszyscy starzy wojownicy legli zamordowani na zakrwawionej podłodze, to wyglądało po prostu na to, że przyszłość nastąpiła nieco szybciej. Najgorszym wrogiem człowieka jest jego własna ambicja, jak zwykł mawiać Bethod. Oto był krwawy dowód słuszności jego słów. Czarny Calder rządził przez dwadzieścia lat. Wystarczył jeden cios nożem, żeby to się skończyło.

– Marzenie twojego dziadka... – szepnął, jakby wszystkie jego wielkie plany można było jeszcze uratować.

Jakby można było odmordować króla.

Stour syknął, dając wyraz swojemu zniesmaczeniu i zniecierpliwieniu.

– Ludzie mówią mnóstwo rzeczy o moim dziadku, Bethod to, Bethod tamto... Nie znałem skurwiela. – Skrzywił się,



przesuwając ranną nogę. Oparł ją na otłuszczonych plecach zamordowanego króla. – Mam własne marzenia do spełnienia.

Koniczyna stał i patrzył. Krew, którą nasiąknął mu rękaw, robiła się zimna.

# Niech żyje król

Orso obudził się w ciemności, wyciągnął rękę, ale jej już nie było.

Usiadł, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. Nie bardzo wiedząc, po kogo sięgał. Rozmasował nasadę nosa. Śniło mu się coś?

Rikke wróciła na Północ. Savine odeszła na dobre. Oczywiście ludzie nadal prześcigali się, żeby ich zauważył, żeby go objąć, przypochlebić się mu, zyskać coś dzięki niemu. Został jednak sam.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem czuł się równie samotny.

Hałasy na korytarzu wywlekły go spod znajomego kocyka użalania się nad sobą. Stłumiony krzyk w oddali, potem drugi, bliższy, tupot szybkich kroków, który rozległ się obok jego sypialni i się oddalił. Cienie poruszały się w wąskiej szparze światła pod drzwiami. W końcu ktoś nacisnął klamkę i drzwi się uchyliły.

– Do diabła, matko, czy ty nigdy nie pukasz?

Sprawiała wrażenie równie władczej jak zawsze, jej twarz była pozbawioną emocji maską w świetle trzymanej przez nią świecy, ale przysła w szlafroku i miała rozpuszczone włosy. Orso nie był pewien, czy kiedykolwiek widział, by opuściła komnatę bez wyrafinowanej koafiury. Sięgające jej prawie do pasa włosy z jakiegoś powodu wydawały się pewniejszą zapowiedzią katastrofy, niż gdyby do sypialni księcia wparował człowiek płonący żywcem.

– Co się stało? – spytał szeptem.

– Chodź ze mną.

W pałacu panowało niezwykle poruszenie, zwłaszcza że był

przecież środek nocy. Wszyscy byli zajęci niczym, wszyscy biegli donikąd, wszyscy mieli ten sam dziwnie spanikowany wyraz twarzy. Uzbrojony po zęby żołnierz korpusu rycerskiego minął ich przy wtórze szczęki żelastwa; pot perlił mu się na czole, lampa w jego ręce rozświetlała złoconą boazerię.

– Co się stało, matko? – dopytywał się Orso. W ustach mu zaschło.

Nie odpowiedziała. Z myślą o zbliżającym się święcie nowego roku zimny korytarz został obwieszony jagodami. Królowa szła tak szybko, że księżę musiał prawie biec, żeby za nią nadążyć.

Trzech kolejnych żołnierzy korpusu stało przy wysokich drzwiach do sypialni ojca. Pośpiesznie wyprężyli się na baczność, gdy królowa ich wyminęła. Jeden z nich posłał Orso osobliwe, udręczone spojrzenie, zanim spuścił wzrok na lśniąca posadzkę.

Wokół łoża cisnęli się ludzie w koszulach nocnych i szlafrokach, z potarganymi siwymi włosami. Dworzanie, służba, lordowie z Zamkniętej Rady. Ich wstrząśnięte twarze wyglądały dziwnie w migotliwym świetle świec. Rozstąpili się bez słowa przed Orso, który miał wrażenie, że w ogóle nie stawia kroków, jakby ciągnięto go w wózku. Był odrętwiały, jakby pogrążony we śnie, jego oddech stał się powolny, bardzo, bardzo powolny, aż prawie całkiem ustał.

Orso zatrzymał się przy łóżku i spojrzał w dół.

Król Jezal Pierwszy leżał na plecach z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami. Przykrycie miał zsunięte do kostek, stopy nadal rysowały się małymi wznórkami pod szkarłatnym materiałem. Nocną koszulę podciągnięto mu powyżej piersi, odsłaniając blade, jakby woskowe ciało, gdzieś porośnięte siwymi włosami. Skurczony członek leżał przekrzywiony w bok, przyciśnięty do biodra. Ojciec zawsze powtarzał Orso, że godność to luksus, na który królowie nie mogą sobie pozwolić.

Królewski lekarz klęczał przy łóżku z uchem przyciśniętym do piersi króla. Ktoś przepchnął się przez tłum, żeby podać mu lusterko. Medyk przyłożył je do ust władcy, po omacku znalazł

okulary i wsunął je na nos.

– Nic nie wskazywało na to, żeby chorował – rozległ się pełen niedowierzania pomruk.

– Dopiero co wieczorem rozmawiałem z Jego Wysokością. Był w świetnym nastroju!

– A jakie, u diabła, ma to teraz znaczenie? – warknął ktoś inny.

Cisza się przeciągała.

Lekarz ostrożnie odłożył lusterko i powoli wstał.

– No i? – zapytał lord szambelan Hoff, załamując blade ręce.

Medyk zamrugał, a potem pokręcił głową.

Bremer dan Gorst wziął tak gwałtowny wdech, że powietrze śmiesznie zapiszczało mu w szerokich nozdrzach.

Arcylektor Glokta zgarbił się w fotelu na kółkach.

– Król nie żyje – mruknął.

W tłumie rozległ się jękliwy dźwięk. A może wcale nie w tłumie, może jęk dobył się z gardła Orso.

Nagle poczuł, że jest mnóstwo rzeczy, które musi koniecznie powiedzieć ojcu. Zawsze zakładał, że kiedy indziej omówią ważne sprawy. Sprawy najważniejsze. A teraz już nigdy do tego nie dojdzie. Ojciec był obecny w życiu Orso przez ściśle ograniczony czas, a on ten czas zmarnował, strawił go na rozmowy o pogodzie. Następnej okazji już nie będzie miał.

Poczuł na ramieniu ciężką dłoń. Odwrócił się i zobaczył Pierwszego Wśród Magów, który stał obok niego. Wydawało się, że cień uśmiešku igra mu w kąciku ust.

– Niech żyje król – powiedział Bayaz.

# Podziękowania

Jak zawsze czworgu ludziom, bez których...

Bren Abercrombie, którą oczy pieką od czytania tej książki;  
Nickowi Abercrombiemu, którego uszy bolą od słuchania o niej;  
Robowi Abercrombiemu, którego palce bolą od przewracania stronic;  
Lou Abercrombie, którą ręce bolą od podtrzymywania mnie na duchu.

A następnie serdeczne podziękowania dla:

wszystkich cudownych i utalentowanych ludzi w brytyjskich wydawnictwach, którzy przez lata pomagali mi skierować cykl *Pierwszego Prawa* do czytelników, w tym dla Simona Spantona, Jona Weira, Jen McMenemy, Marka Staya, Jona Wooda, Davida Shelleya, Katie Espiner i Sarah Benton. A potem dla wszystkich tych, którzy pomogli mi stworzyć, wydać, rozpropagować, przetłumaczyć i nade wszystko sprzedać moje książki, gdziekolwiek żyją na tym świecie;

artystów odpowiedzialnych za to, że nadal prezentuję się z klasą: Didiera Graffeta, Dave'a Seniora, Laury Brett, Lauren Panepinto, Raymonda Swanlanda, Tomása Almeidy;

redaktorów za oceanem: Lou Andersa, Devi Pillai, Bradleya Englerta i Billa Schafera;

czempionów z kręgu: Tima i Jen Millerów;

człowieka o tysiącu głosów: Stevena Pacea;

Roberta Kirby'ego za to, że zatrzymał wilki po właściwej stronie drzwi;

wszystkich pisarzy, których ścieżki przecięły się z moją w Internecie, w barze albo w pokoju pisarskim i którzy mi pomogli, wspierali mnie, rozśmieszali i podsuwali mi mnóstwo pomysłów wartych podkradzenia – wiecie, o kim mówię;

i na końcu, ale przede wszystkim:

wielkiemu machineusowi – Gillian Redfearn. Bo w głębi ducha każdy Jezal wie, że bez Bayaza jest gównem wart.